

Marian Stępień

# WŚRÓD EMIGRANTÓW

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego



# Spis treści

Słowo wstępne .....

## CZĘŚĆ I

Status polskiego emigranta w drugiej połowie XX wieku.....

Emigracja naszego czasu. O Tymonie Terleckim .....

Próba periodyzacji polskiego życia literackiego po 1939 roku .....

Pięćdziesiąt lat polskiej literatury emigracyjnej (1939–1989). Próba bilansu.....

## CZĘŚĆ II

Sytuacja emigranta w świetle twórczości Czesława Miłosza .....

Książka fałszywych prognoz. O *Zniewolonym umyśle* Czesława Miłosza.....

„Co czuje się wobec zbyt dużego obszaru”. Amerykańska przestrzeń w poezji  
Czesława Miłosza.....

Wokół *Narodu* Czesława Miłosza.....

Witold Gombrowicz wśród polskich emigrantów .....

Z pozycji moralisty. Gustaw Herling-Grudziński o polskich pisarzach współczesnych ..

„Podwójne życie pisarza” .....

„Zdaje się Mickiewicz mnie powali” .....

Nowojorski wieczór Jana Lechonia .....

Inwalida pierwszej wojny światowej .....

Dwa rodzaje liczby mnogiej .....

Wacław Solski .....

Przypomnienie Wiesława Strzałkowskiego .....

Dzieło Marii Danilewicz Zielińskiej.....

Dwa filary emigracji .....

Jerzy Giedroyc wśród twórców literatury polskiej .....

Powstanie warszawskie.....

## CZĘŚĆ III

Dzieci Holocaustu.....	.....
Henryk Grynberg.....	.....
Miriam Akavia.....	.....
Ida Fink .....	.....
Jadwiga Maurer .....	.....

## CZĘŚĆ IV

<i>Let the Blackbird Sing</i> . O Helenie Ogrodowskiej Bristol.....	.....
Symans.....	.....
O Stanisławie Żochowskim .....	.....

## CZĘŚĆ V

Most pamięci i wyobraźni.....	.....
Niewysłany list.....	.....

## CZĘŚĆ VI

Ptaki .....	.....
Franciszek Jarecki.....	.....
Mapa .....	.....
<i>Żywoty Świętych</i> Księdza Piotra Skargi .....	.....
Feliks Dzierżyński .....	.....
Wódz Biała Chmura.....	.....
Po wizycie Prezydenta Cartera w Warszawie .....	.....
Nieoczekiwane skutki opublikowania listu Edwarda Stachury .....	.....
Natan Szczarański.....	.....

## Słowo wstępne

Szkice objęte tytułem *Wśród emigrantów* są kontynuacją poprzednich publikacji autora poświęconych polskiej literaturze emigracyjnej. Poprzednio ukazały się *Dalekie drogi literatury polskiej* (1989), *Trzecia wartość. O twórczości Danuty Mostwin* (2000). Do tego kręgu tematycznego należą też rozdziały z książki *Jak grecka tragedia. Pisarz polski w sytuacji wyboru. 1945–1948*.

Szkice te powstawały w ciągu dłuższego czasu. Są rezultatem wieloletnich kontaktów z literaturą emigracyjną, emigracyjnymi autorami, a także okresowego przebywania wśród polskich emigrantów mieszkających w Stanach Zjednoczonych.

Część pierwsza zbioru przynosi artykuły o charakterze ogólnym i wprowadzającym. Mówi się w niej o statusie i etosie polskiego emigranta, przeprowadza się periodyzację polskiej literatury emigracyjnej po drugiej wojnie światowej. Podejmuje się próbę dokonania jej bilansu.

Część druga, najobszerniejsza przynosi zbliżenia do kilku czołowych pisarzy emigracyjnych. Niektóre z nich powstały na podstawie materiałów znalezionych w zbiorach emigracyjnych, dotychczas nieuwzględnianych. Podejmuje się w nich próbę innego niż dotychczas odczytania pewnych utworów, zwrócenia uwagi na pomijane ich aspekty. Tę część zamyka szkic poświęcony Jerzemu Giedroyciowi i Janowi Nowakowi-Jeziorańskiemu.

W części trzeciej wyodrębnieni są pisarze polscy żydowskiego pochodzenia, którzy Holocaust przeżywali w wieku dziecięcym i wnieśli do współczesnej literatury polskiej szczególnie i ważny ton. To „Dzieci Holocaustu”, jak ich nazwał jeden z nich, Henryk Grynberg. W różnych okolicznościach przeżywali oni lata wojny i niemieckiej okupacji; różne też były ich drogi prowadzące na emigrację.

Część czwarta zawiera szkice o autorach *minorum gentium*, o których jednak trzeba się upomnieć. Do nich można odnieść słowa Aleksandra Janty „Nic własnego nikomu”. Trójka autorów prezentowanych w tej części zasługuje na pamięć i na to, by wprowadzić wiedzę o nich do świadomości polskich czytelników. Ich dorobek twórczy, objętościowo niewielki, zasługuje na uwagę zarówno dla wartości poznawczych, jak i artystycznych.

Część piąta przynosi dwa zbliżenia do wybranych opowiadań Danuty Mostwin.

Część szósta, ostatnia, ma nieco inny charakter. Ale dobrze się mieści w tomie, którego tytuł *Wśród emigrantów* może mieć parę znaczeń. To kilka obrazków z bezpośrednich doświadczeń autora, do którego obowiązków jako stypendysty Fulbrighta należała współpraca ze wspólnotą polonijną w stanie Michigan i złożenie z niej sprawozdania w Ministerstwie Edukacji Stanów Zjednoczonych.



# CZĘŚĆ I





## Status polskiego emigranta w drugiej połowie XX wieku

Kolejne fale uchodźców (*refugees*) to jeden z wielkich problemów XX wieku (nic nie wskazuje, by w XXI miało być inaczej). Uchodźcy – to osoby, które z obiektywnych czy subiektywnych względów musiały uchodzić z własnego kraju lub – po migracji spowodowanej wojną – nie mogły lub nie chciały do niego powrócić. Już po pierwszej wojnie światowej próbowano rozwiązać problem uchodźców przez powołanie Urzędu Wysokiego Komisarza Ligi Narodów do spraw Uchodźców. Na jego czele stanął uczony i podróżnik Fridtjof Nansen. Po jego śmierci w 1930 roku urząd ten otrzymał nazwę „Nansen Office”. Miał prawo wystawiać uchodźcom osobiste dokumenty i dokumenty podróży, zwane „paszportami nansenowskimi”. Wielu z polskich powojennych emigrantów takim paszportem się posługiwało.

W 1938 roku urzędowi temu przyznano Pokojową Nagrodę Nobla. Na konferencji Narodów Zjednoczonych w Waszyngtonie w 1944 roku jego rolę przejęła UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration), a dwa lata później powołano przy ONZ Międzynarodową Organizację do spraw Uchodźców.

W czasie drugiej wojny światowej i kilka lat po jej zakończeniu przyjęto dla określenia uchodźców amerykańską nazwę *displaced persons*. Potocznie zwano ich „dipisami” („osoby przesiedlone”). Ta nazwa stała się oficjalnym terminem określającym obywateli krajów okupowanych przez Niemcy hitlerowskie, którzy wskutek zmian politycznych w Europie, jakie przyniosła druga wojna światowa, znaleźli się poza swą ojczyzną i chcieli nadal emigrować. Umieszczeni byli w specjalnych obozach w brytyjskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej. O ich przeżyciach, cierpieniach moralnych, upokorzeniach, wyczekiwaniu na możliwość wydostania się z obozu i wyemigrowania do jednego z krajów zachodnioeuropejskich albo za ocean opowiada wiele utworów literackich powstałych pod piórem emigranta. Między innymi powieść Tadeusza Nowakowskiego *Obóz Wszystkich Świętych* i część jego opowiadań z tomu *Niestworzone rzeczy*, a także Tadeusza Borowskiego *Bitwa pod Grunwaldem*.

Użyte w tytule słowo „status” przejęte jest z terminologii prawniczej. Ale poza przywołanymi tu regulacjami prawnymi użyte ono będzie w sensie metaforycznym; jako pozycja społeczna, kondycja moralna, stan psychiczny, poczucie emigracyjnej tożsamości.

## Etos emigranta

U źródeł emigracyjnego kodeksu etycznego był głęboki wstrząs psychiczny i moralny wywołany decyzjami jałtańskimi. Poczucie zdrady, jakiej dopuścili się sojusznicy z lat drugiej wojny światowej. Doznanie wielkiego narodowego nieszczęścia prowadziło – z jednej strony do załamania i duchowego rozbrojenia Polaków, a z drugiej – do podejmowania trudnych wysiłków, by temu załamaniu zapobiec i zachować wartości patriotyczne i moralne.

„Emigracja polska 1945 roku” przeżywała wielkie rozczarowanie, poczucie wielkiej klęski porównywalnej z klęską wrześniową w 1939 roku, a nawet większej od niej, gdyż nadzieja na odzyskanie niepodległej Polski przesuwała się w daleką i niepewną przyszłość.

Przywódcy duchowi emigracji stanęli przed wielkim wyzwaniem. Sami głęboko przeżywali katastrofę, jaka dotknęła Polaków, musieli jednak znaleźć w sobie siłę przeciwstawienia się upadkowi ducha, zwątpieniu, nawet rozpaczcy prowadzącej do poczucia bezsilności i rezygnacji wobec niespodziewanego wiarołomstwa sojuszników, u boku których do niedawna walczyli.

W sposób naturalny nasuwała się pamięć o Wielkiej Emigracji XIX wieku i jej dorobku ideowym i myślowym, o słowach Adama Mickiewicza, Joachima Lelewela, Cypriana Norwida, które stawały się pomocne w wysiłkach skierowanych na utrzymanie ducha narodowego, jednoczenia emigracji wokół przywracania ładu moralnego i pogłębiania poczucia odpowiedzialności za Polskę; przyjęcia obowiązku reprezentowania jej wobec wolnego świata.

Wśród tych, którzy przedstawili się zaraz po klęsce jałtańskiej jako strażnicy sumienia i honoru, kodyfikatorzy zasad etycznych polskiego emigranta politycznego po drugiej wojnie światowej, w niezwykle trudnych okolicznościach politycznych, w bardzo niesprzyjających warunkach psychologicznych i moralnych, wysunęli się na czoło między innymi: Tymon Terlecki, Gustaw Herling-Grudziński, Zygmunt Nowakowski.

Tymon Terlecki postrzegał emigrację jako duchową wspólnotę ludzi zjednoczoną w walce o przywrócenie w świecie ładu moralnego, jako „duchową nadprezentację” narodu, która przejmuje odpowiedzialność za Polskę przed opinią światową. Warunkiem spełnienia tej misji jest kierowanie się wysokimi standardami moralnymi. Takie pojmowanie statusu emigranta dyktowało troskę o słowo, patetyczny styl, wysoki, często mentorski ton, sięgnięcie do tradycji romantyzmu<sup>1</sup>.

O emigracji jako zobowiązującej misji, przedłużeniu postawy żołnierskiej i godności moralnej z lat 1939–1945 pisał Gustaw Herling-Grudziński. Dla niego powojenna emigracja polityczna nie była uciekinierką, uchodźstwem, lecz pełną godności uczestniczką w kolejnej fazie trwającej nadal drugiej wojny światowej, w której chodzi o nowy ład społeczny w duchu zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji, stawiającej opór zagrażającemu ze wschodu radzieckiemu komunizmowi. Od pisarzy emigracyjnych oczekiwał zajmowania postawy walczącej, zaangażowanej w taką ideologiczną konfrontację. Na emigracyjnych twórców nakładał obowiązek pogłębiania i kultywowania świadomości europejskiej<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Więcej o Tymonie Terleckim w rozdziale *Emigracja naszego czasu*.

<sup>2</sup> Zob. rozdział o Herlingu-Grudzińskim w książce „*Jak grecka tragedia*”. *Pisarz polski w sytuacji wyboru*, Kraków 2005.

W moralistycznym duchu, z moralistycznym patosem występował też Zygmunt Nowakowski. Zasady moralne emigranta nie pozwalały na przyjmowanie brytyjskiego obywatelstwa. Pisząc: „drogi nasze już się rozstały”, myślał o tych, którzy przyjmowali, często utrzymując to w tajemnicy, obywatelstwo Wielkiej Brytanii. Tracili – jak pisał – pierwszej klasy obywatelstwo państwa, do którego już nie chcą prawnie należeć i stawali się obywatelami drugiej klasy innego państwa<sup>3</sup>.

Niechętnie, a nawet – to jego słowo – z nienawiścią odnosił się do „Polaków z przypadku” i do „emigrantów z przypadku”, którzy „pociągnęli szlakiem kadrówki zaleszczyckiej, bo było jakieś miejsce na wozie albo w przyczepie motocykla [...]. Powiększał się tylko tabor ciurów obozowych, którzy dziś, jeden po drugim, odpadają, mówiąc, że zmęczeni są polskością”<sup>4</sup>. Przypominał wskazania Norwida, który domagał się, by każdego legitymowano, dla jakich powodów przystępuje do „Ciała Emigracji”.

Z goryczą obserwował ewolucję zachodzącą w środowisku emigracyjnym. Od „narodu na wygnaniu” podczas wojny, przez „emigrację polityczną” zaraz po jej zakończeniu, do „emigracji zarobkowej”, której idzie o chleb, a sprawy ideowe stają się „jak te sztandary, które zapewne posypane naftaliną, spoczywają w Instytucie Historycznym im. Gen. Sikorskiego”<sup>5</sup>. A „bagaż ideowy” utrudniający życie wśród „wrogiego nastroju tubylców” przejęli zawodowcy, dla których ojczyzną prywatną i ideologiczną jest ich własna partia; kłócą się, targują, walczą o fikcyjne togi, nie zdając sobie sprawy ze stanu duszy w emigracyjnych skupiskach, gdzie nikt o nich nie myśli, ale i nie wie.

Ubolewał nad stanem ducha emigracji w obozach, hostelach, różnych skupiskach, z którego ludzie „walczący o fikcyjne teki” nie zdają sobie nawet sprawy. Tam upada morale, zanika poczucie wspólnoty, następuje rozsypka, atomizacja, rozproszenie się po całym świecie. „Nie ma wewnętrznej, obowiązującej świadomości”. Nadszedł czas „potwornego schamienia i zobojętnienia emigracji”, której skupiska „zapomniane przez nas samych [...] zostały poddane procesowi gnilnemu”<sup>6</sup>.

## Wygnanie jest nieszczęściem

Esejowi zawierającemu diagnozę wystawioną politycznej emigracji pisarza Józef Wittlin dał tytuł *Blaski i nędze wygnania*. Miało to być coś „w rodzaju zarysu fizjologii literatur emigracyjnych”<sup>7</sup>. Klęska, katastrofa, nieszczęście zmusza pisarza do emigracji. A także potrzeba przeciwstawienia się klęsce; z nadzieją zwycięstwa.

Zdaniem Wittlina każdy autentyczny artysta, naprawdę oryginalny, jest cudzoziemcem we własnej ojczyźnie. Znalazłszy się wskutek nieszczęśliwych okoliczności na obczyźnie jako emigrant, jest podwójnym wygnańcem. „Wykorzenie pisarza z ziemi, na której żył [...] w symbiozie z językiem tej ziemi, może być okrutnym gwałtem”<sup>8</sup>. Emigracja polityczna jest przede wszystkim nieszczęściem. Uchodźca znajduje się w nienormalnym czasie. Żyje w dwóch czasach jednocześnie. W teraźniejszości i prze-

<sup>3</sup> Zygmunt Nowakowski, *Emigracja polityczna*, „Ochotniczka” 1946, nr 2.

<sup>4</sup> Zygmunt Nowakowski, *Poloniae adscripti*, „Wiadomości” (Londyn) 1949, nr 45.

<sup>5</sup> Zygmunt Nowakowski, *O czym się nie mówi*, „Wiadomości” 1948, nr 38.

<sup>6</sup> Tamże.

<sup>7</sup> Józef Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Kraków 2000, s. 153.

<sup>8</sup> Tamże, s. 158.

szłości, która emanuje „mgiełką rozrzewnienia”, wywołuje nostalgię za dawnością, prowadzi do zapatrzenia się w nieużyteczne rekwizyty, osłabia zdolność selekcyjonowania wspomnień. Dar introspekcji, który do pewnych granic jest dobrodziejstwem, może być również przekleństwem, bo nie można żyć twórczo i stale wspomnieniami. Pisarz emigrant pozostaje w zaklętym kręgu, gdzie działa wadliwa, ułomna, nienormalna hierarchia wartości. O randze pisarza decydują względy uczuciowe, reguły narodowej estetyki, powstaje „miłe gawędziarstwo” zamiast wielkiej literatury. Wyjście z tego kręgu oznacza wolę tworzenia. Język, tworzywo pisarza, odcięty jest od dopływu ciągle żywych elementów powstających w kraju podczas jego tam nieobecności. Żywą mowę ojczystą poznawać może tylko z drugiej ręki, z lektury krajowej prasy i literatury, a to nie wystarcza, by zapobiec kostnieniu, ubożeniu emigracyjnej wersji języka ojczystego, wystawionego ponadto na – najczęściej niepożądane – wpływy języka kraju, w którym przebywa na wygnaniu.

Człowiekowi dotkniętemu nieszczęściem grozi też pogrążenie się w nim nadmierne, aż do „zasmakowania” w nim. I tak, przed czym Wittlin przestrzega, można „zasmakować” w wygnaniu; z nieszczęścia emigracji politycznej stworzyć sobie religię.

Jak wspomniałem, esej Wittlina ma tytuł *Blaski i nędze wygnania*. Autor zmierza do obiektywnej analizy sytuacji emigranta i wyważenia jej „blasków” i „nędzy”, jej stron nieszczęsnych i stron korzystnych. Szala, na której umieszcza te ostatnie, mimo że coś się na niej znajduje, nie może zrównoważyć się z pierwszą. Pewien przywilej, który się łączy z przebywaniem na wygnaniu, polega na lepszej możliwości spojrzenia z dystansem na ludzką kondycję. Wygnanie nie musi być – jak to widział Emile M. Cioran – szkołą szaleństwa, „może też być szkołą jasnego i przenikliwego patrzenia na świat”<sup>9</sup>. A ciężar samotności może być złagodzony spostrzegawczością, której ona sprzyja, albo wręcz ją umożliwia.

Odczyt *Blaski i nędze wygnania* był próbą uprzedmiotowionej analizy statusu emigranta. Jego uzupełnieniem, w którym Wittlin – jako wygnaniec – ukazuje się bezpośrednio, jest *Widok z okna* napisany w 1955 roku. Obiektywny eseista zmierzający do epickiego dystansu obserwatora i analityka wobec emigracyjnych lamentów w *Widoku z okna* odślania się jak mało kiedy. To już nie esej, czyli próba stawiania pytań i zarysowywania odpowiedzi. To zniewalające szczerością i bardzo pesymistyczne, nostalgiczne wyznanie.

Jest to widok z okna w Montrealu zimą 1955 roku. Stojący w oknie Wittlin – emigrant poddany nastrojowi wywołanemu padającym za oknem śniegiem, który działa magicznie „na wyobraźnię uchodźcy”, jest zupełnie zwrócony w przeszłość. Pamięcią i wyobraźnią cofa się do lwowskich, polskich czasów:

A więc czatuję przy zamarzniętym oknie na zjawy z zaświatów. Emigrant, „bywszy człowiek”, pośród tysięcy „bywszych ludzi” nie chcących czy nie umiejących żyć teraźniejszością. Niejeden z nas stara się przewyciężyć w sobie tę bywsość i czasem to się udaje. Ale częściej – nie. Dla wielu bowiem uchodźców mojego pokolenia obecne życie nie jest i nie może być prawdziwym życiem, mimo że temu lub owemu „powodzi się” nawet lepiej niż w Polsce przed wojną. [...] Znow zaczął padać śnieg [...]. I zasypuje nas ostatnich, najostatniejszych Mohikanów<sup>10</sup>.

<sup>9</sup> Tamże.

<sup>10</sup> Tamże, s. 418.

Gorzki i autoironiczny jest krótki wiersz *Poeta emigracyjny*, w którym Wittlin tak widzi również siebie:

Dziwaczne gusta czyni,  
świat wokół niego robi się coraz bardziej pusty,  
a on na tej pustyni  
wolnymi głosi usta  
pochwałę wolnych ust<sup>11</sup>.

## Przeciw rozpacz

W tonie rozpacz pisał o położeniu pisarza emigracyjnego Emile M. Cioran. Jerzy Giedroyc zamieścił w „Kulturze” jego artykuł *Dogodności i niedogodności wygnania*<sup>12</sup>, zwracając się równocześnie do Witolda Gombrowicza o napisanie do niego komentarza<sup>13</sup>. Gdy go otrzymał, napisał do Gombrowicza: „Pana odpowiedź Cioranowi jest nie tylko świetna, ale w pewien sposób ważna. Zamierzam ją zamieścić w numerze czerwcowym jako artykuł wstępny”<sup>14</sup>.

„Słowa Ciorana zieją piwnicznym chłodem i stęchlizną grobu” – zaczynał Gombrowicz swą polemikę<sup>15</sup>, nie zaprzeczając diagnozie, jaką postawił Cioran literaturze emigracyjnej. Nadał jej jednak zupełnie inny sens. Zwrócił uwagę, że nie tylko na wychodźstwie sztuka ma związek z rozkładem, dekadencją, stanem chorobowym; że ociera się o poniżenie, śmieszność, klęskę. Artyście zawsze towarzyszą niezaspokojone ambicje, naruszające jego harmonię wewnętrzną; zawsze mu grozi klęska. Pozbawienie pisarza zapomóg, łatwego poklasku, wyrozumiałej pobłażliwości, przyjaznego uśmiechu może jednak owocować korzystnie. W przypadku jednostek o ugruntowanej samowiedzy może stać się podniętą dla twórców literatury. W uzyskanej na uchodźstwie swobodzie duchowej pisarz może być bardziej prawdziwy, autentyczny, może być bezwzględny i skuteczniej dążyć do przyszłości. Ale tylko wówczas, gdy okaże się dostatecznie silny, przygotowany do wyzyskania szansy, jaką daje przebywanie na emigracji. Dla silniejszych indywidualności, bogatszych duchowo jednostek, emigracja może być wyjątkową sposobnością, sytuacją wymarzoną.

Gombrowicz podkreślał, że sztuka zawsze zawiera w sobie pierwiastki samotności i samowystarczalności – nie tylko w warunkach emigracyjnych. Prawdziwy twórca jest właściwie cudzoziemcem także u siebie, we własnym kraju. Tylko niewielu pisarzom udaje się naprawdę zaistnieć niezależnie od tego, czy są w kraju czy na emigracji. To nie warunki emigracyjne utrudniają zaistnienie. Sytuacja emigracyjnego pisarza nie jest więc szczególnie wyjątkowa. Jeśli, jak twierdzi Cioran, pisarz oderwany od swego społeczeństwa ginie, to dlatego, że nigdy nie był autentycznym pisarzem – odpowiadał mu Gombrowicz. Dla prawdziwego twórcy zanurzenie w świecie, jakim jest emigracja,

<sup>11</sup> Józef Wittlin, *Poezje*, Warszawa 1997, s. 147.

<sup>12</sup> Emile M. Cioran, *Dogodności i niedogodności wygnania*, „Kultura” 1952, nr 6.

<sup>13</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Kowalczyk, Warszawa 1993, s. 46.

<sup>14</sup> Tamże, s. 48.

<sup>15</sup> Witold Gombrowicz, *Dziela*, t. VII, Kraków 1986, s. 64.

stanowi podniecie dla artystycznej aktywności. Przebywanie poza krajem daje dystans, duchową swobodę, wyjątkową okazję.

Gombrowiczowskiemu spojrzeniu na status emigracyjnego pisarza tym różni się od wizji Ciorana, że autor *Ferdydurke* ma na myśli osobowości silne, talenty niewątpliwe, których utrata ojczyzny nie wtrąca w chaos, a oderwanie się od grupy, środowiska, wiary nie jest równoznaczne z nicością; nadmiar wolności nie wywołuje paraliżu twórczego u tych, którzy są zdolni do pokonania lęku przed nią i uwolnienia się od kurczowego trzymania się przeszłości, od strachu przed wszelką zmianą.

Utrata ojczyzny nie wtrąci w anarchię tylko tego, kto umie sięgnąć głębiej, poza ojczyznę, dla których ojczyzna jest tylko jednym z objawień wiecznego i uniwersalnego życia. Utrata ojczyzny nie zakłóci wewnętrznego porządku jedynie tych, których ojczyzną jest świat<sup>16</sup>.

Gombrowicz przyznawał, że nie jest łatwo być pisarzem na miarę emigracji, bo to jest miara zupełnej prawie samotności, której może towarzyszyć przerażenie własną słabością i ogromem zadań. Cioranowskiej rozpacz, ucieczce od świata w świętek i w parodię przeszłości, przeciwstawiał wysiłek, oswojenie się z nową skalą ludzkiego istnienia i sprostanie jej wymaganiom.

## W świetle doświadczeń Czesława Miłosza

Bliski myśleniu Gombrowicza był Czesław Miłosz. Emigracja była dla niego problemem indywidualnym. Kwestią wierności nie tyle narodowej wspólnocie, narodowym wartościom, ile swemu talentowi, sobie, swej wyjątkowości.

Spełnianie „paktu diabelskiego”<sup>17</sup>, czyli obowiązków dyplomatycznych w służbie rządu Polski Ludowej, pogłębiało wewnętrzną dysharmonię moralną Miłosza, „szczerą wściekłość opromieniała jego rozliczne obowiązki”<sup>18</sup>. Uzyskanie azylu politycznego u władz francuskich na początku 1951 roku wprowadziło go na drogę politycznego emigranta, skazanego na dolę wygnańca z kraju.

Z takim statusem niełatwo się godził. Obce mu było zwłaszcza emigracyjne środowisko londyńskie, które zresztą odpłacało mu pięknym za nadobne: nazywano go „piewą bierutowskiej Polski”<sup>19</sup>, „poputczikiem”<sup>20</sup>, bolszewickim agentem, pozbawionym talentu cynicznym karierowiczem<sup>21</sup>.

Był bez pieniędzy, bez pracy. Honoraria z „Kultury” były skromne, a współpracy z Radiem Wolna Europa podejmować nie chciał, bo mu się nie podobało „bicie w patriotyczny bęben i kropienie święconą wodą”<sup>22</sup>. Sam się zmagał ze swoim upadkiem, jak nazywał dolę uchodźcy, która wymaga „zdrowia konia, witalności aligatora, nerwów

<sup>16</sup> Tamże, s. 66.

<sup>17</sup> Słowa w cudzysłowie za: Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, Paryż 1990, s. 119.

<sup>18</sup> Parafraza fragmentu wiersza Czesława Miłosza *Do Jonatana Swifta*.

<sup>19</sup> Czesław Miłosz, *Abecadło*, Kraków 2001, s. 40.

<sup>20</sup> Zob. Sergiusz Piasecki, *Były poputczik Miłosz*, „Wiadomości” 4 XI 1951.

<sup>21</sup> Zob. Renata Gorczyńska (Ewa Czarnecka), *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze*, Kraków 1992, s. 247–253.

<sup>22</sup> Czesław Miłosz, *Abecadło*, s. 201.

hipopotama<sup>23</sup>. Dopiero w Stanach Zjednoczonych znalazł dobre warunki życia i pracy; odnosił sukcesy, odbierał honory, otrzymywał nagrody.

Uważał siebie za trzykrotnego emigranta. W 1940 roku z Litwy do Warszawy, w 1951 – z Polski do Francji, w 1959 – z Europy do Stanów Zjednoczonych. Uważał, że w każdej z tych emigracji uwalniał się od wiązanych z nim oczekiwań. W tym od polskości, na którą był alergicznie uwrażliwiony. Od polskości, to znaczyło dla niego: od zawiści, towarzyskiego snobizmu, niedemokratycznych stosunków między ludźmi, polskiej „pocziwości”, stereotypów: Polak – patriota – katolik.

Nie podzielał więc emigracyjnych „polskich udęk”, obsesji, kompleksów, urazów, melancholii, nostalgii, skłonności do łatwych sentymentów. Zwracał się ku najszerszym horyzontom, rozległym przestrzeniom (pojmowanym dosłownie i metaforycznie), ku uniwersalnym niepokojom metafizycznym, pozostając wiernym polskiemu językowi.

Wprawdzie na obczyźnie utrudniony jest dopływ świeżej, żywej mowy, nowych idiomów, ale w zamian długi pobyt za granicą sprzyja odkrywaniu niedostrzeganych wcześniej możliwości języka, niuansów znaczeniowych, tonacji wyraźniejszej w stałej opozycji do języka obcego w nowym otoczeniu. Uzyskuje się większą czystość języka, równowagę składni, rytm mowy.

W *Notach o wygnaniu* mówi Miłosz również o rozpaczach pisarza emigranta. Jej źródła widzi w utracie imienia, w anonimowości; w wyjściu ze wspólnoty i poczuciu zupełnego odizolowania. Wreszcie w skrupałach moralnych, w niejednoznaczności etycznej podjętej decyzji, co znalazło odbicie w opiniach o nim.

Udziałem emigranta – według Miłosza – jest też niepokój z powodu znalezienia się w nieznanym otoczeniu, poza własną historią, w obliczu podwójnej lojalności: wobec kraju, z którego się wyszło i względem nowego, obcego otoczenia. A także z poczucia wygnania w sensie geograficznym. Z powodu trudności z psychicznym wkomponowaniem się w nową przestrzeń. Emigrant musi na nowo ustalać swoje strony świata i umieszczać wśród nich własny, nowy punkt orientacyjny. Zdaniem Miłosza zachodzi tu stosunek zależności: między odnalezieniem się pisarza w nowej przestrzeni, a uniwersalnością jego twórczości, czego przykładem może być twórczość Becketta.

Za wolność wewnętrzną emigrant płaci samotnością, która jest stałą jego chorobą. Obcuje on z ludźmi powierzchownie. Staje się mizantropem zamkniętym w swoim świecie, oddzielonym jak przezroczystą szybą od otoczenia. Obserwuje je, ale nie ma z nim kontaktu. Wygnanie więc może niszczyć, ale „jeżeli ciebie nie zniszczy, będziesz dzięki niemu silniejszy”<sup>24</sup>.

## Emigracja jako wyzwanie. Ku trzeciej wartości

W swych pracach naukowych – socjologicznych i psychologicznych – oraz w twórczości literackiej Danuta Mostwin skupia uwagę na poczuciu tożsamości emigranta w Stanach Zjednoczonych. Opracowała schemat pomocny w analizowaniu sytuacji i zachowania się jednostki przeszczepionej na nowy grunt, pozwalający na wnikięcej w jej położe-

<sup>23</sup> Czesław Miłosz, *Rodzinną Europą*, Warszawa 1990, s. 306.

<sup>24</sup> Czesław Miłosz, *Życie na wyspach*, Kraków 1997, s. 81.

nie, na które składa się: poszukiwanie własnej tożsamości, niepowodzenia na tej drodze, niekiedy nawet niemożność odnalezienia samego siebie, niemożność zakorzenienia się duchowego na nowym gruncie, czyli kryzys tożsamości. A po nim, po fazie załamania się – rosnące zainteresowanie własnym dziedzictwem kulturowym, własną tożsamością etniczną, biegnącą – pionowo – poprzez pokolenia i – poziomo – w łączności z ludźmi kulturowo podobnymi.

Tożsamość pojmuje Danuta Mostwin jako odpowiedź na pytanie: Kim jestem? Dochodzenie do odpowiedzi jest procesem dynamicznym i zmiennym, przebiega w interakcji z osobistą i społeczną historią; wyraża potrzeby, pragnienia i dążenia jednostki, a także możliwości ich realizacji.

Tożsamość emigranta to dynamiczna, stała konfrontacja z wartościami otoczenia. W trudnym procesie utrzymywania i potwierdzania swojej tożsamości Danuta Mostwin widzi czynniki wyzwalające energię, źródło siły, która prowadzi do coraz wyższej formy ludzkiej tożsamości, jest „trzecią wartością”.

Dwudziestoletnie z górami obserwowanie, badanie i mierzenie zmian zachodzących w strukturze tożsamości emigranta doprowadziło Danutę Mostwin do fenomenu, który nazwała „trzecią wartością”. Pojęcie to odgrywa w jej badaniach bardzo ważną, jeśli nie najważniejszą rolę. Jest to bowiem opis, diagnoza i zespół wynikających z tego opisu wniosków, wskazówek, postulatów, a nawet nakazów i zobowiązań moralnych.

Tak więc, w przypadku emigranta, pierwsza wartość polega na identyfikacji z wartościami właściwymi krajowi jego pochodzenia; druga – to odejście od emigracyjnej odmienności i identyfikowanie się z wartościami otoczenia, do którego się przybyło. Trzecia wartość jest twórczą syntezą pierwszej i drugiej, powstała nie w wyniku mechanicznego ich scalenia, lecz jako rezultat procesu twórczego, wymagającego dużego wysiłku i prowadzącego do nowych horyzontów, nieobecnych w pierwszej i drugiej wartości traktowanych oddzielnie.

Wartość nazwana przez Danutę Mostwin „trzecią wartością” jest wynikiem konfrontacji dwóch lub więcej przeciwstawnych wartości – wywołanego tą konfrontacją kryzysu, z którego wyjście dokonuje się dzięki twórczym właściwościom ludzkiej psychiki: nie musi się ona załamywać, lecz ma prowadzić ku samopoznaniu, dojrzałości i uspokojeniu.

Wartości odziedziczone i nabyte w błyskawicy aktu twórczego wybuchają nową wartością. Jest to trzecia wartość, wartość nadrzędna – wynik zmagania z naszą dwutorowością, naszym uporczywym szukaniem syntezy. Zdobywając trzecią wartość, stajemy w opozycji dystansu do wartości odziedziczonych i nabytych, a ustawiając na szczycie hierarchii te wartości, które wyrażają troskę o sprawę ogólnoludzką, wstępujemy na wyższy szczebel drabiny ewolucji psychicznej człowieka<sup>25</sup>.

Wnioski i nauki, jakie Danuta Mostwin wyprowadza z własnych prac o statusie emigracji polskiej, mają ułatwić osiągnięcie wyższego poziomu samoświadomości, pomóc w przekuciu kryzysu towarzyszącego nieustannie emigrantowi, jego niepokojowi, jego trudności porozumienia się z nowym otoczeniem w energię psychiczną wyprowadzającą z wewnętrznego rozdarcia, dezintegracji osobowości, poczucia winy, bezradności – ku harmonijnemu działaniu, ku „trzeciej wartości” właśnie.

Wprawdzie u podstaw tezy o „trzeciej wartości” była analiza polskiej emigracji politycznej w Stanach Zjednoczonych, to jednak wnioski przez tę analizę uprawomocnione

<sup>25</sup> Danuta Mostwin, *Trzecia wartość. Wykorzenienie i tożsamość*, Lublin 1991, s. 126.



nie ograniczają się do zmian w tożsamości polskiego emigranta w tym kraju. „Trzecia wartość” jest doświadczeniem uniwersalnym, „gdyż każdy z nas w świecie współczesnym jest poszukującym pielgrzymem, poszukującym być może tej wartości, którą sam może w sobie wytworzyć”<sup>26</sup>.

## O przyczynach emigrowania Polaków – inaczej

Były jeszcze inne powody, które skłaniały Polaków do wydostania się z ojczyzny lub niewracania do niej. Przez całe półwiecze pozostawały one w cieniu przyczyny głównej, której na imię Jałta. Kiedy ustalenia jałtańskie zostały przekreślone, a Polska odzyskała suwerenność, zarysowują się one wyraźniej jako chęć zrzucenia z siebie pęt, które ograniczają rozwój jednostki; przekroczenia granic zniewolenia wyznaczanych przez przynależność do wspólnoty, która liczy na spełnienie jej oczekiwań. Sprawuje duchową kontrolę, ogranicza wolność, próbuje narzucić horyzonty myślenia i twórczości. Dysponuje przy tym sankcjami, przed którymi niejeden się ugnie. Odwołuje się bowiem, często ich nadużywając, do wartości najwyższych: patriotycznych, obywatelskich, religijnych.

W *Traktacie poetyckim* Czesława Miłosza ukazują się nam wielcy literatury polskiej. Mimo swej mocy i talentu nie odnoszą zwycięstwa nad ograniczającymi ich wolność sprzecznościami, które w końcu ich zniewalają. Wybicie się na wielkość i wypłynięcie na szerokie wody, na niezmierzone przestrzenie literatury światowej udaje się tylko Józefowi Conradowi Korzeniowskiemu. Przekroczył on próg, za którym został kapitanem statku na rzece Kongo. Pobiegły za nim ciężkie, potępiające go słowa Elizy Orzeszkowej.

W *Biografii wielkiego Kosmopolaka* pisał o nim Andrzej Bobkowski, że udało mu się to, do czego Gombrowicz zachęcał „naszych pszeniczno-skowronkowych pisarzy”, a co jest uwolnieniem się od Polski, dzięki czemu powstało *Jądro ciemności*, a nie *W pustyni i w puszczy*<sup>27</sup>.

Irytowała go naiwność i łatwowierność rodaków wobec pustych gestów polityków zachodnich, sentymentalne wzruszenia na dźwięk melodii hymnu narodowego, na widok Orła Białego i biało-czerwonego sztandaru. Obawiał się, że w powojennej Polsce, niezależnie od ustroju, jaki w niej zapanuje, dojdzie do głosu „snobskoszlachecki” styl łączący męczeński ton z bufonadą. W powstaniu warszawskim widział „bohaterstwo szaleńca, który rzuca się pod pociąg, by go zatrzymać”<sup>28</sup>.

Po dyskusji z rodakami, w której odpowiedzią na jego punkt widzenia był „patriotyczny wrzask”, Bobkowski notował: „niepodległość, suwerenność, sufraganość, ani tasiemki od gaci, latyfundia i lafiryndy, królikarnia, rozwody, świadome macierzyństwo i kropla mleka. Przekonali mnie. Do niewracania”<sup>29</sup>.

Podobny klimat znajdował w całej powojennej Europie. Również w mentalności zachodnioeuropejskiego intelektualisty. Postanowił więc wyrwać się z „Europalager” – wyjechał do Gwatemali, skąd pisał:

<sup>26</sup> Danuta Mostwin, *Emigranci polscy w USA*, Lublin 1991, s. 203.

<sup>27</sup> Andrzej Bobkowski, *Coco de Oro*, Paryż 1970, s. 247.

<sup>28</sup> Andrzej Bobkowski, *Szkice piórkiem*, Warszawa 1995, s. 531.

<sup>29</sup> Tamże, s. 31.

Jestem nareszcie wolny, tak wolny, iż mogę nawet swobodnie umrzeć z głodu. Pozwola mi. I to jest najwspanialsze uczucie. Intensywnością tego radosnego poczucia i zarazem jego niedorzecznością mierzę stopień przerażającego już „zesklarowania się” człowieka współczesnej Europy<sup>30</sup>.

Czesław Miłosz też w końcu „uciekł” z Europy. Wyemigrowanie z Polski, potem z Francji za ocean przyniosło mu uwolnienie się od polskości, na którą reagował alergicznie. W wyzwalaniu się z „polskich udręk”, potem, na Zachodzie, z melancholii, nostalgii, sentymentów tradycyjnie towarzyszących emigrantowi widział Miłosz drogę ku najszerszym horyzontom, rozległym przestrzeniom, uniwersalnym niepokojom metafizycznym, ku zagadce bytu i istnienia.

W twórczości Witolda Gombrowicza Polak mógł się przejrzeć jak w zwierciadle i zobaczyć w ironicznym świetle własne cechy, które gotów był uznawać za największe cnoty: swą prowincjonalność, niedojrzałość, parafialne horyzonty, pozornie uznawanych przez siebie wartości. Na zarzuty naigrawania się z historii własnego narodu Gombrowicz odpowiadał: „Ja właściwie bronię Polaków przed Polską i usiłuję wywyższać Polaka nad Polskę i sprawić, by przestał on być »skrępowany Polską«”<sup>31</sup>.

Zdawałoby się, że po roku 1989, gdy wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości znikły polityczne przyczyny uzasadniające dalsze trwanie na emigracji, nastąpią liczne powroty do kraju osób o cenionych i znanych nazwiskach. Z różnych powodów tak się nie stało.

Jerzy Giedroyc mimo wielu zaproszeń i otrzymywanych zaszczytów nie chciał Polski odwiedzić, nie mówiąc już o powrocie do niej, by nie narazić się na wplątanie go w polskie gry polityczne. Uważał, że więcej może zrobić dla kraju, pozostając za granicą.

Chętnie natomiast odwiedzał Polskę Gustaw Herling-Grudziński. Świadomie czy niezupełnie świadomie – bo z Neapolu nie wszystko, co w Polsce istotne, można było trafnie przedstawić i ocenić – dopuścił do tego, że jego *Dziennik pisany nocą* stawał się coraz bardziej wyrazem poglądów jednej ze skrajnych opcji politycznych i wywoływał często uwagi krytyczne w różnych kręgach odbiorców, tracąc coraz bardziej na znaczeniu.

Czesław Miłosz wrócił do kraju. Czy wrócił? Wrócił z asekuracją. Trochę był w Krakowie, trochę w Kalifornii. Ale ta kalifornijska asekuracja nie wystarczyła, by być zupełnie wolnym od oczekiwań środowiska, z którym się w Polsce (w Krakowie) związał, o czym świadczyło wywołujące niekiedy zdziwienie udzielanie swego nazwiska dla poparcia inicjatyw politycznych.

W dziesięciolecie odzyskania przez Polskę niepodległości zwierzał się Włodzimierz Odojewski:

Dalej czuję się emigrantem. Są emigracje, z których się nie wraca. Co wcale nie znaczy – że ja tam gdzieś, za granicą, wrosłem. Tam też jestem emigrantem. Bo to kondycja. Oderwanie się od własnej gleby i niemożność wrośnięcia w inną. Na wszystko człowiek patrzy jako trochę obcy, z zewnątrz, z pewnego nawet oddalenia, może nawet chłodniej. Co znów wcale nie znaczy, że jest się obojętniejszym, że różne rzeczy mniej boją, to nie. Przeciwnie, widzi się wszystko niezwykle przenikliwie, czasem aż nie do zniesienia ostro, ma się też często inne

<sup>30</sup> Andrzej Bobkowski, *Coco de Oro*, s. 76–77.

<sup>31</sup> *Listy Witolda Gombrowicza do Józefa Wittlina*, oprac. Wojciech Wyskiel, „Ruch Literacki” 1985, z. 1, s. 45.

zdanie. W Polsce zaś mieć inne zdanie to niebezpieczne. Niekiedy więc o pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć, nie oglądać, nie słuchać, nie czytać. Grozą rozstrojem nerwowym<sup>32</sup>.

Naturalne i zrozumiałe po 1989 roku było zwrócenie się do Polaków przebywających na emigracji z zapytaniem, co myślą o ewentualnym powrocie do kraju. W 1994 roku „Polityka” ogłosiła ankietę *Wracać – nie wracać*. Wśród najciekawszych, najszerzej rozwiniętych i zwracających uwagę swą szczerością była odpowiedź wybitnej pisarki i uczoney mieszkającej w Stanach Zjednoczonych Danuty Mostwin. Przypomniawszy rozpacz, załamanie psychiczne tych, którzy walczyli o Polskę na zachodnich frontach, a po zwycięskiej wojnie dowiedzieli się, że nie mają gdzie wracać, bo decyzje polityczne aliantów oddały ich ojczyznę pod kontrolę Związku Radzieckiego, opowiedziała o sobie i swoich najbliższych:

Tak jak wielu innych wyemigrowaliśmy do Stanów Zjednoczonych. Czy młodzi ludzie w Polsce uwierzą mi, że emigrowaliśmy do Ameryki nie dlatego, „aby się lepiej urządzić”, ale że był to jedyny kraj po Polsce, najbliższy nam ideologią? Porzucając Europę, zabieraliśmy z sobą hasło-sztandar „powrotu do domu”. Nie tylko moi najbliżsi, nie tylko przyjaciele. Wszyscy. Tliła się w nas, stale podsycana, ta rozpaczliwa nadzieja, że jednak... że przecież to niemożliwe, abyśmy nie wrócili. Przez długie lata przy każdym wigilijnym łamaniu się oplatkiem, przy każdym dzieleniu się jajkiem wielkanocnym życzyliśmy sobie powrotu do wolnej Polski. W takiej sytuacji – kiedy hasło ciągle było żywe – nie rozwijały się dobrze korzenie zapuszczane w glebę nowego kraju. Rodziły się i wzrastały dzieci, ucząc się razem z językiem znaku „powrotu”. Uczyły się, nie rozumiejąc znaczenia powrotu do miejsca, w którym nigdy nie były. Żaden dzień nie był pełen bez wspomnienia „a jak wrócimy”, „a kiedy wrócimy”. I później: „jeśli doczekamy powrotu”. Wielu nie doczekało, wielu mogło pojechać do kraju dopiero po kilkudziesięciu latach. Przechowuję plik dokumentów – listów odmownych na prośbę o wizę do kraju. Dopiero w 1987 roku, i to z trudem, otrzymałam wizę do Polski jako profesor uniwersytetu amerykańskiego, zaproszona na konferencję przez Katolicki Uniwersytet w Lublinie. Pojechałam, ale **Nie wróciłam**: przekonałam się, że **Nie Ma Powrotu**. Hasło powtarzane tak długo, z taką tkliwością – straciło blask. „Zeschło” razem z ostatnim kwiatem romantyzmu, który do tej ciekawej dyskusji na łamach „Polityki” przesyłam ze Stanów Zjednoczonych<sup>33</sup>.

Przytoczone słowa pochodzą z 1994 roku. Pisane były w pięciolecie Polski niepodległej. Pięć lat później, notowała:

Czuję nacisk nowej, młodej fali, która mnie, nas spycha. Zostają tylko kliki, popierające się nawzajem. Inni (my!) odpychani, spychani [...].

Moje uczucia patriotyczne pozostały w odruchach, w skurczach mięśni, w otoczkach nerwów, ale już ani nie w intelekcie, ani w myślach, ani w pragnieniach [...].

Nidzie już nie ma domu. Tylko tu, w tym miejscu na Bask Lane. Miejsce, które stworzyliśmy, jest poszerzeniem nas samych, większe *ego*, szersza tożsamość, obejmująca nie tylko psychikę, ale i przyrodę. Jesteśmy otoczeni światem stworzonym naszą iluzją, pływamy w tej chmurze.

I przeszłość... W tej jesteśmy złączeni z historią i narodem, ale obcość, którą czuję w stosunku do obecnej Polski, to przerażające mnie samą nowe inne uczucie do kraju pochodzenia, nie, nie do kraju – do ludzi, do atmosfery<sup>34</sup>.

<sup>32</sup> *Widzę ostro, nie do zniesienia*, rozmowa z Włodzimierzem Odojewskim. Rozmawiał Bronisław Tumilowicz, „Przegląd Tygodniowy” 1999, nr 10.

<sup>33</sup> Danuta Mostwin, „Polityka” 1994, nr 28.

<sup>34</sup> Z archiwum Danuty Mostwin, notatka datowana: 1999.

## Apendyks

### Emigracja – ofiarą zbrodni

Gdy myślimy o emigracji jako o zjawisku ważnym i charakterystycznym dla XX wieku, uwaga nasza kieruje się również ku tym polskim emigrantom, którzy – z różnych powodów, ale najczęściej ze względów politycznych i ideowych – opuszczali Polskę w latach międzywojennych i emigrowali do ZSRR.

Byli to ludzie o radykalnie lewicowej orientacji politycznej, członkowie Komunistycznej Partii Polski i jej sympatycy, którzy ze względu na swoje polityczne przekonania i działalność byli zagrożeni aresztowaniem, procesem sądowym i karą więzienia. KPP była partią nielegalną, przynależność do niej była policyjnie ścigana, toteż polscy komuniści uciekali się często do różnego rodzaju kamuflażu, który ich – do pewnego czasu – chronił przed sankcjami karnymi. A kiedy już groziła im kara, decydowali się na wyemigrowanie do kraju, który traktowali jako ideową ojczyznę; w jej obronie występowali, za co w Polsce narażali się na represje.

Przedostawali się przez wschodnią granicę Polski nielegalnie albo w drodze wymiany więźniów politycznych między Polską a ZSRR. Do tej emigracyjnej społeczności polskiej można też zaliczyć przywódców KPP, którzy po rewolucji październikowej nie wrócili do kraju, pozostali w ZSRR, pełnili w nim ważne funkcje partyjne i państwowe i stamtąd oddziaływali na rewolucyjny ruch w Polsce międzywojennej.

Pierwsza fala aresztowań Polaków (także Rosjan i Ukraińców) zaczęła się w 1933 roku, w wyniku tropienia przez GPU powiązań Polaków z działającą podczas pierwszej wojny światowej i skierowaną przeciw ówczesnej Rosji Polską Organizacją Wojskową (POW). Aresztowanych oskarżano o udział w „ukraińskim centrum POW” i szpiegostwo na rzecz państwa polskiego. Wkrótce powiązania takie „odkrywano” na terenie całego Związku Radzieckiego. „Odkrycia” te wiązano w wizję „polskiego spisku”, polskiej siatki szpiegowskiej, w skład której mieli wchodzić zarówno polscy komuniści (pełniący niekiedy wysokie funkcje w strukturach władzy radzieckiej), jak i niepiśmienni chłopci mieszkający na terenach dawnej Rzeczypospolitej od wieków, a także katolicycy księża. I tak rzekomy „polski spisek” w świetle dochodzeń NKWD, objął niemal wszystkich Polaków zamieszkujących ziemię ZSRR.

Na początku tej pierwszej fali prześladowań Polaków w ZSRR aresztowano około 20 polskich komunistów, którzy w latach dwudziestych ubiegłego wieku wyemigrowali do ZSRR. Byli wśród nich: Jerzy Czeszejko-Sochacki, poseł do Sejmu Polskiego w latach 1926–1927; Tomasz Dąbal, też poseł, w latach 1919–1921, który za agitację antywojenną został w roku 1921 aresztowany przez polskie władze i skazany na 6 lat więzienia. Do ZSRR przybył w 1923 roku, w ramach wymiany więźniów politycznych. Założył polską gazetę, „Trybunę Radziecką”, i był jej naczelnym redaktorem. W grudniu 1936 roku został aresztowany przez NKWD, w sierpniu roku następnego skazany na karę śmierci i rozstrzelany. Szef NKWD Nikołaj Jeżow powoływał się na jego zeznania, gdy w 1937 roku informował Mołotowa i Stalina o wykryciu „szpiegowskiej szajki POW”.

Stanisław Ryszard Stände był w Polsce dwukrotnie aresztowany (w roku 1921 i 1925) za rewolucyjne wystąpienia publiczne, przewożenie nielegalnych druków komunistycznych. Uchodząc przed kolejnym zatrzymaniem przez polską policję, przedostał się do

ZSRR, gdzie wydał parę zbiorów poetyckich, uczestniczył w dyskusjach i polemikach literackich na łamach „Kultury Mas”<sup>35</sup>.

Został aresztowany przez NKWD i skazany na karę śmierci w 1937 roku.

Witold Wandurski, założyciel i dyrektor Sceny Robotniczej w Łodzi, za swoje rewolucyjne przekonania został aresztowany w Polsce w roku 1928. Zwolniony z więzienia, rok później wyjechał do ZSRR. Przez parę lat był dyrektorem Teatru Polskiego w Kijowie. Przygotowywał przedstawienie *Snu srebrnego Salomei*. Aresztowany w Moskwie w 1933 roku, oskarżony o polski nacjonalizm, w roku następnym skazany na karę śmierci i rozstrzelany<sup>36</sup>.

Bruno Jasiński, aresztowany w 1929 roku we Francji za *Pałę Paryż* i powiązania z francuskim ruchem komunistycznym, wydany z tego kraju, przybył statkiem do Leningradu w 1930 roku. Został członkiem WKP(b), redaktorem „Kultury Mas” i miesięcznika „Inostrannaja Litieratura”. Publikował utwory literackie, wśród nich powieść *Człowiek zmienia skórę* utrzymaną w poetyce realizmu socjalistycznego, w języku rosyjskim. W 1937 roku został aresztowany przez NKWD, rok później skazany na śmierć i rozstrzelany<sup>37</sup>.

W tym czasie Nikołaj Jeżow zgromadził wystarczający materiał, by zameldować Stalinowi o wykryciu dużego i szeroko rozgałęzionego, zorganizowanego przez Polaków spisku przeciw ZSRR. Zaangażowani wenieliby być Polacy usytuowani w Komitecie Centralnym WKP(b), w Armii Czerwonej, w organach NKWD, a także „inni przybysze z Polski”.

9 sierpnia 1937 roku Biuro Polityczne WKP(b) zatwierdziło przedstawiony przez Jeżowa rozkaz nr 00485, na mocy którego rozpoczęto „polską operację”. Podpisany pod nim Ludowy Komisarz Spraw Wewnętrznych ZSRR i Komisarz Generalny Bezpieczeństwa Państwowego Nikołaj Jeżow rozkazywał aresztowanie m.in. „uciekierów z Polski, niezależnie od czasu przejścia do ZSRR, emigrantów politycznych i wymienionych z Polską więźniów politycznych”.

„Polska operacja” pojawiała się w procesach NKWD jeszcze w 1939 roku. Końcowe sprawozdanie, datowane na 10 sierpnia 1938 roku, zawierało informację o aresztowaniu 134 519 Polaków<sup>38</sup>.

<sup>35</sup> Zob. Marian Stepien, *Zagadnienia literackie w publicystyce Polonii radzieckiej 1918–1939*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1968.

<sup>36</sup> Zob. Piotr Mitzner, *Widmo POW*, „Karta” 1993, nr 11.

<sup>37</sup> Zob. Piotr Mitzner, *Śmierć futurysty*, „Karta” 1993, nr 11.

<sup>38</sup> Zob. Nikita Pietrow, *Operacja NKWD*, „Karta” 1993, nr 11.

# Emigracja naszego czasu

## O Tymonie Terleckim

Tymona Terleckiego, bardzo czynnego działacza, publicystę, pisarza emigracyjnego, zwłaszcza w pierwszym dziesięcioleciu powojennym, wybuch drugiej wojny światowej zastał we Francji. Tam zgłosił się ochotniczo do Wojska Polskiego i został skierowany do Szkoły Podchorążych w Coetquidan. Po wojnie osiadł w Londynie.

Już przed wojną był znany w życiu kulturalnym, przede wszystkim jako krytyk teatralny i wykładowca Państwowego Instytutu Sztuki, do którego zaprosił go Leon Schiller.

Mimo trudności w korzystaniu z publikacji emigracyjnych, w profesjonalnych kręgach polonistycznych w kraju znane było dobrze jego nazwisko jako redaktora i współautora dwutomowej *Literatury polskiej na obczyźnie (1940–1960)*<sup>1</sup>, z której wielu korzystało. W 1984 roku ukazały się w Warszawie jego *Rzeczy teatralne*, a trzy lata później – również w Warszawie – *Krytyka personalistyczna*. Ważny tom szkiców literackich, *Szukanie równowagi*, wprawdzie nie ukazał się w Polsce, lecz w Londynie, w drugim wydaniu w Oficynie Poetów i Malarzy w 1989 roku<sup>2</sup>, ale było to już w tym czasie, że pojawić się on mógł w krajowych księgarniach. Czytelnicy i „przeglądacze” emigracyjnych czasopism literackich spotykali jego artykuły publicystyczne, w których podejmował ważne zagadnienia z życia powojennych emigrantów polskich, ale dopiero zebranie tych artykułów w tomie *Emigracja naszego czasu* wydanym przez UMCS w Lublinie w 2003 roku pod redakcją Niny Taylor-Terleckiej i Jerzego Święcha<sup>3</sup> ukazuje w pełni mniej znaną, a ważną i układającą się w spójną, logiczną, jeszcze jedną stronę osobowości twórczej autora.

Wiele różnych czynników, zewnętrznych i wewnętrznych, subiektywnych powoduje, że oto ta, a nie inna jednostka, znalazłszy się w trudnych i skomplikowanych okolicznościach, przyjmuje ich wyzwanie, bierze na siebie ciężar sprostania im, wysuwa się na czołowe miejsce w życiu pewnej zbiorowości i spotyka się z jej akceptacją.

W świetle *Emigracji naszego czasu* pojawia się przed nami Tymon Terlecki jako jedna z głównych postaci „niezłomnej i nieprzejednanej” polskiej emigracji, „emigracji walczącej”, „emigracji 1945” (tych nazw wymiennie używał), jako strażnik jej sumienia i honoru, kodyfikator zasad etycznych, a także baczny obserwator i przenikliwy anali-

<sup>1</sup> *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960*, praca zbiorowa wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie pod redakcją Tymona Terleckiego, t. I–II, Londyn 1964–1965.

<sup>2</sup> Tymon Terlecki, *Rzeczy teatralne*, Warszawa 1984; *Krytyka personalistyczna; egzystencjalizm chrześcijański*, Warszawa 1987; *Szukanie równowagi. Szkice literackie i publicystyczne*, wydanie drugie, Londyn 1988.

<sup>3</sup> Tymon Terlecki, *Emigracja naszego czasu*, redakcja Nina Taylor-Terlecka i Jerzy Święch, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2003.

tyk. Również jako działacz polityczny i organizator (był jednym ze współzałożycieli i twórców programu powstałego w 1945 roku Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”).

W tę rolę wchodził już w 1942 roku artykułem *Rzuty do socjologii emigracji*. Nie mógł się jeszcze spodziewać, przed jakimi wyzwaniem stanie trzy lata później. W *Rzutach...* moralizatorski patos, tak obficie wypełniający późniejsze artykuły Terleckiego, jest prawie nieobecny. Górę bierze próba socjologicznego opisu, któremu towarzyszy chęć dodania wygnańcom z kraju otuchy, nadziei, wiary w siebie. Między innymi przez takie porównanie ich do emigrantów polskich powstań XIX wieku, by w uwydatnionych różnicach pojawiły się korzystniejsze strony ich położenia. Podkreślał więc, że współczesna emigracja polityczna jest „państwowa”, ma prezydenta, rząd, Radę Narodową, z czym łączy się zmniejszenie ryzyka, możliwość liczenia na opiekę, na emeryturę. Widział w tym również niebezpieczeństwo demoralizacji, powstawanie kręgu uprzywilejowanych.

Zależnie od sposobu przekraczania polskiej granicy we wrześniu 1939 roku dzielił Terlecki emigrację na „zieloną” (przybyłą przez „zieloną granicę”) i „zmotoryzowaną” (urzędniczą, oczekującą apanaży i opieki państwowej). Pierwsza z nich, przeświadczona o swej ideowej i moralnej wyższości przeciwstawia się drugiej, z czasem jednak zaczyna lgnąć do niej, by również korzystać z opieki państwowej. I tak zwycięża postawa emigracji „zmotoryzowanej”.

Całość emigracji izoluje się od obcego środowiska, jest nieprzenikliwa, zamyka się w emigracyjnym getcie. Ustępuje Wielkiej Emigracji pod względem dynamiki życia ideowego, twórczego nateżenia, co może być usprawiedliwione tym, że jest to „emigracja walcząca” w dosłownym znaczeniu. Toczy się wojna, trwa wysiłek walki. Nic jeszcze nie zapowiadało tego dramatyzmu jej położenia, w jakim znalazła się w 1945 roku, po zakończeniu wojny.

I wówczas Tymon Terlecki okazał się jednym z tych autorów, którzy od razu i najpełniej wyrazili tragiczny zawód, rozpacz, wstrząs moralny; i przejawili wolę i energię duchową w poszukiwaniu podstaw dalszego trwania. I budowania kodeksu etycznego emigranta. U jego źródła był szok psychiczny i wstrząs moralny wywołany decyzjami jałtańskimi.

Poczucie zdrady, jakiej dopuścili się sojusznicy z lat drugiej wojny światowej; doznanie wielkiego narodowego nieszczęścia prowadziło – z jednej strony – do załamania i duchowego rozbrowienia Polaków, a z drugiej – do podejmowania trudnych wysiłków, by temu załamaniu zapobiec.

Tymon Terlecki, zwracając się do „emigracji polskiej 1945 roku”, mówił o „lawinie rozczarowania”, „ogromności wstrząsu”, „gigantycznym kataklizmie”, o pogwałceniu norm moralnych i dokonaniu mordu cywilizacyjnego. Prowadził do moralnego nakazu nieprzerwanej cierpliwości w trwaniu i przetrwaniu.

W grudniu 1945 roku, w przededniu „tułaczkiej Wigilii” pisał, że osiągnięty pokój jest tak gorzki, iż chwilami „nachodzi nas straszliwe zwątpienie, czy o taki pokój warto było bić się i krwawić, i ginąć”<sup>4</sup>. Po upływie dziesięciu lat wspominał samopoczucie polskiego emigranta w pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny: „Lata 1945–1946 były dnem najgłębszym, któregośmy dotknęli, głębszym niż klęska wrześniowa w 1939, niż klęska czerwcowa w 1940. Usuwał się nam wtedy grunt spod nóg, zatrzasnęła się przed

<sup>4</sup> Tymon Terlecki, *Tułacza wigilia*, „Polska Walcząca” (Londyn) 1945, nr 50/51.

nami perspektywa. [...] Nieznani, uciążliwi, niepożądani, byliśmy także rozbrojeni duchowo”<sup>5</sup>.

Tymon Terlecki postrzegał emigrację jako duchową wspólnotę ludzi zjednoczoną w walce o przywrócenie w świecie ładu moralnego, jako „duchową nadprezentację” narodu, która przejmuje odpowiedzialność za Polskę przed opinią światową. Warunkiem spełnienia tej misji jest kierowanie się wysokimi standardami moralnymi. Takie pojmowanie statusu emigranta dyktowało troskę o słowo, patetyczny styl, wysoki, często mentorski ton, sięgnięcie do tradycji romantyzmu.

Nie chodziło o utożsamienie się z Wielką Emigracją XIX wieku, ale o podobieństwo postawy ideowej, ducha patriotyzmu, pamięci o narodowej sprawie i wolę jej służenia. Przywoływał Terlecki słowa Joachima Lelewela o tułactwie jako nieszczęściu, ciężkim doświadczeniu, które jednak człowieka podnosi, wzmacnia jego siły, czyni dzielnym. I takich ludzi chciał widzieć w emigrantach: silnych duchem, zdecydowanych w swym trwaniu, podnoszących swoje kulturalne i zawodowe walory z myślą o tym, że przeniosą je kiedyś do kraju i wzbogacą nimi jego życie. Emigracja polityczna bowiem nie może przeobrazić się w emigrację zarobkową, musi bronić się i utrzymywać wartości ideowe, być „emigracją służby, emigracją walki o naprawę lepszy i naprawę polski porządek w Ojczyźnie, spojona solidarnością wyznawców”<sup>6</sup>.

Z niezadowoleniem przyjmował Terlecki tych, u których decyzję moralną zastąpił „zbieg okoliczności”, strach, wygoda, bierność poddanie się biegowi życia. Krytycznie patrzył na niskie nakłady książek polskich, stan (i brak) szkół polskich; „rozbalowanie [...] wyborami Miss Emigracji”<sup>7</sup>, pustą obrzędowość, używanie „wygasłych tytułów”, roszczenia, których nikt nie zamierza honorować.

Okazało się, że „być Polakiem [...] znaczy być w środku gigantycznego kataklizmu, w samym sercu chłonących wirów”<sup>8</sup>. Za jedną z najpoważniejszych rzeczy, które się stały, najgroźniejszych z punktu widzenia przyszłości Polski uznał Terlecki wypchnięcie jej ze wspólnoty kultury europejskiej. Właśnie: wypchnięcie. Polskę – jego zdaniem – nie tyle zdradzi li sprzymierzeńcy czy „sprzymierzeńcy sprzymierzeńców”, ile kultura zachodnia. Wyrażał uczucie wielkiej goryczy, że żaden pisarz brytyjski nie podniósł głosu w obliczu wielkiej polskiej tragedii. Za najważniejszy nakaz chwili uznał zachowanie jedności emigracji, co było podstawowym warunkiem przetrwania oraz pozostania w kręgu kultury europejskiej, nawet jej samej na przekór.

W przeprowadzeniu paraleli między współczesną a Wielką Emigracją przesuwając też akcenty ku wydobywaniu elementów, które je łączą: wątki ideowe, jakie powinny być podjęte i kontynuowane w zmienionych warunkach. Zwracał też uwagę na korzystniejsze położenie powojennej emigracji: uwierzytelnienie jej w całym cywilizowanym świecie, dokonania zbrojne, honorowe obywatelstwo na obcej ziemi, własna państwowość, a także obecność w wielu krajach rodaków ze starej emigracji, którzy w niejednym przychodzą z pomocą kolejnej fali polskich wygnańców.

<sup>5</sup> Tymon Terlecki, *O „Wiadomościach” bezprzymiotnikowych* [w:] *XXX-lecie „Wiadomości”*, Londyn 1957, s. 48–49.

<sup>6</sup> Kiedy pisał o „naprawę polskim porządku w Ojczyźnie”, Terlecki nie miał na myśli odrzucenia zaprowadzanych w niej reform społecznych, do których nie mogło dojść przed rokiem 1939 wskutek – jak pisał – egoizmu posiadaczy majątków. Uznawał podział ziemi wśród chłopów, władanie przez robotników warsztatami pracy, otwarcie dostępu młodzieży wiejskiej do szkół, upowszechnienie kultury. Por. Tymon Terlecki, *Emigracja naszego czasu*, s. 133–134.

<sup>7</sup> Tamże, s. 84 i 85.

<sup>8</sup> Tamże, s. 29.



Szczególnie chętnie i często przywoływał tradycję Wielkiej Emigracji, by odwołać się do jej duchowej wielkości, wskazać na wzory postępowania, zapobiegać demoralizacji współczesnych emigrantów, uleganiu przez nich codziennej, pomniejszającej ich trywialności, ewoluowaniu od narodu na wygnaniu podczas wojny, przez emigrację polityczną po jej ukończeniu, do emigracji zarobkowej. Podobne treści, w poetyckiej modlitwie ujmowała w tym czasie Zofia Bohdanowiczowa:

Zbędni na obcej ziemi, na własnej ścigani,  
Chodzący całym światem – od granic do granic,  
Don Kichoci wpatrzeni w tajemne miraże.  
[...]  
Panie, który nad nami czynisz cud widoczny  
I w pieśni wielkanocnej przywracasz nam domy  
I krzepisz nas tym cudem – gromadkę zwątpiałą –  
Zedrzyj z nas najstraszliwszą naszą winę – małość<sup>9</sup>!

Spełnionym wzorcem polskiego emigranta politycznego, dumą narodu polskiego było życie, działalność i twórczość Adama Mickiewicza. Przestał być jedynie symbolem, stawał się „w naszych oczach żywym wśród żywych”. Terlecki uważał go za wielkiego patrona współczesnej emigracji. Opracował wybór jego tekstów publicystycznych<sup>10</sup>. Poczesne miejsce zajęły w nim *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*. Dla Terleckiego były one „najdziwniejszym tworem, który jest dziełem sztuki i przedsięwzięciem na wskroś użytkowym, który jest jednocześnie wizjonerstwem i propagandą polityczną, w którym po raz pierwszy zniesieniu ulega granica między twórczością literacką a działaniem bezpośrednim, kształtowaniem życia otaczającego”<sup>11</sup>. Uznał, że *Księgi...* ze względu na główne elementy treści odnoszące się do ówczesnej sytuacji politycznej w Europie, dają się ściśle przymierzyć do życia powojennej polskiej emigracji. „Wstyd powiedzieć – pisał – że my nie zdobyliśmy się na to, by dać je do plecaka każdemu żołnierzowi”<sup>12</sup>.

Od Mickiewicza przejmował Terlecki zadania, jakie stają przed krajem. Wyznaczał mu rolę bierną, z postulatem „zachowania i natężenia ducha narodowego i wyczekiwania na pomyślny obrót koniunktury”<sup>13</sup>. W Mickiewiczu widział prekursora idei integracji Europy, zjednoczenia się jej wolnych narodów.

Nie tylko Terlecki przywoływał Mickiewiczowskie *Księgi...* Były one pierwszym tomem wydanym – jeszcze w Rzymie – przez Instytut Literacki pod kierunkiem Jerzego Giedroycia. Wstęp do nich Gustawa Herlinga-Grudzińskiego<sup>14</sup> był ideowym, politycznym i moralnym programem emigracji. Ksawery Pruszyński wprowadził je do opowiadania *Podrzucona książka*.

Terlecki od Mickiewicza i z *Manifestu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego* przejmował podział zadań między emigracją i kraj, który powinien trwać, zabiegać o zachowanie sił, energii, dóbr wspólnych, powstrzymać się od samobójczego oporu

<sup>9</sup> Zofia Bohdanowiczowa, *Wielkanoc*, „Wiadomości” 1948, nr 13–14.

<sup>10</sup> Adam Mickiewicz, *Słowa do emigracji i słowa do Europy*. Wybór publicystyki, opracował Tymon Terlecki, Londyn 1948.

<sup>11</sup> Tamże, s. VII.

<sup>12</sup> Tamże, s. IX–X.

<sup>13</sup> Tamże, s. XV.

<sup>14</sup> Zob. Gustaw Herling-Grudziński, „*Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego*” na nowej emigracji [w:] *Wyjścia z milczenia*. Szkice, Warszawa 1998.

zbrojnego i otwartej walki politycznej, oczekiwać zwycięstwa sił światowej demokracji nad siłami światowego totalizmu. Emigracja winna przyjąć obowiązek prowadzenia walki w każdej formie, jaka jej będzie dostępna i wywołana przez warunki rozwoju politycznego Europy, do poświęcenia się w walce zbrojnej włącznie, jeśli taka zajdzie okoliczność i potrzeba.

Jeżeli powojenną emigrację nazywał „emigracją walki”, to nie tylko ze względu na jej niedawną żołnierską przeszłość, którą bardzo wysoko cenił (zarówno tę w szeregach II Korpusu, jak i w Armii Krajowej). Walką też nazywał włączanie się w sprawy europejskie, wiązanie losów polskich z losami Europy, stałe pilnowanie, by sprawa polska nie schodziła z porządku dziennego spraw europejskich. „Walka o niepodległość Polski to jednocześnie walka o jej przynależność do europejskiej wspólnoty kulturalnej”<sup>15</sup>.

Wśród słów najczęściej używanych przez Terleckiego jest słowo „moralność”. Dźwiga „cały moralny ciężar klęski”<sup>16</sup>, jest „próbą charakterów [...], próbą moralną dla jednostek i dla zbiorowości”<sup>17</sup>, „Tylko emigracja o określonym standardzie moralnym, o surowej moralnej opinii [...] zdolna spełnić swoje zadanie”<sup>18</sup>, „Polityka musi być moralna”<sup>19</sup>.

Terlecki prezentował się jako surowy Katon stawiający przed emigracją wymagania etyczne. „Jeszcze trochę i zrobi się z niego emigracyjny Sawonarola” – pokpiwał Andrzej Bobkowski w liście do Jerzego Giedroycia<sup>20</sup>. Podobnie Melchior Wańkowicz: „Nie mogę się nigdy zmusić do czytania Terleckiego. Odrzuca mnie pięknoduch, który się zakuł w pancerz. Macha koncertem i śpiewa *Bogurodzicę*”<sup>21</sup>.

Sprawy kultury pozostawały w centrum uwagi Tymona Terleckiego. Pojmował ją – najogólniej rzecz ujmując – w ten sposób: „Kultura w najgłębszej istocie swojej nie jest niczym innym tylko realizacją określonego wcielania ideału w życie”<sup>22</sup>.

O właściwe dla niej miejsce upominał się wielokrotnie. Często, w różny sposób, do tej kwestii powracał. Z kilku powodów. Dlatego, że widział, iż nie ma ona pełnych warunków rozwoju w kraju. Po wtóre – nie była doceniana na emigracji, a „kultura emigracyjna może zaważyć w śmiertelnej rozgrywce o treść kultury polskiej, a zatem o samą polskość”<sup>23</sup>. A „nie można oczekiwać politycznej prężności od wychodźstwa biernego kulturalnie”<sup>24</sup>. Chodziło mu o polskie szkoły, książki, pisma, teatry, ruch artystyczny. W referacie na II Zjeździe Ogólnym „Niepodległości i Demokracji” 14–16 marca 1952 roku pt. *Zagadnienia kulturalne w wyzwolonej Polsce* przedstawił trafną, popartą faktami analizę zmian zachodzących w polskiej kulturze, w polskim życiu kulturalnym w kraju po 1948 roku.

Poza tym – dostrzegał również kryzys kultury na Zachodzie, gdzie panuje zamęt pojęć, zmieniające się oceny poddane są koniunkturze politycznej, w opinii społecznej nie ma dobrej orientacji, którądy przebiega granica między światami Wschodu i Zachodu

<sup>15</sup> Tymon Terlecki, *Emigracja naszego czasu*, s. 244.

<sup>16</sup> Tamże, s. 129.

<sup>17</sup> Tamże, s. 177.

<sup>18</sup> Tamże, s. 134.

<sup>19</sup> Tamże, s. 168.

<sup>20</sup> Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy 1946–1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Jan Zieliński, Warszawa 1997, s. 23.

<sup>21</sup> Jerzy Giedroyc, Melchior Wańkowicz, *Listy 1945–1963*, Warszawa 2000, s. 147.

<sup>22</sup> Tymon Terlecki, *Emigracja naszego czasu*, s. 160.

<sup>23</sup> Tamże, s. 148.

<sup>24</sup> Tamże, s. 214.

w sferze idei, rdzenne wartości kultury zachodniej są rozrywane, podmywane przez eksperyment radziecki.

Wielki zwolennik kultury zachodniej i rzecznik ścisłych związków łączących z nią kulturę polską podkreślał równocześnie, że nie można świadomości narodowej zastępować świadomości europejską, na którą składają się kultury różnych grup narodowych.

Relacjom między kulturą polską i Zachodu poświęcił broszurę *Polska a Zachód. Próba syntezy*<sup>25</sup>. Melchiora Wańkowicza, autora *Międzymorza*, razła jej prozachodnia jednostronność. Dzielił się z Jerzym Giedroyciem wrażeniami z tej lektury: „Szczytem mądrości polskiej jest przedziwnie płytka broszura Terleckiego o zachodniej kulturze i czepianie się idei z »przedmurza«<sup>26</sup>.

O literaturze polskiej powstającej na emigracji Terlecki wypowiadał się bardzo krytycznie. Zaznaczyć wszakże trzeba, że wypowiedzi na ten temat sięgają zaledwie lat pięćdziesiątych. Zatrzymuje uwagę na kondycji samych pisarzy. Jego zdaniem literatura emigracyjna nie uwierzyła w siebie, nie dostrzegła racji własnego istnienia. Cechuje ją nicość moralna i intelektualna. Konieczność utrzymania więzi z krajem sprowadza do wspominkarstwa, do cikliwego sentymentalizmu, co jest – zdaniem Terleckiego – bezwiedną zdradą kraju („Na emigracji w najlepszym razie kwitnie wspominkarstwo, przekładanie zwiedłych wstążek, zasuszonych kwiatków w rodowym sepeciku, pachnącym paczuchą”<sup>27</sup>).

Pisarze emigracyjni mają kompleks niższości wobec literatury krajowej. Cierpią na uraz antypublicystyczny, neurotycznie odmawiają zaangażowania pojmanego personalistycznie w myśl nauk Emanuela Mouniera. Uchylają się od uczestnictwa w toczącym się wokół nich życiu, w „nieprzerwanym trybie odczuć zbiorowych”.

Przykładem pozytywnym literatury zaangażowanej były dla niego *Krzyże i miecze* („Pierwsze wielkie dzieło literatury emigracji politycznej”<sup>28</sup>), *Korzec maku* Kazimierza Wierzyńskiego, eseje Jerzego Stempowskiego (*Dziennik z podróży do Niemiec i Austrii*), wspomnienia Wacława Grubińskiego *Między młotem a sierpem*.

Bronił publicystyki i publicystyczności w dziełach literackich. Powoływał się na elementy publicystyczne w *Boskiej komedii* Dantego, w *Iliadzie*, w komediach Arystofanesa, w pisarstwie Adama Mickiewicza i Georges’a Bernanosa.

Widział i uznawał głęboki związek literatury z polityką. W najlepszym, najszlachetniejszym rozumieniu jednej i drugiej. Występujący tam, gdzie mamy do czynienia z pisarzami odważnymi, odpowiedzialnymi w sumieniu i z politykami wielkiego charakteru, wielkiej wizji i niezachwianej prawości moralnej. Wymieniał Johna Milтона, Adama Mickiewicza, Tadeusza Kościuszkę, Abrahama Lincolna. W tekstach tych autorów znajdował zacieranie się różnic między literaturą piękną a wielką publicystyką polityczną. „Literatura staje się działaniem politycznym, polityka wieńczy się słowem natchnionym, krystalicznie czystym i porywająco wielkim”<sup>29</sup>.

W *Emigracji naszego czasu*, książce zbierającej rozproszone teksty publicystyczne Tymona Terleckiego, jest też zamieszczona *Uchwała Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie* wzywająca autorów emigracyjnych do niepublikowania swych utworów – nowych i dawniejszych – w wydawnictwach krajowych. Terlecki był jednym z inspiro-

<sup>25</sup> Londyn 1947.

<sup>26</sup> Jerzy Giedroyc, Melchior Wańkowicz, *Listy...*, s. 214.

<sup>27</sup> Tymon Terlecki, *Emigracja naszego czasu*, s. 177.

<sup>28</sup> Tamże, s. 201.

<sup>29</sup> Tamże, s. 169.

rów tej uchwały i autorów nadających jej taki kształt, którego istotne elementy były znane i wielokrotnie przytaczane; tu jednak otrzymujemy oficjalną, pełną jej wersję.

Uchwały tej, kontrowersyjnej, podpisanej przez wielu, ale również przez wielu i to wybitnych twórców krytykowanej, Terlecki bronił konsekwentnie. Dla niego była ona aktem samookreślenia się emigracji i jasnym zajęciem stanowiska wobec polskiej rzeczywistości politycznej. Niedwuznaczna i bezkompromisowa pełniła – w intencji i interpretacji Terleckiego – funkcję papierka lakmusowego ujawniającego rzeczywiste postawy pisarzy emigracyjnych. „Emigracja nie jest przywilejem. Jest określoną postawą obejmującą całego człowieka. Jeśli całego człowieka – to także pisarza w człowieku”<sup>30</sup>.

Już w 1947 roku, gdy tę uchwałę podjęto, jej przyjęcie przez emigracyjne środowisko literackie ujawniło różnorodność opinii jego reprezentantów. Pisał o niej krytycznie np. Gustaw Herling-Grudziński, dystansował się do niej Witold Gombrowicz, a Jerzy Stempowski w liście do Giedroycia z 21 marca 1947 roku komentował: „Taktyka »Wiadomości« londyńskich z Zahorską i Terleckim okazała się chybiona i w kraju wywołała bardzo nieprzychylnie komentarze w łonie tamtejszej opozycji”<sup>31</sup>.

Uchwała, która od jej narodzin spotykała się z ambiwalentnym przyjęciem wśród pisarzy emigracyjnych, wywołała jeszcze większą falę krytyki, gdy została przypomniana, potwierdzona w niespełna dziesięć lat później, kiedy Polska znalazła się w klimacie ożywionych dyskusji i nadziei w październiku 1956 roku, a grupa pisarzy mieszkających w kraju wystosowała do kolegów emigrantów zaproszenie do spotkania i wspólnej rozmowy.

Od pewnego już czasu, od paru lat hegemonia londyńskiego środowiska w życiu polskiej emigracji ulegała osłabieniu, tym samym pozycja Tymona Terleckiego. Jeden z głównych jej ideologów w pierwszym powojennym dziesięcioleciu teraz doznawał porażki i niepowodzeń. Juliusz Mieroszewski, komentując klimat, dyskusje i spory w londyńskim środowisku literackim, informował Jerzego Giedroycia o „zupełnej klęsce Terleckiego”<sup>32</sup>, o tym, że „Terlecki jest zupełnie wykołowany, chce się podać do dymisji”<sup>33</sup>.

Istotnie, Terlecki teraz wycofywał się z polityki, z działalności publicystycznej dotyczącej spraw emigracji. Londyn, do tej pory główny ośrodek opiniotwórczy, ustępował pola Paryżowi, gdzie działał Jerzy Giedroyc, Instytut Literacki, ukazywała się „Kultura”. Terlecki miał poczucie kończenia się jego misji wobec przemian zachodzących w łonie polskiej emigracji politycznej, której rozwój zwrócił się w innym kierunku, niż to przewidywał i sobie by życzył. Pogodzony z rzeczywistością rezygnuje z aspirowania do duchowego przywództwa, pozostaje jako wnikliwy jej obserwator analizujący zachodzące w niej procesy.

W *Rozważaniach o emigracji* napisanych w 1958 roku stwierdzał odchodzenie jej od wzniosłości, która ją charakteryzowała zaraz po 1945 roku. Gdy nie zdawano sobie jeszcze dobrze sprawy, jakie czekają ją trudności, które spowodują odchodzenie od tego, co wielkie, patetyczne, podniosłe, odwołujące się do narodowych i moralnych imponderabiliów.

Po wielkim szoku w 1945 roku, po decyzjach jałtańskich, następowało oswajanie się z obczyzną, o swoje prawa upomniwała się życiowa codzienność. Następowało wrastanie w obcą głębę. Był to proces nieunikniony, ale i bolesny. Pozostawił trwałe ślady na psy-

<sup>30</sup> Tamże, s. 206.

<sup>31</sup> Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, część druga, Warszawa 1998, s. 29.

<sup>32</sup> Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, część druga, Warszawa 1999, s. 474.

<sup>33</sup> Tamże, s. 480.

chice, a nawet fizjonomii Polaka emigranta: „Przez dziesięć lat chwytałem się na tym i chwytałem do dzisiaj, że w wielomilionowym mieście [...] drgnieniem instynktu, jakimś tajnym zmysłem poznaję Polaków. Często wiem, że i oni poznają we mnie Polaka”<sup>34</sup>.

Można i warto by napisać – zdaniem Terleckiego – *Psychopatologię emigracji politycznej*, ukazać rozdwojenie jej jaźni, rodzaj zbiorowej schizofrenii polegającej na pomieszaniu realności i snu. Realnością dla emigranta pozostaje nadal, mimo upływu lat, kraj pochodzenia, kraj tęsknot i marzeń. Snem, złym snem – rzeczywistość kraju osiedlenia, w którym przebywa się na co dzień, z całą jej realnością. Potrzebna jest więc odpowiednia terapia, która by przywróciła naturalne relacje między tym, co rzeczywiste, a tym, co naprawdę jest snem tylko i marzeniem.

Do wyczerpywania się cierpliwości w emigracyjnym trwaniu odnosił się Terlecki ze zrozumieniem, ale dodawał, że nie wydaje się ono w pełni usprawiedliwione. Interesujące, że owo załamane cierpliwości, postawę znużenia, chęć odejścia od wzniosłego etosu ku innemu statusowi normalnego życia łączył Terlecki z wpływem polskiego Października 1956 roku. Wpływem tym większym, że nastąpił on w czasie coraz wyraźniejszego dochodzenia do głosu sprzeczności wewnątrzemigracyjnych, w tym również zderzenia pokoleniowego. Generacji dorastającej na obczyźnie z pokoleniem jej rodziców, czego wyrazem – Terlecki o tym nie pisze, lecz jego diagnoza to potwierdza – było pojawienie się grupy „Kontynenty” i tom poezji *Ryby na piasku*. O napisanie promocyjnego wstępu do niego młodzi poeci emigracyjni zwrócili się nie do któregoś z poetów emigrantów, lecz do... Juliana Przybosia<sup>35</sup>.

W różnorodności reakcji na polski Październik widział Terlecki potwierdzenie kryzysu zaufania emigrantów do londyńskiego przywództwa, a także skutki ich rozproszenia się po całym świecie, dezintegracji ideowej, neurozy kompensacyjnej, chęci zaprezentowania się Warszawie jako „dobrych”, tych „lepszyc” emigrantów.

W lekceważeniu twórczości kulturalnej, dzięki której dziewiętnastowieczna emigracja zapewniła sobie wieczne przetrwanie w dziełach poetów i zyskała przydomek „Wielka”, upatrywał Terlecki przyczyny pogłębienia się niekorzystnych zmian w środowisku emigracyjnym. Miarą goryczy doznawanej przez niego może być to, że oto on, który w latach czterdziestych wysunął się na czołowe miejsce wśród kodyfikatorów i strażników emigracyjnego etosu, po upływie dziesięciu lat musiał napisać: „Być może, iż [...] emigracja 1945 zyska sobie przydomek »mała«”<sup>36</sup>.

Reakcja na Październik, na związane z nim wydarzenia, wywołane przezeń złudzenia ujawniła – w przekonaniu Terleckiego – że nie ma emigracyjnej samowiedzy, że nie wszyscy utrzymali w pamięci pierwotny impuls sprzeciwu, który inicjował akt świadomości i woli, był sprawą racji moralnych. A tylko pamięć o nim, nawroty do niego warunkują opór przed powszedniością. Emigracyjne spory o pojmowanie Października 1956 roku podyktowały Terleckiemu słowa: „Wołać, że naród jest wolny i siedzieć na emigracji wydaje się sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, może nawet ze zwykłą przyzwoitością”<sup>37</sup>.

Bez złudzeń widział kryzys emigracji tak pojętej, jaką sam chciał ją utrzymać. Zdawał sobie sprawę z jej, a więc i własnej, osobistej porażki, by nie powiedzieć: klęski;

<sup>34</sup> Tymon Terlecki, *Emigracja naszego czasu*, s. 80.

<sup>35</sup> *Ryby na piasku*, antologia wierszy poetów „londyńskich” pod redakcją Adama Czerniawskiego ze słowem wstępnym Juliana Przybosia, Londyn 1965.

<sup>36</sup> Tymon Terlecki, *Emigracja naszego czasu*, s. 87.

<sup>37</sup> Tamże, s. 92.

z jej i własnej przegranej. Ale daleko mu było do pogodzenia się z nią i utratą wiary w sens swoich wieloletnich wysiłków:

Emigracja nie jest rzeczą wzniosłą. Jest rzeczą trudną. Jest ciągłym szukaniem równowagi w położeniu psychologicznie eksponowanym. Jest walką z urojeniami i pokusami łatwizny. Być może kres jej zadań jest bliski, stoi za węglem. Być może znajduje się poza granicą życia ostatnich z naszego pokolenia. To w niczym nie narusza istoty emigracji, nie odbiera jej sensu. [...] Emigracja póty żyje, póki walczy, póki działa. Aby żyć, musi działać i walczyć. Musi walczyć także z sobą o samą siebie<sup>38</sup>.

---

<sup>38</sup> Tamże, s. 94.

## Próba periodyzacji polskiego życia literackiego po 1939 roku

Jednym z następstw drugiej wojny światowej okazał się podział polskiego życia literackiego na dwa różne, a równie ważne nurty: krajowy i emigracyjny. Nowy porządek polityczny w powojennej Europie ustanowiony przez trzy mocarstwa na konferencji jałtańskiej w 1945 roku sprawił, że te dwa nurty rozwijały się w zupełnie innych warunkach. Ale nie były od siebie izolowane. Przepaść polityczna dzieliła kraj od emigracji. Nie było jednak takiego momentu, w którym zupełnemu zwiędnięciu uległyby kontakty między literaturą krajową i emigracyjną, między krajowym i emigracyjnym życiem literackim. Były pod tym względem lata lepsze i gorsze. Przeszkody utrudniające wzajemne zbliżenie pojawiały się nie tylko po jednej stronie. Oczywiście wyższe i groźniejsze bariery wznosiły władze krajowe. Nigdy jednak ich wysiłki w tym zakresie nie były – na szczęście – całkowicie skuteczne.

Czas istnienia emigracyjnego życia literackiego od wybuchu drugiej wojny światowej do 1989 roku można podzielić na pięć okresów.

Pierwszy z nich – to lata wojny i niemieckiej okupacji na polskich terenach przyłączonych do Rzeszy Niemieckiej i w Generalnym Gubernatorstwie, a radzieckiej – do czerwca 1941 roku – na wschodnich terenach. I tworzenie się pierwszych ośrodków emigracyjnego życia literackiego najpierw we Francji, a po jej kapitulacji – w Anglii i w obu Amerykach.

Okres drugi – to pierwsze powojenne dziesięciolecie: 1945–1955. Cięży na nim wielka gorycz rozczarowania, poczucie zdrady, jakiej wobec Polski dopuściły się zachodnie mocarstwa, klęski spowodowanej przez układy jałtańskie, bardziej dramatycznej i przyniatającej niż klęska wrześniowa w 1939 roku.

Okres trzeci obejmuje lata 1956–1968. Jego początek charakteryzuje się wzrostem nadziei na korzystne zmiany w kraju. Sprzyja ona tej orientacji w łonie emigracyjnych środowisk literackich, która chciałaby się do niego zbliżyć, niektóre jego reformy uznać za pożyteczne i nieodwracalne. W miarę upływu lat i kolejnych wydarzeń politycznych w Polsce w latach 1967–1968–1970 ożywione wcześniej nadzieje szybko słabną i bliższe są zaniknięcia.

Okres czwarty, lata 1968–1981, przynosi nową falę emigracji. Głównie Polaków żydowskiego pochodzenia. Wśród nich – wielu ludzi pióra. Wnoszą oni do emigracyjnego życia literackiego nową problematykę. Sytuacja polityczna w kraju, kolejne decyzje władz wywołują opór, którego jednym z przejawów jest pojawienie się tzw. drugiego obiegu wydawniczego. Dzięki niemu także literatura emigracyjna wpływa do kraju jak nigdy przedtem.

Okres piąty: po 13 grudnia 1981 roku do czerwca 1989. Wprowadzenie stanu wojennego wywołuje nową falę emigracji politycznej związanej z „Solidarnością”. Jej członkowie tworzą nowe (i liczne) ośrodki życia literackiego na Zachodzie. Koniec tego okresu przynosi wyzwolenie się z systemu totalitarnego w Polsce, budowanie demokracji parlamentarnej, zniesienie cenzury, odzyskanie niepodległości polskiego państwa. Wygasają więc źródła, przyczyny tworzenia się i działania ośrodków emigracyjnego życia literackiego. Czy więc koniec okresu piątego jest równocześnie końcem emigracji? Co po roku 1989?

A oto bliższa charakterystyka każdego z wymienionych okresów.

## I. Lata wojny

W momencie wybuchu drugiej wojny światowej niektórzy pisarze znajdowali się za granicą i już do kraju nie wrócili: Andrzej Bobkowski, Witold Gombrowicz, Aleksander Janta, Jan Lechoń, Józef Wittlin – by wymienić nazwiska najwybitniejsze. Wielu uchodziło przed niemieckim i radzieckim agresorem we wrześniu 1939 roku do Rumunii, na Węgry, a stamtąd przedostawało się do Francji, gdzie natychmiast przystępowało do organizowania życia kulturalnego, wydawania periodyków społeczno-kulturalnych i literackich, powoływania ośrodków naukowych.

Tak uszli z zajmowanej przez okupanta ojczyzny: Stanisław Baliński, Marian Hemar, Maria Jasnorzewska-Pawlikowska, Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, by wspomnieć tylko bardziej znanych. Tam, gdzie się znaleźli, najpierw w Paryżu, po upadku Francji w Londynie, Nowym Jorku i Rio de Janeiro – tworzyli tkankę polskiego życia literackiego oraz kontynuowali własną twórczość. Najważniejsze emigracyjne ośrodki (po krótkotrwałym ich istnieniu w Paryżu) powstały w Londynie i w Nowym Jorku. W pierwszym z tych miast zaczęły się ukazywać „Wiadomości Polskie” (później „Wiadomości”) redagowane przez Mieczysława Grydzewskiego, a w Nowym Jorku – „Tygodnik Polski” pod redakcją Jana Lechonia. Wokół tych pism utworzyły się ośrodki emigracyjnego życia literackiego zbliżone do siebie wspólną tradycją i poglądami ideowo-politycznymi.

Część polskich pisarzy, skupionych głównie we Lwowie, gdzie się chronili przed Niemcami, dostała się pod okupację radziecką. (Niektórzy podjęli współpracę z władzami radzieckimi). Wielu z nich aresztowano, osadzono na wiele lat w więzieniach, wywieziono w głąb Związku Radzieckiego do obozów pracy lub osiedlono w kołchozach dalekich azjatyckich republik.

W 1942 roku doszło do podpisania porozumienia między polskim rządem emigracyjnym w Londynie a rządem Związku Radzieckiego. Na jego podstawie wielu Polaków przebywających w więzieniach i obozach pracy zostało uwolnionych. Wstępowali oni do polskiej armii, którą w Związku Radzieckim organizował generał Władysław Anders. W oddziałach wojskowych wyszli na Bliski Wschód, potem dalej do północnej Afryki i do Europy, walcząc z Niemcami. Wśród nich była spora grupa ludzi pióra, którzy później zostali pisarzami emigracyjnymi.

Literaturę polską, która w czasie wojny rozwijała się poza krajem, można podzielić na kilka głównych kręgów tematycznych. W pierwszym kręgu była przede wszystkim



liryka patriotyczna wyrażająca ból, cierpienie i rozpacz spowodowaną klęską wrześniową. Lirykę tę tworzyli głównie pisarze starszego pokolenia, niebiorący bezpośredniego udziału w wydarzeniach frontowych. Poczuli się oni spadkobiercami i kontynuatorami wielkiej tradycji polskiej emigracji XIX wieku, po upadku powstania listopadowego. W ich utworach, komponowanych według tradycyjnych zasad wersyfikacyjnych, obecne były liczne aluzje do sytuacji dziewiętnastowiecznych emigrantów opisanych przez poetów romantycznych. Zwłaszcza do Mickiewiczowskiej trzeciej części *Dziadów* i do *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*.

W tym kręgu mieściły się utwory poetyckie Stanisława Balińskiego, Jana Lechonia, Juliana Tuwima, Józefa Wittlina, Kazimierza Wierzyńskiego.

Drugi krąg tematyczny tworzyła poezja i proza, która towarzyszyła polskim żołnierzom na różnych frontach drugiej wojny światowej. Twórczość ta dodawała otuchy żołnierzom, podtrzymywała ich wolę walki, budziła optymizm i wiarę w ostateczne zwycięstwo, a także dawała świadectwo codziennych przeżyć żołnierza, wyrażała jego tęsknotę do rodzinnego domu i bliskich, jego marzenia i niedole. Odwoływała się do przeżyć zbiorowych. Unikała tonów rozpacz i klęski. Była podporządkowana celowi nadrzędnemu: skutecznej walce z wrogiem, który napadł na ojczysty kraj i odebrał mu wolność. Była to literatura często przez żołnierza polskiego tworzona: przez m.in. Jana Bielatowicza, Władysława Broniewskiego, Arkadego Fiedlera, Janusza Meissnera, Ksawerego Pruszyńskiego, Melchiora Wańkowicza.

W latach wojny dojrzał jeszcze inny krąg tematyczny. Miał się w pełni ujawnić w druku dopiero za kilka lat, ale już teraz gromadziły się niezwykle silne doświadczenia, które będą domagały się wyrazu. To przeżycia Polaków w stalinowskich obozach pracy, więzieniach, w różnych miejscach zsyłki. Ten nurt tematyczny będzie dokumentowany książkami przez wiele lat, ale źródło swoje ma w latach wojny, w czasie przebywania w radzieckiej niewoli.

Wszystkim autorom, którzy tworzyli dzieła literackie w latach wojny, nawet tym, którzy pisali teksty pełne rozpacz i przygnębienia, towarzyszyła mniej lub bardziej bezpośrednio wyrażana nadzieja, że na końcu trudnej drogi będzie zwycięstwo nad niemieckim faszyzmem i szczęśliwy powrót do wolnej ojczyzny. Historia jednak potoczyła się zupełnie innymi drogami. Inaczej niż okupowane kraje Europy Zachodniej Polska nie powróciła do stanu sprzed września 1939 roku. W konsekwencji układów jałtańskich utraciła znaczną część swych terytoriów, suwerenność i znalazła się pod kontrolą Związku Radzieckiego.

Polscy pisarze emigracyjni przyjęli to jako straszliwy cios, który spowodował u jednego z nich silniejsze załamanie niż klęska wrześniowa, bo po niej było miejsce na nadzieję, która teraz zaczęła się rozwiewać. Przyjęli to też jako akt zdrady ze strony sojuszników: Anglii i Stanów Zjednoczonych. Zakończenie drugiej wojny światowej nie przyniosło więc – jak wcześniej oczekiwano – końca emigracyjnej egzystencji. Przeciwnie – otworzyło jej nową, odmienną, a może wprost właściwą fazę w rozwoju polskiego życia literackiego na obczyźnie.

## II. Lata 1945–1955

W takiej sytuacji wielu pisarzy polskich przebywających za granicą uznało, że nie jest możliwy ich powrót do kraju, który nadal pozostaje – tym razem w radzieckiej – niewoli. Za swój obowiązek przyjęli głoszenie wolnego słowa, które nie może rozlegać się w ojczyźnie; i nieustanne upominanie się o prawo polskiego narodu do niepodległości. Nie zgadzali się z oddaniem polskich ziem wschodnich Związkowi Radzieckiemu. Uznawali prawo Polski do uzyskanych po wojnie terytoriów na zachodzie i północy. Energicznie protestowali, gdy w 1946 roku Churchill w Fulton, a później Byrnes w Stuttgarcie wspominali, że polska granica zachodnia nie jest jeszcze ostatecznie rozstrzygnięta.

Nie uznawali władz polskich powstałych w 1944 roku w Lublinie, później rezydujących w Warszawie. Wierzyli, że prędzej czy później dojdzie do ostrego konfliktu między państwami zachodnimi a Związkiem Radzieckim i w jego wyniku ulegnie zmianie położenie Polski. Odzyska ona niepodległość.

Pisarze polscy rozproszyli się po całym świecie. We Włoszech był Gustaw Herling-Grudziński, w Niemczech Zachodnich Tadeusz Nowakowski i Józef Mackiewicz, w Hiszpanii Józef Łobodowski, w Kanadzie Waław Iwaniuk, w Australii Andrzej Chciuk, w Argentynie Witold Gombrowicz i Czesław Straszewicz.

Najważniejsze, najliczniejsze i najbardziej wpływowe emigracyjne środowiska literackie pierwszego powojennego dziesięciolecia to Londyn, Nowy Jork, Paryż. W tej właśnie kolejności.

W Londynie wychodził najważniejszy wówczas periodyk literacki, „Wiadomości”. Tu też w 1945 roku powstał Związek Polskich Pisarzy na Obczyźnie. Jego członkowie przyjęli uchwałę, która zabraniała pisarzom emigracyjnym publikowania swych utworów (dawnych i nowych) w Polsce. Chociaż nie wszyscy twórcy literatury podzielali słuszność takiego postanowienia, to jednak presja moralna środowiska była bardzo silna. Zakaz także obejmował wyjazdy do Polski. Wyłamujący się z niego Aleksander Janta, który chciał na własne oczy zobaczyć Polskę w powojennych ruinach, przypłacił to wieloletnim ostracyzmem, złą milczeniem wokół jego twórczości i usuwaniem jego książek z emigracyjnych księgarń i bibliotek.

Trzon nowojorskiego środowiska literackiego stanowili Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin i Jan Lechoń, który redagował i wydawał „Tygodnik Polski”. W Rzymie zaczynała ukazywać się „Kultura” pod redakcją Jerzego Giedroycia, przeniesiona wkrótce do Paryża, ale jej znaczenie miało się dopiero ujawnić i rozwinąć w następnym okresie.

Do ważniejszych zjawisk poetyckich tego czasu należą wiersze Jana Lechońa ze zbioru *Aria z kurantem* oraz dwa tomy poezji Kazimierza Wierzyńskiego: *Korzec maku* i *Siedem podków*, a także jego *Życie Chopina* adresowane przede wszystkim do odbiorcy amerykańskiego.

W prozie literackiej na pierwsze miejsce wysuwa się seria książek, często o podłożu autobiograficznym, których autorzy opisali przeżycia Polaków w Związku Radzieckim po wrześniu 1939 roku. Czołowe miejsce zajął tu *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego wydany w Londynie w 1949 roku z przedmową Bertranda Russella.

Wśród nurtów tematycznych prozy emigracyjnej pierwszego dziesięciolecia zwraca też uwagę literacki przekaz o doświadczeniach Polaków wyzwolonych z hitlerowskich obozów koncentracyjnych zamienionych następnie na obozy tzw. dipisów (DP – *displaced persons*, ludzie bez określonego miejsca na świecie, bez obywatelstwa, oczekujący

na jakieś rozwiązanie swojej sytuacji stworzonej przez wojnę). Najważniejszy utwór, w którym został podjęty ten temat, to *Obóz Wszystkich Świętych* Tadeusza Nowakowskiego.

Analizę i opis wewnętrznego życia środowisk emigracyjnych rozpoczynały wówczas dwie autorki wydanych w latach czterdziestych powieści: Danuta Mostwin w *Domu starej lady* i Maria Kuncewiczowa w *Zmowie obojętnych*.

W roku 1953 ukazało się jedno z arcydzieł prozy emigracyjnej – powieść Witolda Gombrowicza *Trans-Atlantyk*, bardzo źle przyjęta przez emigracyjną opinię literacką, gdyż była zwierciadłem, w którym Polacy, a zwłaszcza Polacy emigranci zobaczyli swoje prawdziwe oblicze: prowincjonalność i niedojrzałość, własne kompleksy, do których woleliby się nie przyznawać, pozorny charakter uznawanych przez nich wielkości.

Ważnym zdarzeniem na początku lat pięćdziesiątych była decyzja Czesława Miłosza przyjęcia azylu politycznego na Zachodzie, dotychczasowego dyplomaty w służbie rządu warszawskiego. Właśnie za tę służbę został on bardzo źle przyjęty przez środowiska emigracyjne, zwłaszcza londyńskie i nowojorskie. Jego pierwszy wydany na emigracji w 1953 roku zbiór wierszy miał znamienity tytuł: *Światło dzienne*. Zawierał utwory, które z powodu kontroli cenzury nie mogły ujrzeć światła dziennego w Polsce.

W tym samym roku Czesław Miłosz opublikował w Paryżu *Zniewolony umysł*, w którym na przykładzie kilku wybranych biografii polskich autorów ukazywał mechanizmy psychologiczne prowadzące – w warunkach stalinowskiego totalitaryzmu – do rezygnacji z własnej autentyczności i pogodzenia się z ograniczeniem śmiałości myśli i własnego talentu.

*Trans-Atlantyk* Witolda Gombrowicza i *Zniewolony umysł* Czesława Miłosza otwierały bardzo ważną dla polskiej literatury (nie tylko emigracyjnej) serię wydawniczą Biblioteka „Kultura”. W połowie lat pięćdziesiątych środowisko londyńskie traci hegemonię w literackim i intelektualnym życiu emigracyjnym. Jego centrum przemieszcza się teraz do Paryża i skupia wokół miesięcznika „Kultura” redagowanego przez Jerzego Giedroycia.

### III. Lata 1956–1968

W porównaniu z orientacją, której wyrazem była paryska „Kultura”, środowisko londyńskie było bardziej konserwatywne i bardziej nieprzejednane w swej wrogości wobec wszystkiego, co dokonywało się w Polsce. Jego ideowy i polityczny światopogląd nie dopuszczał do takiego poruszenia myśli, emocji, które by wprowadziły jakieś korektury do myślenia o Polsce współczesnej i o relacji między nią a emigracją. Toteż wewnątrz środowiska londyńskiego zaczynały się pojawiać krytyczne głosy o ograniczonych horyzontach emigracji. W połowie lat pięćdziesiątych pojawiają się oznaki kryzysu tej ideologii, która dominowała w londyńskim i nowojorskim kręgu emigracyjnym.

Jeden z takich sygnałów zaznaczył się przy okazji uchwały Walnego Zjazdu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z października 1956 roku. Uchwała ta przypominała postanowienie z 1947 roku o niepublikowaniu utworów w wydawnictwach krajowych i uznawała je za nadal aktualne i obowiązujące członków związku. Postanowienie to dziesięć lat wcześniej respektowane było przez znaczną większość pisarzy emigracyj-

nych, ale teraz, w 1956 roku wydawało się już anachroniczne, tym bardziej że w Polsce w tym czasie zachodziły ważne wydarzenia budzące uzasadnione nadzieje na rozwój kraju w bardziej pomyślnym kierunku, ku rozszerzeniu demokracji i suwerenności. Ówczesna sytuacja polityczna w Polsce i na świecie sprzyjała raczej zbliżeniu między emigracją a krajem, a nie pogłębianiu izolacji. Toteż na 113 zarejestrowanych członków związku, za wspomnią uchwałą opowiedziało się zaledwie 23, a i z nich niektórzy zmienili swoje stanowisko i pośrednio uznali błędność swej decyzji i zaczęli publikować w Polsce swoje utwory. Przeciwko uchwale głosowało wielu wybitnych pisarzy emigracyjnych, a w odpowiedzi na ankietę „Kultury” rozpisanej w tej sprawie pojawiły się ostre sformułowania na temat uchwały. Bardzo stanowczo zareagował przeciw niej Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski nazwał ją „niepokojącym świadectwem izolacjonizmu”, Czesław Miłosz stwierdził, że pozostaje ona „w rażącej dysproporcji do wydarzeń w Polsce i na świecie”, a czołowy publicysta „Kultury” Juliusz Mieroszewski uznał ją za antypolską i na znak protestu wystąpił ze Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Drugim sygnałem ujawniającym wewnątrzemigracyjny ferment ideowy prowadzący do rewizji zastanych poglądów i postaw było pojawienie się w Londynie w drugiej połowie lat pięćdziesiątych ruchu młodych twórców, przedstawicieli pokolenia, które w wieku dziecięcym znalazło się na obcej ziemi, a teraz bardzo krytycznie odniosło się do generacji swoich rodziców, jej horyzontów intelektualnych i politycznych.

Młodzi twórcy, założywszy swoje pismo „Merkuriusz Polski”, pisali w deklaracji wstępnej: „Jednym z celów, jakie sobie stawiamy, jest stworzenie prawdziwie wolnej i niezależnej trybuny młodych [...]. Chcemy widzieć rzeczy takimi, jakie one są, i mówić o nich możliwie jasno i prosto. Będąc Polakami, których zadania leżą za granicą, chcemy zachować żywotną łączność z narodem”.

Jeden z czołowych autorów tej grupy, Bolesław Taborski, krytykował polityczne kierownictwo polskiego wychodźstwa, prowadząc do konkluzji: „Nie ma dziś na emigracji nikogo, kto miałby moralne prawo do reprezentowania narodu i przemawiania w jego imieniu. W tym nie byłoby jeszcze tragedii. Smutny jest dopiero drugi fakt: że nie ma nikogo, kto mógłby reprezentować emigrację i w jej imieniu przemawiać”.

Młodzi poeci londyńscy utworzyli grupę „Kontynenty” i wystąpili wspólnie w antologii pod znamienym tytułem *Ryby na piasku*.

O przemianach wśród pisarzy emigracyjnych świadczyły także decyzje niektórych z nich powrotu do kraju. W 1956 roku postąpił tak były premier rządu emigracyjnego i czołowy publicysta polityczny Stanisław Cat-Mackiewicz, rok później – Zofia Kossak-Szatkowska i Stanisław Młodożeniec, w 1958 roku – Michał Choromański i Melchior Wańkowicz. Inni autorzy odwiedzali kraj, by po kilku wizytach w nim osiąść na stałe (Teodor Parnicki, Maria Kuncewiczowa). Jeszcze więcej powróciło w sensie metaforycznym – publikując w Polsce swoje utwory, nie licząc się ze wspomnianą uchwałą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Powstały też fundacje, których celem było popieranie twórczości zarówno emigracyjnych, jak i mieszkających w kraju pisarzy. W Nowym Jorku – Fundacja imienia Alfreda Jurzykowskiego, w Brukseli – imienia Kościelskich, w Londynie – Polska Fundacja Kulturalna.

U progu tego okresu Czesław Miłosz wydał dwie powieści: *Zdobycie władzy* i *Doline Issy* oraz (ważne wydarzenie w poezji emigracyjnej) – *Traktat poetycki*. W 1960 roku

przeniósł się z Francji do Stanów Zjednoczonych, podjął wykłady na uniwersytecie w Berkeley, wydawał w Paryżu nowe zbiory utworów poetyckich i esejów.

Koniec lat pięćdziesiątych i lata sześćdziesiąte – to okres dalszego rozwoju poezji Kazimierza Wierzyńskiego. W jego wierszach pogłębia się tonacja pesymistyczna. Autoironia maskuje uczucie niepokoju i pesymistyczną refleksję o ludzkiej bezradności. Wiersze ze zbioru *Kufer na plecach* są świadectwem losu wrażliwego emigranta, dręzonego nostalgią i świadomością deptania praw ludzkich w wielu miejscach świata.

Na ten okres przypada też rozwój twórczości kilku poetów, którzy debiutowali na krótko przed wojną, a doświadczenia doznane podczas jej trwania nadały styl ich poezji. Wśród nich był Waław Iwaniuk, autor zbioru *Milczenie. Wiersze 1949–1959*, i Tadeusz Sułkowski, autor tomu wierszy *Dom złoty* i poematu epickiego *Tarcza*.

Korzystnie rozwinęła się poezja młodych, którzy niedawno stanowili grupę „Kontynenty”. W latach sześćdziesiątych wielu z nich ukazało własne, indywidualne oblicze artystyczne, publikując swoje zbiory poezji (Andrzej Busza, Adam Czerniawski, Jan Darowski, Zygmunt Ławrynowicz, Bolesław Taborski).

Pojawił się wówczas na emigracji jeszcze jeden wybitny poeta, Aleksander Wat, który do 1963 roku przebywał w kraju. Potem wyjechał za granicę i był tam (we Francji, we Włoszech, w Stanach Zjednoczonych) aż do śmierci w 1967 roku. W Paryżu ukazał się tom jego poezji *Ciemne świećidło* – artystyczny dokument cierpienia człowieka o szczególnie trudnej i obfitującej w tragiczne przeżycia biografii. Nieuleczalnie chory, skazany na wielkie cierpienie nagrywał na taśmę wspomnienia, rozmawiając z Czesławem Miłoszem. Tak powstał jego dwutomowy *Mój wiek. Pamiętnik mówiony* – dramatyczny dokument z życia lewicowego inteligenta polskiego przeżywającego wielkie rozczarowania XX wieku.

Okres tu charakteryzowany jako najpomyślniejszy dla rozwoju polskiej literatury emigracyjnej owocował również w prozie literackiej. Witold Gombrowicz opublikował dwie nowe powieści: *Pornografię* i *Kosmos*, a na łamach „Kultury” zamieszczał regularnie swój *Dziennik*, najważniejsze – po *Trans-Atlantyku* jego dzieło literackie.

Wysoki poziom sztuki narracyjnej osiągnął Gustaw Herling-Grudziński w opowiadaniach z tomu *Skrzydła ołtarza* i *Drugie przyjscie*.

Tematy wewnątrzemigracyjne, z życia amerykańskiej Polonii podejmowała Danuta Mostwin w opowiadaniach *Asteroidy* i w powieści *Ameryko! Ameryko!*

Powieści Józefa Mackiewicza (*Droga donikąd*, *Kontra*, *Lewa wolna*, *Nie trzeba głośno mówić*) wysunęły się na czołowe miejsce realistycznej sztuki narracyjnej. Ich akcja jest umieszczona na tle rzeczywistych wydarzeń historycznych związanych z drugą wojną światową i jej konsekwencjami. Tendencja polityczna w nich zawarta wywoływała spory i kontrowersje. Nikt jednak nie mógł odmówić Mackiewiczowi wybitnego talentu epickiego.

Mocną stroną literatury emigracyjnej z lat 1956–1968 jest eseistyka, odznaczająca się szerokimi horyzontami filozoficznymi i historycznymi. Wzbogacała ona polską eseistykę współczesną o tematy, które nie mogły być podejmowane w kraju ze względu na ograniczenia cenzuralne; o odmienny niż w kraju punkt widzenia, z którego dokonuje się obserwacji współczesnych wydarzeń i procesów zachodzących w powojennym świecie. Przynosiła też ważne informacje, o których nie pisało się w Polsce.

Stanisław Vincenz kończył rozpoczęty jeszcze przed wojną cykl *Na wysokiej poloninie*, niezwykle pięknie opisując zakątek ziemi, gdzie się urodził, Huculszczyznę, która po 1945 roku znalazła się w granicach Związku Radzieckiego. W *Dialogu z Sowiećami*,

w zbiorze esejów *Po stronie pamięci*, w szkicach na „tematy żydowskie” stworzył nowy gatunek polskiego eseju, łącząc starodawną gawędę szlachecką z głęboką kulturą humanistyczną i szerokimi horyzontami filozoficznymi.

Szkicem kluczowym dla zrozumienia postawy innego wybitnego eseisty Jerzego Stempowskiego jest tytułowy esej z jego zbioru *Eseje dla Kasandry*. Wyraził w nim to, co musiało być powodem i jego własnej udręki: samopoczucie człowieka obdarzonego zmysłem analitycznym i zdolnością przewidywania nieuchronnego biegu wydarzeń; znajdującego się wśród ludzi, którzy nie chcą słuchać jego ostrzeżeń, nie interesują się jego opiniami, mimo że rozwój wypadków potwierdza ich słuszność. Krytycznie oceniał europejskich intelektualistów, którzy nie zorientowali się w porę, co zagraża Europie ze strony niemieckiego faszyzmu; obciążał demokracje zachodnie odpowiedzialnością za to, że w latach poprzedzających wojnę nie pozwoliły Żydom na osiedlanie się w ich krajach, a tym samym – jak się wkrótce okazało – skazywały ich na zagładę. Z dużym krytycyzmem odnosił się do horyzontów intelektualnych wielu działaczy emigracyjnych w Londynie.

Eseistą – analitykiem emigracji, szczególnie emigracyjnego środowiska literackiego, był Józef Wittlin. Ubolewał nad skłóceniem wychodźców. W emigracji politycznej widział przede wszystkim nieszczęście. Przestrzegał przed „zasmakowaniem w wygnaniu”. Wskazywał na okoliczności, które mogą doprowadzić literaturę emigracyjną do uwiądu. Nosił się z zamiarem napisania obszernej rzeczy, która byłaby zarysem fizjologii literatur emigracyjnych. Tego pomysłu nie zrealizował, ale wiele uwag na ten temat zamieścił w eseju *Blaski i nędze wygnania* zamieszczonym w zbiorze *Orfeusz w piekle XX wieku*.

Na bogactwo eseistyki tego okresu składają się również eseistyczne książki Czesława Miłosza. *Rodzinną Europę* wypełniają myśli o latach spędzonych na Wileńszczyźnie i w okupowanej Warszawie, *Widzenia nad Zatoką San Francisco* – to refleksje związane z nowym miejscem pobytu, a szkice o literaturze i jej twórcach weszły do *Prywatnych obowiązków*.

Świetnym eseistą był również Gustaw Herling-Grudziński. Wśród ważniejszych jego utworów był *Księżę niezłomny* traktujący o sprawach włoskich, które stanowiły paralele do dylematów polskich emigrantów.

W tym świetnym okresie rozwoju literatury emigracyjnej czołową rolę odgrywało środowisko paryskie, na czele z Jerzym Giedroyciem, jego „Kulturą”, Instytutem Literackim i „Zeszytami Historycznymi”.

W końcu lat sześćdziesiątych następuje wyraźna zmiana. Łączy się ona – z jednej strony – z odchodzeniem na zawsze starszego pokolenia. Umierają: Witold Gombrowicz, Jerzy Stempowski, Kazimierz Wierzyński, Stanisław Vincenz. A z drugiej – w związku z wydarzeniami w Polsce 1968 roku przybywa na Zachód kolejna fala emigrantów z Polski. Duża grupa pisarzy polskich żydowskiego pochodzenia była zmuszona do opuszczenia kraju i udania się na emigrację. Głównie do Francji, Republiki Federalnej Niemiec, do Berlina Zachodniego, do Izraela i do Stanów Zjednoczonych.

## IV. Lata 1968–1981

Znaczenie wydarzeń politycznych (marzec 1968, reakcja polskich intelektualistów na wypadki w Czechosłowacji tegoż roku, krwawe stłumienie robotniczego buntu na wybrzeżu w grudniu 1970, wprowadzanie zmian do polskiej konstytucji w 1975 roku, strajki w Ursusie i Radomiu rok później, powstanie Komitetu Obrony Robotników) nie ogranicza się do sytuacji w kraju. Wywierają one również duży wpływ na rozwój emigracyjnego życia literackiego.

Krytycyzm krajowych środowisk literackich wobec władz politycznych prowadził do ostrych konfliktów i do decyzji opuszczenia kraju. W emigracyjnym środowisku literackim dążenie do współpracy z krajem związane z nadzieją na korzystne w nim przemiany zostało zamrożone. Krytyczny stosunek emigracji do politycznych władz w kraju i do panujących w nim stosunków uległ znacznemu pogłębieniu. Szczególnie wyraźnym przejawem tych zmian była rezygnacja Kazimierza Wierzyńskiego z odwiedzenia Polski i jego zbiór wierszy *Czarny polonez*, w którym poeta gwałtownie, z satyryczną pasją atakował polskie władze za antysemityzm, udział w agresji na Czechosłowację i doprowadzenie kraju do regresu kulturalnego.

Nowa fala wychodźców z Polski po marcu 1968 roku to Polacy pochodzenia żydowskiego zmuszeni do opuszczenia kraju. Są wśród nich pisarze: Henryk Grynberg, Arnold Ślucki, Witold Wirpsza, Stanisław Wygodzki i inni. Wprowadzili oni do literatury emigracyjnej nowe problemy i tematy. Przede wszystkim przeżycia polskich Żydów. Wcześniejsze, podczas drugiej wojny światowej, o których nie można było pisać pełnym głosem i późniejsze, już w powojennej Polsce. Dużo uwagi poświęca się samopoczuciu polskiego Żyda zmuszonego do przebywania na obcej ziemi. W utworach literackich wypełnionych gorzkimi refleksjami i oskarżeniami na drugim – niekiedy – planie pozostaje główny sprawca żydowskiej tragedii, niemiecki faszyzm. Na pierwszy plan bywa wysunięty polski antysemityzm.

Na jedno z pierwszych miejsc w tym kręgu tematycznym wysuwają się utwory Henryka Grynberga, jednego z „ocaleńców”, którzy uszli Holocaustowi. Autor czuje się strażnikiem pamięci o losach swojego narodu. Pragnie czynić wszystko, aby „umarli stali się mniej umarłymi”. Jest pisarzem polskim mocno zakorzenionym w polskiej kulturze i do niej silnie przywiązanym, mając równocześnie silną żydowską tożsamość „ocaleńca”.

Wspomniane wydarzenia polityczne i społeczne były wyraźnym sygnałem głębokiego kryzysu systemu socjalistycznego w Polsce. Coraz częściej dochodziło do konfliktów między władzami politycznymi a opinią społeczną reprezentowaną w dużym stopniu przez pisarzy zarówno krajowych, jak i emigracyjnych.

W warunkach zaostrzającego się konfliktu między środowiskiem literackim w Polsce a panującą w niej władzą polityczną na tle walki o wolność słowa, prawa człowieka, suwerenność narodową, rozwój kultury następuje duże zbliżenie emigracyjnych ośrodków kulturalnych do opozycyjnego ruchu w kraju. Przejawia się ono w nielegalnym przenikaniu wydawnictw emigracyjnych do Polski, w publikowaniu utworów krajowych pisarzy za granicą, we wspieraniu tzw. drugiego obiegu wydawniczego, który powstaje w połowie lat siedemdziesiątych i pozwala omijać kontrolę państwowej cenzury. W nim też ukazują się przedruki utworów pisarzy emigracyjnych.

Otrzymanie Nagrody Nobla przez Czesława Miłosza w 1980 roku miało też i to znaczenie, że otworzyło literaturze emigracyjnej szersze wejście do kraju. Nie można było już dłużej nie dopuszczać do Polski twórczości laureata najwyższej nagrody literackiej, a to sprzyjało przybywaniu do kraju również utworów innych pisarzy emigracyjnych. Nawet wprowadzenie 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego nie przerwało publikowania w kraju utworów Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, wybranych pozycji emigracyjnej eseistyki.

## V. Od grudnia 1981 do czerwca 1989

Wprowadzenie stanu wojennego, zdelegalizowanie „Solidarności”, aresztowanie i internowanie przywódców ruchu walczącego o prawa demokratyczne i niepodległość narodową stworzyło sytuację, która wpłynęła na dalszy rozwój literatury emigracyjnej. Lata osiemdziesiąte to kolejna, nowa fala polskiej emigracji. Można ją nazwać „emigracją »solidarnościową«”.

W 1981 roku, korzystając z dużej swobody wyjazdów zagranicznych, podróżowało po Europie i Stanach Zjednoczonych wielu młodych Polaków. W poszukiwaniu pracy, a także dążąc do bliskiego kontaktu z kulturą Zachodu, z zachodnimi środowiskami intelektualnymi i politycznymi. Byli wśród nich pisarze, zwłaszcza młodego pokolenia. Dzień 13 grudnia zastał ich za granicą, odciął od kraju, uniemożliwił powrót do Polski, gdzie mogło ich czekać internowanie lub aresztowanie. Niektórzy – legalnie lub nielegalnie – dołączali do nich w kilku następnych latach. Działające na emigracji ośrodki polityczne i kulturalne udzielały im pełnego poparcia, podobnie postępowały władze państw, do których przybywali. Emigranci polscy spod znaku „Solidarności” przyjmowani byli bardzo serdecznie. Popierano ich walkę z totalitarnym systemem realnego socjalizmu w Polsce, protestowano przeciw wprowadzeniu stanu wojennego i jego ustawom.

Na emigracji znaleźli się kolejni polscy autorzy: Kazimierz Brandys, Zbigniew Herbert, Jan Kott. I młodszy: Stanisław Barańczak, Janusz Głowacki, Ryszard Krynicki, Adam Zagajewski – by wymienić tylko nazwiska już wówczas dobrze znane w literaturze polskiej. Obok nich było wielu młodych humanistów, dziennikarzy.

Nowa fala emigrantów organizuje nowe emigracyjne ośrodki literackie na Zachodzie. Między innymi w Szwecji, w Berlinie Zachodnim. Ukazują się nowe emigracyjne wydawnictwa. Wśród ważniejszych: „Aneks”, „Puls”, „Zapis” w Londynie, „Pogląd” w Berlinie Zachodnim. W Paryżu na wysokim poziomie redakcyjnym wychodzi od 1983 roku kwartalnik „Zeszyty Literackie”.

W latach osiemdziesiątych dochodzi do bardzo aktywnej współpracy między podziemnym ruchem literackim w Polsce a kulturalnymi i politycznymi ośrodkami emigracyjnymi, zwłaszcza z „Kulturą” paryską. W podziemnych wydawnictwach drukuje się wiele książek, które wcześniej były opublikowane na Zachodzie, ale dotychczas nie były znane w kraju: prace o najnowszej historii Polski, dokumenty z zachodnich i emigracyjnych archiwów, dużo politycznych broszur o nierównej wartości. Dokonuje się reprintsów ważnych dzieł literackich, m.in. Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza, Józefa Mackiewicza, a także bieżących numerów „Kultury”.



Emigracja popiera polskich dysydentów, organizuje dla nich pomoc w postaci środków materialnych: pieniędzy, papieru, sprzętu poligraficznego. Wspiera też krajową twórczość literacką. Powstaje specjalny fundusz literacki, którego celem jest wspieranie krajowej twórczości literackiej przez publikowanie za granicą utworów powstałych w kraju.

W emigracyjnych oficynach wydawniczych ukazywały się książki, których autorzy (niekiedy przebywający w miejscach internowania) opisywali przeżycia Polaków w czasie stanu wojennego. W Londynie wydano książkę Andrzeja Szczypiorskiego *Z notatnika stanu wojennego*, Wiktora Woroszylskiego *Dziennik internowania*, dwa tomy opowiadań Marka Nowakowskiego *Raport o stanie wojennym*. W Paryżu wydano zbiór szkiców Adama Michnika *Z dziejów honoru polskiego* i Jana Józefa Szczepańskiego *Kadencję* opowiadającą o Związku Literatów Polskich za jego przesury i o rozwiązaniu ZLP.

Powstała w miejscach internowania, w podziemiu, wśród młodzieży studenckiej poezję wyrażającą uczucia i przeżycia ludzi znajdujących się w państwie stanu wojennego i niemogących tego zaakceptować, wydano dwukrotnie za granicą. Raz w Londynie, drugi raz w Nowym Jorku, pod tytułem *Poezja stanu wojennego*. Była to antologia młodych, nieznanych jeszcze autorów, ale wśród nich spotykało się również nazwiska znanych poetów, na przykład Zbigniewa Herberta. Szczególnie popularny i wielokrotnie przedrukowywany był jego wiersz *Raport z oblężonego miasta*. Nadał on tytuł całemu zbiorowi wierszy tego autora wydanemu w Paryżu.

Stanisław Barańczak opracował i wydał za granicą książkę *Poeta pamięta. Antologia poezji pamięci i protestu. 1944–1984*. Dokumentowała ona nieprzerwany, trwający przez wszystkie powojenne lata wysiłek polskich autorów skierowany na obronę wolności słowa, praw jednostki i tożsamości narodowej.

\*\*\*

4 czerwca 1989 roku był bardzo ważnym dniem w powojennej historii Polski. W tym dniu odbyły się wybory do parlamentu. Pierwsze po wojnie wybory, wprawdzie jeszcze niezupełnie demokratyczne, ale już takie, w których wola wyborców okazała się decydująca. Tego dnia wielkie zwycięstwo odniósł naród polski. Dzięki temu, że w różnych ważnych miejscach polskiej sceny politycznej – w „Solidarności”, w Kościele, a także w kierownictwie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej górę wzięło myślenie dojrzałe, o dużym poczuciu odpowiedzialności za polskie państwo, postawiony został decydujący krok w przechodzeniu od systemu totalitarnego i zależności od Związku Radzieckiego do demokracji parlamentarnej i niepodległości narodowej. Poprzez rozmowy przy „okrągłym stole” i czerwcowe wybory parlamentarne.

Dla życia literackiego, dla literatury polskiej, dla jej twórców oznaczało to usunięcie kontroli cenzury (zniesiono ją definitywnie w kwietniu 1990 roku), pełną wolność słowa, a także ustanie przyczyn uzasadniających istnienie motywowanego politycznie emigracyjnego życia literackiego.

## Podstawowa bibliografia

- Literatura polska na obczyźnie 1940–1960*, pod redakcją Tymona Terleckiego, t. I–II, Londyn 1964.
- Maria Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978.
- Leksykon kultury polskiej poza krajem od roku 1939*, pod redakcją Krzysztofa Dybciaka i Zdzisława Kudelskiego, t. 1, Lublin 2000.
- Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939–1980*, praca zbiorowa pod redakcją Bolesława Klimaszewskiego, Warszawa 1992.
- Marta Fik, *Kultura polska po Jalcie. Kronika lat 1944–1981*, Londyn 1989.
- Przemysław Czapliński, Maciej Leciński, Eliza Szybowicz, Błażej Warkocki, *Kalendarium życia literackiego 1976–2000. Wydarzenia, dyskusje, bilanse*, Kraków 2003.
- Justyna Chłap-Nowakowa, *Sybir; Bliski Wschód, Monte Cassino. Środowisko poetyckie 2. Korpusu i jego twórczość*, Kraków 2004.
- Tadeusz Drewnowski, *Próba scalenia. Obiegi – wzorce – style*, Warszawa 1997.
- Marian Stępień, *Dalekie drogi literatury polskiej. Szkice o literaturze emigracyjnej*, Kraków 1989.
- Marian Stępień, *Pięćdziesiąt lat literatury polskiej (1939–1989). Wprowadzenie*, Kraków 1996.
- Marian Stępień, „*Jak grecka tragedia*”. *Pisarz polski w sytuacji wyboru (1944–1948)*, Kraków 2005.

# Pięćdziesiąt lat polskiej literatury emigracyjnej (1939–1989)

Próba bilansu

Przez pięćdziesiąt lat, od 1939 do 1989 roku, literatura polska była rozszczępiona na dwa główne nurty: krajowy i emigracyjny. Spowodowała to historia XX wieku. W początkowej fazie tego pięćdziesięciolecia – druga wojna światowa i niemiecka okupacja. Później – zależność Polski od Związku Radzieckiego ustanowiona decyzją trzech mocarstw, które podpisały układy jałtańskie.

Zasługą pisarzy polskich w pierwszych paru latach było dawanie świadectwa obecności i istnienia kultury polskiej w czasie, gdy okupant niemiecki z całą bezwzględnością, do zabijania reprezentantów polskiego świata kultury włącznie, zmuszał literaturę polską do milczenia (co mu się nigdy całkowicie nie udało).

Dzięki twórcom, którzy jesienią 1939 roku znaleźli się poza terytorium okupowanym przez Niemców (na krótko we Francji, potem w Anglii i w Stanach Zjednoczonych), organizowało się tam polskie emigracyjne życie literackie i kulturalne, zaczęły się ukazywać w języku polskim czasopisma, powstawały wiersze, proza, eseje, publicystyka. A odpowiedzią na prześladowanie przez okupanta polskich uczonych i zakaz działalności Polskiej Akademii Umiejętności było – przy współudziale twórców literatury – utworzenie w Nowym Jorku Polish Institute of Art and Sciences.

Tworzone i publikowane w tym czasie poza granicami kraju utwory literackie wyrażały przeżycia, myśli i uczucia Polaków doznawane przez nich podczas kampanii wrześniowej, w dniach klęski i w życiu codziennym okupowanego kraju. Były to głównie utwory poetyckie, m.in. Stanisława Balińskiego, Mariana Hemara, Aleksandra Janty, Jana Lechonia, Ksawerego Pruszyńskiego, Antoniego Słonimskiego, Juliana Tuwima, Kazimierza Wierzyńskiego, Józefa Wittlina.

Dzięki wymienionym autorom (a wymienieni zostali tylko najważniejsi) naród polski nie pozostał niemy w starciu z Niemcami hitlerowskimi. Wiersze tych poetów towarzyszyły żołnierzowi polskiemu na różnych frontach walki przeciwko Niemcom, wyrażały wolę walki i rozpacz klęski; niepokój sumienia tych, którzy opuścili kraj w czasie wielkiej próby i poczucie pełnej z nim solidarności; wiarę w ostateczne zwycięstwo nad niemieckim faszyzmem i w nadejście dnia powrotu do wyzwolonego spod okupacji niemieckiej kraju.

Inaczej niż ich zachodnim kolegom, pisarzom polskim, po zakończonej zwycięstwem nad Niemcami wojnie, nie było dane przeżywać wymarzonego dnia powrotu do ojczyzny. Stanęli oni w obliczu dramatycznego dylematu przypominającego sytuację bohatera

antycznej tragedii: wracać do Polski podporządkowanej Związkowi Radzieckiemu czy zdecydować się na los politycznego emigranta. Ci, którzy wybierali drugie rozwiązanie, czynili to w przeświadczeniu, że musi istnieć wolna, nieskrepowana literatura polska, która będzie przemawiać pełnym głosem i uzupełniać to, czego kontrolowana przez cenzurę literatura w kraju wyrazić nie może.

Spśród tematów, o których w kraju musiało się milczeć, na jedno z pierwszych miejsc wysuwały się i domagały utrwalenia doświadczenia Polaków dotkniętych prześladowaniami ze strony Związku Radzieckiego. Tylko literatura emigracyjna mogła przedstawić losy polskich rodzin deportowanych z terenów wschodnich Polski przedwrześniowej w głąb Związku Radzieckiego, do dalekich azjatyckich republik, do obozów pracy, na Syberię; a także losy polskich patriotów aresztowanych, więzionych i skazywanych na śmierć przez NKWD. I zbrodnię ludobójstwa popełnioną na polskich oficerach w Katyniu, Miednoje i w innych miejscach.

Powstały książki oparte często na doznaniach własnych autora, które są ważną częścią polskiej literatury współczesnej. Zapisy wspomnieniowe, dokumenty i paradokumenty, niekiedy utwory zbeletryzowane, ale nieodchodzące od faktów i zdarzeń autentycznych: *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, *Na nieludzkiej ziemi* i *Wspomnienia starobielskie* Józefa Czapskiego, *W domu niewoli* Beaty Obertyńskiej, *Książka o Kołymie* Anatola Krakowieckiego, *Tyfus, teraz słowiki* Mariana Czuchnowskiego, *Kazachstańskie noce* Herminii Naglerowej, *Między młotem a sierpem* Wacława Grubińskiego, *Diałogi z Sowietami* Stanisława Vincenza.

Znaczenie niejednej z tych pozycji przekracza granice literatury polskiej. Wnosi coś bardzo ważnego do dorobku literatury europejskiej. Na przykład *Inny świat*, wydany najpierw w przekładzie angielskim z przedmową Bertranda Russella. Ranga tej książki nie ustępuje głośnemu (ale powstałemu ponad dziesięć lat później) utworowi Aleksandra Sołżenicyna *Jeden dzień Iwana Denisowicza*. Względy polityczne, liczenie się państw zachodnich ze Związkiem Radzieckim i prokomunistyczne fascynacje zachodnich intelektualistów spowodowały, że *Inny świat* nie spotkał się od razu z takim rozgłosem, na jaki zasługiwał. W dorobku polskiej literatury emigracyjnej zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

Doświadczenie, którego bezpośrednio nie doznali autorzy tworzący w kraju, a było udziałem wielu tysięcy Polaków, to sytuacja tzw. dipisów (D.P. – *displaced persons*). Było to jedno z bardziej gorzkich i upokarzających przeżyć Polaków. Uwolnieni przez armie sojusznicze z niemieckich obozów nadal w nich pozostawali; z ograniczeniem wolności w imię chronienia porządku publicznego. Nadzorowały te obozy amerykańskie władze okupacyjne, ale bezpośrednimi strażnikami pilnującymi Polaków często byli Niemcy. „Dipisi” nie chcieli wracać do kraju. Stronami rodzinnymi wielu z nich były przedwojenne terytoria polskie przejęte po 1945 roku przez Związek Radziecki. Wielu nie godziło się z pojałtańskim porządkiem w Polsce lub wprost obawiało się represji ze strony UB lub NKWD. Oczekiwali na możliwość wyemigrowania i znalezienia pracy w jednym z państw zachodnich. Z autorów krajowych podjął ten problem tylko Tadeusz Borowski. Jako były więzień obozu koncentracyjnego w Dachau bezpośrednio doświadczył opisaną w opowiadaniu *Bitwa pod Grunwaldem* sytuacji. W pełni mogła ją przedstawić tylko literatura powstająca na emigracji, często pod piórem byłych „dipisów”. Wątki tego fragmentu ich biografii pojawiają się często w prozie emigracyjnej. Szerzej podjął je Tadeusz Nowakowski w powieści *Obóz Wszystkich Świętych*.

Dramatyczne przeżycia ludności pod rządami Związku Radzieckiego zaprowadzającego swoją administrację na zagarnianych terenach opisywał Józef Mackiewicz. Jego utwory wywoływały kontrowersyjne opinie, głównie ze względu na to, że antykomunizm autora prowadził go do niedoceniań zbrodniczości niemieckiego faszystwu; niemniej napisane z dużym talentem prozatorskim powieści (*Droga donikąd*, *Kontra*, *Nie trzeba głośno mówić* i powracająca tematycznie do czasów z końca pierwszej wojny światowej *Lewa wolna*) należą do trwałego dorobku współczesnej literatury polskiej, a ukazać się mogły tylko na emigracji.

Tragiczne powikłania polsko-ukraińsko-rosyjsko-żydowskie podczas drugiej wojny światowej przedstawił Włodzimierz Odojewski w swej najlepszej książce *Zasypie wszystko, zawieje...*

Dużą wartość poznawczą mają napisane z żywiołowym talentem, bogate w realia historyczne i szczegóły obyczajowe powieści Floriana Czarnyszewicza, ukazujące zupełnie nieznany wycinek z życia środowiska polskiego w rejonie Mińska i Bobrujska (*Nadbereżyńcy*, *Wicik Żywica*, *Chłopcy z Nowoszyzsek*).

Pełnowartościowej diagnozy sytuacji polskiej kultury, literatury, twórców w systemie totalitarnym zaprowadzonym w Polsce po 1945 roku, a szczególnie na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, nie mogła dać literatura powstająca w kraju. Nie tylko dlatego, że ograniczały ją wymogi państwowej cenzury, a te z kolei wywoływały autorską i redaktorską autocenzurę. W warunkach ograniczenia wolności słowa rodziły się mechanizmy psychologiczne prowadzące do samozniewalania umysłów. Nie tylko ze względów koniunkturalnych. Odwoływano się również do nadrzędnych uzasadnień ideologicznych, filozoficznych. Nawet postawie konformistycznej nadawały one pozory słusznego uznania obiektywnej konieczności. I w jej imię pisarz godził się z ograniczeniem wolności słowa, a bywało, że nawet współdziałał w tym kierunku. Literatura krajowa nie mogła i nie umiała tego ukazać. Dopiero po zerwaniu z Polską Ludową i przyjęciu statusu emigranta politycznego Czesław Miłosz mógł przeprowadzić analizę tych procesów w *Zniewolonym umyśle*. Książka ukazująca mechanizm zakłamywania rzeczywistości i autozakłamywania się pisarzy ją opisujących odbierana była przez jednych jako wielki głos sumienia, przez innych, a był wśród nich również Gustaw Herling-Grudziński, jako próba autorehabilitacji polegająca na usprawiedliwianiu konformizmu uzasadnieniami filozoficznymi, „ukaszaniem heglowskim”.

Gustaw Herling-Grudziński systematycznie obserwował polskie życie literackie w kraju. Recenzje ważniejszych utworów zamieszczał w prasie emigracyjnej. Powracał też do nich w *Dzienniku pisanym nocą*. Oceniał postępowanie autorów krajowych z pozycji niestosującego taryfy ulgowej moralisty. Jego prace krytycznoliterackie zebrane w tomie *Wyjścia z milczenia* należą do czołowych osiągnięć emigracyjnej krytyki literackiej.

Dużym kunsztem narratorskim wyróżniają się opowiadania Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. W utworach osnutych na kanwie spotkania z zabytkiem historycznym, lokalną legendą, dziełem sztuki, przypominających *Kroniki włoskie* Stendhala, autor rozwija najczęściej pierwszoosobową narrację, w której podejmuje problemy najbardziej go interesujące: dobra i zła, ich pochodzenia i przejawiania się w ludzkim świecie pełnym cierpienia.

Po roku 1968 znalazło się wśród twórców emigracyjnych wielu pisarzy polskich pochodzenia żydowskiego. Powracali oni do problemu zagłady swego narodu na polskich ziemiach pod niemiecką okupacją. Podejmowali też kwestię polskiego antysemityzmu.

Wśród wielu utworów tego kręgu tematycznego wyróżniają się dzieła Henryka Grynberga. Biografią, kierunkiem zainteresowań i wrażliwością na los członków swojego narodu należy do „ocalieńców”; do tych pisarzy polskich żydowskiego pochodzenia, którzy w czasie drugiej wojny światowej byli dziećmi; ich przeznaczeniem miała być śmierć z ręki żandarma lub w obozie zagłady. Ocaleni dzięki fortunnemu zbiegowi okoliczności, bohaterstwu matki lub ojca; dzięki pomocnym dłoniom szlachejnych Polaków. Ale ich wyobraźnia jest trwale wypełniona obrazami tamtych wydarzeń. *Żydowska wojna* Henryka Grynberga (wydana jeszcze w Polsce w 1965 roku) jest wstrząsającą opowieścią o losie polskich Żydów, ich samotnej walce o przetrwanie w latach drugiej wojny światowej. Otworzyła ona cykl utworów o podobnej tematyce, które ukazały się już na emigracji. W *Zwycięstwie* przedstawił tragiczne przeżycia nielicznych ocalałych z hitlerowskiego pogromu Żydów w pierwszych latach powojennych Polski. *Życie ideologiczne* jest biografią pokolenia wyrosłego w stalinowskiej szkole, w zawiłościach polskiego i żydowskiego losu. Bohater następnej powieści, *Życie osobiste*, nie może prowadzić ustabilizowanej egzystencji ze względu na trwałą pamięć o tych, którzy poszli do gazu.

Na emigracji powstały co najmniej cztery utwory o charakterze dziennika. Reprezentują one wysoki poziom literackiej diarystyki. Są również świadectwem świadomości emigracyjnych pisarzy. Pierwszy z nich, to notowany prawie codziennie przez kilka lat *Dziennik* Jana Lechonia. Nieprzeznaczony od razu do druku, traktowany przez autora jako autoterapia, dokonywana za poradą lekarza, jest dojmującym dokumentem życia emigracyjnego pisarza w Nowym Jorku. Jego kompleksów, porywów ambicji, niespełnionych zamiarów, drobnych satysfakcji i rozpaczliwego szamotania się między nadzieją a depresją w związku z losami powojennej Polski, jej literatury, życiem własnym na wygnaniu. *Dziennik* jest źródłem wiedzy o osobowości poety, o jego kontaktach ze współemigrantami, o jego pomysłach wydawniczych, redakcyjnych. O spotkaniach autorskich, o wystąpieniach przed mikrofonami Głosu Ameryki i Radia Wolna Europa. Jest więc zbiorem ważnych informacji o emigracyjnym życiu literackim w Nowym Jorku w okresie objętym pisaniem *Dziennika* (1949–1956).

Inny jest *Dziennik* Witolda Gombrowicza. Pisany z myślą o natychmiastowym publikowaniu go na łamach „Kultury”, prezentuje się raczej jak zbiór esejów. Z jego kart wyłania się Gombrowicz – człowiek stale domagający się uznania, pragnący sławy, broniący własnej tożsamości, dociekający jej istoty w opozycji do otoczenia i ciągle zmagający się z ciężarem polskości.

Gombrowicz nie stroni od posługiwania się zmyśleniem, fikcją, prowadzi grę z czytelnikiem, często niepewnym, czy ma do czynienia z prawdą właściwą poetyce dziennika, czy z różnymi maskami ukrywającymi zmieniające się oblicze autora.

Miejsce *Dziennika* Gombrowicza, po śmierci autora, zajął na łamach „Kultury” *Dziennik pisany nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Jest to wielowątkowy komentarz do współczesnych zdarzeń kulturalnych, społecznych, politycznych; zawiera oceny utworów literackich i postaw ich autorów. Autor komentuje to, co dzieje się w Polsce i na świecie. Czyni to z pasją, wnikliwie. Krytycznie, gdy chodzi o poczynania władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i złośliwie, szyderczo tam, gdzie przedstawia zachowanie się lewicowych intelektualistów Zachodu, a także niektórych polskich pisarzy. Jako baczny obserwator współczesnego świata stara się nadać za bieżącymi wydarzeniami i poddać je własnej interpretacji.

Czwarty z zapowiadanych przekazów utrzymany jest w innej poetyce. To „pamiętnik mówiony”, *Mój wiek* Aleksandra Wata, nagrany na taśmę przy współudziale Czesła-

wa Miłosza. Jest obrazem życia polskiego pisarza, związanego przed wojną z lewicą komunistyczną, aresztowanego we Lwowie 1940 roku przez NKWD, zamykanego w wielu więzieniach radzieckich. Protest przeciw „paszportyzacji” i odmowę przyjęcia radzieckiego obywatelstwa okupił ciężkimi represjami. Powróciwszy do Polski (co nie przyszło mu łatwo), należał do nielicznych twórców literatury polskiej, którzy odrzucali program realizmu socjalistycznego. W *Moim wieku* opowiedział o sobie, swoich błędzeniach i pomyłkach, swych cierpieniach podczas pobytu w ZSRR. Równocześnie dał wizerunek polskiego inteligenta hołdującego lewicowym ideałom, przeżywającego później wielkie rozczarowania.

Mocną stroną literatury emigracyjnej jest wielostronna, odznaczająca się szerokimi horyzontami filozoficznymi i historycznymi oraz wysokim kunsztem słowa eseistyka. Wzbogaca ona polskie piśmiennictwo o nowe tematy, odmienne punkty widzenia, wprowadza nieobecne w krajowych esejach informacje. Nawiązuje żywy kontakt z filozoficzną, estetyczną, moralną i literacką myślą Zachodu.

Twórcy polskiego eseju na emigracji (Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński, Jerzy Stempowski, Józef Wittlin) ustanowili miarę tego gatunku na bardzo wysokim poziomie.

Emigracja – to nie tylko wolność od cenzury kontrolującej wolność słowa. To również wyzwolenie się z opłotków środowiskowych, obyczajowych, parafialnych, właściwym stosunkom panującym w Polsce, między Polakami, które tak skutecznie pokazał w pełnym świetle Gombrowicz w *Trans-Atlantyku*.

Czesław Miłosz w *Traktacie poetyckim* dokonuje przeglądu tradycji literackiej, by stwierdzić, że każdy poryw twórcy, każda jego próba wybicia się na wielkość była obywatelstwu macierzystego żywiołu. Jeden tylko spośród tam wymienionych mu się nie poddał i wybił się na wielkość w światowej skali: Józef Conrad Korzeniowski, który odważył się porzucić rodzinne opłotki, chociaż miały za nim polecieć słowa patriotycznego oburzenia.

Czesław Miłosz również poszedł tą drogą. Wiodła go od okupacyjnego przysięgania sobie, że nie zostanie „płaczką żalobną”, przez decyzję wystąpienia o azyl polityczny, później opuszczenia Europy i udania się za ocean. Na tym rozległym szlaku powstawały szczytowe osiągnięcia polskiej poezji współczesnej, która, wraz z eseistyką – doprowadziła autora do Nagrody Nobla.

Pięćdziesiąt lat polskiej literatury emigracyjnej to też pół wieku emigracji politycznej – protestu przeciw jałtańskiemu zniewoleniu Polski. W dorobku tej literatury są też utwory, które ukazują życie Polaków na obcej ziemi, walczących o utrzymanie się na powierzchni życia albo też ulegających degradacji. Utwory im poświęcone to nie tylko sentymtalne wspomnienia z nieutuloną nostalgią, ale obrazy z tych lat, w których emigranci walczyli o pozycję społeczną w kraju osiedlenia. Na jedno z pierwszych miejsc wysuwają się tu dzieła Danuty Mostwin, która w realistycznych obrazach przedstawiła polskie środowisko emigracyjne w Stanach Zjednoczonych po drugiej wojnie światowej. Jej powieść *Ameruko! Ameruko!* oraz opowiadania z tomu *Odkrywanie Ameryki* to klasyczne już teksty w tym kręgu tematycznym. Pisarski talent obserwacyjny idzie tu w parze z doświadczeniem socjologa, co pozwoliło sformułować tezę i postulat moralny zarazem – o „trzeciej wartości”, która oznacza przewyciężanie rozdarcia wewnętrznego emigranta w drodze łączenia wierności wartościom wyniesionym z ojczyzny, z afirmatywnym stosunkiem do wartości prezentowanych i oferowanych przez kraj osiedlenia.

Jest jeszcze inna strona emigracyjnego życia; chwile rozpaczy, odczuwanie niepokoju, cierpienie osamotnienia. Dotyka tych stron Czesław Miłosz w *Notach o wygnaniu*. Także w wielu wierszach, aż do jednego z ostatnich, *Emigrować*. Dochodzi w nich do głosu nagromadzona przez lata gorycz.

Zdawałoby się, że po 1989 roku znikły przyczyny uzasadniające dalsze istnienie literatury emigracyjnej, że emigracyjni autorzy stali się po prostu polskimi pisarzami mieszkającymi za granicą. A wielu z nich – jak się wydaje – powinno wrócić do niepodległej już Polski.

A jednak... Włodzimierz Odojewski stwierdza, że nadal czuje się emigrantem i nie widzi możliwości powrotu. Danuta Mostwin, odwiedzwszy Polskę, doszła do wniosku, że nie ma dla niej powrotu. Ku swemu przerażeniu czuje obcość wobec ludzi w dzisiejszej Polsce, wobec panującej w niej atmosfery.

W zwięzłej próbie dokonania bilansu polskiej literatury emigracyjnej można było uwzględnić tylko jej najważniejsze osiągnięcia. Takie, które uzupełniają literaturę rozwijającą się w kraju, bez których literatura polska XX wieku byłaby ułomna, o coś ważnego zubożona, a co mogło pojawić się tylko w warunkach pełnej wolności słowa.

## Podstawowa bibliografia

Maria Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978.

Tadeusz Drewnowski, *Próba scalenia. Obiegi – wzorce – style*, Warszawa 1997.

*Powroty w zapomnienie. Dekada literatury emigracyjnej 1989–1999*, praca zbiorowa pod redakcją Bolesława Klimaszewskiego i Wojciecha Ligęzy, Kraków 2001.

Marian Stępień, *Dalekie drogi literatury polskiej. Szkice o literaturze emigracyjnej*, Kraków 1989.

Marian Stępień, *Pięćdziesiąt lat literatury polskiej (1939–1989). Wprowadzenie*, Kraków 1996.



# CZĘŚĆ II



# Sytuacja emigranta w świetle twórczości Czesława Miłosza

Czesław Miłosz wielokrotnie stawał w obliczu ważnego wyboru, który decydował o późniejszej jego biografii i twórczości. Świadectwem jednego z pierwszych dokonanych wyborów są *Rozmowy nad Wisłą i Niemnem*<sup>1</sup>. Dotyczą one sporu toczącego się w myślach poety. Między pokusą porzucenia lewicowych sympatii na rzecz sztuki, sławy, harmonijnego rozwoju osobistego a głosem obywatelskiego sumienia poety, pełnym skrupułów wywołanych wrażliwością na społeczne bolączki. W wyniku sporu skrupuły te wzięły górę, co nieoczekiwanie skutkowało znalezieniem się Miłosza po wojnie w kręgu ludzi współtworzących powojenną Polskę. Po latach wspomni ten moment:

Wstyd pochodzenia z rodziny od pokoleń żyjącej z pracy ludu (i zajmującej się tego ludu polonizacją) popychał mnie na lewo i oto w 1945 roku, w znacznym stopniu dzięki swojej barwie, jeśli nie czerwonej, to różowej, znalazłem się wśród właśnie tworzącej się elity<sup>2</sup>.

Konsekwencją tego będzie ów „pakt diabelski”<sup>3</sup>, czyli zgoda na przyjęcie obowiązków dyplomaty w służbie rządu warszawskiego. W końcu 1945 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych, by tam pracować na rzecz Polski Ludowej, najpierw w konsulacie w Nowym Jorku, potem w ambasadzie w Waszyngtonie.

Kilka lat służby dyplomatycznej z ramienia rządu warszawskiego – to czas pogłębiającej się dysharmonii poety, sprzeczności między lojalnością wobec polskich władz, nawet więcej: wykonywaniem ich poleceń, a jego przekonaniami; krytycznym dystansem, z jakim odnosił się do komunistycznej ideologii i totalitarnego systemu politycznego. Sprzeczność ta wyraźnie dochodzi do głosu zarówno w opublikowanym jeszcze w Polsce *Traktacie moralnym*, jak i w utworach pisanych w Stanach Zjednoczonych, które dopiero później ujrzały „światło dzienne”; na przykład wiersz *Do Jonatana Swifta* ze słowami:

Niepojętego zaślepienia  
Na oczach nie nosiłem wstążki.  
I szczerą wściekłość opromienia  
Moje rozliczne obowiązki<sup>4</sup>.

---

<sup>1</sup> „Karta” 1936, nr 2. Przedruk: Czesław Miłosz, *Przygody młodego umysłu. Publicystyka i proza 1931–1939*, Kraków 2003.

<sup>2</sup> Czesław Miłosz, *Abecadło Miłosza*, Kraków 1997, s. 200.

<sup>3</sup> Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, Paryż 1990, s. 119.

<sup>4</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, Kraków 1987, t. I, s. 168.

Myślał więc Miłosz o zerwaniu z rządem warszawskim i pozostaniu w Stanach Zjednoczonych na prawach politycznego emigranta. Doradzał mu to amerykański pisarz Thornton N. Wilder, odradzał Albert Einstein, który był zdania, że pisarz nie powinien zrywać kontaktu ze swoim krajem<sup>5</sup>.

Jesienią 1950 roku Miłosz, pozostawiwszy swą rodzinę w Ameryce, przyплыł do Francji i przez kilka miesięcy pracował w ambasadzie polskiej w Paryżu. W grudniu zjawił się w Warszawie na krótki pobyt świąteczny.

Był to czas przyspieszonych, niekorzystnych zmian politycznych w całym obozie państw socjalistycznych, także w Polsce. W dziedzinie twórczości artystycznej ograniczono swobodę twórców przez wprowadzanie rygorów realizmu socjalistycznego i zmuszanie artystów – w różny sposób – do ich przestrzegania. Miłoszowi groziło, że już więcej z Polski nie wyjedzie. Odczuwał „potworną klaustrofobię”<sup>6</sup>.

Dzięki pomocy wpływowych osób z wysokich kręgów politycznych udało mu się otrzymać paszport i wyjechać z Polski. Pod jednym warunkiem. Postawiła go przed nim Natalia Modzelewska, żona ówczesnego ministra spraw zagranicznych, która pomogła mu wydostać się z kraju i wyjechać do Francji: „musisz walczyć przeciwko katowi Rosji”, to znaczy Stalinowi.

Na początku 1951 roku Miłosz wystąpił do władz francuskich o azyl polityczny. Otrzymał go i z tą chwilą stał się politycznym emigrantem skazanym na dołę wygnańca z kraju, którego porządku politycznego nie mógł zaakceptować.

Mimo decyzji pozostania na emigracji, Miłosz nie krył swych sympatii lewicowych ani tego, że w powojennej Polsce dostrzegał również pozytywne zmiany: wprowadzenie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach, objęcie wszystkich obywateli opieką zdrowotną. Był jednak przeciwny narzucaniu Polsce wzorów radzieckich we wszystkich dziedzinach. Główne myśli swoje z tego czasu zawarł w artykule *Nie*<sup>7</sup>, który był rodzajem spowiedzi emigranta przybywającego na Zachód. Wyrażał w nim autor swoje głębokie rozterki polityczne, moralne, twórcze. Niełatwo godził się ze statusem emigranta politycznego. Obcy mu był emigracyjny rząd w Londynie, obca panująca w nim i w kręgach do niego zbliżonych mentalność przedwojennej inteligencji polskiej.

Ale i on był obcy emigracji polskiej skupionej wówczas głównie w Londynie. Dla niej Miłosz był „piewcą bierutowskiej Polski”<sup>8</sup>, szydlerczo wyśmiewanym „poputcznikiem”<sup>9</sup>, bolszewickim agentem, pozbawionym talentu cynicznym karierowiczem<sup>10</sup>.

Miłosz próbował się bronić, po tych atakach na niego napisał obronne *Oświadczenie*<sup>11</sup>, ale długo jeszcze, trwale, utrzymywała się wokół niego nieprzyjazna atmosfera wśród polskich emigrantów. Nie ustąpiła nigdy.

Kilka lat daremnie starał się o wizę amerykańską. Napisze później o sobie i o Witoldzie Gombrowiczu: „Dwaj emigranci, przez polską emigrację piolunem karmieni, dopóki nie dowiedziały się od cudzoziemców i przybyszów z Polski, że jesteśmy coś warci”<sup>12</sup>.

<sup>5</sup> Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, s. 124.

<sup>6</sup> Renata Gorczyńska (Ewa Czarnecka), *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem*, Kraków 1992, s. 69.

<sup>7</sup> „Kultura” (Paryż) 1951, nr 5.

<sup>8</sup> Czesław Miłosz, *Abecadło Miłosza*, s. 31–32.

<sup>9</sup> Sergiusz Piasecki, *Były poputcznik Miłosz*, „Wiadomości” (Londyn) 19 XI 1951.

<sup>10</sup> Zob. Renata Gorczyńska, *Podróżny świata...*, s. 247–253.

<sup>11</sup> „Kultura” (Paryż) 1951, nr 12.

<sup>12</sup> Czesław Miłosz, *Ziemia Ulro*, Kraków 1994, s. 29.

Może z myślą o tych doświadczeniach napisał po latach wiersz *Dowód*:

A jednak znalazłeś piekielnych płomieni.  
Mógłbyś nawet powiedzieć jakie są: prawdziwe,  
Zakończone ostrymi hakami żeby dały mięso  
Po kawałku, do kości. I szedłeś ulicą  
I odbywała się kaźń, broczenie, smaganie.  
Pamiętasz więc nie wątpisz. Na pewno jest Piekło<sup>13</sup>.

Mógł się wówczas czuć jak „człowiek wśród skorpionów”, odnosząc to określenie do doznającego wiele udręk ze strony swych rodaków Stanisława Brzozowskiego, któremu poświęcił studium pod takim właśnie tytułem<sup>14</sup>.

Pomógł mu Jerzy Giedroyc. Na łamach „Kultury” w 1951 roku zaczęły się ukazywać rozdziały *Zniewolonego umysłu*, pierwszej książki Miłosza napisanej na emigracji<sup>15</sup>.

Splacał nią autor dług wobec osób, które pomogły mu wydostać się z Polski. Spełniał moralny obowiązek pisarza, który uzyskał warunki mówienia prawdy o sytuacji literatury i jej twórców w kraju. Pisał ją z myślą o dwóch adresatach: o twórcach mieszkających na Zachodzie, nieznających wschodniego doświadczenia pisarza, i o kolegach w kraju, by im powiedzieć prawdę o ich położeniu<sup>16</sup>.

Książkę docenił Karl Jaspers. Dostrzegł w niej świadectwo tego, co dzieje się z ludźmi poddanymi przemożnym naciskom. Z jednej strony ulegają zniszczeniu, a z drugiej – zaczynają wierzyć w *Dziejową Konieczność*<sup>17</sup>.

*Zniewolony umysł* stał się również powodem nigdy nie ustających ataków na Miłosza. Wielu polskich emigrantów uznało tę książkę za rzecz kryptokomunistyczną, tendencyjnie autorehabilitacyjną, usprawiedliwiającą lewicę owym „ukąszeniem heglowskim”, z którego zawsze szydził Gustaw Herling-Grudziński, uznający *Zniewolony umysł* za książkę „świetnie napisaną, lecz błędną, »wydumaną za biurkiem«”<sup>18</sup>.

Dla autora była to książka bardzo ważna. Pisanie jej, czyli pisanie prawdy o stalinizmie, nadawało sens jego sytuacji emigranta, tym bardziej że był bliski rozpaczy, myśląc, iż nigdy już nie będzie mógł uprawiać poezji. Był to bardzo trudny okres jego życia:

Ja zmagalem się w Paryżu z moim upadkiem. Bo dola uchodźcy jest takim upadkiem, że nie doradzałbym jej nikomu, chyba że obdarzony jest zdrowiem konia, witalnością aligatora i nerwami hipopotama. Obiektywnie nie miałem żadnych szans: zachodnia Europa nie umie wyżywić swoich intelektualistów, nie potrzebuje więc nas, obywateli krajów, w jej przestarzałym mniemaniu podrzędnych<sup>19</sup>.

Nigdy nie zintegrował się z francuskim społeczeństwem. W oczach Francuzów miał piętno obcości, której rozpoznawalnym znakiem był obcy akcent jego francuszczyzny.

<sup>13</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. II, s. 289.

<sup>14</sup> Czesław Miłosz, *Człowiek wśród skorpionów*, Paryż 1962.

<sup>15</sup> Czesław Miłosz, *Zniewolony umysł*, Paryż 1953.

<sup>16</sup> Thomas Merton, Czesław Miłosz, *Listy*, Kraków 1991, s. 12.

<sup>17</sup> Zob. Renata Gorczyńska, *Podróżny świata...*, rozdział *Jaspers i Gombrowicz: Dwie opinie o „Zniewolonym umyśle”*.

<sup>18</sup> Zob. Czesław Miłosz, *Ogród nauk*, Paryż 1988, s. 118 oraz *Abecadło Miłosza*, s. 114.

<sup>19</sup> Czesław Miłosz, *Rodzinna Europa*, Warszawa 1990, s. 306.

Dopiero kolejna „emigracja”, z Europy do Stanów Zjednoczonych w 1959 roku na zaproszenie Uniwersytetu w Berkeley przyniosła istotną zmianę w warunkach jego życia. Znalazł się tam – co kilkakrotnie podkreślał – w zupełnie innej sytuacji niż zwykli emigranci, którzy mogli zaferować tylko pracą własnych rąk, poznawali Amerykę od strony ciężkiej pracy fizycznej, żyli w ubóstwie, mieszkali w etnicznych gettach<sup>20</sup>.

Miłosz inaczej – najpierw był w Stanach Zjednoczonych z dokumentami dyplomatycznymi, później – jako emigrant polityczny – jako pełnoprawny obywatel uniwersyteckiego kampusu<sup>21</sup>. Jemu udało się osiągnąć sukces. Zbierał honory i nagrody, których w Europie – jak sądził – nigdy by nie otrzymał<sup>22</sup>.

Emigracji zawdzięczał uwolnienie się od wiązanych z nim oczekiwań środowiska, w którym przebywał i współdziałał, współtworzył. Oczekiwania takie – podkreślał – mogą być silną presją wywierającą wpływ na sposób pisania. Kiedy po latach spoglądał wstecz na drogę, którą przebył, spostrzegał, że przed wojną zdarzało mu się tak pisać, by zaspokoić marksistowskie oczekiwania kolegów; podczas okupacji – by sprostać oczekiwaniom patriotycznym. A dopóki nie zerwał z rządem warszawskim, zaczynał już pisać – tak sam stwierdzał – pod oczekiwania realizmu socjalistycznego.

Toteż swoją decyzję udania się na emigrację oceniał jako ratunek przed takimi niebezpieczeństwami. A żeby nie ulec innym oczekiwaniom, charakterystycznym dla polskiej emigracji na Zachodzie, odniósł się od razu z krytycznym dystansem do środowisk emigracyjnych, do ich horyzontów ideowych, politycznych i intelektualnych. Nie zamierzał też liczyć się z zachodnią publicznością. Pisał raczej przeciw jej ówczesnym oczekiwaniom i gustom, a także nastawieniu politycznemu, w którym ciągle utrzymywała się fascynacja Związkiem Radzieckim, także Stalinem, zwłaszcza w kręgu intelektualistów francuskich.

Odejście na emigrację pozwoliło Miłoszowi uwolnić się od polskości, na którą był bardzo uwrażliwiony. Od polskości odwołującej się do stereotypu: Polak – patriota – katolik. Pisał:

O moim konflikcie z polską obyczajowością, dla mnie samego tajemniczym, bolesnym, dotychczas nie rozplątanym, świadczą wszystkie moje książki [...] dla mnie, tak jak to odczuwam od środka, nie jest nadal jasne, czy ten mój konflikt nie był racjonalizacją zasadniczego konfliktu z wszelką ludzką wspólnotą i moja połączona z przywiązaniem niechęć była zawsze zaprawiona poczuciem winy<sup>23</sup>.

Polska. Dlaczego tylko co najniższe, dlaczego tylko co najwyższe, a nic pośrodku? I dlaczego wierność polskości obraca się na tej polskości szkodę, a bunt przeciwko polskości jest jej uświetnieniem?<sup>24</sup>

Sprzymierzeńcem Miłosza w dystansowaniu się do polskości był Witold Gombrowicz, a przykładem wyjątkowego jej odczuwania i idealizowania był według niego Jan Lechoń, który przyplącił to odgrodzeniem się od świata.

Warunkiem wyjścia poety emigranta ku światu, ucieczki przed zamknięciem się w emigracyjnym getcie było zdaniem Miłosza wyzwolenie się z „polskich udręk”, obsesji, urazów, kompleksów i garbów; tradycyjnie z emigracją związanych tęsknot, me-

<sup>20</sup> Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, s. 120.

<sup>21</sup> Czesław Miłosz, *Inne abecadło*, Kraków 1998, s. 11.

<sup>22</sup> Czesław Miłosz, *Abecadło Miłosza*, s. 202.

<sup>23</sup> Czesław Miłosz, *Ziemia Ulro*, s. 261.

<sup>24</sup> Czesław Miłosz, *Nieobjęta ziemia*, Kraków 1984, s. 66.

lancholii, nostalgii, łatwych sentymentów. Toteż nie podobało mu się odczytanie *Doliny Issy* przez twórców adaptacji filmowej tej powieści jako utworu sentymentalno-emigracyjno-nostalgicznego. Wskazywał, że powieść ma mały związek z emigracyjną tęsknotą do ojczyzny. „Była samodzielnym zabiegiem wymierzonym przeciwko pokusom Hegla”<sup>25</sup>.

Z tych samych powodów z radością witał nowe wiersze Stanisława Barańczaka w 22 numerze „Zeszytów Literackich”: „Nareszcie skończyła się faza pośrednia, jego lenienia, wąż zostawił starą skórę (polskich udręk) za sobą”<sup>26</sup>.

Uwalnianie się od „polskich udręk”, wznoszenie się ku najszerszym horyzontom, rozległym przestrzeniom (pojmowanym dosłownie i metaforycznie), ku zagadce bytu i istnienia, ku uniwersalnym niepokojom metafizycznym nie oznaczało odchodzenia od macierzystego języka. Przeciwnie, Miłosz właśnie, myśląc o swoim przypadku, podkreślał, że nie można zmieniać języka, który stanowi o zmieniającej się pod wpływem przebywania w świecie ciągłej tej samej tożsamości:

Niemówność zmiany języka, co jest moim przypadkiem, oznacza, że pozostaliśmy tacy sami, jak byliśmy wtedy, kiedy opuszczaliśmy rodzinną wieś czy miasto młodości, i jesteśmy podróżującą monadą, chłonącą barwy i dźwięki szerokiego świata, zarazem jednak obojętną na zewnętrzne wpływy<sup>27</sup>.

Miłosz mógłby pisać po angielsku, ale robił to niechętnie. Postrzegał siebie jako wiernego sługę polskiego języka: „Nie znoszę pisać w obcym języku, nie umiem pisać w obcym języku”<sup>28</sup>. „Rad jestem, że z uporem trzymałem się mego języka, dlatego po prostu, że byłem poetą polskim i nikim innym być nie mogłem”<sup>29</sup>. Zaznaczał, że swoją twórczością należy „do gospodarstwa polskiej literatury i żadnego innego”<sup>30</sup>.

Warunkiem swobodnego pisania („Iść za swobodnym ruchem ręki”<sup>31</sup>) jest zapomnieć, że poza polskimi czytelnikami są jeszcze jacyś inni, pisać tylko po polsku, dla polskich czytelników: „tylko paru polskich czytelników powinienem w myśli mieć przed sobą”<sup>32</sup>.

W świetle tych słów można sobie wyobrazić dramat poety, który przez kilka dziesięcioleci odcięty był od swych czytelników, poczucie jego wielkiej goryczy, która dyktowała mu słowa:

Czyż na to ćwiczyłem siebie, Jedynego  
Żeby układać strofy dla mew i mgieł od morza?<sup>33</sup>

Ale również poczucie szczęścia, gdy po latach jego książki zaczęły wpływać do kraju wysokimi nakładami.

(Jeden z dotkliwszych paradoksów sytuacji poety na emigracji polegał właśnie na tym, że dopóki jest w kraju, nie może się zwracać do swoich czytelników pełnym głosem)

<sup>25</sup> Czesław Miłosz, *Inne abecadło*, s. 153.

<sup>26</sup> Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, s. 231.

<sup>27</sup> Czesław Miłosz, *Życie na wyspach*, Kraków 1997, s. 81.

<sup>28</sup> Czesław Miłosz, *Ziemia Ulro*, s. 25.

<sup>29</sup> Tamże.

<sup>30</sup> Tamże, s. 26.

<sup>31</sup> Tamże, s. 24.

<sup>32</sup> Tamże, s. 26.

<sup>33</sup> Cytat z wiersza *Czarodziejska góra*, cyt. za: Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. II, s. 281.

sem, gdyż oddziela go od nich bariera cenzury. Na wygnaniu może mówić, pisać wszystko, ale nikt go nie słyszy).

Język polski, polszczyznę nazywał Miłosz swoją matką, swoim domem, z którym wędruje po świecie. Nie ograniczał się do języka polskiego wyniesionego z kraju. Przyglądał się zmianom, jakim on ulegał, wprowadzał je do swoich tekstów, jeśli uznał to za uzasadnione. Miał poczucie, że tworzeniem w języku polskim włącza się w polskie dzieło zbiorowe, które rozwija się w ciągu wielu pokoleń: „Nie można też uniknąć myślenia o historii tego kraju, przerażającej”<sup>34</sup>.

Wprawdzie na obczyźnie utrudniony jest dopływ świeżej, żywej mowy, żargonu ulicy, nowo powstałych idiomów, niemniej długi pobyt za granicą nie musi prowadzić do zubożenia języka. Odkrywa się jego nowe aspekty, niuansy i tonacje, wyraźniejsze w opozycji do obcego języka w nowym otoczeniu. W ten sposób uzyskuje się czystość słownictwa, równowagę składni, rytmiczną ekspresyjność.

Trudniej pisarzowi przebywającemu na emigracji przychodzi wyznaczenie swemu dziełu funkcji w rozwoju historii literatury swego kraju, pojętej jako jeden organizm. Wymaga to stałych rozrachunków z tradycją literacką, poszukiwania żywych źródeł, stałej obserwacji literatury współczesnej. Miłosz dochodził do wniosku:

Pewne gatunki literackie (na przykład powieść realistyczna) i pewne style z samego założenia nie mogą być uprawiane na wygnaniu [...]. Warunki wygnania, wymuszające na pisarzu rozliczne perspektywy, sprzyjają innym gatunkom i stylom, szczególnie tym, które są związane z symboliczną transpozycją rzeczywistości<sup>35</sup>.

Do tego uogólnienia można zgłosić pewne wątpliwości. Na przykład proza Józefa Mackiewicza i Danuty Mostwin nie potwierdza pełnej słuszności rozumowania Miłosza. Bardziej ono przystaje do jego własnej drogi twórczej i przez niego uprawianych gatunków literackich i stylów.

W *Notach o wygnaniu* spisywanych przez Miłosza w 1975 roku jest też miejsce na myśli o rozpacz pisarza emigranta. Ma ona – według niego – trzy główne przyczyny. Pierwsza polega na utracie imienia. Twórca, znany w kraju, po udaniu się na emigrację traci odbiorców swoich dzieł, staje się człowiekiem anonimowym, nikt go nie zna. Druga polega na wyjściu ze wspólnoty, z którą łączyły go wspólne i zrozumiałe obyczaje, rytuały, jakieś społeczne więzi. Po opuszczeniu kraju znajduje się on nagle zupełnie izolowanym, z poczuciem straty, przegranej. Trzeba mieć dużą odporność psychiczną, by znieść tę izolację. Trzecia przyczyna rozpacz tkwi w udęcie moralnej. Zerwanie ze swoim krajem, ze swoją grupą, z kolegami staje się moralnie dwuznaczne i podejrzane, co szczególnie zaznaczyło się w opiniach o decyzji Miłosza.

Udziałem emigranta jest też niepokój z powodu znalezienia się w nieznanym, nowym otoczeniu. Nie ma już w nim dotychczasowego układu odniesienia pomagającego zorganizować czynności i ich cele. Czuje się wyrzucony z historii. Okazuje się, że „wygnanie nie polega tylko na przekraczaniu granic, bo dojrzewa w nas, przekształca nas od środka i staje się naszym losem”<sup>36</sup>.

Wytwarza się podwójna lojalność: względem kraju przodków, z którego się wyszło, gdzie zostały znajome i bliskie barwy, kształty, wszystko, co formowało dzieciństwo – i względem teraźniejszości wśród obcego żywiołu. Emigrant coraz bardziej się z nim

<sup>34</sup> Czesław Miłosz, *Abecadło Miłosza*, s. 205.

<sup>35</sup> Czesław Miłosz, *Zaczynając od moich ulic*, Wrocław 1990, s. 47.

<sup>36</sup> Czesław Miłosz, *Szukanie ojczyzny*, Kraków 1992, s. 178.



oswaja, a nawet zaczyna uważać go za swój. „Ta podwójna lojalność sprawia, że jesteśmy różni od naszych nowych współobywateli”<sup>37</sup>.

Przyczyną emigracyjnej choroby duchowej, a nawet i fizycznej może być trudność wkomponowania się w nową przestrzeń otaczającą. Tam, gdzie człowiek się urodził, wzrastał, dojrzał – czuł się bezpiecznie, jak w domu. Orientował się – nawet podświadomie – w kierunkach świata i jego topografii. Emigrant, rzucony w inną przestrzeń staje się wygnańcem również w sensie geograficznym. Musi na nowo rozpoznawać i organizować przestrzeń, w której się znalazł, na nowo ustalać swoje strony świata i umieścić w nim swój ważny, stały, stale obecny punkt; swój Witebsk czy Dublin.

Wymieniając te miasta, miał Miłosz na myśli Marca Chagala i Samuela Becketta. Mówiąc o Miłoszu, możemy dorzucić Wilno, do którego odnoszą się słowa jego wiersza:

Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać.  
Długa była mila, ale cofało mnie jak figurę w szachach.  
Uciekałem po ziemi obracającej się coraz prędzej  
A zawsze byłem tam...<sup>38</sup>

Nowa, nieznaną i, niewspółmiernie do wcześniej przyswojonych, ogromną przestrzeń, do której emigrant w Stanach Zjednoczonych zostaje nagle wrzucony, może być powodem aż fizycznego bólu, o którym mówi Miłosz w wierszu *Dużo śpię*.

Miłosz przypuszcza nawet, że zachodzi stosunek zależności między poczuciem wyobcowania pisarza emigranta w nowej przestrzeni a uniwersalnością jego twórczości. „Nawet więcej, żeby wyrazić egzystencjalną sytuację nowoczesnego człowieka, musi żyć na jakimś wygnaniu”<sup>39</sup>. Jako przykład i dowód słuszności tej tezy wskazywał na sztukę Samuela Becketta”.

Wygnanie przynosi wolność wewnętrzną, ale i samotność, która jest stałą chorobą emigranta. Obcuje on z ludźmi powierzchownie, jest zamkniętym mizantropem w swoim świecie, oddzielonym jak przezroczystą szybą od otoczenia, które obserwuje, ale z którym nie ma kontaktu. „Wygnanie niszczy, ale jeżeli Ciebie nie zniszczy, będziesz dzięki niemu silniejszy”<sup>40</sup>.

Czesława Miłosza uczyniło silniejszym. Wyplął na olbrzymie przestrzenie, wybił się na wielkość, wyzwolił się z pętających go sprzeczności.

I było dane Czesławowi Miłoszowi powrócić do ojczyzny. Powrócił do Polski. Powrócił z Perłą, jak ów syn królewski z apokryficznego *Hymnu o Perle*. Odwiedził też, po pięćdziesięciu latach, rodzinną Litwę: „Ogromna siła i głębia przeżycia takiej chwili zaprawiona była melancholią, bo nie można dwa razy wstąpić do heraklitejskiej rzeki”<sup>41</sup>. W wierszu *Łąka* przywołującym wspomnienie Mickiewiczowskiego *Polaty się lzy* tak to wyraził:

Była to łąka nadrzeczna, bujna, sprzed sianokosów,  
W nieskazitelnym dniu czerwcowego słońca.  
Całe życie szukałem jej, znalazłem i rozpoznałem,  
Rosły tu trawy i kwiaty kiedyś znajome dziecku.  
Przez na wół przymknięte powieki wchłaniałem światłość

<sup>37</sup> Tamże, s. 180.

<sup>38</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. II, s. 126.

<sup>39</sup> Czesław Miłosz, *Szukanie ojczyzny*, s. 182.

<sup>40</sup> Tamże, s. 185.

<sup>41</sup> Czesław Miłosz, *Życie na wyspach*, s. 81.

I zapach mnie ogarnął, ustało wszelkie wiedzenie.  
Nagle poczułem, że znikam i płacę ze szczęścia<sup>42</sup>.

Nagromadzona w ciągu dziesięcioleci, skrywana i hamowana gorycz emigranta doszła do głosu w jednym z późnych, już na parę tylko lat przed śmiercią napisanym wierszu *Emigrować*:

W snach powracają do mnie lata na obczyźnie.  
I tylko wtedy wiem, ile cierpiałem.  
Nasze minione życie jest zakryte,  
Albo zamurowane, jak to robią pszczoły,  
Zalepiając woskiem miejsca uszkodzone.

Kto potrafiłby istnieć, zachowując pamięć  
Wszystkich poniżeń naszej wyniosłej ambicji,  
I pobłażliwych spojrzeń na biedaka,  
Który myśli, że, tak jak w domu, jest tutaj coś wart?

Gdybym dla młodych układał świadectwo,  
Nie wspomniałbym ni słowa o sukcesie.  
który owszem, bywa, i jest gorzki<sup>43</sup>.

---

<sup>42</sup> Czesław Miłosz, *Łąka*, z cyklu: *Litwa po pięćdziesięciu dwóch latach*, „Zeszyty Literackie” Lato 1993, nr 43, s. 9.

<sup>43</sup> Czesław Miłosz, *Druga przestrzeń*, Kraków 2002, s. 18.

## Książka fałszywych prognoz. O Zniewolonym umyśle Czesława Miłosza

Wkrótce po zakończeniu drugiej wojny światowej, już w grudniu 1945 roku, Czesław Miłosz wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie rząd polski wysłał go na placówkę dyplomatyczną. W roku 1946 pracował w polskim konsulacie w Nowym Jorku. W roku następnym (1947) został przeniesiony jako *attaché* kulturalny do Waszyngtonu. Latem 1949 roku przyjechał na krótko do Polski. Według późniejszych wspomnień poety i budowanych na tych wspomnieniach komentarzy, to był właśnie czas, w którym doznał wstrząsu na widok zmian zachodzących w Polsce.

W 1950 roku był już Miłosz w Paryżu na stanowisku I sekretarza ambasady polskiej w stolicy Francji. W końcu tego roku, na święta Bożego Narodzenia przyjechał do Warszawy. Polskie władze odebrały mu wówczas paszport. Odzyskał go dzięki wstawiennictwu Zygmunta Modzelewskiego u Bolesława Bieruta. Ówczesny minister spraw zagranicznych ręczył za powrót poety-dyplomaty do kraju. Na początku 1951 roku Czesław Miłosz wyjechał do Paryża. 1 lutego zwrócił się do władz francuskich o azyl polityczny.

W pierwszych kilku latach po wojnie nie wysyłano na placówki dyplomatyczne przegranych polityków lub różnych „zasłużonych”, których trzeba było jakoś „urządzić”. Chętnie wówczas – i na ogół z niezłym pożytkiem – powierzano obowiązki dyplomatyczne również pisarzom znanym z lewicowych poglądów, a przynajmniej z autentycznej sympatii dla lewicy, jaką manifestowali przed rokiem 1939. Wśród takich był również Czesław Miłosz.

Nie zaprzeczał on nigdy swoim związkom z przedwojenną lewicą. Tylko niektórym komentatorom jego twórczości było to niewygodne i woleli je przemilczeć. Po wielu latach Miłosz powie o sobie z lat trzydziestych:

Przeżywałem okres jakiegoś niżu, 1932 – to był okres lewicowych, nieokreślonych ciągot. Dziwne środowisko... [...]. Nie chcę sprawiać wrażenia, że byłem prawdziwie lewicowym w sensie fanatyzmu marksistowskiego, ale jednakże miałem te skłonności<sup>1</sup>.

To on nawet, jak informował, był autorem pomysłu, by lewicowemu pismu wileńskiemu, po likwidacji „Po prostu” dać tytuł „Karta”. Własne w niej publikacje później skomentował: „I wtedy wydrukowałem artykuł zupełnie odcinający się od stalinizmu.

---

<sup>1</sup> Renata Gorczyńska (Ewa Czarnecka), *Podrózny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze*, Kraków 1992, s. 27 i 41.

Że owszem, chętnie podpisuję deklarację tego frontu, ale nie chcę iść z tymi, którzy pod pretekstem kultury chcą z niej wypruć bebechy. To było wyraźnie powiedziane”<sup>2</sup>.

Nie przeszkadzało to jednak Miłoszowi opowiedzieć się po wojnie za podstawowymi przemianami w Polsce. Jego ówczesne oświadczenia, dotyczące zarówno reform ekonomicznych, jak i przeobrażeń społecznych, także problemów politycznych nie sprawiają wrażenia, że mają coś wspólnego z podwójnym myśleniem, z „doublethinkiem” czy z „Ketmanem”. Droga Czesława Miłosza do afirmacji głównych rozstrzygnięć w powojennej Polsce, na pewno niełatwa i obfitująca w komplikacje, które jednak nie przesądziły o zasadniczej postawie w pierwszych kilku latach po zakończeniu wojny, prowadziła, podobnie jak w przypadku jego wybitnych rówieśników – na przykład Kazimierza Wyki albo Ksawerego Pruszyńskiego – przez surową ocenę Polski przedwrzesniowej i zdecydowanie krytyczny dystans do politycznych, ideowych, intelektualnych horyzontów emigracji londyńskiej.

Kiedy w 1949 roku ukazała się w Paryżu książka Aleksandra Janty *Wracam z Polski*, która ściągnęła na autora duże i długotrwałe przykrości doznawane od środowisk emigracyjnych w Londynie, Czesław Miłosz wystosował do niego list z Waszyngtonu, w którym brał go w obronę, stawał – w trudnej chwili – po jego stronie i przy okazji wyraził własny stosunek do powojennych przemian w Polsce oraz do polityków emigracyjnych. Styl listu, miejsce i okoliczności jego napisania nie uzasadniają powątpiewania w szczerłość wyrażonych w nim poglądów:

Nie dziwię się, że na emigracji są na Ciebie wściekli. Chciałeś napisać książkę zupełnie obiektywną, ale rzeczywistość, kiedy się ją przedstawia zupełnie obiektywnie, ma też swoje prawa (*vide* wydźwięk powieści Balzaka czy Flauberta). Otóż, kiedy stonować sprawy emocjonalne, wychodzi na plus tej polskiej ewolucji, a w każdym razie na plus logiki Polaków w kraju. Co więcej, jeżeli czytelnik Twojej książki jest np. sanatorem czy endekiem, zapada mu się grunt pod nogami bo – jeżeli nie jest wariatem – widzi, że nawet zakładając bliską wojnę i szybkie (np. w ciągu 5–10 lat) zwycięstwo Ameryki – punktem startu może być nie założenie iluś tam sklepów i oddanie fabryk ich właścicielom – ale dyskusja o metodach pracy w fabrykach państwowych czy też o mechanizacji rolnictwa – więc o warunkach pewnego istniejącego już systemu, co wyłoniliby ze siebie ludzie krajowi i fachowi – a on już nie ma nic do powiedzenia. Tak więc Twój obiektywizm doprowadził, siłą samej logiki, do zadania politykom emigracyjnym dużego ciosu<sup>3</sup>.

Przytoczone słowa pochodzą z czasu, gdy Czesław Miłosz był jeszcze polskim dyplomata. Podobną opinię powtórzył parę lat później, kiedy był już emigrantem, w liście do Melchiora Wańkowicza z 1952 roku:

Polski lat 1945–1951 nie wolno traktować *en bloc*, bo to prowadzi do karygodnych błędów [...]. A w literaturze, w nauce, żeby tak mogło być jak do 1948, to może lepiej znacznie byłoby niż to, co by mogła dać jakakolwiek emigracja po jakimkolwiek powrocie<sup>4</sup>.

Nie tylko w prywatnym liście tak krytycznie odnosił się do emigracji. Podobną, nawet ostrzej sformułowaną opinię o niej zawarł w pierwszym artykule emigracyjnym *Nie*,

<sup>2</sup> Tamże, s. 42.

<sup>3</sup> *Janta – człowiek i pisarz*, praca zbiorowa pod redakcją Jerzego Krzyżanowskiego, Londyn 1962, s. 295–296.

<sup>4</sup> *Korespondencja Wańkowicz – Miłosz*, „Zdanie” 1988, nr 7–8, s. 100.

co mu bynajmniej nie ułatwiło i tak bardzo trudnego przejścia od statusu dyplomaty Polski Ludowej do statusu politycznego emigranta:

Poza tym mój stosunek do emigracji polskiej był co najmniej ironiczny: na kimś, kto rozumiał dynamikę przemian zachodzących w Polsce, sprawy kilkuosobowych stronnictw robiły wrażenie bezużytecznej zabawy, a same postacie tych polityków wyglądały na figury z wodewilu<sup>5</sup>.

Znaczna część emigrantów, zwłaszcza ta, która skupiała się wokół wychodzących w Londynie „Wiadomości”, a także przebywający w Nowym Jorku (Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński) przyjęła przybycie Miłosza na emigrację złośliwie, szyderczo, wrogo. Jedyne Jerzy Giedroyc (który notabene do tej decyzji się przyczynił) podał mu pomocną dłoń. Zamieścił też w „Kulturze” *Oświadczenie*. Podpisani pod nim pisarze emigracyjni brali Miłosza w obronę przed „nagonką” na niego, prowadzoną przez „Wiadomości”. Przyjmując do niego stosunek „życziwej czujności”, wyrażali oczekiwanie, że „nowo przybyły emigrant [który] współpracował aktywnie z reżimem [...] przedstawi swą sprawę publicznie”<sup>6</sup>.

Wśród podpisanych pod *Oświadczeniem* był między innymi Melchior Wańkowicz. To ułatwiło Miłoszowi nawiązanie z nim korespondencji. W pierwszym do niego liście z 7 stycznia 1952 roku napisał: „Chcę Panu podziękować za złożenie podpisu pod oświadczeniem w »Kulturze«”<sup>7</sup>.

Wańkowicz na list odpisał. Życzliwie, ale surowo przekazywał mu swoją negatywną ocenę jego służby na rzecz rządu warszawskiego. Radził mu: „Jeśli Pan chce żyć jako pisarz, musi Pan odrobić to, co najostrożniej określamy jako egotyzm. Z tej strony jest to proces mniej przykry niż kajanie się, ale uciążliwszy: zleźć z trybuny, dać zapomnieć o sobie i napisać coś wartościowego”<sup>8</sup>.

Oczekiwanie zawarte w *Oświadczeniu* „Kultury”, a także rada udzielona przez Wańkowicza utwierdzały Miłosza w zamiarze, który już od pewnego czasu realizował. Pracował już nad utworem, którego fragmenty zamieszczał w „Kulturze”, a który, wydany w formie książkowej w 1953 roku miał otrzymać tytuł *Zniewolony umysł*, i okazał się „czymś wartościowym” oczekiwanym przez Wańkowicza – przedstawieniem przez Miłosza „swej sprawy publicznie”, czego oczekiwali sygnatariusze *Oświadczenia*.

Po wyjściu z druku *Zniewolonego umysłu* pisał o nim Karl Jaspers:

Praca ta opisująca konkretne doświadczenia – choć bez wymieniania nazwisk – należy do rzędu książek, w których ci, co zerwali ostatecznie z reżimem ich krajów, odsłaniają ukryte jego aspekty. Kłopotliwość takiego demaskowania łagodzona jest już przez fakt, że wiedzy użyć nam może tylko ktoś, kto brał w tym udział i analizując własne impulsy, zdolny jest pojąć, co się tam w gruncie rzeczy dzieje.

Z myślą o takich jak Miłosz Jaspers dodawał: „Dzięki powadze swego doświadczenia ukazanego w jego całej nagości, pokażą oni, jeżeli zachowali jako obywatele świata swoją wolność ludzką, to co jest jeszcze możliwe”<sup>9</sup>.

<sup>5</sup> Czesław Miłosz, *Nie*, „Kultura” 1951, nr 5. Cyt. za: *Wizja Polski na lamach „Kultury” 1947–1976*, do druku przygotowała, wstępem, przypisami i indeksem opatrzyła Grażyna Pomian, Lublin 1999, t. II, s. 300.

<sup>6</sup> Czesław Miłosz, *Oświadczenie*, „Kultura” 1952, nr 1. Cyt. za: tamże, s. 330.

<sup>7</sup> *Korespondencja Wańkowicz – Miłosz*, s. 96.

<sup>8</sup> Tamże, s. 98.

<sup>9</sup> Karl Jaspers, *O książce Miłosza*, „Kultura” 1953, nr 6.

Słowa Jaspersa podkreślające ową głęboką znajomość „ukrytych aspektów reżimu”, mówiące o „powadze osobistego doświadczenia ukazanego w jego całej nagości”, trzeba w tym przypadku uznać za przesadne. Spojrzenie Miłosza na zjawiska przedstawione w *Zniewolonym umyśle* nie było spojrzeniem od wewnątrz w takim stopniu, w jakim to się rysuje w odbiorze niemieckiego filozofa. Czesław Miłosz jako polski dyplomata znać musiał wiele tajników ówczesnego systemu politycznego, zwłaszcza te z nich, które łączyły się ze służbą zagraniczną. Niemniej jako oddalony od kraju pisarz nie miał warunków wniknięcia we wszystkie istotne elementy tego, co wchodziło w życie polskie na przełomie lat 1948–1949 i w kilku latach następnych. A już na pewno – bo świadczą o tym jego diagnozy i prognozy – nie mógł obserwować i znać zróżnicowanego zachowania się pisarzy w tym czasie. Zmiany polityczne, które zachodziły w Polsce między rokiem 1945 a 1950 oraz ich konsekwencje dla polskiego życia intelektualnego Czesław Miłosz obserwował ze znacznego dystansu: ze Stanów Zjednoczonych, później – krótko – z Paryża.

Taka pozycja obserwacyjna ma dużo dobrych stron, bez niej może w ogóle nie powstałby *Zniewolony umysł*. Ale wynikający z niej dystans, czasem sprzyjający chłodnej analizie, powoduje również że – ze względu na brak warunków pełniejszego i bardziej wszechstronnego poznania zjawiska – nie wszystkie diagnozy i prognozy okazują się trafne.

I co nie mniej ważne: Miłosz nie był obiektywnym i bezstronnym analitykiem opisywanych przez siebie zjawisk. Z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, był w stanie dużego dyskomfortu moralnego ze względu na ów „pakt diabelski”, który zawarł z władzami polskimi, a któremu zawdzięczał korzystną i kuszącą go w swoim czasie karierę dyplomatyczną z przebywaniem w Stanach Zjednoczonych. W ostatnim wywiadzie udzielonym już na krótko przed śmiercią powiedział o *Zniewolonym umyśle*: „Przed wszystkim pisałem tę książkę pod wpływem głębokiego wewnętrznego konfliktu”<sup>10</sup>.

I po wtóre, Miłosz pisał ją w szczególnych okolicznościach i w szczególnym czasie. Wiedział, czego od niego teraz, po przybyciu na emigrację, się oczekuje, wiedział, że musi uzasadnić swoją decyzję, wytłumaczyć się z niej przed opinią emigracyjną, która oczekiwała od niego „przedstawienia swej sprawy publicznie”. I to będzie owym „czymś wartościowym”, czego napisanie doradzał mu Wańkowicz. *Zniewolony umysł* jest książką pisaną na zamówienie.

Istotny jego sens zawężał Miłosz do ataku na te niekorzystne zmiany w Polsce, które zaczęły pojawiać się w 1948 roku i zapowiadały nadchodzącą kilkuletnią stalinizację. Podkreślał: „Warto zauważyć, że przedmiotem mojego ataku jest Nowa Wiara, stalinizm, socrealizm, a nie komunizm, który jest zjawiskiem zbyt złożonym, zbyt »proteuszowo zmiennym«”. Nie kwestionował wartości marksizmu: „Jest to dla ludzi współczesnych pierwsza, bądź co bądź, próba całościowego ogarnięcia historycznych współzależności, mniejsza z tym, w ilu punktach słuszna, w ilu mylna”<sup>11</sup>.

Do Wańkowicza pisał: „Komuniści we Francji mają najwybitniejsze umysły i dyskutują problemy, o których nigdy się nie śniło polskim emigrantom”<sup>12</sup>.

Później jednak Miłosz popadł w sprzeczności z samym sobą sprzed lat. Jakby ulegał prezentystycznym nastrojom lub też zamazywała się w jego pamięci chronologia zachowania

<sup>10</sup> W *służbie słowa...*, z Czesławem Miłoszem rozmawiała Małgorzata Anna Packalen, „Relacja” (Sztokholm), 2004, nr 11.

<sup>11</sup> Czesław Miłosz, *Odpowiedź*, „Kultura” 1959, nr 4, s. 152.

<sup>12</sup> *Korespondencja Wańkowicz – Miłosz*, s. 102.

dzących w powojennej Polsce procesów, albo też – co wydaje się najbardziej prawdopodobne – usiłował maksymalnie rozszerzyć w czasie prowadzony przez siebie przewód rehabilitacyjny. Zbyt łatwo mu przychodziło stawianie znaku równości między sytuacją w Polsce w latach 1945–1948 a tym, co zaczynało się pod koniec tego okresu i określiło oblicze pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Dojdzie do tego, że zacznie utożsamiać, albo prawie utożsamiać *Traktat moralny* ze *Zniewolonym umysłem*. Powie: „Z niejakim humorem myślę, że cały *Zniewolony umysł* był już w poemacie *Traktat moralny* ogłoszonym w 1948 roku w Polsce”<sup>13</sup>. W rozmowie z Ewą Czarnecką stwierdził, że *Traktat moralny* (napisany w 1947 roku) był kpinią z socrealizmu i że widzi w nim szkic *Zniewolonego umysłu*. A to zachęci rozmówczynię do postawienia jeszcze jednego kroku w tym kierunku: „Wobec tego przejdźmy do rozwinięcia myśli *Traktatu moralnego* w prozie, czyli do *Zniewolonego umysłu*”<sup>14</sup>. I oto doszło do rażącego uproszczenia podyktowanego najpewniej chęcią przedstawienia w możliwie korzystnym świetle siebie z lat czterdziestych.

W 1947 roku nie było mowy w Polsce o socrealizmie, a polskich spraw poemat dotyczy. Jego przesłaniem zwróconym zarówno do czytelnika, jak i do podmiotu obecnego w tekście jest zobowiązanie do strzeżenia zagrożonych wartości, działania na rzecz minimalizowania negatywnych skutków przemian, zgodnie z przekonaniem:

Nie jesteś jednak tak bezwolny,  
A choć byś był jak kamień polny,  
Lawina bieg od tego zmienia,  
Po jakich toczy się kamieniach<sup>15</sup>.

Przesłanie *Zniewolonego umysłu* jest zupełnie inne. Odwołuje się do Ketmana. I w sprzeczności z nim mówi o „heglowskim ukąszeniu”. Uzasadnić ma odejście na emigrację polityczną dotychczasowego dyplomaty służącego „reżimowi”. Notabene sprzeczności wystąpią i w innych kwestiach. W rozmowie o *Traktacie moralnym*, wyjaśniwszy, że UB i Władysława Gomułkę miał na myśli, gdy pisał:

Unikaj tych, co w swoim gronie  
Pograwszy w polityczne konie,  
Gdy na kominku ogień trzaska,  
Wołają: lud, a szepczą: miazga<sup>16</sup>.

wyraził zdziwienie, że Władysław Gomułka, tak powszechnie nieakceptowany, wracał do władzy w 1956. Zapomniał jakby, że głosujący na Gomułkę mogli kierować się jego właśnie apelem. Bo to podczas wyborów do sejmu w 1957 roku rozgłośnia BBC nadała jego, Czesława Miłosza, wezwanie do głosowania na Gomułkę, co podjęła i upowszechniła polska prasa<sup>17</sup>.

Czesław Miłosz opowiadał, jaką to dziwną miał przygodę, kiedy na festiwalu poetyckim w Rotterdamie w 1975 roku spotkał poetę z Indonezji, bardzo rewolucyjnego poetę, porównywalnego z Majakowskim:

<sup>13</sup> Renata Gorczyńska (Ewa Czarnecka), *Podróżny świata...*, s. 75.

<sup>14</sup> Tamże, s. 76.

<sup>15</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 2, Kraków 2002, s. 89.

<sup>16</sup> Tamże, s. 96.

<sup>17</sup> Zob. Czesław Miłosz, *List do polskich komunistów*, „Kultura” 1959, nr 11.

I kiedy dowiedział się, jak się nazywam, to aż przysiadł: „Pan nie wie, że pan jest naszym bohaterem narodowym”. „Jak to?” mówię. „Bo pana *Zniewolony umysł* to myśmy przetłumaczyli i rozpowszechniali. I to jest nasza główna broń w walce z obecnym rządem”. To ja mówię: „Przecież wasz rząd jest prawicowy”. On na to: „No tak, ale co to ma za znaczenie – tak samo jest totalitarny. Pan napisał książkę przeciw absolutyzmowi władzy. Ta książka jest ewangelią naszych intelektualistów, którzy walczą z rządem”<sup>18</sup>.

Przyjemne zdziwienie Miłosza, że jego książka trafiła również do dalekiej Indonezji, jest zupełnie zrozumiałe. Ale jego zaskoczenie tym, że *Zniewolony umysł* może być orężem w walce przeciw prawicowym rządowi, już raczej dziwi.

Przenikliwsi czytelnicy bardzo szybko spostrzegli możliwą wieloznaczność i różnorodną funkcję książki, a to, że autor nie był jej świadomy, zapisywali mu *in minus*. Do takich czytelników należał Jerzy Stempowski, który od razu po lekturze fragmentów *Zniewolonego umysłu* ukazujących się na łamach „Kultury” pisał do Krystyny Marek:

To, co Pani pisze o „ketmanie” Miłosza, jest tylko częściowo słuszne. Szkoda, że o tej sprawie pisali głównie ignoranci, jak Orwell i Miłosz, do którego napisałem list proponujący parę poprawek. „Doublethink” czy „ketman” mają za sobą wielką przeszłość i tradycję datującą się jeszcze od filozofii stoickiej. W pismach Descartes’a trudno jest często odróżnić to, co pisze na serio, od tego, co pisze dla zmylenia cenzury i zmylenia jezuitów. W „El discreto”, przewodniku dla młodzieży na dworze hiszpańskim, napisanym przez Baltazara Graciana, jest cały subtelny i niemal piękny system obłudy. Klasycznym przykładem „doublethinku” nowożytnego jest „Seven Pillars of Wisdom”. Zjawisko to przekracza znacznie granice krajów satelickich, znane jest także w demokracjach i zasługuje na szersze traktowanie. Obecne czasy dla różnych względów zdają się sprzyjać odrodzeniu tego zjawiska. W Europie, ściśniętej między światowymi potęgami militarnymi, można mu wróżyć wielką przyszłość. Może kiedyś sam napiszę podręcznik „ketmana” oparty na najślawniejszych wzorach<sup>19</sup>.

Jerzy Stempowski nie napisał – niestety – zapowiadanego podręcznika „Ketmana”, niemniej w przytoczonym liście trafnie wskazał na jedną ze słabszych stron horyzontów wpisanych w *Zniewolony umysł*. Ostatnie dekady w Polsce, poczynając od roku 1981, również przyniosły zdarzenia i okoliczności, które wielokrotnie potwierdzały spostrzeżenia Jerzego Stempowskiego, że „Ketman”, podwójne myślenie, przemieszcza się w czasie i społecznej przestrzeni. Komentarz Miłosza do *Zniewolonego umysłu*, zawierający się w słowach: „Niech to, co powinno być powiedziane, będzie powiedziane”, w sierpniu 1980 roku i w roku następnym był sztandarowym hasłem społecznego protestu. W późniejszej fazie „solidarnościowego” ruchu ono znikło; w świetle następujących po sobie wydarzeń ujawniała się jego niewygodna dwuznaczność. Aż zaczęło być wprost niebezpieczne dla tych, którzy je wcześniej przywoływali. Jakby więc o nim zapomniano.

Klimatowi zniewolenia umysłowego opisanemu w książce Czesław Miłosz przepowiadała długie, bardzo długie trwanie. Jeżeli przyjąć, z upoważnienia autora, że *Traktat moralny* jest poetycką wersją *Zniewolonego umysłu*, to można się powołać na wersy tego poematu, by wskazać, na jak długi okres skazywał poeta polskie umysły na zniewolenie:

<sup>18</sup> Renata Gorczyńska (Ewa Czarnecka), *Podrózny świata...*, s. 77.

<sup>19</sup> Jerzy Stempowski, *Listy z ziemi berneńskiej*, z przedmową Wiktora Weintrauba, do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa, Londyn 1974, s. 88.



Za sto lat, a może za lat dwieście,  
Gdzieś w Taorminie, może w Trieście,  
We Francji (Chinach Europy),  
Czy tam, gdzie dzisiaj stolic groby –  
Małeńkie centrum nauk błysnie  
I hasło nowej da ojczyźnie<sup>20</sup>.

„Za sto lat, a może za lat dwieście...” *Zniewolony umysł* ukazał się w Paryżu w 1953 roku, a więc w roku śmierci Józefa Stalina, po której, już jesienią tegoż roku, pojawiły się pierwsze symptomy destalinizacji i upominania się umysłu o swoje prawa.

W tym też roku zmarł Konstanty Ildefons Gałczyński. Utwory poetyckie z ostatniego okresu jego życia, pisane w leśniczówce Pranie, a więc w czasie, w którym – według Miłosza – miałyby mnożyć się dowody umysłowego zniewolenia, okazały się najcenniejszą częścią jego poetyckiej twórczości. Zaprzeczyły prognozie stawianej przez autora *Zniewolonego umysłu* rozwojowi „Dety – czyli trubadura”.

Rok 1955 przyniósł zbiór opowiadań Jerzego Andrzejewskiego *Złoty lis*, świadczący o tym, jak krótko „Alfa – czyli moralista” podlegał „zniewoleniu umysłowemu”. Dalszy rozwój twórczości tego autora dostarczał nowych tego potwierdzeń.

A przykład „Bety – czyli nieszczęśliwego kochanka”? Jeżeli przyjąć (ale kto to może, w takim przypadku – wiedzieć, jak było naprawdę? Żona pisarza stanowczo wyklucza śmierć samobójczą<sup>21</sup>) za trafny komentarz Miłosza do śmierci Tadeusza Borowskiego, to ona co najmniej w jednakowym stopniu potwierdza diagnozę Miłosza, jak i jej przeczy. Potwierdza – bo ukazuje bezradność twórczego umysłu i talentu, który sam siebie doprowadza do zniszczenia. Przeczy – bo równocześnie ujawnia świadomość zniewolenia, dramatyczny bunt przeciw niemu, posunięty aż do tragicznej decyzji.

Przypadek „Gammy – czyli niewolnika dziejów” – Jerzego Putramenta, to zupełnie inna sprawa. Pewne zdziwienie nawet wywołuje umieszczenie go w jednym rzędzie z trzema poprzednimi autorami. Putramenta dzieliła od nich ranga talentu, znaczenie i wartość twórczości, rola, jaką świadomie i konsekwentnie – już od czasów lwowskich – pełnił w polskim życiu polityczno-literackim, przyjmując na siebie dobrowolnie obowiązki rzecznika interesów władzy wobec świata kultury.

Tak więc autor *Zniewolonego umysłu* nie okazał się – na szczęście – dobrze przewidyującym prorokiem. Nietrafność jego prognoz można sprowadzić do kilku najważniejszych kwestii.

Po pierwsze, nie uświadamiał on sobie, a przynajmniej dowodów takiej świadomości nie zawarł w książce *Zniewolony umysł*, że jego próba analizy pewnego mechanizmu społecznego i psychologicznego odnosić się może do różnych czasów i różnych społecznych środowisk – na co od razu zwrócił uwagę Jerzy Stempowski. Brak tej świadomości zawęził horyzonty książki, zredukował ją do wymiarów nazbyt doraźnych i nazbyt subiektywnych. Otworzył drogę nietrafnym przewidywaniom, które wypłynęły bardziej z przyjętych uprzednio – przez pragnącego się usprawiedliwić przed emigracyjną opinią autora – nastawień niż z pogłębionej analizy rzeczywistego wyglądu rzeczy. Prowadził do zdemonizowania zjawiska, co – w intencji autora – miało udowodnić bezwzględną słuszność jego decyzji, a w istocie, jeśliby przyjąć roztoczoną przez niego wizję za uzasadnioną, musiałoby prowadzić do kapitulacji, co celnie skomentuje Witold Gombrowicz.

<sup>20</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 2, s. 87–88.

<sup>21</sup> Zob. M. Cichy, *Pożegnanie Marii*, „Gazeta Wyborcza” 27 XII 2001.

Po drugie, autor *Zniewolonego umysłu* pomylił się w przewidywaniu czasu, w którym miałby niepodzielnie panować zniewalający ludzkie umysły stalinizm. Wyzwalanie się z niego nie dokonywało się w jednorazowym akcie, musiało być trudnym, dłużej trwającym procesem. Jego różne pozostałości można było obserwować jeszcze po latach. Niemniej nie należy nie dostrzegać i nie doceniać (co zdarzyło się Miłoszowi) różnych symptomów przezwyciężania, wychodzenia, uwalniania się z owego zniewolenia, które notabene nie w każdym przypadku musiało być naprawdę zniewoleniem, lecz tylko stosowaniem „Ketmana”, co jest zupełnie inną sprawą. W książce Miłosza dochodzi do sprzeczności między „Ketmanem” a „ukąszeniem heglowskim”. Jedno drugie wyklucza. Ktoś, kto stosuje „Ketmana”, nie ulega zniewoleniu, a ktoś, kto uległ „heglowskiemu ukąszeniu”, nie ucieka się do „Ketmana”, nie ma tej potrzeby, bo dał się przekonać „nieuchronnemu rozwojowi dziejów”.

Po trzecie, Czesław Miłosz oparł swoje obserwacje na zbyt wąskim zakresie zjawisk. Swą refleksją nie przekroczył bliżej siebie znanego środowiska. Jakby nie dostrzegał, że postaw polskich pisarzy w powojennych latach nie można sprowadzić do tych trzech, czy czterech, które wybrał jako charakterystyczne i których analiza objaśnić może główne sprawy polskiej kultury i literatury kilku powojennych lat. Nie docenił odporności ludzkich umysłów, w polskich warunkach, na działanie „Nowej Wiary”. Zdobywała ona sobie przekonanych lub fałszywych, koniunkturalnych zwolenników, to prawda, ale poza jej wpływami zachowało się dużo postaw wobec niej sceptycznych, ostrożnych, wątpiących, niepoddających się zawartym w niej sugestiom. Od Jerzego Zawieyskiego, przez Hannę Malewską, Jerzego Szaniawskiego, Marię Dąbrowską, Aleksandra Wata do Andrzeja Stawara. Tłumaczenie się, jakie Czesław Miłosz zawarł w liście do Melchiora Wańkowicza, trudno uznać za przekonujące:

Miałem poczucie, że zrywając, robię źle. Ale byłem w sytuacji bez wyjścia – bo oficjalnym poetą reżimu piszącym ody ku czci nie byłem i nie będę – a to tylko mnie czekało, gdybym nie zerwał<sup>22</sup>.

Takie stwierdzenie jest nie tylko nieprawdziwe, ale i obraźliwe wobec wielu twórców pozostających w kraju, którzy nigdy nie pisali ody ku czci reżimu, a stworzyli wartościowe dzieła literackie. Trudno odmówić racji Henrykowi Grynbergowi:

Lepiej nie wyjeżdżać z kraju, jeśli się absolutnie nie musi. Emigracja przyniosła polskiej kulturze wiele osiągnięć, ale nigdy nie poznamy jej kosztów i strat. [...] Nie każdy, kto wrócił po wojnie do Polski, musiał się wykończyć [...]. Można się było wybronić nie tylko zawodowo, lecz i moralnie [...]. W Polsce komunizm wykończył pisarzy tylko o tyle, o ile sami się wykończyli<sup>23</sup>.

Po czwarte, nietrafne, a na pewno niezupełnie trafne, dalekie od istotnej prawdy, w najlepszym razie zachowujące swą aktualność tylko na bardzo krótki czas okazały się przewidywania Czesława Miłosza w odniesieniu do wybranych przez niego sylwetek znaczących symbolami: Alfa, Beta, Delta.

Koniunkturalne i uproszczone odczytywanie w niedawnym czasie *Zniewolonego umysłu* prowadziło do zobaczenia w nim rzetelnej i pełnowartościowej analizy polskiego wydania stalinizmu. Rzeczywista wartość książki, jej prawdziwa funkcja i znacznie

<sup>22</sup> *Korespondencja Wańkowicz – Miłosz*, s. 100.

<sup>23</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartyścyczna*, Wołowiec 2002, s. 215–216.

głębsze motywy sprawiające, że czyta się ją z autentycznym zainteresowaniem – sytuują się w zupełnie innym kontekście. W kontekście kolejnych wyborów ideowych i pisarskich dokonywanych przez Czesława Miłosza. Wyborów niełatwych, czasem mało przekonujących, zawsze pozostawiających rozterkę. I domagających się uzasadnienia, usprawiedliwienia. Przed samym sobą i przed wyobrażonym czytelnikiem. „W moich motywach – pisał Miłosz do Wańkowicza na początku 1952 roku – mieszają się: ambicja, przywiązanie, obowiązek, strach i nienawiść”<sup>24</sup>.

*Zniewolony umysł* jest książką nie tyle o kilku wybranych przez autora pisarzach, ile o nim samym, o Czesławie Miłoszu.

Jego biografia twórcza składa się z kilku trudnych, ważnych i mających doniosłe konsekwencje wyborów. Kiedy w latach trzydziestych, w klimacie katastroficznych nastrojów skłaniał się ku lewicowym dążnościom, kierowany przez wrażliwość na społeczne bolączki tamtego czasu, miał świadomość ceny, jaką przychodziło mu płacić. Myślał o sztuce, jej wielkości, randze własnego talentu, artystycznych ambicjach. Pisany w 1934 roku wiersz *O książce* świadczy o dokonanych wyborze, ale i o towarzyszącej mu melancholii na myśl o cenie, jaką za ten wybór się płaci:

My niespokojni, ślepi i epoce wierni,  
gdzieś daleko idziemy, nad nami październik  
szumi liściem, jak tamten łopotał sztandarem.  
Wawrzyn jest niedostępny nam, świadomym kary,  
jaką czas tym wyznacza, którzy pokochali  
doczesność, ogłuszoną hałasem metali.  
Więc sławę nam znaczone stworzyć – bezimienną,  
jak okrzyk pożegnalny odchodzących – w ciemność<sup>25</sup>.

Autorem, który ten wiersz zauważył, dobrze zapamiętał i poruszony nim poświęcił mu uwagę w swojej pierwszej, w 1945 roku, w Rzymie wydanej książeczce, był Gustaw Herling-Grudziński. Pisany w lutym 1945 roku, a więc jeszcze w czasie trwania wojny, esej poświęcony temu wierszowi kończył refleksją:

Istnieją pasje, które swą siłą dorównują umiłowaniu książki. Taka jest walka o wolność. Po pięciu latach wojennej rozłąki wchodzę nieśmiało i ze wzruszeniem pomiędzy ściany biblioteki. I widzę, że nie straciłem w więzieniach, na froncie ani jednego dnia, ani jednej godziny. Gdyż sądzę, że zmieniłem tylko na inną samą formę wyznawstwa. Nie przestając wierzyć, budujemy wolno, uporczywie samych siebie wszędzie. I gdy z daleka dochodzą nas coraz częstsze wieści o zabitych i zmarłych uczonych, pisarzach i artystach, gdy rośnie niepowstrzymanie księga strat kultury polskiej, wiemy na pewno, że w ten sposób pogłębia się jeszcze najdroższa i na zawsze zobowiązująca komunia przelanej krwi w obronie książki jedynej i bezimiennej. Tej, którą piszemy teraz wszyscy, najbezwzględniejszą z wojen.

Od ciemności lub jasności czasów, które nadejdą, zależy czy okrzyk nasz będzie pożegnalny<sup>26</sup>.

<sup>24</sup> *Korespondencja Wańkowicz – Miłosz*, s. 100.

<sup>25</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 1, Kraków 2001, s. 79–80.

<sup>26</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Żywi i umarli. Szkice literackie*, Lublin (pierwsze wydanie krajowe), s. 69.

Jest coś, co łączy tę refleksję wywołaną wierszem Czesława Miłosza z późniejszym, wielokrotnie powtarzaniem przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego *ceterum censeo* kwestionującym prawdziwość wyjaśnień zawartych w *Zniewolonym umyśle*. Autor *Innego świata* stanowczo i często (i przekonująco) podważał argumentację Miłosza odwołującego się do „heglowskiego ukąszenia”, odrzucał jego „historyczne” alibi. Źródeł zachowania się prezentowanych przez Miłosza autorów i jego samego dopatrywał się w znieprawieniu, w strachu, w ciągotach do władzy, w zasmakowaniu w dobrobycie i przywilejach.

Dwa lata po wierszu *O książce* powstał bardziej rozwinięty dokument rozterki, utrzymany w stylu dyskursywnym. Były nim drukowane w „Karcie” z 1936 roku *Rozmowy nad Wisłą i Niemnem* – dialog między dwoma wewnętrznymi głosami, z których jeden mówi o obowiązkach i sumieniu, drugi o prawach talentu i o sławie. Decyzja wyboru zapada na rzecz pierwszej postawy, ale pokusy drugiej zapadają w pamięć.

Kolejnym, bardziej dramatycznym świadectwem wyboru, dokonywanego już w innej epoce, był wiersz *W Warszawie* napisany w 1945 roku. Ujawniał on najtajniejsze przysięgi artysty, składane sobie samemu w latach wojny, że „nigdy nie będzie płaczką żalobną”<sup>27</sup>. Przysięgi te – to akt artystycznej samoobrony, tym bardziej dramatyczny i tym głębszą pozostawiający rozterkę, im większej rangi i znaczenia nabierały przeżycia wspólnoty, tradycyjnie oczekującej od swych poetów oplakiwania i czczenia umarłych bohaterów narodowych.

Następnym ważnym ogniwem w szeregu literackich świadectw dokonywanych przez Czesława Miłosza wyborów jest *Zniewolony umysł*. Są w nim godne uwagi elementy diagnozy, mniej przekonujące prognozy, ale nie one stanowią o istocie książki pisanej – jak autor to w przedmowie podkreślał – z myślą nie o polskim czytelniku, lecz o tych czytelnikach, do których przybywał.

*Zniewolony umysł* miał przynieść uzasadnienie wyboru dokonanego przez poetę i dyplomatę polskiego w chwili, gdy go odwołano do kraju. Miał być wyjaśnieniem, usprawiedliwieniem się, aktem swoistej „rehabilitacji” przed polską opinią emigracyjną, która zresztą tego aktu długo przyjąć nie chciała i odnosiła się do nowego przybysza, o takiej proveniencji, z dużą nieufnością, niechęcią, a nawet wrogością. (Książka Czesława Miłosza o Stanisławie Brzozowskim pt. *Człowiek wśród skorpionów* czeka na odczytanie w kontekście przeżyć i sytuacji jej autora w pierwszym okresie emigracyjnego życia). W liście do Thomasa Mertona Czesław Miłosz tak pisał o *Zniewolonym umyśle*: „Ta książka została napisana *in extremis* przez poetę, który nie mógł zwrócić się do obcojęzycznych czytelników wierszem i wahał się pomiędzy dwoma celami: przekazaniem sensu doświadczenia »wschodniego« tym, którzy nie byli z nim obznajomieni, i powiedzeniem prawdy swoim kolegom w Polsce”<sup>28</sup>.

W rzeczywistości *Zniewolony umysł* okazał się nie tyle „powiedzeniem prawdy” kolegom pisarzom w Polsce, ile próbą „wybielenia się” ich kosztem, a nawet – bo i to trzeba powiedzieć – donosem na nich.

Nie mógł on przynosić w pełni poprawnej diagnozy i trafnych prognoz, skoro miał być uzasadnieniem ważnej życiowej decyzji i jej usprawiedliwieniem na tle dotychczasowej biografii autora, a także „zrehabilitowaniem się” przed opinią emigracyjną za dotychczasowe słuźenie Polsce Ludowej. Musiało się więc ukazać sytuację w Polsce

<sup>27</sup> Słowa ujęte w cudzysłów pochodzą z wiersza *W Warszawie* (Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 1, s. 229).

<sup>28</sup> Thomas Merton, Czesław Miłosz, *Listy*, przełożyła Maria Tarnowska, Kraków 1991, s. 12.

w wymiarze zdemonizowanym i pominąć różne alternatywne zachowania się pisarzy polskich w kraju.

Zdemonizowanie świata komunistycznego, niedające się pogodzić z dojrzałością spojrzenia, było głównym powodem krytycznego dystansu Witolda Gombrowicza do *Zniewolonego umysłu*. W komentarzu do niego, myśląc zarówno o Miłoszu, jak i o całym odłamie literatury antykomunistycznej, pisał: „Ponosi was, właściwa artystom, chęć wyjaskrawienia obrazu, nadania mu możliwie największej wyrazistości. Stąd literatura wasza jest wyolbrzymianiem komunizmu i budujecie w wyobraźni zjawisko tak potężne i tak wyjątkowe, iż niewiele brakuje, abyście upadli przed nim na kolana”<sup>29</sup>.

Najlepiej zamknąć te rozważania słowami dedykacji, jaką Czesław Miłosz umieścił na egzemplarzu *Zniewolonego umysłu* ofiarowanemu Aleksandrowi Jancie:

Kto przeciw socrealizmowi wojuje  
Od socrealizmu ginie  
Przyjm i niech to diabli...<sup>30</sup>

<sup>29</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, Kraków 1986, s. 30.

<sup>30</sup> Zawdzięczam tę informację Franciszkowi Palowskiemu.

# „Co czuje się wobec zbyt dużego obszaru”.

## A amerykańska przestrzeń w poezji Czesława Miłosza<sup>1</sup>

Nie byłoby poezji Czesława Miłosza w takim kształcie, w jakim ją znamy, gdyby nie zetknięcie się poety z Ameryką, jej kulturą, przyrodą, przestrzenią – z wszystkimi osobliwościami tego kraju, który z korzeni europejskich wyprowadza w istocie swój kulturowy rodowód, a tak bardzo od Europy się różni. Nie było bez znaczenia, że oto przybywał do tego kraju mieszkaniec Europy Środkowej o szczególnie wyczulonym wzroku i słuchu. Odmienność, przy elementach niby-swojskości tak go porażała, że nawet odbierała zdolność pisania, wymagała okresu trudnej adaptacji. Już sama struktura przestrzeni przedstawiała się inaczej, co utrudniało zapanowanie nad nią, odnalezienie się w niej. W pejzażu litewskim i polskim tak ważną rolę odgrywa wieś, której właściwie – w naszym pojmowaniu – nie ma w Ameryce. Są tylko wielkie, odległe od siebie czasem o kilkadziesiąt mil, farmy otoczone wielkimi przestrzeniami pól uprawnych, stepu, lasu.

Zasadniczą niemożność pisania w Ameryce starałem się tłumaczyć po swojemu brakiem miasta i brakiem wsi, podczas kiedy podział na miasto i wieś nawet dotychczas jest w Europie tym piecem, od którego zaczyna się tańczyć<sup>2</sup>.

Nie ogromne miasta amerykańskie, których obrazy są przede wszystkim przekazywane w różnych doniesieniach ze Stanów Zjednoczonych i tworzą stereotypowe wyobrażenia o tym kraju, lecz rozległe puste przestrzenie i wielkie obiekty przyrody są prawdziwym i poruszającym odkryciem dla Europejczyka. Wielkie metropolie – to tylko kilka czy kilkanaście punktów nieprzesądających o obliczu kontynentu, którego pejzaż nazywał Miłosz „krajobrazem ze snu”. Wrażliwy na barwy, pisał o ziemi koloru kawy, o drodze wśród gór pokrytych zieleniejącą trawą, o wąwozach i pustce skalnych przestrzeni głazów, wysuszonej w spiekocie suchej, szarozółtej roślinności, o wypalonych słońcem piarżyskach wyschłych rzek, bezlistnych dębach, o pustych wzgórzach koloru róż, fioleto i popiołu, pozbawionych ludzkich siedzib, o niezwykłych, majestatycznych, rosnących od kilku tysięcy lat na skalnych wysokich górach ogromnych, rdzawych redwoodach i sekwojach.

---

<sup>1</sup> Słowa ujęte w cudzysłów – to tytuł jednego z esejów Miłosza z tomu *Widzenia nad Zatoką San Francisco*.

<sup>2</sup> Czesław Miłosz, *Prywatne obowiązki*, Paryż 1972, s. 178.

Z okien samolotu widział „bezgraniczny teatr czerwonych skał” Wielkiego Kanionu i malutką, wątlą tamę, która „nawadnia obszar większy od obszaru mojej ojczyzny”<sup>3</sup>. Amerykański krajobraz, charakteryzująca go odmienna niż w Europie kompozycja przestrzeni, jej bezmiar i brak w niej punktów, które by – swojskie dla Europejczyka – ułatwiły mu znalezienie siebie w nowej rzeczywistości – wszystko to wywierało silny wpływ na sposób porządkowania świata przez poetę, także na jego osobowość.

Gdybym chciał określić, jak pobyt w tym kraju mnie zmienia, powiedziałbym, że wskutek pustych przestrzeni, większych niż europejskie kraje, i obecności ludzi mówiących różnymi językami, następuje jakiś gorzki upadek partykularyzmów i że podstawowa diaboliczność kontynentu stepia na własne i cudze przypadki<sup>4</sup>.

Teksty Miłosza zawsze były świadectwem wrażliwości na dziwność istnienia; wrażliwości o sile graniczącej z cierpieniem wywołanym przez doznawanie takiego stanu i poczucie niewystarczającego wyrażenia go. Świadomość istnienia, bycia, gdy próbuje się wyrazić ją w słowach, wywołuje ogólnik, banał. Rodzi poczucie przygnębiającej bezradności. Pozostają – ewentualnie – metafory, porównania, przybliżenia:

Na to mi przyszło, że po tylu próbach nazywania świata umiem już tylko powtarzać w kółko najwyższe jedynie wyznanie, poza które żadna moc nie może sięgnąć: ja jestem – ona jest! Krzyczcie, dmijcie w trąby, utwórzcie tysięczne pochody, skaczcie, rozdierajcie sobie ubrania, powtarzając to jedno: jest! I po co zapisano stronice, tomy, katedry stronic, jeżeli belkoce, jakbym był pierwszym, który wyłonił się z ładu na brzegach oceanu? Na co zdały się cywilizacja słońca, czerwony pył rozpadających się miast, zbroje i motory w pyłe pustyń, jeżeli nie dodały nic do tego dźwięku: jest?<sup>5</sup>

To tekst pisany w 1954 roku w Paryżu. W tle tego monologu jest paryska ulica. Jego treść istotną spotykamy w wierszu napisanym dziesięć lat później, w Kalifornii. Słowa w nim użyte są prostsze, naturalniejsze, nacechowane rezygnacją. Próbują oddać owo „jestem”, „jestem tu”:

Na prawo zatoka jak odlana z cyny,  
Za tą zatoką miasto, za miastem ocean,  
Za oceanem ocean, aż do Japonii.  
Na lewo suche pagórki z białą trawą,  
Za pagórkami nawodniona dolina, gdzie uprawia się ryż,  
Za doliną góry i sosny ponderosa,  
Za górami pustynia i owce.  
[...]  
Panie doktorze, boli mnie.  
Nie tu. Nie, nie tu. Sam już nie wiem.  
Może to nadmiar wysp i kontynentów...<sup>6</sup>

Topograficzne określenie miejsca, w którym znajduje się podmiot liryczny przytoczonego fragmentu wiersza *Dużo śpię...* jest bardzo dokładne. Można je odnaleźć na mapie Kalifornii. To Berkeley, Grizzly Peak, gdzie mieszkał poeta. Zwróciwszy się twa-

<sup>3</sup> Czesław Miłosz, *Kontynenty*, Kraków 1999, s. 37.

<sup>4</sup> Czesław Miłosz, *Notatnik*, „Kultura” (Paryż) 1966, maj, s. 36.

<sup>5</sup> Czesław Miłosz, *Utwory poetyckie. Poems*, Michigan Slavic Publications, Ann Arbor 1976, s. 207.

<sup>6</sup> Tamże, s. 269.

rzą na południe, ma się po prawej ręce Zatokę San Francisco, za nią miasto o tej samej nazwie, za miastem bezbrzeżny ocean, Pacyfik. A po lewej – wzgórze, doliny, przestrzenie kontynentu nieogarnione.

Niezwykłość tego miejsca, niezwykły – dla Polaka z Litwy – fakt znalezienia się w nim, świadomość własnej skomplikowanej biografii powodowały, że poczucie bycia „tu i teraz” stawało się jeszcze silniejsze niż dawniej:

Jestem tu. Dwa te słowa zawierają wszystko, co można powiedzieć, od nich się zaczyna, do nich się wraca. Tu – to znaczy na tej ziemi, na tym, a nie innym kontynencie, w tym, a nie innym mieście, w tej epoce, którą nazywasz swoją, w tym stuleciu, w tym roku<sup>7</sup>.

Nade wszystko jest ważne, że się jest i że się jest tu. Ważne jest istnienie człowieka i jego miejsce na świecie: „Jestem tu – i każdy jest w jakimś tu – a jedyne, co możemy zrobić, to starać się to sobie zakomunikować”<sup>8</sup>. W tych słowach zawiera się jeden z ważniejszych kluczy do poezji Miłosza, zwłaszcza tej, która powstawała od lat sześćdziesiątych. Można ją określić jako trwający ciągle komunikat o wskazanym w przytoczonych słowach poety znaczeniu.

To „tu” jest dokładnie określone; pod względem geograficznym, krajobrazowym, kulturowym. W jego lokalizacji ważna rola przypada nazwom. Ich obce, egzotyczne brzmienie, wprowadzone do polszczyzny wzbogaca ją, nadaje jej większą ekspresję, porusza wyobraźnię: „Na południu jałowość płaskiej przestrzeni zamieszkaanej przez milion ludzi i nazwanej miastem Oakland”<sup>9</sup>. Po polsku byłoby: Dąbrowa. Na wschód jest Sierra Nevada – nazwa przypominająca, że dawniej – i stosunkowo długo – panowali tu Hiszpanie, a nie Anglosasi. Na zachód – Zatoka San Francisco zamknięta słynnym Golden Gate Bridge.

Kalifornijski krajobraz niepokoił i fascynował. Zniewalał, wciągał, obejmował w swoje władanie:

Niepokojąca wolność pierwszych spotkań z płaskowyżem, kanionem rzeki, kraterem, gdzie przed nami nie było nikogo, a choćby był, nie przekazał o tym żadnej, dołącznej wieści. Arbitralność niemożliwa do uniknięcia wyboru, nie poddanego żadnym sprawdzeniom<sup>10</sup>.

Ostatnie zdanie mówi jakby o spełnieniu się losu. Nie własny, suwerenny wybór poddyktował nowy ciąg zdarzeń życia, ale nieuchronna wypadkowa różnych czynników, która przywiodła wychodźcę do skał kalifornijskich.

Rozmiar obszaru, rozległość płaskowyżu, ogromne tereny pustynne i niezmierny ocean pobudzały wyobraźnię, świadomą, przez jak wielką odległość ciągnie się ku zachodowi przestrzeń wodna, bijąca falami o skaliste nabrzeże Kalifornii. Zwłaszcza wyobraźnię człowieka, który przybył tu z Europy, poprzecinanej gęsto granicami państwowymi, zagospodarowanej, zatłoczonej na każdym kawałku ziemi.

W jednym z esejów Miłosz pyta: „Co czuje się wobec zbyt dużego obszaru?”. Takiego pytania nie postawiłby sobie ani Indianin, ani inny Amerykanin urodzony w swoim kraju. Nasunąć się ono musiało przybyszowi z Europy, który stanął przed zupełnie innymi rozmiarami i proporcjami niż te, które dotychczas formowały jego wyobraźnię:

<sup>7</sup> Czesław Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Paryż 1969, s. 153.

<sup>8</sup> Tamże, s. 8.

<sup>9</sup> Tamże, s. 11.

<sup>10</sup> Tamże.



Jest coś takiego jak duch kontynentu i on to złośliwie rozpruwa, cokolwiek próbuje się dokoła siebie namotać. Olbrzymiść gwałconego, a zawsze zwycięskiego obszaru, pofalowana skóra ziemi pomniejszająca nasze błędy i zasługi. Wobec sosen przy Feather River czy na skalistych cyplach obryzgiwanych wybuchami oceanicznej bieli, dokąd wiatr przynosi ryki lwów morskich, czy na zboczach góry Tamalpais, skąd poszarpany w przylądki kres ładu i morza jest pierwszym dniem stworzenia, stoję odarty, pozbawiony<sup>11</sup>.

Eseistyka Miłosza z tego czasu, w którym po raz pierwszy – ze świadomością, że w takiej okolicy pozostaje na stałe – spotkał się z niezwykłą dla siebie przestrzenią południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych, jest dokumentem mocowania się wrażliwego człowieka z nowym, obcym mu, obojętnym, a przecież wybranym przez niego żywiołem. Zabraniał sobie kontaktu z chaosem niepoddanym porządkowaniu i wartościowaniu. Narzucał sobie dyscyplinę, wynajdywał inne prace, które pochłonęłyby uwagę i wyobraźnię, angażował się w absorbujące czynności, jakich w zwykłych warunkach pewno by się nie podjął. Odsuwał decydującą konfrontację własnej myśli z nowym światem, który oczekiwał na zagospodarowanie wyobraźnią, a nawet na opisanie rytmem poezji.

Nie zaliczam się do poszukiwaczy niezwykłych krajobrazów, nie fotografuję panoram Natury. Sama dla siebie ani piękna, ani brzydka, jest chyba tylko ekranem dla ludzkich wewnętrznych piekieł i rajów. A jednak majestatyczna przestrzeń wybrzeży Pacyfiku niepostrzeżenie wnikała w moje sny, przerabiała mnie, pozbawiając i przez to może wyzwalając [...]. Narzucałem sobie dyscyplinę, wynajdywałem prace i zaangażowania, zawsze wiedząc, że tylko uchylałem się, odkładałem chwilę starcia się z tamtym, które na mnie tuż obok czeka<sup>12</sup>.

Eseje były stopniowym krokiem ku temu spotkaniu. Dopełniały poezję o zapis tego, co do niej wejść jeszcze nie mogło, bądź jeszcze nie umiało, nie znajdowało poetyckiej formuły:

Teraz usiłuję chronić się w te stronice, ale moja humanistyczna gorliwość jest osłabiona przez góry i ocean, przez te liczne momenty, kiedy patrzyłem na bezmierność z uczuciem podobnym do mdłości, a wiatr pustoszył moje małe gospodarstwo nadziei i zamiarów<sup>13</sup>.

Wśród tych „licznych momentów” było spotkanie Czesława Miłosza z Doliną Śmierci.

Pustynna, skalista dolina w południowej Kalifornii, na pograniczu stanu Nevada. Zupełnie niedaleko – jak na amerykańskie proporcje – znajduje się Las Vegas. Dwie, trzy godziny jazdy samochodem z tego miasta na zachód i przekracza się granice dwóch zupełnie odmiennych światów. Z miejsca pełnego zgiełku, blichtru, krzykliwości, złego smaku i materialnego luksusu zagłuszającego pustkę życia wjeżdża się do wymarłej otchłani, w której panuje niewyobrażalna cisza.

Wyschłe, rozpalone dno skalistej doliny leży na poziomie około dziewięćdziesięciu metrów poniżej morza. Najbardziej suche miejsce na całym kontynencie północnoamerykańskim. Jedno z najbardziej gorących miejsc na świecie, nie do zwiedzania w pełni tamtejszego lata. Prawie zupełnie pozbawione opadów. Z rozpiętym w górze, niezmiennie bezchmurnym, błękitnym niebem; niebem bez ptaków, które tutaj nie ocze-

<sup>11</sup> Tamże.

<sup>12</sup> Tamże, s. 12.

<sup>13</sup> Tamże.

kują żeru. Na skalnych, różnokolorowych ścianach doliny można odnaleźć ślady wielu epok geologicznych. To miejsce wpisało się do historii Zachodu. Urosło do rangi mitu w przekazach indiańskich sięgających tysięcy lat wstecz.

Czesław Miłosz stanął w tej dolinie. Było to jedno z wielu ważnych spotkań z zupełnie innym niż Europa kontynentem. Pobudzało wyobraźnię, pogłębiało świadomość istnienia, zwracało uwagę ku prastarym mitom biblijnym, domagało się jakiegoś porównania z obrazami wyniesionymi z kręgu kultury europejskiej. Rozpalona w słońcu, pusta i martwa dolina jawiła się pocie jako biblijne miejsce Sądu Ostatecznego:

Albo znowu, na południu, Dolina Śmierci. Wiadomo, czym jest: wyschniętym dnem wielkiego słonego jeziora, pustynią o temperaturze niemal garncarskiego pieca, depresją znacznie poniżej poziomu morza. Tak, ale nazwa jej nadana jest odpowiedzią na jej treść odsyłającą do wyobrażeń każdego o Dolinie Józefata. Cisza tak mocna, że rozlega się w niej sypanie się piasku na dụnach albo chrzęst zastygłej soli pod stopą, niebo bez chmur i bez krążących ptaków, horyzont zamknięty ze wszystkich stron pasmami gór, których kolor jest kolorem składających się na nie minerałów: grynszpan, agresywna żółć, ponura czerwień o odcieniu byczej krwi. Wtedy wydaje się, że przez wszystkie lata życia dążyliśmy tutaj, gdzie wspomnienia wyrazistsze bledną, a bledsze tracą konsystencję, rozsypują się i z trudem usiłujemy przywrócić im znaczenie, rwie się ciągłość, pojawiają się nie złączone niczym sceny, na przykład tanga tańczonego przez tłum, na studenckim balu w odległej epoce, jakby fantomatyczność tancerzy była najwłaściwsza na tej pustyni zmieniającej żywych w fantomy<sup>14</sup>.

Jak fantomy pojawiają się w wyobraźni podmiotu postaci, miejsca, budynki i ulice; przyjaciele, dziewczęta i książki, obrazy z lektur i obrazy z życia, ptaki i zwierzęta z wileńskiej młodości – w tym osobliwym, jakby ostatecznym miejscu na ziemi. W tło wymarłej doliny wyobraźnia wpisuje miasto jak ze snu: „miasto bez imienia”. Wpisuje sylwetki ludzi znanych: „Może Anna i Dorcia Drużyno wezwały mnie z trzechsetnej mili Arizony, bo nikt prócz mnie nie wie, że raz kiedyś żyły?”<sup>15</sup>.

Poemat *Miasto bez imienia*, nadający tytuł całemu zbiorowi wierszy wydanemu w 1969 roku, okazuje się grą fantomów zebranych jak w Dolinie Józefata. W spotkaniu z wymarłą doliną, w obcym regionie świata, na odległym skraju znajdującego się na drugiej półkuli wyraziściej niż gdzie indziej rysowała się świadomość jedności istnienia, unikatowości pamięci własnej.

W Dolinie Śmierci myślałem o sposobach upinania włosów.  
O ręce, która przesuwała reflektory na studenckim balu.  
W mieście, skąd żaden głos już nie dosięga.  
Minerały na sąd nie trąbiły  
Osypywało się z szelestem ziarnko lawy.

W Dolinie Śmierci błyszczą sól na dnie suchego jeziora.  
[...]  
W Dolinie Śmierci na niebie, ni orła ni jastrzębia.  
Długo patrzyłem w lusterko, tam jeden na trzysta mil  
szedł człowiek: Indianin prowadzący rower pod górę<sup>16</sup>.

<sup>14</sup> Tamże, s. 15–16.

<sup>15</sup> Czesław Miłosz, *Utwory poetyckie. Poems*, s. 287.

<sup>16</sup> Tamże, s. 277.

*Miasto bez imienia* jest sekwencją obrazów z Wilna oglądanych w rozpalonym powietrzu Doliny Śmierci – Doliny Józefata, gdzie schodzą się duchy umarłych na Sąd Ostateczny; bliski związek obrazów amerykańskiej przestrzeni z fantomami wyniesionymi z Litwy.

W wierszu *Przed krajobrazem* świat realny oglądany jest z perspektywy, z której obejmuje się morza, kontynenty, całe łańcuchy gór („opierałem rękę o spiętrzenie gór”<sup>17</sup>), podmiot liryczny utożsamia się z całym globem („W moich snach ziemia była jednością mojego ciała”<sup>18</sup>). Punkt obserwacyjny, z którego patrzy on na kontynent, znajduje się nad kanadyjską rzeką o indiańskiej nazwie Athabaska. Wypływa ona spod szczytu Columbia w Górach Skalistych, przybiera kierunek południkowy, podkreślając biegnący w tym miejscu działówód – między zlewiskiem Oceanu Spokojnego i Atlantyckiego.

Na tym stoku świerk, jodła i cedr, na tamtym sosnowe bory.  
Błyszczą dział wód spływających w zachodni i wschodni ocean<sup>19</sup>.

Podobny obraz, obejmujący rozległe przestrzenie, rozpoczyna *Elegię dla N.N.*:

Powiedz czy to dla ciebie za daleko.  
Mogłabyś biec tuż nad małą falą Bałtyckiego Morza  
I za polem Danii, za bukowym lasem,  
Skreć na ocean, a tam już niedługo  
Labrador, biały o tej porze roku.  
A jeżeli ciebie, co marzyłaś o wyspie samotnej,  
Straszą miasta i migot światełek na szosach,  
Miałaś drogę samym środkiem leśnej głuszy,  
Nad sinizną odtajających wód ze śladem łosia i karibu,  
Aż do Sierras, opuszczonych kopalń złota.  
Zaprowadziłaby ciebie rzeka Sacramento  
Między pagórki porośle kolczastą dębina.  
Jeszcze gaj eukaliptusów i trafiłabyś do mnie<sup>20</sup>.

Odbicie tych elementów amerykańskich przestrzeni, które i jego fascynowały, znajdował Miłosz w poezji osiadłego w Kalifornii Robinsona Jeffersa, który założył swój dom nad Oceanem Spokojnym w ustronnym, dzikim miejscu. Ocean i granitowe skały uczynił stałą sceną swych utworów. Miłosz pisał o nim:

Mnie Jeffers zawsze odpychał i nie zająłbym się nim, gdyby nie Kalifornia. Tutaj sprawdza się ta prawda, że chcąc zrozumieć poetę, trzeba poznać jego kraj. Jeffers wyraził monstrialność, „enormity” dzikich gór i oceanu, to tło, na którym człowiek jest jakby zaprzeczony, przekreślony. [...] I Jeffers, cokolwiek się powie, jest jedynym wielkim pisarzem tego kraju<sup>21</sup>.

<sup>17</sup> Tamże, s. 332.

<sup>18</sup> Tamże.

<sup>19</sup> Tamże.

<sup>20</sup> Tamże, s. 335.

<sup>21</sup> Czesław Miłosz, *Robinson Jeffers. Fragment rozmowy*, „Kultura” (Paryż) 1963, październik, s. 22–23.

W *Piesku przydrożnym* jest opis miejsca, gdzie Jeffers zamieszkał: dziki krajobraz, strome zbocza górskie spadające do Pacyfiku, wąwozy, kotliny z lasami sekwoi, wąskie zatoczki wrzynające się w skaliste brzegi<sup>22</sup>.

Od Jeffersa mógł Miłosz przejąć przekonanie o przydatności dostojnej rytmiki z biblijnych wersetów. Praktyka poetycka Jeffersa potwierdziła to, co znacznie wcześniej Czesław Miłosz czytał w pismach swego stryja Oskara, znajdując tam myśl, że „formą nowej poezji będzie zapewne forma Biblii: swobodnie płynąca proza wykuta w wersetach”<sup>23</sup>. Miłosz zastosował ją m.in. w ostatniej części poematu *Miasto bez imienia*, w „Dytymbie”.

„Musiałem Kalifornię przyjąć jako los i nie przyszło mi to łatwo”<sup>24</sup> – wyznawał poeta.

Kalifornijskie przestrzenie, które mogły przyprawiać nawet o rozstrój i ból, w których trudno było się odnaleźć, po ich oswojeniu i opanowaniu mogły prowadzić do spokoju rozległych perspektyw, harmonijnego ładu, poczucia własnych racji moralnych, wyciszenia dramatu sumienia, do stanu spokojnego, harmonijnego zadowolenia, jak w wierszu *Dar* z tomu *Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada*:

Dzień taki szczęśliwy.  
Mgła opadła wcześniej, pracowałem w ogrodzie.  
Kolibry przystawały nad kwiatem kaprifolium.  
Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.  
Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.  
Co przydarzyło się złego, zapomniałem.  
Nie wstydziliem się myśleć, że byłem kim jestem.  
Nie czułem w ciele żadnego bólu.  
Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle<sup>25</sup>.

Wydawałoby się, że na tym można by zakończyć. Jednak nie. Tu konieczne jest wspomnienie ze spotkania z Czesławem Miłoszem w 1978 roku. Przebywałem wówczas w Stanach Zjednoczonych na stypendium Fulbrighta. Poznawszy niedostępną wówczas w Polsce twórczość poety, zamierzałem napisać studium *Czesława Miłosza odkrywanie Ameryki*<sup>26</sup>. Na spotkanie z nim jechałem samochodem ze stanu Michigan do Kalifornii, tak dobranym szlakiem, by zobaczyć przestrzenie i pomniki przyrody obecne w jego tekstach. W trosce o dobre zrozumienie wiersza *Dar*, zapytałem Miłosza: „Czy pańskie teksty tego rodzaju są wyrazem osiągniętej harmonii i upragnionego ładu, czy też jedynie projekcją chwili marzenia o tym, co upragnione, ale niespełnione”. Twarz Miłosza wyraźnie się ożywiła i zwrócił się do mnie ze słowami: „Odpowiem panu pytaniem na pytanie: jak to było możliwe, że w czasie wojny, gdy mieszkalem w okupowanej Warszawie, napisałem cykl wierszy *Świat?*”.

Na tym skończył. Kto pamięta owe *Poema naiwne*, prześwietlone światłem słonecznego dzieciństwa, z „berecikiem siostry i czapeczką brata [które] migają między puszysta krzewiną”, z sylwetką ojca – to wspartego na motyce w ogrodzie, to wśród swych książek w gabinecie, schodzącą po schodach „żółtych, skrzypiących i pachnących pa-

<sup>22</sup> Czesław Miłosz, *Piesek przydrożny*, Kraków 1997, s. 175.

<sup>23</sup> Czesław Miłosz, *Prywatne obowiązki*, s. 45.

<sup>24</sup> Czesław Miłosz, *Ogród nauk*, Paryż 1988, s. 223.

<sup>25</sup> Czesław Miłosz, *Utwory poetyckie. Poems*, s. 350.

<sup>26</sup> Ukazało się ono w „Pamiętniku Literackim” (1981, nr 1) i weszło do książki *Dalekie drogi literatury polskiej. Szkice o literaturze emigracyjnej*, Kraków 1989.

stą”, matkę, która potem „nad klombem z piwoniami staje” – ten z łatwością pojmie, co znaczyła odpowiedź poety na pytanie ważne dla właściwego odebrania jego wiersza.

Po dwudziestu latach od tamtego spotkania, w 1998 roku wydał Miłosz *Antologię osobistą* – niewielki wybór najważniejszych dla niego wierszy, które opatrzył zwięzłym komentarzem. Do wiersza *Dar* dodał:

*Dar*, wiersz napisany w Berkeley w 1971. Z pozoru jest to wiersz najzupełniej pogodny, pogodzenie się z życiem, jakiegoś oderwania od wszelkich trosk. Ale jak zauważyli niektórzy krytycy amerykańscy, tu jest całe zło XX wieku, tylko nie powiedziane, jakby ukryte za liniami<sup>27</sup>.

---

<sup>27</sup> Czesław Miłosz, *Antologia osobista. Wiersze. Poematy. Przekłady*, Kraków 1998, s. 60–61.

# Wokół *Narodu* Czesława Miłosza

*Stanisławowi Mostwinowi*

W dwunastu mocnych, zrytmizowanych dystychach padają słowa ciężkie, bezlitosne, bezwzględne. Nie ma wśród nich miejsca na iluzje i sentymenty. Służą opisowi narodu. Podmiot dokonujący opisu, posługujący się tymi słowami nie wykazuje bliższego związku z opisywanym obiektem. Odnosi się do niego z dystansem, zajmuje pozycję zewnętrznego obserwatora. Czy obojętnego?

Doskonała obojętność nie powołałaby takiego opisu do życia. W zobiektywizowanym opisie zawiera się pasja widoczna w sile słowa, w doborze wyrazów, w ich dosadności, wymierzonej celności, której nie łagodzi odruch poczucia wspólnoty z prezentowanym narodem. A ściślej: z prezentowanym jego obrazem, na który złożyły się doświadczenia – zaszłości prowadzące do powstania charakterystycznej obcości, a równocześnie jakiejś więzi podmiotu wpisanego w ten utwór z narodem w nim opisywanym; więzi hamowanej rygorami klasycyzującej poetyki.

Wielkość narodu, jego szlachetność, czystość zostaje już w pierwszym dystychu zironizowana, oksymoronicznie przeciwstawiona bezmyślności:

Najczystszy z narodów ziemi, gdy osądza je światło błyskawic,  
Bezmyślny a przebiegły w trudzie zwykłego dnia.

Gotowość składania ofiary z życia w obronie ojczyzny zostaje odarta z blasku, bo jest związana z naiwnością wiary, że ofiara ta ściągnie gniew niebios na wroga. W codziennym życiu narodu bierze natomiast górę małość, trywialność, a niekiedy i podłość. Dowcipkowanie przysłania ważne prawdy i głębokie przeżycia:

Życie składa w ofierze, aby ściągnąć gniew niebios na wrogów,  
Płaczem sierot i kobiet wroga poraża.

[...]

Gorzkie łzy tego ludu przerywają w połowie pieśń,  
A kiedy milknie pieśń, mówi się głośno dowcipy.

Trudno uwolnić się od obrazu narodu wyciśniętego twardymi, zdecydowanymi dystychami, z których tylko parę skomponowanych jest kontrapunktycznie. Pozostałe – to stwierdzanie wad, przywar, pozornej wielkości, rzeczywistej poważnej ułomności. To może być odbicie powojennego szabrowania:

Koczuje na targowiskach, porozumiewa się żartem,  
Handluje starymi klamkami ukradzionymi w ruinach.

Naród w pomiętych czapkach z całym dobytkiem na plecach,  
Idzie szukając siedzib na zachód i na południe.

Jeden z dystychów uderza szczególną aktualnością i prawdą w nim zawartą. W mniejszym stopniu w odniesieniu do lat powojennych, w których ten wiersz powstawał, bo wówczas naród nie miał wpływu na wybór swych przywódców; jego aktualność spotęgowała się dzisiaj. Jest w nim stwierdzenie, że ten naród

Władzę oddaje ludziom o oczach handlarzy złotem,  
Pozwala wznosić się ludziom o sumieniach zarządców bordelu.

Trudno uwolnić się od tego obrazu naszego narodu. Zawiera ciężkie prawdy, których przyjęcie niełatwo przychodzi. Czy jest to obraz prawdziwy? Czy jest to sprawiedliwe świadectwo wystawione narodowi polskiemu tuż po wojnie, rok po powstaniu warszawskim? Po kilkuletniej walce podziemnej z okupantem niemieckim prowadzonej przez Armię Krajową?

Wiersz Miłosza nie jest sporem z narodem. Nie powstał z zamiarem prowokacji, która by wywołała protest prowadzący do wyzwolenia „duszy anielskiej” z „czerepu rubasznego”, który ją więzi i uniemożliwia wysokie loty. Wiersz Miłosza jest kategoryczną i nieodwołalną konstatacją.

Porównanie z *Grobem Agamemnona* nasuwa się tu nieuchronnie. Obydwa utwory (*Grób Agamemnona* Juliusza Słowackiego i *Naród* Czesława Miłosza) pojawiły się w okolicznościach podobnych. Pierwszy z nich – w kręgu przemyśleń po upadku powstania listopadowego. Drugi – rok po powstaniu warszawskim, wśród sporów o jego sens, zaraz po wyjściu Polski z wojny z niemieckim okupantem.

Jest też między tymi utworami, zawierającymi gorzką prawdę podsuwaną przed oczy Polakom, zasadnicza różnica. Surowy sędzia wpisany w wiersz Miłosza czuje obcość wobec opisywanej wspólnoty; ze względu na jej przywary.

Inaczej w *Grobie Agamemnona*. Słowacki marzy o wielkości swojego narodu. Pragnie, by przestał on być „pawiem narodów i papugą” i „służebnicą cudzą”. Prowokuje, drażni, targa, „gryzie sercem”, jak to określał w *Beniowskim*: „Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę”. Odczuwa wstyd za wspólnotę, do której przynależności się poczuwa: „Mówię – bom smutny – i sam pełen winy”. Wspomina o naszej mogile, zaznacza, że sam jest z tego kraju, któremu nie szczędzi gorzkich prawd.

W dobie drugiej wojny światowej tym samym tropem poszedł Jan Lechoń. Swemu pierwszemu utworowi napisanemu po klęsce wrześniowej dał również tytuł *Grób Agamemnona*. Mówi w nim o „mrocznym Erebie”, którym jest narodowa rzeczywistość. Erebem mogłaby być również nazwana wizja narodu ukazana w wierszu Miłosza. Tylko Lechonia, podobnie jak Słowackiego, nie odstępuje poczucie winy:

O, nie myśl teraz: „To kto inny!”  
Padnij i wołaj: „Jam jest winny!”  
Ja, którym marzył, którym spał”.

Z poczuciem współwiny za los narodu łączy się jego wiersz *Kniaźnin i żołnierz*. Do pograżonego w rozpacz po upadku Polski poety, rezydującego u Czartoryskich w Puławach, zwraca się żołnierz wracający z pola bitwy, „co sunął bez nogi”: „Dobrześ się urządził”.

Do tych, którzy „dobrze się urządzili” kieruje szydercze słowa Tadeusz Borowski w wierszu *Gruba Gamemnona*:

Myślę, że wszystkim po kolei  
w twarz by nam plunął Leonidas  
i bardzo prosty wydał wyrok.

Borowski – inaczej niż Miłosz – nie pomniejsza znaczenia takich czynów jak Monte Cassino czy powstanie warszawskie. Odbiera tylko prawo do powoływania się na te czyny tym, którzy sami byli wówczas gdzie indziej. Do nich odnoszą się słowa Leonidas: „Panowie, czyście wy tam byli?”. Oni byli gdzie indziej.

Miłosz nie podzielał zbiorowych nastrojów patriotycznych wzbierających podczas okupacji i zwróconych przeciwko Niemcom, skierowanych na walkę z nimi. Raziła go „ekstaza narodowa” przywódców Armii Krajowej. Z goryczą pisał do Jerzego Andrzejewskiego o spotkaniu z ludźmi, którzy nie uznawali niczego poza walką zbrojną i żądali podporządkowania wszystkiego sprawie narodowej: „Do takich ludzi, jak ja i ty, którzy kształcili się i przygotowali do pracy w dziedzinie myśli i sztuki – a nie czynu – przyszli z hałasem, obrzucają obelgami za odosobnienie, osamotnienie, brak kontaktu z masą”<sup>1</sup>.

Te słowa mogły się odnosić do spotkania z przedstawicielami młodszego pokolenia z kręgu „Sztuki i Narodu”, którego ślad znajdujemy w pamflecie Andrzeja Trzebińskiego *Udajmy, że istniejemy gdzie indziej*. Młodzi poeci, przekonani o słuszności własnego wyboru, odnosili się do Miłosza krytycznie, nawet szyderczo.

Stosunek Czesława Miłosza do konspiracyjnej walki zbrojnej i powstania warszawskiego znalazł echo w opowiadaniu Jana Józefa Szczepańskiego *Koniec legendy*. Do podkrakowskiego dworku przybywa poeta z Warszawy. Jest wieczór sylwestrowy 1944 roku. Przybysz prezentuje się jako człowiek kierujący się realizmem politycznym. Wymaga rezygnacji z megalomanii narodowej. O sprawach uchodzących w zebraniu w dworku towarzystwie za święte, mówi: „Co przyniosły nam awantury, strzelaniny i wszystkie inne bohaterstwa? Co przyniosło powstanie? [...] Zniszczenie i ruinę. Nieprawdopodobna wprost manifestacja głupoty, zbrodniczej głupoty..., bo to jest już zbrodnia. Tak, zbrodnia”<sup>2</sup>.

Wystąpienie poety spotyka się z oburzeniem. Jest potraktowane jako akt zdrady narodowej. W świetle rozłożonych w utworze ocen i sympatii słowa poety przedstawiają się jako wyraz cynizmu pomieszanego z tchórzostwem. W opowiadaniu Szczepańskiego poeta z Warszawy nosi nazwisko Wielgosz. Jego prototypem był Czesław Miłosz.

Wiersz *Naród* okazuje się kolejnym aktem obrony własnego stanowiska, które poeta zajmował podczas okupacji, w sporze z młodymi twórcami z kręgu „Sztuki i Narodu”, żołnierzami Armii Krajowej. Stąd bierze się jego polemiczne ostrze, ostrość sądów. Utwór nie miał na celu ukazania pełnej prawdy o narodzie polskim. Jego funkcja polegała na jeszcze jednym, dobitnym powtórzeniu swojej racji, na powojennym utwierdzeniu się w słuszności swego myślenia.

Gdy wiersz *Naród* ukazał się w druku, główny oponent Miłosza, wywodzący się z młodszego o dziesięciolecie pokolenia, już nie żył. Andrzej Trzebiński został zastrzelony przez Niemców w egzekucji publicznej w listopadzie 1943 roku.

Pierwodruk wiersza *Naród* ukazał się w pierwszym numerze pisma „Warszawa” w 1946 roku. Wszedł później do tomu poezji *Światło dzienne*<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> Czesław Miłosz, *Legends nowocześnieści. Eseje okupacyjne*. Listy Jerzego Andrzejewskiego i Czesława Miłosza, Kraków 1996, s. 165.

<sup>2</sup> Jan Józef Szczepański, *Buty i inne opowiadania*, Kraków 1956, s. 57.

<sup>3</sup> Czesław Miłosz, *Światło dzienne*, 1953.



Odnosi się wrażenie, że poeta nie był nadmiernie przywiązany do tego utworu. W późniejszych wyborach swej poezji go nie umieszczał. Nie ma tego wiersza w zbiorze *Utwory poetyckie. Poems* wydany w Ann Arbor (Michigan) w 1976 roku. Nie ma go też w tomiku wydany w Polsce w 1981 roku przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, do którego autor dokonał wyboru. Nie znalazł się ten wiersz w dwujęzycznym wydaniu poezji Miłosza przygotowanym przez Wydawnictwo Literackie (1995). Pomiął go poeta w *Antologii osobistej*<sup>4</sup>.

Znajduje się tylko – co zrozumiałe – w pełnych zbiorach poezji: w I tomie *Wierszy* z 1987 roku i w *Dzielałach zebranych*<sup>5</sup>.

Dla ścisłości: jest on w wyborze zatytułowanym *To, co pisałem*<sup>6</sup>, ale tu nie autor dokonywał wyboru, lecz Włodzimierz Bolecki.

Toteż nie może nie zastanowić, a chyba i zadziwić, że właśnie ten wiersz wybrał Miłosz w odpowiedzi na zaproszenie do autorskiego udziału w specjalnym numerze „Dialogue’u” poświęconym problemom europejskim.

„Dialogue” jest firmowany przez The Trilateral Commission of North American – European – Japanese Affairs. Redakcja tego prestiżowego periodyku poświęciła jeden z numerów 1983 roku sprawom Europy. Nadała mu tytuł *Heart of Europe*. O wypowiedzi na ważne i aktualne tematy europejskie zwróciła się do wybitnych, uznanych w świecie autorów.

Leszek Kołakowski nadesłał artykuł *The Graft Rejected* o decyzjach jałtańskich i o ich odrzuceniu przez naród polski. O unieważnieniu historycznej legalności układów przyjętych w Jałcie napisał Zbigniew Brzeziński: *Undoing the Historical Legacy of Yalta*. Spojrzenie z perspektywy Berlina zawiera rozmowa z Richardem Weizsackerem z września 1983 roku, przeprowadzona kilka dni po pierwszym spotkaniu z Erichem Honeckerem w Berlinie Zachodnim. Spojrzenie na Europę z punktu widzenia Wiednia przedstawił Brunon Kreisky.

Milowan Djilas w rozmowie z redaktorem „Dialogue’u” we wrześniu 1983 roku spojrział na Europę ze stanowiska Belgradu.

Jest też spojrzenie Japończyka Yoshiga Kato, który był wówczas dyrektorem Biura do spraw Europy i Oceanii przy japońskim ministerstwie spraw zagranicznych: *A Japanese Perspective of Eastern Europe in the Context of East–West Relation*.

Były ambasador Kanady w Moskwie Robert A.D. Ford i starszy doradca rządu kanadyjskiego w sprawach stosunków Wschód – Zachód przygotował artykuł *The Soviet Union in the Coming Decade: Implications for the West*.

Jest rok 1983. Jeszcze trwa zainteresowanie Polską. Minęły dwa lata od szczytowej fali „Solidarności”, nastął stan wojenny. Toteż ważne miejsce w numerze przeznaczyła redakcja dla polskich problemów. Zwróciła się o materiał do Czesława Miłosza.

Poeta nie przygotował nowego tekstu. Nadesłał wiersz *Naród* datowany: 1945, w dwóch wersjach językowych – polskiej i angielskiej, w przekładzie własnym i Renaty Górczyńskiej, z mylną informacją, że utwór ukazuje się w druku po raz pierwszy. Wiersz znalazł się w środku numeru poświęconego „Sercu Europy”.

<sup>4</sup> Czesław Miłosz, *Antologia osobista*, 1998.

<sup>5</sup> Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 2, 2002.

<sup>6</sup> Czesław Miłosz, *To, co pisałem*, Warszawa 1998.

\* \* \*

W liście towarzyszącym przysłanemu mi numerowi „Trialogue’u” znalazłem słowa:

    Nie jestem wykształconym polonistą. Moje uwagi są po prostu refleksjami systemu mojej pamięci i doczepienia do rejestrowanych zdarzeń pewnego kodu wartości. Niezależnie od oceny zdarzeń, zastanawia mnie data stworzenia wiersza tak blisko daty Powstania Warszawskiego i tak tragicznie zarejestrowanych w historii innych zdarzeń wojennych. [...] To dla mnie brzmi jakoś przykro.

    Autor tych słów jest odznaczony Krzyżem Virtuti Militari otrzymanym za udział w kampanii wrześniowej oraz – dwukrotnie – Krzyżem Walecznych (za Wrzesień i za udział w walkach pod Tobrukiem, gdzie został ciężko ranny). Był spadochroniarzem, cichociemnym, kurierem Rządu Polskiego do Kraju. Przywiózł 200 000 dolarów na pomoc dla polskich Żydów.

# Witold Gombrowicz wśród polskich emigrantów

„Ze wzruszeniem debiutanta przeczytałem pierwszy mój tekst po wielu latach” – pisał Witold Gombrowicz do Jerzego Giedroycia, gdy na łamach „Kultury” w 1951 roku ukazał się *Trans-Atlantyk*<sup>1</sup>. Otrzymał wówczas list od Aleksandra Janty pełen zachwytów dla utworu, który jednak wywołał więcej ataków niż słów uznania. Większość literackich środowisk emigracyjnych okazywała niechęć do Witolda Gombrowicza<sup>2</sup>. Przejawiała się ona już wcześniej, jeszcze przed drukiem *Trans-Atlantyku*, czego świadectwem było omówienie *Ferdydurke* na łamach „Orła Białego” przez Wita Tarnawskiego<sup>3</sup>, który przedstawił jej autora jako człowieka pograżonego w bezmiarach niedojrzałości i nieporozumienia. Po ukazaniu się *Trans-Atlantyku* niechęć ta jeszcze się spotęgowała. Powieść uznano za bluźnierstwo i zniesławienie Polski i Polaków.

Po pierwszych bardzo ostrych napaściach na pisarza<sup>4</sup> Giedroyc – który pisał do Gombrowicza: „Pana *Trans-Atlantyk* wywołuje nadal zachwyty, jak również i oburzenie”<sup>5</sup> – zabiegał o komentarz do powieści, który by zapobiegł nieporozumieniom, uprzedził nieuzasadnione ataki albo przynajmniej wyjaśnił emigracyjnemu odbiorcy, na czym polegają nieprzeciętne wartości powieści. Zwrócił się do Józefa Wittlina o napisanie przedmowy do utworu. O wyborze osoby zdecydowało to, że Wittlin należał do ludzi, którzy doceniali Gombrowicza i wśród emigrantów miał wysoką pozycję moralną i literacką. Giedroyc uznał, że artykuł Wittlina będzie najlepszą odpowiedzią na ataki kierowane przeciw Gombrowiczowi.

Józef Wittlin podjął się obrony *Trans-Atlantyku*, napisał *Apologię Gombrowicza*, którą wcześniej zamieściła „Kultura”<sup>6</sup>, a po niewielkich zmianach opublikował ją jako *Uwagi wstępne* w książce Witolda Gombrowicza *Trans-Atlantyk. Ślub*, która ukazała się w Paryżu w 1953 roku.

Adresatem *Apologii Gombrowicza* były te kręgi emigracyjnych literatów, skupione głównie wokół londyńskich „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego, które poczuły

---

<sup>1</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, wybrał i opracował A. Kowalczyk, Warszawa 1993, s. 25. *Trans-Atlantyk* ukazał się w „Kulturze” 1953, z. 43 i 44.

<sup>2</sup> Cyt. za: Rita Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie. Świadectwa i dokumenty 1963–1969*, Kraków 1993, s. 45.

<sup>3</sup> Wit Tarnawski, *Przypowieść o niedojrzałości*, „Orzeł Biały” 1948, nr 331. Zob. replikę Witolda Gombrowicza, „Orzeł Biały” 1949 (z 12 stycznia).

<sup>4</sup> Np. T. Baka, *Kumoszki z Windsoru, czyli nowa moda wśród literatów polskich*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1951, nr 148.

<sup>5</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 31.

<sup>6</sup> Józef Wittlin, *Apologia Gombrowicza*, „Kultura” 1951, nr 7–8.

się głęboko dotknięte własnym wizerunkiem odbitym w zwierciadle podsuniełym przez Gombrowicza. Wittlin działał zapobiegawczo; chciał uprzedzić, jeżeli nie udaremnić, to przynajmniej osłabić przewidywane ataki na powieść i jej autora. Podkreślał już na wstępie, że gorszyć powinny przywary ludzkie, a nie ich artystyczne ośmieszenie.

Zamierzał wytłumaczyć postępowanie pisarza, objaśnić, na czym polegają zalety jego twórczości. Dla uwiarygodnienia swej opinii nie zaniedbał zaznaczyć swej bezstronności i tego, że od dawna, od lat przedwojennych znał i cenił wysoko utwory autora *Ferdydurke*. Wittlin wystąpił też w roli nauczyciela. Chciał nauczyć lektury dzieł Gombrowicza. Czyniąc to, odwoływał się do wyjaśnień podstawowych. Tłumaczył, na czym polegają zasady poetyki groteskowej i wskazywał na przykłady z literatury światowej, które ją uzasadniają.

Jego zwroty, perswazyjne i objaśniające, brzmiały szlachetnie i... pocziwie. Świadczyły o najlepszej woli i chęci przyjścia w sukurs pisarzowi w jego kontakcie z czytelnikami *Trans-Atlantyku*. Czy pomogły? Późniejsza reakcja pewnych kręgów uprzedzonych do Gombrowicza dowodziłaby raczej, że skuteczność *Apologii* nie była wielka. A z drugiej strony można przypuścić, że ten styl perswazji, jaki przyjął Wittlin, nie mógł zachwycić autora *Trans-Atlantyku*. Wittlin bowiem próbował pozyskać potencjalnego czytelnika takimi na przykład słowami: „Gombrowicz jest artystą świadomym. Wie dobrze, do czego zmierza”. Albo: „Winniśmy autorowi wdzięczność za to, że dostarczył nam tak rzadkiej okazji asystowania przy samym akcie twórczym”<sup>7</sup>. Słowa podyktowane najlepszą wolą, ale redukujące oryginalność autora do banalnej w istocie obserwacji, nie mogły wywołać zachwytu Gombrowicza: „Poszukiwanie prawdy, demaskowanie kłamstwa jest zajęciem tak starym jak świat – nauki i sztuki”<sup>8</sup>. Zbyt dobrodusznie brzmiały apele Wittlina: „Nie gniewajmy się więc na Gombrowicza za to, że naszą wyobraźnię trochę przeczyszcza. I nie gniewajcie się, że w tym celu, nazbyt często może, używa wyrazów wykropkowanych”<sup>9</sup>. Gombrowicz wykpiwał właśnie ową „wrażliwość” na takie wyrazy, do której i Wittlin się zbliża:

Większość nielicznych listów, które odbieram *ex re Trans-Atlantyku* nie jest ani wyrazem protestu z powodu „obrazy najświętszych uczuć”, ani polemiką, ani nawet komentarzem. Nie. Jedynie dwa potężne zagadnienia trapią tych czytelników: jak śmiem pisać słowa z dużej litery w środku zdania? Jak śmiem używać słowa g...<sup>10</sup>.

Wittlin dotykał również tego, co w *Trans-Atlantyku* najważniejsze: że Gombrowicz demaskowanie zaczyna od siebie. Równocześnie jednak rzecz ujął zbyt wąsko, gdy rolę demaskatorskiego zabiegu sprowadził głównie do przyznania się Gombrowicza do małości i tchórzostwa, do rezygnacji z poszukiwania alibi usprawiedliwiającego go i jemu podobnych, że nie powrócił do walczącego kraju.

Nie mógł też zadowolić Gombrowicza sojusznik, który pisał w konkluzji, że „*Trans-Atlantyk* nie jest książką budującą i nie radzimy jej dawać w upominku działwie szkolnej”<sup>11</sup>, a chcąc podkreślić jej wartość, przeciwstawiał ją produktom socrealizmu.

<sup>7</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne i inne eseje*, wybór, opracowanie i przedmowa Jan Zieliński, Warszawa 1991, s. 273.

<sup>8</sup> Tamże.

<sup>9</sup> Tamże, s. 274.

<sup>10</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, Kraków 1986, s. 26.

<sup>11</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne...*, s. 277.

Zanim Gombrowicz poznał artykuł Wittlina, a wiedział już, że jest przygotowywany, pisał do Giedroycia: „Bardzo jestem ciekaw artykułu Wittlina. Moja sytuacja dziś jest taka, że mogą mi pomóc tylko wypowiedzi krańcowo dodatnie – albo ujemne. Wszystko, co jest pośrednie, nie konsoliduje ani grupy moich stuprocentowych zwolenników, ani też mnie samemu nie może zapewnić większej wewnętrznej dynamiki”<sup>12</sup>.

Wprawdzie tekst Wittlina odbiegał od tych oczekiwań, był wyważony, perswazyjny, ale, gdy się ukazał, Gombrowicz przyjął go dobrze: „Wittlin wspaniale wybrnął z trudnego zadania, bo to jest jednocześnie spokojne i pojednawcze, i silne, i pozbawione wszelkiej bombastyczności, i rozumne, i – w sumie – chyba przekonujące. Oczywiście nie łudzę się, aby ta *Apologia* uratowała mnie od losu Sokratesa, ale pies trącał tych głupców”<sup>13</sup>.

W *Dzienniku* wyraźnie wypowiedział swój sceptyczny dystans do wyводу Wittlina:

Przedmowa Wittlina do mojej książki jest majstersztykiem klarownej perswazji i dobroci, naładowanej najbardziej współczesną dynamiką. Lecz właśnie z powodu tej przedmowy uderzyłbym chętnie na Wittlina – uderzyłbym, aby nie powiedziano, że oszczędzam go, ponieważ mnie broni i popiera (nędzne są moje uczucia!)<sup>14</sup>.

W liście do Wittlina z 9 sierpnia 1951 roku wyrażał duże zadowolenie z *Apologii*. Jej autorowi przyznawał zwycięskie wyjście z trudnego dylematu między zaspokojeniem ambicji pisarza a spokojnym, pojednawczym docieraniem do odbiorcy jego dzieła. Miał jednak zastrzeżenia do fragmentu, w którym Wittlin odpierał stawiane Gombrowiczowi zarzuty, że naigrawa się z historii własnego narodu. Wyjaśniał:

Bo mój stosunek do narodu opiera się w gruncie rzeczy na przeświadczeniu, że nie ma w ogóle wartości wyższej od człowieka, że naród podobnie jak Bóg są tylko naszym – ludzkiem – tworem [...]. Ja więc właściwie bronię Polaków przed Polską i usiłuję wywyższać Polaka nad Polskę i sprawić, aby on przestał być „skrępowany” Polską<sup>15</sup>.

Po kilku latach Gombrowicz wspominał wstęp Wittlina do *Trans-Atlantyku* w słowach podkreślających to, czego w przedmowie brakowało: „Fragmenty ukazują się w »Kulturze«. Zaraz potem Wittlin przejrzystą oliwą swej prozy, na wagę złota dla mnie (ale znów, broniąc, wydobywa i uwypukla tenże problem polski, błędną coraz bardziej inne aspekty utworu)”<sup>16</sup>.

Gombrowicz chciałby skłonić Marię Kuncewiczową do napisania recenzji jego książki. Autorka *Cudzoziemki* przesłała list do niego z wysoką oceną *Ślubu* (mniejszą *Trans-Atlantyku*). Ale to się nie udało, mimo że również Giedroyc czynił w tej sprawie zabiegi<sup>17</sup>.

A dzieło rozchodziło się słabo. „Książka idzie niestety bardzo źle” – pisał Giedroyc do jej autora<sup>18</sup>.

<sup>12</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 30.

<sup>13</sup> Tamże, s. 32.

<sup>14</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, s. 94.

<sup>15</sup> *Listy Witolda Gombrowicza do Józefa Wittlina*, do druku podał Wojciech Wyskiel, „Ruch Literacki” 1985, z. 1, s. 45.

<sup>16</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, Kraków 1986, s. 21.

<sup>17</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 62 i 69.

<sup>18</sup> Tamże, s. 77.

W „Orle Białym” zaatakował *Trans-Atlantyk* i *Ślub* Jan Ostrowski, występując w obronie „zdrowych ideałów”, Boga i prawdy, przeciw cynizmowi i burzycielstwu, jakie przypisywał powieści i dramatowi Gombrowicza. Ten odpowiadał: „Zdrowe ideały ma każdy – oczywiście we własnym przekonaniu. Te zdrowe ideały, to kłeska, choroba, przekleństwo nierzetelnego wieku [...]. Nie sztuka mieć ideały, sztuka – w imię bardzo wielkich ideałów nie popełniać drobnych fałszerstw”<sup>19</sup>.

Apologia Gombrowicza podjęta przez Wittlina rzeczywiście – jak przewidywał to autor *Trans-Atlantyku* – nie przekonała krytycznie do niej usposobionych emigracyjnych pisarzy. Charakterystycznym świadectwem może być zapis Jana Lechonia w *Dzienniku* po ukazaniu się powieści:

Jest to historia bardzo plugawa, zakończona dość plugawymi wnioskami – a raczej nawet morałem *à rebours*. Gombrowicz chce być Herostratesem, niszczącym starą moralność – w imię czegoś nowego, co by mu poruszyło nerwy (to nie moja supozycja, tylko autor wyraźnie to mówi). Przeciwwstawienie tego wyuzdania, a raczej pragnienia wyuzdania, rzekomej strupieszalej moralności jakimś bliżej nieokreślonym więzom, w których miała być spętana Polska dwudziestolecia – jest to swego rodzaju „hucpa”, która nie pozwala mi dosyć bawić się tym, co jest w tym *Trans-Atlantyku* dosyć zabawne, choć cokolwiek śmierdzące<sup>20</sup>.

Krytycznie też odniósł się Lechoń do przedmowy Wittlina:

Gombrowicz mówi w swoim *Trans-Atlantyku*: „Jestem świnia” i Wittlin uważa z tego powodu, iż jest on moralistą. To samo mówi Cocteau o Sartrze. Spustoszenie w pojęciach moralnych, jakie zrobił Dostojewski, jest przerażające<sup>21</sup>.

Gombrowicz nie jest żadnym moralistą, jest świntuchem zażenowanym, który chce sypiać nam piaskiem w oczy zasypać też to, co napaskudził<sup>22</sup>.

Kiedy jednak Lechoń wystąpił przed mikrofonem Radia Wolna Europa, biorąc udział w dyskusji o Gombrowiczu (28 października 1953 roku), a wcześniej przeczytał jeszcze raz *Ferdydurke* i *Trans-Atlantyk*, poczuł się „psychicznie zgwałcony” przez autora:

Wszystko, co pisze on o pisarzach drugiej klasy – wzięłem do siebie [...] więc uznałem się za słusznie pobitego i w myśli jak Ferdydurek opadłem na kolana przed Gombrowiczem. W rezultacie wygłosiłem po Wittlinie drugą apologię *Trans-Atlantyku*, nie tak bezkrytyczną, ale wbrew temu, co myślałem zawsze i co teraz myślę. Gombrowicz to spokojny wariat o nieubłaganej logice – tylko że punkt wyjścia jest bez sensu<sup>23</sup>.

Gombrowicz dopiero po śmierci Lechonia zapoznał się z tym fragmentem *Dziennika*, w którym poeta w najgorszych słowach wypowiadał się o jego powieści, gdyż wówczas dopiero urywki zapisków Lechonia publikowały „Wiadomości”<sup>24</sup>. Wtedy to Gombrowicz przesłał Grydzewskiemu list, w którym przytoczył fragment listu, jaki otrzymał od Lechonia w maju 1956 roku, na miesiąc przed jego śmiercią. Lechoń w nim pisał: „O pana pracach, o *Ferdydurke* o *Trans-Atlantyku*, myślę z niezmienną przyjemnością,

<sup>19</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, s. 38. Na te słowa odpowiadał polemicznie Jan Ostrowski w „Orle Białym” 1953, nr 40.

<sup>20</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, Warszawa 1993, s. 54.

<sup>21</sup> Tamże, s. 103.

<sup>22</sup> Tamże, s. 191.

<sup>23</sup> Tamże, s. 237.

<sup>24</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, „Wiadomości” 1959, nr 16.

jako o świetnych utworach...”. Albo więc poeta zmienił zdanie, albo był hipokrytą – ale w jakim celu?<sup>25</sup>

Być może krytyczna opinia Lechonia o *Trans-Atlantyku* miała się ukazać już wcześniej, jeszcze za życia poety, tylko wskutek energicznych zabiegów Stanisława Balińskiego nie doszło wówczas do tego. W liście Gombrowicza do Giedroycia z 1 grudnia 1954 roku znalazły się bowiem takie słowa:

Podobno w pamiętnikach Lechonia, które mają drukować „Wiadomości”, jest morderczy passus o mnie, tak morderczy, iż Staś Baliński, przerażony, rzucił się na kolana przed Grydзем, błagając, aby mnie nie uśmiercano [...]. Życie moje zostało uratowane, gdyż Grydz zmiękł<sup>26</sup>.

W 1957 roku *Trans-Atlantyk* miał się ukazać w Polsce. Z myślą o krajowym czytelniku, oczekując na moment, w którym w jego rękach znajdzie się powieść, rozwijał Gombrowicz refleksję, pamiętając, że Wittlin nie wydobyl z jego utworu spraw uniwersalnych.

*Trans-Atlantyk?* Co będzie z *Trans-Atlantykiem*, który już lada moment powinien ukazać się w kraju? Wszystko, co piszę, jest jednako zasadnicze i uniwersalne. Choćbym chciał, nie mógłbym zredukować mojej tematyki, będzie nią zawsze człowiek i świat. Albo *Trans-Atlantyk* dotyczy też Polski i to słówko Polska wystarczy, aby odezwały się w nich wszystkie lokalne kompleksy<sup>27</sup>.

Czesław Miłosz widział w *Trans-Atlantyku* najwybitniejszą powieść o „tragikomedii polskiego zawężenia” i podkreślał, że powstała ona nie w Polsce, lecz na emigracji. Przygnębiał go kontrast między Gombrowiczem i prawie wszystkimi literatami z Polski. „Tak nieprawdopodobna odległość, jakby on i oni należeli do rzędu istot z innych planet”<sup>28</sup>.

A jednak... paradoksalnie, w „zniewolonej Polsce”, w państwie, którego władze stawały administracyjne bariery, by nie dopuścić dzieł emigracyjnych pisarzy do polskiego czytelnika, jego, krajowego czytelnika horyzonty i możliwości wartościowego odbioru *Trans-Atlantyku* znacznie przerosły horyzonty czytelnika emigracyjnego.

Drugie starcie między Gombrowiczem a Lechoniem wiązało się z dyskusją wywołaną artykułem Gombrowicza *Przeciw poetom*<sup>29</sup>. Sprowokował on do wystąpienia kilku autorów, m.in. Józefa Łobodowskiego, Czesława Miłosza, Wita Tarnawskiego, Natalię Zarembinę<sup>30</sup>. A Gombrowicza sprowokowała antologia *Najwybitniejsi poeci emigracji współczesnej* wydana przez Stanisława Lama w Paryżu w 1951 roku. Zawierała wiersze Stanisława Balińskiego, Jana Lechonia, Józefa Łobodowskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Józefa Wittlina. Utwory do antologii wybrali sami poeci. Dominował w nich

<sup>25</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, s. 180.

<sup>26</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 122–123.

<sup>27</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, s. 13.

<sup>28</sup> Czesław Miłosz, *Podzwonne*, „Kultura” 1969, z. 9.

<sup>29</sup> „Kultura” 1951, nr 10.

<sup>30</sup> Czesław Miłosz, *List do Gombrowicza*, „Kultura” 1951, nr 11; Józef Łobodowski, *Tym razem w obronie poetów*, „Kultura” 1951, nr 12; Wit Tarnawski, *Jeszcze w obronie poetów*, „Kultura” 1952, nr 1. Natalia Zarembina, *Jeszcze w obronie poetów*, „Kultura” 1952, nr 1. Odpowiadał im Gombrowicz: *Przekłete zdrobnienie znowu dalo mi się we znaki (Obróńcom poetów w odpowiedzi)*, „Kultura” 1952, nr 7–8. Jerzy Giedroyc pisał do Witolda Gombrowicza: „Ma Pan talent wzbudzenia namiętności. Polemiki w sprawie poezji sypią się jak z rękawa. Po Miłoszu w nrze listopadowym drukuję w grudniowym polemikę Łobodowskiego, na styczeń już mam Wita Tarnawskiego i Natalię Zarembinę”. Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 36.

ton wspomnieniowy, zwrot ku przeszłości. Według Gombrowicza emanowała z nich bezradność wobec współczesności, nastawienie duchowe, które nie pozwalało dostrzec i w poetyckich słowach ująć tego, co właściwe najważniejszym problemom przeżywanym przez współczesnego człowieka. W istocie nie przeciw poezji, lecz przeciw „wierszowaniu”, przeciw „wierszowanej poezji”, patosowi i jałowej retoryce, rozlewnemu deklamatorstwu wystąpił Gombrowicz, zarzucając poetom uprawianie rytuału, powtarzanie siebie. W takim obrządku odprawianym przez taką poezję i wokół niej widział tracenie „autentyczności i wagi istnienia”<sup>31</sup>. Wyżej od poezji stawał prozę. Od poetów wymagał świadomości granic poezji, a także jej śmieszności, jej „brzydot i głupstw”. Poeta, jego zdaniem, powinien być zdolny „w każdej chwili poddać rewizji stosunek poezji do życia i rzeczywistości”<sup>32</sup>. Tej zdolności odmawiał przebywającym na emigracji poetom o skamandryckim rodowodzie, których jedyną ambicją, według poglądów Gombrowicza, było pisanie pięknych wierszy<sup>33</sup>.

Czesław Miłosz w *Liście do Gombrowicza* w istocie rzeczy przyznawał mu rację, wymieniając warunki, na których może to zrobić. Przede wszystkim, jeżeli „to, co jest obroną poezji przed bzdurą i fałszem, nie będzie przedstawiane jako atak na nią”<sup>34</sup>, jeżeli będzie wprowadzone rozróżnienie między „poezją czystą” i „poezją wierszowaną”, oraz jeśli uwzględni się zmiany, jakie zaszły w ciągu lat w poezji kilku narodów, również i polskiego. „Pod tymi warunkami – kończył Miłosz – zgadzam się z Panem i nie tylko zgadzam się, jestem zachwycony”<sup>35</sup>.

Pozostali oponenty przyjęli postawę obronną, w istocie potwierdzającą diagnozę postawioną emigracyjnej poezji przez Gombrowicza. Toteż Łobodowskiemu, Tarnawskiemu i Zarembinie pisarz odpowiedział:

Rozumiem: ten świat obecny, w którym funkcjonujecie, choć może daleki od ideału, przecież w pewnej mierze jest zadowalający. W tym świecie Łobodowski pisze swoje wiersze, Tarnawski swoje recenzje, pani Zarembina słucha swego Bacha i tysiące innych ludzi uczęszcza na koncerty, recitale, korzy się przed „wielkimi geniuszami”, oddaje się mniej lub więcej inteligentnym dywagacjom na temat sztuki i delektuje się własną kulturą. Wszyscy, zresztą, niezmiernie prości, szczerzy, naturalni – nieprawdaż? Tak, jak to rozumiem. Świat ten ma przynajmniej jedną zaletę: stałość i niezmiennność. Wszelako... cóż zrobicie z Galileuszem? A Galileusz? Czy naprawdę sądzicie, że zdołacie zabezpieczyć się przed Galileuszem? Uniknąć Galileusza? Cóż będzie, gdy Galileusz krzyknie wam nad uchem: A jednak się rusza!<sup>36</sup>

Jednym z poetów, którzy poczuli się zaatakowani przez Gombrowicza, był Jan Lechoń. Zareagował natychmiast, gwałtownie, emocjonalnie, w sposób tym bardziej nieskrępowany, że swemu nastawieniu dawał upust w prowadzonym przez siebie *Dzienniku*. Mógł więc w słowach nie przebierać. Nazwał Gombrowicza durniem, bęcwałem, wiecznym smarkaczem, niegrzecznym Dyziem, czterdziestoletnim gówniarzem, którego

<sup>31</sup> Witold Gombrowicz, *Przeciw poetom*, „Kultura” 1951, z. 10, s. 75. „Wojowniczy esej *Przeciw poetom* powstał z irytacji, bo przez długie lata warszawskie i niewarszawskie drażnili mnie ci poeci swoją »poetyckością« natrętną i konwencjonalną – miałem już tego po uszy. To w pierwszym rzędzie reakcja na środowisko i jego *genre* nieszczęśliwy. Ale ta złość zmusiła mnie do zwentylowania całego problemu wierszopisarstwa” (*Dziennik 1953–1956*, s. 196).

<sup>32</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, s. 75.

<sup>33</sup> Zob. Julian Przyboś, *Linia i gwar*, t. 2, Kraków 1959, s. 133, 134, 136, 143–144 i 153–154.

<sup>34</sup> Czesław Miłosz, *Zaczynając od moich ulic*, Wrocław 1990, s. 109.

<sup>35</sup> Tamże, s. 114.

<sup>36</sup> Tamże, s. 121.



nie należy dopuszczać do poważnej rozmowy, kulturalnym bękartem, pretensjonalnym błaznem<sup>37</sup>. W rozumowaniu Gombrowicza widział dowód wariacji:

Bo wariacja to przede wszystkim choroba uczuć. Wszyscy prawie zbrodniarze są wariatami. Nie czuć piękna poezji lirycznej, wmawiać w nas – że to jest kolektywne załganie – to coś jak wariaci w szpitalu, którzy przekonują nas, że nic im nie brak i naraz, ni stąd ni zowąd, kopią nas w zadek<sup>38</sup>.

Zderzenie stylu myślenia właściwego Lechoniowi, podobnym do niego kontynuatorom tej samej tradycji literackiej, kręgowi literatów skupionych wokół „Wiadomości” londyńskich z przenikliwą ironią i ostrym widzeniem Gombrowicza było bardzo silne, niedopuszczające kompromisu. To o nich wszystkich myślał, gdy stwierdzał, że Polacy mało wnieśli do kultury uniwersalnej, że nie umieli sprostać wyzwaniu swego czasu:

Tragikomiczna sytuacja, gdy wszystkie te Lechonie zostały przyparte do muru: teraz musisz coś wydusić z siebie, skok, inspirację, ideę, coś niespodziewanego i niebywałego, żeby wytrącić historii inicjatywę! Odpowiedzieli recytując wszystkie dotychczasowe utwory plus nowe, akurat takie same, kubek w kubek. Wszystko pięknym językiem, wzorową składnią, kulturalnie, z godnością i przecinkami<sup>39</sup>.

Kiedy powstały te słowa, *Dziennik* Lechonia nie był jeszcze opublikowany w całości. Za życia Gombrowicza ukazał się tylko jego pierwszy tom. Pisarz poświęcił mu trochę uwagi i zanotował refleksje wywołane lekturą, która nie skłaniała go do skorygowania poprzednich ocen poety. Tyle że teraz, po jego śmierci, Gombrowicz zrezygnował ze swej poprzedniej gwałtowności:

Chaos. Ciemność. Pasje i zadrażnienia wręcz naskórkowe. Lata spędzone w Paryżu spływały po nim jak deszcz po dachu. A gdy Historia wyrzuciła go na dobre z Polski, utopił się w szerokim świecie akurat tak samo, jak pierwszy lepszy dziedzic wygnany z folwarku<sup>40</sup>.

Gombrowicz pozostawał w stałym konflikcie ze środowiskiem londyńskim, którego reprezentantem były „Wiadomości”. Przede wszystkim ono nie uznawało go od samego początku po zakończeniu wojny i długi czas ignorowało. Czesław Miłosz stwierdzał: „Podczas pobytu w Argentynie Gombrowicz był najdoskonalej pozbawiony pisarskiej rangi, jeżeli publikowała coś o nim emigracyjna prasa, to po to, żeby wydziwiać i wyśmiewać”<sup>41</sup>. A przy tym, co Miłosz podkreślał, między Gombrowiczem a prawie wszystkimi literatami emigracyjnymi był bardzo duży kontrast, „wprost przygnębiający”: „Ich gorycz, wściekłość, ich bełkot, ich babranie się we własnej rozpacz – jakże podkreślały Gombrowiczowski ład, dyscyplinę, kontrolę nad gospodarstwem osoby”<sup>42</sup>.

Prawda, że Gombrowicz odpowiadał im pięknym za nadobne. Odnosił się do nich właściwie z pogardą, z nieukrywanym lekceważeniem. Emigracyjne piśmiennictwo polskie porównywał do nieruchomej kałuży „odbijającej przebrzmiały księżyc”, nazywał je „gaworzeniem, przelewaniem z pustego w próżne, gonieniem dookoła Wojtek [...],

<sup>37</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, Londyn 1973, s. 84–85, 98, 127, 162.

<sup>38</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1, Londyn 1970, s. 272.

<sup>39</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, s. 176.

<sup>40</sup> Witold Gombrowicz, *Dzieła zebrane*, t. 10, Paryż, s. 509.

<sup>41</sup> Rita Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 62.

<sup>42</sup> Tamże, s. 63.

krowim przeżuwaniem wczorajszego pokarmu”. Nie widział w emigracyjnych twórcach partnerów godnych tego, by być z nimi „w uczciwej i otwartej wojnie”<sup>43</sup>.

Prasę emigracyjną charakteryzował jako pocziwą, porównywał ją do szpitala, gdzie rekonwalescentom podaje się lekkostrawne papki i działa się w trosce o nierozdrapywanie ran.

Panują więc tutaj wszystkie chrześcijańskie cnoty, dobroć, ludzkość, litość, poszanowanie człowieka, umiar, skromność, przyzwoitość, rozsądek, i wszystko, co się pisze, jest przede wszystkim dobrotliwe. Tyle cnót! Nie ufam cnocie tych, którym się nie udało, cnocie zrodzonej z biedy<sup>44</sup>.

Opinie takie i podobne do nich, często – jak to widać z przytoczonych cytatów – celne i mogące zranić, prowokowały z kolei kąśliwe aluzje do biografii i twórczości Gombrowicza ze strony Juliusza Sakowskiego, Wacława Grubińskiego, Ferdynanda Goetla. „Juliusz Sakowski – pisał Gombrowicz w liście do Giedroycia – ciągle naskakuje na mnie z silnie gryzącymi aluzjami”<sup>45</sup>.

Jerzy Giedroyc całkowicie podzielał pogląd Gombrowicza na środowisko londyńskie, nowojorskie i jego popularność wśród polskich emigrantów: „Na Lechonia i Grydzewskiego nie ma rady i – nie ludźmy się – Grydz z Lechoniem są bardziej w guście rodaków niż my, np. »Kultura« to zawsze jakiś zapaszek żydomasoński, podejrzany, a tu wszystko proste, jasne”<sup>46</sup>. O „Wiadomościach” Giedroyc pisał: „Ci starsi panowie naprawdę się nie liczą. »Wiadomości« w kraju są albo nieznane, albo lekceważone”<sup>47</sup>. Gombrowicz mu wtórował: „W tych łepetynach owieczek p. Grydzewskiego nic absolutnie nie poruszyło się od 1939-go roku”<sup>48</sup>. To w *Dzienniku*. A w liście do Giedroycia: „Ubawiłem się czytając »Wiadomości«, niczym się tak nie rozkoszuję jak podrygami tego szanownego grona”<sup>49</sup>. Gombrowicz pełniej rozwinął swą opinię o „Wiadomościach” w *Dzienniku* w 1959 roku:

„Wiadomości” w ciągu kilkunastu lat swego istnienia zdołały zrazić do siebie wszystkie prawie twórcze elementy literatury na wygnaniu [...]. Któż z lepszych autorów jest dzisiaj współpracownikiem tego pisma? Ale odcięto pismo nie tylko od talentów, odcięto je, co gorzej, od żywej myśli polskiej. Jeśli w środowisku emigracji dzieje się jakaś dyskusja, wysiłek, walka, coś wreszcie, cokolwiek, to sto mil od „Wiadomości” i tych konkursów „Kogo wybralibyśmy do Akademii Literatury”. Ja, słusznie czy niesłusznie, umiejętnie czy nieumiejętnie, poruszyłem w ciągu mego emigranckiego pisania spory zastęp zagadnień pierwszorzędnych dla nas znaczenia – nie doczekałem się w „Wiadomościach” na przestrzeni dziesięciolecia ani jednego poważnego komentarza, czy przyzwoitej polemiki, niczego oprócz zdawkowych „recenzji” nie tak znów ujemnych, ale płyciutkich, szczebiotliwych, niemądrze nonszalanckich i często złośliwych<sup>50</sup>.

Pozycja Gombrowicza zmieniła się wyraźnie na początku lat sześćdziesiątych dzięki ocenom jego twórczości, jakie pojawiły się w prasie obcojęzycznej po ukazaniu się prze-

<sup>43</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik*, „Kultura” nr 86, s. 68.

<sup>44</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, s. 10

<sup>45</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 111

<sup>46</sup> Tamże, s. 131.

<sup>47</sup> Tamże, s. 363.

<sup>48</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, s. 185.

<sup>49</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 366.

<sup>50</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, s. 185.

kładów *Ferdydurke* na język niemiecki, włoski, angielski, później francuski. Pochwały w niemieckiej prasie literackiej sprawiły, że poczuł się największym pisarzem polskim, o czym chyba nie żartobliwie pisał do Giedroycia: „Mnóstwo ludzi na emigracji jeszcze nie wie, że jestem za granicą uważany za NAJWIĘKSZEGO PISARZA POLSKIEGO”<sup>51</sup>. Pochwały te przedrukowywał w *Dzienniku* i zauważał, jak po nich zmienia się do niego stosunek: „Apooteza mojej osoby w trzech kolejnych numerach zrobiła swoje, gdyż tu dają mi się we znaki symptomy intensywnego uwielbienia”<sup>52</sup>.

Uznanie Gombrowicza przez obcych spowodowało większe nim zainteresowanie polskich środowisk literackich na emigracji. Notował w *Dzienniku*:

Urodzaj teraz w prasie emigracyjnej na pośredników między moim zepsuciem a powszechną zacnością. Niedawno jeszcze byłem po prostu pajac i świnia, dziś – że to jednak jest zagraniczny rezonans – rozmaici wyjaśniacze zabrali się do „obiektywnego” acz kwasowatego wykładania moich tworów (potworów?) z miną „nie będę chwalił ani ganił, niech czytelnik sam wyciągnie wnioski”<sup>53</sup>.

W tym mniej więcej czasie (27 maja 1961 roku) obradowało w Londynie jury nagrody „Wiadomości”. Członek jury, Jan Rostworowski, wysunął do nagrody *Pornografię* Witolda Gombrowicza, uważając ją za wybitną pozycję literacką, której nie można pominąć. Uczynił to ze świadomością, że jest w tym gronie zupełnie odosobniony, ale było to dla niego nawet zachętą, „by w sprawie Gombrowicza walecznie stanąć, choć wiadomo, że do boju z góry przegranego”<sup>54</sup>. W posiedzeniu tym Wittlin nie brał udziału. Nadesłał tylko list, w którym wymieniał *Pornografię* na trzecim miejscu po *Skrzydłach ołtarza* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i *Przejściu przez Morze Czerwone* Zofii Romanowiczowej. Wniosek Rostworowskiego nie wywołał dyskusji. Inne propozycje usunęły go na daleki plan. Nagrodę wówczas otrzymał Kajetan Morawski za książkę *Tamten brzeg*.

Sprawa nagrody „Wiadomości” dla Witolda Gombrowicza stanęła ponownie na porządku dziennym w 1963 roku, tym razem za *Dziennik 1957–1961*. Wysunęli go do nagrody: Tadeusz Nowakowski, Jan Rostworowski, Juliusz Sakowski, Tymon Terlecki i Józef Wittlin (ten ostatni wymienił Gombrowicza na drugim miejscu – po *Motywach greckich* Wawrzyńca Czereśniewskiego). Najobszerniejsze, dowcipne i niepozbawione walorów literackich uzasadnienie wygłosił Tadeusz Nowakowski, którego słów Zygmunt Nowakowski słuchał „z rzetelnym przygnębieniem i smutkiem”<sup>55</sup>.

Tadeusza Nowakowskiego poparł w dłuższym wywodzie Jan Rostworowski, prowadząc do konkluzji, że *Dziennik* jest dziełem oryginalnym i wybitnym. Do wniosku przyłączył się Juliusz Sakowski, ale uczynił to bez większego przekonania i jakby wbrew swej woli, przymuszony brakiem innych wybitnych książek wydanych w ostatnim roku, kończąc swoje wystąpienie słowami: „Proszę panów o przyznanie mu [Gombrowiczowi] nagrody, bez hamowania uprawnionej irytacji, że na nią zasłużył”<sup>56</sup>. W poparciu dla wniosku Tymon Terlecki nie omieszczał zaznaczyć, że nie należy do adoratorów Gombrowicza. Uznał wszakże, że zasługuje on na nagrodę „za myślenie pod prąd, pod włos, za myślenie

<sup>51</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 317.

<sup>52</sup> Tamże, s. 321.

<sup>53</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1961–1963*, s. 19–20.

<sup>54</sup> *Od Herberta do Herberta. Nagroda „Wiadomości” 1958–1990*, opracowanie i przedmowa Stefania Kossowska, Londyn 1993, s. 53.

<sup>55</sup> Tamże, s. 77.

<sup>56</sup> Tamże, s. 79.

niekonformistyczne, przekorne, ryzykanckie<sup>57</sup>. Dodał jednak, że i taka postawa, chociaż pobudzająca i odświeżająca, ma również swoje schematy, konformizmy i kokieterie.

W dyskusji nad wnioskiem główny głos należał do Zygmunta Nowakowskiego. Powiedział, że po lekturze *Trans-Atlantyku*, fragmentu dramatu i dwóch tomów *Dziennika* nabrał głębokiego przekonania, że „trudno spotkać się z gorszym deprawatorem stylu i myśli niż Gombrowicz”<sup>58</sup>. Teksty te nazwał „nudnymi i niedołącznymi”: „Gombrowicz i jego dziennik to jest tylko Gombrowicz, to jest tylko ten Narcyz, który uważa siebie samego za słońce, dookoła którego się obraca cały świat! Nie ma człowieka równie nudnego jak właśnie Gombrowicz”<sup>59</sup>. Jako Polak i jako emigrant czytał jego utwory z najwyższym oburzeniem. Gombrowicza tak scharakteryzował:

To jest człowiek, który się wyobcował z emigracji! To jest człowiek, który się wyobcował z Polski! To jest człowiek, który dzisiaj, w tej chwili, w r. 1963, pisze o Polsce z pogardą! Człowiek, który pisze, że Polak, aby zostać pełnym człowiekiem powinien się wyzwolić z polskości! Ja tego nie mogę słuchać! Ja jestem starym człowiekiem, który stoi na progu tamtego świata. I wszystko, co mam, co kocham – to Polska! U niego wszystko jest głupie [...]. Czułbym się po prostu w najwyższym stopniu upokorzony, gdyby rezultatem tego głosowania miała być nagroda dla Gombrowicza<sup>60</sup>.

Stanowisko Nowakowskiego poparł Stanisław Baliński. Przyznał, że w swoim czasie nowością był *Pamiętnik z okresu dojrzewania* i *Ferdydurke*, ale *Dziennik*: „jest dla mnie osobiście nudny i sztuczny”<sup>61</sup>. Podobnego zdania był Waław Grubiński, który w *Dzienniku* nie znajdował „nowości”, a poza tym nie widziałby w niej kryterium oceny dzieła. Również Marian Kukiel podzielił opinię Nowakowskiego, dodając, że Gombrowicz jest dla niego nieczytelny. „Nie nauczyłem się go czytać”<sup>62</sup>.

Po serii wystąpień odrzucających wniosek, ponownie – z różnym stopniem przekonania – brali Gombrowicza w obronę: T. Nowakowski, J. Rostworowski, J. Sakowski, J. Wittlin i T. Terlecki, który podkreślił wyjątkowość tej dyskusji:

Nie mieliśmy jeszcze posiedzenia, które by tak ostro podzieliło nasze grono i które by wywołało aż tyle namiętności, wyzwoliło aż tyle emocji. Wydaje mi się, że mimo woli ten wieczór zamienił się w wieczór tryumfalny Gombrowicza. Gombrowicz poruszył nas tak jak żaden z pisarzy, których rozpatrywaliśmy w tym gronie [...]. Już ten fakt powinien nasunąć refleksje, że jest coś w tym pisarzu, czego nie ma u innych. Że jest w tym pisarzu taki ładunek, taki potencjał prowokacji czy oryginalności, iż przy każdym zetknięciu powoduje wyładowanie elektryczne, jak to, którego jesteśmy świadkami, a także ofiarami<sup>63</sup>.

W głosowaniu brało udział dziewięć osób. Za wnioskiem o wyróżnienie nagrodą „Wiadomości” książki Witolda Gombrowicza *Dziennik 1957–1961* głosowało pięć osób, głosy pozostałe podzieliły się między trójkiem innych kandydatów. Mieczysław Grydzewski jako przewodniczący jury wstrzymał się od głosowania. Po takim werdykcie Z. Nowakowski oświadczył: „Może to zostać odebrane za objaw złych obyczajów

<sup>57</sup> Tamże, s. 80.

<sup>58</sup> Tamże, s. 82.

<sup>59</sup> Tamże, s. 83.

<sup>60</sup> Tamże, s. 83 i 84.

<sup>61</sup> Tamże, s. 84.

<sup>62</sup> Tamże.

<sup>63</sup> Tamże, s. 86.

z mej strony, ale zgłaszam *votum separatum* i na znak protestu nie będę brał udziału w przyszłych posiedzeniach jury nagrody »Wiadomości«<sup>64</sup> (nie wiadomo, czy wytrwałby w tym przekonaniu i dotrzymał słowa. Umarł w 1963 roku. Jego miejsce w jury zajął Jan Bielatowicz).

Po otrzymaniu wiadomości o przyznaniu nagrody Gombrowicz odpowiedział Grydzewskiemu:

Otrzymałem depezę Pana w przeddzień wyjazdu do Paryża (z Buenos Aires) i z treści jej trudno mi było zorientować się, o jaką nagrodę chodzi. Dopiero teraz dowiaduję się, że to nagroda „Wiadomości”. Wobec tego proszę Pana Redaktora o łaskawe przekazanie mego podziękowania członkom jury za tak zaszczytne wyróżnienie mej książki. Przekaz na 105 funtów otrzymałem. Bardzo dziękuję. Witold Gombrowicz. Paryż 26 kwietnia 1963<sup>65</sup>.

Na wiadomość o przyznaniu Gombrowiczowi nagrody „Wiadomości” Giedroyc do laureata napisał:

Ha, ha, ha... Dostałeś nagrodę „Wiadomości”. Batalia była niebywała. Klócono się do późnej nocy [...]. Zygmunt Nowakowski złożył *votum separatum* i podobno paru ludzi na tym tle występuje z Akademii. Wszystko to zrobił Wittlin, który niespodziewanie przybył do Londynu i walczył jak lew o Ciebie<sup>66</sup>.

Kiedy ukazał się numer „Wiadomości” z zapisem dyskusji z obrad jury, Giedroyc wysłał go Gombrowiczowi ze słowami: „»Wiadomości« wreszcie ogłosiły dyskusję. Wysłałem Ci numer. Tu trudno się nawet śmiać. Takie to w sumie smutne”<sup>67</sup>.

Gombrowiczowi sprawozdanie z posiedzenia jury narody „Wiadomości” dostarczyło „sporej przyjemności, a nawet uciechy”, a opis „mąk i drgawek szanownego jury [...] jeszcze bardziej mnie uraczył”. Szczególnie osobom, które były mu przeciwne, poświęcił dłuższy fragment *Dziennika*<sup>68</sup>.

W 1966 roku dostał Gombrowicz nagrodę Alfreda Jurzykowskiego, a rok później bardzo prestiżową Międzynarodową Nagrodę Wydawców. Stała się ona jeszcze jedną okazją do potyczki Gombrowicza z „Wiadomościami”. Pod datą 7 sierpnia 1967 roku zanotował:

Mieroszewski dziwi się w „Kulturze”, że Polacy na emigracji nie dość cieszą się z mojego sukcesu. Dziwię się, że on się dziwi. Dla nich taka nagroda to co najwyżej *testimonium pauperitatis*, dowód, że we własnych swoich wartościach nie umieją się połączyć. Z czegoż tu się cieszyć? Gdyby któryś z „naszych” taką nagrodę chapnął, np. Wierzyński, byłby jubel w narodzie. Ale ze mną, tak czy owak, tylko same nieprzyjemności<sup>69</sup>.

Z kręgiem osób związanych z Radiem Wolna Europa Gombrowicz też nie miał dobrych stosunków. Parokrotnie napomynał o „niemądrej propagandzie wszystkich Free Europe”. Giedroyc, „myśląc o Janie Nowaku-Jeziorańskim”, pisał do Gombrowicza:

<sup>64</sup> Tamże, s. 90.

<sup>65</sup> Tamże. W 1967 roku Michał Chmielowiec proponował przyznanie nagrody „Wiadomości” za *Dziennik 1961–1966*. Jego wniosek nie zyskał poparcia, nie wywołał dyskusji, nie był brany pod uwagę.

<sup>66</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 348.

<sup>67</sup> Tamże, s. 365.

<sup>68</sup> Zob. Witold Gombrowicz, *Dziennik 1961–1966*, Kraków 1986, s. 123–124.

<sup>69</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, Kraków 1992, s. 16.

„Nie jest on Twoim entuzjastą”<sup>70</sup>. Nie ukrywał opinii, że Radio Wolna Europa zatrudnia grafomanów, a nie wykorzystuje takich ludzi, jak Gombrowicz czy Jerzy Stempowski<sup>71</sup>. Dla złagodzenia trudności materialnych, z jakimi borykał się Gombrowicz, Giedroyc radził mu spróbować wygłaszania jakichś pogadank w rozgłośni radiowej Wolna Europa, ale nie robił wielkich nadziei, gdyż „Polacy tam pracujący nie grzeszą nadmierną inteligencją”<sup>72</sup>. W innym miejscu dodawał: „Muszą się trochę liczyć ze mną, ale to ich doprowadza do wściekłości”<sup>73</sup>.

W końcu doszło do tego, że Gombrowicz przygotowywał krótkie pogadanki autobiograficzne dla Radia Wolna Europa. Dotyczyły one dwudziestolecia międzywojennego i okresu pobytu pisarza w Argentynie. Nigdy jednak nie były emitowane przez radio. Nawet nie zachowały się w jego archiwum. Po śmierci pisarza odkryła je jego żona Rita. Ukazały się jako *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie*.

Nie były Gombrowiczowi oszczędzone również docinki związane z faktem, że udało mu się uniknąć udziału w wojnie. Zarzut dezercji w chwili narodowej próby postawił mu Waław A. Zbyszewski, któremu pisarz odpowiadał w „Wiadomościach” z 27 stycznia 1952 roku. Wyjaśnienia Gombrowicza w tej kwestii pozostają w sprzeczności z jego ogólną postawą. Pragnął się wytłumaczyć i wykazać, że był i jest dobrym Polakiem. Powoływał się na kategorię swego zdrowia. Przyjął więc „gębę”, którą programowo odrzucał. Trafnie tę kwestię przedstawił Tadeusz Kępiński<sup>74</sup>.

Do Gombrowicza odnosiła się ironiczna uwaga Czesława Straszewicza: „Jeden uciekł od strachu matki swojej przed wojną, zaś w progi demoludowego banku przed nędzą”<sup>75</sup>. Ostatnie słowa dotyczyły zatrudnienia Gombrowicza w Banco Polaco w Buenos Aires. Podobny atak na pisarza pojawił się w argentyńskim piśmie emigracyjnym „Głos” z 22 i 24 marca 1954 roku. Waław Kozłowski uznał pisarza za dezercera, zdrajcę oraz sługę komunistów. Gombrowicz wyjaśniał, że Banco Polaco nie jest filią Polskiej Kasy Opieki, lecz jest to samodzielny bank, mający własną osobowość prawną, pracujący w Argentynie, którego akcjonariuszami są banki warszawskie<sup>76</sup>.

Powodem konfliktu między Gombrowiczem a znacznymi kręgami emigracyjnych literatów (zwłaszcza tych, których wyrazem była linia redakcyjna „Wiadomości”) była również kwestia publikowania utworów w kraju. Gombrowicz nie przyłączył się do uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie podjętej w 1947 roku, zakazującej pisarzom emigracyjnym publikowania w Polsce ich utworów dawniejszych i nowych, a żywo zareagował, gdy ponowiono ją w październiku 1956 roku na Walnym Zjeździe w Londynie.

Parę miesięcy wcześniej Gombrowicz przyjął propozycję Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie wznowienia *Ferdydurke*. Odbierał też z Polski sygnały świadczące o zainteresowaniu wydawców *Trans-Atlantykiem* i już w czerwcu tego roku oczekiwał odpowiednich propozycji<sup>77</sup>. Swoje stanowisko w sprawie drukowania utworów w kraju uzasadniał w liście do Giedroycia:

<sup>70</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 238.

<sup>71</sup> Por. tamże, s. 248.

<sup>72</sup> Tamże, s. 108.

<sup>73</sup> Tamże, s. 324.

<sup>74</sup> Zob. Tadeusz Kępiński, *Witold Gombrowicz. Studium portretowe*, Kraków 1988, s. 359–362.

<sup>75</sup> Czesław Straszewicz, *Pióra w ukropie albo strach nami rządzi* [w:] Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 473.

<sup>76</sup> Zob. tamże, s. 103. W tej kwestii wziął Gombrowicza w obronę K.A. Jeleński, *Gombrowicz i robaczek Kozłowski*, „Kultura” 1954, z. 6

<sup>77</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 161–162.

Moim obowiązkiem moralnym, jako pisarza, jest pisać dla Polaków. Jeżeli pozostałem na emigracji, to właśnie dlatego, że w Kraju tego robić nie mogłem. Jestem na emigracji, ponieważ stąd, jako pisarz, chcę oddziaływać na Kraj. Jeżeli mam pisać tutaj, a moje rzeczy mają pozostać nieznanymi większości Polaków, to, pytam, po co w ogóle jestem na emigracji? I po co piszę? [...] Emigracja nie jest po to, żeby się obrażać na Kraj, tylko żeby na niego wpływać. Moje książki słusznie przez wielu są uważane jako najbardziej antykomunistyczna literatura, na jaką się zdobyła emigracja. Więc, póki piszę w tym duchu, wydanie jakiegokolwiek mojej książki w Polsce powinno być uważane za sukces, także polityczny<sup>78</sup>.

Tymczasem na Walnym Zjeździe Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie przeszła uchwała stwierdzająca, że w Polsce nic się nie zmieniło i zakazująca druku w kraju. Przeciwno niej opowiedzieli się tylko współpracownicy „Kultury”, którzy znaleźli się w znacznej mniejszości. Zamierzali wystąpić ze Związku i wydać kontrdeklarację, o czym Giedroyc informował Gombrowicza<sup>79</sup>, który w odpowiedzi londyńską uchwałę nazwał „szczególnym i znamionym kretynstwem” oraz prosił o przysłanie deklaracji i kontrdeklaracji, którą zamierzał podpisać<sup>80</sup>. Gdy otrzymał londyńską uchwałę i zapoznał się z nią, zareagował słowami: „Cóż za cymbaństwo”<sup>81</sup>.

Zapowiadana przez Giedroycia kontrdeklaracja przybrała formę rozpisanej przez „Kulturę” ankiety *Literatura emigracyjna a kraj*. Gombrowicz wziął w niej udział, ale z zastrzeżeniem, że to nie jest jego głos: „Oświadczam z całą megalomanią: nie będę dewaloryzował mojego głosu, uczestnicząc w procedurze, którą jakoś rozpoczyna w ilość”. Wypowiedzi swej nadał formę ściśle prywatnego zapisu z własnego dziennika:

Ja pozostałem za granicą, ponieważ w Kraju nie mam wolności słowa – ale teraz okazuje się, że i tutaj mi ją gwałcą nakazami, dla kogo mam pisać i gdzie mi wolno szukać czytelników. Pozostałem za granicą, aby stąd oddziaływać na moich polskich czytelników w duchu mnie właściwym, to jest w duchu wolności – czyż nie taka jest najwyższa racja istnienia pisarza emigracyjnego? Ale zakaz: nie wolno! Czy zwiariowali? Czy może sabotaż? W chwili, gdy dzięki szczęśliwym przemianom politycznym w Kraju wolne słowo może na koniec przeniknąć na tamtejsze spustoszone tereny, gdy wreszcie komunizm zmuszony został do uchylecia polskiego okna na Zachód – ktoś inny staje na przeszkodzie i nakłada nowy kaganiec. Kto? Związek „pisarzy” w Londynie [...].

Widzą tylko „współpracę” z krajowymi firmami wydawniczymi – nie widzą współpracy z życiem narodu, z rozwojem polskim, z polskim ciężkim i trudnym dojrzewaniem<sup>82</sup>.

Po paru latach, chwając „Kulturę” za utrzymywanie kontaktu z krajem, Gombrowicz wspominał: „Czy pamiętacie uchwałę Związku Pisarzy w Londynie zakazującą drukowania w Polsce, tę uchwałę monumentalną, posąg niedołęstwa?”<sup>83</sup>.

Ludzi sobie przyjaznych Gombrowicz miał w kręgu „Kultury”. Poczynając od jej redaktora Jerzego Giedroycia, który nie tylko drukował wszystkie powojenne dzieła pisarza, zainicjował prowadzenie i publikowanie *Dziennika* w tym kształcie, w jakim go znamy, wspierał jego autora z konieczności skromnymi, lecz bardzo oczekiwanymi honorariami, ale także cierpliwie, spokojnie i wyczerpująco odpowiadał na jego nie zawsze budujące listy i gdzie mógł, tam reprezentował jego interesy.

<sup>78</sup> Tamże, s. 161.

<sup>79</sup> Tamże, s. 186.

<sup>80</sup> Tamże, s. 189–190.

<sup>81</sup> Tamże, s. 196.

<sup>82</sup> Tamże, s. 201.

<sup>83</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, s. 210.

Gustaw Herling-Grudziński w stosunku Gombrowicza do ludzi i w całej jego postawie życiowej widział „bardzo ostre narzędzie pewnego, wstydliwego zagadnienia współczesnej kultury, zagadnienia wychowania”<sup>84</sup>. *Ferdynand* przyjmował jako przejaw krytyki kultury mieszczańskiej. Z powojennych utworów pisarza na pierwszym miejscu stawiał *Trans-Atlantyk*, w którym znajdował najświetniejszy portret Polaka, „odwinięcie polskości ze świętych zwojów papieru”<sup>85</sup>. Krytycznie jednak odnosił się do filozofii człowieka wpisanej w utwory Gombrowicza. Nie widział w niej bowiem wyjścia ku wartościom transcendentnym; zarzucał pisarzowi redukcję wszystkich spraw człowieka do międzyludzkich uwikłań<sup>86</sup>.

W Gombrowiczu Herling-Grudziński widział Wielkiego Prowokatora, świadomie prowokującego również niedocenianie siebie. Wbrew wymówkom przyjaciół odpowiadał także na różne głupawe zaczepki, które niejednokrotnie podniecały go bardziej nawet niż wywody uczonych egzegetów. „Wynajdywał sobie celowo jakieś gorsze bądź lepsze Baśki do harców na Dzikich polach, bo bez czerwonej płachty konwenansu jego prowokacyjnej sztuce groziło niebezpieczeństwo znacznie większe od »niedoceniania«: zwiotczenie, skapcanienie”<sup>87</sup>.

Józef Czapski porównywał Gombrowicza z Jerzym Andrzejewskim; po to, by z tego zestawienia wyprowadzić wniosek, że autor *Ładu serca*, później zwolennik komunizmu, a następnie sojusznik „Solidarności”, był człowiekiem bez charakteru. W przeciwieństwie do Gombrowicza, który był zawsze takim, jakim był, nie sprzeniewierzył się sobie, tworzył literaturę dużego formatu: „W wielkości jego literatury tkwi wielkość jego własna jako człowieka”<sup>88</sup>.

Dzieliły natomiast Czapskiego od Gombrowicza jego ateizm i odmienne pojmowanie sensu pisania: „Nie pisze się po to, żeby siebie potwierdzić. Pisze się, żeby powiedzieć, co się myśli”<sup>89</sup>. Toteż dla Czapskiego, który nie mógł sobie z Gombrowiczem poradzić, był on zarówno bliski, jak i obcy, a nawet wrogi. Był człowiekiem odciętym od świata. Czapski zapytywał sam siebie, trochę bezradny wobec jego pisarstwa: „Dlaczego Gombrowicz jest niemoralny, dlaczego czytam go coraz ze zgorzaniem, co mi się prawie w czytaniu nie zdarza. Przy tym arcykowski i coraz to zadziwiająco katolicki”<sup>90</sup>.

Sprzymierzeńcem Gombrowicza był Czesław Miłosz, który cenił i dobrze rozumiał sens jego twórczości, której siła polega – wbrew temu, co pisało wielu autorów z kręgu „Wiadomości” – właśnie na polskości, na polskości w walce z polskością<sup>91</sup>.

Sprzymierzeńcem Gombrowicza był także Juliusz Mieroszewski, autor m.in. artykułu *Ferdynand*<sup>92</sup>, w związku z którym Gombrowicz pisał do Giedroycia: „Mieroszewski nader skutecznie mnie zreferował i do niego z podziękowaniem piszę”<sup>93</sup>.

<sup>84</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia*, opracował Zdzisław Kudelski, Warszawa 1993, s. 74.

<sup>85</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą 1973–1979*, Warszawa 1990, s. 56.

<sup>86</sup> Zob. *O Gustawie Herlingu-Grudzińskim*, pod redakcją Ireny Furnal i Jana Paclawskiego, Kielce 1992, s. 94–95.

<sup>87</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia*, s. 294.

<sup>88</sup> Rita Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 56.

<sup>89</sup> Tamże, s. 57.

<sup>90</sup> Józef Czapski, *Wyrwane strony*, Warszawa 1993, s. 72.

<sup>91</sup> Por. Czesław Miłosz, *O Gombrowiczu*, „Kultura” 1957, z. 10.

<sup>92</sup> „Kultura” 1961, z. 6.

<sup>93</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 320.



Wprost wyznawcą Gombrowicza był Konstanty A. Jeleński. W Gombrowiczu spotkał on kogoś pokrewnego duchem, kto wniósł w jego życie dużo dodatnich przeżyć, rzucił ważne światło na niego i na świat. Jeleński miał poczucie, że poprzez lekturę książek Gombrowicza, poczynając od *Ferdydurke*, obcuje „ze wspaniałym, podziwu godnym sobowtórem”<sup>94</sup>. Z entuzjazmem przyjął *Trans-Atlantyk*, uznając go za utwór genialny. Zabiegał o wydanie przekładu, udostępnienie utworu szerszym kręgom czytelników. Podobnie wysoko ocenił *Dziennik*, *Pornografię* i *Kosmos*. To Jeleński podsunął Władimirowi Nabokowowi pomysł zaproszenia Gombrowicza do Berlina. Był autorem artykułu *Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza*<sup>95</sup>, tak skomentowanego przez Gombrowicza w liście do Giedroycia: „Właśnie przeczytałem Jeleńskiego, bardzo bystry, nie ze wszystkim celne, ale zawsze utalentowane i, co najważniejsze, o wiele rozleglejsze niż to, co na ogół się pisze”<sup>96</sup>. Zanim jeszcze osobiście się poznali, Gombrowicz, odczuwając pokrewieństwo duchowe z Jeleńskim, pisał o nim w *Dzienniku*:

Jeleński... Kto to? Pojawił się na moim horyzoncie, hen, w Paryżu, i walczy o mnie [...] od dawna, może nigdy, nie zdarzyła mi się afirmacja tak zdecydowana i zarazem bezinteresowna tego, czym jestem, tego, co piszę. Tu nie wystarcza sama tylko chłonność, takie współbrzmienie może się wydarzyć tylko na gruncie pokrewieństwa natur. Użera się o mnie z polską emigracją. Wykorzystuje wszystkie atuty swojej sytuacji paryskiej i rosnącego osobistego prestiżu w intelektualnym beau-mondzie, żeby mnie popchnąć. Biega do wydawców z moimi tekstami<sup>97</sup>.

Ale i w kręgu „Kultury”, chociaż w cieniu jej głównych luminarzy, była osoba, która nie darzyła Gombrowicza sympatią ani jako człowieka, ani jako pisarza. Był nią Zygmunt Hertz, który zwierzał się w liście do Miłosza: „Nie znoszę tego mędrka. Wydaje mi się, że zręcznie miesza wielkiej klasy prozę z arcyniezrozumiałstwem i kręceniem się za własnym ogonem”<sup>98</sup>. Nazwał go „górá samouwiebienia, chwalby, gadaniny na swój temat”<sup>99</sup>. Nie mógł pogodzić się z tą presją uwielbienia Gombrowicza w gronie, do którego należał, ale którego poglądów w tej kwestii nie podzielał: „Nikt nie powie, że król jest nagi, za każdym razem jeszcze większy cmok, a jak nie cmokniesz, to cię dyskwalifikują i zaraz półinteligent”<sup>100</sup>. A liczne polemiki Gombrowicza z krytykami jego twórczości skomentował: „Jeśli napisze pani Kowalska, że jest grafoman i zarozumialec, występuje z ostrą polemiką, że jest geniuszem, a ona kretynką”<sup>101</sup>.

Uwagi Zygmunta Hertza znalazły w listach Witolda Gombrowicza do Jerzego Giedroycia uzasadnienie mocniejsze, niżby się można było tego spodziewać przed zapoznaniem się z tą korespondencją.

<sup>94</sup> Rita Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 18.

<sup>95</sup> „Kultura” 1957, nr 9.

<sup>96</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 231.

<sup>97</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, s. 323.

<sup>98</sup> Zygmunt Hertz, *Listy do Czesława Miłosza 1952–1979*, wybór i opracowanie Renata Gorczyńska, Paryż 1992, s. 127.

<sup>99</sup> Tamże, s. 152.

<sup>100</sup> Tamże, s. 205–206.

<sup>101</sup> Tamże, s. 286.

# Z pozycji moralisty. Gustaw Herling-Grudziński o polskich pisarzach współczesnych

Autor *Innego świata* swą działalność pisarską zaczynał jako krytyk literacki. W słowie *Do czytelnika* otwierającym *Wyjścia z milczenia* – zbiór szkiców poświęconych polskiej literaturze współczesnej wspominał, że jako student polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim terminował w prywatnej szkole krytyki literackiej Ludwika Frydego.

Zacznął jako krytyk – myślał, że krytykiem literackim zostanie. „Wszystko zdawało się wskazywać na to, że pójdę w ślady mojego mistrza Ludwika Frydego [...] i że być może, dam się skusić uniwersyteckiej polonistyce, czyli tzw. karierze naukowej”<sup>1</sup>.

Aczkolwiek później dojrzywał do pisarstwa kreacyjnego i ono stało się miarą jego talentu, nigdy nie porzucił roli krytyka literackiego. Okazał się uważnym obserwatorem – i surowym sędzią – polskiej literatury współczesnej; i w nie mniejszym stopniu – polskich współczesnych pisarzy.

Pierwsze znajomości zawarte po przyjeździe na studia doprowadziły go do Ludwika Frydego, gdzie spotykali się młodzi poloniści i terminatorzy pióra. We Frydem widział niezwykle utalentowanego, inteligentnego i wnikliwego krytyka literackiego, mistrza tych adeptów studiów polonistycznych, którzy poważnie traktowali wybrany przez siebie kierunek studiów. „Ludwik Fryde, ascetyczny, mądry i czarujący łodzianin z pokolenia, które na polonistyce warszawskiej wydało Władysława Bieńkowskiego, Dawida Hopensztanda, Franciszka Siedleckiego i Stefana Żółkiewskiego”<sup>2</sup>.

W *Słowie o przyjacielu* Herling-Grudziński Ludwikowi Frydemu przypisywał „nauczenie go »wyznawstwa i grzeczności«, które oznaczały szacunek dla człowieka”. A także – już z innej strony – nauczył go socjologii życia literackiego, to znaczy uwzględniania, jak, kiedy i dlaczego dzieło zostało napisane.

Ludwikowi Frydemu, a także jego uczniowi Herlingowi-Grudzińskiemu patronował Stanisław Brzozowski<sup>3</sup>. Za najgłębszą pracę Frydego uznawał Herling-Grudziński studium *Brzozowski jako wychowawca*. Szedł śladami swego mistrza. Pociągało go Brzozowskiego napięcie myśli, pasja poszukiwania, dramatyczne przeżycia intelektualne i moralne ich konsekwencje: „Całokształt filozofii Brzozowskiego pozostanie jeszcze

---

<sup>1</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia. Szkice*, Warszawa 1998, s. 473.

<sup>2</sup> Tamże, s. 305.

<sup>3</sup> Por. *Brzozowszczyk – heretyk: Ludwik Fryde* [w:] Marian Stępień, *Spór o spuściznę po Stanisławie Brzozowskim w latach 1918–1939*, Kraków 1976, s. 147–160.

zapewne na długo dla ogółu czytelników, a nawet i badaczy czymś w rodzaju złomu rudy, w której coraz to odsłania się nowa żyła złota”<sup>4</sup>.

Bliski był też – zarówno Frydemu, jak i Herlingowi-Grudzińskiemu Karol Irzykowski – przedstawiciel i rzecznik twórczej krytyki literackiej, traktujący krytyka jako samodzielnego twórcę.

Józef Czapski w przedmowie do *Żywych i umarłych* Herlinga-Grudzińskiego charakteryzował go jako krytyka nieznoszącego eklektyzmu, domagającego się dokonywania wyboru. Cytował jego słowa o Karolu Irzykowskim, wskazując, że Herling-Grudziński wyrażał w nich – pośrednio – własne credo: „Irzykowski wierzył w postulat krytyki literackiej twórczej. Prawdziwy krytyk nie jest nadwornym egezetą poetów i pisarzy, ale samodzielnym twórcą, który ma swoją wizję literacką i potrafi o nią walczyć piórem”<sup>5</sup>.

Od Stanisława Brzozowskiego wyprowadzał Herling-Grudziński bliskie mu traktowanie twórcy jako odpowiedzialnego nie tylko za ład artystyczny panujący w jego dziele, ale również za porządek moralny w niego wpisany. A także za przyjmowaną postawę w życiu publicznym, zachowanie się w decydujących momentach. Herling-Grudziński analizował i oceniał nie tylko utwór literacki, ale również postawę moralną jego autora. Reagował na przejawy hipokryzji, usprawiedliwiania niskich pobudek postępowania wzniosłym patosem. Tak pojmował ową „socjologię życia literackiego”, której uczył go Ludwik Fryde. W takiej swojej postawie widział nie tyle moralizm, ile po prostu „najzwyczajniejszą czujność wobec zjawisk, które przez lata tworzyły nasz duchowy, najczęściej skrzywiony profil”<sup>6</sup>.

Witał z radością pojawienie się w 1966 roku *Wyboru pism krytycznych* Ludwika Frydego w opracowaniu Andrzeja Biernackiego. Zatrzymał się na przypomnianej w tym tomie polemice Frydego z Kazimierzem Wyką. Wypomniawszy mu współpracę z sanacyjną „Gazetą Polską”, ironizował również, że „gromko i gęsto powoływał się na »strumień dziejów«, na »świadomość dziejową« [...] – jak dziś gromko i gęsto powołuje się na »konieczność historyczną« i na inny »strumień dziejów«”<sup>7</sup>. Opowiadał się w całości po stronie Frydego, który w tym sporze odmawiał intelektualistom prawa do „zachłyśnięcia się »strumieniem dziejów« kosztem życia prywatnego milionów ludzi”<sup>8</sup>.

Emigracyjna i krajowa proza powstająca podczas wojny przynosiła mu rozczarowanie. Uważnie odnotowywał kreacje bohaterów i dokładność przedstawienia świata w *Ludziach sponiewieranych* Herminii Naglerowej. Nie spełniła ona jednak oczekiwań krytyka, który osobiście doświadczył radzieckiej rzeczywistości:

Jeśli bowiem chodzi o materię faktów i doświadczeń sowieckich, to nosimy ją w sobie na równi z Naglerową wszyscy niby bezkształtną, gotującą się masę i dużo jeszcze czasu upłynie, zanim ostygła ze świeżego wspomnienia krzywdy, przepalona mądrym i czującym spojrzeniem artysty wyłoni z siebie trwałą pomnik, godny tej milczącej walki z rosyjską otchłanią i naszego w niej uczestnictwa<sup>9</sup>.

Recenzję powieści Marii Kuncewiczowej *Zmowa obojętnych* wymownie zatytułował: „Gabinet figur woskowych”. Stwierdzał w niej bowiem posługiwanie się posta-

<sup>4</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia...*, s. 46.

<sup>5</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Żywi i umarli. Szkice literackie*, Lublin (b.d.w.), s. 24.

<sup>6</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia...*, s. 6.

<sup>7</sup> Tamże, s. 368–369.

<sup>8</sup> Tamże, s. 369.

<sup>9</sup> Tamże, s. 40.

ciami dla celów wyłącznie ilustracyjnych. A przykładem rutyniarskiej pewności siebie przez dojrzałego pisarza, który nie potrafi uchwycić nowych doświadczeń, bo jego pisarska doskonałość okazuje się wobec nich niesprawna i nieużyteczna, była dla niego *Krata* Poli Gojawiczyńskiej i opowiadania Jerzego Andrzejewskiego z tomu *Noc* (aczkolwiek od tej negatywnej oceny wyłączał opowiadanie *Apel*). Nieporadne literacko wydały mu się opowieści Stanisława Piętaka z cyklu *Front nad Wisłą*, literackim partactwem nazwał opowiadania Jerzego Putramenta z tomu *Święta kulo*.

W ogólnej charakterystyce tak przedstawił stosunek tej prozy do doświadczeń ludzkich wniesionych przez drugą wojnę światową: „Szamotanie się świetnych piór w puszyczej włóczce prozy, która nie jest już w stanie ogarnąć zjawisk rozgrywających się w innym wymiarze rzeczywistości ludzi, budujących siebie niejednokrotnie na nowo i od podstaw”<sup>10</sup>.

Z uznaniem natomiast witał *Jezioro Bodeńskie* Stanisława Dygata, który, zawdzięczając to Gombrowiczowi, „przeprowadził swoją powieść pomiędzy podwodnymi skałami patriotyzmu, banału, wzniosłości i frazesu”<sup>11</sup>. Chwalił go za dowcip, inteligencję, temperament. „Uroczą książką”, też spowinowaconą z Gombrowiczem, nazwał *Drewnianego konia* Kazimierza Brandysa. W tym autorze widział utajonego i rozczarowanego apologetę kultury mieszczańskiej. Brandys pisarz ma według niego przewagę nad Brandysem felietonistą „Kuźnicy”.

Bardzo dobrze przyjął Herling-Grudziński tom Jarosława Iwaszkiewicza *Nowa miłość i inne opowiadania*. Pochwalał poetycki pomysł, tajemniczość opowiadań, a nade wszystko dostrzeganie powolnego ulegania prawom życia. W Iwaszkiewiczu widział jednego z czołowych pisarzy starszego pokolenia.

W artykule *Pisarze w kraju i na emigracji*<sup>12</sup> zastanawiał się nad rolą i sytuacją polskiego pisarza w powojennych warunkach. Oparł się na publikacjach krajowych, w tym na sprawozdaniu z pierwszego po wojnie Zjazdu Literatów Polskich w Krakowie w 1945 roku. Zauważył działanie przymusu milczenia, co wywołało niespokojne pytanie: „czy zniesie to literatura bez śladu”. Dostrzegł niedomówienia, zawieranie kompromisu między wizją świata pisarza a obrazem oczekiwanym przez politycznych mocodawców. Widział mieszanie kłamstwa z prawdą, niekiedy może nawet bezwiedne. Wielosłowie odbierał nie jako rekompensatę za długi okres milczenia spowodowanego przez okupację niemiecką, lecz jako „potrzebę stłumienia i ukrycia pełnego wybuchu życia odartego z legendy”. W padających na krakowskim zjeździe słowach: „ludzkość”, „człowieczeństwo” dopatrywał się sygnałów opozycji, oporu, „niewygasłego poczucia wspólnoty z kulturą europejską; głębokiej wiary, że ideały i wartości, które uformowały pokolenia pisarzy polskich, nie mogą być przekreślone i unicestwione jednym pociągnięciem pióra, jednym popisem krasomówczym oficjalnego delegata w mundurze”.

Od pisarzy emigracyjnych domagał się łączenia polskości z europejskością, umacniania europejskiej świadomości kulturalnej. Odrzucał dość powszechną po wojnie tezę o kryzysie europejskiej kultury. Uważał, że przeżywa ona tylko okres zbierania sił i zmieniania się po doświadczeniach drugiej wojny światowej.

W artykule *Pisarze i polityka*<sup>13</sup> starał się określić stosunek twórcy literatury do polityki. Z jednej strony przestrzegał przed łatwym angażowaniem się w życie polityczne,

<sup>10</sup> Tamże s. 122.

<sup>11</sup> Tamże, s. 126.

<sup>12</sup> „Orzeł Biały” 1945, nr 47.

<sup>13</sup> „Orzeł Biały” 1945, nr 40.

z drugiej – przed zupełnym izolowaniem się od niego. Opowiadał się za „humanizmem świadomego, spokojnego uczestnictwa”. Być autentycznym artystą i prawym człowiekiem zarazem. Odmawiał aprobaty dla takiej „zdrady klerka, która polega na nadużyciu w polityce autorytetu zdobytego gdzie indziej, i gdzie indziej obowiązuje, gdzie indziej może być otoczony szacunkiem”<sup>14</sup>.

Według niego czasy bezinteresownego artyzmu minęły bezpowrotnie. Wobec okaleczenia wyniesionego z drugiej wojny światowej nie da się uciec od określenia miejsca człowieka w świecie wartości moralnych. Wielką troskę wywołuje powojenny wzrost cynizmu. Tak duży, że trudno odróżnić sędziego od oskarżonego: „W świecie wartości moralnych zrelatywizowanie pojęcia zbrodni jest przewinieniem znacznie cięższym i brzemiennejszym niż zbrodnia sama”<sup>15</sup>.

Pisząc te słowa, myślał o ugodzie jałtańskiej, o Katyniu i jego zgodnym przez wszystkie mocarstwa przemilczaniu, o zamykaniu przez opinię publiczną oczu na to, co się dzieje w Związku Radzieckim i w krajach przez niego zdominowanych.

Myślał też o drogach niektórych pisarzy krajowych. Między innymi o Jerzym Andrzejewskim. Gdy zawiodło go kryterium samotnego, subiektywnego dochodzenia do prawdy moralnej, zaczął poszukiwać ładu, porządku, dyscypliny na innej drodze. Próbował znaleźć to w marksizmie. Zdaniem Herlinga-Grudzińskiego musiało go to prowadzić do pseudouniwersalizmu, do błędnego postrzegania opozycji katolicyzm – marksizm jako jedynej możliwości wyboru; przyjęcie stanowiska, że poza tą alternatywą nie ma innego światopoglądu o uniwersalnych ambicjach poznawczych. Za niebezpieczne uznał prowadzenie „flirtu” katolików z marksizmem. U źródeł postępowania Andrzejewskiego dopatrywał się politycznego oportunistu.

Odmawiał również aprobaty dla moralistów, którzy zachęcali do ekspiacji w przekonaniu, że wszystko, co ludzie przeżyli podczas wojny, było karą i pokutą nałożoną przez Boga. Była to aluzja do książki Zofii Kossak-Szczuckiej *Z otchłani*. Zaczynało go niepokoić, że postawa polskich pisarzy, wspinała i godna podziwu podczas wojny i okupacji, po jej zakończeniu ulega zachwianiu, zrelatywizowaniu. Wybór między zamknięciem się w wieży z kości słoniowej a uleganiem doktrynie tak sobie wyobrażał:

Jest tylko jedna forma humanizmu, którą wojna obecna mogłaby zostawić po sobie przerażony krwawym pługiem świat. Nazwałbym ją humanizmem świadomego, spokojnego uczestnictwa. Jeśli pisarze współcześni chcą się obronić przed zupełnym wyobcowaniem z procesów dziejowych, których są świadkami, jeśli – co groźniejsze – chcą uniknąć „totalnego” upolitycznienia według znanych powszechnie wzorów, muszą umieć stanąć przed swym narodem z wysoko podniesionym czołem – jako prawi artyści i prawi ludzie<sup>16</sup>.

Interesowały go szczególnie literackie obrazy przeżyć ludzkich wywołanych przez wojnę. Poświęcił im napisany w 1947 roku szkic *Wojna w oczach pisarzy*. Utwory o tej tematyce powstające tuż po wojnie nie dawały mu satysfakcji. Widział w nich pogoń za sensacją, opisy okrucieństwa bez szerokiego kontekstu przemian europejskiej kultury: „Nieludzkość i bestialstwo traktowane tylko opisowo wypalają się jako temat szybciej niż na to zasługuje wysiłek pisarza lub pamięć tych, którym sztukę swą pisarz poświęcił”<sup>17</sup>. Ponadto zależało mu na ukazaniu nie tylko jednego ze sprawców zbrodni przeciw

<sup>14</sup> Herling-Grudziński czasem sam tych zasad nie przestrzegał. Zob. rozdział „Podwójne życie pisarza”.

<sup>15</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Kłopoty moralistów i kłopoty z moralistami*, „Orzeł Biały” 1946, nr 33.

<sup>16</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Pisarze i polityka*.

<sup>17</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wjścia z milczenia...*, s. 105–106.

ludzkości, jakim był pobity faszyzm niemiecki, w czasie, gdy „prawie połowa globu ziemskiego pozostaje nadal w nienaruszalnym cieniu, a wraz z nią prawie połowa sumienia każdego prawdziwego pisarza”<sup>18</sup>.

*Wspomnienia starobielskie* Józefa Czapskiego przyjmował z dużym uznaniem nie tylko jako dokument, ale również jako przejaw „szlachetnego sentymentu narodowego”, dzieło prawego umysłu i pasji obserwatora. Dzięki tym walorom książkę Czapskiego stawiał znacznie wyżej niż *Powrót z ZSRR* André Gide’a. Nie tylko wiedza, ale również ogromne doświadczenie powoduje, „że tylko inteligentni Polacy mogą udzielić Europie lekcji o Rosji”<sup>19</sup>.

Zyskały jego uznanie opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza *Stara cegielnia* i *Młyn nad Lutynią*. Dojrzał w nich nowe perspektywy w rozwoju prozy tego autora: prostotę, czystość wyrazu, zwrot ku ludziom, wrażliwość etyczną, która „wyzwała z uległości losu”<sup>20</sup>. Iwaszkiewicz jego zdaniem „jest pisarzem moralności pierwotnej, nie tkniętej przez wyrafinowaną obłudę cywilizacji”<sup>21</sup>. W *Młynie nad Lutynią* dopatrzył się krytyk czegoś z surowej sagi skandynawskiej, czegoś z antycznej tragedii.

Trzy opowiadania trzech autorów były dla niego wstrząsającym obrazem niemieckich okrucieństw: *Ślady* Ludwika Heringa, *Krajobraz, który przeżył śmierć* Kornela Filipowicza i *Wielki Stefan Konecki* Adolfa Rudnickiego. Jego głównie prozie poświęcił szkic pod znamionym tytułem *Ściana placzu*.

W dotychczasowych opisach zagłady Żydów polskich widział raczej wstrząs nerwowy, bolesne osłupienie, przerażenie znieczuleniem psychicznym niż adekwatny do zdarzeń przekaz literacki. Dochodził do wniosku, że

realizm jest zbyt bezosobisty, by podjąć temat, który wymaga folgi uczuciowej, obłuzowania wszystkich władz duchowych. Bo czyż można w słowach, składających się z tych samych liter, dźwięków i pojęć, zamknąć prawdę o męczeństwie Żydów, okrucieństwie Niemców i oporze Polaków?<sup>22</sup>.

Taką prozę nazywał raczej „faktograficzną”, nie „realistyczną”, by nie mieszać jej z wielkimi realistami XIX wieku. Daje ona pewne pojęcie o mechanizmie męczeństwa Żydów, okolicznościach ich powolnego konania. Na przykład Jerzego Broszkiewicza *Oczekiwanie*, któremu jednak odmawiał rangi artystycznego obrazu martyrologii Żydów polskich.

Pełnej satysfakcji dostarczyła mu proza Adolfa Rudnickiego zebrana w tomie *Szekspir*. Spotkał w niej „poetycki stop wszystkich rozproszonych po relacjach dokumentów, stop o urzekającej wprost czystości brzmienia”<sup>23</sup>.

Zdaniem Herlinga-Grudzińskiego właśnie w Adolfie Rudnickim tragedia Żydów znalazła „wielką wspaniałą płaczkę”. *Szekspir* jest książką „do szpiku kości żydowską i głęboko jednocześnie ludzką. [...] Jest tak przepojona rytmem biblijnej narracji, że na naszych oczach koszmar przemienia się w tragedię ze Starego Testamentu, ciemność staje się czarnym światłem, a jęk i krzyk mordowanych rozbrzmiewa jak modlitewny lament”<sup>24</sup>.

<sup>18</sup> Tamże, s. 106.

<sup>19</sup> Tamże, s. 33.

<sup>20</sup> Tamże, s. 162.

<sup>21</sup> Tamże, s. 163.

<sup>22</sup> Tamże, s. 173.

<sup>23</sup> Tamże, s. 178.

<sup>24</sup> Tamże, s. 179.

W ocenie prozy Tadeusza Borowskiego pojawiły się nieporozumienia znane również z ówczesnej krajowej krytyki literackiej. Po ukazaniu się *Pożegnania z Marią* okazała się ona bezradna wobec nowego wybitnego zjawiska. Oskarżano Borowskiego o immoralizm, cynizm, nihilizm moralny. Kazimierz Wyka opublikowanie jego opowiadań w „Twórczości” poprzedził (czego nigdy nie czynił) usprawiedliwianiem się ze swej decyzji.

Podobnie Herling-Grudziński. Wspominał o „drapieżnym talencie Borowskiego”<sup>25</sup>, w czym można by doszukać się wyrazu uznania, niemniej przypisywał mu cynizm w odsłanianiu spustoszenia moralnego, jakie wojna poczyniła wśród tysięcy ludzi z jego pokolenia. Miał mu za złe (w czym się mylił), że „ani jedno opowiadanie Borowskiego nie porusza zagadnień kryzysu moralnego naszych czasów”<sup>26</sup>. Że jego oszczędna, „nielitościwie spostrzegawcza proza” pozbawiona jest słowa o najniższych, najbardziej zwierzęcych odruchach, jakie system zorganizowanego okrucieństwa wyzwolił zarówno w oprawcach, jak i w ofiarach.

Błędnie odczytując prozę Borowskiego, Herling-Grudziński w jego „programowym cynizmie” i w „programowej agresywności moralnej” widział poważne niebezpieczeństwo. Miało ono polegać na mówieniu o rzeczach nieludzkich tak, jak gdyby one były najzupełniej normalne, naturalne i ludzkie. Brakowało krytykowi analizy motywów postępowania bohaterów tej prozy oraz odautorskiego oceniającego ich postępowanie komentarza. Przyznał, że widzenie w człowieku tylko mechanizmu odruchów biologicznych gwarantuje ostrość i wnikliwość obserwacji pisarskiej, „ale złudzeniem jest pogląd, że pisarz może dojść do takiego stanu obiektywizmu, w którym zatracą już wszelki stosunek do opisywanych rzeczy, »nie mieć żadnego stosunku« znaczy w literaturze tyle, co mieć stosunek obojętny lub nihilistyczny”<sup>27</sup>.

Podobnie jak ówczesni krajowi recenzenci prozy Borowskiego Herling-Grudziński utożsamiał autora z bohaterem jego opowiadań, co w interpretacji i ocenie musiało prowadzić do nieporozumień i komplikacji w ocenie moralnej dzieł tego pisarza. Negatywną w istocie ocenę prozy Borowskiego kończył Herling-Grudziński słowami, których treść przypomina usprawiedliwianie się Wyki: „Cokolwiek jednak powiedziałyby się o wstrząsającej książce Borowskiego, nie wolno zapominać, że skierowane przeciwko niej zarzuty są przede wszystkim przekleństwem rzuconym czasom i systemom, które ją stworzyły”<sup>28</sup>.

W krytyce krajowej, po uprzednich nieporozumieniach, wprowadzano z czasem do opinii o znaczeniu i randze prozy Borowskiego istotne korektury. Precyzyjniej ujmowano złożone relacje między autorem a narratorem, co pozwoliło sięgnąć do głębszych warstw tej prozy i spostrzec w niej wartości moralne właśnie.

Herling-Grudziński wyników tych prac nie brał pod uwagę<sup>29</sup>, co ułatwiło mu skonstruowanie logicznego wyводу, który wyjaśnić ma ewolucję pisarza i przyczyny jego tragicznej śmierci: zatruty nihilizmem słabych w obozie (zupełnie nieuprawnione jest tak daleko posunięte utożsamienie bohatera z autorem), dał się łatwo przyciągnąć nihi-

<sup>25</sup> Tamże, s. 117.

<sup>26</sup> Tamże, s. 190–191.

<sup>27</sup> Tamże, s. 193.

<sup>28</sup> Tamże, s. 194.

<sup>29</sup> Ocenę, jaką wystawiał prozie Borowskiego w 1948 roku, powtórzył w 1976 [*Dziennik pisany nocą (1973–1979)*, Warszawa 1990, s. 140–141].

lizmowi po stronie silnych. „Przepalony do cna nicością absolutną”, otworzył kurek od gazu<sup>30</sup>.

Zestawiając prozę Tadeusza Borowskiego z opowiadaniem Warłama Szalamowa, posługuje się krytyk kryterium moralnym. Jego zastosowanie prowadzi do postawienia wyżej pisarza rosyjskiego, którego mistrzostwo jest „efektem okamienienia [...] wypalonego do cna kronikarza kołymskiego piekła”. W prozie Borowskiego natomiast Herling-Grudziński słyszy „nutkę piekielnego i rozpaczliwego chichotu, w którym nihilizm [...] »jest zawiedzioną miłością do świata i ludzi«<sup>31</sup>. Powtarza tu odnoszące się do Borowskiego, pisane jeszcze przed jego śmiercią słowa Czesława Miłosza ze *Zniewolonego umysłu*. Nieco później i do nich zaznaczy swój dystans. Pozbawi patosu wizję „nieszczęśliwego kochanka Historii”, redukując jego wybory życiowe do wymiarów bardziej trywialnych. Okazuje się wówczas, że Herling-Grudziński nie wiedział, iż Borowski poprzez przeżycia swojej rodziny zetknął się również – przed wojną – ze stalinowskimi obozami pracy, czego ślad pozostał w jego poezji<sup>32</sup>.

Zupełnie nie poznał się Herling-Grudziński na *Medalionach* Zofii Nałkowskiej. Odniósł się do nich ze sceptycznym dystansem, jako do relacji „z drugiej ręki”. Podyktowaną przerażeniem powściągliwość pisarki odebrał jako daremny, nie do urzeczywistnienia wysiłek zmonumentalizowania epizodów i ludzi. W szlachetnej prostocie tej prozy dopatrywał się „niezamierzonego uproszczenia”. W oniemiałym pochyleniu się nad ludzkim losem „estetyczną niemal kontemplację [...], smakoszowski ogląd eksponatów muzealnych”<sup>33</sup>.

Zdaniem krytyka, metoda niedomówień znana z przedwojennych utworów pisarki okazała się „potwornie niewystarczająca”<sup>34</sup> w zderzeniu z problematyką wniesioną przez drugą wojnę światową. Uznał, że z *Medalionów* wieje „przejmujący chłód”, że trzeba „prawie siłą” oddzielić nagie fakty od opisu, by wywołać w sobie uczucie grozy. Konkluzja krytyka okazuje się jego klęską:

Mały zbiorek Nałkowskiej dostarcza sporo materiału do rozmyślań na temat sztuki pisarskiej, która oderwawszy się od życia, zaczyna trwać zupełnie samoistnie. Czy dla krytyka literackiego może być w tej dziedzinie zjawisko bardziej zastanawiające i odstręczające niż ta książka, tak świetna artystycznie i tak jednocześnie wyniosła i nieskora do podźwignięcia i zrozumienia „doli człowieczej”? Czy nie zaczynamy aby przeżywać kryzysu samej tylko wirtuozerii w literaturze.

Nie spodobały mu się również *Węzły życia*. W tym przypadku jego opinia miała większe uzasadnienie. Aczkolwiek szyderstwa pod adresem pisarki skierowane może nie byłyby tak ostre, gdyby krytyk mógł znać *Dzienniki* autorki z jesieni 1939 roku, opublikowane dopiero w 1996 roku. Kiedy Herling-Grudziński je poznał, ocenił bardzo wysoko: „Być może kiedyś ten *Dziennik* zostanie uznany za jej największy utwór literacki”<sup>35</sup>.

Wówczas jednak, w 1948 roku, nie miał dla niej litości:

<sup>30</sup> Tamże, s. 141.

<sup>31</sup> Tamże, s. 241.

<sup>32</sup> Por. Tadeusz Drewnowski, *Ucieczka z kamiennego świata*, wyd. 2, Warszawa 1977, s. 33–34.

<sup>33</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia...*, s. 136.

<sup>34</sup> Tamże, s. 137.

<sup>35</sup> Tamże, s. 262.



Pani Nałkowska wyszła z głębokich mroków konspiracji antysanacyjnej na światło dzienne demokracji ludowej, aby po dwudziestu latach potajemnego i nie zauważonego przez nikogo przemycania swych rewolucyjnych i postępowych poglądów między wierszami salonowych romansów obyczajowych, napisać jawne „j'accuse” pod adresem sanacji<sup>36</sup>.

Krytyka zaskoczyło, że Nałkowska napisała powieść o zakulisowym życiu sanacji. Niespodzianką było dla niego radykalnie krytyczne ostrze utworu, co jeszcze parę lat wcześniej byłoby nie do pomyślenia. Zwrócił też uwagę na wewnętrzną niespójność utworu, którego dwie części zrosły się w sposób kaleki. Pierwszą część, pisaną w latach 1939–1945 uznał za spełniającą oczekiwania dawnych czytelników pisarki. W drugiej, powstałej w latach 1945–1948, dostrzegł wpisane już innego adresata: „Jakże irytujące jest to spojrzenie na historię z perspektywy neofickiego salonu komunistycznego”<sup>37</sup>. Z ironią zauważył, że w świetle *Węzłów życia* można by mniemać, że jednym z grzechów głównych sanacji był grzech cudzołóstwa; lecz to zagadnienie raczej należy do pisarzy o skłonnościach moralizatorskich, „a Nałkowska, jak wiadomo, do nich nie należy”<sup>38</sup>. Powieść ocenił jako naiwny pamflet, który „ma w sobie więcej cech złego prozelityzmu niż dobrej prozy”<sup>39</sup>. Dopuszczał demaskujący polskich polityków opis pierwszych tygodni wojny, ale pod warunkiem, że wprowadzi się również zdarzenia z 17 września. A o nich Nałkowska nie wspomniała.

„Nie ma nic łatwiejszego niż napisać dziś pamflet na Polskę przedwrześniową”<sup>40</sup>. To zdanie Herlinga-Grudzińskiego odnosić się może zarówno do *Węzłów życia*, jak i do *Murów Jerycha* Tadeusza Brezy. Recenzji tej powieści dał tytuł *Trąby jerychońskie*. Sam, jako ideowo związany z lewicą społeczną, widział i nazywał słabe strony ówczesnej Polski. A gdzie był wtedy Tadeusz Breza? – pytał retorycznie.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że pomiędzy człowiekiem, który wyciąga natychmiastowe konsekwencje ze swoich obserwacji, i człowiekiem, który czeka z ich wyciągnięciem na bardziej sprzyjającą „chwilę dziejową”, istnieje dosyć duża przepaść. [...] Jak pomiędzy pamfletem, napisanym przez walczącego pisarza, i pamfletem, załączonym do podania przez inteligentnego lokaja<sup>41</sup>.

W *Murach Jerycha* widział tragiczny dokument oportunistycznego inteligentkiego neofityzmu politycznego.

Niewysoko ocenił „studium kliniczne”, jak się wyraził o *Sprzysiężeniu* Stefana Kisielewskiego. Zarzucał mu dziennikarskie wielosłowie i publicystykę. Rozbawił go rozgłos tej powieści, a szczególnie upatrywanie w jej autorze „nieoczekiwanego sojusznika” obozu marksistowskiego<sup>42</sup>.

W artykule *Bezdroża powieści* krytycznie odniósł się do „traktatów psychologicznych” w rodzaju *Nocy Huberta* Jerzego Zawieyskiego. Dla Herlinga-Grudzińskiego sprawdzianem sztuki powieściopisarskiej jest zdolność tworzenia żywych postaci. Takie spotykał w twórczości Conrada. W polskiej prozie współczesnej widział „analizę dla

<sup>36</sup> Tamże, s. 198.

<sup>37</sup> Tamże, s. 204.

<sup>38</sup> Tamże, s. 205.

<sup>39</sup> Tamże, s. 204.

<sup>40</sup> Tamże, s. 142.

<sup>41</sup> Tamże, s. 143.

<sup>42</sup> Jest to aluzja do recenzji *Sprzysiężenia* opublikowanej przez Jana Kotta w „Kuźnicy” (1947, nr 5) pt. *Nieoczekiwany sojusznik*.

analizy”, „ródźkarstwo psychologiczne”, dające w rezultacie statyczny obraz człowieka. W opowiadaniach Pawła Hertza nie widział większego sensu, skoro ich treść istotną można by wyluszczyć w kilkunastu zdaniach dziennikarskiego felietonu. *Rzeczywistość* Jerzego Putramenta była dla niego „wyzywająco prostacka” pod względem artystycznym, „prymitywnie tendencyjna” w rysowaniu postaci, „zupełnym zwulgaryzowaniem powieści społecznej”<sup>43</sup>.

Herling-Grudziński (podobnie jak literacka publicystyka krajowa) oczekiwał i pragnął literatury realistycznej, ukazującej prawdę. „W Kraju jest po dziś dzień szalony głód prawdy”<sup>44</sup>. Z takim nastawieniem przystąpił do lektury „pierwszej jaskółki nowego realizmu w Polsce”, to znaczy do *Popiołu i diamentu* Jerzego Andrzejewskiego. Recenzję zatytułował *Realizm kierowany*, co już zapowiadało główne zastrzeżenia do praktyki realistycznej autora. Bo właśnie „realizm kierowany” nie dopuszcza do tworzenia postaci na miarę bohaterów powieści Balzaka. Bohaterowie Andrzejewskiego są „prowadzeni na smyczy”, stają się „marionetkami służącymi tendencji”. Od pierwszej do ostatniej stronicy książka Andrzejewskiego zbudowana jest na nieuczciwych przesłankach ideologicznych i „tendencyjnie zniekształca rzeczywistość”<sup>45</sup>.

Za naiwny uznał „typowo inteligencki” stosunek Andrzejewskiego do komunizmu, do którego pisarz, porzuciwszy katolicyzm, jeszcze w pełni nie dorósł. Charakteryzując konformistyczną postawę pisarza, Herling-Grudziński przytoczył słowa Ignacego Silone wygłoszone na zjeździe PEN Clubów w Bazylei w 1947 roku; słowa, które później wielokrotnie przypominał, aż do wygłoszonego na krótko przed śmiercią wykładu na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdy przyjmował doktorat honoris causa:

Intelektualiści jako klasa ani nie mają powodu uważać, że zachowywali się w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci w sposób wzorowy, ani też nie ma żadnych podstaw, aby uznać za uzasadnione ich pretensje do odgrywania jakiejś przodującej roli w kierowaniu opinią publiczną. Jest rzeczą bez wątpienia niebezpieczną i trudną mówić o istnieniu elity moralnej w jakimkolwiek kraju; ale wyjątkowego już ryzyka wymagałoby utożsamianie jej z elitą intelektualną<sup>46</sup>.

Widać więc, że Gustaw Herling-Grudziński pilnie śledził ukazujące się w Polsce zaraz po wojnie utwory literackie. Wszystkim ważniejszym książkom poświęcił dużo uwagi. Towarzyszyło jej przekonanie o sensowności prowadzenia dyskusji literackich i włączenia się w nurt wysiłków zmierzających do nadania pożądanego kierunku w rozwoju polskiej literatury po drugiej wojnie światowej. Omówienie *Popiołu i diamentu* kończy tę systematyczną obserwację. Wydawane po 1948 roku utwory nie skłaniały krytyka do pochwylenia za pióro. Różne, późniejsze, rozproszone uwagi świadczą, że był dobrze zorientowany w tym, co się w Polsce dzieje, ale do komentowania „arcydzieł” realizmu socjalistycznego nie miał ochoty. Dopiero później, w okresie popaździernikowej odwilży w Polsce podjął na nowo komentowanie polskiego życia literackiego. W stopniu jeszcze większym niż poprzednio, nad oceną utworów bierze górę ocena ich autorów.

Gustaw Herling-Grudziński pozostawał również w pewnej opozycji do opinii panujących w londyńskim środowisku emigracyjnym, do którego sam należał. Krytycznie odnosił się do podjętej w 1947 roku uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie

<sup>43</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia...*, s. 156.

<sup>44</sup> Tamże, s. 182.

<sup>45</sup> Tamże, s. 185.

<sup>46</sup> Tamże, s. 189.

zalecającej „nieogłaszanie w pismach i wydawnictwach kierowanych przez władze narzucone utworów swoich, dawnych i nowych”<sup>47</sup>. Na łamach emigracyjnego „Robotnika” uznał ją za „1) niemoralną, 2) wynikającą z uproszczonego obrazu sytuacji w Kraju, 3) opierającą się na koncepcji getta kulturalnego na emigracji, 4) zrywającą jedną z ostatnich więzi duchowych i kulturalnych z Krajem”<sup>48</sup>. Po wielu latach potwierdzał swą ocenę tej uchwały. Uznał ją „zwyczajnie za głupią”, nonsensowną. Deklarował: „Gdybym miał możliwość drukowania moich rzeczy bez narażania się na skreślenie tego, co mam do powiedzenia czytelnikowi, nie widzę powodu, żeby nie dotrzeć do odbiorcy krajowego”<sup>49</sup>.

Poglądy takie nie ułatwiały mu życia. Podczas pobytu w Londynie długo odczuwał nieprzychylną atmosferę, na którą decydujący wpływ mieli Mieczysław Grydzewski i Zygmunt Nowakowski. Było jednak dla niego nie do przyjęcia „powiedzieć sobie, że nie będę drukował tam, gdzie ludzie jednak żyją, a pisarze próbują coś pisać”<sup>50</sup>.

Swój rodowód ideowy wyprowadzał Herling-Grudziński z kręgu wartości, których najbliższym literackim znakiem było *Przedwiośnie* Stefana Żeromskiego. Związany z lewicą społeczną przyjmował je jako testament. W losach Cezarego Baryki widział dramat polskiego radykalizmu społecznego: między gniewem i nienawiścią do możnych tego świata a dążeniem do pięknej przyszłości i solidarności z pokrzywdzonymi. W takim kontekście przyjmował poezję Władysława Broniewskiego zwróconą ku dobru, pięknu, harmonii, sprawiedliwości, wymieniając wiersze: *Przyjacielu los nas poróżnił*, *Bakunin*, *Elegia na śmierć Ludwika Waryńskiego*, *Na śmierć Sacco i Vanzettiego*, *Rimbaud*. Bliska też była Herlingowi-Grudzińskiemu więź łącząca poezję Broniewskiego z tradycją legionową. Uwagi, które do tej kwestii odnosił, odkrywają stosunek ich autora do jednego z kluczowych problemów przedwzrostkowej Polski:

Broniewski podjął wygarniętą z wiecznie tłących się popiołów wszystkich polskich powstań i dumnie w sierpniowy ranek podchwyconą pieśń legionów, wzbil ją wysoko i nie obniżył lotu nawet wówczas, gdy w chmurnych czasach niepodległej Polski obrośla tłuszczem posad, zaszczytów i przyziemnych swarów. Bo czyż oni, legionieści właśnie, nie byli kiedyś romantykami polskiego socjalizmu?<sup>51</sup>

Przytoczone słowa pisał Herling-Grudziński w roku 1943. Na Bliskim Wschodzie zaczęła się jego osobista znajomość z Władysławem Broniewskim i długie z nim rozmowy przy alkoholu. Widział, jak poeta bardzo cierpiał z dala od Polski: „Nie zdziwiło mnie, że wrócił, tęsknił do kraju fizycznie”<sup>52</sup>. Zaskoczyło go natomiast *Słowo o Stalinie*, ów „granitowy poetycki pomnik Stalina”<sup>53</sup>. Tym bardziej że w palestyńskich rozmowach Broniewski mu złorzeczył.

Herling-Grudziński sceptycznie odniósł się do opinii przypisujących powstanie poematu zewnętrznym naciskom wywieranym na poetę. Broniewski okazał się – według klasyfikacji Herlinga-Grudzińskiego – dworzaninem typu „poeta laureatus”. Jako re-

<sup>47</sup> Cyt. za: Maria Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978, s. 140.

<sup>48</sup> „Robotnik” (Londyn) 1947, nr 11–12.

<sup>49</sup> Jagoda Jędrychowska, *Widzieć Polskę z oddalenia*, Poznań 1990, s. 155.

<sup>50</sup> Tamże, s. 156.

<sup>51</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Żywi i umarli. Szkice literackie*, Lublin 1990, s. 41.

<sup>52</sup> Opiaram się na wydaniu: Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1971–1972)*, *Dziennik pisany nocą (1973–1979)*, *Dziennik pisany nocą (1980–1983)*, „Res Publica”, Warszawa 1990, *Dziennik pisany nocą (1984–1988)*, cz. 1–2, Warszawa 1990. Cytat z 22 II 1972, s. 104.

<sup>53</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 23 VIII 1988, cz. 2, s. 213.

wolucyjny twórca nie otrzymywał przed wojną nagród, zaszczytów, honorów. Teraz nadeszła chwila dla niego, mógł więc pozbyć się skrupułów, zahamowań. Dopuszczał też Herling-Grudziński domysł, że Broniewski w przychylnym do siebie „fantazji szlacheckiej” postanowił pokłonić się oprawcy. W komentarzu zamieszczonym w *Dzienniku pisanym nocą* ocena poematu ustępuje ocenie jego autora, z którym Herling-Grudziński spotkał się ponownie w Neapolu w roku 1960. Broniewski, rozgoryczony, domagał się uznania dla poetyckich walorów poematu niezależnie od tego, co o jego bohaterze powiedział Chruszczow na XX Zjeździe KPZR, a nawet – po paru kieliszkach – przystępował do „historycznej rehabilitacji” Stalina. Źle wspominał Herling-Grudziński to spotkanie:

Koszmarny neapolitański wieczór pijacki, epilog dawnych wieczorów jerozolimskich! Broniewski, w którym próżność autorska i teraz upór „fantazji szlacheckiej” podały sobie ręce, rewindykował także „obiektywną” wielkość i chwałę bohatera swego poematu. Wolałbym nie pamiętać tego żalnego bełkotu<sup>54</sup>.

Różnica zdań między Herlingiem-Grudzińskim a Władysławem Broniewskim w roku 1960 dotyczyła również problemu ujawniania prawdy o stalinowskich obozach pracy. Broniewski potępiał ich istnienie, ale – podobnie jak Sartre w polemice z Camusem – uważał za niedopuszczalne pisanie o nich, gdyż byłoby to z korzyścią dla wrogów Związku Radzieckiego. „Historyczne” usprawiedliwianie zbrodni Stalina przez Broniewskiego wyjaśniał Herling-Grudziński nie „heglowskim ukąszeniem”, lecz po prostu potrzebą obrony własnego poematu: „Do mojej listy deprawacyjnej trzeba dołączyć chorobę nagminną u literatów: próżność”<sup>55</sup>.

Oświadczał, że nie ma ochoty „grzebać się w tym, co ludzie przedtem napisali”, ale był zdania, że nie należy „zapominać tego, co niegdyś pisano”<sup>56</sup>. Nie potępiał pisarzy, którzy w różnym stopniu i w różnym okresie zmieniali poglądy albo pozostawali wierni dotychczasowym wśród polskich przełomów politycznych (za najważniejszy uważał rok 1956). „Dla mnie istotne jest to, co pisze, jeśli mówimy o pisarzach. Jeżeli pisze rzeczy, które mi się podobają czy też trafiają do przekonania, to po prostu problem nie istnieje”<sup>57</sup>.

Do pisarzy zmieniających poglądy i punkty widzenia miał wszakże jedną wielką pretensję, którą można było spotkać i w publikacjach krajowych. Pretensje o milczenie na temat własnej biografii intelektualnej i ideowej tych twórców literatury, którzy kiedyś związali się z budowanym po wojnie porządkiem politycznym, a później odchodzili od swych wcześniejszych poglądów. Nie chodziło mu o „jakąś pokazową samokrytykę”. W rzetelnym przedstawieniu autentycznego doświadczenia ludzkiego z połowy XX wieku widział wielki temat czekający na podjęcie. Potwierdzenie własnej opinii znajdował w rozmowach z młodymi ludźmi, którzy – jak to przedstawiał – „ciągle, jeszcze dzisiaj, żywią pretensje do rozmaitych pisarzy i filozofów, którzy byli komunistami, nagle nimi być przestali i niechętnie o tym mówią”<sup>58</sup>.

Przykładem właściwego postępowania było dla niego pisarstwo Ignazia Silonego. Jaskrawym przykładem negatywnym – zachowanie się Adama Ważyka. Herling-Gru-

<sup>54</sup> Tamże, 22 II 1972, s. 104–105.

<sup>55</sup> Tamże, 5 I 1977, s. 192.

<sup>56</sup> Jagoda Jędrzychowska, *Widzieć Polskę...*, s. 161.

<sup>57</sup> Tamże.

<sup>58</sup> Tamże.

dziński nigdy go osobiście nie poznał. Zapamiętał tylko rozmowy milknące w chwili, gdy Ważyk się pojawiał w kawiarni we Lwowie zajętej przez Rosjan. Był dla niego przykładem „dworzanina siły”. Tę odmianę dworzanina „spotyka się przeważnie u ludzi odczuwających instynktowną potrzebę kompensaty własnej słabości”<sup>59</sup>. Ważyk we Lwowie przeistoczył się w Wielkiego Inkwizytora, ferował wyroki, groził, powodował aresztowania kolegów. „Po wojnie wrócił z Rosji do Polski w mundurze majora i z pistoletem sięgającym do kolan”<sup>60</sup>, by nadal wydawać wyroki i gromić. Kiedy się zorientował, że władza słabnie, napisał *Poemat dla dorosłych* i znowu znalazł się w pierwszym szeregu. Tym razem w ramach „odwilży”.

Po opublikowaniu *Poematu dla dorosłych* podczas podróży po Włoszech Ważyk chciał spotkać się z Ignaziem Silone. Na prośbę Aleksandra Wata Herling-Grudziński podjął się pośrednictwa w tej sprawie. Ignazio Silone zaprosił Ważyka na kolację, zainteresowany opiniami i poglądami byłego polskiego komunisty. Rozmowa nie trwała długo, gdyż Ważyk powtarzał: „Kiedy byłem komunistą, czyli człowiekiem chorym umysłowo”<sup>61</sup>.

W komentarzu Herlinga-Grudzińskiego przejawia się szacunek dla pisarza włoskiego i daleko idąca dezaprobata dla stanowiska zajmowanego przez Ważyka. Można je zresztą traktować jako *pars pro toto* – nie było ono odosobnione wśród tych polskich literatów, którzy z zadziwiającą łatwością zmieniali swoje poglądy:

Dla Silonego cały proces odchodzenia od komunizmu był wielkim dramatem ludzkim. Często dawał do zrozumienia, że było to dla niego tym, czym dla księdza odejście od Kościoła. Opisał w sposób bardzo piękny, jak został komunistą i jak przestał nim być. Relacjonując powiedział mi nawet, że było to obrażające. Ja byłem komunistą – mówił – i nie wstydę się tego. Odejście było dla mnie procesem bardzo trudnym i głębokim. Opisałem to, a przychodzi ktoś i mówi: „kiedy byłem komunistą, czyli wariatem”<sup>62</sup>.

Herling-Grudziński dokładnie skomentował przebieg XIX Sesji Rady Kultury i Sztuki, która odbyła się 24–25 marca 1956 roku w Warszawie. Miała ona duże znaczenie dla ówczesnego życia kulturalnego w Polsce. W klimacie „odwilży”, w atmosferze dużego ożywienia po XX Zjeździe KPZR twórcy upomnieli się o wolność słowa i twórczości artystycznej, bardzo krytycznie oceniali lata niedawno minione. Powodzenie tych wysiłków Herling-Grudziński uzależnił od odsunięcia z gry tej grupy pisarzy i działaczy kulturalnych, którzy w minionym dziesięcioleciu odgrywali rolę „wilków policyjnych”, a na sesję przybyli przebrani w „owcze skóry”. Słowa te zawierały aluzje do wielu uczestników dyskusji, przede wszystkim do głównych referentów: Jana Kotta i Stefana Żółkiewskiego. Wskazywał na zasadniczą sprzeczność między wystąpieniem Kotta a jego dotychczasową postawą i działaniem. Jeszcze mniej zasługiwali „na utrzymanie w tym chórze partii solowych Putrament, Sokorski i Żółkiewski”<sup>63</sup>.

Toteż z aprobatą przyjmował protesty przeciw takiemu zorganizowaniu sesji. Między innymi Karola Estreichera, który wypraszał sobie, by Kott, mówiąc o popelnianiu

<sup>59</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Kłeska i bunt dworzanina*, „Wiadomości” (Londyn) 1948, nr 130, s. 3. Por. też *Dziennik pisany nocą (1973–1979)*, s. 48.

<sup>60</sup> Tamże.

<sup>61</sup> Jagoda Jędrychowska, *Widzieć Polskę...*, s. 162.

<sup>62</sup> Tamże.

<sup>63</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Upiory rewolucji*, zebrał i opracował Zdzisław Kudelski, Lublin 1992, s. 155.

błędów, używał pierwszej osoby liczby mnogiej. A także uwagę Artura Sandauera, że prawo do naprawienia maszyny mają nie tylko ci, którzy ją zepsuli. I głos Antoniego Słonimskiego, że źródło zła nie tkwiło w „kulcie jednostki, lecz w systemie”. O Słonimskim dodał uwagę: „Heretyk, któremu po dziesięcioletniej emeryturze komunistycznej udało się znowu wygramolić na ambonę”<sup>64</sup>. O Jerzym Putramencie, w związku z jego artykułem *Paniczna ofensywa*<sup>65</sup>, w którym próbował „wywinąć się obławie”, stwierdzając, że „przecież wszyscy jesteście komunistami”, tak się wyraził: „Chytrus z niego nie lada i z niejednej już opresji w życiu wylał cało, nie powąchawszy prochu”<sup>66</sup>. Popierał stanowisko Juliana Przybosia: „Oto, co czynić należy: dać głos przede wszystkim tym, którzy nie byli gorliwymi oportunistami, przedstawiającymi dziś swój oportunizm jako bohaterstwo”<sup>67</sup>. Z całego przebiegu dyskusji wyciągał wniosek: „Strach i tylko strach tkwił u źródła zachowania się intelektualistów polskich w ciągu minionego dziesięciolecia. Nie żaden »ketman« i »Murci-Bing«, zwykła ludzka *La Grande Paura*”<sup>68</sup>.

Ekspiacyjne posłowie Jerzego Andrzejewskiego do wydania *Lorda Jima* z 1956 roku nie wzruszyło Herlinga-Grudzińskiego. Określił je jako „mętne, występane, zakrzuszone i zająkane, napisane przypuszczalnie po to tylko, by w zakończeniu uderzyć się w piersi ostatnimi przed śmiercią słowami Jima do Doramina: »przyszedłem pełen żalu«”<sup>69</sup>.

Powieść *Ciemności kryją ziemię* dała krytykowi okazję do uwagi o zachowaniu się polskich pisarzy w czasie tzw. odwilży. Ci, którzy wynieśli z minionego okresu nieczyste sumienie, śpieszą „złożyć swój odwilżowy bilet wizytowy w utworach literackich”<sup>70</sup>. I tak powstała ta „prosta nowela o stalinowskim terrorze policyjnym, o czystkach i o komunistycznych procesach czarownic”<sup>71</sup>.

Andrzejewski, autor „smutnej pamięci książeczki *Partia i twórczość pisarza*”<sup>72</sup> zachował się, zdaniem krytyka, jak zawiedziony kochanek, przeklął swoją miłość, wyparł się swej wiary. Zrobił to w taki sposób, by równocześnie ocalić własną niewinność i zatrzeć jednocześnie ślady własnej naiwności, w „wielkim stylu, z podbudową filozoficzną i bolesnym grymasem chorego na zęby moralisty, z zerkaniem w kierunku »legendy o Wielkim Inkwizytorze« z *Braci Karamazow*”<sup>73</sup>. W postawie Andrzejewskiego, aspirującego do roli moralisty od początku dostrzegał fałszywą nutę egotysty, który za wszelką cenę pragnie wywyżżyć się nad innych pychą czystości, a w masce pokory i świętości. Przyznawał, że później się zmienił, podpisywał polityczne protesty, należał do KOR-u. Dobrze wspominał jego list do Goldstuckera w 1968 roku. Nie mógł mu jednak darować, że nie zażądał wycofania z obiegu *Popiołu i diamentu* wielokrotnie wznawianego jako obowiązująca lektura szkolna. A także zachowania się podczas starań o wydanie *Miazgi*, którą przesyłał do „Kultury”, potem wycofywał z nadzieją na opublikowanie w kraju, ponownie odsyłał Giedroyciowi z warunkiem uwzględnienia cięć cenzuralnych, co spowodowało stanowcze przecięcie sprawy przez redaktora „Kultury”. Tytuł tej powieści uważał za bardzo trafny: „Cokolwiek się stanie z powieścią Andrzejewskiego, jakkol-

<sup>64</sup> Tamże, s. 156.

<sup>65</sup> „Przegląd Kulturalny” 1956, nr 15.

<sup>66</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Upiory rewolucji*, s. 159.

<sup>67</sup> Tamże, s. 156.

<sup>68</sup> Tamże, s. 160.

<sup>69</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 20 VII 1984, cz. I, s. 60.

<sup>70</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia...*, s. 257.

<sup>71</sup> Tamże, s. 257.

<sup>72</sup> Tamże, s. 258.

<sup>73</sup> Tamże.

wiek będzie przyjęta po wszystkich amputacjach, jej tytułowi nikt nie odmówi celności i przenikliwości<sup>74</sup>.

Ta „pochwała” ma kilka znaczeń. Kilka kontekstów, w których do tego słowa powracał Herling-Grudziński, pozwala przyjąć, że słowo „miazga” może odnosić się zarówno do rzeczywistości, której próby opisu znajdują się na kartach utworu, jak i do braku formy. Także – do bankructwa moralnego i artystycznego pisarza. Może też oznaczać negatywną opozycję do wierności, na co wskazuje wspomnienie sceny: „Wielkie pijaństwo przed laty u Lebensteina. Widzę, jakby to było wczoraj, Herberta skaczącego do oczu Andrzejewskiemu, gniewnego, zacieklego, właśnie Wierność, która rzuca wyzwania miazdze »Życia«<sup>75</sup>.

Andrzejewskiemu przeciwstawiał postawę Witolda Gombrowicza, który dla Herlinga-Grudzińskiego był przykładem nieustępliwości, niegodzenia się na żadne układy, pamiętania o powołaniu i godności pisarza. A Andrzejewski? „Seraficzno-mauriacowski katolik przed wojną, marksista i poseł na Sejm PRL po wojnie, autor zakłamanego *Popiołu i diamentu*, powieści, którą aż do śmierci pozwalał wznawiać co roku na użytek szkół, chociaż wiedział już dobrze, ile jest warta, jako obraz Polski nazajutrz po wojnie<sup>76</sup>. O wydawanych po śmierci pisarza ineditach pisał, że „są zenujące (żeby nie powiedzieć więcej)<sup>77</sup>.

Po dodatknych ocenach debiutu Kazimierza Brandysa Herling-Grudziński radykalnie zmienił zdanie o tym pisarzu po roku 1948. Za bardzo słabą uznał tetralogię *Między wojnami*, utwór *Nim będzie zapomniany* nazwał „głupkowaną nowelką partyjnego luminarza [...] obrzydliwą w wysiłku pograżenia byłego kolegi po piórze<sup>78</sup>. *Obronę Grenady* potraktował jako zgrabną rzecz wymyśloną przez „mistrza polityry socjalistycznej<sup>79</sup> dla wykreowania bohaterskiego oportunisty. *Matka Królów* w opinii krytyka jest powieścią chaotyczną i niezręcznie skomponowaną. Zwykle rozlewny i tradycyjny w prozie zastosował tu Brandys technikę skrótów „jak człowiek, który chce za wszelką cenę uciec w konfesjonałe przed spowiednikiem i ma nadzieję, że wyrzucając z siebie spazmatycznym głosem listę grzechów, bez wnikania w ich motywy, kulisy i okoliczności, nie tylko otrzyma tanim kosztem rozgrzeszenie, ale nada im jeszcze aurę męczeństwa i cierpienia<sup>80</sup>.

Brandys zasiadł do pracy nad nią po ogłoszeniu raportu Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR po latach „beprzykładnego kłamstwa pisarskiego nagradzanego [...] pozycją prymusa literatury socrealistycznej<sup>81</sup>. Rzecz w tym jednak, że raport Chruszczowa nie mógł być dla Brandysa i jemu podobnych zaskoczeniem. O wszystkim wcześniej wiedzieli, a przerażenie wywołało podanie go do publicznej wiadomości.

Jeśli *Obrona Grenady* była wybiegiem heroicznego oportunisty, to *Matka Królów*, korzystając z zupełnej bezkarności wobec krytyki, posuwa się do granic „heroicznego spodlenia<sup>82</sup>.

*Obrona Grenady* i *Matka Królów* posłużyły Herlingowi-Grudzińskiemu jako punkt wyjścia do szerszego uogólnienia obejmującego wielu twórców zaangażowanych w upra-

<sup>74</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 17 XII 1971, s. 90.

<sup>75</sup> Tamże.

<sup>76</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1997–1999)*, Warszawa 2000, s. 171.

<sup>77</sup> Tamże, s. 158.

<sup>78</sup> Tamże, s. 241.

<sup>79</sup> Tamże, s. 161.

<sup>80</sup> Tamże, s. 292.

<sup>81</sup> Tamże, s. 291.

<sup>82</sup> Tamże, s. 293.

wianie literatury realizmu socjalistycznego. Taki twórca porusza się w pierwszej chwili „o lasce”, szybko odczuwa zmęczenie, potrzebny mu jest psychiczny zabieg oczyszczający. Jest nim spojrzenie za siebie i odkłamanie rzeczywistości. Pojawia się „podświadoma często pokusa samoobrony za udział w zakłamaniu”<sup>83</sup>. I na tym progu autorzy się zatrzymują. A chodziłoby o pełny opis tego, co działo się z polskimi pisarzami po 1945 roku, o pełne wyznanie, jak komunizm wydobywał z nich najmroczniejsze cechy rodem z *Biesów* Dostojewskiego. W miejsce jednak „nawrócenia” krytyk spotykał się z mniej czy bardziej ukrytym cynizmem. Toteż nie wierzył w autentyczność przemiany. Widział tylko, jak za swą zdradę w przeszłości autorzy płacą „wysoką cenę zachwiania dawnego autorytetu społecznego”<sup>84</sup>.

Z dystansem przyjmował powstające na emigracji utwory Brandysa. Po wysłuchaniu na wieczorze autorskim fragmentów *Nierzeczywistości* zanotował: „Takiego Brandysa, drapieżnego i stwardniałego dotychczas nie znałem”. Ale natychmiast pojawia się refleksja odmienna: „uderzała główna słabość jego pisarstwa: pociąg do prozy wylizanej, gładkiej, bez wyraźnego punktu oparcia (i oporu)”. Znajdował w tej prozie „dobrze noliwioną gładzisznię intelektualną”<sup>85</sup>.

Porównywał opozycyjny nurt literatury polskiej z buntowniczą twórczością literacką Rosji. Wynik porównania nie był korzystny dla polskich pisarzy. Nie podejmował próby odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak jest. Zaznaczył tylko, że błędem byłoby tłumaczenie tego dłuższym trwaniem komunizmu w Rosji<sup>86</sup>. Jeden z fragmentów *Miesiący* sprowokował Herlinga-Grudzińskiego do wyrażenia ogólniejszej, krytycznej opinii o mentalności pewnych polskich autorów. Ten mianowicie, w którym Brandys pisze o poczuciu niemocy, niechęci do działania, mętnym samopoczuciu własnym (?), narratora pierwszoosobowego (?), z takim wyjaśnieniem owego bezwładu: „Jest w tym, powiadam, coś trupiego, widmowego. I to może oznaczać bliskość Rosjan”<sup>87</sup>.

Te słowa Brandysa, a także artykuł Jana Kotta, który, biorąc w obronę Tadeusza Konwickiego przed zarzutem hysterii postawionym mu przez Herlinga-Grudzińskiego, pisał o „niemożności absolutnej z powodu Ruskich”, wywołały gwałtowną reakcję:

No więc powiem, przyparty do muru, co jest dla mnie niebezpieczną histerią u naszych małych i dużych apokaliptyków (tak się składa, że niegdyś ofiar „heglowskiego ukąszenia”): demonizowanie Rosjan, które potęguje i pogłębia chorobliwą delektację beziły; gdy tymczasem większość tego, co dziś w Polsce „trupie i widmowe” – i czemu można jednak stawiać opór – jest produktem sowietyzmu oraz swojskiego w znacznej mierze „socjalizmu despotycznego”<sup>88</sup>.

Wybuchowi Gustawa Herlinga-Grudzińskiego dodaje pikanterii fakt – w cytowanych słowach prawie dopowiedziany przez aluzję do „heglowskiego ukąszenia” – że wszyscy trzej autorzy, do których te słowa są skierowane (Jan Kott, Kazimierz Brandys, Tadeusz Konwicki), ów „swojski socjalizm despotyczny” do polskiej kultury w swoim czasie wprowadzali i uzasadniali.

<sup>83</sup> Tamże, s. 282.

<sup>84</sup> Tamże, s. 197.

<sup>85</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 11 VI 1976, s. 171.

<sup>86</sup> Tamże.

<sup>87</sup> Tamże, 5 II 1980, s. 19–20.

<sup>88</sup> Tamże, s. 20.



Gustaw Herling-Grudziński z dezaprobatą odnosi się do polskiego „pojękiwania szlachetnych zranionych i poparzonych”, do polskości prowincjonalnej i „samodurnej”. Opowiadał się za polskością suwerenną, wolną, „ponad, powyżej, z góry”. Taką znajdował u Witolda Gombrowicza, także u Tadeusza Konwickiego w *Kompleksie polskim* – już nie w *Malej Apokalipsie*, w której widział „paradę narodowej hysterii”<sup>89</sup>. Również w wyznaniach tego pisarza zawartych w książce *Pół wieku czyśćca* raził go „nieznośny, minoderyjno-kokieterijny ton”<sup>90</sup>. I dodawał: „Nie pojmuję, dlaczego Konwicki, pytany o swoją komunistyczną młodość, określa ją jednym słowem – pornografia”<sup>91</sup>.

Herling-Grudziński zapamiętał spotkania z Janem Kottem. Pierwsze było w Rzymie, tuż po wojnie. W rozmowie pojawił się temat Katynia. Kott nawet nie powtarzał oficjalnego wówczas poglądu, że sprawcami tej zbrodni byli Niemcy. „Wydał tylko wargi i syknął z uśmiechem: »Cóż znaczy kilka tysięcy oficerów wobec Historii w marszu«”<sup>92</sup>. Wspomnienie tych słów już po upływie lat i po kolejnych przemianach Kotta zamknął Herling-Grudziński zdaniem: „Tego nie jestem w stanie mu ciągle darować”<sup>93</sup>.

Swoje pojęcie „historyzmu”, który był w istocie płaskim pragmatyzmem służącym doraźnym celom politycznym, przedstawił Kott w znanym ataku na twórczość Josepha Conrada. Uczynił to „z typową dla niego mieszaniną intelektualnej ekwilibrystyki i moralnego kretynizmu”<sup>94</sup>. W Polsce wzięła Conrada w obronę Maria Dąbrowska. Na emigracji zareagował w podobnym duchu Herling-Grudziński, zamieszczając w wychodzącym w Londynie pepeesowskim miesięczniku „Światło” artykuł pt. *Lord Jim i towarzysz Jan*<sup>95</sup>. Zapamiętał też reakcję Kotta na tę ocenę: „Dygnitarski wtedy towarzysz Jan, w przerwach między oficjalnymi celebracjami pierwszej powojennej wizyty w Rzymie, pokwitował moją replikę olimpijsko-ironicznym uśmiechem”<sup>96</sup>.

By w pełni zrozumieć poruszenie Herlinga-Grudzińskiego atakiem Kotta na Conrada, trzeba pamiętać *Wywiad imaginacyjny z bohaterem „Tajfunu”* zamieszczony w książce *Żywi i umarli*. Jest on w istocie najgłębszym wyznaniem wiary Gustawa Herlinga-Grudzińskiego moralisty, który w dziełach Conrada znajdował odważne sumienie, ludzką niezależność, trwale zasady moralne i walkę o ich realizację, obraz człowieka sięgającego po wielkość w krytycznych sytuacjach, dzielną harmonię zrównoważonego sumienia, wzniosłość prostego, własnego obowiązku i piękno ludzkiej solidarności. I teraz trzeba przypomnieć sobie, jak Jan Kott przedstawiał bohatera tej powieści w szkicu *O laickim tragizmie*. Jego postawę nazwał „heroizmem głupoty”, „heroizmem osła”, „ślepym automatyzmem rutyny”, a jego samego – „starym głupcem”. „Bystry Kott wiedział, co robi [...], atakując nazajutrz po wojnie »conradowską filozofię godności ludzkiej«” – skomentuje po latach Herling-Grudziński<sup>97</sup>.

Do tych kwestii powrócił w przedmowie do *Wichru wolności* Wacława Zagórskiego – relacji uczestnika powstania warszawskiego o determinacji walczących. W świetle etosu przenikającego tę relację krytyk rozwinął dygresję: „Teraz rozumiem lepiej, dlaczego komuniści zaczęli wkrótce po wojnie swoje dzieło systematycznego zniesławiania

<sup>89</sup> Tamże, 24 VIII 1979, s. 324.

<sup>90</sup> Tamże, 22 X 1971, s. 36.

<sup>91</sup> Tamże, s. 249–250.

<sup>92</sup> Tamże, 17 VII 1972, s. 140–141.

<sup>93</sup> Tamże, s. 141.

<sup>94</sup> Tamże, 1 VIII 1976, s. 180.

<sup>95</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Lord Jim i towarzysz Jan*, „Światło” (Londyn) 1947, nr 1.

<sup>96</sup> Tamże, 1 VIII 1976, s. 181.

<sup>97</sup> Tamże, 17 XII 1971, s. 90.

Armii Krajowej i powstania warszawskiego od ataku na conradowską filozofię męstwa i godności ludzkiej<sup>98</sup>.

Jan Kott pojawia się na kartach *Dziennika pisanego nocą* również na tle wydarzeń 1956 roku jako „jeden z czołowych intelektualistów w Kraju i partyjny luminarz”, który „poczuł się upokorzony i wystrychnięty na dudka po referacie Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR”. Kiedy poznańscy robotnicy protestowali w czerwcu 1956 roku, Jan Kott był w Paryżu, w redakcji „Kultury”. Herling-Grudziński takim go zapamiętał: „Na wieść o odezwaniu się »głosu ludu« znakomity przedstawiciel środowisk intelektualnych zasłabł i wyszeptał: »Teraz będą nas wieszać«<sup>99</sup>”.

*Wprowadzenie do autobiografii* Jana Kotta przyjęto w Polsce powściągliwie, krytycznie, niekiedy z zażenowaniem – tam, gdzie lepiej znano jego biografię intelektualną. Z ironią też odniósł się do tych wyznań Herling-Grudziński, raz jeszcze w tym kontekście potwierdzając swoją nieufność do wyjaśnień Miłosza sformułowanych w dyskusji o *Zniewolonym umyśle*:

W jednym z rozdziałów mowa o „ukąszeniu heglowskim”... To było do przewidzenia [...], że przypadnie ono bardzo do gustu ex-„zniewolonym umysłem” w stadium wyzwoleniczej rekonwalescencji. Ma dźwięk Nobliwy. Kto wie, może kiedyś powstanie ZUH, Związek Ukąszonych przez Hegla<sup>100</sup>.

Takich „ukąszonych”, nie używając jeszcze tego określenia, klasyfikował Herling-Grudziński jako „dworzan negatywnych”. Obejmował tą nazwą całą galerię intelektualistów komunistycznych, komunizujących lub przygotowujących się do przyjęcia Nowej Wiary, których droga wiodła poprzez doświadczenie załamania się w ciągu kilku tygodni „mocarstwowej Polski”, zwątpienie w wartość heroizmu podczas powstania warszawskiego, zahipnotyzowanie nieodwracalnym pochodem komunizmu i obawę, by nie znaleźć się po stronie przegranych. Wyrzekali się swych dawnych postaw, uznając je za skazane na zagładę, czasem w dobrej wierze, niekiedy ze strachu. Tacy najboleśniej przeżyli rewelacje polityczne 1956 roku i uwolnieni już od hamulca strachu, poderwali się do buntu. Zobaczyli, że to, czego się wyrzekli, wcale nie zostało pozbawione wartości, a pochod komunizmu okazał się wcale nie tak nieodwracalny, jak to im się wydawało.

Pochlebne opinie o pierwszych powojennych tomach prozy Jarosława Iwaszkiewicza ustąpiły wkrótce negatywnej charakterystyce postawy tego pisarza. Była ona – zdaniem Herlinga-Grudzińskiego – typowym przykładem jednej z postaw polskich intelektualistów tworzących „dwór” wokół nowej władzy w Polsce. Iwaszkiewicza określił jako „dworzanina naturalnego rewolucji”. Typ ten rekrutuje się często z niedobitków klasy ziemiańsko-szlacheckiej, jego cechą niejako atawistyczną jest przekonanie, że „jedynym kryterium moralnym władzy jest fakt jej zwycięstwa” i „chyba dziedziczna sztuka cynicznego i umiejętnego kokietowania władców<sup>101</sup>”.

Herling-Grudziński z dużą niechęcią pisał o Iwaszkiewiczu jako o człowieku zorientowanym raczej konserwatywnie, który przeszedł „na współpracę z komunizmem z nieprześcignioną gorliwością<sup>102</sup>”. Według Herlinga-Grudzińskiego Iwaszkiewicza obciążało: reprezentowanie Polski w Międzynarodowym Komitecie Obrońców Pokoju, wier-

<sup>98</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia...*, s. 255.

<sup>99</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 4 X 1982, s. 272.

<sup>100</sup> Tamże, 20 VIII 1984, cz. I, s. 60.

<sup>101</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Kłęska i bunt dworzanina*.

<sup>102</sup> Tamże.

szowany list do Bolesława Bieruta, deklamowanie o „ludzie”, o „masach pracujących” na zagranicznych kongresach, korzystanie z przywilejów, jakimi obdarzali go władcy polityczni. Rolę i status Iwaszkiewicza w Polsce porównywał z pozycją Aleksego Tołstoja w Związku Radzieckim.

Do *Dziennika pisanego nocą* wprowadził kilka wspomnień o spotkaniach z Iwaszkiewiczem. Wszystkie miały rzucić cień na pisarza. Jedno z nich odnosiło się do pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to Iwaszkiewicz „mówił na posiedzeniu gładkie głupstwa tonem »mądrym i bywałego Europejczyka«”, a gdy Herling-Grudziński w kuluarowej rozmowie to mu wytknął, ten „spurpurowiał, wpadł w gniew, stojących obok członków delegacji z Warszawy ostrzegł przed kontaktem i rozmowami” z nim<sup>103</sup>. Takie ostrzeżenia miał Iwaszkiewicz ponawiać wobec Ignazia Silonego i Nicoli Chiaromontego, ale nie chciał skorzystać z ich propozycji polemicznego wystąpienia na łamach „Tempo Presente”. Kolejne spotkanie nastąpiło już po „okresie kultu jednostki”. Iwaszkiewicz, jakby niczego nie pamiętając, zwrócił się do Herlinga-Grudzińskiego z otwartymi ramionami, ten jednak tamtych zaszłości nie mógł wykreślić z pamięci.

Wzmianka o Iwaszkiewiczzu pojawi się jeszcze w związku z przyznaniem Aleksandrowi Sołżenicynowi Nagrody Nobla. Autor *Sławy i chwały* sceptycznie komentował tę decyzję<sup>104</sup>. Herling-Grudziński natomiast z ironią potraktował cierpienia polskich literatów wywołane podobnymi doniesieniami.

Po śmierci Jarosława Iwaszkiewicza ukazał się w „Kulturze”<sup>105</sup> kontrapunktycznie skomponowany *Dwugłos o Iwaszkiewiczzu* – Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Konstantego Jeleńskiego. Pierwszy go krytykował, drugi bronił.

Jeleński przypomniał o Stawisku jako schronieniu Żydów podczas okupacji, jego odmowę Gomulce, gdy ten żądał, by Związek Literatów Polskich potępił „syjonistyczne spiski”. Herling-Grudziński natomiast zatrzymał się na serwilizmie Iwaszkiewicza. Wspomnił jego wiersz na cześć Bolesława Bieruta, opowiadanie *Ucieczka Felka Okonia*, szacunek dla władzy, „naturalny instynkt dworzanina”.

Jeleński widział pożytek pewnego podziału ról, szczególnie na polu kultury, gdzie istnieje potrzeba ludzi współpracujących z władzami w celu zachowania pewnych wartości. Ktoś musi się podjąć roli partnera partii i rządu w sprawach literatury. Gdyby tego nie zrobił Iwaszkiewicz, los literatury byłby jeszcze gorszy. Jeleński był przekonany, że w sumie rola Iwaszkiewicza zasługuje na ocenę pozytywną. Przypominał jego interwencje u władz w obronie pisarzy i ich tekstów, pełnienie roli „parasola ochronnego” dla „Twórczości”, jednego z najlepszych pism literackich w Europie. Herling-Grudziński temu nie zaprzeczał, ale przypomniawszy jego wystąpienia sejmowe, obecność w politycznych ceremoniach, odmawiał zgody na ocenę dodatnią.

Jeleński widział w Iwaszkiewiczzu mistrza noweli. Zachwycał się jego poezją z późnych lat życia. Herling-Grudziński jego zachwyty nie podzielał. Jego zdaniem Iwaszkiewicz był pisarzem nierównym. Obok rzeczy doskonałych są też żenująco słabe. Zgadzał się wszakże na wysoką ocenę jego późnej twórczości poetyckiej.

Marię Dąbrowską podziwiał Herling-Grudziński przed wojną. Przede wszystkim za nowele i publicystykę – mniej za *Noce i dnie*. W 1938 roku opublikował w „Ateneum” Stefana Napierskiego entuzjastyczną recenzję *Znaków życia*. Przypomnił o niej w spot-

<sup>103</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 22 IX 1988, cz. 2, s. 218.

<sup>104</sup> Jarosław Iwaszkiewicz, *Ludzie i książki (III)*, „Miesięcznik Literacki” 1971, nr 4, s. 58–66.

<sup>105</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dwugłos o Iwaszkiewiczzu* [w:] Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia...*, s. 427–437.

kaniu z pisarką we Lwowie we wrześniu 1939 roku. Rozmowa z nią i ze Stanisławem Stempowskim była dla niego

balsamem w ówczesnym Lwowie, na sowieckim poligonie „literackim”, który nowa władza stworzyła z zamiarem selekcji ludzi „dyspozycyjnych”, zależniowych, gotowych lub przynajmniej skłonnych do serwilizmu, zobojeźniałych na klęskę wrześniową, zerkających coraz otwarciej ku „Czerwonemu Sztandarowi” zatkniętemu na „trupie sanacyjnej Polski”<sup>106</sup>.

Dąbrowska nie chciała mieć nic wspólnego z oficjalnym, radzieckim Związkiem Pisarzy<sup>107</sup>.

Do pisarki odnosił się zawsze z szacunkiem, do jej pisarstwa – z wysokim uznaniem („Bohaterowie Dąbrowskiej przemijają nieuchronnie, a przecież jakże są piękni w swym prostym uporze trwania”<sup>108</sup>). Jeśli pokpiwał sobie z podniecenia polskich autorów przed każdą Literacką Nagrodą Nobla, to w tonie serio dodawał, że widzi tylko dwoje poważnych kandydatów do tego wyróżnienia: Marię Dąbrowską i Witolda Gombrowicza.

Spotkał się z nią na kongresie PEN Clubów we Frankfurcie w 1960 roku. Była pod wrażeniem sześciotygodniowej podróży do ZSRR. Opowiadała o autentycznym „przebudzeniu się” naszych wschodnich sąsiadów. Trzy lata później przyjechała do Neapolu z Anną Kowalską. Rozmawiali o sprawach, które potem znalazły wyraz w *Liście 34*. Odnotował z aprobatą obywatelskie zachowanie się pisarki, gdy nazajutrz po przyjeździe do Neapolu zatelefonowała do konsulatu PRL w Rzymie, by „na wszelki wypadek” podać swoje „miejsce postoju”. Pamiętał jej listy „pisane i wysyłane pocztą z Warszawy z absolutną pogardą dla cenzury”<sup>109</sup>.

Dostrzegł wszakże u niej „niepojętą skazę”. Dała ona znać o sobie w komentarzu pisarki do przyznania Gombrowiczowi amerykańsko-niemieckiego stypendium w Berlinie Zachodnim: „Nie powinien być przyjąć stypendium od Niemców, w kraju będzie mu to słusznie brane za złe”<sup>110</sup>. Na uwagę, że sama przyjęła zaproszenie pisarzy NRD i uczestniczyła w uroczystościach poświęconych Goethemu i Schillerowi, Dąbrowska zareagowała z „gniewnym naciskiem”: „To co innego. Wy tutaj [...] nie potraficie tego zrozumieć”<sup>111</sup>. W tym „tutaj” dopatrywał się Herling-Grudziński owej „niepojętej skazy”. Co najmniej równie uprawnione jest odebranie tych słów jako sygnału ujawniającego (niezależnie od konkretnej sprawy, która go wywołała) obecność różnicy w świecie wyobraźni, skojarzeń, pojęć i emocji między pisarzami polskimi, którzy wojnę i wszystkie lata powojenne spędzili w kraju, a tymi, których życie przebiegało z dala od niego.

Kiedy autorka *Nocy i dni* umarła, Herling-Grudziński zanotował: „Dąbrowska była pisarką odważną, dumną, zakochaną w swej wielkopańskiej godności”<sup>112</sup>.

*Trans-Atlantyk* wysuwał Herling-Grudziński na pierwsze miejsce wśród utworów Witolda Gombrowicza, przed *Ferdydurke* i *Dzienniki*. Znajdował w nim najświetniejszy portret Polaka. Za ogromne osiągnięcie pisarza uznał „odwinięcie polskości ze świętych zwojów papieru”<sup>113</sup>. Tym bardziej że polskim pisarzom – zdaniem Herlinga-Grudziń-

<sup>106</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1989–1992)*, Warszawa 1999, s. 43.

<sup>107</sup> Z *Gustawem Herlingiem-Grudzińskim o dziennikach pisarzy*. Ostatnia rozmowa z E. Sawicką, „Plus-Minus” 23–26 XII 2000.

<sup>108</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wýjścia z milczenia...*, s. 35.

<sup>109</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 24 VII 1976, s. 179.

<sup>110</sup> Tamże.

<sup>111</sup> Tamże.

<sup>112</sup> Tamże.

<sup>113</sup> Tamże, 27 II 1974, s. 56.

skiego – mimo iż „małpowanie stylu Gombrowicza zatacza coraz szersze kręgi”, brakuje postawy gombrowiczowskiej. „Z literatury polskiej dobywa się, głośniejsz lub ciszej, pojękiwanie szlachetnych zranionych i poparzonych”<sup>114</sup>. W przypisywanej Polakom dumie widział raczej przesłaną udręki niepewności niż poczucie godności własnej, z którą łączy się odwaga rzetelnego spojrzenia na własne zarówno wartości, jak i deformacje.

Wśród odmian polskości, o której z ironią powiadał: „Polacy rozprawiają przy łada sposobności”, wymieniał trzy, niedwuznacznie ujawniając, która z nich spotykała się z jego aprobatą: „Gębowata polskość »pawia i papugi«, samodurna i prowincjonalna. Postępująca polskość »ofiar historii«, jałowa i częściowo przynajmniej zakłamana. Polskość swego ludzkiego »ja«, suwerenna i wolna na przekór niewoli”<sup>115</sup>. Toteż solidaryzował się ze Stanisławem Catem-Mackiewiczem jako autorem książki *Stanisław August*, z jego intencją oczyszczenia świadomości Polaków ze zbyt wygodnych stereotypów, z jego niechęcią „do zabiegu swoistej lobotomii, wycinania z polskiej świadomości historycznej płatów, które są Polakom nie w smak”<sup>116</sup>.

Krytycznie jednak odniósł się Herling-Grudziński do filozofii człowieka wpisanej w dzieła Gombrowicza. Okazji dostarczył spór o interpretację *Zbrodni i kary* Dostojewskiego. W decyzji Raskolnikowa dopatrywał się Gombrowicz potwierdzenia własnego poglądu na zależność człowieka od innych ludzi, od tego, co o nim myślą, jak go odbierają, co mogliby myśleć, gdyby wiedzieli, co zrobił. Herling-Grudziński w takim zabiegu interpretacyjnym dostrzegł drastyczną redukcję Dostojewskiego, przypominając, że bohater *Zbrodni i kary* sięgnął na katorżę po *Ewangelię*, co oznacza wyjście poza międzyludzkie uwikłania, którym Gombrowicz nadawał znaczenie uniwersalne. Być sobą – to dla Gombrowicza marzenie nieziszczalne. Dla Dostojewskiego – osiągalne poprzez *Ewangelię*. W polemice z Gombrowiczem odwoływał się Herling-Grudziński do wartości transcendentnych, a autorowi *Ferdydurke* zarzucał, że upraszczając wymowę *Zbrodni i kary*, brał po prostu w obronę „własną, problematyczną wiarę w człowieka, który poprzez człowieka »stwarza się wciąż na nowo i w nim rośnie«, słowem, wiarę w kruchą »dialektykę« międzyludzkiej samowystarczalności”<sup>117</sup>.

Spór o Dostojewskiego doprowadził do sformułowania, w którym Gustaw Herling-Grudziński wypowiedział własną prawdę o człowieku, a także o roli moralistów, do których niewątpliwie sam siebie zaliczał:

Człowiek wymyka się [...] z „międzyludzkiego kościoła”, aby samotnie indagować swoje sumienie indywidualne, jak samotnie staje w obliczu własnej śmierci. Jest w nim tajemniczy obszar wyłączony, który nie poddaje się żadnemu „między”. Gdyby rzeczywiście zginąć miała „rasa moralistów”, opukiwałby ten obszar białą łaską ślepeca<sup>118</sup>.

Moralnym kryteriom stawianym przez Herlinga-Grudzińskiego literaturze sprostala m.in. powieść Andrzeja Szczypiorskiego *Msza za miasto Arras*. Najważniejszy sens tej powieści sprowadzał do tezy: „Ci co prawdę cenią w pełni dopiero wówczas, gdy i im do skóry dobiera się dogmat »wspólnoty« (eufemizm na oznaczenie absolutnej jednomyślności władzy), są prawdy manipulatorami, a nie rzecznikami”<sup>119</sup>.

<sup>114</sup> Tamże, 11 X 1977, s. 218.

<sup>115</sup> Tamże, 11 X 1977, s. 219.

<sup>116</sup> Tamże, 27 I 1979, s. 292.

<sup>117</sup> Tamże, 9 II 1972, s. 103.

<sup>118</sup> Tamże, 7 XI 1976, s. 184.

<sup>119</sup> Tamże, 20 V 1972, s. 118.

Odrzucał tę interpretację powieści, którą dał Tadeusz Kotarbiński, odczytując ją jako program zjednywania człowieka do wspólnej sprawy przez opiekę nad nim, perswazję i ukazywanie prawd trzeźwych i sprawdzalnych w obliczu faktów. Należałoby więc, jak streszcza Herling-Grudziński pogląd Kotarbińskiego, „nie tępić dysydentów, lecz skłaniać ich do uczestnictwa, okazując im życzliwość i zaufanie”<sup>120</sup>. W stanowisku Kotarbińskiego widział krytyk charakterystyczną nadmierną gotowość warszawskich „liberałów” do udzielania kolejnym władcom kredytu zaufania.

Komentarz do *Mszy za miasto Arras* wywołuje refleksję, która niejedną raz nasuwa się przy lekturze opinii Herlinga-Grudzińskiego. Sądy moralne mają zawsze w tle również pozaliteracki, niekiedy wprost polityczny układ odniesienia. Ulega on zmianie wręcz diametralnej po przesileniu politycznym. Wówczas owe sądy, zachowując ogólną aktualność, nabierają zupełnie innej treści konkretnej. Słowa Herlinga-Grudzińskiego o manipulatorach prawdy, o nadmiernej gotowości warszawskich „liberałów” do udzielania kolejnym władcom kredytu zaufania miały inne desygnaty, gdy były pisane przed czerwcem 1989 roku, niż kiedy czyta się je po tej dacie. Podobnie – charakterystyka polskiego literata (nie: pisarza!), którego Herling-Grudziński przedstawia jako stworzenie „poruszające się najchętniej w tabunach kolegów, niezdolne do narowistego wierzgnięcia, mało skłonne do przekraczania granic ogrodzonego terenu wypasania, wrażliwe na basowy głos pastucha”<sup>121</sup>. Treść ogólnych sądów moralnych ulega więc zmianie zależnie od konsytuacji, w jakiej one funkcjonują. Nie pomniejsza to znaczenia opinii Herlinga-Grudzińskiego, ale ma wpływ na sposób ich odbioru i selekcje w dzisiejszym prezentowaniu przez komentatorów.

Wierność ludzkim i narodowym wartościom czy uwzględnianie racji życia – to według Herlinga-Grudzińskiego główny dylemat powojennej literatury polskiej. Dla niego, jako dla krytyka moralisty, sprawą podstawową jest pierwszy człon opozycji: wierność. I dlatego bardzo wysoko stawiał twórczość Zbigniewa Herberta, w którym widział „jednego z nielicznych, co znają wartość »postawy wyprostowanej« w mieście ogarniętym »epidemią instynktu samozachowawczego« [...]. Jednego z nielicznych pisarzy, którzy nie zdradzili swego powołania”<sup>122</sup>.

Poruszył go wiersz *Napis* jako poetycki wyraz tego głównego dylematu, *Raport z oblężonego miasta* uznał za najpiękniejszy wiersz polski ostatnich lat<sup>123</sup>, a wywiad w *Hańbie domowej* – za najciekawszą wypowiedź pisarską w tomie. Znalazł w niej przeciwwagę do postawy wpisanej w *Zniewolony umysł* i w inne wyznania autorów dotkniętych „ukąszeniem heglowskim” i „związanych z nim »diamatycznych« wysypek strachu, miałości intelektualnej, oportunistu, arrywizmu”<sup>124</sup>.

Wymianę zdań między Herbertem dotkniętym „odkryciem” Łapińskiego i Stanisławem Barańczakiem, który był zdania, że Herbert okazał się niesprawiedliwy w wywiadzie udzielonym Jackowi Trznadłowi uznał Herling-Grudziński za zdarzenie, które nie zaistniałoby w „Polsce niezdzieciniałej (lub ściślej) nie dziecinnej”<sup>125</sup>. Nie bez uszczypliwej aluzji do Miłosza dodawał, że Herbert pokazał, „jak można było zachować

<sup>120</sup> Tamże.

<sup>121</sup> Tamże, 15 VI 1972, s. 129.

<sup>122</sup> Tamże, 1 VI 1974, s. 66 i 22 X 1986.

<sup>123</sup> Tamże, 19 X 1983, s. 278.

<sup>124</sup> Tamże, 22 X 1986, cz. 2, s. 61.

<sup>125</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1989–1992)*, Warszawa 1993, s. 158.

wolny umysł wśród rozmaitych, wulgarnych lub ciut-ciut bardziej wyrafinowanych, zasadzek zniewolenia umysłowego<sup>126</sup>.

Od młodych lat Gustaw Herling-Grudziński był pod dużym wrażeniem poezji Czesława Miłosza. Jako student wygłaszał o nich prelekcję. Po latach wspominał: „Trzy zimy były dla nas wtedy przeżyciem, którego nie da się porównać z powierzchownym młodzieńczym obalamuceniem Awangardą na fali »buntu« przeciw Skamandrowi<sup>127</sup>. Wspomnienie tych wierszy zachował w więzieniach i łagrach Związku Radzieckiego, na bliskowschodnim i włoskim froncie. „Często powtarzałem sobie z *Trzech zim* jeden szczególnie wiersz: *O książce*<sup>128</sup>. Szkic wokół niego osnuty, napisany w lutym 1945 roku, gdy autor nosił jeszcze mundur wojskowy, zamyka jego pierwszą książkę *Żywi i umarli*. Swojego sądu o Miłoszu jako poecie nie zmienił. Uważał go za jednego z najwybitniejszych poetów współczesnych, który „panując bezbłędnie nad instrumentem, stale pamięta o jego ograniczeniach<sup>129</sup>.

Z zainteresowaniem, ale bez zachwyty czytał opublikowany w 1951 roku *Murti Bing* Czesława Miłosza, rozdział z książki, która miała się ukazać dwa lata później pod tytułem *Zniewolony umysł*. Miał trudności z ustaleniem (ważnym dla oceny), co pochodzi z autopsji, a co z obserwacji innych ludzi. W pierwszym przypadku to, co Miłosz napisał o intelektualistach zza „żelaznej kurtyny”, uznał za przykre, ale dość interesujące. „Ostatecznie mamy możliwość oglądać po raz pierwszy w jego osobie królika doświadczalnego, który uciekł z laboratorium »nowej wiary« i wymiotuje bez przerwy, zatruty się pigułkami Murti-Binga<sup>130</sup>. Pisał też z ironią, że jeśli ten artykuł potraktować na serio, to okaże się, że intelektualiści typu Miłosza mają bardzo słabe głowy i potrafią się byle czym bałamucić. Pokpiwał też z Miłosza, że jako marksista jest spóźniony w rozwoju i dlatego niustannie ma ciągoty do „nowej wiary”: „Zmysł krytyczny jest nagrodą dojrzałości okupionej doświadczeniami młodości; wieczna zalotność jest ceną, jaką się płaci za spóźniony infantylnizm, za przewlekły proces ząbkowania intelektualnego<sup>131</sup>.

Gdy ukazało się pełne, książkowe wydanie *Zniewolonego umysłu*, uznaniu dla sztuki pisarskiej towarzyszyła duża rezerwa wobec przedstawionego w dziele punktu widzenia. Herling-Grudziński okazał się surowym krytykiem tej książki i wielokrotnie do surowych jej ocen powracał. „Wiele na ten temat napisałem, aż wreszcie przestałem dyskutować, robiłem to bardzo uparcie, aż w końcu mi się to znudziło i przestałem<sup>132</sup>. „Bardzo zażarcie dyskutowałem na temat »heglowskiego ukąszenia« z Miłoszem. Bardzo nie lubiłem i nie lubię *Zniewolonego umysłu*. Choć to książka znakomicie napisana, to nie wierzę w tę teorię<sup>133</sup>.

Określił ją jako „świetnie napisaną, lecz błędną, wydumaną za biurkiem”, na co Miłosz zareagował oburzeniem w *Ogrodzie nauk*<sup>134</sup>. Różnica poglądów na sprawy podjęte w *Zniewolonym umyśle* jest różnicą między historyzmem a moralizmem. Droga do postaw i zachowań opisanych przez Miłosza prowadzi, zdaniem Herlinga-Grudzińskiego,

<sup>126</sup> Tamże, 22 X 1986, cz. 2, s. 61.

<sup>127</sup> Tamże, 27 VI 1975, s. 112.

<sup>128</sup> Tamże, 10 X 1980, s. 59.

<sup>129</sup> Tamże, 27 VI 1975, s. 113.

<sup>130</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Wýjścia z milczenia...*, s. 239.

<sup>131</sup> Tamże, s. 240.

<sup>132</sup> Jagoda Jędrychowska, *Widzieć Polskę...*, s. 156 i 162.

<sup>133</sup> *Eco mnie nudzi*. Z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim rozmawia Izabela Łęcka, „Polityka – Kultura” 1994, nr 12 (38).

<sup>134</sup> Czesław Miłosz, *Ogród nauk*, Paryż 1988, s. 118–119.

przez strach, głupotę, znieprawienie, ciągoty do władzy. Wszelkie „racjonalizowanie”, szukanie „głębszych przyczyn”, odwoływanie się do historii – to tylko maski osłaniające tchórzostwo, małość, podłość, konformizm.

Miłosz uważał kryterium moralistyczne za zbyt płytkie, mało przydatne do analizy motywów składających się na wybory pisarskie opisane w jego książce. Odwoływał się do „heglowskiego ukąszenia”, czyli do myślenia historycznego, które jeżeli powoduje strach, to innego rodzaju: obawę znalezienia się poza historią, niedorównanie jej rozwojowi, jej nadrzędnym racjom.

Herling-Grudziński pozostał przy swoim stanowisku, a Miłoszowe „ukąszenie heglowskie” potraktował jako próbę usprawiedliwienia moralnej małości i koniunkturalizmu. Argumenty na rzecz swych poglądów znajdował w rozwoju wydarzeń w krajach socjalistycznych, gdzie dużo zmieniało się na lepsze właśnie dzięki temu, że zainteresowania moralistyczne „wzięły tam na powrót górę nad wybiegami »zniewolonych umysłów« w poszukiwaniu »historycznego« alibi”<sup>135</sup>.

Potwierdzenie słuszności swych sądów spotkał również w rozmowie Miłosza z Ewą Czarnecką w książce *Podróżny świata*. Zapytany o spór z Herlingiem-Grudzińskim, Miłosz przyznał swemu oponentowi pewien stopień racji i opowiedział o skromnym nauczycielu, który po przeczytaniu *Zniewolonego umysłu* powiedział o jego autorze: „Taki inteligentny człowiek i tak się dał nabrać”<sup>136</sup>. Herling-Grudziński skomentował te słowa: „Właśnie tak: »dał się nabrać«”<sup>137</sup>.

Wskazywał na istotną sprzeczność w wywodzie Miłosza. Ketman bowiem zakłada pozostawanie przy swym prawdziwym poglądzie, a przyjęcie „nowej wiary” tylko na użytek zewnętrzny. Zachowuje się więc wolny umysł, nie występuje jego zniewolenie. A jeżeli zażywa się pastylki „Murti-Binga” i pozostaje się pod wpływem ich działania – to nie ma potrzeby uprawiania Ketmana. *Zniewolony umysł* można by więc – zdaniem Herlinga-Grudzińskiego – uznać za klucz do wyjaśnienia buntu intelektualistów, jeżeli się przyjmie, że dopiero referat Chruszczowa odsłonił im prawdę. Ale tak nie było. Większość z nich znała ją od dawna. Tak więc „nowa wiara” w takiej postaci, w jakiej ją przedstawił Miłosz, nie istniała. Były różne formy aktorstwa, które po XX Zjeździe KPZR przestały być potrzebne<sup>138</sup>.

Za „odwrotną stronę” *Zniewolonego umysłu* przyjął Herling-Grudziński książkę Adama Michnika *Z dziejów honoru w Polsce*. Oceniał ją bardzo wysoko: „Książka niezwykła, mądra [...] dobrze przemyślana i doskonale skomponowana, porządkująca i objaśniająca rzeczy znane dotychczas na wrywki”<sup>139</sup>.

Michnik włączył się do sporu Herlinga-Grudzińskiego z Miłoszem. Z nutą wątpliwości pytał: „Czy pospolity strach przed pałką jest dostatecznym kluczem do zrozumienia korzeni i mechanizmów ideologicznych obłędów naszego stulecia?”<sup>140</sup>. Chociaż w takim stwierdzeniu widział zbyt pochopne generalizowanie, przyznawał, że są liczne przypadki, które potwierdzają jego zasadność. Odpowiedź Herlinga-Grudzińskiego Michnikowi brzmiała jeszcze bardziej jednoznacznie:

<sup>135</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 5 I 1977, s. 192.

<sup>136</sup> Ewa Czarnecka, *Podróżny świata*. Rozmowy z Czesławem Miłoszem, Nowy Jork 1983, s. 81–82.

<sup>137</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 4 X 1983, s. 272.

<sup>138</sup> Zob. *Komentarz tłumacza* (Jurij Ławrynenko, *Literatura sytuacji pogranicznych* [w:] Gustaw Herling-Grudziński, *Wjścia z milczenia...*, s. 300–304).

<sup>139</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 19 III 1985, cz. I, s. 111.

<sup>140</sup> Adam Michnik, *Z dziejów honoru w Polsce (wypisy więzienne)*, Warszawa 1991, s. 82.



„Pospolity strach przed pałą” jest istotnie, według mnie, kluczem do zrozumienia „ideologicznych obłądów naszego stulecia”. Nie jedynym, co prawda. Niekiedy, w obrębie łagodnej stosunkowo odmiany totalitaryzmu, wystarczy korupcja<sup>141</sup>.

W komentarzu do *Małej encyklopedii totalizmu* Jana Józefa Szczepańskiego upomniał się o nieobecne w niej hasło „Strach”, gdyż w manipulowaniu strachem widział „jeden z filarów totalitaryzmu, niezależnie od jego barwy, tak istotny w całej budowlu, że bez niego rozlega się natychmiast trzeszczenie”. Ponieważ jednak strach jest uczuciem upokarzającym, toteż wystraszeni i zastraszeni „lubią go przystrajać rozmaitymi esamifloresami »filozoficznymi«, co daje nikłe i przelotne korzyści, bo strach ma upodobanie do bezwstydney nagości”<sup>142</sup>.

Po lekturze bardzo interesującej korespondencji między Czesławem Miłoszem a Melchiorcem Wańkowiczem opublikowanej w „Twórczości”<sup>143</sup> Herling-Grudziński napisał utrzymany w stylu Gombrowiczowskiego *Trans-Atlantyku* pastisz, w którym wyszydził zarówno Miłosza borykającego się z dramatem, jak i Wańkowicza z jego Międzyepoką i Klubem Trzeciego Miejsca<sup>144</sup>.

Do bezpośredniego starcia Herlinga-Grudzińskiego z Miłoszem doszło w 1998 roku z okazji nominowania ich dzieł do nagrody „Nike”. Po werdykcie przyznającym nagrodę Miłoszowi Herling-Grudziński zamieścił w prasie krótkie oświadczenie, że w przyszłości nie zamierza kandydować do tej nagrody, a w *Dzienniku pisanym nocą* dał tej decyzji wyjaśnienie, któremu nie można odmówić słuszności:

Jestem zdania, że autor *Pieska przydrożnego* powinien był podziękować za kandydaturę jako dowód wieczystego uznania rodaków, aby zaraz potem ją wycofać jako laureat Nagrody Nobla, bo najzwyczajniej nie wypada. Nie mogę sobie wyobrazić, by Camus bądź Montale przyjęli skromne nagrody francuskie czy włoskie z czołami ozdobionymi laurem noblowskim. Czyli herbertowska kwestia smaku, kwestia taktu, a nie kwestia wartości (nawiasem i otwarcie mówiąc, uważam książkę za przeciętną, grubo poniżej naprawdę wybitnych książek Miłosza, oraz pozostawiam zachwyty nad nią przysięgłym cmokierom z „Zeszytów Literackich”, ostrzegając ich jednak, że narażają się tym nieustannym cmokaniem na groźbę permanentnego skołowacenia języków)<sup>145</sup>.

\*\*\*

Jerzy Giedroyc tak skomentował ocenianie polskich pisarzy przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego:

U Gustawa odgrywają dużą rolę antagonizmy osobiste. Tak np. on bardzo nie lubi Miłosza i z trudem to ukrywa. Jest więcej niż negatywnie nastawiony do Brandysa. Przekreśla Żukrowskiego nie tylko jako człowieka, lecz również jako pisarza, choć ten napisał przecież

<sup>141</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 19 III 1985, cz. I, s. 113.

<sup>142</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1989–1992)*, Warszawa 1993, s. 159.

<sup>143</sup> *Wańkowicz i Miłosz w świetle korespondencji*, podała do druku A. Ziółkowska, „Twórczość” 1981, nr 10, s. 91–123.

<sup>144</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik...*, 16 VII 1982, s. 183–185.

<sup>145</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1997–1999)*, s. 240.

dwie czy trzy dobre książki. Gustaw stosuje w tych przypadkach kryteria skrajne, które nie zawsze mi odpowiadają<sup>146</sup>.

Opinie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o polskich pisarzach i ich dziełach, niekiedy rażąco jednostronne, są ważne i interesujące. Ukazują, jak polskie życie literackie odbierał jeden z czołowych pisarzy emigracyjnych oglądający je z dala i z innego, niż w kraju, punktu widzenia. Dawało to często oceny przenikliwie trafne, czasem wywołujące chęć sporu, niekiedy bolesne dla charakteryzowanych autorów. Wielokrotnie jednak prawdziwe.

---

<sup>146</sup> Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opracował i posłowiem opatrzył Krzysztof Pomian, Warszawa 1994, s. 208.

## „Podwójne życie pisarza”

Ten szkic wyrósł ze zdziwienia (notabene podzielanego przez wielu czytelników) kontrastową różnicą, rażącą sprzecznością między moralistyczną tonacją prozy literackiej Gustawa Herlinga-Grudzińskiego a stylem jego publicystyki zawierającej się w partiach *Dziennika pisanego nocą* i w udzielanych wywiadach, gdzie można spotkać sformułowania, które psują wizerunek pisarza moralisty, jaki w wyobraźni swojej nosi czytelnik jego prozy artystycznej. Ujawnia się w nim zdenerwowanie, irytacja, negatywne emocje posunięte niekiedy tak daleko, że zdają się świadczyć, iż rozgniewanie autora osłabia jego kontrolę nad używanymi słowami i powoduje potykanie się o fakty, które czasem przeczą opiniom pisarza.

Chyba pierwsza zwróciła na to uwagę Zofia Stefanowska:

Zapewne duch walki, nieprzejednania, bezkompromisowości należą do uprawnień emigrantów. Nie zmienia to jednak faktu, że dziennik – chociaż pisany tym samym stylem, a nawet od pewnego czasu włączający do swych zapisów drobniejsze prozy – nie tylko różni się od dorobku prozatorskiego Herlinga, ale w głębszej warstwie niejednokrotnie popada z nim w sprzeczność<sup>1</sup>.

Dziennikarka „Gazety Wyborczej” zwróciła się do pisarza z zapytaniem:

Czy Herlinga-Grudzińskiego – pisarza, wspaniałego stylisty, nie razi czasem język Herlinga-Grudzińskiego publicysty? Na przykład: „Śmieszny, histeryczny Michnik”, „domorośli inkwizytor Orszulik”, „elitarnie saloniki warszawskie” [...]. Mną to za każdym razem wstrząsa [...]. To zdumiewające, jak Pan godzi takie dwa style, przecież nie tylko pisanie, ale także myślenie.

Mimo takiego zapytania zawierającego negatywną ocenę stylu publicystyki autora, w dalszej rozmowie nie rezygnuje on z użycia słów, które mogą dziennikarkę wprowadzić w zakłopotanie. Zaraz w następnych zdaniach mówi o „skurwionej” lewicy, o Andrzejewskim powie, że „trudno znaleźć głępszego człowieka”, a Jana Kotta nazwie „gówniarzem”<sup>2</sup>.

Tu warto przypomnieć, bo to wystąpi w opiniach później przytaczanych, w innym miejscu Francisa Fukuyamę nazwał „wariatem japońskim z Ameryki”<sup>3</sup>, a jego poglądy

<sup>1</sup> Cyt. za: Tadeusz Drewnowski, *Z innego świata*, „Polityka” 1993, nr 7.

<sup>2</sup> *Tak, taki jestem*, z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim rozmawiają Anna Bikont i Joanna Szczęsna, „Gazeta Wyborcza” 29 IV–1 V 2000.

<sup>3</sup> *Arkadia wciąż nie opisana*, rozmowa E. Sawickiej z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. „Plus-Minus”, dodatek do „Rzeczpospolitej” 22–23 V 1999.

„efekciarskim nonsensem”, czego dowodem miały być według niego wyniki wyborów parlamentarnych w Polsce, na Węgrzech i we wschodniej części Niemiec<sup>4</sup>.

Jerzy Andrzejewski zareagować na to już nie mógł. Jan Kott natomiast przysłał do „Gazety Wyborczej” list ze słowami:

Gustaw Herling-Grudziński nazwał mnie „gówniarzem”. Wywiad był autoryzowany. Rozumiem, że „Gazeta” zostawia duży margines swobody osobom, z którymi przeprowadza wywiady. Ale wydaje mi się, że w tym przypadku przekroczone zostały granice dobrego smaku i elementarnej przyzwoitości<sup>5</sup>.

Interesujące jest, jak tę wymianę ciosów między starszymi kolegami odebrał pisarz o kilka pokoleń młodszy. Oto fragment zapisków Stefana Chwina:

Herling i pętaki

Dziwnie zachowuje się od jakiegoś czasu Herling-Grudziński. Najpierw publicznie wypiął się w Neapolu na Nagrodę Nike, której nie dostał, potem w wywiadach, zaczął strzykać śliną na rozmaitych pisarzy niczym na pętaków, którzy ośmielają się w jego obecności otworzyć usta.

Andrzejewski? „Trudno znaleźć głupszego człowieka”. Jan Kott? „Gówniarz”. Kazimierz Brandys? „Świnia”.

Czy Herling ma rację? Niestety ma. Chodzi jednak nie o rację. Chodzi o potrzebę strzykania.

A tu prawdziwy dramat. Wielka postać polskiego życia duchowego drugiej połowy dwudziestego wieku i równocześnie nieprzeparta potrzeba strzykania...

Dla mnie ci pisarze po prostu nie istnieją i tyle.

Bo on dobrze wie, że nie jest wielkim pisarzem – stąd to wszystko.

Gdzie mu tam do Gombowicza, Schulza, Witkacego czy Miłosza. Za wysokie progi. On został przez Polaków wygrzebany z zasp emigracji, wypchnięty w górę, postawiony na widoku, obsypany zesłańczym śniegiem, ozdobiony aureolą z kolczastego drutu, podparty Wezuwiuszem, Neapolem, Bertrandem Russellem, Crocem i paryską „Kulturą”, opromieniony blaskiem „znawcy Italii”, wtłoczony w szacowną rolę „wielkiego pisarza polskiego na wygnaniu”, niezłomnego strażnika wartości i miota się w tej roli od lat, tajoną frustrację przemieniając w agresję wobec „nieszlachetnych”, którzy choć byli paskudni, mieli, niestety, talent większy niż on.

Smutne.

Przypadek, na którym warto się uczyć trudnej sztuki dystansu wobec ról, jakie zsyła nam los<sup>6</sup>.

Takie – by użyć określenia Stefana Chwina – „strzykanie” pojawiało się w tekstach Herlinga-Grudzińskiego i dawniej, ale może rzadziej, nie w tak drastycznej formie. A przede wszystkim mogło być inaczej odbierane przed rokiem 1989. Z większą aprobatą mogli czytelnicy odbierać wówczas krytyczne, choćby i dosadne, uwagi autora o życiu w kraju i o zachowaniu się osób obecnych w życiu publicznym. To uległo zmianie po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, kiedy oceny polityczne o niej uległy zmianie i wystąpiły różnice w poglądach między ludźmi dotychczas myślącymi podobnie, jak na przykład między Jerzym Giedroyciem a Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, co do-

<sup>4</sup> *Eco mnie nudzi*, z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim rozmawia Gabriela Łęcka, „Polityka – Kultura” 1994, nr 12.

<sup>5</sup> Jan Kott, *Granice dobrego smaku*, „Gazeta Wyborcza” 13–14 V 2000.

<sup>6</sup> Stefan Chwin, *Przygoda w Thun (Kartki z dziennika „2”)*, „Plus-Minus” 27–28 XII 2003.

prowadziło do rozstania się autora *Innego świata* z „Kulturą” i przeniesieniem *Dziennika pisanego nocą* na łamy „Plus-Minus”, dodatku do „Rzeczpospolitej”, w marcu 1996 roku.

Obaj panowie postanowili milczeć, nie wypowiadać się publicznie o przyczynach i okolicznościach rozstania. Uznali, że istota sprawy ich tylko dotyczy. Dziennikarskie próby uzyskania jakichś informacji kończyły się niepowodzeniem.

– Być może o powodach wycofania *Dziennika* zechce opowiedzieć Gustaw Herling-Grudziński – mówi w telefonicznej rozmowie Jerzy Giedroyc.

– O motywy naszego rozstania proszę pytać Giedroycia, choć wątpię, żeby zechciał coś więcej powiedzieć – wyjaśnia przez telefon Gustaw Herling-Grudziński.

Obaj mówią tylko, że spór dotyczy Polski i polityki.

Jerzy Giedroyc: – Różnimy się w ocenie sytuacji w kraju, mamy inny pogląd na politykę.

– Czy mógłby Pan powiedzieć, na czym zasadza się różnica?

– Wolałbym tego nie precyzować.

Gustaw Herling-Grudziński: – Odejście z „Kultury” to była wyłącznie moja decyzja, nie konsultowana z nikim. To nie jest rozwód po kilkudziesięciu latach wspólnego pożycia, nie prywatne zerwanie, ale fundamentalna, polityczna różnica zdań.

– Mógłby Pan ją określić?

– Proszę mnie nie wyciągać na zwierzenia. Odejście z „Kultury” to dla mnie zbyt poważna sprawa, żeby ją publicznie roztrząsać. Cały czas czuję się obolały, nie chcę o tym mówić<sup>7</sup>.

Milczenie jednak okazało się trudne do utrzymania. Gustaw Herling-Grudziński skorzystał z pierwszego pretekstu, by poczuć się zwolnionym z dyskrekcji. Pod datą 18 stycznia 1997 roku zanotował: „O północy telefon z Warszawy. W. czyta mi zdanie z listu od Jerzego Giedroycia: »Nie zamierzam z nim (tzn. ze mną) polemizować«”<sup>8</sup>.

Przytoczone zdanie, wyjęte z prywatnego listu, a nie z publikacji przeznaczonej dla szerszego odbiorcy, wyrwane z kontekstu, którego nie znamy, Herling-Grudziński podał do publicznej wiadomości jako dowód zerwania przez Giedroycia niepisane go, dżentelmeńskiego zobowiązania do wstrzymania się od wszelkich komentarzy na temat ich różnicy zdań. Równie dobrze można je odczytać jako potwierdzenie aktualności tego zobowiązania – Giedroyc nie zamierza wchodzić w publiczny spór z Herlingiem-Grudzińskim. Ten jednak traktuje je jako „zerwanie umowy”. Daje mu to sposobność rozwinięcia emocjonalnej dygresji i użycia szyderczych słów skierowanych do redaktora „Kultury”. Ujawniły się złoza pretensji, niechęci, gniewu, nad którym pisarz o obliczu moralisty zdaje się tracić kontrolę. „Kulturę” porównał do przedwojennej „Gazety Polskiej”, „idiotyżmem” nazwał tezę Giedroycia o „liberalizmie kierowanym”. Podkreślił przy tym, co miało pomniejszyć Giedroycia, jak i dotknąć lewicę, że ów „liberalizm kierowany musi spodobać się »naszym socjaldemokratom«”, jak ironicznie nazwał Sojusz Lewicy Demokratycznej sprawujący wówczas władzę.

W rozmowie z Elżbietą Sawicką, zdziwioną przerwaniem milczenia i nieprzyjaznymi słowami odnoszącymi się do Giedroycia, Herling-Grudziński podał ten sam powód: poczuł się dotknięty zdaniem w liście do wspólnego znajomego, że nie zamierza z nim polemizować<sup>9</sup>.

<sup>7</sup> Michał Cichy, Paweł Smoleński, *Książę i Niezłomny*, „Gazeta Wyborcza” 16–17 III 1996.

<sup>8</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą*, „Plus-Minus” 15–16 III 1977.

<sup>9</sup> *Dżuma i general*, Gustaw Herling-Grudziński o rozstaniu z Jerzym Giedroyciem, „Plus-Minus” 26–27 IV 1997.

Trudno nie zauważyć niewspółmierności między podaną przyczyną a wywołanym przez nią skutkiem.

W zapisie z 28 stycznia 1998 roku Herling-Grudziński wspomina o rozmowie opublikowanej na łamach „Faktów”, w której Giedroyc wskazuje na zanik instynktu państwowego w polskiej elicie politycznej. Reakcja Herlinga-Grudzińskiego sprawia wrażenie, że nie jest on zdolny do prowadzenia rzeczowego dyskursu, w którym byłoby miejsce bądź na aprobatę opinii redaktora „Kultury”, bądź też na polemikę z nią. Zaczyna bowiem: „Przypomniałem sobie, że w jednym z ostatnich listów do mnie, przed naszym rozstaniem, padł pod moim adresem zarzut właśnie braku »instynktu państwowego«”<sup>10</sup>.

Pojęcie „instynktu państwowego” jest wieloznaczne; może wywoływać różne skojarzenia. Uzasadniony więc byłby polemiczny stosunek do wypowiedzi Giedroycia prowadzący do jego uściślenia. Herling-Grudziński idzie jednak w innym kierunku. W emocjonalnej tyradzie, nie licząc się z intencjami Giedroycia i w istocie zniekształcając sens jego słów, wpisuje w nie wszystko, co najgorsze: zaprzeczenie upadku PRL, rezygnację z własnych sympatii, nawiązanie do ideologii Adama Skwarczyńskiego, akceptację sanacji, przedwojennej myśli mocarstwowej, procesu brzeskiego, Berezy, zajęcia Zaolzia, marszu na Litwę, pacyfikacji Ukrainy. I wreszcie: zbliżenie się do poglądów Ziuganowa i Żirynowskiego. Prowadził do konkluzji: „Zamiast górnolotnych, uroczystych haseł w rodzaju »instynktu państwowego« (cokolwiek on znaczy) [ten zwrot powtarza się jak refren dziesięciokrotnie – przyp. M.S.] zaufajmy rozumowi i woli”<sup>11</sup>. Zdawał się nie dostrzegać, że jego recepta, zwłaszcza ta „wola”, mogłaby dać powód do równie żarliwej polemiki.

Te i podobne wybuchy emocji Herlinga-Grudzińskiego dowodzą, jak mocno i dotkliwie przeżył on rozejście się z Giedroyciem i „Kulturą”. Czego zresztą – gdy już zaczął o tym mówić – nie ukrywał: „Powiem otwarcie: o rozstaniu z »Kulturą«. To jest dla mnie najboleśniejszą sprawą, o której chciałbym naprawdę dokumentnie zapomnieć [...]. To jest najboleśniejszą sprawą w moim życiu”<sup>12</sup>.

Podobne zwierzenia czynił wielokrotnie. Na przykład: „To rozstanie było dla mnie bardzo bolesne. Ale nikt i nic nie zmusi mnie do powiedzenia złego słowa o wielkim dziele Jerzego Giedroycia. Moja rana zaś podgoiła się i goi się dalej dzięki stałej współpracy z »Plusem-Minusem«”<sup>13</sup>. Po dwóch latach znowu do tego powracał: „Moje rozstanie z Giedroyciem to był dla mnie strasznie bolesny moment. Tak jak mężczyzna się rozchodzi z ukochaną kobietą. Przez dwa lata to przeżywałem, aż się wreszcie zagoiło”<sup>14</sup>.

Zdarzenie to zaważyło również na zawartości *Wizji Polski na łamach „Kultury” 1947–1976*, ze szkodą dla tej wartościowej publikacji. Grażyna Pomian informowała we wstępie, że Gustaw Herling-Grudziński odmówił zgody na przedruk jego artykułów<sup>15</sup>. Tak uzasadnił swą decyzję: „Po tym, co się stało między nami, nie chcę więcej figurować w »Kulturze«”<sup>16</sup>.

Co się właściwie stało? Giedroyc o tym konsekwentnie milczał. Znamy tylko przekaz Herlinga-Grudzińskiego. Redaktor „Kultury” odmówił opublikowania rozmowy

<sup>10</sup> Gustaw Herling-Grudziński, „Plus-Minus” 25–26 IV 1998.

<sup>11</sup> Tamże.

<sup>12</sup> *Arkadia wciąż nie opisana...*

<sup>13</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Orzeł Biały w mieście „Orla Białego”*, „Plus-Minus” 20–21 VI 1998.

<sup>14</sup> *Tak, taki jestem...*

<sup>15</sup> *Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–1976*, do druku przygotowała, wstępem, przypisami i indeksem opatrzyła Grażyna Pomian, Lublin 1999, t. I, s. 18.

<sup>16</sup> *Tak, taki jestem...*

pisarza z Włodzimierzem Boleckim na temat opowiadania *Dżuma w Neapolu*. Powstało ono po zapoznaniu się z dokumentami dotyczącymi dżumy neapolitańskiej. Pisarz dostrzegł w nich obraz mechanizmu stanu wojennego; jego wprowadzenia i jego oceny. „Jest to opowiadanie o generale Jaruzelskim i nic więcej nie mam tu do powiedzenia”<sup>17</sup>. Giedroyc odmówił publikacji. Uznał, że tekst jest za długi, z wymową jego się nie zgadzał, a polemizować z autorem nie zamierzał<sup>18</sup>.

Herling-Grudziński odebrał tę decyzję jako dowód zmiany opinii Giedroycia o Jaruzelskim. I słusznie. Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego Giedroyc w Jaruzelskim widział agenta Moskwy. Później ten sąd znacznie zmodyfikował. Różnica poglądów między nimi dotyczyła też oceny ogólnej sytuacji w Polsce po wygraniu wyborów parlamentarnych przez Sojusz Lewicy Demokratycznej i po wyborze Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta RP. Giedroyc uznał, że zmiany w Polsce, jakkolwiek by się je oceniało, nastąpiły na drodze demokratycznej i nie pozostaje nic innego, jak je uznać. Za demagogię uważał mówienie o powrocie komunizmu w Polsce. Demokratycznie wybranego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego zgodził się przyjąć w siedzibie „Kultury” w Maisons-Laffitte.

Gustaw Herling-Grudziński stanowczo odmawiał aprobaty dla takiego myślenia. Opowiadał się za półwieczną kwarantanną byłych członków PZPR, za odsunięciem ich w niebyt polityczny na długi czas, na ich „epurację”. Zerwał dotychczasową przyjaźń z Adamem Michnikiem za jego „bratanie się” z Jaruzelskim. Jego artykuł napisany wspólnie z Włodzimierzem Cimoszewiczem nazwał „Manifestem postkomunistycznym”. Tadeuszowi Mazowieckiemu miał za złe odkreślenie „grubej kreski”, co uniemożliwiało lustrację i dekomunizację, przyczyniało się do „zamazania” granicy między PRL i III RP. Bardzo negatywnie oceniał „Okrągły Stół”. Nazwał go „orgią obłapek”, która postkomunistom otworzyła drogę do odbudowy i odmrożenia swego stanu organizacyjnego i finansowego<sup>19</sup>.

Co do tekstu przedłożonego „Kulturze” proponował rozwiązanie kompromisowe. Sugerował zaopatrzenie go przypisem pochodzącym od redaktora: „Redakcja nie zgadza się z poglądami autora”. Po dwudziestu czterech godzinach Giedroyc wysłał do Herlinga-Grudzińskiego faksem jedno zdanie: „Niestety, nie mogę się zgodzić na Twoją propozycję”. To był koniec współpracy. Herling-Grudziński odpowiedź Giedroycia skomentował: „Jestem pełen admiracji dla niego za to, co w życiu zrobił i pełen zdziwienia, że człowiek takiej kultury nie szukał sposobów wyjścia z konfliktu”<sup>20</sup>. W *Dzienniku pi-sanym nocą* zanotował:

Czy mogłem być przypuszczać [...], że rozstanę się niebawem z „Kulturą”, którą kiedyś założyłem w Rzymie i w której przepracowałem przeszło czterdzieści lat, gdyż mój Wielki Szeff odmówił wydrukowania jednej stroniczki dziennika nawet z odsyłaczem, że nie zgadza się z moimi poglądami? Zaiste, pomnikowym postaciom zdarza się potykać brzydko tuż przed ostatecznym wspięciem się na cokół<sup>21</sup>.

<sup>17</sup> Gustaw Herling-Grudziński, Włodzimierz Bolecki, *Rozmowy w Dragionei*, Warszawa 1997, s. 57.

<sup>18</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dżuma i general*.

<sup>19</sup> Tamże.

<sup>20</sup> Tamże.

<sup>21</sup> Gustaw Herling-Grudziński, „Plus-Minus” 15–16 III 1997.

Powracał do tej sprawy trzy lata później, w roku swojej śmierci. Uważał ją za skandaliczną. Nie mógł się pogodzić z tym, że Giedroyc z powodu jednego zdania zerwał z człowiekiem, który założył „Kulturę” i związał z nią swoje życie<sup>22</sup>.

U źródeł rozbieżności w ocenach ludzi i sytuacji między Gustawem Herlingiem-Grudzińskim a Jerzym Giedroyciem była manicheistyczna postawa autora *Innego świata*. Pisarz często podkreślał swą „wrażliwość manichejską”<sup>23</sup>. Przyznawał się do obsesji na temat rozkrzewiania się zła we współczesności. Używaną w Kościele formułę św. Augustyna, iż zło jest nieobecnością dobra uważał za zbyt wąską, nieobejmującą wszystkich ważnych zjawisk w zakresie dobra i zła: „Dawniej się sądziło, że zło jest nieobecnością dobra. Ja twierdzę natomiast i piszę to w moich opowiadaniach bardzo wyraźnie, że istnieje zło immanentne”<sup>24</sup>. Mówił o sobie, że jest „przykuty do problemu niesamowitego, niesłuchanie gwałtownego rozpowszechniania się zła we wszystkich dziedzinach i na całym świecie”. Łączył to z kończącym się XX wiekiem, który był „wiekiem niesłuchanego wybuchu zła”. Ludzie przyzwyczaili się, że pewne złe rzeczy można robić. Za przykład dawał rozpowszechnienie się pedofilii<sup>25</sup>.

Manichejska dychotomia, ów „manicheizm na użytek naszych czasów”, jak postawę Herlinga-Grudzińskiego określił Krzysztof Pomian<sup>26</sup>, jest mało przydatny do opisu i oceny skomplikowanych problemów i zachowań ludzkich w XX wieku. Jerzy Giedroyc dystansował się do zbyt purytańskiego stanowiska Herlinga-Grudzińskiego. Uważał, że gdyby do pisarzy przykładać bezwzględne miary polityczne i moralne, literatura polska przestałaby istnieć. Opowiadał się za oddzieleniem dzieła od autora<sup>27</sup>. Dwudziestowieczność bowiem jest, by posłużyć się słowami włoskiego poety, czasem „permanentnego oksymoronu”.

Z początku to było nawet dość łatwe,  
Kiedy podziały były wyraźne  
[...]  
Nie, to nie było zbyt trudne,  
Wystarczyło wziąć nie ten zakręt, wyblaknąć,  
udawać względnie być niewidzialnym. Lecz później...  
Później, gdy opróżniły się stajnie, łajdactwo  
i honor podając sobie ręce ustanowiły permanentny  
oksymoron i już nie mogło być mowy  
o ucieczce czy nawet ukryciu. Była to pora  
fokomelii konceptualnej i to co pokraczne  
za piękne uznano. Na resztę padło szyderstwo i milczenie<sup>28</sup>.

W czasie „permanentnego oksymoronu” dychotomia wobec ludzkich postaw moralnych jest równie skuteczna jak wytrych włamywacza wobec nowych zabezpieczeń. Co

<sup>22</sup> *Tak, taki jestem...*

<sup>23</sup> *Po stronie nadziei*, rozmowa z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, „Nowe Książki” 1993, nr 6, s. 3. Zob. też: *W imię sumienia*, Gustaw Herling-Grudziński w rozmowie z Michałem Cichym, „Gazeta Wyborcza” 19–20 IX 1998.

<sup>24</sup> *Arkadia wciąż nie opisana...*

<sup>25</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *W imię sumienia*.

<sup>26</sup> Cyt. za: Tadeusz Drewnowski, *Z innego świata*.

<sup>27</sup> Zob. Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, s. 208.

<sup>28</sup> Eugenio Montale, *List do Malvoglio*, tłum. Zygmunt Ławrynowicz, „Twórczość” 1997, nr 5, s. 5.



gorsza, gdy „łajdactwo i honor podały sobie ręce”, katońscy moralisci, chociaż mogą tego nie widzieć, często znajdują się w jednym szeregu z cynicznymi graczami.

Słowa przeproszenia wygłoszone w parlamencie przez Aleksandra Kwaśniewskiego Herling-Grudziński określił jako „głupie”<sup>29</sup>. Nawet przy krytycznym stosunku do prezydenta RP trudno to słowo uznać za właściwe w tekście szanującego się autora. Pozostaje też pytanie, jakie powinno być, jego zdaniem, owo przeproszenie. Stawiał je już Tadeusz Drewnowski, zauważając – na podstawie komentarza Herlinga-Grudzińskiego do twórczości Tadeusza Borowskiego – że dla tego surowego moralisty nawet samobójstwo okazuje się niewystarczające<sup>30</sup>.

Jakaś próbką (być może nie najbardziej fortunną) ekspiacji był list marszałka Sejmu, Józefa Oleksego, witający Herlinga-Grudzińskiego, gdy ten przybywał do Polski, by odebrać doktorat honoris causa nadany mu przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W liście tym, który czekał na pisarza w pokoju hotelowym, marszałek Sejmu wyrażał ubolewanie, że tak długo jego dzieła nie były dostępne krajowemu czytelnikowi. Użył przy tym, niezbyt fortunnie formy bezosobowej. Można by styl jego listu i sam pomysł jego wysłania usprawiedliwić tym, że występował w roli marszałka Sejmu, nie lidera SdRP.

Gustaw Herling-Grudziński przekazał do publicznej wiadomości informację o tym zdarzeniu w takiej formie:

Zastanawiam się czasem, jak sobie radzą kretyni partyjni z ulicy Mysiej. Zapewne przedzierzgnęli się w „komercjalistów” Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy i ochoczo, bez zająknięcia wyżywają się na niwie liberalnej jak ich szef Oleksy, który w liście do mnie, jeszcze na blankiecie Marszałka Sejmu, ubolewał, że „odgradzano nas niestety od pana książek”<sup>31</sup>.

Nawet krytycznym wobec Oleksego czytelnikom tego tekstu towarzyszyło uczucie zażenowania. Lepiej już było o tym zamilczeć, niż podawać w takim stylu do publicznej wiadomości. A pisarz wracał do tego listu parokrotnie, zawsze w takim samym stylu<sup>32</sup>.

Na poświęconym twórczości Herlinga-Grudzińskiego spotkaniu w Lublinie Krzysztof Wolicki stwierdził, że autor *Innego świata* włączył się do polskich rozgrywek politycznych. Pisarza na tym spotkaniu nie było. O jego przebiegu dowiedział się z otrzymanej korespondencji. Poczul się mocno dotknięty uwagą Wolickiego. Wyobrażał bowiem sobie, że mieszkając za granicą, można swobodnie komentować wydarzenia w kraju, będąc „wolnym od tego, co się nazywa układami politycznymi”<sup>33</sup>. Gwałtownie więc i w niewybrednych słowach zareagował na otrzymaną wiadomość, odrzucając opinię Wolickiego, której zasadność była oczywista dla krajowych czytelników *Dziennika pisanego nocą*: „Pewnych idiotyzmów płazem puszczać nie wolno, bo zaśmiecają potem na zawsze ludzkie umysły”<sup>34</sup>.

Czytelnik oczekuje w tym miejscu jakichś argumentów, które by uzasadniały te dramatyczne słowa, tym bardziej że autor zapowiada „uwagę czysto opisową”. Oto ona: „Ten

<sup>29</sup> „Plus-Minus” 25–26 IV 1997.

<sup>30</sup> Zob. Tadeusz Drewnowski, *Z innego świata*.

<sup>31</sup> „Plus-Minus” 30–31 VIII 1997.

<sup>32</sup> Na przykład w rozmowie z włoską dziennikarką Titti Marone. Zob.: Gustaw Herling-Grudziński, Titti Marone, *Pod światło*, posłowie Sergio Romano, przeł. Stanisław Kasprzyk, Kraków 1998, s. 20.

<sup>33</sup> „Plus-Minus” 26–27 IV 1997.

<sup>34</sup> „Plus-Minus” 21–22 II 1998.

stek bredni narodził się w głowie wychowanka (a może i profesora) dobrej szkoły partyjnej: ma styl donosu i opiera się na kanonie »manipulacji«, ale co mnie naprawdę dręczy, to pytanie, czy Wolicki wymyślił ten »donosik manipulacyjny« sam, czy też ktoś mu go podszeptał. Kto». Po tej „uwadze czysto opisowej” Herling-Grudziński kończy fragment *Dziennika pisanego nocą* słowami: „O maglu nasz narodowy, wieczysty polski maglu, w ojczyźnie i na obczyźnie, w pospółstwie i na szczytach”<sup>35</sup>.

Pisarz nie zdaje sobie tu sprawy, że przytoczonymi uprzednio słowami sam znalazł się w niebezpiecznym pobliżu tego magla, jeżeli już sam do niego nie wstąpił.

Apelował do niego Aleksander Małachowski, by unikał słów i określeń, od których wszyscy chcą odejść, słów poniżających przeciwnika: „Szkoda pańskiego autorytetu na brzydkie słowa i propagowanie obyczajów, które chciałoby się wytepić. Smutne to, co pan napisał. Nie o nas jednak świadczy źle”<sup>36</sup>.

Małachowski poczuł się bardzo zawiedziony i dotknięty opinią pisarza o Unii Pracy. Ufał jego „osobistej rzetelności”, a tymczasem, bez próby zrozumienia ważnych okoliczności Herling-Grudziński, uprzednio darzący tę partię sympatią, zaczął ją nieoczekiwanie surowo i niesprawiedliwie – w przekonaniu Małachowskiego – osądzać.

Małachowski przy tym zrobił uwagę, słuszną, ale taką, której szczególnie nie lubią niektórzy pisarze emigracyjni: „Pan Herling-Grudziński, który życie spędził przeważnie w wielkim oddaleniu od kraju, nie dopuszcza myśli, że może polskie realia polityczne są inne niż jego oczekiwania, ugruntowane raczej na marzeniach o wskrzeszeniu umierających bytów niż na wiedzy o realiach”<sup>37</sup>.

Pisarz nie poświęcił większej uwagi żalom Małachowskiego. Zdziwił się, że on „tak strasznie rozdziera nad tym szaty”. Wyjaśnił krótko, że po analizie cofnął swe poparcie dla Unii Pracy, którą wcześniej publicznie chwalił<sup>38</sup>.

Nieporozumienia spowodowanego „widzeniem Polski z oddalenia”<sup>39</sup> dowodzi porównanie wrażeń wywiezionych z Warszawy z obserwacją Budapesztu. Tu niezbędna dygresja. Pisarze emigracyjni, którzy nie powrócili do kraju, a także nie odwiedzili go zaraz po wojnie, nigdy na własne oczy nie widzieli zamordowanej przez Niemców polskiej stolicy. Znali jej obraz tylko z opisów, fotografii, kronik filmowych. Podczas gdy dla pozostających w kraju widok warszawskich ruin i stąpanie po nich był głębokim wstrząsem decydującym często o przyjętej przez nich postawie wobec odbudowującego się kraju.

Jak do miejsca uświęconego męczeństwem odbywała Maria Dąbrowska swoją *Pielgrzymkę do Warszawy*. Na ruinach katedry św. Jana prowadził Czesław Miłosz poetycki monolog decydujący o drogach jego powojennej twórczości. W pamięci Jarosława Iwaszkiewicza utrwalił się „pomnik ciszy nad zniszczonym miastem”<sup>40</sup>. Głęboki wstrząs na widok ówczesnej Warszawy przeżył Ksawery Pruszyński<sup>41</sup>.

Gustaw Herling-Grudziński widok zrujnowanej przez Niemców Warszawy znał tylko z obrazów, zdjęć, opisów, kronik. To nie ocena, to tylko stwierdzenie faktu. Toteż, gdy zachwyił się Budapesztem odbudowanym po wojnie tak pięknie, że wydaje się prawie

<sup>35</sup> Tamże.

<sup>36</sup> Aleksander Małachowski, *Szkoda tego autorytetu*, „Wiadomości Kulturalne” 1994, nr 21.

<sup>37</sup> Tamże.

<sup>38</sup> *Eco mnie nudzi...*

<sup>39</sup> To parafraza tytułu książki Jagody Jędrzychowskiej *Widzieć Polskę z oddalenia* (Poznań 1990) zawierającej wywiady z pisarzami emigracyjnymi.

<sup>40</sup> Jarosław Iwaszkiewicz, *Podróże do Polski*, Warszawa 1977, s. 17.

<sup>41</sup> „Nowa Polska” 1946, t. VI, z. I.

przez wojnę nietknięty<sup>42</sup>, zbyt łatwo mu przyszło rozwinąć niekorzystne dla Warszawy porównanie jej ze stolicą Węgier. Odniósł Budapeszt duże zniszczenia wskutek działań wojennych. Zachowała się wszakże jego zasadnicza struktura. Inaczej było z Warszawą obróconą w ruinę prawie w całości. Można krytycznie spojrzeć na sposób jej odbudowania. Ale trzeba dochodzić inną, niż Herling-Grudziński, drogą. Nie można nie widzieć rozmiaru zniszczenia, niemożliwości przywrócenia całych jej dzielnic w kształcie pierwotnym, powojennych warunków w Polsce. Bez tego nieuchronnie wpada się w pułapkę grożącą tym, którzy Warszawę z lat 1944–1945 znają tylko z oddalenia. Wizja Warszawy roztaczana przez Herlinga-Grudzińskiego to „stepowe miasto”, „Dzikie Pola” wokół „jądra elity”, budy i baraki. Słusznie zwrócił się Małachowski do pisarza: „Jeśli Pan nie może czy nie chce współczesnej Polski zrozumieć – to może Pan spróbuje nasz kraj polubić”<sup>43</sup>.

Dużo uproszczeń i spowodowanych tendencją nieporozumień znalazło się we fragmencie *Dziennika pisanego nocą* poświęconym „Kuźnicy” i – w równym stopniu – Karolowi Modzelewskiemu:

Wpadł mi do rąk pękaty numer pisma „Kuźnica” [...]. Kuźnica przyznaje nagrody zwane poetycznie Kowadłami. Jedno takie Kowadło otrzymał Modzelewski. Kuj, drogi i miły Panie Karolu, kuj póki sił starczy, może kiedyś posypią się z nowego Kowadła jakieś, mniej zapalne i parzące Iskry<sup>44</sup>.

Nie ma pisma pod tytułem „Kuźnica”. Kuźnica – to nazwa stowarzyszenia rozwiązanego uchwałą Biura Politycznego KC PZPR w 1982 roku za nieprawomyślne wówczas poglądy wypowiedziane w publicznych spotkaniach i dyskusjach „Kuźnicy”. Rozmowa z Karolem Modzelewskim ukazała się w piśmie „Zdanie”, które nie jest organem „Kuźnicy”. Przynosi m.in. wywiady w oryginalnej i cenionej przez czytelników formule „Trzech na jednego” z laureatami nagrody Kowadła przyznawanej przez Stowarzyszenie „Kuźnica” (reaktywowane w 1989 roku). Wśród laureatów tej nagrody (przyznawanej od końca lat siedemdziesiątych) jest cała plejada wybitnych znanych postaci z polskiego życia publicznego o różnych postawach politycznych i orientacjach ideowych.

Najwidoczniej Herling-Grudziński nie znał rozmowy z Modzelewskim, która ukazała się w „Zdaniu”, w numerze 1 z 1994 roku. Píše bowiem o „pękacie numerze” (oczywiście nie „Kuźnicy”, lecz „Zdania”). Chodzi o numer 4–5 z 1996 roku, gdzie jest opublikowana dyskusja pod tytułem *Spór o przeszłość*. Jednym z dyskutantów był Karol Modzelewski. Jest to zapis dyskusji zorganizowanej w 1996 roku w Warszawie przez polskie przedstawicielstwo Fundacji Friedricha Eberta pod hasłem *Spór o przeszłość. Niemieckie i polskie doświadczenia w rozrachunkach z historią*. Celem tego warsztatu, z udziałem przedstawicieli Niemiec i Polski, jest „wymiana doświadczeń między Niemcami a Polakami na temat znaczenia, trudności, wyników dotychczasowych działań, mających na celu rozrachunek z socjalistyczną przeszłością w obu krajach, dialog na temat możliwych wniosków dla przyszłości”<sup>45</sup>. A więc chodziło o działanie co najmniej przybliżające się do postulatu Herlinga-Grudzińskiego, by w imię przyszłości nie zamykać oczu na przeszłość, która powinna być dokładnie rozpoznana. Pokusa czynie-

<sup>42</sup> „Plus-Minus”. Budapeszt znacznie ucierpiał wskutek działań wojennych w 1945 roku. Rozmiar zniszczeń Warszawy był jednak nieporównywalnie większy.

<sup>43</sup> Aleksander Małachowski, *Szkoda tego autorytetu*.

<sup>44</sup> „Plus-Minus” 30 XI–1 XII 1996.

<sup>45</sup> „Zdanie” 1966, nr 4–5, s. 3.

nia uszczypliwych uwag nie pozwoliła na lojalne odnotowanie pozytywnej inicjatywy i poprawną o niej informację; na uważne przytoczenie tytułu i numeru czasopisma. I na koniec jeszcze niby dobrotliwie dowcipna, a w istocie podlana jadem złośliwości uwaga skierowana do Karola Modzelewskiego: o owej Iskrze, napisanej wprawdzie bez cudzo-słowa, ale z dużej litery, będącej aluzją do „Iskry” Lenina i jego słów: „Z iskry rozgo-rzeje płomień”.

Krytyczny stosunek do cechującego Herlinga-Grudzińskiego postrzegania świata jedy-nie w czarno-białych barwach zawierał się w skierowanym do niego pytaniu o opinię o Zbigniewie Herbercie, którego nachodzili funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Spotykał się z nimi, rozmawiał. Herling-Grudziński uważał, że pisarz, który zetknął się z „ubekami”, pozbawia się tym samym prawa do występowania w roli autorytetu moralnego: „W każdym razie, jeśli postąpiłbym tak jak Herbert, na pewno nie stawałbym wy-sokich poprzeczek innym”<sup>46</sup>. Na uwagę, że była istotna różnica między sytuacją pisarza w kraju i na emigracji, Herling-Grudziński – jakby tego nieświadom – odpowiadał nie bez dumy, że chociaż nachodzono go w Neapolu, chciano dowiedzieć się od niego, kim jest Józef Staliński, nie uległ nagabywaniom i nie zdradził, że pod tym pseudonimem kryje się Stefan Kisielewski. Wytknięto mu słabość takiego rozumowania, przywołując opinię Zygmunta Hertza z listu do Czesława Miłosza:

Z Gustawem Grudz[ińskim] były wielkie rozmowy w Neapolu i w Nerano. Nie rozu-miem, że on tak mało rozumie. Przecież człowiek składa się z części ciała, rodziny, słabości, namiętności, skłonności etc. etc. A on operuje idealnym człowiekiem. Gustaw zachowywał się w łagrach i w wojsku jak Prymus. Zgoda – ale to awantura, a nie życie, które trwa z po-zorami normalności. Nie wiem czy każdy z moich bliźnich reagowałby jak posąg w tamtych długotrwałych ciśnieniach<sup>47</sup>.

Gustaw Herling-Grudziński przyznawał, że papież Jan Paweł II zasługuje na podziw. Ale jedno w nim mu się nie podobało. Ma on, jak się wyraził, „jedną cechę, którą bym nazwał – wiem, że śmiało – bzikiem”. Jest to – zdaniem pisarza – „bzik wielkich liczb”. Pisarzowi nie podobały się wielotysięczne, a nawet milionowe zgromadzenia na spotka-niach z papieżem podczas jego pielgrzymek do różnych krajów. Bezpośrednim powo-dem jego wzburzenia była wiadomość o przygotowaniach do Roku Świętego, z prze-widywaniem takiej ilości wiernych, która przekracza możliwości włoskich miast. Pisał ironicznie o „masowych zgromadzeniach oceanicznych”<sup>48</sup>.

Ten „bzik” bardzo dotknął Macieja Ziębę<sup>49</sup>. Zwrócił uwagę, że nawet najwybitniej-szych intelektualistów obowiązuje rzetelność myślenia oraz powściągliwość w szafo-waniu epitetami. Najbardziej Ziębę zasmucił fakt, że znany pisarz, który rozumie głębię ludzkich podziałów, nikczemne wykorzystywanie różnic rasowych, religijnych, narodo-wych przez polityków uznał za „bzika” spontaniczne, dobrowolne gromadzenie się ludzi w imię Jedyne-go Boga, choćby różnie pojmowanego. Zięba nie umiał znaleźć racjonalnego wytłumaczenia swoistego daltonizmu, który dopuścił do nazwania „bzikiem” ważnego i pięknego wymiaru papieskiej posługi (oburzył się też na nazywanie Fukuyamy „wariatem” – co przytrafiło się Herlingowi-Grudzińskiemu).

<sup>46</sup> *Tak, taki jestem...*

<sup>47</sup> Zygmunt Hertz, *Listy do Czesława Miłosza 1952–1979*, wybór i opracowanie Renata Górczyńska, Paryż 1992.

<sup>48</sup> *Arkadia wciąż nie opisana...*

<sup>49</sup> Maciej Zięba OP, *W sprawie „bzika”* „Plus-Minus” 5–6 VI 1999.

Dosyć zaskakująca była reakcja pisarza na polemiczny artykuł Zięby. Istotę sporu pominął milczeniem. Dyskusji nie podjął. Poczul się obrażony słowem „postponować” użytym przez Ziębę i domagał się przeproszenia. Radził mu „zaglądać podczas pisania (bardzo szczególnego, w pozycji leżącej krzyżem przed Ojcem Świętym) do słowników”<sup>50</sup>.

Dużo przykrych a ważnych nieporozumień namnożyło się we fragmencie *Dziennika pisanego nocą* 15 maja 1999 roku. Ujawnił w nim Herling-Grudziński swoje uprzedzenia do księdza Alojzego Orszulika. Były one tak silne, że nawet ku własnemu zdziwieniu dał posłuch temu, co mówił o udziale przedstawicieli Kościoła w redagowaniu dekretu o stanie wojennym... Czesław Kiszczał. „Na co mi przyszło” – sam się zadziwił. Wyjaśnił to „starą antypatią do Orszulika”. A także własną intuicją, która mu „podszeptuje, że ręce kościelne maczane we »współredagowaniu« dekretu o stanie wojennym reprezentował głównie ksiądz Orszulik”<sup>51</sup>. Swą antypatią do niego datował od czasu, kiedy to (o czym był przekonany) ksiądz Orszulik wystąpił z pomysłem, by Adama Michnika i Jacka Kuronia usunąć z Polski.

Tę kwestię Herling-Grudziński podjął już kilka lat wcześniej, w 1993 roku:

U schyłku rządów komunistycznych w Polsce nasz domorosły Inkwizytor, ksiądz (dziś biskup) Alojzy Orszulik, zarzucił „diabelską dwulicowość” przywódcom KOR, którzy byli według niego w rzeczywistości trockistami podającymi się za patriotów. I domagał się wyrzucenia Kuronia i Michnika z Polski<sup>52</sup>.

Na ten niezgodny z prawdą zapis zareagował natychmiast Adam Michnik: „W imię szacunku dla jego [tzn. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego] pisarstwa i prawdy w życiu publicznym, oświadczam, że to nieprawda. Biskup Alojzy Orszulik nigdy nie domagał się usunięcia mnie z Polski”<sup>53</sup>.

Jakby zupełnie o tym nie pamiętał, ignorując oświadczenie Michnika, Herling-Grudziński po pięciu latach powtórzył tę samą insynuację. Posługując się przekonującymi argumentami, z powołaniem się na wiarygodnych świadków, cały wywód Herlinga-Grudzińskiego obalił ksiądz Andrzej Luter<sup>54</sup>. Pisarz na to nie zareagował.

Już po jego śmierci wskazano na nieporozumienia odnoszące się do realiów włoskich. Roberto Salvadori znalazł w *Najkrótszym przewodniku po sobie samym*<sup>55</sup> stwierdzenia, które nazwał „nie rezultatem niewiedzy czy nieuwagi, lecz symptomem nonszalanckiego stosunku do rzeczywistości”<sup>56</sup>. Włoski autor trafnie określił tę ułomność Herlinga-Grudzińskiego publicyście, której polscy komentatorzy, zawsze z wielkim respektem odnoszący się do pisarza, nie odważyliby się tak nazwać.

Salvadori zakwestionował prawdziwość opisu sytuacji w Neapolu po drugiej wojnie światowej. Herling-Grudziński przedstawił ją jako zdominowaną przez komunistów i całkowicie przez nich kontrolowaną. I tym warunkom politycznym przypisywał własną izolację w środowisku włoskiej inteligencji tego miasta.

<sup>50</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *W sprawie „bzika”*, „Plus-Minus” 19–20 VI 1999.

<sup>51</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1997–1999)*, Warszawa 2000, s. 296.

<sup>52</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1993–1996)*, Warszawa 1998, s. 153.

<sup>53</sup> „Gazeta Wyborcza” 21–22 1994.

<sup>54</sup> Ks. Andrzej Luter, *Pomyłki pisarza*, „Plus-Minus” 17–18 VII 1999.

<sup>55</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Najkrótszy przewodnik po sobie samym*, opracowanie i przygotowanie tekstu do druku Włodzimierz Bolecki, Kraków 2000.

<sup>56</sup> Roberto Salvadori, *Salatka z muchomorów*, „Gazeta Wyborcza” 22–23 VI 2002.

Według Salvadoriego taka opinia daleko odbiega od rzeczywistości. Wskazał na głęboko w tamtejszym społeczeństwie zakorzenione tradycje monarchistyczne, duże znaczenie chadecji, przez wiele dziesięcioleci trwające panowanie prawicy, sukcesy antykomunistycznego ruchu „Szarego człowieka”.

W czasie opisywanym przez Herlinga-Grudzińskiego rektorem uniwersytetu był liberał, uczeń Crocego, pod którego wpływami pozostawała najlepsza część neapolitańskiej inteligencji w tamtych latach; cała prasa lokalna była centroprawicowa, a najistotniejsze instytucje obywatelskie i kulturalne miały orientację katolicką i liberalną.

Powodem „bolesnej izolacji” odczuwanej przez przybyłego do Neapolu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego nie byli, jak on utrzymywał, komuniści, ale raczej jego „ociężałość w nawiązywaniu i utrzymywaniu stosunków z ludźmi”. Użył tu cytatu ze zwierzenia samego pisarza, który pod datą 27 XI 1972 sam przyznawał, że nie doszło do ważnego spotkania z powodu jego „ociężałości w nawiązywaniu i utrzymywaniu stosunków z ludźmi”<sup>57</sup>.

Salvadori odrzucał obraz powojennych Włoch przedstawiony przez Herlinga-Grudzińskiego. Mimo że we Włoszech była najsilniejsza na Zachodzie partia komunistyczna, a lewicowi intelektualiści odznaczeni dużą aktywnością, to jednak powojenne Włochy były krajem demokratycznym i pluralistycznym, w którym spotykały się i ścierały najbardziej różnorodne idee – katolickie, liberalne, marksistowskie. „Krajem, którego instytucje kulturalne i produkcja kulturalna przez długie lata znajdowały się pod chadecką hegemonią”.

Herling-Grudziński uskarżał się również na brak krytycznego odzewu na ukazanie się włoskiego przekładu *Innego świata* (*Un mondo a parte*, Bari 1958). Milczenie wokół książki przypisywał zмовie wszechpotężnych komunistów włoskich przeciwko niemu. Salvadori wyjaśniał, że Herling-Grudziński nie był tu wyjątkiem. Podobne milczenie otaczało książkę Primo Leviego *Czy to jest człowiek*. Brak żywszej reakcji na ukazanie się takich pozycji tłumaczył ówczesnym stanem świadomości społecznej, względami psychologicznymi, zmęczeniem relacjami o okrucieństwach popełnianych w stalinowskich i hitlerowskich obozach, niechęcią do tego rodzaju tematów, wypychaniem jej ze świadomości.

Poglądy Salvadoriego poparł Marcello Flores<sup>58</sup>. To, co Herling-Grudziński przedstawił jako izolowanie jego osoby i dzieła pod wpływem komunistów, wyjaśniał czytelnictwem obojętnością na ukazanie się jego książki. Wprowadził też ważne sprostowania do relacji pisarza do wydania utworów Wałłama Szalamowa, które miały ukazać się z jego wstępem.

Wydawca turyński Luigi Einaudi zaproponował Herlingowi-Grudzińskiemu napisanie obszernej przedmowy do pełnej edycji *Opowiadań kołymskich* Wałłama Szalamowa. Ten podsunął pomysł, przyjęty przez wydawcę, by przedmowa miała formę rozmowy z włoskim rusycystą.

Po pewnym jednak czasie wydawca zrezygnował z przedmowy Herlinga-Grudzińskiego, co ten przypisał politycznym motywom, jakimi się kierował Einaudi. Powodu odrzucenia wstępu upatrywał w pojawieniu się w nim sformułowania *gemelli totalitari* (bliźnięta totalitarne – komunizm i nazizm)..

<sup>57</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1971–1972)*, Warszawa 1990, s. 173.

<sup>58</sup> Marcello Flores, „Trudne związki”, „Gazeta Wyborcza” 22–23 VI 2002.

Co było powodem odrzucenia wstępu? Powtórzone w nim określenie *gemelli totalitari*. Nie byli go w stanie przełknąć spadkobiercy włoskiego „księcia wydawców”, jak nazywano powszechnie Einaudiego, który za dawnych komunizanckich czasów planował luksusową edycję *Pism zebranych...* Żdanowa<sup>59</sup>.

Marcello Flores wyjaśniał, że tu nie zadziałała żadna cenzura. Tekst przedstawiony przez Herlinga-Grudzińskiego okazał się nie na miejscu jako wstęp do pełnego zbioru utworów jednego z największych pisarzy XX wieku. Herling-Grudziński mówił w nim o sobie, o swojej książce, o jej perypetiach, i to na stronach, które miały być poświęcone innemu wielkiemu świadkowi Gułagu. Było to nie do przyjęcia i wydawnictwo „wykluczyło bardzo przedawniony i osobisty tekst Herlinga, żeby nie »spalić« dzieła, którego ponadczasowa wartość kwalifikuje je do pozostania na zawsze na półkach i w bibliotekach”<sup>60</sup>.

Do tej wymiany informacji wtrącił się również Czesław Miłosz<sup>61</sup>. Potwierdzał, że przedmowa do dzieł Szalamowa została odrzucona, bo Herling-Grudziński za dużo w niej mówił o niedocenianiu *Innego świata*.

\* \* \*

W przemówieniu na uroczystości nadania mu doktoratu honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego (było to już na parę miesięcy przed jego śmiercią) Gustaw Herling-Grudziński, myśląc także o sobie (albo nawet przede wszystkim o sobie), mówił o „podwójnym życiu pisarza”. Skazuje go na nie sytuacja historyczna, w jakiej mu żyć przyszło. Jedno jego życie – to piękne pisanie utworów literackich, uprawianie sztuki z całym umiłowaniem i oddaniem się temu dziełu. Drugie – to nieunikanie zaangażowania w ważne sprawy jego współczesności, uprawianie również publicystyki. Herling-Grudziński prowadził to „podwójne życie pisarza”<sup>62</sup>.

Stwierdzić trzeba, że to „pierwsze pisanie”, tworzenie pięknej prozy literackiej udało mu się. „Drugie – uwikłanie w publicystykę” obfituje w potknięcia i wpadanie w pułapki. Kilka jest przyczyn tych niepowodzeń: znajomość kraju i jego problemów tylko z oddalenia, nadmierna skłonność do ulegania własnym uprzedzeniom, które niekiedy przysyłają ewidentne fakty, a także zbytne zawierzenie nieobiektywnym przewodnikom po polskich przestrzeniach. I chociaż „pierwsze pisanie” wzbudza zachwyt, nie można nie powiedzieć prawdy o „pisaniu drugim”. *Amicus Plato...*

<sup>59</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą (1997–1999)*, s. 315.

<sup>60</sup> Marcello Flores, „Trudne związki”.

<sup>61</sup> Czesław Miłosz, *Bezdomność prawdy*, „Gazeta Wyborcza” 29–30 VI 2002.

<sup>62</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Moje podwójne życie pisarza*, „Plus-Minus” 13–14 V 2000.

## „Zdaje się Mickiewicz mnie powali”

W wykładzie inauguracyjnym Polski Uniwersytet za Granicą w Paryżu, jesienią 1939 roku, Jan Lechoń wskazywał na związek nowych uchodźców z Polski z tradycją polskiego romantyzmu i Wielkiej Emigracji XIX wieku. Wkrótce miał te myśli powtórzyć, kiedy i z Francji przyszło uchodzić przed hitlerowską nawałą. Okazją było otwarcie Polish Institute of Arts and Sciences w Nowym Jorku, w 1942 roku:

Mimo całej niemożliwości porównania nas z Wielką Emigracją Listopadową poczułem, że jesteście przecież jej dziedzicami, że przedstawiamy kulturę, której blask [...] w czas romantyczny szedł na pół Europy, że mamy przed sobą wielkie zadania, a przeliczywszy się dobrze, można by powiedzieć, że jesteście zdolni je podjąć<sup>1</sup>.

W komentarzu do tego spotkania, w którym m.in. brali udział: Oskar Halecki, Bronisław Malinowski, próbował Lechoń oddać towarzyszący zebraniom w tej szczególnej chwili stan podniosłych emocji: „Przeszedł po nas dreszcz, jaki budzą tylko wielkie historyczne, łączące cały Naród chwile. [...] Poczuliśmy się wdzięcznymi braćmi naszych żołnierzy, wygnańcami z najbardziej bohaterskiego kraju i dziećmi Wielkiej Emigracji”<sup>2</sup>.

W artykule *Peguy i Mickiewicz*, pisany już w Stanach Zjednoczonych, Lechoń ujawnił, z jakim to pomysłem nosił się na parę miesięcy przed wyjazdem z Paryża, gdy mogło się wydawać, że Francja stawi czoła Niemcom, a wygnańcy z Polski przez pewien czas tworzyć będą polityczne i kulturalne środowisko w jej stolicy. Wówczas właśnie nadeszła chwila, w której Lechoniowi się zdawało, że to jest właśnie moment, w którym, po dziesięcioletnim pobycie dyplomatycznym we Francji, będzie mógł zrobić najlepszy użytek dla Polski z nabytego doświadczenia, znajomości, zawartych we Francji przyjaźni. Podjął się wydawania – podobnie jak kiedyś Adam Mickiewicz – pisma w języku francuskim, które mówiłoby o polskiej sprawie artykułami różnych, nie tylko polskich, wybitnych autorów. Miał to być miesięcznik, ale o tym samym, mickiewiczowskim tytule: „La Tribune des Peuple”:

Nikły rezultat tych pięknych zamiarów pozostał w Paryżu i może będzie kiedyś odkryty jako jedna z rzadkości bibliograficznych pod postacią grubego, niezbroszuowanego jeszcze tomu, na którego szarej okładce widniała czarna sylwetka Mickiewicza według sztuchu Oleszczyńskiego i napis ułożony literami z epoki „La Tribune des Peuples”<sup>3</sup>.

---

<sup>1</sup> Jan Lechoń, *Wygnańcy*, „Tygodniowy Przegląd Literacki Koła Pisarzy z Polski” 1942, nr 22. Por. Stanisław J. Kowalski, *Jan Lechoń jako redaktor i publicysta w okresie nowojorskim*, Lublin 1996.

<sup>2</sup> Tamże.

<sup>3</sup> Jan Lechoń, *Peguy i Mickiewicz*, „Tygodniowy Przegląd Literacki Koła Pisarzy z Polski” 1942, nr 26.



Samo sięgnięcie po ten tytuł określał Lechoń jako zuchwalstwo. Tłumaczył się więc z niego przekonaniem, że właśnie ta i jedynie ta nazwa zdoła wymownie Polakom i cudzoziemcom narzucić myśl o odwiecznym związku sprawy Polski ze sprawą wolności innych narodów i przypomnieć rolę Polaków w dziele wyzwolenia ludów.

Niestety, do dziś nie udało się odnaleźć tego „białego kruka” wydanego staraniem i z inicjatywy Lechońa przy pomocy jego francuskich przyjaciół. Niemniej Lechoń pisze o pierwszym numerze tego miesięcznika, jako o czymś już w zasadzie zrealizowanym. Pozostało tylko opracowanie go introligatorsko, na co już brakło czasu wobec tak szybkiej kapitulacji Francji.

Mimo że nie dysponujemy owym zbroszowanym zeszytem Lechońowej „Trybuny Ludów”, wiemy, jaka była jego zawartość, bo Lechoń o niej informuje w przekonaniu o jej aktualności. Z własnego, wstępnego artykułu musiałby odrzucić tylko parę zdań odnoszących się do Francji, a z tekstu Henri Gregoire’a – do Belgii, gdyż, nieco tylko późniejsze, zdarzenia zmieniły położenie tych krajów i narodów. Pozostałe materiały zachowały nader dużą aktualność: Paula Claudela *Polska i Pismo Święte*, François Mauriac *Myśli o Polsce*, Edgara Mowrera *Wielki paradoks amerykański*, Stanisława Strońskiego *Konstytucja 3-go Maja*, Mariana Kukiela *Pisarstwo o Napoleonie*, Marii Kuncewiczowej *Moja stróżka z Warszawy* (fragment powieści), Stanisława Brzozowskiego *Bergson i Sorel*, Daniela Halevy’ego *Charles Peguy* i jego *Cahiers de la Quinzaine*.

W pierwszym odczycie wygłoszonym w Bibliotece Polskiej w Paryżu, zajął się Lechoń tradycją i nowością w literaturze polskiej, by uwydatnić szczególne w niej miejsce Adama Mickiewicza, w którego twórczości znajdował pełną harmonię między tymi dwiema tendencjami, co – w odbiorze i interpretacji Lechońa – znaczyło harmonię między tym, „co było zawsze w duszy polskiej, co było dziedzictwem historii i dawnej poezji z największym porywem do nowości, do przemiany”<sup>4</sup>.

Okupowanie Polski przez niemieckich zaborców i położenie kolejnych wygnańców polskich, którzy musieli z ojczyzny emigrować, powodowały, że Lechoń zwracał szczególną uwagę na narodowe wartości zawarte w dziele poety. Zdaniem Lechońa przedmickiewiczowscy poeci wyrażają „coś czasem polskiego”<sup>5</sup>, ale nikt z nich nie wydobywa najwyższych polskich możliwości. Czyni to dopiero Mickiewicz, który był osobowością o wielkiej mocy duchowej, jaka sprawiła, że największą siłą podbitej Polski stała się jej literatura, odgrywająca dużą rolę również w życiu politycznym<sup>6</sup>. To właśnie Adam Mickiewicz literaturze związanej z narodem nadał „nieprześcigniony szczyt jej powagi, jej patosu, jej niezbędności dla narodu, jej prawdziwej polskości”<sup>7</sup>. Dlatego, porównując rolę Mickiewicza w literaturze polskiej z rolą Racine’a w literaturze francuskiej, dochodził Lechoń do tezy, że tak jak francuski dramaturg mógł powiedzieć o sobie „Ja i Francja – to jedno”, tak Adam Mickiewicz mógł rzec: „Ja i Polska – to jedno”, bowiem przez „sam wiersz, sam swój język, sam rodzaj swego czucia” wyrażał „całą Polskę, wszystko, co polskie”<sup>8</sup>.

Syntetyczny skrót własnej wizji Mickiewicza i jego miejsca wśród rodaków zawarł Lechoń w przedmowie do londyńskiego wydania Mickiewiczowskiej poezji z 1946 roku.

<sup>4</sup> Jan Lechoń, *O literaturze polskiej*, Warszawa 1993, s. 11.

<sup>5</sup> Tamże.

<sup>6</sup> Zob. Jan Lechoń, *Wielki obowiązek*, „Tygodniowy Przegląd Literacki Koła Pisarzy z Polski” 1942, nr 21.

<sup>7</sup> Jan Lechoń, *O literaturze polskiej*, s. 11.

<sup>8</sup> Tamże, s. 12.

Godne uwagi jest to, że do Lechonia właśnie o ten wstęp się zwrócono, widząc w nim najwłaściwszego przedstawiciela emigracyjnej wspólnoty w czasie, gdy najważniejszą w niej rolę odgrywało środowisko londyńskie. Lechoń czuł tę swoją pozycję i napisał przede wszystkim o tym, kim Mickiewicz był i jest dla polskiego narodu, głęboko przeświadczony, że „mogą przyjść jeszcze nie wiedzieć jak wielcy poeci polscy – nikt nie może się zjawić, kto byłby tym dla narodu, czym dla niego był i jest Mickiewicz”<sup>9</sup>.

Próbował to uzasadnić, ogólnikowo wprawdzie, ale w sposób dopuszczalny w zarzysowym postawieniu problemu, do którego miał jeszcze wielokrotnie powracać. Tym mianowicie, że Mickiewicz wyraża „cały ten świat tak trudny do określenia a tak niewątpliwie odrębny od innych, który nazywamy polskością”, że w jego biografii i twórczości „zamknęła się bez reszty dusza narodowa, jej wzniosłość tak samo jak jej codzienność”<sup>10</sup>.

Wśród najwyższych artystycznych osiągnięć Mickiewicza stawiał Lechoń *Pana Tadeusza* i *Dziady*. W pierwszym z wymienionych utworów wyraził Mickiewicz polskość taką, jaką zastał, jaka była w znanej mu rzeczywistości. Utworem tym poruszył i porusza nadal utajone w Polakach emocje. Na wygnaniu zastępuje im ojczyznę, przenosi wyobraźnię do kraju, wywołuje najbliższe, rodzime obrazy.

W *Dziadach* natomiast znajdował Lechoń ukazanie nieosiągalnych jeszcze dla polskości, ale dostępnych dali, przyszłościowych wielkich perspektyw, drogi dojścia do wielkości. „Przed Mickiewiczem nie było Konradów i Mickiewicz stworzył Polskę Konrada, stworzył mit poświęcenia za Ojczyznę, za wielką sprawę, mit człowieka, który wyrzeka się swego szczęścia, aby kochać za miliony”<sup>11</sup>. Ze względu na *Dziady* porównywał Lechoń rolę Mickiewicza wobec narodu polskiego z tą, jaką odegrał wobec narodu niemieckiego Goethe, a włoskiego Dante. Ale za niezwykle, nieznajdujące odpowiedników w innych literaturach uznał to, że Mickiewicz, który napisał i *Pana Tadeusza*, i *Dziady* był zarazem Homerem i Dantem swojego narodu.

Lechoń był wielkim miłośnikiem teatru, związanym z nim od dzieciństwa. Patrzył na świat przez pryzmat teatralnych wizji. Teatr był dla niego tym szczególnym a niezwykle ważnym terenem, na którym przypominały o sobie mity, a wyrażające je postacie – jak wywoływane z przeszłości i podświadomości duchy – wchodziły w tajemny związek z żywymi uczestnikami teatralnego misterium, siedzącymi na widowni. Arcydziełom dramatycznym przypisywał szczególnie ważne miejsce i rolę w polskiej tradycji kulturalnej. Powoływał się na rangę i znaczenie *Dziadów*, *Nie-Boskiej*, *Samuela Zborowskiego*, *Fantazego*, *Zemsty*. W wielkiej dramaturgii kreowały się polskie mity narodowe. Aby stały się mitami, „muszą one w duszy narodu znaleźć rację i siłę istnienia, moc odradzania się, muszą być potrzebą zbiorowego życia, symbolizować wspólne narodowi instynkty czy tęsknoty”<sup>12</sup>. Jednym z największych mitów narodowych stał się mit Konrada, nieprzetłumaczalnie polski, bo ściśle związany z przemianami polskich losów.

Z wyraźną skłonnością do idealizowania własnego narodu Lechoń-wygnaniec pisał o tym, jak to Mickiewicz, zamieniwszy celę bazylikańską w przestrzeń międzyplanetarną, uczynił z Polaków naród, „który w każdym wielkim zdarzeniu historii rządzi się instynktem wyższej moralności, patrzy daleko poza doraźne korzyści”<sup>13</sup>.

<sup>9</sup> Jan Lechoń, *Mickiewicz*, „Tygodnik Polski” 1946, nr 24.

<sup>10</sup> Tamże.

<sup>11</sup> Tamże.

<sup>12</sup> Jan Lechoń, *O literaturze polskiej*, s. 71.

<sup>13</sup> Jan Lechoń, *Mickiewicz wczoraj i dziś*, „Tygodnik Polski” 1945, nr 20.

Mit narodowy, tak jak pojmował go Lechoń i jak w *Dziadach* powołał go do życia Adam Mickiewicz, żyje; dzięki polskiej scenie, gdzie wchodzi w kontakt z kolejnymi pokoleniami Polaków, jest obecny w kolejnych, wyrażających ich istotne doświadczenia utworach dramatycznych. Jest Konrad z Mickiewiczowskich *Dziadów*, i jest Konrad z *Wyzwolenia* Wyspiańskiego, który jest zarówno kontynuacją tamtego, jak i jego przetworzeniem, buntem przeciwko niemu. Te mity, przeplatające się i uzupełniające wzajemnie kierują postawami żyjących, decydują o ludzkich losach, jak o losie Józefa Węgrzyna, który „tak wierzył słowom Mickiewicza, że zagrał nawet więcej, niżli było w roli”<sup>14</sup>. Został aresztowany przez gestapo i kilka miesięcy spędził na Pawiaku. Jemu to właśnie Lechoń przypisał wiersz *Ostatnia scena z „Dziadów”*, jeden z tych, które pokazują, jak Lechoń pojmował nieśmiertelność polskich mitów narodowych spotykających się na scenie wielkiego polskiego teatru

Jako wcielenie postawy Konrada jawi się Lechoniowi również Tadeusz Żeleński-Boy, ten pełen pasji inicjator kampanii antybrązowniczej strącającej z piedestałów romantyczne pomniki wznoszone przez „polonistykę od pana Zagłoby”, zamordowany przez Niemców. W wierszu *Duch Boya* pisał o nim Lechoń:

Ty jeden, jak to dziwne, spośród nas tak wielu,  
Coś strzegł się słów podniosłych jak skazy, co plami,  
Ty najmniej patetyczny, drogi przyjacielu,  
Jesteś właśnie, jak Konrad, za pan brat z duchami<sup>15</sup>.

Nową i niezwykle dobitną aktualność nadała mitowi Konrada druga wojna światowa, okupacja Polski i kolejna fala emigracji. Lechoń, który kiedyś pragnął wyzwolić się z konradowskiej tradycji, głosił radość wyzwolenia się z niej, powrócił do Konrada w kolejnych tragicznych dniach ojczyzny:

I oto widzimy dzisiaj, że Konrad jest znów w okowach, że otaczają go znów zjawy i maski, wabią cienie, że w grobach wawelskich idą jakieś rozmowy, że te maski i cienie chcą mówić, przeklinać, wzywać pomocy, że chcą znów od Konrada pociechy, rady i nadziei. Widzimy, że uczyniwszy wszystko, by wyzwolić się spod największej tradycji naszej literatury, jesteśmy znów bardziej niż kiedykolwiek w jej kręgu. I bardziej, niż kiedykolwiek, rozumiemy, że trzeba znów słuchać wielkich poetów i pisarzy, wyrabiać sobie słuch na ich tajemniczą mowę, umieć odróżnić fałszywe dźwięki od prawdziwych, prawdziwą nowość od nowinek i od trującego echa grobów – potężny, wieszczy głos przeszłości<sup>16</sup>.

Nie *Improwizację z Dziadów* drezdeńskich stawiał Lechoń najwyżej. W wielkim wybuchu uczucia dostrzegał raczej moment słabości poety. Mickiewicz był dla niego tam największy, gdzie dotykał realnej rzeczywistości: w scenach *Salon warszawski* i *Bal senatora*.

Polski Teatr Artystów w Nowym Jorku przedstawił program składający się z fragmentów *Dziadów* i *Warszawianki*. W recenzji z tego spektaklu Lechoń krytycznie ocenił nadmierne, górnolotne poetyzowanie w przekazywaniu słów Mickiewicza, który był

<sup>14</sup> Jan Lechoń, *Poezje*, opracował i wstępem opatrzył Roman Loth, Wrocław 1990, s. 72.

<sup>15</sup> Tamże, s. 90.

<sup>16</sup> Jan Lechoń, *O literaturze polskiej*, s. 24.

„genialnym realistą i boski wiersz jego nawet w najwznioślejszych dysputach z zaświatem drga krwią ludzkiej miłości i cierpienia”<sup>17</sup>.

Nie zaskakuje więc, że z oburzeniem przyjął Lechoń słowa Witolda Gombrowicza o sielankowości Mickiewiczowskiej poezji. Zdenerwowany zanotował w *Dzienniku*, że trzeba by, parafrazując słowa, które Szymon Askenazy odniósł do Jana Nepomucena Millera, napisać: „Pan Witold Gombrowicz jest zgoła o tych czasach i ludziach wiadomością nie obciążony”<sup>18</sup>. Na tych, opanowanych słowach nie poprzestał. Nieco dalej wyładował swoje emocje: „Konieczne porąbać tego Gombrowicza. Sielankowy Mickiewicz! To znaczy – sielankowe *Dziady*. Czy taki czterdziestoletni gówniarz naprawdę nie rozumie, że to jest tak samo głębokie jak Dante”<sup>19</sup>.

W Konradzie znajdował Lechoń znak postawy Polaka, mit stworzony przez Mickiewicza i przez jego *Dziady*, mocno wpisany w świadomość narodową, odmienną od tego czasu niż w dobie przedmickiewiczowskiej. *Pan Tadeusz* natomiast był symbolem Polski, jej pejzażu, obyczajów, historii, ludzi. Stał się również doniosłym faktem społecznym, nieodłączną częścią narodowego życia, „jedną z podstaw jego duchowego istnienia i odrębności”<sup>20</sup>.

Pisząc te słowa, wyrażał Lechoń przede wszystkim nastroje panujące wśród powojennych emigrantów, którym układy jałtańskie zamknęły drogę do kraju. Toteż podkreślał, że zwłaszcza dla wygnańców ważna i bliska jest wszechobecność Polski w *Panu Tadeuszu*. „W nim naród wyraził się zupełnie i bez reszty. I niezależnie od tego, jaka będzie Polska po wojnie, poemat ten dla każdego Polaka będzie symbolem jego narodu, poematem narodowym”<sup>21</sup>. Polskości właśnie dopatrywał się Lechoń we wszystkich szczegółach *Pana Tadeusza*; w wierszu, w obrazach wschodu i zachodu słońca i księżyca, w scenach polowania i grzybobrania, w bigosie, w grzybach, w pasie słuckim, w modlitwie. Również w hierarchii wartości wyznaczonej drogą bohatera od grzechu do świętości. Mickiewicz, jak Homer ogarnia cały naród, wraz z jego codziennym życiem. I tu Lechoń brał w obronę *Pana Tadeusza* przed tymi (współczesnymi Mickiewiczowi i znacznie późniejszymi), którzy, pomniejszając rangę dzieła, chcieliby sprowadzić je do poziomu „poematu biologicznego”, w którym obrazy szczegółów życia podane są w sposób wręcz naturalistyczny. Dla Lechonia *Pan Tadeusz* należy do poezji czystej, gdyż wszystko w nim jest nie tylko realistyczne, lecz nabiera znaczenia symbolicznego, metafizycznego, odwołuje się do podświadomości polskiego czytelnika, jego wspomnień, pamięci, wzruszeń, żalów, bólów. Nabiera wielorakiego sensu:

*Pan Tadeusz* jest poezją czystą – najczystsza [...]. Symbolika, ów najgłębszy sens rzeczy [...] zawarty jest w doskonałym zestawieniu słów, w muzyce ich płynącej z wycucia ducha języka, w lakonicznie niedościągłym, w czymś, na co nie ma żadnych przepisów, a co jest właśnie tajemnicą geniuszu<sup>22</sup>.

Lechoń był wielkim miłośnikiem malarstwa. Wrażliwości na barwę i kompozycję obrazu dowodzi nie tylko jego poezja, poczynając od lat wczesnego debiutu, ale rów-

<sup>17</sup> Jan Lechoń, *Cudowny świat teatru*. Artykuły i recenzje 1916–1962. Zebrał i opracował Stanisław Kaszyński, Warszawa 1981, s. 400.

<sup>18</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, Warszawa 1993, s. 147.

<sup>19</sup> Tamże, s. 148.

<sup>20</sup> Jan Lechoń, *Mickiewicz wczoraj i dziś*, „Tygodnik Polski” 1945, nr 20.

<sup>21</sup> Tamże.

<sup>22</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 2, Warszawa 1992, s. 12–13.

niez liczne zapiski w *Dzienniku* świadczące o częstych odwiedzinach w nowojorskich galeriach i muzeach sztuki oraz o wzruszeniach estetycznych poety z nich wynoszonych. Chcąc oddać doskonałość poematu Mickiewicza, zanotował: „*Pan Tadeusz* to jest w pewnym sensie Vermeer poezji”<sup>23</sup>. A z polskiej sztuki malarskiej porównywał ten poemat do obrazów Józefa Chełmońskiego. Notabene temu artyście poświęcił wiersz *Chełmoński*, nasycając dwie czterowersowe strofy realiami polskiej ziemi, w przypływie wielkiej tęsknoty do Polski. Tego artystę cenił właśnie za „prawdziwe jasnovidzenie polskiego pejzażu i nabożeństwa do niego niczym Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*”<sup>24</sup>. W obrazie *Kościuszek pod Raclawicami* jego uwagę zatrzymują nie modlący się chłopcy, nie – w pewnym oddaleniu – Tadeusz Kościuszek ze sztabem, co było zapewne najważniejsze dla artysty-malarza. Dla Lechonia w tym obrazie najważniejszy jest wschód słońca: „Ten fiolet poranku w obrazie Chełmońskiego daje mu właśnie ową niepowtarzalną, polską wsiową świętość. To nie historia tragiczna jak u Matejki – to wielki liryczny poemat, duszący za gardło. Cała Polska jest w tym, jak w *Panu Tadeuszu*”<sup>25</sup>. Był on dla Lechonia „gigantycznym poematem zgody na istnienie”, stworzonym w wieku, „w którym polskość dojrzała do swej pełni”<sup>26</sup>.

Mówiąc tak dużo o polskości dzieł Mickiewicza Lechoń poświęcił też uwagę jego pochodzeniu. W paryskim odczycie, o którym już była mowa, wspomniawszy o matce poety, która wywodziła się z kręgu frankistów, którzy przyjęli chrzest w końcu XVIII wieku. Krytycznie odniósł się do uniwersyteckiej polonistyki, która bez ostatecznego zbadania tej kwestii, odrzucała ją lub pomijała milczeniem. W Nowym Jorku rozmawiał o tym z Wiktorem Weintraubem, z Abrahamem Dukarem. Potwierdzali oni żydowski rodowód matki poety. W tym znajdował Lechoń wyjaśnienie niektórych zagadek *Dziadów* – zainteresowanie Mickiewicza *Starym Testamentem*, *Kabala* („uprzykrzone 44”), jego kompleks żydowski, a także wahania między uznaniem posłannictwa Towiańskiego a poczuciem swego wybrania<sup>27</sup>.

*Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* przedstawiały się Lechoniowi jako wyraz jeszcze jednego wysiłku Adama Mickiewicza, podjętego w celu przeciwdziałania dobrze również Lechoniowi znanemu schorzeniu emigracji i emigrantów polskich, pogrążonych w jałowych sporach, w „potępieńczych swarach” – użył Lechoń w tym kontekście słów z epilogu *Pana Tadeusza*. „Wielkim profesorem i niezrównanym publicystą” nazwał Lechoń Mickiewicza z powodu jego wykładów o literaturach słowiańskich i artykułów w „Trybunie Ludów”.

Bardzo krytycznie natomiast odniósł się do okresu, w którym poeta znajdował się pod wpływem Andrzeja Towiańskiego i ulegał mistycyzmowi. W publicznych wystąpieniach nie poświęcał tym kwestiom wiele uwagi. Chyba je z całą świadomością przemilczał. Ale w swobodnym zapisie dziennikowym nie omieszkał wspomnieć o głupstwach, które Mickiewicz „plótł w opętaniu mistycznym – w zamroczeniu umysłu i talentu”<sup>28</sup>.

Kiedy z początkiem 1955 roku, przygotowując się do wystąpień i prac o Mickiewiczu w związku z rokiem jubileuszowym, w stulecie śmierci poety, pogrążył się w lekturze jego listów, przerywał ją z uczuciem, które ilustruje poniższy zapis w *Dzienniku*:

<sup>23</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1, Warszawa 1992, s. 230–231.

<sup>24</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 2, s. 51.

<sup>25</sup> Tamże, s. 69.

<sup>26</sup> Jan Lechoń, *O literaturze polskiej*, s. 13.

<sup>27</sup> Zob. Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 2, s. 450 i 456 oraz t. 3, s. 773–774.

<sup>28</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1, s. 203.

Listy Mickiewicza z czasów Towiańskiego czytam po nie wiem który raz ze ściśniętym sercem – chwilami ze wstrętem. Jest w nich komizm mimowolny, który ma coś przerażającego, który nas śmieszył w misteriach Julka Osterwy z jego redutowcami, ale który ma coś przerażającego, gdy się pomyśli, że to były praktyki, myśli i słowa Mickiewicza. Niewątpliwie ten okres był czasem zaćmienia jego umysłu, zaćmienia, co do którego należałoby pytać zdania nie tylko psychiatrów, ale i teologów. To zaćmienie w pewnej chwili przeszło właśnie jak wariacja i inne listy pisał już inny człowiek, człowiek wolny i chwilami i w życiu naprawdę wielki<sup>29</sup>.

W bilansie słabych i mocnych stron politycznego programu Mickiewicza i jego działalności, po stronie tych pierwszych umieszczał Lechoń przede wszystkim mistycyzm, sekciarstwo, mesjanistyczne pojmowanie historii i misji dziejowej Polski, uznanie siebie za człowieka wybranego przez Boga, wiarę romantyka w zrealizowanie rzeczy niemożliwych, uwikłanie się w polityczne sprzeczności. Znacznie więcej znajdował po stronie aktywów: wyzwolenie się z mistycznego zamroczenia, trafną ocenę ludzi, organizowanie funduszy dla Legionu, odgrywanie roli mediatora w emigracyjnych sporach, autorytetu wśród emigrantów, szlachetność myśli, nawiązanie do chrześcijaństwa, prezentowanie zasady prymatu wartości moralnych w kulturze europejskiej, podejmowanie wspólnych działań na rzecz ciemnionych ludów Europy, przedstawianie piśmiennictwa wszystkich Słowian, dobra znajomość Rosji, pionierskie (w stosunku do pisarzy europejskich) zwrócenie się ku kulturze amerykańskiej, ku filozofii Emersona. I wreszcie uczynienie z emigracji szczególnego posłannictwa dla dobra Polski.

Wstrząs wywołany wojną i wygnaniec doświadczenie sprawiło, że zarówno sam Lechoń, jak i odbiorcy jego tekstów inaczej niż przed wrześniem 1939 roku przyjmowali takie słowa, jak „ojczyzna”, „poświęcenie”, „bohaterstwo”, „bracia”, „rodacy”, „polskość”. Nacechowane patosem byłyby pewno odrzucone w innych warunkach również przez Lechonia. W świetle jednak doświadczeń drugiej wojny światowej i jej konsekwencji dla losów Polski, wszystkie te pojęcia trafiały do wyobraźni emigrantów, poruszały ich emocje. Toteż i Lechoń bez ograniczeń stosował styl patetyczny, własną przykładając miarę do psychiki wyobrażonych czytelników. I pisał o aktualności Mickiewicza dla powojennych emigrantów: „Mickiewicz to nie tylko największy poeta całego naszego narodu – to także nasz, wygnańców, starszy brat, nasz nieszczęsny ojciec w wygnaniu i tęsknocie”<sup>30</sup>. Stwierdzał pośmiertne zwycięstwo poety polegające na niezwykłym odrodzeniu jego myśli i sztuki, która teraz skutecznie dodawała otuchy i nadziei Polakom skazanym na oddalenie od ojczyzny przez drugą wojnę światową i układy jałtańskie.

Z innej też niż przed laty perspektywy patrzył na siebie i swych przyjaciół skamandrytów z okresu, gdy grupa, świeżo uformowana wносиła własny wkład do polskiej poezji. Teraz wyraźniej widział, jak on sam, a także Julian Tuwim i Antoni Słonimski mieścili się w dziedzictwie określonym zarówno przez *Dziady*, jak i przez *Sonet y krymskie*, w dziedzictwie Mickiewicza, który był i romantykiem, i klasykiem. Łączyła ich z nim precyzja, jasność myśli, ścisła forma, którą lekceważyła Młoda Polska, zwłaszcza jej liczni twórcy drugoplanowi<sup>31</sup>.

Ślady wpływu Mickiewicza znajdował w emigracyjnej twórczości Stanisława Balińskiego, Mariana Hemara, Jana Rostworowskiego, Antoniego Słonimskiego, Kazimierza Wierzyńskiego i w poezji tworzonych przez żołnierzy II Korpusu.

<sup>29</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, s. 551–552.

<sup>30</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, s. 613. Por. Jan Lechoń, *Mickiewicz wczoraj i dziś*.

<sup>31</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, s. 505.

Powotywał się Lechoń na Mickiewicza, gdy chciał wywołać u współemigrantów pożądane przez siebie postawy i sposób myślenia o współczesnych problemach politycznych Europy. Odwoływał się wówczas do jedności słowiańskiej, gdy wzywał do polsko-czeskiej zgody tak mocno zachwianej sprawą Zaolzia, o której pisał z poczuciem polskiej winy<sup>32</sup>.

Przywoływał też Mickiewicza, jego biografię i twórczość, gdy upominał się o Wilno, które jego zdaniem powinno pozostać w granicach Polski; jest ono bowiem, także dzięki Mickiewiczowi, jej symbolem<sup>33</sup>.

Bardzo mocno się angażował w różne przygotowywania związane z setną rocznicą śmierci poety. Z dwuletnim wyprzedzeniem zaczęto mówić o niej w kręgu emigrantów. Jak sobie to wyobrażał Lechoń, pokazuje fragment jego *Dziennika* pisany ostatniego dnia 1953 roku:

Stulecie Mickiewicza, o którym dziś mówimy w Instytucie Naukowym, powinno wreszcie pokazać światu, czym był romantyzm polski i czym mógł stać się dla świata, gdyby Mickiewicz był tak znany jak Dostojewski. Pisałem tu i mówiłem o tym już do znudzenia, że Mickiewicz jest bardziej aktualny niż najkrzykliwsi młodzi, którzy nie mogą wyrażać naszej epoki, bo w ogóle nie żyją żadną. Trzeba dać na ten rok jubileuszowy najświetniejsze, jakie można, przekłady Mickiewicza na angielski i francuski i książkę o Mickiewiczu – którą by czytali wszyscy. Trzeba zrobić *l'impossible*, aby *Dziady* zagrano w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku. Starać się nawet o marki francuskie – Mickiewicz, Michelet i Quinet – i amerykańskie z Mickiewiczem. Wiemy to z paryskich i innych doświadczeń – tyle samo trzeba starać się o rzeczy pierwszej klasy, co o dziesięciorderne. Dlatego wszystko trzeba robić na największą skalę. Uważam to za dobrą wróżbę, że zaczynamy ten rok takim wielkim projektem<sup>34</sup>.

Nie wszystko z tych rozległych zamiarów udało się zrealizować. Odnotować należy bezpośredni wkład Lechonia. Przygotował artykuł *Mickiewicz w poezji polskiej* do zbiorowej książki wydanej w języku angielskim pod redakcją Wacława Lednickiego<sup>35</sup>. W artykule tym, opublikowanym w języku polskim już po śmierci Lechonia w londyńskich „Wiadomościach”, przedstawiał Mickiewicza jako twórcę, jednego z prawdziwych w całych dziejach literatury powszechnej, który

w dziele swym [...] wypowiedział i wcielił duszę narodu [...], usymbolizował posiadaną przez ten naród ziemię, jego historię, obyczaj i charakter, [...] wydobyl z podświadomości narodowej śpiące w niej pragnienia, powołał do rozwoju złożone w niej, a nie znane dotąd możliwości i który w ten sposób przekroczył zaklęty krąg sztuki, aby stać się jednym z twórców historii, jednym z prawdziwych ojców swego narodu<sup>36</sup>.

Widać z tego cytatu, że styl Lechonia daleki był od stylu naukowego. Nie poszerzał on wiedzy o poecie. Więcej mówił o samym Lechoni, który w porywających, sugestywnych emocjonalnych, niekiedy przesadnych słowach ujawniał pokłady własnej świadomości i – z pewnością – wyrażał również nastroje znacznej części polskiej wspólnoty emigracyjnej, do której należał. Niemniej taki właśnie tekst, przeznaczony do publikacji w języku angielskim, a więc adresowany do niepolskiego czytelnika spotkał

<sup>32</sup> Jan Lechoń, *Wielki obowiązek*.

<sup>33</sup> Jan Lechoń, *Mickiewicz wczoraj i dziś*.

<sup>34</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 2, s. 623.

<sup>35</sup> *Adam Mickiewicz in World Literature. A Symposium*, ed. by Wacław Lednicki, Berkeley 1956.

<sup>36</sup> Jan Lechoń, *Mickiewicz w poezji polskiej*, „Wiadomości” 1956, nr 34.

się z wysoką oceną ze strony redaktora książki, Wacława Lednickiego. Widocznie taki styl właśnie odpowiadał jego oczekiwaniom, bo w liście do Lechońa pisał: „Napisałeś rzecz cudną, która jak obelisk na tej naszej *Place de la Concorde* będzie stale strzelać w niebo [...]. Jest to najpiękniejszy esej w całym naszym olbrzymim zbiorze [...]. Dałeś wielkość, jedyność – to całkowicie zginęło w płaskiej książce Weintrauba”<sup>37</sup>.

Podjął się też Lechoń, na zamówienie Radia Wolna Europa napisania broszury o Adamie Mickiewiczu na popularnym poziomie. Więcej miejsca poświęcił informacji o życiu poety, także o jego utworach, nie rozwijając jednak szerzej ich interpretacji. Z myślą o niepolskim również czytelniku podkreślał, że Mickiewicz był pierwszym autorem, który Zachodowi przedstawił kultury narodów słowiańskich. A także to (co czynił zapewne ze względu na obywateli kraju, w którym wiele lat przebywał po wyjeździe z Francji), że Mickiewicz przyjaźnił się z Fenimorem Cooperem i jego córką, z Margaret Fuller, że pociągały go niektóre typowe cechy amerykańskiej umysłowości, jak „bezkompromisowy idealizm i potrzeba ustawicznej dysputy moralnej”<sup>38</sup>.

Brał również udział w spotkaniach poświęconych Mickiewiczowi. O jednym z nich pisał:

Obchód Mickiewicza udał się wspaniale. Ile było dłużyzn, potknięć się, nieudanych występów – wiem jak nikt inny. Ale sala była pełna, wszystkie polskie szczepy; Polonia, nowa emigracja i Żydzi. Parę razy wszyscy płakali. I Amerykanie zrozumieli, że nie wszystko skończyło się z rządem w Londynie: „Jeszcze Polska nie zginęła”. „I Mickiewicz też”<sup>39</sup>.

Bezpośrednio zaangażowany w uczczenie setnej rocznicy śmierci Adama Mickiewicza, Lechoń interesował się również, co w tej sprawie dzieje się w kraju. Docenił starania, które doprowadziły do zbiorowego wydania dzieł poety, do ozdobnej, ilustrowanej edycji *Pana Tadeusza*. Podkreślił znaczenie „niektórych prac historycznobańdawczych”<sup>40</sup>. Wśród nich wymienił *Słownik Adama Mickiewicza*.

Krytyczne natomiast zajął stanowisko wobec towarzyszącej obchodom Mickiewiczowskiemu w kraju propagandzie, która przedstawiała autora *Pana Tadeusza* jako człowieka o orientacji lewicowej, antykościelnej, wspierającej budowany w powojennej Polsce ustrój polityczny. Był wszakże przekonany, że wysiłki takie skazane są na niepowodzenie, a w rzeczywistości dzieła Mickiewicza staną się pomostem łączącym myśli i pragnienia Polaków w kraju z przebywającymi na obczyźnie. Ufał bowiem wymowie utworów Mickiewicza, toteż z zadowoleniem przyjmował informacje o ich wysokich nakładach, niskich cenach, szerokiej dostępności, zachęcania czy nawet zmuszania do ich lektury. Uważał bowiem, że

Polacy w Kraju mogą [...] z dzieł Mickiewicza nauczyć się tylko tego, co się w nich znajduje naprawdę. Nie nauczą się z nich ani zgody na przemoc, ani pogardy dla swej historii – tylko coraz głębszego ukochania i coraz mocniejszego pragnienia wolności. I dlatego poezja Mickiewicza jest tajnym szyfrem, który łączy rozdzielone – Kraj i Emigrację!<sup>41</sup>.

<sup>37</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, s. 632. Mowa o książce Wiktora Weintrauba *The Poetry of Adam Mickiewicz*, Gravenhage 1954. Przed otrzymaniem opinii Lednickiego, Lechoń zanotował: „Na razie jestem raczej przerażony – takie to belferskie, tak właśnie niezdolne Mickiewicza przybliżyć, pozbawione entuzjazmu, a więc i właściwego pojęcia, o co chodzi” (*Dziennik*, t. 3, s. 539).

<sup>38</sup> Jan Lechoń, *O literaturze polskiej*, s. 148.

<sup>39</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, s. 733.

<sup>40</sup> Jan Lechoń, *O literaturze polskiej*, s. 159

<sup>41</sup> Tamże, s. 159–160.



Ze szczególnym zainteresowaniem odniósł się Lechoń do warszawskiej premiery *Dziadów* w listopadzie 1955 roku w Teatrze Polskim, w reżyserii Aleksandra Bardinięgo. Premiera ta, pierwsza po 31 latach, była dużym i niezwykłym wydarzeniem w powojennej Polsce, możliwym dzięki klimatowi „odwilży”, „najważniejszą sprawą, jaka się zdarzyła w polskim teatrze w ciągu ostatnich lat”<sup>42</sup>.

Było to istotnie wydarzenie dużej miary, przekraczające znaczenie tylko artystyczne. By je zobaczyć, zjeżdżały się do Warszawy wycieczki z całej Polski. Lechoń, z reguły nieufny wobec prasy krajowej, teraz przyjmował jej doniesienia, nie wszczynał polemiki, podejmował echa krajowe, by nadać im jeszcze większe znaczenie i własną interpretację:

Mickiewicz to dynamit, który rozsadzi wszystkie kazamaty i wszystkie mury między przeszłością a dzisiejszą Polską. Nie trzeba wielkiej imaginacji, aby zdać sobie sprawę, czym była premiera *Dziadów* w Warszawie<sup>43</sup>.

Wyobrażał sobie, że chyba nigdy (poza okresem współczesnym Mickiewiczowi) poeta ten tak nie żył w narodzie, jak właśnie teraz, w połowie lat pięćdziesiątych. I dodawał, nie bez pokory, a może i pewnego wstydu, że „w narodzie” znaczy przede wszystkim: „w Kraju”.

Artykuł Kotta, którym został bardzo poruszony, nazwał zdumiewającym.

Po raz pierwszy odkąd żeśmy się rozdzielili, miałem uczucie, że wiem, co oni tam wszyscy czują. [...] Mickiewicz – to jest wielka rzecz, i on, i Polska – to w wielkich chwilach zawsze jedno<sup>44</sup>.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Lechoń został tak poruszony tekstem Jana Kotta. Był on zatytułowany cytatem z *Dziadów*: „Czemuż to o tym pisać nie chcecie, panowie?”. Te słowa wypowiedziane w dramacie Mickiewicza przez Adolfa Cichowskiego więzionego w carskich kazamatach, skierowane w scenie Salonu warszawskiego do grona zebranych tam literatów, tkwiły trwale w pamięci i wyobraźni Lechonia, który przyjmował je jako wyrzut adresowany również do niego i jemu podobnych. Kilkanaście lat wcześniej napisał wiersz, któremu dał taki sam tytuł i zaczął go od słów:

Do mnie, do was, do ciebie, których mniej czy więcej,  
Dwustu, tysiąc, czy dziesięć, czy też sto tysięcy  
Polaków zamęczonych i mrących w niewoli,  
Już więcej nie poruszy, bardziej nie zaboli,  
Którzy dobrze żyjemy, choć o każdej chwili  
Winniśmy płonąć wstydem, żeśmy jej dożyli,  
Do nas wszystkich ta zwrotka czy też nic nie powie:  
„Czemuż to o tym pisać nie chcecie, panowie?”<sup>45</sup>.

Pamięć o Mickiewiczu stale towarzyszyła Lechoniowi. Publicznie były znane jego teksty o nim mówiące: artykuły, przemówienia, wiersze. A *Dziennik* jest świadectwem

<sup>42</sup> Słowa z artykułu Jana Kotta *Czemuż to o tym pisać nie chcecie, panowie?* „Przegląd Kulturalny” 1955, nr 48.

<sup>43</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, s. 752.

<sup>44</sup> Tamże, s. 752–753.

<sup>45</sup> Pierwodruk w „Tygodnik Polski” 1943, nr 12. Słowa przytoczone z *Dziadów* określił jako „dreszcz budząca linijkę” (Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1, s. 275).

nieustannie obecnej refleksji, genezy niektórych późniejszych publikacji. Niekiedy mówi o osobistych problemach Lechońa, które nie zawsze były przeznaczone do późniejszego ujawniania.

Zastanawiał się nad tym, co Mickiewicz, gdyby żył, pisałby teraz, po drugiej wojnie światowej. Interesujące, że Lechoń, tak nieprzejednany w swoich publicznych wystąpieniach, tu dochodził do konkluzji: „Nie wierzę, żeby po prostu był po jednej albo po drugiej stronie”<sup>46</sup>.

Niekiedy zapiski te ujawniają, że u źródeł refleksji o Mickiewiczu kryje się marzenie poety o sobie, o własnej twórczości, bezpośrednio lub pośrednio przymierzanej do Mickiewiczowskiego ideału. Rozmyślanie o pięknie wiersza Mickiewicza, wielkości wpisanego weń uczucia, doniosłości myśli, prowadziło oto czasem do wniosku: „Naśladować Mickiewicza, nie mając jego żaru, jego wiary, jego miłości i nienawiści, z tego wyjść może tylko pseudoklasyczna strofa, prawie Koźmian”<sup>47</sup>.

Nie tylko *Dziennik*, ale również teksty literackie są często inkrustowane przytoczeniami słów, zwrotów, zdań z Mickiewiczowskich utworów, aluzjami do nich. Lechoń myśli „mickiewiczem”, pisze „mickiewiczem”. Kiedy się czyta wiersz *Rio de Janeiro*, o regularnej budowie przypominającej kompozycję sonetową, który jest literackim dokumentem zbliżania się do portu w Brazylii w sierpniu 1940 roku, nie sposób nie przywołać sonetów Mickiewicza o podróży morskiej na Krym<sup>48</sup>. Wiersz Lechońa *Laur Kapitolu*, od tytułu poczynając do jego istotnej zawartości, jest aluzją do końcowych słów *Epilogu Pana Tadeusza*.

Pojawia się w nim młody Polak, z ręką na temblaku, stojący na schodach Kapitolu. Ma za sobą cztery lata udziału w walkach frontowych. Przed sobą – cuda Rzymu, które mógł zobaczyć. Obecny w tekście podmiot zwraca się do niego słowami:

Ledwo słuchasz, choć nocą ktoś tak pięknie śpiewa,  
Nie patrzysz, choć w księżycu Rzym utonął stary,  
Nad laury Kapitolu – wolisz nasze drzewa,  
Co szumią jak podarte zwycięskie sztandary<sup>49</sup>.

W wierszu *Rejtan* inkrustowanym licznymi aluzjami do tradycji literackiej, historii Polski, są też sparafrazowane wersy przejęte z *Reduty Ordon*:

Dziś, kiedy na świat cały grzmią moskiewskie spize  
Gdy niejedno poselstwo stopy w Moskwie liże<sup>50</sup>.

W *Marszu Drugiego Korpusu* pobrzmiwa, w dosłownym przytoczeniu z *Pana Tadeusza*, „Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła”, aczkolwiek Mickiewicz myślał o starej wojskowej piosence *Borem, lasem...*, a Lechoń o *Mazurku Dąbrowskiego*, powstałym we Włoszech.

W *Przypowieści* jest mowa o kimś, kto „rozumny, nie rozumny szalem” w imię chłodnego, realnego myślenia podaje w wątpliwość sens żołnierskiej ofiary. Ten „odwrócony” cytat z Mickiewicza służy wyrażeniu solidarności z żołnierzem polskim, na którego los wpłynęło postępowanie zgodne z duchem *Ody do młodości*.

<sup>46</sup> Tamże, s. 186.

<sup>47</sup> Tamże, s. 223.

<sup>48</sup> Pierwodruk wiersza *Rio de Janeiro*, „Tygodniowy Przegląd Literacki Koła Pisarzy z Polski” 1942, s. 4.

<sup>49</sup> Jan Lechoń, *Poezje*, s. 105.

<sup>50</sup> Tamże, s. 208.

Z pamięcią o *Reducie Ordon* pisał Kazimierz Wierzyński opowiadania osnute na zasłyszanych opowieściach żołnierzy – uczestników kampanii wrześniowej. Weszły one do zbioru *Pobojowisko*. Recenzując ten tom, Lechoń wydobyl jego związek z wierszem Mickiewicza, co dało mu sposobność określenia *Reduty Ordon* jako „jednego z największych arcydzieł naszej poezji”<sup>51</sup>. Postać Ordon, zgodną z jej Mickiewiczowską legendą, przywołuje Lechoń w *Pieśni o Stefanie Starzyńskim*, czyniąc z niej symbol poświęcenia w obronie Warszawy we wrześniu 1939 roku.

Mickiewiczowskie, z *Pana Tadeusza* wzięte, „Ty jesteś jak zdrowie” pobrzmiewa z lekka żartobliwie w *Panu Twardowskim*, a podniosłe i nostalgicznie w *Wierszu dla Warszawy* kończącym się słowami wypowiedzianymi przez stojący w stolicy pomnik Mickiewicza: „Warszawo wiecznie wolna. Ty jesteś jak zdrowie”. A słowa Piotra Wysockiego z III części *Dziadów* przypomina oddzielenie tych „co milcząc nie ugęśli czoła, od tych, co są narodu skorupą plugawą”<sup>52</sup>.

Napisał też Lechoń parę wierszy, których bohaterem jest Adam Mickiewicz: *Mickiewicz zmęczony* i *Śmierć Mickiewicza*. Nie był z nich zadowolony. O pierwszym napisał: „Wiersz o Mickiewiczu uważam dzisiaj jeszcze bardziej, jeszcze beznadziejniej za brzmiące bez czucia cymbały”<sup>53</sup>. O drugim był podobnego zdania, mimo że od Wittlina słyszał o nim najlepsze słowa<sup>54</sup>.

Nie pada imię Mickiewicza w wierszu *Ostatnia miłość*, powstałym już pod koniec życia poety. Jest najlepszy z tego cyklu. Może dlatego, że ma znaczenie podwójne. Zawarte w nim znaki wskazują na Mickiewicza u schyłku życia, ale mogą być one odczytane metaforycznie i wówczas mogą się odnosić również do Lechonia, który miał jeszcze przed sobą zaledwie kilka miesięcy życia. Jest wierszem – pożegnaniem.

Zapiski w *Dzienniku* zdają się świadczyć, że jeszcze na parę tygodni przed śmiercią pracował nad jakimś wierszem o Mickiewiczu. Pod datą 6 maja 1956 roku zanotował: „Osieć linijek tego »ważnego« wiersza, tego o Mickiewiczu. Naturalnie mowy o tym nie ma, aby to było to, com planował – ale to nic złego, to raczej normalne”. I dzień później: „Sześć linijek »tego wiersza«. Zdawało mi się, że są nie najgorsze – że to prawdziwe uczucie powściągnięte”<sup>55</sup>.

W szczerości zapisków *Dziennika* Lechoń zestawiał własne wiersze z poezją Mickiewicza, jako miarą, według której oceniał swoje osiągnięcia. O ich prostocie myślał czasem, że jest ona „z tego samego kruszcu, co prostota Mickiewicza”<sup>56</sup>. Rzadko przejawiał zadowolenie ze swej poezji. Raz jednak zdarzyło mu się pomyśleć: „Rano jedna zwrotka w innej zupełnie tonacji, iż poprzednie – jakby z Mickiewicza (przepraszam)”<sup>57</sup>.

Nie odstępowała go myśl, by stworzyć coś na miarę współczesnych *Dziadów*. Poszukiwał odpowiedniego pomysłu i odpowiedniej formy. Śladem – fragmenty powieści *Bal u senatora*. W *Dzienniku* są rozsiane myśli o tym utworze i zdania świadczące o nieustannej pracy nad nim. Jego fragmenty ukazywały się w „Wiadomościach Polskich Politycznych i Literackich”, w „Tygodniku Polskim” i w „Wiadomościach”. Zebrał je i opublikował Tadeusz Janiszewski, wyrażając w *Posłowie* przypuszczenie, że *Bal u se-*

<sup>51</sup> „Tygodnik Polski” 1945, nr 23.

<sup>52</sup> „Wiadomości” 1951, nr 7.

<sup>53</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 2, s. 27.

<sup>54</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, s. 771.

<sup>55</sup> Tamże, s. 837–838.

<sup>56</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1, s. 411.

<sup>57</sup> Tamże, s. 429.

natora miał się zakończyć u jednego z senatorów amerykańskich. W opublikowanych partiach do tego balu jeszcze nie dochodzi<sup>58</sup>.

Jest w nich wiele śladów obecności Mickiewicza w wyobraźni autora, który jednego z głównych bohaterów (Kątskiego) charakteryzuje jako „ozdobę polskości [...]”, dzie-dzica nie tylko Chopina, ale nieomal Mickiewicza, któremu w aktualnym pokoleniu pi-sarzy nie sposób było wynaleźć następcy<sup>59</sup>. Wprawdzie Lechoń w *Dzienniku* pisze, że Kątskiego będą czytelnicy brać za Szymanowskiego<sup>60</sup>, niemniej czytającemu nasuwa się przypuszczenie, że pod tą postacią może się również ukrywać sam Lechoń.

W wewnętrznych monologach Kątskiego stale obecne są utwory Mickiewicza, co nawet czyni, że trudno uznać go za udaną kreację bohatera literackiego. Po inwazji Niemiec na Francję stoi przed dylematem „zostać czy wyjechać” z Paryża; jego myśli układają się według Mickiewiczowskich wierszy, które mu się właśnie tłoczą w pamięci. A kiedy dochodzi do wniosku, „że jego sprawa jest inna niż uniesienie cało głowy”<sup>61</sup>, wywołuje zarówno sytuację Mickiewicza z czasu powstania listopadowego, jak i echo zakończenia *Epilogu Pana Tadeusza*:

Biada nam zbiegi, żeśmy w czas morowy  
Lękliwie nieśli za granicę głowy.

Proza powieściowa nie okazała się dobrą formą. Lechoniowi się marzył wielki utwór dramatyczny na miarę Mickiewiczowskich *Dziadów*, w którym by podjął istotne sprawy współczesnej emigracji. W „Tygodniowym Przeglądzie Literackim Koła Pisarzy z Polski”<sup>62</sup> opublikował jego pierwszy fragment zatytułowany *Dziadów część piąta*. W *Planach literackich Lechonia*<sup>63</sup> zawiera się informacja o kończeniu dramatu *Wolny Konrad*. W partiach wypowiedzianych przez aktorów i we wpisanych w tekst wizji teatralnej obecne są liczne nawiązania i aluzje do Adama Mickiewicza i Stanisława Wyspiańskiego.

W pierwszym fragmencie rozpatrywany jest dylemat między podniosłością, romantycznym koturnem i patosem, słowiańskimi gontynami i greckimi kolumnami a Balzackowskim realizmem i sztuką wolną od narodowych serwitutów. Wypowiada go Jan, który, jak niegdyś Lechoniowy Herostrates, chciałby:

By u nas było wszystko jak wszędzie na świecie,  
By chmur się romantycznych rozpęka kopuła  
I Polska swe tragiczne koturny rozzuła.

Po tych jego słowach dochodzi wszakże do głosu: „a jednak...”, co prowadzi do od-słonięcia drugiego oblicza Jana. Z dużym poruszeniem wspomina on krakowskie przed-stawienie *Dziadów*, pieśń zemsty, sceny więzienne. Pojawiają się sparafrazowane słowa Piotra Wysockiego:

<sup>58</sup> Jan Lechoń, *Bal u senatora*, fragment nieukończonej powieści, opracował Tadeusz Janiszewski, Warszawa 1981.

<sup>59</sup> Tamże, s. 23.

<sup>60</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1, s.59.

<sup>61</sup> Jan Lechoń, *Bal u senatora*, s. 17.

<sup>62</sup> 1942, nr 6.

<sup>63</sup> *Plany literackie Lechonia*, „Tygodniowy Przegląd Literacki Koła Pisarzy z Polski” 1942, nr 6.

...ale wierz mi, nie całkiem wychłódła  
Tajemna, wulkaniczna głęбина tej ziemi<sup>64</sup>.

Rzeczowemu, rzemieślniczemu stosunkowi do teatralnej sceny Jan przeciwstawia marzenie o wielkim teatrze, o jego magicznej sile wywoływania duchów narodowych. W jego monologu jest pamięć IV części *Dziadów*, Matki Boskiej Ostrobramskiej, *Irydiona*, postaci Kordiana przed carską komnatą, strażaków wokół Belwederu, Nike z *Nocy listopadowej* Stanisława Wyspiańskiego.

Ten fragment odgrywa rolę prologu, w którym waga się szale, w jakim kierunku rozwinię się dramat. Szale przeważają na rzecz dramatu romantycznego. Miejsce i czas akcji następnego fragmentu objaśniają słowa: „Noc, zawieja śnieżna na granicy Polski w czasie tej wojny. Konrad walczy z zaspami i daremnie stara się wydostać z zamieci”. Prowadzi go Głos:

Poprzez krew zakrzepłą  
I także, jakich dotąd nie było ohydy,  
Poprzez kości zbiegłych pójdziem piramidy,  
Przez jęki mordowanych, ryki mordujących,  
Pośród rannych umarłych i umierających,  
Gdzie dusza ludzka wyje, jak psy wściekłe, wściekła  
Gdzie ją wreszcie zobaczysz.

Konrad spotyka Dantego, który zaprowadzi go do piekła, ale ono nie będzie tym piekłem, po którym autora *Boskiej komedii* oprowadzał „pocziwy mistrz, dobry Wergili”. Zejdzie z nim w kręgi nowe, głębsze, „które szatan dopiero w tym roku wymyślił”<sup>65</sup>.

W następnym fragmencie *Godziny przestrogi* Konrad przybywa do teatru. Spotyka jego dyrektora. Zapytany, jakie jest jego życzenie, Konrad odpowiada słowami Gustawa skierowanymi do księdza z IV części *Dziadów*: „Wróć nam, wróć nam *Dziady*”, na co dyrektor w Polsce 1945 roku reaguje słowami:

Niczego nie chcę bardziej. Ciągle o tym marzę.  
Na razie pozwolili dać w repertuarze.  
Ale widzisz: minęło już sto lat z okładem,  
Odkąd drogi Gustawie stałeś się Konradem.  
I różnych takich rzeczy przybyło na świecie,  
Przy których Nowosilcow jest niewinne dziecko<sup>66</sup>.

Konrad wrócił do teatru polskiego. Sztuka narodowa, duch narodowy trwa. On jest jego uosobieniem. Zarówno Konrad Adama Mickiewicza, jak i Konrad Wyspiańskiego, który pierwszy powiedział: „Bije wam do głowy / Z poezji romantycznej zimny wiew grobowy”. Konrad Lechonia, w zmienionym czasie, chce „zaglądać pod wawelskie krypty”.

Akcja następnego fragmentu *Godziny przestrogi*<sup>67</sup> toczy się we Włoszech, w początkach maja 1945 roku, w przeddzień ataku II Korpusu na Monte Cassino. Grupa polskich żołnierzy („są to przeważnie chłopcy z inteligencji, głównie z kresów”) rozprawia „na-

<sup>64</sup> Jan Lechoń, *Fragmenty dramatyczne*, opracował Tadeusz Janiszewski, Warszawa 1978, s. 65.

<sup>65</sup> Wszystkie przytoczenia: tamże, s. 73, 74, 75.

<sup>66</sup> Tamże, s. 79.

<sup>67</sup> „Tygodnik Polski” 1945, nr 41. Nie ma go we *Fragmentach dramatycznych*, zapewne ze względów cenzuralnych.

miętnie, jak zawsze i wszędzie czynią to Polacy”, o czekającej ich bitwie, o nieudanym ataku Anglików, o Warszawie, Lwowie i Wilnie, gdzie chcą wrócić, o stalinowskich obozach i o zdradzie sojuszników (dawniej Napoleon, teraz Churchill). Jest też miejsce na krytyczny osąd londyńskich polityków emigracyjnych, którzy mają tylko „klucz partyjny w głowie” i myślą o tym, „co pan Churchill powie”. I sparafrazowane słowa Piotra Wysockiego z III części *Dziadów*:

Gdy nie ma wielkich ludzi my pójdziemy przodem,  
Bo my jesteśmy naród, czujemy z narodem.  
I niechaj cudza małość woli nam nie ziębi.  
„Plwajmy na tę skorupę i schodźmy do głębi”.

\* \* \*

Wśród wspomnień o Janie Lechoniu składających się na zbiór *Pamięci Jana Lechonia* najpełniej i najciekawiej o jego związkach z Mickiewiczem pisze Tymon Terlecki. Podkreśla, że w Roku Mickiewiczowskim Lechoń żył w aurze Mickiewicza jak niewielu, może nikt spośród emigracyjnych pisarzy, że „w ostatnich dwu latach przed śmiercią jego zaprzątnięcie Mickiewiczem [...] doszło niemal do paroksyzmu”.

Terlecki cytuje fragment listu Lechonia do niego z 8 czerwca 1955 roku:

Jak trumna Świętego – króla Bolesława, tak zdaje się Mickiewicz mnie powali. Napisałem w najgorszej będąc formie fizycznej artykuł do książki zbiorowej, którą Lednicki redaguje, później miałem mowę na tutejszej inauguracji Roku Świętego [tzn. Mickiewiczowskiego], do którego coś też trzeba było przyłożyć. Teraz przyszło pensum dodatkowe, broszura dla Amerykanów z inspiracji amerykańskiej – rzecz ważna: ani sposób odmówić<sup>68</sup>.

Nie wspomniał Lechoń w tym liście o jeszcze jednym, trudniejszym pasowaniu się z Mickiewiczem. O wieloletnim wysiłku stworzenia dzieła przeznaczonego dla współczesnej emigracji, na miarę, jaką autor *Dziadów* wyznaczył. I tu go naprawdę Mickiewicz powalił. Cóż, przecież Lechoń sam mówił, że po Mickiewiczzu nikt się nie może pojawić, kto byłby tym, czym on, dla narodu.

<sup>68</sup> *Pamięci Jana Lechonia*, Londyn 1958, s. 23.

# Nowojorski wieczór Jana Lechonia

W Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku znalazłem sześciostronicowy druczek – zaproszenie na imprezę zorganizowaną z okazji ukazania się *Poezji zebranych* Jana Lechonia w 1954 roku, z jej szczegółowym programem. Odbywała się ona pod patronatem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce i Polskiego Komitetu Imigracyjnego. Dokładniej o programie imprezy tu nie piszę. Można się o nim dowiedzieć z załączonej kopii zaproszenia. Ten znaleziony w Nowym Jorku druczek zachęca do rozwinięcia wokół niego komentarza.

W polonijnym środowisku nowojorskim urządzano jubileusze wybitnych ludzi, uchodźczych sław, których wysiłki na ogół i na co dzień spotykały się z polonijną obojętnością. Jubileuszowe imprezy inicjowane przez grono przyjaciół były im potrzebne; dodawały otuchy, podtrzymywały wiarę w sens działania, wspierały – moralnie i materialnie.

Jeden i drugi взгляд miał duże znaczenie w przypadku Jana Lechonia. Czytelnicy jego *Dziennika* nie mają wątpliwości co do potrzeby udzielenia mu wsparcia moralnego. O kłopotach materialnych Lechoń w *Dzienniku* się nie rozpisuje, prawie wcale o nich nie wspomina, a przecież doznawał ich dotkliwie, zwłaszcza że nie ustawał w wysiłkach, by wydawać „Tygodnik Polski”, który przynosił straty.

W tej samej teczce archiwalnej, w której znajduje się wspomniane zaproszenie, jest także kilka – nieznanych – listów Lechonia do Leona Ostrowskiego. Są pozbawione daty. W oparciu o pośrednie, zawarte w nich informacje można przyjąć, że były pisane w tym samym czasie, kiedy trwały przygotowania do jubileuszowego wieczoru. Listy te utrzymane są w tonie bardzo dramatycznym. Lechoń zwraca się w nich do adresata, jak do ostatniej deski ratunku. Wszystkie dotyczą tej samej sprawy: kłopotów finansowych; i zawierają prośbę o ratunek. W pierwszym z nich Lechoń pisze: „Chodzi o to, że przez ostatni rok na skutek choroby nie mogłem mieć odczytów, jeździć ze sprzedażą książek – słowem zabrakło w moim budżecie sumy, którą zwykle przeznaczam na podatki. Teraz przyszedł podatek – i jestem zupełnie... [?]”. Prosi o pożyczkę 250 dolarów na trzy miesiące. „Jestem dziko zmęczony i nie starcza mi słownika na bardziej wymowną argumentację. Polecam się więc Twojej przyjaźni i bardzo będę Ci wdzięczny, jeśli zechcesz mnie wybawić z chwilowego, ale bardzo ciężkiego kłopotu”.

W następnym liście Lechoń, odwołując się do zacności adresata (jeszcze nie uregulował poprzedniego długu), prosi o kolejne wsparcie:

Ale teraz jest chwilowy kłopot u nas i drukarz nas tak gnębi, że wszystkie inne płatności muszą iść na bok na parę dni. Za parę dni będzie dobrze, ale tymczasem jestem goły dosłownie jak święty turecki, a mam na łbie komorne i inne bardzo dotkliwe wypłaty. Dlatego, przepraszając Cię, gorąco Cię zarazem proszę o pożyczkę do 18-go 150 dolarów. Nie posyłam czeku,

bo teraz podpisuję je razem z Obierkiem i wolałbym nie wprowadzać go w tę sprawę. Ale masz moje najsołenniejsze słowo, że najpóźniej 18-go suma ta będzie Ci zwrócona, a może nawet wcześniej, i że żadna zwłoka Cię nie spotka.

I list kolejny:

Przepraszam, że znów Ci głowę zawracam i kłopot sprawiam – ale tym razem to już naprawdę ostatni raz. W tym miesiącu wyjdą bowiem moje dwie książki: zostanie zacerowana dziura w budżecie, którą parokrotnie łątałem twemi pożyczkami. Dlatego przy tym szczęśliwym biegu proszę Cię, mój Drogi, raz jeszcze o wielką przysługę – o pożyczkę 125 dolarów do 16-go, pod najuroczystszy słowem – bez pudła.

Wierz mi, że nie jest to łatwe i przyjemne nudzić Cię i prosić i myślę, że większą przyjemność ty znajdziesz w pomożeniu mi na bardzo krótki termin.

I jeszcze raz:

Mój Drogi. Zostałem się nagle, jak to mówią, gołą dupą na zimnym lodzie, nie porozumiewawszy się w porę z biurem. – Jestem bez czeku, bez banku, bez niczego.

Bardzo byłbym Ci wdzięczny, gdybyś mi pożyczył 30 dolarów do soboty. Jestem Ci jeszcze winien 20 – ale pozwolisz, że to ureguluję za parę dni – jak mi moją forszę należną odmrożą<sup>1</sup>.

Propozycja urzędnika dla niego jubileuszu dawała podstawy do nadziei na otrzymanie materialnego wsparcia. Jubilat otrzymywał zwykle pokaźne czeki od znanych osobistości, a i mniejsze kwoty od zaproszonych gości też się liczyły. Przystąpił więc Lechoń na tę propozycję, dodając – po swojemu – zgorzkniale: „Dobrze, zróbcie jubileusz, bo po jubileuszu szybko się umiera”<sup>2</sup>.

Okazją uzasadniającą uroczystość jubileuszową było ukazanie się w 1954 roku *Poezji zebranych* Jana Lechonia, nakładem „Wiadomości”. A skąd pomysł, by w programie znalazł się Aleksander Fredro?

Lechoń przebywał poza krajem od 1930 roku. Odczuwał skutki utracenia na dłuższy czas bezpośredniego kontaktu z żywą polską mową. Przyznawał się w *Dzienniku*, że mu „raz po raz brakuje polskich słów”. Odświeżaniem słowa poetyckiego była dla niego lektura *Pana Tadeusza* i *Zemsty*, utworów, z którymi się nie rozstawał. Również inne dramaty Fredry wywoływały jego zachwyty. Szczególnie sobie upodobał „nieocenione arcydzieło poezji polskiej”, za które uważał dramat *Odludki i poeta*. W postaci Astolfa znajdował bliski sobie nastrój, usposobienie: poczucie goryczy, zwątpienia; trzeźwego, pozbawionego złudzeń spojrzenia na ludzi, na ich zapał, porywy; tony ironicznego sarkazmu. Pod datą 15 lutego 1950 roku przytoczył w *Dzienniku* fragment wypowiedzi Astolfa, „genialną odpowiedź wszystkim »krytykom i recenzentom« wszystkich czasów”:

A ci zaś, którym Geoffroy pozawracał głowy,  
Którym gazety płacą ich wyrok surowy,  
Co uczą pisać drugich, nim nauczą siebie,  
Białe dotąd swe pióra zaczernią dla ciebie.

<sup>1</sup> Cytowane listy nie mają daty. Znajdują się, podobnie jak zaproszenie na *Wieczór Jana Lechonia* w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku pod sygnaturą I/2/E.

<sup>2</sup> Zob. Irena Lorentowicz, *Oczarowania*, przedmowę napisała Maria Kuncewiczowa, Warszawa 1972, s. 265.



A gdy ich tylko głosy przerwą czasem ciszę,  
Musisz się w końcu spytać: „Dla kogo ja piszę?”<sup>3</sup>.

W *Odludkach i poecie* znajdował „wspaniałą inteligencję, zdolność bezlitosnego parzenia na świat”<sup>4</sup>.

Już wówczas, w 1950 roku, przychodziło mu namyśl, co zresztą powtarzało się od dawna, by w jakimś teatrze amatorskim zagrać rolę Astolfa. Do tej postaci i wygłaszanych przez nią słów powracał wielokrotnie, bo spotykał w nich coś istotnego z osobistego doświadczenia i własnego statusu emigracyjnego; wbrew mniemaniom jego otoczenia – odludka, obdarzonego przenikliwą inteligencją, zgorzkniałego i autoironicznego, dostrzegającego – bez iluzji – realny stan rzeczy, obciążonego przy tym skrywanymi kompleksami.

Astolf mówi jedną z najpiękniejszych strof fredrowskich, czyli w ogóle polskich. To pierwszy powód mej obsesji. Poza tym zaś ten „odludek” jest przy całym swym romantyzmie i przy klasycyzmie wiersza, który mówi, postacią zupełnie współczesną, nie chcę powiedzieć – nudnego słowa – freudowską. Diabeł wie, jakie kompleksy w nim siedzą, ale Boy dopatrywał się w nim może czegoś z Taciturne’a Martin du Garda<sup>5</sup>.

Po paru latach od tego zapisu nadarzyła się okazja zmierzenia się z rolą Astolfa według wyobrażenia Jana Lechonia. Przygotowywane dla niego spotkanie jubileuszowe miało mieć charakter spektaklu, zgodnie z trwałą pasją autora, który znaczną część swej aktywności poświęcił sztuce teatralnej<sup>6</sup>. Składałoby się z dwóch części. W pierwszej zamierzano wystawić sztukę ulubionego przez poetę dramaturga, z jego aktorskim udziałem, w drugiej zademonstrować jego próby dramatyczne.

Zaczął więc Lechoń pracować nad rolą, pogłębiając jej zrozumienie i interpretację. Przeżywał przy tym na przemian przyplwy zapału i zwątpienia w sensowność tego, czego się z własnej woli podjął, czyniąc wysiłki, „aby wybrnąć z tego Astolfa”, którego wziął sobie na głowę „diabli wiedzą po co”<sup>7</sup>. Wahał się, czy być wiernym Fredrze czy może przerobić *Odludków i poetę* na współczesną modłę, „okrasić aktualnymi aluzjami”<sup>8</sup>. Praca nad rolą wytrącała go z normalnego trybu życia: „Nie jestem aktorem i nie jestem Astolfem. Ale od dwóch tygodni nie ma mnie, bom udając aktora, wprowadził do siebie Astolfa, i przynajmniej do przyszłej niedzieli nie ma Lechonia, nie ma Leszka”<sup>9</sup>.

Lechoń niechętnie się odkrywał. W wierszach również ukrywał się za liryką roli. W pracy nad postacią Astolfa poruszał się między dystansem do niego, skrywając siebie, a ujawnianiem utożsamiania się z nim. W obydwu kierunkach bał się pójść za daleko:

Myślałem o sobie jak mormon, jak adamita, że moja rola w *Odludkach i poecie* nie jest większym teatrem, większym przebraniem niż nowa posada czy nowa postawa wobec siebie i ludzi. *All the world stage and all the men and women merely players*. [...] Żyję w przekonaniu

<sup>3</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1, Warszawa 1952, s. 43. Por. Aleksander Fredro, *Pisma wszystkie*, wydanie krytyczne, opracował Stanisław Pigoń. Tom drugi, *Komedie*, seria pierwsza, Warszawa 1955, s. 261.

<sup>4</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1, s. 217.

<sup>5</sup> Tamże, s. 218.

<sup>6</sup> Zob.: Jan Lechoń, *Cudowny świat teatru*, artykuły i recenzje 1916–1962, zebrał i opracował S. Kaszyński, Warszawa 1981; oraz Stanisław J. Kowalski, *Jan Lechoń jako redaktor i publicysta w okresie nowojorskim*, Lublin 1996, rozdział *Pasje teatralne*.

<sup>7</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, Warszawa 1993, s. 592.

<sup>8</sup> Tamże, s. 606.

<sup>9</sup> Tamże, s. 604.

niu, że każda praca czy lektura poza tymi próbami uniemożliwia mi granie, że wyjdę ze skóry Astolfa i na przedstawieniu będę Lechoniem, co stanowczo jest za mało<sup>10</sup>.

Próby *Odludków i poety*, prace nad rolą w przygotowywaniu spektaklu nie pozwalały mu przez cały miesiąc zająć się własnymi robotami, co pogłębiało zwątpienie, czy z tego wszystkiego wyjdzie coś dobrego. Notował: „Sam sobie będę winien, gdy się okaże, że, żem się wygłupił”<sup>11</sup>. Zążywał pastylki dexamyłu i przez pół dnia recytował Astolfa. Rozwijał własną interpretację utworu i postaci, celowo nie myśląc o nagromadzonych wokół niej komentarzach historyków literatury i krytyków teatralnych. Ufał własnemu odbiorowi, dramatowi nadawał dużą rangę, a w Astolfie upatrywał rezonera samego Aleksandra Fredry:

Ani w *Zemście*, ani w *Ślubach*, ani w *Mężu i żonie* nie napisał on nic tak poważnego, tak wszechludzkiego, jak tyrazy Astolfa w *Odludkach*. Nie pamiętam, co o tym pisali Chrzanowski i Grzymała. Ale ten Astolf do Alcest, to prawie Hamlet, to nie żaden szlagon polski, którym są przecież Cześnik i Rejent, Gustaw i Radost. To człowiek bez złudzeń, bez polskiego patosu, bez hejzcha-optimizmu. Edwin ma ostatnie słowo pięknego zapału, ale Fredro stoi przede wszystkim za Astolfem, jak katolicki Sienkiewicz za Petroniuszem<sup>12</sup>.

Pracował również nad przemówieniem, które zamierzał wygłosić na zamknięcie spotkania. Poświęcił mu dwa dni, 21 i 22 kwietnia. Zmierał do właściwego wyważenia akcentów. By uniknąć, jak i w całym wieczorze, stylu wieszczka, który przyjmuje hołdy narodu, a – z drugiej strony – posunąć się w skromności na tyle tylko, by odczytywalne było przeświadczenie, że bardzo by się pomylił ten, kto byłby skłonny pomyśleć, że własnej twórczości on nie docenia.

Następnego dnia, 23 kwietnia, „dopiłowywał” to przemówienie, odbył próbę generalną, już ubrany w romantyczny surdut i był z niej zadowolony: „Mówilem głośno, niczego nie zapomniałem, słyszałem same pochwały o mojej roli i przyłapałem się po prostu na ambicji aktorskiej”<sup>13</sup>.

Nazajutrz, po zakończeniu *Wieczoru Jana Lechonia* poeta zapisał w *Dzienniku* swoje pierwsze wrażenie:

Już po wszystkim. Nie sypnąłem się, ale też i mówiłem gorzej niż wczoraj na próbie – i wszystko było gorzej niż na próbie [...]. Ewcia Rubinstein była śliczna i pomimo wszystko Fredro udał się, za to moje sceny z *Godziny przestrogi* były niedoprobowane [...]. Było pewno osiemset osób, które wyraźnie chciały, aby im się wszystko podobało, i które siedziały wytrwale przeszło trzy godziny. Mogło być gorzej, ale drzę, że jak całkiem ochłone, przyjdzie katzenjamer i pytanie: „Po kiego diabła wchodziłeś na ten statek?”<sup>14</sup>.

Uwagi dotyczące scen z *Godziny przestrogi* pojawiają się tylko we własnych ocenach poety. Powraca do nich jeszcze następnego dnia:

Słuchałem różnych komplementów – tak jakby je sami znawcy mówili. Wiem, że moje fragmenty nie wyszły, ale staram się o tym nie myśleć, bo nic już nie naprawię, a po co sobie

<sup>10</sup> Tamże, s. 607.

<sup>11</sup> Tamże, s. 591.

<sup>12</sup> Tamże, s. 596

<sup>13</sup> Tamże, s. 609.

<sup>14</sup> Tamże.

zatrzuwać życie. Właściwie najbardziej jestem dumny z tego, że odważyłem się na ciężką robotę, której nie każdy w moim wieku by się podjął<sup>15</sup>.

Artur Rubinstein miał dwa powody, by wspominać ten wieczór: przyjaźń łączącą go z Lechoniem i wystąpienie na scenie jego córki Ewy, świeżo po ukończeniu szkoły dramatycznej i po raz pierwszy w języku polskim:

Pamiętam, jak przyszedł do nas kiedyś, olśniony na nowo jednoaktową komedią Fredry. Upojony melodią wiersza, czytał nam *Odludków i poetę*, rozkoszując się każdym ich zdaniem. Zapalił się, żeby wystawić to w Nowym Jorku, choćby dla najbliższych przyjaciół; sam chciał zagrać jednego z odludków, Astolfa. Marzenie jego spełniło się; na jubileusz Lechonia, który urządzono mu w Nowym Jorku, wybrano *Odludków i poetę*. Grał w nich swoją ulubioną postać.

Dla mojej żony i dla mnie przedstawienie to było również przeżyciem rodzinnym. W roli Zuzi partnerką Lechonia była córka nasza Ewa. Wychowana w Nowym Jorku obrała karierę sceniczną i po skończeniu szkoły dramatycznej występowała nie bez powodzenia w teatrach amerykańskich. Na życzenie Lechonia, zgodziła się wziąć udział w przedstawieniu amatorskim i grać, po raz pierwszy w życiu, po polsku. Musiało to jej przyjść z niemałym wysiłkiem, ale sentyment jej do Leszka przemógł opory. Jak i inne nasze dzieci, kochała go serdecznie i chciała dać temu wyraz<sup>16</sup>.

Aleksander Janta krytycznie ocenił jego sceniczne predyspozycje:

trema, głos mało dźwięczny i nie dość donośny, złe zęby i zła technika oddychania sprawiły, niestety, że w dłuższych partiach mówionego ze sceny wiersza nie było sposobu rozumieć Lechonia, zapędzał się i zasypywał równocześnie, ale zbiorowym odruchem widownia zgodziła się z własnym jego wyobrażeniem tej roli, że mianowicie grał samego siebie, i że należą mu się za to oklaski, tym żywsze, im mniej za aktorką kreację głównej roli zasłużone<sup>17</sup>.

Dużo miejsca temu wydarzeniu poświęciła w swych wspomnieniach Irena Lorentowicz. Jej dziełem była scenografia przedstawienia. Potwierdzała opinię Janty o „rozpaczliwej dykcji” Lechonia. Tym bardziej chwaliła talent reżyserski Ziomka Karpiańskiego, który mimo tego defektu poety potrafił zrobić z niego dobrego aktora. Zastanawiała się, „dlaczego ten człowiek, tak towarzyski, był i chciał być w głębi duszy odludkiem, i to takim pełnym ironii, fredrowskim?”. Przypominała, że na podobne pytania Lechoń odpowiadał: „Chcę zagrać siebie, bo ja dziś jestem samą goryczą”.

W świetle obserwacji dokonywanej przez Irenę Lorentowicz, Lechoń, człowiek snobistyczny, śpieszący na przyjęcia i spotkania, uchodzący za dowcipnego i pogodnego, skłonnego do towarzyskich, dobrych, przyjaznych kontaktów skrywał swoją rozpacz, był w głębi duszy odludkiem i chciał nim być; odludkiem pełnym ironii. W dramacie Fredry, grając postać Astolfa, przeciwstawionemu entuzjastycznemu poecie, optymiście, młodemu szczęśliwemu człowiekowi, grał własne rozdwojenie – patrzącego z boku, samotnego przy stoliku, ponurego odludka. „Świetnie wyglądał w czarnym romantycznym fraku i pelerynie i wyraz twarzy miał ten sam, co zawsze ostatnio w życiu, nienawistny, gorzki odludek, cierpiący Astolf”.

<sup>15</sup> Tamże.

<sup>16</sup> Artur Rubinstein, *Wielki poeta, przyjaciel i brat* [w:] *Pamięci Jana Lechonia*, Londyn 1958, s. 34.

<sup>17</sup> Aleksander Janta, *Nowe odkrycie Ameryki*, Paryż 1973, s. 206.

Przyjaciele Lechonia nie przeczuwali głębi goryczy, którą poprzez słowa Astolfa wypowiedział poeta. Wyrażał on siebie, korzystając z medium roli stworzonej przez Fredrę. Jak w *Eryniach* Gattamelata chroniący się za przyłbicą. Między pragnieniem wyrażenia własnych przeżyć wewnętrznych a poczuciem stylu niepozwalającym na bezpośrednią spowiedź; między chęcią otworzenia się przed światem a obawą przed nim; między potrzebą skargi a dumą. Irena Lorentowicz szczególnie zapamiętała wypowiedziany przez Lechonia ten fragment z Astolfa:

Astolf: Wiem... w śnie chcesz szukać szczęścia, ale go tam mało:  
 Raczej resztę w nim stracisz. I z tego to względu  
 Nie lubię chwili często przyjemnego błędu:  
 Wznosić nieszczęśliwego z zwyczajnej kolei,  
 By mu pokazać szczęście lub powab nadziei,  
 By obudzić uśpione jego serca bicie  
 I znowu go wytrącić w oplakane życie,  
 Gdzie ledwie wytrwać może pod losu uciskiem,  
 To jest tylko szyderskim natury igrzyskiem.  
 Czesław: Ach, ulgą, powiedz.  
 Astolf: Ulgą, jakiej ten doznaje,  
 Komu płomień zwalniają, gdy na stosie staje.  
 Dusza, co wytrwać może, wytrwa tylko tyle;  
 Ale odsuń marzenia, zostaw własnej sile!  
 I gdy ciężar cierpienia nieść mamy po świecie,  
 Nieśmy go bez spoczynku, póki nas nie zgniecie<sup>18</sup>.

W drugiej części wieczoru zostały wystawione dwie sceny z „poematu dramatycznego” *Godzina przestrogi*. Lechoniowi marzył się wielki utwór dramatyczny na miarę Mickiewiczowskich *Dziadów*, w którym by podjął najważniejsze sprawy współczesnej emigracji. W 1942 roku opublikował jego pierwszy fragment zatytułowany *Dziadów część piąta*<sup>19</sup>. Przez wiele lat, wprowadzając postać Konrada Mickiewicza i Wypiańskiego, do tego zamiaru powracał i dopisywał jego fragmenty. Przedstawione na jubileuszowym wieczorze sceny z *Godziny przestrogi* stanowią część tego ambitnego, nieukończonego zamierzenia. Akcja sceny *Przed bitwą o Monte Cassino* rozgrywa się w przeddzień ataku II Korpusu na te góry.

Bitwa o Monte Cassino rozegrała się przed konferencją jałtańską. Ten fragment *Godziny przestrogi* ukazał się w druku wprawdzie parę miesięcy po jej zakończeniu, ale powstał zapewne wcześniej. Rozmowy żołnierzy odnoszą się do ustaleń konferencji w Teheranie z przełomu listopada i grudnia 1943 roku, która wywołała duże zaniepokojenie Lechonia<sup>20</sup>.

Milczenie uczestników wieczoru o tych próbach dramatycznych Lechonia, do których przywiązywał dużą wagę, uznać trzeba za jego porażkę, której – jak dowodzą tego cytowane wcześniej fragmenty jego *Dziennika* – był on świadomy. Być może również pod jej wpływem pisał do Tymona Terleckiego w liście z 8 czerwca 1955 roku: „Jak trumna Świętego – króla Bolesława, tak zdaje się Mickiewicz mnie powali!”<sup>21</sup>.

<sup>18</sup> Wszystkie cytaty pochodzą z książki Ireny Lorentowicz *Oczarowania*, s. 265–266.

<sup>19</sup> „Tygodniowy Przegląd Literacki Koła Pisarzy z Polski” (Nowy Jork) 1942, nr 6.

<sup>20</sup> Poświęcił jej dwa artykuły: *Nie możemy milczeć* („Tygodnik Polski” 1943, nr 51) i *Widma Teheranu, światła odmiany i mary szlachetczyzny* („Tygodnik Polski” 1945, nr 6).

<sup>21</sup> Tymon Terlecki, *Dwa profile Jana Lechonia* [w:] *Pamięci Jan Lechonia*, s. 23.

Przemówienie Jana Lechonia wygłoszone na zakończenie wieczoru opublikowały londyńskie „Wiadomości”:

Przepraszam was, drodzy państwo za to, coście musieli przeżyć, aby zadość uczynić tej mojej zachciance. To co uczyniłem podpada pod nazwę zbrodni w namiętności, kiedy to miłość sięga swego zenitu w unicestwieniu ukochanej osoby. Tak ja właśnie przed godziną, kochając mordowałem Fredrę. Niewłaściwość mego postępu może przecież umniejszyć przypomnienie, że podobnej jak ja słabości ulegali świetniejsi ode mnie, dość powiedzieć, że sam Mickiewicz grał ni mniej ni więcej, tylko jakąś Natalię Czuwańską, choć zdawał sobie na pewno sprawę, że nigdy nie dorówna Jadzi Smosarskiej. Niech się jednak państwo nie trwożą. Dzisiejszy wybryk, za który was najmocniej przepraszam, nigdy się nie powtórzy i pamiętny na słowa Alcesta: „Niechaj się o laury aktorskie nie kusi, póki go kto pod gardłem do tego nie zmusi”; przysięgam wam, że choćby jakiś zainteresowany w pohańbieniu mnie przyjaciel pisarz przystawił mi nóż do gardła i siłą ciągnął na scenę, nie ulegnę demonowi, który tak łatwo namawia Polaków na robienie tego, o czym nie mają pojęcia<sup>22</sup>.

Irena Lorentowicz przekazała, że „Lechoń nazywał ten wieczór swoim pogrzebem. Był bardzo błądy, papierowo błądy i milczący”<sup>23</sup>.

Rok później odebrał sobie życie.

<sup>22</sup> „Wiadomości” (Londyn) 1955, nr 30.

<sup>23</sup> Irena Lorentowicz, *Oczarowania*, s. 266–267.

W liście do Mieczysława Grydzewskiego z 19 maja 1955 roku Józef Wittlin pisał o tym wieczorze: „Leszkowi zależy, żeby w »Wiadomościach« było moje zdanie o jego występie scenicznym w *Odludkach i poecie*. Więc, jeśli chcesz, wydrukuj z łaski swojej, niczego nie opuszczając: Lechoń zagrał Astolfą w *Odludkach i poecie* Fredry. Był przejmujący. Błądy, bez charakteryzacji, w jakimś zielonym, posępnym, długim surducie Biedermayer budził litość, i można było patrząc na niego, płakać, gdyby nie publiczność rozbawiona widokiem poety grającego wroga poezji i wroga ludzi. Zdawało się, że tą pierwszą i – jak zapewniał – ostatnią swoją kreacją aktorską, chciał Lechoń pozbyć się jakichś, od dawna gniojących go »kompleksów«. Miałem wrażenie, że oglądam »żywą ilustrację« do niektórych, najbardziej osobistych »Kartek z Dziennika«. Ta rola odegrana piwnicznym, lecz świetnie modulowanym głosem (zasługa reżysera Ziemowita Karpińskiego!) na długo pozostanie mi w pamięci” (*Z listów do Mieczysława Grydzewskiego 1946–1966*, wybór, wstęp i opracowanie Rafał Habielski, Londyn 1990, s. 147).

„Polskie piekło” obecne również wśród polskich emigrantów dawało też o sobie znać w kręgu spraw dotyczących Lechonia. Nie mogło ono być bez wpływu na samopoczucie poety. W tym samym zbiorze archiwaliów znajduje się również taki oto „dokument”, list, który wpłynął na „ręce prezesa Polish Institute of Arts and Sciences in America. List w istocie anonimowy. Fikcyjne imię i nazwisko jego autora, a także adres zawierają czytelne aluzje do sprawy, której cały list dotyczy:

„Szanowni Panowie,

Z pewnym opóźnieniem spowodowanym objazdem po Ameryce przeczytałem w prasie polskiej („Nowy Świat”) sprawozdanie o obchodzie, którym uczczono [jubileusz] Jana Lechonia Serafinowicza [sic!].

Byłem przykro zdziwiony, że w wygłoszonych przy tej sposobności przemówieniach pominięto zupełnie niespożyte zasługi solenizanta na niwie pederastii polskiej. Uważam to za celowo pod adresem pederastów polskich wymierzoną obelgę, a także jako uchybiające pominięcie zasług Jana Lechonia, tego Oskara Wilde’ a polskiego w dziedzinie, jaką jest pederastia jako taka. Słowa moje są protestem przeciwko nie zasłużonej krzywdzie, która nas, pederastów polskich na obczyźnie, spotkała, ze strony inicjatorów wyż. wspomnianego obchodu.

Z moim szacunkiem

Agapit Tylosz

Generalny Sekretarz Zrzeszenia Pederastów Polskich na Obczyźnie.

63 Pansy Lane, Coxackie, N.Y.”.

A trzeba pamiętać, że nie były to czasy dzisiejszej tolerancji dla homoseksualistów. Przeciwnie, groziły im w Ameryce dotkliwe sankcje administracyjne, a nawet karne; nie mówiąc już o ostracyzmie towarzyskim.



## WIECZÓR JANA LECHONIA



Central High School of Needle Trades  
225 West 24th Street, w Nowym Jorku

**NIEDZIELA, 24-go KWIETNIA, 1955**  
3:30 Po południu



POLSKI INSTYTUT NAUKOWY W AMERYCE  
145 EAST 53rd STREET, w NOWYM JORKU  
POLSKI KOMITET IMIGRACYJNY  
25 ST. MARKS PLACE, w NOWYM JORKU

## K O M I T E T

---

<b>Maria Babicka</b>	<b>Maria Modzelewska</b>
<b>Wincenty Bejtman</b>	<b>Ignacy Morawski</b>
<b>Tosia Berli</b>	<b>Michał Mościcki</b>
<b>Aniela Borowikowa</b>	<b>Ryszard Mossin</b>
<b>Władysław Borzęcki</b>	<b>Maria Nagórska</b>
<b>Ksiądz Prałat Feliks Burant</b>	<b>Zofia Nakoneczna</b>
<b>Cecylia Burr</b>	<b>Stanisława Nowicka</b>
<b>Irena Hr. Cittadini</b>	<b>Władysław Opaliński</b>
<b>Zdzisław Czermański</b>	<b>Maria Pehrowa</b>
<b>Włodzimierz Falencki</b>	<b>Wanda Pilch</b>
<b>Antoni Gordon</b>	<b>Zofia Przystalska</b>
<b>Oskarowa Halecka</b>	<b>Halina Raczyńska</b>
<b>Oskar Halecki</b>	<b>Zofia Rajchmanowa</b>
<b>Mieczysław Horszowski</b>	<b>Maria Rathausowa</b>
<b>Janusz Iliński</b>	<b>Rudolf Rathaus</b>
<b>Apolonia Jaffe</b>	<b>Henryk Rozmarynowski</b>
<b>Florentyna Jarzębowska</b>	<b>Arturowa Rubinsteinowa</b>
<b>Kazimierz Jarzębowski</b>	<b>Gizela Schenkerowa</b>
<b>Faustyna Jordanowa</b>	<b>Oskar Schenker</b>
<b>Maria Kanarkowa</b>	<b>Zofia Seidenmanowa</b>
<b>Ziemowit Karpiński</b>	<b>Wacław Solski</b>
<b>Zofia Kochańska</b>	<b>Stanisław Strzetelski</b>
<b>Stefan Korboński</b>	<b>Janina Szyfferowa</b>
<b>Zofia Korbońska</b>	<b>Karin Tiche</b>
<b>Edward Kossowicz</b>	<b>Maria Uniłowska</b>
<b>Sława Krancowa</b>	<b>Zofia Wańkowiczowa</b>
<b>Jerzy Krzywicki</b>	<b>Melchior Wańkowicz</b>
<b>Maria Krzywicka</b>	<b>Kazimierz Wierzyński</b>
<b>Janina Krzyżanowska</b>	<b>Edward Witanowski</b>
<b>Janina Kulikowska-Higersberger</b>	<b>Józef Wittlin</b>
<b>Maria Kuncewiczowa</b>	<b>Wanda Wolińska</b>
<b>Irena Lorentowicz</b>	<b>Adela Zachariasiewiczowa</b>
<b>Maria Marthowa</b>	<b>Władysław Zachariasiewicz</b>
<b>Aniela Mieczysławska</b>	<b>Regina Didyk-Zaorska</b>

POLSKI INSTYTUT NAUKOWY w AMERYCE

145 East 53rd Street, w Nowym Jorku

POLSKI KOMITET IMIGRACYJNY

25 St. Marks Place, w Nowym Jorku

•  
 *zaproszenie*

n a

WIECZÓR JANA LECHONIA

z okazji wydania

„POEZJI ZEBRANYCH”

który odbędzie się

w NIEDZIELĘ 24-go KWIETNIA 1955

o GODZINIE 3:30 POPOŁUDNIU

w CENTRAL HIGH SCHOOL OF NEEDLE TRADES

225 West 24th Street, w Nowym Jorku

Program literacki, muzyczny i taneczny,  
w którym wezmą udział najwybitniejsi artyści polscy.

Wykonane będą, między innymi:

jednoaktowa komedia Fredry „Odlutki i Poeta”

oraz fragmenty dramatyczne Jana Lechonia

•  
Sprzedaż biletów: P. K. I. — 25 St. Marks Place, N.Y.C.

Wł. Twardowski, 17 St. Marks Place, N.Y.C.

„Cafe Rendez-vous, 56 East 55th Street, N.Y.C.

Tadeusz Maksymowicz, 642 Fifth Avenue, Brooklyn, N.Y.

oraz u pań z Komitetu Wykonawczego

w dzień imprezy — przy kasie.



## Program

---

— Część Pierwsza —

- Zagajenie ..... Prof. Oskar Halecki
- Przemówienie ..... Maria Kuncewiczowa
- F. Chopin - Mazurek  
K. Szymanowski - Etiuda } ..... Jan Gorbaty  
I. Albeniz - Asturias }
- Fragment z „Pana Tadeusza” ..... Stanisław Sielański
- Pipsenki Ludowe ..... Dora Kalinówna  
(przy fortepianie - S. FERSZKO)

### „ODLUDKI I POETA”

KOMEDIA w JEDNYM AKCIE — ALEKSANDRA FREDRY

Reżyser — Ziemowit Karpiński

- Zuzia ..... Ewa Rubinstein
- Kapka Oberżysta ..... Edward Anczo
- Astolf ..... Jan Lechoń
- Czesław ..... Henryk Rozmarynowski
- Edwin ..... Kazimierz Michalski

P r z e r w a

— Część Druga —

## POGRZEB PIŁSUDSKIEGO

(scena z poematu dramatycznego Jana Lechonia „Godzina Przestrogi”)

Reżyser — Maria Modzelewska

Wykonają:

Maria Modzelewska

Marek Raczyński

Franciszek Czarnomski

Henryk Rozmarynowski

Edward Kossowicz

Edward Witanowski

Leszek Pawłowicz

Jan Witanowski

\* \* \* \*

Jan Lechoń „Matka Boska Częstochowska” .. .. . Zofia Nakoneczna

## PRZED BITWĄ O MONTE CASSINO

(scena z poematu dramatycznego Jana Lechonia „Godzina Przestrogi”)

Reżyser — Ziemowit Karpiński

Wykonają:

Franciszek Czarnomski

Marek Raczyński

Kazimierz Michalski

Edward Witanowski

Leszek Pawłowicz

Jan Witanowski

Kilka Słów ..... Jan Lechoń

OPRAWA SCENICZNA — IRENA LORENTOWICZ

Fortepian z Firmy Steinway

## Inwalida pierwszej wojny światowej

Wielka wojna białych ludzi – by użyć tytułowej formuły powieściowego cyklu Arnolda Zweiga, była głównym przeżyciem pokoleniowym dla generacji, z której wywodził się Józef Wittlin. Owo przeżycie miało dwa ważne oblicza. Z jednej strony – było oczekiwaną sposobnością walki o niepodległość Polski, a z drugiej – wielką rzezią narodów, okrutną i absurdalną, przynoszącą dziesięć milionów zabitych oraz dwa razy tyle rannych i trwałych inwalidów.

Józef Wittlin, świadom tej pierwszej funkcji wielkiej wojny, przedstawia się nam jako najbardziej porażony tą drugą jej rolą. Jej pamięć nosił w sobie z przeświadczeniem, że to, co wiedział i widział, czego sam doświadczył, musi być zapisane. Z wyniesionym z pierwszej wojny światowej bagażem żył i tworzył aż do końca życia. Trafnie ujęła to Irena Maciejewska: „Nawet w widzeniu pejzażu i dawnej kultury (*Etapy*, eseje o świętym Franciszku) znać całkowite przeoranie świadomości przez owo pierwsze, okrutne doznanie naszego wieku”<sup>1</sup>.

Urodzony w 1896 roku w Dmytrowie na Podolu, naukę gimnazjalną pobierał we Lwowie. Należał tam do patriotycznych związków młodzieżowych, których członkowie marzyli o zbrojnym powstaniu przeciw zaborcom. Toteż, kiedy w 1914 roku zaczęła się wojna, wstąpił, jak wielu jego kolegów i rówieśników, do drużyn Sokoła, które wchodziły w skład Wschodniego Legionu Polskiego, by wziąć udział w wojnie przeciw zaborcy. Wkrótce jednak, po upływie jednego miesiąca ów Legion został rozwiązany, gdyż jego żołnierze odmówili przysięgi na wierność innemu zaborcy, Austrii i jej cesarzowi Franciszkowi Józefowi I.

W 1915 roku Wittlin wyjechał do Wiednia, by podjąć studia uniwersyteckie z zakresu filozofii i językoznawstwa. Szybko jednak musiał je przerwać, gdyż w następnym roku został powołany do austro-węgierskiej armii, w której spędził dwa lata jako szeregowiec i kadet.

Z krytycznym dystansem odnosił się do tych, którzy szukali możliwości schronienia się przed działaniami wojennymi na tyłach i w wojskowych kancelariach. Uważał, że właściwym dla poetów miejscem na wojnie jest linia frontowa. Tylko na niej można zdobyć wiedzę o życiu i śmierci człowieka, potrzebną również, a nawet szczególnie, pacyfście, za jakiego się uważał, wraz ze swym przyjacielem, austriackim pisarzem Józefem Rothem. W poświęconym mu wspomnieniu, wygłoszonym w Nowym Jorku w piątą rocznicę jego śmierci opowiadał:

---

<sup>1</sup> Irena Maciejewska, *Doświadczenie wielkiej wojny – Józef Wittlin* [w:] *Poeci dwudziestolecia międzywojennego*, pod redakcją Ireny Maciejewskiej, t. II, Warszawa 1982, s. 481.

Już w pierwszym roku wojny byliśmy obaj pacyfistami [...]. Wojnę uważaliśmy za zbrodnię, narzuconą niewinnemu barankowi, jakim jest człowiek, wbrew jego prawdziwym skłonnościom. A narzucali mu ją cesarze, ministrowie i generałowie, wobec których człowiek [...] był bezsilny<sup>2</sup>.

Z niechęcią patrzył na „kindermannów”, którym wojna nie przerwała kariery podczas gdy na froncie ginęli ich koledzy, krytyczną względem „kawiarnianych buntów” przeciwko wojnie, powodowani nadto literacką ciekawością, postarali się obaj (przy pomocy stryja Wittlina, który był lekarzem wojskowym w randze pułkownika) o przydzielenie ich do ekskluzywnego 21. batalionu feldjegrów 80. pułku piechoty, by dostać się na front.

Nie były im tam oszczędzone poniżenia i upokorzenia. Znaleźli się we władzy tępoty, wulgarności, a także wrogości wywoływanej tym, że porozumiewali się ze sobą po polsku. Za karę ich rozdzielono i przeniesiono do „gorszych”, słowiańskich formacji. Józefa Wittlina – do cieszącego się najgorszą reputacją Hurrenbatalionu feldjegrów nr 18 w Kraśniku.

Był więc Wittlin bezpośrednim świadkiem wojennych wydarzeń, ich uczestnikiem i wrażliwym obserwatorem. Wyniósł z wojny przekonanie, że jest ona siłą najbardziej deprawującą ludzkość. Określiła też na trwałe jego biografie, o czym pisał po latach, w 1946 roku, we wspomnieniu *Mój Lwów*: „Gdyby nie tzw. wielka wojna, jakże malutka w porównaniu z ostatnią, po dziś dzień siedziałbym sobie na Wałach Gubernatorskich, jako jeszcze jeden centus, jeszcze jeden emeryt któregoś c.k. gimnazjum z językiem wykładowym – polskim”<sup>3</sup>.

Nieprzypadkowo bogaty w wybitne dzieła nurt antywojennej, pacyfistycznej literatury powstającej po pierwszej wojnie światowej nie znalazł w literaturze polskiej silniejszego oddźwięku. To głównie *Hymny* Józefa Wittlina, a później (ale to znacznie później, gdy na Zachodzie ten nurt przygasł, przeminął) *Sól ziemi*, jedyna w polskiej literaturze prawdziwie antywojenna powieść, miała ten nurt kontynuować.

Dla Polaków walczących o niepodległość swego państwa wojna nie była tak absurdalna i bezmyślna w swym okrucieństwie, jak dla pisarzy zachodnich. Wittlin to widział i z ogólnego potępienia wojny wyłączał polskie powstania 1794, 1830 i 1863 roku oraz czyn legionowy z czasu pierwszej wojny światowej. Powracał do tych kwestii w dniach śmierci Józefa Piłsudskiego:

A kiedy wielka wojna wcieliła nas w cesarskie i królewskie pułki i patrzyliśmy na straszliwą i bezsensowną rzeź okłamywanych narodów, pośród wszystkich mundurów tej wojny jeden tylko wydawał się nam czysty: niebieski mundur komendanta i jego legionów. Przy nim była nadzieja na sens tej wojny, z myślą o nim lżej było nam tę wojnę znosić w obcej i bezdusznej armii. Przy nim była prawda<sup>4</sup>.

Przy całej grozie wojny, jej przerażającym obliczu, Wittlin próbował również dozukiwać się jakichś wartości we frontowym doświadczeniu żołnierza. Upatrywał je w zdolności do męstwa i poświęcenia, w więzach przyjaźni i solidarności między towarzyszami broni, w szacunku dla przeciwnika. Rozwinał te myśli w pisanym w 1926

<sup>2</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne i inne eseje*, wybór, opracowanie i przedmowa Jan Zieliński, Warszawa 1991, s. 260.

<sup>3</sup> Tamże, s. 159.

<sup>4</sup> Tamże, s. 216.

roku eseju *Wojna, pokój i dusza poety*. Kiedy wprowadzał go do wydanego w 1963 roku zbioru *Orfeusz w piekle XX wieku*, uznał za niezbędne zaznaczenie swych wątpliwości wobec własnych wcześniejszych przemyśleń: „Jeśli rzeczywiście taka umiejętność zrodziła się wśród uczestników pierwszej wojny światowej, to żywot jej był krótki i chyba nikt jej nie zauważył wśród kombatantów drugiej wojny”<sup>5</sup>.

A jednak kilka lat później, gdy zęgnął na zawsze Kazimierza Wierzyńskiego, podnosił jego cnoty koleżeństwa i przyjaźni, łącząc je z przeżyciami poety na frontach pierwszej wojny światowej i w rosyjskiej niewoli<sup>6</sup>.

W 1920 roku ukazały się w Poznaniu *Hymny* Józefa Wittlina. Już sama forma zapowiadała podniosłość wyrażonych w niej doznań. Wywodziła się z modernizmu, inspirowały ją hymny Jana Kasprowicza. Pod piórem Wittlina miała służyć wyrażeniu żołnierskiej codzienności.

*Hymny* są ekspresją nagromadzonych przeżyć wojennych, doznawanych przez poetę wraz z innymi towarzyszami broni, w poczuciu pełnego z nimi braterstwa i solidarności. Jest w nich przerażenie wojną, obraz cierpień, które z sobą niosła i protest przeciwko niej; są „krzykiem ginących batalionów”. U ich źródeł była postawa poety, do której on sam odnosił później słowa zwątpienia: „Wciąż jeszcze wówczas wierzyłem, iż poezją można zmienić świat. Sądziłem, że literatura w okresie powojennym ma do spełnienia misję, której nie udało się wypełnić w czasie wojny religiom. Rozczarowanie przyszło znacznie później”<sup>7</sup>.

*Hymny* wyrażają poczucie wspólnoty, braterstwa. U jego podstaw leży ład moralny odwołujący się do wszechobejmującej miłości między ludźmi. *Hymny* są tym w polskiej poezji, czym w niemieckiej były wiersze liryczne Franciszka Werfla. Jedne i drugie cechuje charakterystyczny dla ekspresjonizmu komunizm, mistyczne przeżywanie wspólnoty, jak na przykład w *Trwodze przed śmiercią* – w modlitwie młodego chłopca przerażonego żniwem śmierci na wojnie:

Ja nie chcę umrzeć!  
O Panie, my wszyscy nie chcemy umierać!<sup>8</sup>

Poczucie wspólnoty obejmuje również wroga, który w walce ginie tak samo jak żołnierze własnych szeregów. W *Hymnach* nie ma miejsca dla nienawiści wobec przeciwnika. Jest on również budzącą odruch solidarności ofiarą tego samego, niezawinionego losu; tego samego, wrogiemu człowiekowi mechanizmu. Wittlinowi obce było uczucie nienawiści do wroga. Przyjaźnił się z rosyjskimi i włoskimi jeńcami:

Mimo wszystkich okropności tamtej wojny, przynajmniej w znanych mi sytuacjach „wróg” rozbrojony i wzięty do niewoli, przestawał być wrogiem i był już tylko naszym kolegą, pragnącym jak my, aby ta wojna się skończyła jak najprędzej<sup>9</sup>.

Wróg z wiersza *Grzebanie wroga* nie jest wrogiem. Jego ciało jest takie samo, jak ciało zabitego brata. Dla młodego żołnierza, któremu rozkazano pogrzebać zabitych na

<sup>5</sup> Tamże, s. 198.

<sup>6</sup> Zob. Józef Wittlin, *Epitafrum* [w:] *Eseje rozproszone*, opracował Paweł Kądziela, Warszawa 1995, s. 154. Trwałości przyjaznych więzów i żołnierskiej solidarności wyniesionej z pierwszej wojny światowej w postawie Kazimierza Wierzyńskiego dowodzi także jego wiersz *Na śmierć Władysława Broniewskiego*.

<sup>7</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne...*, s. 356.

<sup>8</sup> Józef Wittlin, *Poezje*, wstęp Juliana Rogozińskiego, Warszawa 1978, s. 28.

<sup>9</sup> Józef Wittlin, *Sól ziemi. Powieść o cierpliwym piechurze*, Warszawa 1979, s. 272.

polu bitwy przeciwników, czynność ta jest powodem moralnego wstrząsu, który wyraża się w sarkazmie, goryczy i poczuciu zażycia samobójczej dla zdrowej psychiki trucizny:

A teraz jestem jak głaz  
 A teraz jestem jak głaz  
 Zimny  
 [...]  
 Serce mam strute<sup>10</sup>.

I to jest powód, by bić na alarm.

Wspólny, tragiczny i absurdalny los dwóch przeciwników w śmiertelnym zwarciu przedstawia wiersz *Do przeciwnika* z obrazem wystylizowanym na antyczny relief. Złączeni bitewnym szalem walczą o „jedyną, nie nazwaną, świętą Rzecz”, by w chwili refleksji stanąć w znieruchomiałym zdumieniu:

Stoimy obaj, jako z oczu Boga  
 Na świat z wysokich niebios wyplakane –  
 Dwie wielkie, czyste i niepokalane,  
 I nic o sobie wzajem nie wiedzące,  
     Żywe, gorące  
     Łzy<sup>11</sup>.

Światopogląd wpisany w *Hymny* wspiera się o wiarę w Boga. Ładowi moralnemu, dyktującemu protest przeciw wojnie towarzyszy wiara w Stwórcę, ku któremu zwracają się bohaterowie *Hymnów*. Nie oznacza to wszakże aprobaty dla zachowania się ziemskich rzeźników wiary, ku którym zwrócone są krytyczne słowa:

Panujące w krajach cywilizowanych religie, które w czasie pokoju mają odwieczny przywilej dzierżawy moralności ludzkiej i obowiązek czuwania nad czystością dusz, z wybuchem wojny rzadko starają się protestować przeciw tym frymarkom sumienia. Widząc swoją bezsilność, spokojnie patrzą na to, jak dusza pakuje z szatanem i w obawie zupełnej izolacji truchcikiem biegną na stronę większości sprawującej władzę<sup>12</sup>.

Wojny rozpoczynają się od uroczystego nabożeństwa za pomyślność strategicznych operacji, religie wprzega się do „zarządu wojny”, powołuje się kapelanów, nadaje się im stopień co najmniej kapitana, a oni w zamian nauczają, że cel, dla którego walczy ich armia, jest święty.

Szczególnie sarkastyczny, wręcz szyderczy wobec panującej mentalności oraz stosowanego obyczaju i ceremoniału jest wiersz *Pochwała miecza*. W kadzidlanych dymach, z udziałem kapłanów i wzruszonych wiernych składa się w ofierze Bożej Rodzicielce piękny miecz z damasceńskiej stali, który umiał mistrzowsko ścinać ludzkie karki. Jest to szyderstwo z ceremoniału, w którym dochodzi do nadużycia wiary, nie Boga:

A oto serce Jezusowej Matki  
 Siedmiu mieczami siedmiokroć przeklute,

<sup>10</sup> Józef Wittlin, *Poezje*, s. 37.

<sup>11</sup> Tamże, s. 55.

<sup>12</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne...*, s. 27.

A oto męka i śmierć Jezu Chrysta  
Oplute<sup>13</sup>.

Podobny sarkazm, ironię i szyderstwo, tym razem skierowane przeciw państwowej ceremonii wprowadzonej po pierwszej wojnie światowej, a związanej z ideą Nieznanego Żołnierza wyraził Wittlin w wierszu *Żołnierz znany*. Wytknął w nim obłudę polegającą na oddawaniu hołdu poległemu Żołnierzowi Nieznanemu, podczas gdy Żołnierz Znany, szeregowiec Chamuła, jest poniżany, zamykany do paki za byle, często urojone, przewinienie. Jego udziałem jest błoto, wszy i głód doprowadzający do stanu przedstawionego w *Hymnie o byźce zupy*<sup>14</sup>.

Wittlin pracował nad *Hymnami* przez wiele lat, aż do ostatniego wyboru jego *Poezji*, który, obmyślony i ułożony przez niego ukazał się już pośmiertnie w 1978 roku w Warszawie. Nadawał im większą zwięzłość, cyzelował słowa, redukował rozmiar, uwalniał od młodopolskich naleciałości, nadawał im styl bardziej klasyczny<sup>15</sup>.

Wittlinowi w czasie doświadczeń wojennych towarzyszył twórca *Odysei*. W *Elegii do Homera* napisanej na ukończenie przekładu jego dzieła w 1921 roku, jest tego potwierdzenie:

Aż raz w wojskowym szpitalu  
na jakiejś strasliwej wojnie,  
Mówiłeś do mnie spokojnie  
o tym, że miasta się palą.  
Płynęła krew.  
W to życie moje bydłące  
wtargnąłeś z królem Itaki:  
On ręce podał mej męce<sup>16</sup>.

W tułaczce Odysa odczytywał Wittlin metaforę losu tułającego się na wojnie żołnierza, który tęskni do rodzinnego domu, do spokoju, do ojczyzny. Mówił po ukazaniu się we Lwowie pierwszego wydania jego przekładu *Odysei*:

*Odyseja* powstała pod nakazem tych samych uczuć, które mi kazały pisać moje *Hymny*, żywiołowy pęd do przezwyciężenia śmierci za wszelką cenę, jest ona dokumentem żywotności w obliczu czyhającej na człowieka ze wszystkich stron śmierci, jest dowodem zwycięstwa człowieka nad żywiołem morskim, nad żywiołem nienawiści ludzkiej i zdrady<sup>17</sup>.

Nie pociągała go wojna o Troję, lecz tułaczka Odysa, sytuacja indywidualna jednostki, nie członka wspólnie działającej zbiorowości. Nad przekładem *Odysei* pracował prawie całe życie. Cyzelował tłumaczenie. Drugie, pieczołowicie poprawione wydanie ukazało się w Warszawie w 1931 roku. Druga wojna światowa skłoniła go do ponownego przejrzenia przekładu. Zabrał się do tego wiosną 1944 roku, nasłuchując doniesień z Monte Cassino, z powstańczej Warszawy, z alianckiego desantu w Normandii. Wyznał później: „Niech mi to nie będzie poczytywane za wdzięczenie się, gdy powiem, że

<sup>13</sup> Józef Wittlin, *Poezje*, s. 40.

<sup>14</sup> Podobne sarkastyczne tony związane z Grobem Nieznanego Żołnierza można spotkać u Władysława Broniewskiego (*Soldat Inconnu*) i Juliana Przybosa (*Łuk*).

<sup>15</sup> Ciekawe porównanie różnych redakcji *Przedśpiewu* zawiera się w szkicu Ireny Maciejewskiej *Doświadczenie Wielkiej wojny...*

<sup>16</sup> Józef Wittlin, *Poezje*, s. 91.

<sup>17</sup> Józef Wittlin, *Eseje rozproszone*, s. 177–178.

nową, trzecią redakcję tłumaczenia *Odysei* podjąłem z myślą o nowych naszych Odytach i Telemachach<sup>18</sup>. Ukazało się ono w Londynie w 1957 roku; było dedykowane pamięci Bolesława Micińskiego i Tadeusza Gajcego.

W *Hymnach* mówi się o „fabrykantach trupów, królach”, decydujących o losach mas żołnierskich, ale Wittlin nie podejmuje politycznej czy socjologicznej analizy zjawiska wojny. Dopisuje komentarz poety moralisty, najpełniej rozwinięty w eseju *Wojna, pokój i dusza poety* z 1926 roku. Pisał go w czasie, gdy jeszcze żyli inwalidzi wojenni i świeże jeszcze było przerażenie wywołane wojną. Ale – równocześnie – już zaczęto poszukiwać usprawiedliwienia dla niej i wskazywać winnych.

Poddał analizie zachowanie się tych autorów, którzy „nieświadomie zdołali ocalić ziarno wiary Chrystusowej<sup>19</sup> przy milczeniu Kościoła, który nawet niekiedy wspierał wojnę.

Podzielił pisarzy na dwie grupy. Do pierwszej zaliczył tych, którzy byli również żołnierzami na froncie. Do drugiej – tych, którzy w wojnie udziału nie brali; ewentualnie oglądali ją z pozycji uprzywilejowanych sprawozdawców. W obydwóch grupach mogli się znaleźć zarówno przeciwnicy wojny, jak i jej zwolennicy. Wśród tych ostatnich dostrzegł Emila Verhaerena, Maurycyego Maeterlincka, Maurice’a Barres’a, Gerharta Hauptmanna, Gabriela d’Annunzia, Filipa T. Marinettiego.

Wśród przeciwników wojny wymieniał: Romain Rollanda, Anatola France’a, H.G. Wellsa, G.B. Shawa, Henri Barbuse’a, George’a Duhamela, Leonarda Franka, Andrzeja Latzko<sup>20</sup>.

Z zalem stwierdzał, że poeci występujący przeciw wojnie (do których sam należał) byli bardziej osamotnieni niż jej entuzjaści, którzy folgując uczuciom patriotycznym, podsycali nienawiść do wroga, jak na przykład Ryszard Dehmel i Gerhart Hauptmann, którzy nie cofnęli się przed najbrutalniejszymi sposobami poetyckiego lżenia przeciwników. W związku z wierszem Ernesta Lassauera *Hassgesang gegen England* zauważył, że frontowi żołnierze niemieccy nie czuli tak wielkiej nienawiści do walczących z nimi Anglików, jaką w swych odezwach i wierszach nagromadzili niemieccy „krwawi poeci rezydujący w gemütliche kawiarniach<sup>21</sup>”.

Przywilej sztuki (w tym poezji) do nieliczenia się z moralnością, do uwolnienia się od hamulców etycznych odnosił Wittlin do czasów pokojowych. Za naturalną natomiast i pożądaną uważał obudzoną przez wojnę „zastarzałą manię poprawiania świata<sup>22</sup>”. Wojna skondensowała problemy i sytuacje zawsze fascynujące poetów do „wielkiego misterium śmierci włącznie”. Ukazała tragiczne powikłania ludzkich losów w pełnym wymiarze, dostarczyła sposobności obserwowania natury ludzkiej bez osłonek. Ożywiła zainteresowanie problematyką moralną, a także kwestiami społecznymi i politycznymi.

W idei pacyfistycznej widział głos samozachowawczego instynktu ludzkiego wysuwającego na pierwszy plan obraz ogólnego cierpienia, któremu muszą ustąpić racje narodowe, rasowe, polityczne i gospodarcze usiłujące uzasadnić wojnę.

Wittlin nie pretendował do roli kompetentnego analityka procesów społecznych wywołujących wojnę i decydujących o jej przebiegu. Przyznawał się do dyletantyzmu w tej

<sup>18</sup> Józef Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Paryż 1963, s. 565.

<sup>19</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne...*, s. 28.

<sup>20</sup> Tamże.

<sup>21</sup> Tamże, s. 29.

<sup>22</sup> Tamże.



dziedzinie, ale podobny dyletantyzm dostrzegał również u nacjonalistycznych zwolenników wojny.

Zarówno politykę, jak i pozostającą z nią w konflikcie moralność wyprowadzał z ludzkiej natury. Był przekonany, że kultura będzie się tak długo opierać na ewolucji krzywd zadawanych sobie wzajemnie przez ludzi, jak długo istnieć będzie etyka obowiązująca tylko w granicach jednego państwa czy narodu.

Daleki od ferowania uproszczonych sądów uważał, że jeżeli chce się zrozumieć „bolesne rozdwojenie w duszy człowieka, będące przedmiotem literackiego opracowania”<sup>23</sup>, trzeba wziąć pod uwagę wszystkie argumenty przemawiające za wojną i przeciw niej. Tkwi w niej bowiem tragiczna tajemnica. Nie jest dziełem jedynie nienawiści. Nie prowadzą jej jedynie ludzie źli lub szaleni. Czynią to ci sami, którzy w życiu prywatnym i obywatelskim wykazują wiele cnót. Zastanowienia się wymaga mechanizm pobudzania olbrzymich mas najobojętniejszych ludzi do unicestwiania innych, równie obojętnych.

Literacki obraz tych tragicznych dylematów znajdował w antywojennych utworach, które zawierały oskarżenie całej ludzkości: w *Ogniu* Barbusse’a, w *Vie des martyrs* Duhamela, w *Clérambault* Rollanda, w *Der Mensch ist gut* Franka, w *Menschen in Kriege* Latzko, w *Vous étés des hommes* Jouve’a, w *Les Temps Maudits* Martineta, w dramatach Vildraca.

Wysoko stawiał powieść Barbusse’a, z którym się zetknął w młodości. W *Ogniu*, napisanym przez żołnierza, Wittlin i jego rówieśnicy znaleźli słowo prawdy o rzezi wojennej i żołnierskiej egzystencji. Dla podobnego autentyzmu cenil *Vie des martyrs* Duhamela i jego *Civilisation*, napisane przez wojskowego lekarza frontowego, który w najgorszych warunkach przeprowadził ponad tysiąc dwieście operacji, a w dziełach swoich udzielił głosu pacjentom, sam usuwając się na dalszy plan.

Powieściom Józefa Rotha *Flucht ohne Ende* i Georga von der Vringa *Soldat Suhren* poświęcił szkic *Dwie powieści o wojnie*, napisany w 1928 roku, a więc już w czasie pracy nad *Solą ziemi*. Toteż w komentarzu do *Żołnierza Suhrena* można odczytać nie tylko pochwałę tego utworu, ale również przemyślenia nad własną, Wittlina, powieścią:

Tok opowiadania jest tak spokojny, że sięga niemal granic prawdziwej epiki. Należy się zastanowić nad tym, czy cechą epiki jest rzeczywiście obojętność wobec opisywanych faktów. Sądząc po Homerze, tym zimnym na pozór i uczuciowo niezaangażowanym sprawozdawcy, zdawałoby się, że tak. Śmiem jednak po dłuższym obcowaniu z Homerem stwierdzić coś wręcz przeciwnego. Pozorna obojętność epika niczym innym nie jest, jak tylko spotęgowaną miłością do wszystkich opisywanych osób i przedmiotów. Tylko wielka miłość lub wielka nienawiść umożliwia epikowi wgląd w najdrobniejsze zakamarki życia i pozwala to życie sprawiedliwie wydobyc na światło dzienne i utrwalić na wieki.

Homer nie brał udziału w wojnie trojańskiej, mógł przeto kochać i cenić zarówno Greków, jak i Trojan. Stosunek jego do tych ludzi jest bardziej boski od stosunku olimpijskich bogów, niejednokrotnie pokaranych ludzkim zaślepieniem. [...] Zimna, bezinteresowna epopeja wojny światowej powstanie zapewne kiedyś po śmierci ostatniego jej uczestnika<sup>24</sup>.

Z mniejszym uznaniem odnosił się do utworów polskich pisarzy podejmujących tematykę pierwszej wojny światowej. Cenil *Przymierze serc* Juliusza Kadena-Bandrowskiego, *Żółty Krzyż* Andrzeja Struga, *Konia na wzgórzu* Eugeniusza Małaczewskiego. W ogólnej jednak ocenie dorobek pisarzy polskich w tej dziedzinie nie wydawał mu się

<sup>23</sup> Tamże, s. 32.

<sup>24</sup> Józef Wittlin, *Orfeusz w piekle...*, s. 420.

zbyt imponujący. Szczególnie raził go „wybujały frazes patriotyczny lub równie wybujały i krzykliwy frazes antywojenny”<sup>25</sup>. Wyżej stawiał anatomie bitwy w powieści Stanisława Rembeka *W polu*: opis walki, obrazy ruchu, sceny z życia żołnierzy na tyłach, w natarciu i odwrocie, w zwycięstwie i klęsce frontowej. I co było dla Wittlina bardzo ważne: Rembek nie uległ pokusie frazeologii patriotycznej.

Wobec milczenia oficjalnych kapłanów i religii przychylających się do wiktorii wojennych Wittlin uważał, że poezja właśnie ma do odegrania ważną rolę w proteście przeciw wojnie i w poszukiwaniu nowego ładu w świecie ludzkim, opartego na sumieniu i miłości. Domagał się szacunku dla poetów, którzy w czasie wojny, na przekór odwiecznemu porządkowi świata poszukiwali miłości i „wbrew powszechnej obłudzie, pożytkowanej dla interesów materialnych, pędzeni »mistycznym« rozumem starali się ratować z płonącego domu resztki ludzkiego sumienia”<sup>26</sup>.

Przesłanie Wittlina, wyprowadzone z jego własnych doświadczeń, z cenionych przez niego dzieł pisarzy wstrząśniętych zjawiskiem wojny, sprowadzało się do wypowiedzenia wojny „bestii zamieszkałej w ludzkim ciele” i przekonania, że ludzkie piękno, które z dumą przekazujemy potomności „rodzi się ze skrzyżowania naszej woli z wolą bliźniego, kiełkuje w aktach rezygnacji, milczenia ubóstwa, poświęcenia, miłości”<sup>27</sup>.

Mogą być też wojny zrodzone z wielkiej miłości do własnego kraju, mające charakter powstań narodowych, obrony koniecznej. Takie wojny zyskiwały aprobatę Wittlina. W nich nie zachodziło uprzedmiotowienie i degradacja człowieka, traktowanie go jak bezdusznego mechanizmu. „Trud i praca żołnierza zgrupowanego wokół wodzów takich, jak Piłsudski, Haller, Dowbór-Muśnicki, nie miały w sobie nic ze szpetoty militarnego rzemiosła, spełnianego pod przymusem”<sup>28</sup>. Bojownikom o wolność Polski przypisywał „heroizm niedobrowolnej zbrodni”<sup>29</sup>.

Stosunek Wittlina do europejskiego pacyfizmu był bardziej złożony, niżby to wynikało z dotychczasowych komentarzy do jego twórczości<sup>30</sup>. *Hymny* wyrosłe z doświadczenia pierwszej wojny światowej wyrażały jednoznacznie powszechne cierpienie będące udziałem żołnierza rzuconego w tryby wojennej maszyny aż do śmiertelnego kresu. Ale już wkrótce wojna polsko-ukraińska o Lwów odśloniła Wittlinowi ograniczenia ideologii pacyfistycznej: „Ten fakt przekreślił wszystkie nadzieje i pacyfistyczne rachuby dwóch poetów polskich, byłych żołnierzy austriackich; śp. Jana Stura i Józefa Wittlina”<sup>31</sup>.

W 1929 roku opublikował Wittlin esej pod znamienym tytułem: *Ze wspomnień byłego pacyfisty*. Ważna też była dedykacja: „Antoniemu Słonimskiemu”, który na łamach „Wiadomości Literackich”, w regularnie zamieszczanych *Kronikach tygodniowych* opowiadał się często po stronie pacyfizmu i pacyfistów. Wittlin pisał ten esej pod wpływem rozczarowania czasem pokoju, zachowaniem się ludzi, jakby nigdy nie było wojny, kierujących się egoizmem, zdolnych do małości, podłości, okrucieństwa: „Nasz pokój powojenny jest podły. Spokojne sumienie człowieka powojennego jest najbardziej niepokojącym objawem i nie wiadomo, co więcej nas zdeprawowało: wojna czy pokój?”<sup>32</sup>.

<sup>25</sup> Józef Wittlin, *Eseje rozproszone*, s. 83.

<sup>26</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne...*, s. 40–41.

<sup>27</sup> Tamże.

<sup>28</sup> Tamże, s. 46.

<sup>29</sup> Tamże, s. 47.

<sup>30</sup> Por. Marian Kisiel, *Poezja świadectwa. O „Hymnach” Józefa Wittlina* [w:] *Studia o twórczości Józefa Wittlina*, pod redakcją Ireneusza Opackiego, Katowice 1990.

<sup>31</sup> Józef Wittlin, *Orfeusz w piekle...*, s. 79.

<sup>32</sup> Tamże, s. 79.

W słowach, które określił jako najsmutniejsze, jakie kiedykolwiek napisał, wyraził przeświadczenie, że tylko w warunkach wojny ludzie, którzy w życiu pokojowym zniszczyliby się wzajemnie pogardą i pychą, mogą stać się prawdziwymi braćmi. Esejem tym rozstawał się ze swymi przyjaciółmi i towarzyszami spod znaku pacyfizmu:

Z uczestnikami bankietów pacyfistycznych i paneuropejczykami niewiele mam wspólnego. Miłośnicy sztyldów i sztandarów oskarżają mnie o zdradę sztandaru pacyfistycznego. Nie zdradzam sztandaru mojej młodości, obnoszonego już dziś na majówkach, raczej on mnie zdradził: nie w takich go widywałem sytuacjach. Gwiżdżę na taki sztandar i opuszczam szeregi ciurów<sup>33</sup>.

Cztery lata później w Niemczech doszedł do władzy Adolf Hitler. Zapytany o stosunek do pacyfizmu i jego możliwości wywierania wpływu na zbiorowość ludzką, Wittlin odpowiadał:

Niestety, jest on obecnie tylko kierunkiem o rezultatach uczuciowych, nie ma siły pozytywnej. Nasi pacyfiści w razie wybuchu wojny pójdą na front. Literatura pacyfistyczna wzrusza nas, ale nie oddziałuje na nasze życie. Za to złe siły działają. Hitler przekonuje i osiąga coraz większe rezultaty pozytywne, a sława Remarque'a minęła i przycisnęła<sup>34</sup>.

Gdy mówił te słowa, kończył już pisanie powieści *Sól ziemi*, nad którą pracował od 1925 roku. Miała to być trylogia *Powieść o cierpliwym piechurze*, w której wojna byłaby widziana oczami „najbardziej nieznanego ze wszystkich nieznanymi żołnierzy”<sup>35</sup>. Kiedy zaczynał ją pisać w czasie „pokojowych złudzeń wzmocnionych podpisaniem tak zwanego »protokołu genewskiego«”<sup>36</sup>, myślał, że wojna należy już do przeszłości i nigdy się nie powtórzy.

Przygotowywał się do tego dzieła bardzo starannie. Zbierał dokumenty, studiował rozporządzenia, odezwy, rozkazy, mapy. Oglądał stare fotografie z pola walki, z wojkowego obozu, by przywrócić własną ówczesną wrażliwość i wprowadzić się w odpowiedni klimat. Jeździł na pobojowiska, obliczał czas, kilometry, z dużą dbałością o szczegóły. Zajechawszy do spokojnego i łagodnego Cieszyna, przyglądał się gmachowi państwowego gimnazjum, w którym w latach wojny mieściła się Naczelna Komenda Armii. „Z tego zacisznego ustronia, poprzez bujną zieleń i wonne kwiaty, szły na wszystkie strony rozkazy, podług których setki tysięcy żywych ludzi przemieniało się w trupy”<sup>37</sup>.

Kiedy w 1935 roku ukończył *Sól ziemi*, Niemcami władał Hitler, a kiedy robił jej korektę wydawniczą, Mussolini zaatakował Abisynię.

Pierwsza część powieściowego tryptyku, zatytułowana *Sól ziemi*, ukazała się w 1936 roku. „Dwie następne leżą w surowcach kajetów, notatek, wspomnień” – informował już w 1924 roku<sup>38</sup>. Przygotowane dwie dalsze części zginęły jednak w czasie wojny, w końcu 1940 roku podczas ewakuowania się z okupowanego kontynentu, w „pewnym małym porcie w południowej Francji”<sup>39</sup>. Była to miejscowość St. Jean de Luz, gdzie

<sup>33</sup> Tamże, s. 84.

<sup>34</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne...*, s. 145.

<sup>35</sup> Tamże, s. 357.

<sup>36</sup> Józef Wittlin, *Sól ziemi...*, s. 269.

<sup>37</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne...*, s. 210.

<sup>38</sup> Józef Wittlin, *Eseje rozproszone*, s. 190.

<sup>39</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne...*, s. 351.

skradziono mu dwie walizy z papierami, wśród których znajdowała się druga część trylogii pt. *Zdrowa śmierć*. Po latach próbował ją zrekonstruować. W objętości zaledwie paru stron druku została dodana do wydania *Soli ziemi* w Warszawie 1979 roku. Część trzecia miała mieć tytuł *Dziura w niebie* – Piotr Niewiadomski, żołnierz austriacki, ginie na wojnie w mundurze włoskim, a jego ciało trafia do włoskiego Grobu Nieznanego Żołnierza.

O tym, jak sobie wyobrażał Wittlin zawartość trzeciej części cyklu, informuje fragment jego listu do Wita Tarnawskiego z 25 stycznia 1959 roku:

W trzeciej części trylogii ma być przedstawiona walka z Aniołem – a protagonistą jego jest całkiem inna, półrealna postać. Niestety, jej model, a mój nieodżałowany przyjaciel już nie żyje. Jeśli mi Bóg pozwoli ukończyć tę trylogię (trylogię, a nie powieść w trzech tomach), dam na końcu całości postscriptum, w którym postaram się powiedzieć, co z perspektywy tylu lat sądzę o tym wszystkim. Napiszę też o kompleksie tragarza i dźwigania, na który cierpię od najwcześniejszych lat życia. Chciałem też w *Soli* pokazać tak modny dziś właśnie, w epoce epigonów Kafki, absurdyzm rzeczywistości pozornie oczywistej, absurdyzm wytworzony przez pogańską, achrześcijańską cywilizację naszych czasów. Może mi się uda w 3-ciej właśnie części trylogii ten absurdyzm przezwyciężyć. Wojna i to pierwsza wojna światowa, w której obie strony walczyły niemal o to samo – bezideowo – doskonale nadaje się do zademonstrowania absurdyzmu. W drugiej wojnie światowej już tego absurdyzmu nie widzę – zbyt wyraźnie były w niej zarysowane przeciwstawne ideologie i gdyby Piotr Niewiadomski brał w niej udział np. pod Monte Cassino, straciłby jako postać powieściowa swój sens, bo wiedziałby, o co walczy<sup>40</sup>.

Przyjaciele, czytelnicy, oczekiwali ukazania się zapowiedzianych (drugiej i trzeciej) części *Powieści o cierpliwym piechurze*<sup>41</sup>. Mieczysław Grydzewski zniecierpliwiony pisał do Jana Lechonia 14 września 1941 roku: „Nie rozumiem zupełnie myślenia Wittlina. Mam wrażenie, że on czeka na trzecią wojnę, żeby skończyć *Sól ziemi*, bo jeżeli po tej wojnie powstanie nowa wojna, wszystko stanie się na nowo aktualne”<sup>42</sup>.

O swoim zamiarze, o tym, czym ma być *Powieść o cierpliwym piechurze*, informował Wittlin w 1928 roku:

Ma to być żywe świadectwo wystawione wojnie takiej, jaką widzieli, robili i odcierpieli najprostszy żołnierze. Ci ludzie właśnie, do których przyszedł Jezus, św. Franciszek, Gandhi [...]. W utworach moich dotyczących ran Chrystusa, stygmatów św. Franciszka i tej wielkiej rany, jaką ludzkości zadała wojna, chodzi mi o absolutną szczerość<sup>43</sup>.

Bohaterem *Soli ziemi* jest Piotr Niewiadomski, syn nieznanego Polaka i Hucułki, nieświadomy, prostoduszny, naiwny uczestnik tragedii wojennej. Sumiennie wykonywał swoje obowiązki na niewielkiej stacji kolejowej we wschodniej Galicji. Wojna jest dla niego zjawiskiem niezrozumiałym. Sam jest obiektem ruchów, działań, poleceń, których natury nie docieka, nie rozumie, i nikt mu ich nie tłumaczy.

Obraz wojny w *Soli ziemi* odbywa się bez scen walk frontowych. Wojna – to wezwanie mobilizacyjne, transport kolejowy i rytm życia w koszarach, ustalony porządek i sub-

<sup>40</sup> Józef Wittlin, *Listy*, wstęp i opracowanie Tadeusz Janiszewski, Warszawa 1996, s. 149–150.

<sup>41</sup> Por. np. Stefania Kossowska, *Mieszkam w Londynie*, Londyn 1994, s. 354.

<sup>42</sup> Mieczysław Grydzewski, *Listy do Tuwima i Lechonia (1940–1943)*, opracował Janusz Stradecki, Warszawa 1986, s. 59.

<sup>43</sup> Józef Wittlin, *Eseje rozproszone*, s. 181.

ordynacja uosobiona w postaci wszechmocnego feldfebla Bachmatiuka, znaku wszystkiego, co zwykło się nazywać kapralstwem, pruskim drylem, sadyzmem prowadzącym do zniszczenia wszelkich odruchów niezależności, do złamania człowieka i zrobienia z niego bezwzględnie posłusznego, bezmyślnego narzędzia. Ofiarą Bachmatiuka, subordynacji i systemu stojącego za nią, jest trzecia ważna postać, Nedochoidiuk, pojawiający się w drugiej części cyklu.

Czwarta ważna postać – to narrator. Unika pustosłowania, używa słów przylegających do rzeczy. Posługuje się stylem klarownym i opanowanym. Bezpośrednio niewidoczny, raz staje wprost przed czytelnikiem: „I nie dziw się, wnuku, prawnuku, któremu opowiadam tę długą opowieść, że w owych czasach...”<sup>44</sup>.

Stosunek narratora do głównego bohatera powieści i stosunek autora do niego wywoływał ważniejsze i różnorodne komentarze, nie wolne od nieporozumień<sup>45</sup>. Jako najlepsze zrozumienie tej kwestii przyjął Wittlin komentarz Karola Wiktora Zawodzińskiego:

Jestem Panu szczególnie wdzięczny za wyjaśnienie, kim jest Piotr Niewiadomski. Nie jest to ani reprezentant „szarego człowieka”, ani tym bardziej mojej osoby (co kilku krytyków chciało mi imputować). Jego, że tak powiem, dusza, służy mi właśnie do tego, co Łaskawy Pan tak znakomicie określił jako „uniezwyklenie obrazu rzeczywistości”. Niewiadomski nie jest typowym reprezentantem jakiegoś odłamu ludzkości, tak jak Charlie Chaplin nie jest typowym włóczęgą amerykańskim. Pragnąłbym, żeby Piotr Niewiadomski stał się czymś w rodzaju Chaplina wojny światowej<sup>46</sup>.

Sprowokowany przez krytyków, broniąc się przed ich rzeczywistie nietrafnym odczytaniem utworu<sup>47</sup>, prostując ich uproszczone sądy, w których mogło być ziarno prawdy, ale usytuowane w fałszywym kontekście, Wittlin podejmował się wyjaśnienia relacji między nim a bohaterem *Soli ziemi*:

Bo też Piotr jest potencjalnym poetą, jakich wielu znajduje się wśród ludu. I przez to właśnie Piotr jest jak gdyby moim negatywem. [...] Prawda, że musiałem przepuścić go przez siebie, żeby się mógł narodzić. Ale tak samo można by powiedzieć, że Bachmatiuk to jestem ja<sup>48</sup>.

Z humorem przyznawał, że jedną własną ułomnością wyposażył Piotra: trudnością w odróżnieniu strony lewej od prawej podczas musztry.

To mówił w 1936 roku, w kręgu różnych komentarzy wywołanych pojawieniem się powieści. Po paru latach, w przemówieniu na śniadaniu ku czci autorów zagranicznych, których książki ukazały się w Ameryce, urządzonym przez The National Arts Club w Nowym Jorku 28 listopada 1941 roku, autokomentarz do relacji łączącej go z bohaterem powieści rozwijał, pogłębiał i nadawał mu nowy, szerszy sens w obliczu toczącej się już drugiej wojny światowej:

Mój Piotr Niewiadomski nie jest atoli typowym Huculem. To prymityw – już zdegenerowany przez cywilizację. Jego rzekoma głupota jest nią tylko w oczach ludzi naprawdę głupich.

<sup>44</sup> Józef Wittlin, *Sól ziemi...*, s. 182.

<sup>45</sup> Por. Ludwik Fryde, *O prozie Wittlina* [w:] *Wybór pism krytycznych*, opracowanie i wstęp Andrzej Biernecki, Warszawa 1966; Ignacy Fik, *O literaturę pacyfistyczną* [w:] *Wybór pism krytycznych*, opracowanie i wstęp A. Chruszczyński, Warszawa 1961; Kazimierz Wyka, *Powieść o cierpliwym piechurze* [w:] *Stara szuflada*, Kraków 1967.

<sup>46</sup> Józef Wittlin, *Listy*, s. 69–70.

<sup>47</sup> Np. przez Kazimierza Wykę, por. przyp. 45.

<sup>48</sup> Józef Wittlin, *Eseje rozproszone*, s. 193.

W moich oczach nie jest on głupcem, podobnie jak nie byli głupcami Don Kiszot i Charlie Chaplin. Solidaryzuję się całkowicie z jego „głupotą” i często czynię go moim *porte-parole*. Mówi on za mnie wszystko, czego sam nie chcę powiedzieć. Wojna i w ogóle świat, widziany jego oczami – to mój własny świat. Posługuję się jego oczami i jego ustami tak, jak nieraz posługujemy się dziećmi, gdy sami nie mamy dość odwagi powiedzenia światu, co o nim myślimy. Człowiek dorosły obraża i gorszy świat, gdy bez ogródek mówi rzeczy, które dziecku wybacza się z uśmiechem. Tak to Piotr Niewiadomski, skromny bohater *Soli ziemi*, jest nie tylko mym przyjacielem i żywicielem, i zbawcą z niejednej opresji, to również dziecko. Dziecko mej duszy i posługuję się nim, gdy pragnę, żeby moja dusza mówiła. Mimo to nie idealizuję go, dobrze znam wszystkie jego wady i słabości. Pozwolę mu spokojnie szczeznąć na końcu trylogii, na końcu pierwszej wojny światowej. Spodziewam się jednakże spotkać jego uczciwą i pobożną duszę w niebie. A gdybym nie miał dostać się do nieba, lecz do piekła, to myślę, iż będzie mu wolno od czasu do czasu mnie tam odwiedzać<sup>49</sup>.

Nieporozumienia w objaśnianiu relacji narrator – bohater i autor – bohater przed 1939 rokiem były skutkiem umieszczania prozy Wittlina bez reszty w nurcie ekspresjonistycznym. Jest to szczególnie wyraźne we wspomnianej recenzji Kazimierza Wyki, który *Sól ziemi* odczytał jak *Hymny*. Komentarze do powojennego wznowienia powieści na emigracji przesunęły interpretację we właściwym kierunku. Paweł Hostowiec zwrócił uwagę na związki *Soli ziemi* z eposem starożytnym, na obecność w powieści ironicznego dystansu, na powiązania rytmiczne i dźwiękowe, na spójność utworu cechującą poemat epicki<sup>50</sup>.

Związki *Soli ziemi* z ekspresjonizmem przedstawiła Krystyna Jakowska. Zaznaczyła wszakże, że ważne dla utworu wyrafinowanie formalne, jego styl i kompozycja łączą powieść nie tyle z ekspresjonizmem niemieckim, ile z antykiem, z doświadczeniem tłumacza Odysei, który terminował u Homera<sup>51</sup>.

Najtrafniej odczytał *Sól ziemi* Zygmunt Kubiak, czego dowód dał w posłowniu do wznowienia powieści w 1979 roku, zatytułowanym *Polski homeryda*. Właśnie homerowskim kluczem odsłonił wszystkie ważne pokłady utworu, ukazał jego piękno i – wbrew nieporozumieniom przedwojennych komentatorów – wykazał, że Wittlin w *Soli ziemi* „głównym bohaterem uczynił – po epicku – człowieka niezmiernie odmiennego od siebie”<sup>52</sup>.

Uprawnione jest twierdzenie (i nie ma w nim przesady), że Józef Wittlin swą *Powieść o cierpliwym piechurze* pisał całe życie. Rozpoczął ją w 1925 roku, a kiedy kończył (właściwie nigdy jej nie ukończył) trwała już, potem minęła, druga wojna światowa. Wracając do pierwszej, pracując ciągle nad jej literackim obrazem, zastanawiał się również nad drugą – i nad różnicą między nimi.

W pierwszej wojnie światowej armie były oddzielone od świata cywilnego, który był biernym świadkiem żołnierskiej walki, bohaterstwa i śmierci. Była to wojna piechura, artylerzysty, kawalerii. Jej „fachowcy i mistrzowie” odnosili się z pobłażaniem, jeśli nie z pogardą, do tych, którym los oszczędził wojennych niebezpieczeństw, a którzy mówią

<sup>49</sup> Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne...*, s. 353.

<sup>50</sup> Paweł Hostowiec [Jerzy Stempowski], *Nowe wydanie „Soli ziemi”*, „Kultura” (Paryż) 1955, z. 7–8.

<sup>51</sup> Krystyna Jakowska, *Z dziejów ekspresjonizmu w Polsce. Wokół „Soli ziemi”*, Wrocław 1977. Zob. również: Zoya Yurieff, *Joseph Wittlin*, Nowy Jork 1973 (zwłaszcza rozdział V).

<sup>52</sup> Józef Wittlin, *Sól ziemi...*, s. 286.

wiązaną lub prozą próbowali opiewać żołnierskie czyny. „Na dnie bowiem stosunku żołnierza do cywila zawsze tkwi uzasadniona nieufność”<sup>53</sup>.

Druga wojna światowa wprowadziła maszyny, motory, automaty. Z tego, co po pierwszej wojnie wydawało się niemoralne, niehumanitarne, absurdalne, uczyniła rzecz zwyczajną i oswoiła człowieka z jego hańbą i poniżeniem.

W pierwszej wojnie światowej, choć pod względem techniki zagłady może wydać się prymitywną, widział Wittlin źródło drugiej, totalnej i wszelkich związanych z nią katastrof, które utrwaliły coś, co pisarz nazwał „kadaweryzmem”. „Prasa, radio i telewizja karmią nas codziennie trupami, każąc nam radować się z wysokiej cyfry wymordowanych nieprzyjaciół, a z niskiej – naszych własnych ludzi. Autorowi *Soli ziemi* trudno jest pogodzić się z cywilizacją opartą na kadaweryzmie”<sup>54</sup>.

W obozie rekrutów w Andrasfalvie, gdzie Bachmatyuk tresował ludzi, by uczynić z nich automaty do mordowania ludzi, widział Wittlin zapowiedź obozów koncentracyjnych, a w ucinaniu bród Żydom i zmuszaniu ich do spożywania trefnych pokarmów – zapowiedź Holocaustu.

Refleksje wywołane drugą wojną światową, w której Wittlin nie mógł już brać bezpośredniego udziału, nakładały się na wspomnienia wyniesione z pierwszej, w której czynnie uczestniczył i która przesądziła o całym jego życiu duchowym i jego twórczości. Emigrant polityczny po drugiej wojnie światowej, w liście do Wacława Iwaniuka z 7 lipca 1960 roku definiował siebie: „Ja jestem inwalida pierwszej wojny”<sup>55</sup>.

<sup>53</sup> Józef Wittlin, *Eseje rozproszone*, s. 41.

<sup>54</sup> Józef Wittlin, *Sól ziemi...*, s. 270.

<sup>55</sup> *Samotność słowa. Z listów do Wacława Iwaniuka*. Józef Wittlin, Kazimierz Wierzyński, Aleksander Janta-Połczyński. Opracował i wstępem opatrzył Leszek M. Koźmiński, Lublin 1995, s. 24.

# Dwa rodzaje liczby mnogiej

## I. *Pluralis arriericus*

Wybuch drugiej wojny światowej zastał Józefa Wittlina we Francji. Po jej kapitulacji, uchodząc przed Niemcami, dotarł do Stanów Zjednoczonych. W Nowym Jorku, w 1942 roku napisał krótki szkic *Puste słowa*. Dotyczył on pustosłowa, które pojawia się wówczas, gdy ma się do czynienia z takimi zagrażającymi zbiorowości zjawiskami, jak wojna, głód, wielka niedola narodów. Przypomniawszy jednego z bohaterów swej powieści *Sól ziemi*, naczelnika stacji kolejowej w zaborze austriackim. W sierpniu 1914 roku mówił: „Za tydzień wkroczymy do Belgradu, za dwa tygodnie weźmiemy Warszawę, a za trzy tygodnie będziemy w Moskwie”<sup>1</sup>.

Nie miał on oczywiście na myśli – wyjaśniał Wittlin – osobistego udziału w tej wyprawie, co mogłaby sugerować forma liczby mnogiej użytej w przytoczonych czasownikach. Wiedział, że zwalnia go z niego zarówno wiek, jak i sprawowany urząd. Ale używając takiej formy gramatycznej, solidaryzował się, ba nie tylko, wręcz utożsamiał się z tymi, którzy idą na wojnę, na front, by bezpośrednio walczyć z wrogiem. Poprawiało to jego samopoczucie; dzielił z nimi bowiem – we własnym przekonaniu – ich bohaterstwo, odwagę, nie uczestnicząc przy tym w ponoszeniu największego ryzyka.

Wittlin przywoływał tu własne obserwacje ludzkich zachowań podczas pierwszej wojny światowej, bo zauważał podobne w chwili wybuchu drugiej. Co znajdowało wyraz w rozpowszechnionym stosowaniu takiej formy gramatycznej, której niestosowność była szczególnie rażąca w konfrontacji z czynem żołnierskim. Nazwał tę formę *pluralis arriericus*, tłumacząc ją: „liczba mnoga tyłowa”. Chętnie – zauważał – używają jej ci, którzy skwapliwie łączą się z walczącymi, ale sami pozostają bezpieczni na dalekich tyłach frontu. I dodawał: „Ludzi przywiązanych do rzetelności ta wszechobecność pustych słów mówionych i pisanych nie tylko zawstydzają, lecz po prostu brzydzi”<sup>2</sup>.

Toteż odmówił udziału w radiowej audycji poetów adresowanej do Polaków znajdujących się w okupowanym kraju. Powody odmowy wyjaśnił w artykule *Dlaczego nie przemawiałem do Polski?*<sup>3</sup> Uznał, że nie ma prawa przemawiać do ludzi, którzy za samo słuchanie jego słów mogą ponieść ciężką karę, a nawet stracić życie. Przemówiłby do rodaków w kraju, gdyby miał im do przekazania naprawdę doniosłą wiadomość. Na przykład o śmierci Adolfa Hitlera albo o polskim wojsku stojącym już u granic polskiego państwa, lub o tym, że do okupowanego kraju zbliża się wielki transport żywności

<sup>1</sup> Józef Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Kraków 2000, s. 139.

<sup>2</sup> Tamże, s. 138.

<sup>3</sup> „Tygodniowy Przegląd Literacki Koła Pisarzy z Polski” (Nowy Jork) 1942, s. 9.



i węgla. Tylko wówczas „wartość słowa choć w drobnej części pokryłaby się z wartością ich cierpienia, ich męki, ich nadziei”<sup>4</sup>.

Tego rodzaju wiadomościami nie dysponował. A wiedział, że po opuszczeniu studia radiowego wróciłby, jako człowiek wolny i bezpieczny do domu, do zwykłych zajęć, wstępując gdzieś po drodze na kawę. Podczas gdy jego siostra w Warszawie, po wysłuchaniu – ryzykując życiem – jego słów, mogłaby wybuchnąć płaczem. Wolał więc nie przerywać „drczącej ciszy, jaka się rozpostarła między męczeńską, bohaterską, wspinałą w swej niedoli Polską a [jego] skromnym słowem. Gdyż słowo, które byłoby godne tamtych uszu, słowo poety o wadze funta kartofli lub prawdziwie radosnej nowiny, jeszcze się, na emigracji, nie urodziło”<sup>5</sup>.

Owo pustosłowie natomiast ujawniło się natychmiast w twórczości poety, który wraz z Wittlinem znalazł bezpieczne schronienie na czas wojny w Nowym Jorku – w wierszach Kazimierza Wierzyńskiego. Wittlin na pewno je znał i nie mógł o nich nie myśleć, gdy pisał szkic o „liczbie mnogiej tyłowej”.

W przewidywaniu nieuchronnego nadejścia wojny, na dwa dni przed jej początkiem, Kazimierz Wierzyński napisał wiersz *Święty Boże*. Wielokrotnie użył w nim formy, w której Wittlin znajdował wyraz solidarności tych, co zostają w domu, z tymi, którzy podejmują walkę z napadającym na ojczyznę wrogiem; formy *pluralis arrieticus*, „liczby mnogiej tyłowej”. W patriotycznym patosie, w apostrofie do Boga, pojawia się ona wiele razy: „Błogosław naszej broni”, „Niech żaden nasz pocisk”, „O sprawiedliwą bijemy się rzecz”, „Błogosław nasz miecz”, „Błogosław naszemu męstwu”<sup>6</sup>.

W następnym wierszu, napisanym już w pierwszych dniach wojny, zatytułowanym *Zstąp Duchu Mocy* owa „liczba mnoga tyłowa” również występuje wielokrotnie: „Stawiamy czoło idącej zgubie”, „Walczymy o siebie i świat”, „Musimy bić się”, „Nie wypuścimy z ręki sztandaru ludzkości”<sup>7</sup>. Wiersz ten jest datowany: „Warszawa, 5 września 1939 roku”.

Ludność stolicy wówczas rzeczywiście przygotowywała się do „stawienia czoła idącej zgubie” pod komendą bohaterskiego jej prezydenta, Stefana Starzyńskiego. Kazimierz Wierzyński natomiast, jak jeden z wielu, tego dnia ją opuszczał, uciekając samochodem ku rumuńskiej granicy. Razem z Marianem Hemarem, który moment jej przekraczania utrwalił w sonecie dedykowanym Kazimierzowi Wierzyńskiemu. Wyraził w nim niepokój sumienia tego, „który miasta swojego poniechał, / Aby głowę ocalić i strachom nie sprostał”<sup>8</sup>.

Ze skamandrytami zaprzyjaźniony był, znacznie od nich młodszy, Jerzy Paczkowski, który, jak zanotował Lechoń w *Dzienniku*, „nam się zdawał prawie dzieckiem”<sup>9</sup>. Wojna zastała go we Francji. Po jej kapitulacji pozostał w tym kraju i przystał do konspiracyjnej walki z wrogiem. Kiedy spodziewał się, że może dostać się do niewoli niemieckiej, napisał do Jana Lechonia: „Panie Leszku! Niemcy nie wezmą mnie żywcem. Kocham Irenę”<sup>10</sup>.

<sup>4</sup> Józef Wittlin, *Orfeusz w piekle...*, s. 136.

<sup>5</sup> Tamże, s. 136–137.

<sup>6</sup> Kazimierz Wierzyński, *Poezje zebrane*, Białystok 1994, t. 1, s. 349–350 (podkreślenie – M.S.).

<sup>7</sup> Tamże, s. 351–352 (podkreślenie – M.S.).

<sup>8</sup> Marian Hemar, *Kiedy znów zakwitną białe bzy (utwory wybrane)*, wybór i posłowie Tadeusz Szymański, Kraków 1991, s. 225.

<sup>9</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. I, Warszawa, s. 309.

<sup>10</sup> Tamże, t. 2, s. 479.

Był jednym z pierwszych członków Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość, szefem obwodu Grenoble i członkiem Kwatery Głównej tej organizacji.

Do Kazimierza Wierzyńskiego zwrócił się napisanym 24 kwietnia 1942 roku wierszem zatytułowanym *Do przyjaciela z tamtej strony Atlantyku*. Poprzedził go mottem skomponowanym z fragmentów jego wierszy o tyrtejskiej tonacji. Skonfrontowane z następującym po nim tekstem poetyckim ujawnia ono ironiczną, sarkastyczną funkcję, a cały tekst nabiera gorzkiego szyderstwa z poety, który w bezpiecznym nowojorskim schronieniu posługuje się „liczbą mnogą tyłową”:

Muzo, ty się nie lękaj szczęki naszej broni,  
 Zwłaszcza, że cię Atlantyck chroni od niej dzielnie  
 [...]  
 I tak oto oboje bić będziem z za węglą:  
 Ty rymem, a ja granatem.  
 Ty szlifuj gładkie strofy i głoski obliczaj,  
 Po nowojorskim nocą spacerując parku –  
 Nasza to bowiem rzecz jest i nasz jest obyczaj  
 Nadstawiać karku.  
 [...]  
 Ty wrócisz, a ja nie wiem, czy żywy dobiegnę  
 Do warszawskich rogatek poprzez Rzym czy Krym.  
 Jeśli wrócę – Bóg z Tobą. A jeśli polegnę –  
 Będziesz miał do elegii  
 Jeden kiepski rym<sup>11</sup>.

W lipcu 1944 roku Niemcy otoczyli budynek, w którym Paczkowski obsługiwał tajną radiostację. Bronił się. Raniony, wzięty do niewoli, znalazł się w więzieniu, potem w obozie Sachsenhausen-Oranienburg, gdzie umarł z wyczerpania w lutym 1945 roku. Do jego *Wierszy zebranych* słowo wstępne napisał Jan Lechoń.

## II. *Pluralis frontalis*

Jerzy Paczkowski też użył liczby mnogiej: „Nasza to bowiem rzecz jest i nasz jest obyczaj”. Pod względem gramatycznym – nie ma różnicy między jego wierszami a poezją Wierzyńskiego. Pod względem treści, funkcji – różnica diametralna. Jeśli – za myślą Wittlina – liczbę mnogą stosowaną przez Wierzyńskiego nazwie się *pluralis arriericus* („liczba mnoga tyłowa”), to użytą przez Paczkowskiego można by nazwać *pluralis frontalis*, „liczba mnoga przednia”, albo – może lepiej – „liczba mnoga frontowa”. Ona nie służy, jak tamta, tym, którzy pozostając na bezpiecznych tyłach, chcą się zaprezentować jako solidarni i równi z walczącymi w bezpośrednim i niebezpiecznym starciu z wrogiem. Przeciwnie – wyraża doznania, przeżycia, myśli żołnierza wspólne wszystkim zjednoczonym bezpośrednią walką z nim i z towarzyszącym jej śmiertelnym zagrożeniem.

<sup>11</sup> Jerzy Paczkowski, *Wiersze zebrane i Pierwsza bitwa*, poprzedzona słowem wstępnym Jana Lechońa oraz przedmową Ireny Gałązkowskiej z rysunkiem Feliksa Topolskiego i podobizną autora, Londyn 1946, s. 17.

Oczyszczonemu z patosu, opartemu na realiach czynu i wysiłku obrazowi żołnierskich doświadczeń towarzyszy w wierszach Krzysztofa Baczyńskiego i jego rówieśników poetów, ujmowana w gramatyczną formę liczby mnogiej świadomość pokoleniowej wspólnoty, której przypadło w udziale stawić czoła spełniającemu się kataklizmowi, którego nadchodzenie było przeczucwane przez poetów katastrofistów.

Świadomość pokolenia, które brało na siebie największy ciężar walki z wrogiem i płaciło za to najwyższą cenę, wywołuje w poezji użycie liczby mnogiej w formach czasownikowych. Różni się ona zupełnie od tej, która pojawiła się w tyrtejskich strofach skamandryckiego poety. Wyraża doświadczenie generacyjne i przede wszystkim do własnej generacji jest adresowana; zawiera głównie przez nią zrozumiane aluzje i niedopowiedzenia. „Nas nauczono” – powtarza się kilkakrotnie w opanowanym, pozbawionym iluzji, odważnym i dojrzałym, pełnym powściągliwej godności w przyjęciu nieuchronnego spotkania ze spełniającą się katastrofą, wierszu *Pokolenie* Krzysztofa Baczyńskiego.

Andrzej Trzebiński w *pluralis frontalis* notował myśli o swym poprzedniku, o Wacławie Bojarskim, który zginął od niemieckiej kuli. Wkrótce sam miał zostać rozstrzelany. Myślał nie tylko o swym przyjacielu i o sobie, ale o swoim pokoleniu, kiedy pisał, świadom losu, jaki przypadł jego generacji:

Pochłonie nas historia. Młodych, dwudziestoletnich chłopców. Nie będziemy Mochnackimi, Mickiewiczami, Norwidami swojej epoki. Mogliśmy być Rimbaudami. Ale odrzuciliśmy to, bo szliśmy gdzie indziej<sup>12</sup>.

Genezę i istotę świadomości tej grupy pokoleniowej, jej wartości etycznych i charakteru próbował zgłębić, zrozumieć i opisać Jan Strzelecki w *Próbach świadectwa* notowanych w latach sześćdziesiątych. Znał ich wszystkich, był wśród nich. Ocalał z wojny. Własne doświadczenie z niej wyniesione, osobistą znajomość opisywanego środowiska połączył z wiedzą i umiejętnością analizy właściwą profesorowi socjologii. Naszkicował zbiorowy portret pokoleniowej wspólnoty, w którym z pełną konsekwencją posługuje się pierwszą osobą liczby mnogiej.

Jest to tkwienie „wewnątrz słowa »my«, słowa, w którym fenomenologowie widzą wyraz oznaczający szczególną jakość doświadczenia, jakość kształtującą odbiór świata, nadającą [...] inny wymiar istnienia”<sup>13</sup>.

„Tkwienie wewnątrz tego słowa” oznaczało autentyczne braterstwo łączące członków wspólnoty, utożsamienie się z kimś drugim, ujawniające się nie tyle w wyrozumowanym sądzie, ile w porywie, w „oczywistości serca”<sup>14</sup>, w obliczu wspólnego poruszania się po krawędzi życia, w przeżywaniu stałego zagrożenia; ze świadomością, że należy się do narodu, któremu wyznaczono los więźnia na ziemi, „na której zbudowano wzorcowy system kaźni”<sup>15</sup>; że się przebywa, pozbawionym wszelkiej ochrony w polu działania władzy nie wiążącej sobie rąk niczym, w kręgu administracyjnego mordowania milionów bezbronnych ludzi. Strzelecki opisywał, stosując *pluralis frontalis*: „Czas był nam dany nie na życie – ale na świadczenie temu, co cenimy najwyżej. Nasz stosunek do wartości nasycony był ostatecznym charakterem wyboru”, czemu towarzyszyła

<sup>12</sup> Andrzej Trzebiński, *Kwiaty z drzew zakazanych. Proza*, słowo wstępne i opracowanie Zdzisław Jastrzębski, Warszawa 1972, s. 199.

<sup>13</sup> Jan Strzelecki, *Ślady tożsamości*, Warszawa 1989, s. 145.

<sup>14</sup> Tamże, s. 146.

<sup>15</sup> Tamże, s. 151.

wiara w „niezatarte znaczenie aktów ludzkiego istnienia, które są śladem stanowiącym zapis trwały, o niegasnącej wartości”<sup>16</sup>.

Zgoda na udział we wspólnym losie wypływała ze świadomości, że zagłada może spotkać nie jednostki, lecz członków narodu; chodziło o jego zagrożoną biologiczną egzystencję. A walka w jego obronie i o jego wyzwolenie nabierała cech uniwersalnych, bo „splatała się z walką o trwanie i o rozwój najlepszych tradycji ludzkiego gatunku”<sup>17</sup>.

Zaufanie do sprawiedliwych wyroków historii ulegało znacznemu osłabieniu, gdyż trudno było nie brać pod uwagę, zwłaszcza we wcześniejszej fazie wojny, niemieckiego zwycięstwa.

Zwątpienie podmywało również wiarę w pamięć u potomnych. Wiersz Krzysztofa Baczyńskiego, utrzymany w „liczbie mnogiej frontowej” kończył się pytaniem prawie retorycznym: „Czy nam postawią, z litości chociaż, nad grobem krzyż”. I podobnie w *Pieśni* Tadeusza Borowskiego – już bez znaku zapytania: „Zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń”.

---

<sup>16</sup> Tamże, s. 155 i 157.

<sup>17</sup> Tamże, s. 202.

# Wacław Solski

Wacław Solski urodził się w 1897 roku w Łodzi, w rodzinie lekarza, doktora Aleksandra Pańskiego. Zmienił nazwisko na Solski, by swym zaangażowaniem politycznym nie przysparzać rodzinie kłopotów.

W szkole, do której uczęszczał, działały trzy nielegalne kółka samokształceniowe. Jedno pozostawało pod wpływami Polskiej Partii Socjalistycznej, drugiemu patronowała endecja, a trzecie, do którego w 1912 roku wstąpił Wacław Solski, było pod ideową opieką Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy.

W latach 1914–1915 kontynuował naukę szkolną w Warszawie. Na wakacje 1915 roku wyjechał z rodziną do Mińska z zamiarem powrotu jesienią do Warszawy. Przebieg wojny jednak (zajęcie Warszawy przez wojska niemieckie) spowodował, że ojciec wysłał go na naukę do Moskwy, gdzie były dwie polskie szkoły średnie ewakuowane z Warszawy.

Solski nie od razu zabrał się do nauki. Najpierw uczęszczał na kursy szoferskie w Związku Ziemstw (*Ziemszij Sojuz*) prowadzone przez Politechnikę Moskiewską, co pozwoliło mu później pracować zarobkowo, gdy znalazł się w takiej potrzebie. Gimnazjum w Moskwie ukończył w maju 1917 roku i uzyskał świadectwo dojrzałości. Został też wówczas przyjęty do SDKPiL na mocy uchwały wszechrosyjskiej konferencji tej partii w Petersburgu, która postanowiła przyjąć wszystkich członków znajdujących się pod jej opieką ideową kółek młodzieżowych, o ile oni tego zechcą.

Wezwany do Petersburga otrzymał propozycję pracy politycznej w Mińsku, gdzie mieszkali jego rodzice. To miasto było wówczas największym skupiskiem Polaków. Zaraz po rewolucji lutowej powstało w nim Polskie Zjednoczenie Socjalistyczne skupiające PPS-Lewicę, PPS-Frację Rewolucyjną i SDKPiL. Solski wszedł do redakcji ukazującej się w Mińsku „Polskiej Prawdy”, która wychodziła od końca 1917 roku, do chwili zajęcia miasta przez wojska niemieckie.

W 1919 roku przyjechał do Warszawy. Jako działacz rewolucyjnego ruchu robotniczego, ukrywał się przed policją, zmienił wygląd, spotykał się z przywódcami powstałej w 1918 roku Komunistycznej Partii Polski.

Rozpoznany przez policyjnych agentów został aresztowany i uwięziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej – w miejscu przeznaczonym dla szczególnie ważnych więźniów politycznych, o zastrzyżonym rygorze, bez prawa do odwiedzin, paczek i korespondencji. Nieco lepsze warunki zyskał po przeniesieniu go do więzienia mokotowskiego, gdzie spotkał się z pomocą ze strony Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR) i Stefanii Sempołowskiej.

30 kwietnia 1920 roku wraz z grupą współwięźniów został przewieziony do Białegostoku, a następnie do Mińska i uwolniony w ramach polsko-rosyjskiej wymiany więźniów politycznych.

W Mińsku Julian Marchlewski zapraszał Wacława Solskiego do pociągu, którym triumfalnie miał wjechać do Warszawy Tymczasowy Komitet Rewolucyjny. Solski zaproszenia nie przyjął. Był przeciwnikiem pochodu bolszewików na Warszawę. Przystał natomiast na inną propozycję Marchlewskiego: na redagowanie w Mińsku codziennej gazety polskiej „Sztandar Komunizmu”. Publikowali w niej swoje artykuły m.in.: Julian Marchlewski, Stanisław Bobiński, Stanisław Budzyński<sup>1</sup>.

14 sierpnia 1920 roku w Brześciu rozpoczęły się polsko-rosyjskie rokowania pokojowe. Wojska bolszewickie znajdowały się wówczas 25 kilometrów od Warszawy. Strona rosyjska grała na zwłokę, oczekując zwycięskiej ofensywy i zajęcia stolicy Polski. Wacław Solski jako redaktor „Sztandaru Komunizmu” uczestniczył we wszystkich posiedzeniach i na łamach swego pisma zamieszczał o nich informacje.

Kiedy rokowania pokojowe od 21 września 1920 roku przeniesiono do Rygi, Solski był już członkiem delegacji rosyjskiej<sup>2</sup>. Wchodził w skład komisji do spraw wymiany jeńców wojennych i osób cywilnych. Tym razem, wobec zwycięstwa nad bolszewikami, na zwłokę grała strona polska.

Polsko-rosyjski traktat pokojowy został podpisany 18 marca 1921 roku. Latem tego roku Solski wyjechał do Berlina, gdzie działała Delegacja Zagraniczna Komitetu Centralnego KPP; z Julianem Marchlewskim, Adolfem Warskim, Henrykiem Waleckim. Były tu dla nich warunki bezpieczniejsze niż w Polsce.

Gdy – na życzenie komunistów niemieckich – tę delegację zlikwidowano, Solski, od pierwszych miesięcy 1922 roku, został berlińskim korespondentem gazety „Izwestia”. Po zamieszczeniu w niej artykułu *Sowiecka Czerwona Armia a Niemcy* (w numerze z 15 marca 1923 roku) władze niemieckie domagały się odwołania go z Berlina. Przeniesiono go – w tym samym charakterze, w 1924 roku – do Paryża. Został też wówczas dyplomatą w ambasadzie radzieckiej w Paryżu.

Wiosną następnego roku wrócił do Moskwy i został (za sprawą Zofii Dzierżyńskiej) ponownie skierowany do Mińska, do pracy w redakcji tamtejszej gazety polskiej, której wydawanie – w zmienionych już warunkach – wydawało mu się mało sensowne i nieuzasadnione. Toteż chętnie, po upływie pół roku, przeniósł się do Moskwy, gdzie dla „Izwestii” przygotowywał cotygodniowy *Przegląd Międzynarodowy*.

W 1928 roku wyjechał do Niemiec na leczenie. Cierpiał na ostre ataki astmy, a w Niemczech stosowano nowe metody leczenia tej choroby. Uzyskał zgodę na wyjazd i prawo do wymiany pięciuset rubli na marki niemieckie po oficjalnym kursie. Wyjeżdżając do Berlina, nie był jeszcze pewny – chociaż myślał już o tym – czy pozostanie na Zachodzie.

Jednak się zdecydował i w listach przesłanych pocztą dyplomatyczną powiadomił o tym Komitet Centralny i przyjaciół w zarządzie WAPP (*Wsiesojuznaja Assocjacja Proletarskich Pisatielej*), gdzie również przez pewien czas pracował. W *Moich wspomnieniach* pisze o swej ważnej decyzji:

Odszedłem więc, tak jak postanowiłem, w milczeniu. Tłumaczyło się to tym, że odchodząc, nie widziałem „innego brzegu”. Zerwałem z ruchem, który sam budowałem, ale nie mogłem mu nic przeciwstawić. Uważałem, że nie mam wobec tego prawa występować publicznie ani w ogóle zajmować się w przyszłości polityką, w każdym razie aż do czasu, kiedy zobaczę wyraźnie „drugi brzeg”.

<sup>1</sup> Por. Andrzej Ślisz, *Prasa polska w Rosji w dobie wojny i rewolucji*, Warszawa 1967.

<sup>2</sup> W książce Jana Dąbskiego *Pokój ryski* (Warszawa 1931) można go zobaczyć na fotografii. Siedzi przy oddzielnym stoliku, przy którym niekiedy pełnił rolę tłumacza.

Dotrzymałem tej obietnicy danej samemu sobie. Po zerwaniu z ruchem komunistycznym w końcu lat dwudziestych nie napisałem w ciągu prawie dziesięciu lat ani jednego politycznego artykułu i nie brałem udziału w żadnym politycznym ruchu<sup>3</sup>.

Z bardzo dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że gdyby tej decyzji nie podjął, prędzej czy później zostałby wezwany do Moskwy, a tam czekałby go taki sam los, jaki spotkał wielu polskich i radzieckich komunistów w czasie stalinowskich czystek.

Po zerwaniu z ruchem rewolucyjnym Wacław Solski przebywał w Berlinie, Paryżu i Londynie. W 1945 roku zamieszkał w Nowym Jorku, gdzie zmarł 19 września 1990 roku.

*Moje wspomnienia*, których pierwsze wydanie ukazało się w Paryżu w 1977 roku<sup>4</sup>, kończą się w momencie podjęcia decyzji pozostania na Zachodzie, zerwania z ruchem rewolucyjnym i zajęcia się twórczością literacką. Tylko w kilku dygresjach autor wybiega w przyszłość, notując refleksje wywołane przyjazdem do Polski w latach sześćdziesiątych.

Wróciłem, żeby spojrzeć w oczy  
Samemu sobie<sup>5</sup>.

Odwiedził wówczas rodzinną Łódź, do której wciąż tęsknił i która – jak pisał – pojawiała się w jego snach. Na ulicy Moniuszki pod numerem 5, gdzie spędził dzieciństwo, zastał przychodnię dla niemowląt:

Wpuszczono mnie do mieszkania. Najpierw odbyła się w przedpokoju trochę szorstka rozmowa, młoda lekarka nie mogła zrozumieć, o co mi chodzi, podejrzewała, że były właściciel domu przyjechał z Ameryki, żeby się o swój dom upomnieć, takie wypadki, powiedziała, już się w Łodzi zdarzały. Ale zjawiała się pielęgniarka, starsza kobieta, ta miała inne podejście. Później przyszły jeszcze dwie, może lekarki, może pielęgniarki. Pokazały mi całe mieszkanie, wszystkie pokoje. Wcale się nie zmieniło. Tylko poczekalnia była teraz w dawnym stołowym i umeblowanie było wszędzie inne. Poszedłem, razem z pielęgniarkami, do mojego pokoju.

– Może pan tu chce sam chwilkę posiedzieć? – zapytała jedna z nich. Zostawiły mnie w pokoju samego<sup>6</sup>.

Przeżycie to powróciło w wierszu *Dym*:

I oto jestem w moim dawnym pokoju  
W mieszkaniu przy ulicy Moniuszki pod piątym  
Gdzie teraz funkcjonuje przychodnia dla niemowląt.  
Pielęgniarka – – –  
Ale wprawo o jej oczach. Są kobiety  
które bez odczynnika potrafią przeczytać  
Napis sympatycznym atramentem. Te kobiety  
Najłatwiej poznać po oczach. „Niech pan  
Posiedzi sam w swoim pokoju  
Pewnie pan chciał”. I zamknęła drzwi<sup>7</sup>.

<sup>3</sup> Wacław Solski, *Moje wspomnienia*, Londyn 1995, s. 351.

<sup>4</sup> Nakładem Instytutu Literackiego, w serii Biblioteka „Kultury”.

<sup>5</sup> Wacław Solski, *Dym. Wiersze osobiste*, Londyn 1980, s. 8.

<sup>6</sup> Wacław Solski, *Moje wspomnienia*, s. 54–55.

<sup>7</sup> Wacław Solski, *Dym...*, s. 13.

Wstąpił też do swojej szkoły, obecnie Gimnazjum imienia Mikołaja Kopernika:

Po korytarzu kręcili się uczniacy i osoby dorosłe, nikt na mnie nie zwracał uwagi. Chodziłem z klasy do klasy, pytałem o coś starszych chłopców. Odpowiadali bardzo grzecznie, ale trochę sucho: – Pan kiedyś uczył się w tym gimnazjum? – Spoglądali na mnie tak, jakby chcieli powiedzieć: no i co z tego?<sup>8</sup>

Odwiedził też znane z młodości miejsca w Warszawie. Zajrzał do „swojej” celi w Cytaдели warszawskiej. W Bibliotece Zakładu Historii Partii zobaczył, że wszyscy Polacy, którzy brali udział w rewolucji rosyjskiej, mają indywidualne teczki z dokumentacją. Jegoteczka miała numer 10916.

O *Moich wspomnieniach*, głównym źródle informacji o biografii pisarza, pisał Stanisław Wygodzki:

Jest to księga refleksji człowieka, który dużo widział i w porę ocenił własne postępowanie. Uczynił to bardzo wcześnie, zanim inni obnażyli swoje życie utyłane w łajnie, kiedy na wszystko już było za późno, na rachunek sumienia, na szarpanie ran własnych i cudzych, na zdejmowanie bielma z oczu zdumionego i przerażonego czytelnika<sup>9</sup>.

Michała Hellera zainteresowały szczególnie te fragmenty wspomnień, w których Solski opisuje spotkania ze Stalinem i Mołotowem oraz pracę w Stowarzyszeniu Pisarzy Proletariackich<sup>10</sup>. Dla Andrzeja Chciuka wspomnienia Solskiego były „absolutną rewelacją”. Chwalił jego sposób pisania („rzeczowo, spokojnie, z poczuciem humoru proporcji”), nazwał go „wybitnym stylistą”; stwierdzał, że jego książka „pstrzy się od dowcipu, elegancji, od mądrości i ciepłego ludzkiego starania się, by innych zrozumieć”<sup>11</sup>.

Pierwsze książki Waława Solskiego powstawały w Związku Radzieckim. Najpierw wydał po rosyjsku zbiór artykułów nadsyłanych z Paryża do „Izwestii” pod tytułem *Współczesna Francja*. W 1926 roku wyszły z druku jego dwie książki w języku polskim: zbiór opowiadań *Zdarzenia i ludzie* oraz *Opowieść o ostatniej walce*, której akcja toczy się w nieokreślonej, ale niedalekiej przyszłości podczas rewolucji ogarniającej Anglię, Niemcy i Francję. Sam autor uznał ten utwór za nieudany.

Ciekawsza okazała się napisana podczas wojny i wydana w Edynburgu w 1944 roku powieść *Pociąg odchodzi o północy*. Miejscem akcji jest okupowana Polska. Treścią – walka Polski Podziemnej przeciwko niemieckiemu okupantowi. Dokładniej: przygotowywanie i wykonanie zamachu na niemieckiego generała skazanego przez polskie podziemie na śmierć za szczególne okrucieństwo wobec Polaków. Jest to najwcześniejszy, wartościowy literacko obraz walki polskiego podziemia zbrojnego w okupowanym kraju. Solski nie podejmuje w nim problemów politycznych stanowiących o różnicach między orientacjami politycznymi walczącymi z okupantem. Pozostaje z dala od emigracyjnych kłótni politycznych, swarów, które dobrze poznał podczas pobytu w Anglii w latach wojny. Przeciwstawia im solidarne działanie Polaków zjednoczonych w walce przeciwko wspólnemu wrogowi:

<sup>8</sup> Waław Solski, *Moje wspomnienia*, s. 56.

<sup>9</sup> Stanisław Wygodzki, *Książka wspomnień*, „Wiadomości” (Londyn) 6 VII 1978.

<sup>10</sup> „Kultura” 1977, nr 7–8.

<sup>11</sup> Andrzej Chciuk, *Dwie bomby*, „Wiadomości Polskie” (Sydney) 12 V 1977. Godną uwagi ciekawostką jest to, że fragment *Moich wspomnień* (bez podania ich autora) ukazał się w 1978 roku w „Tygodniku Powszechnym”. Zob. Henryk Krzeczowski, *Osobiście sprawdzone*, „Tygodnik Powszechny” 30 VII 1978.



Wiesz, co mi się teraz przypomina? Moja praca przed wojną. Jakem przed wojną robił za murarza. Niebezpieczny fach. Wystarczyło nieuważnie stąpnąć i człowiek leciał z rusztowania na złamanie karku. A rusztowania kleili liche, wiotkie, bo tanio budowali. Wtedy też każdy o każdego dbał i każdy każdemu pomagał. Żyliśmy jedną gromadą, przy robocie nigdy między nami żadnych kłótni nie było. Jak bracia, można powiedzieć. Dopiero potem, jak się zakończyło budowę – to już wtedy takiej wielkiej zgody się nie widziało.

– Nie warto o tym myśleć – rzekł Wiktor – kto wie, co będzie...

– A tak, może macie rację. Jeszcze nie czas...<sup>12</sup>.

Dokładne opisanie miejsc i zdarzeń, wierne (a przynajmniej poprawne) oddanie realiów okupowanej Polski autor zawdzięczał autentycznym relacjom uczestników polskiego ruchu oporu, które ponadto posyłał do Polski w celu ich zweryfikowania<sup>13</sup>.

Do angielskiej edycji powieści została dodana część druga dotycząca dalszych losów bohaterów. Jednemu z nich wytoczono proces na podstawie fałszywych oskarżeń o współpracę z gestapo. Przy pomocy świadków zmuszanych terrorem do kłamliwych zeznań udaje się zorganizować jego ucieczkę z więzienia.

Wydanie powieści w przekładzie angielskim (*The Train Leaves at Midnight*) umożliwiło jej szeroki odbiór i nadało rozgłos<sup>14</sup>. Brentano's New York, wówczas największa amerykańska księgarnia, poświęciła książce całe okno wystawowe, zamieszczając w nim również fotografię autora<sup>15</sup>.

Głównym walorem (dla czytelników zainteresowanych sporami wśród działaczy rewolucyjnych) powieści Solskiego *Rysy twarzy*<sup>16</sup> było oparcie jej na kluczu personalnym. Prototypami bohaterów byli znani działacze komunistyczni. Powieściowy Lit – to Henryk Walecki, Jan Chruszczewski – to Adolf Warski, towarzysz Karol – to Julian Marchlewski, Artur – to Jakub Dolecki, a Doktor – to Karol Radek. Autentyczne podłoże miały toczące się między nimi dyskusje, wywołane na przykład pragmatycznym myśleniem Karola Radka gotowego wykorzystać dla celów rewolucji szowinistyczne nastroje Niemców po pierwszej wojnie światowej<sup>17</sup>.

*Rysy twarzy* spotkały się z dobrym przyjęciem. Porównywano je z utworami Artura Koestlera. Elementem wspólnym były tu dominujący ton wielkiego rozczarowania<sup>18</sup>. Dla N. Zarembiny zatrzymującej uwagę na postaci Juliana *Rysy twarzy* były powieścią o „wierności sobie” i za to je głównie cenila. Wnikliwszą analizę utworu przeprowadził Juliusz Sakowski. Pochwalał zwięzłość, powściągliwość w wyrażaniu stanów uczuciowych, umiejętność prowadzenia dialogów wyrażających różne odcienie emocji biorących w nich udział postaci. Chwalił poczucie umiaru – co zauważał głównie w tonacjach

<sup>12</sup> Wacław Solski, *Pociąg odchodzi o północy. Powieść z czasów ostatniej wojny i walk Polski Podziemnej*, Chicago 1946, s. 235.

<sup>13</sup> Por. Ignacy Morawski, *Pociąg na Gwiazdkę*, „Nowy Świat” (Nowy Jork) 8 XII 1951. Jest to recenzja angielskiego wydania powieści pt. *The Train Leaves at Midnight*.

<sup>14</sup> Zob. Niepodpisany artykuł *Znakomita książka polska po angielsku*, „Gwiazda Polarna” 1 XII 1951. Ponad 50 gazet i czasopism amerykańskich zamieściło ocenę tej książki. Artur Koestler zatytułował swą recenzję: *Absorbing Reading*. James T. Farrel – *A Brilliant Novel...* Oto kilka innych wybranych tytułów: *A Fascinating Book...* („New York Times”), *An Exciting and Illuminating Account of a Fighter for Freedom in the Darkened Areas of the Earth* („Justice”), *A Hairraising Picture of Human Complexes...* („New York Daily Mirror”).

<sup>15</sup> Informacja z notatki znajdującej się w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku.

<sup>16</sup> Newton 1957.

<sup>17</sup> Por. Wacław Solski, *Moje wspomnienia*, s. 260–261.

<sup>18</sup> Zob. (W.W.), *Gorycz zawodu*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” (Londyn) 15 IX 1957.

ironicznych, które nigdy nie przechodziły w sarkazm, prowadziły do pogodnego, pozbawionego zgryźliwości sceptycyzmu – i zmysł humoru łagodzący ciężar melancholii. Podsumowywał:

Tym, którzy szukają w powieści odkrywczych zdobyczy i pionierskich wyłomów, można powiedzieć, że skromność zamierzenia i ujęcia jest też dowodem odwagi. Wcale to nie łatwa rzecz utrzymać się w ramach tradycyjnego rodzaju, nie wpadając w szablonowy banał<sup>19</sup>.

Również w prasie krajowej ukazała się recenzja *Rysów twarzy*. Jej autorem był Jan Koprowski. Podobała mu się postać Juliana i obraz Łodzi w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową<sup>20</sup>.

W papierach pozostawionych przez pisarza zachował się list Mieczysława Grydzewskiego dotyczący *Rysów twarzy*:

Powieść Drogiego Pana przeczytałem swego czasu jednym tchem, co mi się rzadko zdarza, i uważam że jest pasjonująca, a postać Juliana jest nowym typem w literaturze polskiej, co nie jest byle czym [...]. Wolę część drugą od pierwszej, jest w niej więcej nowych ujęć i nowych zagadnień, nie poruszanych do tej pory w polskim piśmiennictwie. Zakończenie jest świetne pod względem psychologicznym, a także jako chwyt literacki<sup>21</sup>.

Ostatnim utworem powieściowym pisarza jest *Władza. Powieść historyczna*<sup>22</sup>. Jest to próba przedstawienia tego okresu sprawowania rządów przez Stalina, który scharakteryzował Chruszczow na XX zjeździe KPZR w 1956 roku. Zapewne ten właśnie zjazd, jego decyzje i dokumenty leżały u źródeł inspiracji, które powołały tę książkę do życia. W warstwie faktów nie wychodzi ona poza materiały zjazdowe (z wyjątkiem paru szczegółów o komplikacjach życia seksualnego Stalina). Na ich podstawie autor próbuje zrekonstruować i poddać literackiej analizie mechanizm życia politycznego i zgłębić psychologiczne motywy postępowania człowieka stojącego na jego czele.

Powieść zaczyna się od ukazania przesłanek decyzji, która doprowadziła do zabójstwa Kirowa. Przedstawia też przebieg zamachu i potem jego polityczne konsekwencje: aresztowania, czystki w partii, wyroki śmierci. Nieco dokładniej autor ukazuje sylwetkę Jagody, bardziej skrótowo – Jeżowa. W epilogu powieści pojawia się na jej kartach Beria, kończy ją scena śmierci Stalina.

Krytyka przyjęła *Władzę* bardzo dobrze. Wprawdzie utworów przedstawiających zbrodniczość systemu uosobionego w postaci Stalina było już dużo, ale powieść Solskiego zaznaczyła się oryginalnością ujęcia i odkrywczością psychologiczną. Czesław Jeśmian dostrzegł w niej pierwszą próbę spojrzenia na radziecki system polityczny nie od strony jego ofiar czy rozczarowanych dawnych entuzjastów, lecz ze stanowiska bardzo wysokiego funkcjonariusza państwowego. Zdaniem recenzenta powieść odpowiada na pytanie, jak Stalin mógł dobrać sobie grono współpracowników gotowych w każdej chwili do realizowania jego zbrodniczych pomysłów. Spokojna narracja Solskiego okazuje się bardziej skuteczna niż namiętne oskarżenia pojawiające się w wielu utworach o podobnej tematyce. Ukazuje niebezpieczne cechy systemu wyposażonego w instrumenty obywatelskie Zachód nieustannym i nieprzerwanym kłamstwem<sup>23</sup>.

<sup>19</sup> Julisz Sakowski, *Młodość, miłość i komunizm*, „Wiadomości” (Londyn) 15–22 IX 1957.

<sup>20</sup> Jan Koprowski, *Jeszcze jeden pomnik*, „Dziennik Łódzki” 30 IV 1958.

<sup>21</sup> List datowany z 29 IV 1957, w archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

<sup>22</sup> Londyn 1976.

<sup>23</sup> Czesław Jeśmian, *Potwory pod mikroskopem*, „Wiadomości” (Londyn) 7 XI 1971.

Kazimierz Zdziechowski podkreślał, że autor *Władzy* „przedstawił nam zupełnie nową i świeżą próbę spojrzenia od wewnątrz na człowieka, którego sumienie (jeśli słowo to jest tu w ogóle na miejscu) obciąża wręcz niewyobrażalna liczba ofiar”<sup>24</sup>.

Nie powieści wszakże są najmocniejszą stroną twórczości literackiej Wacława Solskiego. Za taką bylibyśmy skłonni uznać raczej jego opowiadania. Opublikował kilka zbiorów: *Bardzo tajne sprawy*<sup>25</sup>, *Przy świetle księżycy*<sup>26</sup>, *Rękopis znaleziony pod dywanem*<sup>27</sup>, *Czarna spowiedź*<sup>28</sup>, *Dziwne wypadki*<sup>29</sup>, *Żółta trójka*<sup>30</sup>.

Swego patrona Solski widział w Antonim Czechowie. W jego opowiadaniach – wzór niedościgły, do którego doskonałości chciałby się przybliżyć w swoich utworach:

Czechowa uważałem i uważam za pisarza, któremu żaden inny nigdy nie dorównał [...]. Czytam co rok albo dwa wszystko, co Czechow napisał i bardzo chciałbym, żeby czytali go wszyscy, bo od czytania Czechowa człowiek robi się rozumniejszy i lepszy. Usiłowałem wielokrotnie pisać „tak jak Czechow”, wpaść w jego ton, przejąć jego melodię. Udało mi się to tylko raz, i to w małym stopniu, we *Wspomnieniach przechodnia*. Wzorowałem to opowiadanie – nie w treści, tylko w jego rytmie – na olśniewająco wspaniałym *Domu z mezonimem*, który Tolstoj, zamiast swoich utworów, czytał często na głos odwiedzającym go pisarzom<sup>31</sup>.

Przywołane w przytoczonym fragmencie opowiadanie *Ze wspomnień przechodnia* to utrzymany w pierwszej osobie monolog sześćdziesięcioletniego polskiego emigranta; i w ogóle człowieka. Narrator powraca wspomnieniem do kilku okresów swego życia spędzanych z rodziną w Polsce. Potem – do zamiaru sprowadzenia jej do siebie, do odwiedzenia kraju po latach wojny i kilkuletniej emigracji. I o przekonaniu się, że jedno i drugie było daremne. Inna jest Polska, inna jest Warszawa, nie ma już rodzinnych więzów. Wojna, rozłąka, upływ czasu, a także cechy osobowości doprowadziły do osłabienia nici łączących trzy najbliższe – zdawałoby się – sobie osoby: narratora, jego żonę i syna.

Zaszły jakieś duże zmiany; powrót okazał się niemożliwy. Świat zatrzymany i przeniesiony przez lata wojny w wyobraźni narratora – już nie istnieje. Przy stole toczą się rozmowy dla bohatera zupełnie niezrozumiałe. Słyszy je, ale jest poza nimi. One go nie obejmują, chociaż pewne zdania są do niego kierowane. Mówi się też o jakichś interesach, które wprowadzają ożywienie do rozmowy, ale nie są jasne dla narratora.

Opowiadanie ma zaledwie zarysowane elementy akcji. Prawie nic się w nim nie dzieje. Sztuka polega na ukazaniu wewnętrznego stanu bohatera siedzącego przy stole podczas rozmowy, ale nie biorącego w niej udziału. Powracający z tułaczki do swojego, niby szczęśliwie ocalałego domu widzi, że nie ma już w nim dla niego miejsca. Przez lata wojny żył marzeniem o powrocie i o spotkaniu z bliskimi, teraz rozumie, że musi się wycofać tam, skąd przybył: do smutnej, nostalgicznej rzeczywistości emigracyjnej.

Cały monolog okazuje się w końcu listem-rozmową z żoną, która zmarła w Polsce.

Po lekturze tomu opowiadań zawierającego *Ze wspomnień przechodnia* Władysław Tatarkiewicz pisał do autora w liście datowanym: „New York, 16 kwietnia 1962”:

<sup>24</sup> Kazimierz Zdziechowski, *Z tajemnic Kremla – o nowej książce Solskiego „Władza”*, „Tydzień Polski” (Londyn) 6 X 1976.

<sup>25</sup> Wacław Solski, *Bardzo tajne sprawy*, Londyn 1943.

<sup>26</sup> Wacław Solski, *Przy świetle księżycy*, Londyn 1943.

<sup>27</sup> Wacław Solski, *Rękopis znaleziony pod dywanem*, Londyn 1943.

<sup>28</sup> Wacław Solski, *Czarna spowiedź*, Londyn 1961.

<sup>29</sup> Wacław Solski, *Dziwne wypadki*, Londyn 1969.

<sup>30</sup> Wacław Solski, *Żółta trójka*, Londyn 1989.

<sup>31</sup> Wacław Solski, *Moje wspomnienia*, s. 24–25.

*Czarną spowiedź* przeczytałem od deski do deski – choć turysta nie ma w Nowym Jorku nadmiaru czasu. Ale w tym zbiorze nowel i krótkich powieści każda właśnie jest inna. I tyle w nich jest dzielnych spostrzeżeń, trafnych ujęć, prawd życiowych, dużych i małych, które każdy w gruncie rzeczy może potwierdzić, a o których mówi się mało, a pisze jeszcze mniej. A ponadto pociągały mnie do tej książki względy emocjonalne. Tęsknota do miejsc jest na pewno tęsknotą do minionego czasu. Ja też pamiętam róg Marszałkowskiej i Królewskiej, którego dziś nie ma, ja też w 1910 byłem w Paryżu, a Warszawa i mnie dzieliła się na mniejsze i większe kręgi. A to wszystko w książce jest tak żywe i tak prawdziwe. Jeszcze raz bardzo za nią dziękuję<sup>32</sup>.

W opowiadaniu *Stryj Wiktor* tytułowy bohater przybywa do Nowego Jorku z Warszawy, w odwiedziny do swego brata i jego rodziny osiadłej w Stanach Zjednoczonych, uległej zupełnie amerykańskiemu stylowi życia: myśleniu o wartościach materialnych, czuwaniu nad zachowaniem zewnętrznych oznak dobrobytu, oszczędzaniu, gromadzeniu dóbr. Między braćmi nie ma już kontaktu. Bagaż przemyśleń, uczuć, idei, z jakim przybywa gość z Warszawy, nikogo nie interesuje, a on sam nie chce być „wiotkim stworzeniem”, nie chce być jak te „owady, które się ślizgają po powierzchni wody”, chce „być w głębi”.

Gospodarze nie pytają wprost swego gościa o termin jego powrotu do Polski, ale często zbliżają się do tej kwestii. Mierząc go według własnych kryteriów, obawiają się, że zechce on pozostać w Stanach i będzie oczekiwał od nich pomocy.

Osobowością stryja Wiktora jest zaintrygowany jego bratanek. Młody chłopiec nie może się pogodzić ze stylem życia swych rodziców. Przeżywany przez niego konflikt między doznaniem wznioślejszymi a stylem przeciętnej egzystencji amerykańskiej popycha go do wszystkiego, co wiąże się z polskością – „Jest obciążony polskim garbem”. Zakodowane w psychice polskie tradycje dochodzą do głosu w jego życiu wewnętrznym, niewyraźnie jeszcze przez niego uświadamiane. Przejawiają się w sięganiu po polskie książki i pisma (co rodzice niechętnie tolerują) oraz w pełnej zaciekawienia sympatii do stryja, mimo że bezpośrednie kontakty z nim są bardzo nikle, niepełne, przypadkowe. Dopiero zakończenie utworu rzuca światło na szczególną więź, która rozwinęła się między stryjem a jego bratankiem. Ujawnia, czym było dla chłopca pojawienie się w domu gościa z Polski oraz w jakim kierunku zwracały się tego gościa obserwacje i refleksje. Na odjeźdnym, żegnając się z bratankiem, stryj Wiktor odradza mu czytanie polskich książek. Chłopiec jest zaskoczony. Właśnie w stryju spodziewał się znaleźć sprzymierzeńca dla swoich zainteresowań. Ten tak mu uzasadnia udzieloną radę:

Bo nie chcę, żebyś sobie przykuwał kule do nogi. Polubiłem cię, no i już nigdy się nie zobaczymy, więc na pożegnanie daję ci radę, bo chciałbym, żeby ci było dobrze. A jak będziesz się oglądał i budził w sobie problemy... Polskie książki będą ci przeszkadzały osiągnąć – jak by to powiedzieć – spokój ducha<sup>33</sup>.

Wśród najlepszych opowiadań Wacława Solskiego jest też *Rękopis znaleziony pod dywanem*. Zdarzenia w nim opisane rozgrywają się przed pierwszą wojną światową. Bohaterem jest młody działacz socjalistyczny, podporządkowany poleceniom partii. Jego politycznych mocodawców zupełnie nie interesują osobiste sprawy bohatera. Cechuje ich zupełna niewrażliwość na jego plany, aspiracje, chociaż ich spełnienie mogłoby przy-

<sup>32</sup> List znajduje się w archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, sygnatura Sz. J. / 4, teczka nr 1.

<sup>33</sup> Wacław Solski, *Czarna spowiedź. Opowiadania*, Londyn 1961, s. 216.

nieść partii korzyści. Nawet nie daje się mu możliwości przedstawienia swego punktu widzenia. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że w losy i doświadczenia bohatera autor wpisał własne, nierzadko gorzkie przeżycia z czasu działania w ruchu rewolucyjnym.

Młodemu działaczowi dane jest przeżyć piękną i wielką miłość, z dużą wrażliwością przedstawioną przez autora. W szczęśliwe dni dwojga młodych wkracza polityka i bohater otrzymuje polecenie szybkiego wyjazdu do Krakowa, do nowych, bardzo ważnych i nie cierpiących zwłoki zadań, które mu tam zleci partia. Wie, że musi to uczynić, a to oznacza, że musi się rozstać z ukochaną na czas nieokreślony. Zadaje gwałt sobie, swemu i jej uczuciu.

Jego przyjazd do Krakowa okazuje się ani nie tak konieczny, ani nie tak pilny. Dłuższy czas beczynnienie oczekuje na zlecenie, które miało być niezwykle ważne i nie cierpiące zwłoki.

Po wielu latach, po wojnie spotyka swą dziewczynę już jako dojrzałą kobietę, żonę innego mężczyzny, matkę jego dzieci. Wszystko, co przeżyła po gwałtownym rozstaniu w Paryżu i w swoim późniejszym życiu, i wszystko, co zostało stracone, zawarła w słowach, które kończą utwór: „Coś ty zrobił, Staśku... Coś ty zrobił?”

Julian Tuwim po przeczytaniu *Rękopisu znalezione pod dywanem* napisał do autora w liście datowanym: „Stanford, 14 VIII 43”:

Jest to, moim zdaniem, prześwietny utwór [...]. Będę szczery: humoreski, które mi Pan przysyłał, nie poruszyły mnie zbytnio. Aż tu nagle taka niespodzianka! Wszystko w tej historii [...] żywe, ciepłe, ludzkie, głęboko wierne, wzruszająco podpatrzone i z taką piękną prostotą „wyrażone”<sup>34</sup>.

Stanisław Stempowski, gdy w 1940 roku w Warszawie wezwano go do gestapo na ulicę Szucha, podczas dwugodzinnego oczekiwania na przesłuchanie wspominał psy swojego życia:

Żeby się oderwać od otaczającej mnie rzeczywistości, zamknąłem oczy i jałem przypominać sobie oblicza wszystkich psów, które znałem w ciągu życia. Znikły plugawe postacie siedzących obok szpiclów i kręcących się po korytarzu gestapowców. Psy oddały mi wielką przysługę i powróciwszy do domu, napisałem rozdział o psach<sup>35</sup>.

Taka była geneza kilkunastu psich sylwetek dodanych w *Aneksie do Pamiętników* Stempowskiego.

Podobne było w istocie (mimo ważnych różnic) położenie Wacława Solskiego, gdy pisał szkice, które weszły do książki *Psy wśród ludzi*<sup>36</sup>. W rozmowie z Januszem Kowalewskim opowiedział o tym:

Książkę o psach pisałem głównie w szpitalach, w których spędziłem prawie dwa lata po ciężkim wypadku samochodowym. Przyjemniej mi wtedy było myśleć o psach niż o ludziach [...]. Wszystkie te historie są autentyczne. W niektórych opuściłem nawet pewne autentyczne psie wyczyny, ponieważ były nieprawdopodobne [...]. Wydaje mi się, mówiąc ogólnikowo, że uczucia i postępy psów są najbardziej zbliżone do uczuć i postępów dzieci. Dlatego tak się garną do dzieci. Nawet bardzo „złe” psy łańcuchowe łatwo oblaskawić, złych ludzi prawie nigdy.

<sup>34</sup> List znajduje się w archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, sygnatura Sz. J. / 4, teczka nr 1.

<sup>35</sup> Stanisław Stempowski, *Pamiętniki (1870–1914)*, wstęp Marii Dąbrowskiej, Wrocław 1953, s. 399.

<sup>36</sup> Wacław Solski, *Psy wśród ludzi*, Londyn 1970.

W szpitalu ją [tę książkę] pisałem, kiedy mi najpierw mieli obciąć obie nogi, a później jedną. Jakoś się obeszło.

Antoni Czechow pisał piękne opowiadania o psach i koniach<sup>37</sup>.

Książka *Psy wśród ludzi* jest zbiorem psych portretów, zatytułowanych imionami czworonogów. Zasługuje jednak na znacznie większą uwagę, niżby to mogło wynikać z takiej informacji. A to po pierwsze dlatego, że są to rzeczywiście historie o psach, a nie, jak to często bywa – o ludziach ukrytych za psimi postaciami. Utwory te pisał zarówno przyjaciel psów, jak i dobry znawca ich życia, bystry obserwator ich zwyczajów i reakcji; nierzadko zresztą przyznający się do poznawczej bezradności wobec pewnych elementów psiego świata. A po wtóre – zgodnie z tytułem całego zbioru – jest to również książka o ludziach. W tej warstwie także ciekawa i ważna. Konfrontacja psów z ich właścicielami prowadzi do interesujących obserwacji z dziedziny ludzkich postaw i charakterów.

*Pieskie wspomnienia* – tak zatytułowała recenzję tej książki Janina Surynowa-Wyczółkowska. Jej autora nazwała „wybitnie inteligentnym analitykiem psiej natury [...] dalekim od fałszywej czułościowości anglosaskiej, kryjącej w sobie często bezmyślność i obłudę”<sup>38</sup>.

\* \* \*

W Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku znajdują się archiwalia Wacława Solskiego zdeponowane tam przez wdowę po pisarzu. Mają sygnaturę Sz. J. / 4 i składają się z dziewięciu numerowanych teczek.

Teczka numer 1 zawiera listy, recenzje książek pisarza w języku polskim, angielskim i francuskim.

W teczce numer 2 znajduje się niedrukowany dotychczas wiersz *Niezwykła podróż* składający się z czterdziestu czterech czterowierszowych zwrotek, nazwany *Bajką dla starych i młodych dzieci*, oraz *Opowieści bez podstaw* z adnotacją: „Zaczęły [je] drukować warszawskie »Szpilki«, które przestały wychodzić po ogłoszeniu stanu wojennego”.

(„Szpilki” publikowały je pod tytułem *Historyjki bez podstaw*. Pierwsze z nich przyniósł numer z 31 maja 1981 roku. Zawierał on krótką informację o autorze i powitanie przez redakcję przedstawiciela literatury emigracyjnej. „który z dalekiego New Yorku przesał na warszawski plac Trzech Krzyży nie publikowane nigdzie fragmenty swej prozy satyrycznej”).

W teczce tej są również „Opowiadania i eseje po angielsku i po francusku – były pisane w tych językach i drukowane w różnych pismach”. Wśród nich jest opis zajęcia Paryża przez Niemców w 1940 roku, dłuższy esej o Meyerholdzie napisany w roku 1950. (*Der Grosse Meyerhold. Gluk und Ende eines sovietrussischen Regisseurs*) i o Ilii Erenburgu (*The Adventures of Ilya Ehrenburg. Portrait of Artist as a Soviet Journalist*).

<sup>37</sup> Janusz Kowalewski, *O „Psach wśród ludzi”*, rozmowa z Wacławem Solskim, „Tydzień Polski” 15 VIII 1970.

<sup>38</sup> Janina Surynowa-Wyczółkowska, *Pieskie wspomnienia*, „Dziennik Polski” (Londyn) 5 IX 1970. Zob. też: Tadeusz Wittlin, *Uroczą książka*, „Tydzień Polski” 10 X 1970 oraz Piotr Borkowski, *Z tajników „psychologii”*, „Wiadomości” 20 XI 1970.

W teczce numer 3 znajduje się obejmujący około trzystu stron maszynopisu utwór literacki *Dwunastu szpiegów. Powieść* (słowo „satyryczna” zostało skreślone ręcznym piśmem), zaopatrzonego uwagą: „Powieść *Dwunastu szpiegów* dziejąca się w Polsce za rządów Gierka, była drukowana w r. 1978 w odcinku w »Nowym Dzienniku« w Nowym Jorku. W wydaniu książkowym nie wyszła. Zacząłem 6 lutego 1976, skończyłem pierwszą redakcję 29 czerwca 1977”.

Głównym bohaterem powieści jest funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa najniższej rangi, Franciszek Kuc, który dla uzyskania awansu organizuje „dwunastki”. Ich członkowie nawzajem się śledzą, szantażują, kontrolują, donoszą na siebie. Takimi „dwunastkami” zamierza objąć całe społeczeństwo.

Utwór jest utrzymany w poetyce groteski, karykatury. Wydobywa głupotę i nadużycia. W tle, na którym się pojawiają wzajemnie splątani, groteskowi i głupi bohaterowie utworu, ukazane są realistyczne obrazki z ówczesnej polskiej rzeczywistości. Powieść poprzedza motto; „Kpić z bliźnich wolno tylko temu, kto ich prawdziwie kocha (Goethe)”.

Teczka numer 4 zawiera krótkie opowiadania, felietony, persyflaże drukowane w polskiej prasie londyńskiej w latach 1940–1942. Są też „Wiadomości Polskie” z parodiami tekstów Zygmunta Nowakowskiego, Stefanii Zahorskiej, Stanisława Mackiewicza, Wacława Solskiego, Antoniego Słonimskiego, listów do redakcji. I garść pozbawionych jadu kpinek z Polaków mieszkających w Londynie.

W teczce numer 5 znajduje się maszynopis (trzysta trzy strony) zatytułowany: *Przygody Józefa Szwejka, sprzedawcy zwierząt, oraz Gustawa Roppa, Oszusta, w Pradze, w Berlinie i w Hamburgu, podczas drugiej wojny. Powieść*.

Maszynopis jest poprzedzony informacją: „Powieść ta nie wyszła nigdy w wydaniu książkowym. W r. 1960 przyjęta została przez Wydawnictwo Iskry w Warszawie i wydrukowana, ale w ostatniej chwili cały nakład był zniszczony”.

Rzecz czyta się bardzo dobrze (lepiej niż *Dwunastu szpiegów*). Dużo w niej humoru wzorowanego na powieści Jarosława Haśka, przeniesionego w inny czas i wymierzonego w Trzecią Rzeszę. Rodowód postaci Gustawa Roppa sięga literatury rosyjskiej z lat dwudziestych. Przypomina on Ostapa Bendera z powieści Ilji Ilfa i Jewgienija Pietrowa. Autor wyraźnie bawił się podczas pisania utworu, czytelnik – bawi się jego lekturą.

W teczce numer 6 są dwie niewystawiane nigdzie sztuki w języku angielskim: *The Trial of Edward Pint* i *Of Love and Greed*.

Teczka numer 7 zawiera trzy utwory sceniczne w języku polskim. Pierwszy z nich to sztuka *San Francisco*. Jej akcja rozgrywa się w barze pasażerskiego statku „M/s San Francisco”. Trwa tyle czasu, ile odlicza zegar widoczny na scenie.

Rozmowy pasażerów i ich zachowanie nabierają coraz szybszego tempa i stają się coraz bardziej dramatyczne od chwili przekazania komunikatu (fałszywego, jak to okaże się w zakończeniu sztuki), że na świecie toczy się wojna bakteriologiczna. Powstała sytuacja obnaża ludzkie charaktery.

Sztuka ta – w nieco innej formie – była nadawana jako słuchowisko radiowe w tłumaczeniu francuskim w Brukseli i w Paryżu.

Drugim utworem jest krótka, kilkunastostronicowa *Warszawska rewia* prezentowana na nowojorskiej scenie. Zachowało się zaproszenie:

Zielony balonik  
Rewia  
Warszawa wczoraj, dziś i jutro  
10 maja 1952 roku

Barbizon Plaza 101 West 58<sup>th</sup> Street  
Nowy Jork.

Akcja rewii toczy się w Warszawie niedalekiej przyszłości. Obfituje w komiczne zderzenia językowe i sytuacyjne. Kończy się śpiewem:

Warszawo, kochana Warszawo,  
Tyś treścią mych marzeń i snów.  
Wszędzie (w Kanadzie, New Yorku, Londynie, Paryżu)  
Tę samą Warszawę widzimy tu w śnie:  
Swobodną Warszawę nas wszystkich (bis)  
Kurtyna.

Najciekawszym i najdojrzalszym z tych trzech utworów jest nigdzie niewystawiany *Bilans dobrych uczynków*. Akcja tego *Widowiska w trzech aktach* (jak informuje podtytuł utworu) toczy się w bliżej nieokreślonej przestrzeni i czasie, przed trybunałem, który stara się dociec wszystkich uczynków człowieka, by orzec, czy może on być wpuszczony do nieba.

Trybunałowi przewodniczy sędzia, który udziela głosu stronie oskarżającej i obronie. Ich pytania i komentarze mają na celu ustalenie, wyważenie bilansu dobrych uczynków podsądnego. Chodzi o to, by człowieka oceniać nie na podstawie jego jednego czynu, lecz w świetle całej jego biografii

Odsłaniają się stopniowo różne, często nieprzewidywane strony osobowości podsądnego, nieoczekiwane powikłania jego biografii. Udzielenie odpowiedzi na pytanie, czy pozwolić mu na przekroczenie progu prowadzącego do nieba, staje się niezwykle trudne; zdaniem Wolskiego – w świetle tej sztuki – przekraczające możliwości i kompetencje zarówno stron (oskarżającej i broniącej), jak i przewodniczącego trybunału. Jakby przewidywał, że wcale nierzadko sędzia okazuje się mniej nieskalany i niewinny niż człowiek przez niego sądzony. Toteż żadnej z tych postaci dramatu autor nie przyznał praw definitywnego orzekania o winie i decydowania o wyroku.

Wolski wprowadził do dramatu dzieci, chłopczyka i dziewczynkę. Tylko one, istoty naprawdę niewinne i bezgrzeszne, o nie zepsutym sumieniu są uprawnione do nadawania odpowiedniej miary i znaczenia postępkom podsądnego i – w konsekwencji – podejmowania decyzji o wpuszczeniu go do nieba. Dysponują białymi i czarnymi galkami, którymi, po wysłuchaniu kolejnych fragmentów biografii, wymierzają mu sprawiedliwość, biorąc pod uwagę istotę czynu, jego intencje i okoliczności.

I jeszcze jeden szczegół zasługuje na uwagę. W dramacie pada informacja: „Psy idą wprost do nieba bez żadnego sądu”.

W teczkach numer 8 i 9 są napisane w języku rosyjskim wspomnienia pod tytułem *1917 god v zapadnoj oblastii i na zapadnom frontie* (ponad trzysta stron maszynopisu) z informacją w języku polskim: „Wspomnienie o roku 1917 w Rosji napisane zostało na zamówienie Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku”<sup>39</sup>.

<sup>39</sup> Informacje dotyczące Wacława Solskiego i jego braci (Pańskich) znajdują się też we wspomnieniach Antoniego Marianowicza, *Życie surowo wzbrownione*, Warszawa 2004.



# Przypomnienie Wiesława Strzałkowskiego

Wiesław Strzałkowski urodził się w 1909 roku w Kijowie. Była tam wówczas liczna kolonia polska – miała swój klub „Ognisko”, codzienną gazetę „Dziennik Kijowski”, dwa katolickie kościoły. Na Uniwersytecie Kijowskim studiowało wielu Polaków, przede wszystkim przybyłych z Kongresówki w czasie strajku szkolnego 1905 roku.

Seweryn Strzałkowski, ojciec Wiesława, przyjechał z Kielecczyny, by studiować tu prawo. Matka, Alina z Łopuszańskich, pochodziła z Podola. Podjęła studia muzyczne w kijowskim konserwatorium.

W Kijowie się poznali, w kościele św. Mikołaja wzięli ślub. Warunki życia mieli niełatwe. Ona pracowała w administracji „Dziennika Kijowskiego”, on zarabiał, udzielając korepetycji. Pisał też wiersze, które czasem przynosiły jakieś honorarium.

Po urodzeniu się syna Strzałkowscy przenieśli się do Sosnowca, gdzie mieszkała rodzina Seweryna Strzałkowskiego. Podjął tu pracę jako pomocnik rejenta, a nieco później otworzył własną kancelarię adwokacką.

Na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej Wiesław Strzałkowski wyjechał wraz z matką do jej rodzinnych stron na Ukrainie, do majątku Julianowka. Tu zastała ich wojna, która rozdzieliła rodzinę. Matka Wiesława zdecydowała się szukać mieszkania i pracy w Kijowie. Znalazła ją w redakcji „Dziennika Kijowskiego”. W Kijowie przeżywali lata wojny i rewolucję rosyjską. Były to dni pełne grozy i niebezpiecznych chwil.

„Kijów przechodził z rąk do rąk i często nie wiadomo nawet było, jaka jest władza w mieście. Towarzyszyła temu kanonada armatnia i strzelanina na ulicy, egzekucje, lęk i głód”<sup>1</sup>.

To dni Kijowa, które opisał Sergiusz Bułhakow w *Białej Gwardii*. Strzałkowski przedstawił je we wspomnieniach bohatera opowiadania *Sentyment i krew*.

Gdy Niemcy zajęli Kijów, idąc na pomoc Ukraińskiej Republice Ludowej, matka Wiesława uzyskała zgodę na wyjazd z synem do Warszawy. Tam Wiesław Strzałkowski, jako dziewięcioletni chłopiec, był świadkiem rozbrajania żołnierzy niemieckich i przeżywał euforię pierwszych dni niepodległości Polski.

Wojenna rozłąka pozostawiła trwałe ślady na życiu rodziny. Rodzice Strzałkowskiego się rozeszli. Ojciec odszedł; syn został z matką, którą opiekował się do końca jej życia. W autobiografii zanotował:

---

<sup>1</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia*, maszynopis w posiadaniu rodziny autora, s. 7.

Tatuś na wytłumaczenie podawał, że się od nas odzwyczaił w czasie długiej rozłąki, choć także uległ wpływowi kobiety, która nie miała większych skrupułów. Odtąd stałem się Mamusi powiernikiem, dzieląc z nią wszystkie jej smutki i troski<sup>2</sup>.

Postać matki, czułe słowa do niej kierowane, przejawy troski o nią będą się często pojawiać w autobiografii Wiesława Strzałkowskiego i w jego utworach poetyckich.

Naukę gimnazjalną podjął w sławnym wówczas, mającym najlepsze tradycje patriotyczne, Gimnazjum Humanistycznym imienia Jana Zamoyskiego, mieszczącym się na ulicy Smolnej 30. Zawdzięczał to staraniom matki; dostać się do tej szkoły, znanej z wysokiego poziomu nauczania, nie było łatwo.

Jako uczeń szóstej klasy Strzałkowski założył pismo młodzieży pod tytułem „Życie Szkoły”. Polonistą był wówczas Juliusz Nowak-Dłużewski, z ramienia władz szkolnych kurator tego pisma. Strzałkowski zachował o swym poloniście najlepszą pamięć. Gdy umarł, poświęcił mu piękne wspomnienie, zatytułowane *Przyjaciel młodzieży*. Wracając wspomnieniem do „Życia Szkoły”, wznowionego po wojnie, pisał o jego kuratorze:

„Profesor Nowak-Dłużewski [...] brał czynny udział w zebraniach komitetu redakcyjnego. On to swą radą i doświadczeniem łagodził nieraz burzliwe nasze obrady, pozostawiając nam całkowicie swobodę decyzji”<sup>3</sup>.

W „Życiu Szkoły” Strzałkowski zamieścił m.in. artykuł o prezydencie Stanów Zjednoczonych Thomasie Woodrow Wilsonie. W tym czasie zaczął też pisać wiersze. W dniu matury, w 1929 roku, ukazał się pierwszy tomik jego poezji zatytułowany *Pożegnanie szkoły*, wydany „Nakładem »Życia Szkoły«, miesięcznika uczniów Gimnazjum im. J. Zamoyskiego w Warszawie”.

Były to wiersze jeszcze bardzo młodzieńcze, ale ujawniające autentyczny talent poetycki. Odnotował je na łamach „Wiadomości Literackich” Stefan Napierski, porównując do „moszczu młodego wina”<sup>4</sup>.

Otwierający tomik wiersz *Zamiast wstępu* jest pierwszym krokiem ku zrozumieniu siebie jako poety, którego powołaniem jest dawanie innym ludziom, pozbawionym poetyckich przeżyć, „kęsu ducha”<sup>5</sup>.

Utworki z pierwszego zbioru wyrażają nieokreślony młodzieńczy niepokój (*Chory*), ujawniają wrażliwość na nierówność społeczną (*Bezdomni*), zawierają elementy ideologii pacyfistycznej (*Okopy z czasów wielkiej wojny*, *Wojna*), dumy z własnego, niepodległego państwa i wyrażają przywiązanie do niego (*Na sprowadzenie zwłok Juliusza Słowackiego*, *Na odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Paryżu*, *W dziesięciolecie*). Wyraża się też w nich serdeczne, opiekuńcze uczucie do uwielbianej matki (*Kwiatowe sekstyny*, *Sonet*). Prawie we wszystkich wierszach myśl zwraca się do Boga. Jest też – tradycyjny w podobnych wypadkach, w pożegnaniach ze szkołą – nieco sentymentalny, stanowiący koleżeńską zabawę dwuczęściowy cykl *O mojej szkole* (*Pożegnanie szkoły* i *Koledzy*).

Od najmłodszych lat Wiesław Strzałkowski marzył, by być poetą. Po ukończeniu szkoły średniej zamierzał studiować literaturę na Uniwersytecie Warszawskim. Uległ jednak namowom ojca, który radził mu coś bardziej praktycznego. Podjął studia prawnicze, uczestniczył w seminarium historii filozofii prawa, które prowadził profesor Eugeniusz Jarra. W poświęconym mu później wspomnieniu napisał, że „zaszczepiał [on]

<sup>2</sup> Tamże, s. 11.

<sup>3</sup> Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee (wybór eseju)*. Od Platona po czasy obecne, Londyn 1987, s. 249.

<sup>4</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia*, s. 21.

<sup>5</sup> Wiesław Strzałkowski, *Pożegnanie szkoły*, Warszawa 1929, s. 5.

w szerokich rzeszach studentów zasady praworządności tak niezbędne w życiu nowo powstałego państwa”<sup>6</sup>.

Studiował prawo, ale nie zerwał z poezją. Czytał utwory innych poetów (był pod urokiem poezji Juliana Tuwima), sam pisał wiersze, bywał na spotkaniach, gdzie poznawał wybitnych ludzi polskiej kultury.

W 1930 roku został przedstawiony jako młody obiecujący poeta Arturowi Górskiemu<sup>7</sup>. Ten wprowadził go na piątkowe wieczory urządzone przez Stanisława Michalskiego, wydawcę głośnego wówczas i wysoko cenionego *Poradnika dla samouków*. Dzięki Michalskiemu zaczął też bywać w Domu Kasy imienia Józefa Mianowskiego dla pracowników naukowych pod Warszawą, w pobliżu Otwocka, nad Świdrem. Ten dom, zwany „Mądralinem” przez okolicznych chłopów „był położony wśród lasów sosnowych, gdzie uczeni przyjeżdżający z całej Polski mieli znaleźć odpoczynek i natchnienie do dalszej pracy twórczej [...]. Była to prawdziwa akademія platońska naszych czasów”<sup>8</sup>.

Tam Strzałkowski miał sposobność zetknąć się z czołowymi osobowościami polskiej kultury. Z luminarzami różnych dziedzin polskiej nauki i kultury. By wymienić tylko ważniejszych z dziedziny humanistycznej: z Władysławem Tatarkiewiczem, Tadeuszem Kotarbińskim, Karolem Irzykowskim, Ludwikiem Krzywickim, Ignacym Chrzanowskim, Stanisławem Ossowskim, z Marią Ossowską.

Bardzo sobie cenił te spotkania i umiał z nich korzystać. Stanisława Michalskiego wspominał z wielką wdzięcznością do końca życia. Jego pamięci zadedykował pisany już w Londynie jeden z piękniejszych wierszy, *Polska wiosna*, a także *Jak ze szkiców Canaletta*. We wspomnieniu o nim pisał: „Pan Stanisław Michalski, dzięki któremu poznałem, jako młody człowiek, tylu sławnych i wybitnych ludzi ze świata nauki i sztuki”<sup>9</sup>.

Do „Mądralina” był bardzo przywiązany: „Przez 7 lat Mądralin był dla mnie drugim domem rodzinnym, a zarazem jedyną w swoim rodzaju akademią”<sup>10</sup>.

W 1933 roku ukazał się drugi zbiór jego wierszy – *Poezje*<sup>11</sup>. Są w nim kontynuacje zapowiedzi zawartych w tomie poprzednim, ujęte wszakże mocniej, dojrzej. Postawa pacyfistyczna poety, przypominająca idee *Hymnów* Józefa Wittlina, wpisana jest w wiersze: *Polegli wielkiej wojny*, *List pacyfistyczny do brata-człowieka*, *Res humana*. Utwierdza się afirmacja niepodległej Polski, uczucie dumy z jej rozwoju, radość z posiadania wolnego kraju, wiara w pomyślną, jaśniejszą przyszłość pokolenia (*O Polsce z żelazabetonu*, *W roku Powszechnej Wystawy Krajowej*, *Zawsze na posterunku*, *W setną rocznicę powstania*, *Pochwała polskości*, *Nas dziś nie ma*, *Strzelamy kłosem w górę w złociste ogrodzenie*, *Na Zjazd b. wychowanków gimn. im. J. Zamoyskiego*, *Jestem radosny jak wielu*).

W wymienionych wierszach występuje zbiorowy podmiot liryczny. Wypowiada się tu poeta w imieniu wspólnoty pokoleniowej, młodzieży polskiej pamiętającej z dzieciństwa niewolę i wojnę, wchodzącej w życie dorosłe we własnym, wolnym państwie.

Są też w tym zbiorze wiersze wyrażające przeżycia indywidualne: dociekanie istoty i zagadki własnego istnienia, odkrywanie siebie, dochodzenie „tajemnicy swego trwania”, zdziwienie „bez miary, że w ogóle jestem”, odczuwanie nieokreślonego niepokoju

<sup>6</sup> Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*, s. 270.

<sup>7</sup> Zob. Wiesław Strzałkowski, *Ze wspomnień o Arturze Górskim* [w:] Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*

<sup>8</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia*, s. 31.

<sup>9</sup> Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*, s. 31.

<sup>10</sup> Tamże, s. 215.

<sup>11</sup> Wiesław Strzałkowski, *Poezje*, Warszawa 1933.

(*Jestem radosny jak wielu, Niebo było to samo, Sam z sobą tylko w odwiecznej rozmowie...*, *Jakiś mrok mi ciebie przesłania, W dni znikomoś wpatrzona młodość ma niesyta, Trzepoczę się jak gołąb w sieci pochwycony*).

W wierszu *Na łące* dochodzi do głosu świadomość obecności zła na świecie, znaczonego zabójstwami, podpaleniami, katastrofami, ofiarami ludzkimi, grabieżą, morderstwami, tysiącami wypadków, gniewnymi zgromadzeniami przekonanymi o swej krzywdzie robotników. To jakby – niezamierzone z pewnością i samodzielne – echo *Kroniki dnia* Tadeusza Peipera.

Wśród rozterek, zagadek życia, niewiedzy pojawiają się zwroty skierowane do Boga. Z pytaniami, z hołdem, uznaniem niezrozumiałych wyroków (*Pojednanie, Urywek z poematu*).

Poezje spotkały się z pewnym zainteresowaniem w środowisku literackim. Wprawdzie najpierw ukazała się złośliwa recenzja na łamach pisma „ABC”, ale później, kiedy redaktor tego periodyku Stanisław Piasecki usłyszał wiersze Strzałkowskiego na jego spotkaniu autorskim, poświęcił im całą stronę swego tygodnika. A na spotkaniu w klubie „S” referat o nich wygłosił Stefan Żółkiewski<sup>12</sup>.

W 1935 roku ukazał się utwór Szymona Szymonowica *Aelinopean* w świetnym przekładzie z języka łacińskiego dokonany przez Wiesława Strzałkowskiego. Dzieło to, złożone z dziewiętnastu pieśni, jest wielką pochwałą przezorności i bohaterstwa Jana Zamoyskiego (przypomnijmy: patrona gimnazjum, w którym się kształcił Wiesław Strzałkowski).

*Aelinopean* – pieśń żałobna – zawiera zasmucające refleksje, bo wróg, chwilowo odparty, zadał ojczyźnie dotkliwe ciosy, a zawiść magnatów kierujących się prywatą utrudniała Zamoyskiemu obronę polskiego państwa.

Przekład Wiesława Strzałkowskiego był pierwszym pełnym tłumaczeniem tego utworu Szymonowica. Wcześniej tylko jego fragmenty przetłumaczył Władysław Syrokomla<sup>13</sup>.

Dwa lata później, w roku 1937 ukazał się *Wyjazd na połów* – zbiór wierszy związanych z wycieczką autora dookoła Anglii. Udział w niej Strzałkowski zawdzięczał Stanisławowi Michalskiemu.

*Wyjazd na połów* dowodzi dojrzenia poety. Po kresie osobistego liryzmu i zbiorowych uniesień patriotycznych dochodzi do głosu obserwacja zewnętrznego świata, utrwalanie jego barw, światła w plastycznych wizjach, poszukiwanie różnych form poetyckich, podporządkowanie się ich rygorom. *Szkice z podróży* to cykl czternastu sonetów skomponowanych na wzór *Sonetów krymskich* Adama Mickiewicza. Otwierający tom wiersz pt. *W zatoce* jest poetycką aluzją do *Stepów akermzańskich*. Jeden z piękniejszych wierszy tego tomu, *Conrad*, jest ujęty w formalne rygorzy heksametru i przywołuje echa norwidowskie. Jest też próba epickiego ujęcia *Legendy żarnowieckiej*.

Za *Wyjazd na połów* Strzałkowski otrzymał nagrodę Związku Pisarzy i Dziennikarzy imienia Jerzego Szareckiego.

W połowie lat trzydziestych objeżdżał wraz z Jerzym Pietrkiewiczem Polesie. Poruszył go rozmiar nędzy, w jakiej żyła ludność tej krainy. Opisał ją w reportażach Ksawery

<sup>12</sup> Informacja za Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia*.

<sup>13</sup> Szymon Szymonowicz, *Aelinopean*, przełożył Wiesław Strzałkowski, Warszawa 1935. Pięknie wydane na czerpanym papierze wznowienie tego przekładu, z historycznym i filologicznym wstępem tłumacza oraz posłowiem Józefa Andrzeja Teslera zatytułowanym *Sylwetka Kanclerza Jana Zamoyskiego według współczesnej relacji angielskiej* ukazało się w Londynie w 1962 roku nakładem Oficyny Poetów i Malarzy.

Pruszyński. Strzałkowski również napisał reportaż z tej podróży i przekazał go redakcji „Prosto z mostu”. Nie doczekał się jednak publikacji, mógł go tylko przedstawić na jednym z „zebrań piątkowych”.

Przyjął zaproponowane mu francuskie stypendium w celu przygotowania doktoratu z prawa na uniwersytecie w Lille. Uwzględniono jego prośbę, by mógł nad nim pracować w stolicy Francji. W listopadzie 1937 roku razem z matką wyjechał do Paryża – miał więc należeć do tych pisarzy emigracyjnych, których wybuch wojny zastał poza granicami kraju, podobnie jak Andrzej Bobkowski, Witold Gombrowicz, Jan Lechoń, Józef Wittlin.

Na Sorbonie pozostawał pod opieką naukową historyka filozofii Emila Brehiera. Podjął zaproponowany przez niego temat: *Doświadczenie wewnętrzne u spirytualistów francuskich*. Studiował dzieła Maine de Birana, Henryka Bergsona, przesiadywał w Bibliotece Faculté de Lettres i Sainte Geneviève, chodził na przedstawienia teatralne do Comédie Française i do Odéonu, co niedzielę odwiedzał Luwr. Słuchał wykładów Paula Valéry'ego, Etienne'a Gilsona. Na kończącej się właśnie w Paryżu Wystawie Międzynarodowej oglądał ciężkie i ponure gmachy z eksponatami Trzeciej Rzeszy i Związku Radzieckiego.

Poznał profesora Zygmunta L. Zaleskiego, w którego apartamencie przy ulicy Boissiere 59 gromadziła się młodzież studiująca za granicą. Zygmunt Zaleski, historyk literatury, profesor Uniwersytetu Warszawskiego (później Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie), autor książki *Twórca i dzieło*, był w Paryżu przedstawicielem Ministerstwa Oświaty, Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Opiekował się polską młodzieżą studiującą we Francji<sup>14</sup>.

Dyplom z psychologii na Sorbonie Strzałkowski uzyskał za pracę *Elementy motoryczne w myśleniu pojęciowym*.

Wybuch wojny zastał go w Paryżu. Znalazł się nagle w bardzo trudnym położeniu, stypendium się skończyło. Zaoferował swe usługi tworzącemu się we Francji rządowi polskiemu na wychodźstwie. Udzielał lekcji języka francuskiego Stanisławowi Mikołajczykowi. Nie miał jednak jakoś do niego przekonania: „Wygląda na człowieka przeciętnego bez szerszych horyzontów myślenia”<sup>15</sup>.

Przygotował dla generała Władysława Sikorskiego dwa projekty przemówienia do kraju, które spotkały się z uznaniem. Został jego sekretarzem; zamieszczał też artykuły w „Głosie Polskim”.

Po kapitulacji Francji przedostał się do Hiszpanii, gdzie przez pewien czas był internowany, stamtąd – do Portugalii, do Lizbony. 15 listopada 1940 roku przybił do brzegów Szkocji, otrzymał mundur z naszywką *Poland* na ramieniu i został skierowany do batalionu podhalańskiego, odtwarzanego z resztek rozproszonej po bitwie pod Narwikiem brygady podhalańskiej.

Napisane wówczas wiersze weszły do zbiorowego tomu poezji *Marsz odwetowy*<sup>16</sup> (*W obozie i Polska wśród żołnierzy*) oraz do zbioru żołnierskich wierszy *W obozie w Szkocji*<sup>17</sup>. Utwory te wyrażały nastroje żołnierzy zmęczonych, z poczuciem własnej

<sup>14</sup> Zob. Wiesław Strzałkowski, *Ostatnia rozmowa [w:] Ludzie i idee...*

<sup>15</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia*, s. 49.

<sup>16</sup> Wiesław Strzałkowski, *Marsz odwetowy. Poezje żołnierskie*, Perth 1941.

<sup>17</sup> Wiesław Strzałkowski, *W obozie w Szkocji*, Londyn 1942.

niemocy i ich tęsknotę do kraju oraz nadzieje powrotu do niego po zwycięskim zakończeniu wojny<sup>18</sup>.

To o Strzałkowskim między innymi myślał Kazimierz Wierzyński, gdy w odczycie *Współczesna literatura polska na emigracji* wygłoszonym w kwietniu 1943 roku w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku mówił o najmłodszych poetach, którzy „zwierzą nam swoje, czasem przepięknie wyrażone, liryczne wyznania”<sup>19</sup>. Również Mieczysław Giergielewicz stwierdzał, że „narastać zaczęła poezja żołnierska mniej pretensjonalna i wygładzona, za to cieplejsza w kolorycie i częściowo oparta na doświadczeniach bitewnych lub przynajmniej obozowych”<sup>20</sup>. Zaliczał do niej tomik Wiesława Strzałkowskiego *W obozie w Szkocji*.

Poeta odbywał ćwiczenia wojskowe, aczkolwiek nie sprzyjało temu jego słabe zdrowie. Obierał ziemniaki dla żołnierzy, chociaż – jak później stwierdził naocznie – inna była wola Władysława Sikorskiego, który we własnoręcznie napisanym rozkazie zaznaczył: „Zatrudnić strzelca z cenzusem Wiesława Strzałkowskiego jako podoficera oświatowego na terenie oddziałów naszych w Szkocji”<sup>21</sup>. Wskutek – znanych niestety również z wielu innych przekazów – panujących w polskich środowiskach podejrzliwości, zawiści, intryg, wzajemnej nieufności i nieżyczliwości, rozkaz ten nie był respektowany przez tych, którzy byli zobowiązani do jego wykonania.

Podjął studia filozoficzne na uniwersytecie Saint Andrew w Glasgow, pisał pracę z zakresu parapsychologii. Przeczucia, nieuchwytnie zmysłami doznania psychiczne, sny uprzedzające o zdarzeniach, intuicyjne przewidywania miały pozostać stałym przedmiotem jego zainteresowań<sup>22</sup>.

W Szkocji Strzałkowski czuł się dobrze. Z przyjemnością wspominał tę krainę i ludzi, wśród których spędził dwa lata: „Szkocja ma wielki urok, czas spędzony w wojsku pomimo różnych przygód zostawił niezatarte wspomnienia, głównie dzięki atmosferze koleżeńskiej i przyjaźni”<sup>23</sup>.

Toteż kiedy, zwolniony z wojska z powodu słabego stanu zdrowia, opuszczał Szkocję i udawał się do Londynu w roku 1942, napisał dedykowane „Szkockim przyjaciółom” piękne *Pożegnanie Szkocji*. Gratulował mu tego wiersza Antoni Słonimski, dziękowała mu za niego Królowa Matka, której posłał jego angielskie tłumaczenie.

W Londynie znalazł pracę w Ministerstwie Propagandy, którym kierował Stanisław Stroński. Przygotowywał miesięczne raporty z prasy angielskiej na polskie tematy. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych kierowanym przez Stanisława Mikołajczyka pisał ulotki, które miały być rozrzucone nad Polską. Jego bezpośrednim przełożonym był Stanisław Młodożeniec.

Z inicjatywy Stanisława Kota i z jego poparciem wyjechał do Oksfordu na dalsze studia. Pod kierunkiem naukowego profesora Henry’ego H. Price’a pracował nad tematem *Rola doświadczenia kinestetycznego w postrzeganiu i myśleniu*. W 1947 roku uzyskał stopień naukowy doktora filozofii.

<sup>18</sup> Por. Maria Danilewicz-Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978, s. 53–54.

<sup>19</sup> Kazimierz Wierzyński, *Szkice i portrety literackie*, Warszawa 1990, s. 118.

<sup>20</sup> *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960*, praca zbiorowa wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, pod redakcją Tymona Terleckiego, Londyn 1964, t. I, s. 38.

<sup>21</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia*, s. 67.

<sup>22</sup> Przejawiły się w studium o Maine de Biranie, w którego pracach Strzałkowski znalazł spostrzeżenia wyprzedzające o stulecie teorie Zygmunta Freuda oraz w szkicu *Dziwne życie Emanuela Swedenborga* ([w:] *Ludzie i idee...*).

<sup>23</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia...*, s. 71.

Zaraz po wojnie nastął bardzo ciężki czas dla Polaków w Wielkiej Brytanii. Trudno było znaleźć pracę, Anglicy szybko zapomnieli o ofiarności Polaków w czasie obrony ich kraju. Widzieli w nich teraz kłopotliwych *uneasy people*. Im więcej racji moralnych mieli ci „niełatwi ludzie”, tym bardziej uwierali sumieniu, przyprawiali o psychiczny dyskomfort. Toteż należało ich nakłaniać do powrotu do swego kraju. Marian Hemar z ironią przedstawiał doradzanie przez Anglików Polakom, by pogodzili się z losem, ustąpili, nie sprawiali Brytyjczykom kłopotu. Jeśli czują się pokrzywdzeni, niech zapomną o krzywdzie; jeśli uważają się za sumienie narodów, niech jeszcze raz poświęcą się dla spokoju innych i wracają do siebie. „Stalin nie jest taki straszny”, a Anglia nie jest „naturalnym parkiem dla ochrony Polaka, jak zebra czy bobra”<sup>24</sup>.

Po cofnięciu przez władze brytyjskie uznania dla polskiego rządu emigracyjnego Strzałkowski utracił środki do życia. W staraniach o pracę natrafiał na mur obojętności ze strony Anglików. Daremnie zabiegał o zatrudnienie na jakimś uniwersytecie.

Przez jeden rok uczył języka angielskiego Polaków, którzy odmówili powrotu do kraju i zostali umieszczeni w obozie w pobliżu Oksfordu. Mieszkał w jednym z blaszanych baraków, które ze względu na obły kształt nazywano „beczkami śmiechu”. Zanotował: „W obozie życie było wręcz beznadziejne. Po lekcjach w jednym z baraków marzyłem w mej beczcze śmiechu i tylko wiatr huczał od pola”<sup>25</sup>.

Po roku pracy w takich warunkach wrócił do Londynu, gdzie – by posłużyć się jego słowami – „zaczęło się organizować polskie życie kulturalne, choć nikt nie przewidywał, że była to praca na długie lata, bo niemożliwy był powrót do kraju. Zaczynała się nowa faza życia, nowe trudności, nowe nadzieje i zawody”<sup>26</sup>.

Dla Wiesława Strzałkowskiego oznaczało to kolejne kłopoty z ustabilizowaniem własnej sytuacji materialnej; tym większe, że założył rodzinę, ożenił się, na świat przyszła jedna córka, potem druga. Nie tylko o pracę było trudno, również o wynajęcie mieszkania. Nie chciał przyjąć, co mu proponowano, posady na Uniwersytecie Wrocławskim. Różne punkty widzenia na kwestie związane z powrotem do kraju przedstawił w dramacie *Emigranci*.

Wystawał w kolejkach po zasiłek dla bezrobotnych. Po licznych zabiegach i protekcjach dostał pracę w bibliotece znanego magazynu Harrodsa w Londynie. Zaczęło się od katalogowania, co było jeszcze do przyjęcia. Wkrótce jednak został zmuszony do pakowania książek, ekspediowania ich, noszenia, co rodziło zrozumiałe frustracje. Porzucił więc Harrodsa i w poszukiwaniu środków do życia przystał na pracę windziarza w hotelu Ritza.

Miała ona pewne dobre strony. Spotykał znanych, interesujących ludzi, którzy z kolei na niego zwracali uwagę, zaciekawieni spotkaniem w takim miejscu człowieka znającego języki, zdradzającego dużą kulturę, zaczytanego w prozie Prousta, co ujawniało się w rozmowach podczas prowadzenia windy. Literackim odzwierciedleniem tego epizodu jest opowiadanie Wiesława Strzałkowskiego *Historia z happy endem*, a świadectwem jego głębszego zainteresowania Proustem – esej *Proust* w tomie *Ludzie i idee*.

Pozycja windziarza narażała go jednak również na upokarzające żądania niektórych gości hotelowych, co skłoniło go do rozstania się z tym miejscem pracy. Dorywcze zatrudnienie znalazł w centrali pocztowej. Na stałe – jako cudzoziemiec – nie mógł liczyć.

<sup>24</sup> Marian Hemar, *Satyry patetyczne*, Londyn 1947, s. 22.

<sup>25</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia...*, s. 21.

<sup>26</sup> Tamże, s. 101.

W 1951 roku powstał Polski Uniwersytet na Obczyźnie. Strzałkowski podjął na nim wykłady z psychologii i historii filozofii, opracował także skrypt o współczesnych kierunkach psychologicznych. Z uczelnią tą – z pewnymi przerwami – był związany do 1965 roku. Na niej uzyskał habilitację, której podstawą była rozprawa o poglądach Marine de Birana. Habilitacja została przeprowadzona w obecności Władysława Tatarkiewicza.

Strzałkowski znał profesora Tatarkiewicza jeszcze z uniwersyteckich lat w Warszawie. Słuchał jego wykładów, później spotykał się z nim w Londynie, zaprzyjaźnili się. Tatarkiewicz go cenił – Adamowi Schaffowi podsunął myśl, by zaprosić go do Polski, ale Strzałkowski nie chciał skorzystać z tej możliwości. Nazywał Tatarkiewicza swoim Profesorem i Przyjacielem<sup>27</sup>.

Po jego śmierci napisał o nim piękne studium, pełne szacunku i wyrażające przywiązanie, a zarazem rzetelne i kompetentne pod względem merytorycznym, ujmujące syntetycznie naukowe dokonania Władysława Tatarkiewicza<sup>28</sup>.

Strzałkowski uczestniczył również w emigracyjnym życiu kulturalnym i politycznym. Działał w Ruchu Młodych, którego głównym celem było doprowadzenie do zgody i współpracy między skłóconymi stronnictwami politycznymi dzielącymi polskich emigrantów. Sprzyjał więc zamiarom, z jakimi z Kanady przybywał Kazimierz Sosnkowski, główny autor *Aktu Zjednoczenia*.

Nie udało się jednak zapobiec rozłamowi w emigracyjnym obozie rządzącym. Dla Strzałkowskiego była to sposobność do pouczających spotkań z Władysławem Andersem, Tomaszem Arciszewskim, Józefem Hallerem, Augustem Zaleskim.

Z obserwacji stosunków panujących między skłóconymi z sobą polskimi emigrantami rodziły się refleksje rozwinięte w eseju *O sztuce współżycia z ludźmi*. Przypomniawszy myśl Arystotelesa, że człowiek jest istotą społeczną, a także naukę Freuda o obecności w ludzkiej psychice różnych kompleksów, Strzałkowski patrzył na swych rodaków emigrantów krytycznie, ale z dużą wyrozumiałością. Z przeświadczeniem, że wielu, często niezrozumiałych sporów można by uniknąć, gdyby się znało ich źródło:

Czyż można się dziwić, że ludzie, którzy przeszli obozy koncentracyjne czy zsyłkę do Rosji, którym nieraz trudno się dostosować do obecnych warunków, fizycznie nieraz wyczerpani wskutek tych przeżyć, mają do siebie wzajemnie pretensje, choć właściwie wszyscy są ofiarami losu?<sup>29</sup>

Apelował o zachowanie spokoju myśli, spokoju w rozmowie z innymi, rezygnacji z żądania od kogoś miłości, szacunku, wdzięczności, nawet grzeczności; o uzbrowienie się w cierpliwość chroniącą przed ludzkimi humorami i nastrojami. Uważał, że świadomość własnych wad może zapobiec obrażaniu się na innych.

Działał też w emigracyjnych organizacjach kulturalnych. Był członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, przez pewien czas – członkiem jego zarządu. Doprowadził do powstania Towarzystwa Przyjaciół Pisarzy.

W 1954 roku wyjechał na dwa lata do Hiszpanii, gdzie otrzymał stałą pracę w Instytucie Języków „Briam” w Madrycie. Spotkał się tam ze starym, chorym Polakiem, Ludwikiem Trzywdar-Burzyńskim, nazywanym przez Hiszpanów Don Louistem. Opisał go w opowiadaniu *Don Louis*.

<sup>27</sup> Zob. Wiesław Strzałkowski, *Pożegnanie Profesora* [w:] Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*

<sup>28</sup> Wiesław Strzałkowski, *Władysław Tatarkiewicz jako historyk kultury*, Londyn 1987.

<sup>29</sup> Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*, s. 148.



Po powrocie do Londynu w 1956 roku miewał od czasu do czasu odczyty, wykłady. Pisywał „coś niecoś do »Dziennika Polskiego«, bo »Wiadomości« są prawie niedostępne, a w polskich stosunkach decydują stosunki osobiste i jakieś osobiste powiązania»<sup>30</sup>.

Pewne możliwości zatrudnienia pojawiły się w 1956 roku w związku z wydarzeniami na Węgrzech, które spowodowały napływ do Anglii węgierskich imigrantów, wśród nich wielu górników. Potrzebni byli nauczyciele języka angielskiego, więc Strzałkowski podjął się tej pracy przez jeden rok, w niedużym mieście Washington, w hrabstwie Durham.

W październiku 1956 roku Walny Zjazd Związku Pisarzy na Obczyźnie podjął uchwałę (a właściwie przypomniał i potwierdził aktualność swej uchwały z 1947 roku) mówiącą między innymi o takim zobowiązaniu:

Dopóki Kraj nasz pozostaje w politycznej niewoli i pod rosyjską przemocą, pisarze polscy na obczyźnie, zgodnie ze swą uchwałą z 1947 roku, winni nadal powstrzymywać się od wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne. Zasada ta obowiązuje pisarzy emigracyjnych jako warunek skutecznego udziału w walce o wyzwolenie, dopóki nie będzie w Kraju rzeczywistej wolności słowa i druku<sup>31</sup>.

Wiesław Strzałkowski należał do tych pisarzy, którzy zachowali dystans do tej uchwały i wstrzymał się od głosowania nad jej przyjęciem. Juliusz Mieroszewski w liście do Jerzego Giedroycia z 21 października 1956 roku pisał: „Wczoraj jeszcze jednak poddano pod głosowanie samą treść uchwały, tzn. całkowity zakaz drukowania w Kraju. Przeciw uchwale głosowałem ja, Broncel, Niemojowski, Strzałkowski...”<sup>32</sup>.

Na początku 1958 roku Strzałkowski ukończył kurs przewodników agencji turystycznej z myślą, by latem mógł coś zarobić, prowadząc wycieczki przez Francję do Hiszpanii. Istotnie w sezonie turystycznym poprowadził dziesięć wycieczek autokarowych.

W październiku tegoż roku wyjechał do Niemiec, gdzie miał być tłumaczem w biurze lotnictwa amerykańskiego w Bad Soden pod Frankfurtem. Spędził tam zaledwie jeden miesiąc, a oto z jakiej przyczyny:

Praca moja miała polegać na tłumaczeniu artykułów i wiadomości ogłaszanych w Polsce dla Biblioteki Lotnictwa Amerykańskiego. Już na drugi dzień się zorientowałem, że to nie jest praca dla mnie, bo trąci nielojalnością wobec własnego kraju bez względu na to, jaki panuje tam reżim. Toteż już na drugi dzień od niej się odmówiłem, lecz musiałem odsłużyć cały miesiąc, by wypełnić postanowienia umowy. Inni nie mieli takich skrupułów i po latach doczekali się intratnej emerytury<sup>33</sup>.

Skorzystał więc z możliwości objęcia stanowiska profesora na uczelniach amerykańskich i wyjechał do USA w 1956 roku. Wykładał historię filozofii, logikę, filozofię człowieka (opartą na nauce św. Tomasza z Akwinu) w Louis College w stanie Illinois. Również tu przyszło mu przeżywać konflikt sumienia. Dziekan zarzucał mu, że nie stawia studentom ocen niedostatecznych, a tym samym chroni ich – ku niezadowoleniu władz – przed wysłaniem na wojnę do Wietnamu.

<sup>30</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia*, s. 122.

<sup>31</sup> Cyt. za: *Wizja Polski na lamach „Kultury” 1947–1976*, do druku przygotowała, wstępem, przypisami i indeksem opatrzyła Grażyna Pomian, Lublin 1999, t. II, s. 333.

<sup>32</sup> Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, część druga, Warszawa 1999, s. 429.

<sup>33</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia*, s. 131.

Zaniechał więc tej pracy pod pretekstem niemożności sprowadzenia rodziny do Ameryki. W istocie dlatego, by „nie przyczyniać się do wysyłania studentów na wojnę”<sup>34</sup>.

Po ponownym dłuższym bezrobociu na Wyspach Brytyjskich przyjął propozycję Iona Colega w New Rochelle, w stanie Nowy Jork. Wykładał tu również historię filozofii, logikę i filozofię człowieka, ale – co mu bardziej odpowiadało – na podstawie filozofii Cassirera. Interesowały go poglądy tego filozofa, według którego człowiek jest istotą stwarzającą symbole (*animal symbolicum*) i żyjącą w bogatym i różnorodnym świecie symbolicznym, którego składnikami są stwarzane przez niego: język, mit, sztuka, religia, filozofia<sup>35</sup>.

W Stanach Zjednoczonych nie mógł przebywać dłużej niż dwa lata, bo takie były wówczas amerykańskie przepisy wizowe. O kolejną wizę mógłby się starać ponownie po dwóch latach spędzonych w swoim kraju.

Jego autobiografia obfitująca w wiele ciekawych szczegółów na tym się urywa. Zamyka ją skrótowy, spieszny, jakby później dodany zapis:

W Londynie czekały mnie nowe zadania, bo wszedłszy w życie polityczne emigracji, robiłem, co mogłem, by doprowadzić do zgody, tak niezbędnej do osiągnięcia wspólnych celów. Dalsze me lata były głównie temu poświęcone, choć nie zaniedbywałem pracy twórczej i służby narodowej kulturze w miarę swych skromnych możliwości<sup>36</sup>.

Do kwestii zgody między ludźmi powrócił raz jeszcze w eseju, który był jego pełną nadziei reakcją na powstanie w Polsce „Solidarności”, w szkicu *Edward Abramowski – apostoł solidarności*. Na kanwie jego poglądów i pod wrażeniem moralnych wartości, które się ujawniły we wczesnym okresie ruchu solidarnościowego, pisał: „Tylko [...] braterstwo oznacza całkowite stopienie się interesów jednostkowych i społecznych, bo braterstwo to jedna prawda życia, która daje radość, moc wewnętrzną i jasność człowiekowi”<sup>37</sup>.

Jako autor filozoficznych esejów Wiesław Strzałkowski poświęcił najwięcej uwagi filozofii Platona. Bliskie mu były marzenia greckiego filozofa o idealnym państwie i pojmowanie prawa jako korektora ludzkich niedoskonałości, które nie pozwalają na zrealizowanie ideału. Upatrywanie w tyranii najgorszego ustroju politycznego trafiało w istotę poglądów Strzałkowskiego, świadomego najcięższych doświadczeń XX wieku.

Dużo uwagi poświęcił myślom Platona odnoszącym się do źródeł tyranii, do warunków sprzyjających jej pojawieniu się i zwycięstwu, a wywodzących się ze słabych stron ustroju demokratycznego. Przypominał – za Platonem – słowa Sokratesa, że w bezrządzie, do którego może doprowadzić demokracja, nauczyciel boi się ucznia i zaczyna mu pochlebiać, ojciec boi się synów, a ludzie starzy starają się naśladować młodych w obawie, że będą się wydawać śmieszni. Z wolności bez granic bierze się niewola. W demokracji wysuwają się na czoło jednostki najbardziej demagogiczne, które zajmują mównicę i nie dopuszczają do głosu nikogo, kto by myślał inaczej. Dyktator uzyskuje poparcie ludu, pełnię władzy, wszczyna wojny, występując w roli wodza ludu i szermierza jego interesów. Tępi opozycję, zaprowadza niewolniczy posłuch. Do tego dochodzi

<sup>34</sup> Tamże, s. 161.

<sup>35</sup> Por. Wiesław Strzałkowski, *Filozofia kultury Ernsta Cassirera* [w:] Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*

<sup>36</sup> Wiesław Strzałkowski, *Autobiografia...*, s. 171.

<sup>37</sup> Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*

błędna kompensata psychiczna neurotyka, nieograniczone zaspokajanie namiętności, samotność i strach.

Sylwetkę przedstawionego przez Platona dyktatora Dionizjusza Starszego Strzałkowski zestawiał z Hitlerem, znajdując analogie w ich drodze do władzy, a sytuację po jego śmierci porównywał do sytuacji po śmierci Stalina.

Odpowiadały Strzałkowskiemu myśli Platona o muzyce i jej roli w doprowadzaniu do harmonii w postępowaniu. W poglądach greckiego filozofa znajdował to, co Jung określał jako „proces integracji”. Tę rolę jednak spełnia tylko ta muzyka, która jest odbiciem prawdziwego Piękna, a jego miarą nie jest przyjemność ludzi przeciętnych, lecz opinia znawców stojących na wyżynach duchowych. Przyjmując te poglądy Platona za własne, cytował jego słowa: „Najpiękniejsza Muza dla mnie to ta, która zachwyca najszlachetniejszych i na odpowiednim stopniu kultury stojących ludzi, a bodaj nawet jednego człowieka wyróżniającego się cnotą i kulturą”<sup>38</sup>.

Pierwsza część tomu *Ludzie i idee* zatytułowana *W kręgu Platona* jest wyrazem fascynacji mądrością tego filozofa, kulturą starożytnej Grecji, jej duchowym i fizycznym pięknem.

Odczytywanie tradycji europejskiej myśli demokratycznej z pozycji człowieka znającego systemy totalitarne XX wieku i ich rodowód pociągało za sobą krytyczny dystans również do poglądów Jana Jakuba Rousseau i dostrzeganie niebezpieczeństw tkwiących w jego teorii o „mowie społecznej”. Mogą one bowiem prowadzić do tyranii zbiorowej, jeżeli obywatele wyrzekną się indywidualnej wolności na rzecz wspólnoty. Przedłużenie myśli francuskiego filozofa znajdował Strzałkowski w terrorze Robespierre’a i w Heglowskim idealizowaniu państwa pruskiego.

Był zdania, że wspólne dobro jest ważniejsze od dobra jednostki, ale tylko wtedy, gdy służy wszystkim obywatelom.

Państwo powinno tu być środkiem, a nie celem samym w sobie. Pogląd zaś na to, co jest złe czy dobre, nie powinien zależeć ostatecznie ani od rządzącej grupy, ani izolowanej jednostki, lecz opinii większości podlegającej krytyce inndywidualnej<sup>39</sup>.

Bliska Strzałkowskiemu była też filozofia Kartezjusza. W szkicu mu poświęconym przytaczał fragmenty jego *Medytacji*, by wyjaśnić, że słowo *penser* u Descartes’a nie znaczy „myśleć” w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz chodzi tu o świadomość człowieka, dzięki której mamy pewność, że istniejemy<sup>40</sup>. W Pascalu widział filozofa, który przedstawił tragizm życia i głębokie sprzeczności tkwiące w ludzkiej psychice<sup>41</sup>.

Druga część *Ludzi i idei* jest poświęcona filozofii polskiej i nosi tytuł zaopatrzonego znakiem zapytania *Czy mamy własną filozofię?*

Prezentując polskich myślicieli, Strzałkowski przypominał główne wątki ich refleksji i nauki, w których zawsze dominowało poczucie związku Polski z kulturą zachodnią i uwzględnianie dążeń narodu. Wskazywał na trwające przez stulecia domaganie się reform ustrojowych, patriotyczne motywacje autorów odrodzenia, reformatorów polskiej edukacji w dobie oświecenia, Konstytucję 3 maja, filozofię polskiego romantyzmu z jej doskonaleniem moralnym i podtrzymywaniem ducha narodowego po upadku powstania listopadowego. Zatrzymywał się dłużej na myśli Norwidowskiej. W eseju *Norwid*

<sup>38</sup> Tamże, s. 40.

<sup>39</sup> Tamże, s. 169.

<sup>40</sup> Wiesław Strzałkowski, *Podstawy filozofii Descartesa*, Londyn 1988.

<sup>41</sup> Zob. Wiesław Strzałkowski, *Geniusz Pascala* [w:] Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*

o emigracji przypominał jego pojmowanie patriotyzmu; nie jako egzaltacji prowadzącej do przelewu krwi i ofiary życia, lecz jako codziennego kierowania się dobrem narodu, pracą twórczą; i jego słowa: „Ojczyzna jest to wielki zbiorowy obowiązek” i „Jesteśmy żadnym społeczeństwem. Jesteśmy wielkim sztandarem narodowym”. Strzałkowski widział dużą aktualność słów Norwida dotyczących emigracji:

Emigracja winna się składać z ludzi świadomych tego, co czynią, którzy mają stać się ambasadorami Polski nie złamanej duchem, którzy będą nie prorokami, lecz apostołami czynu [...]. Każdego przychodzącego na emigrację wezwać [należy] do sprawozdania i udowodnienia prawdą dla prawdy, dla jakich powodów przystępuje do ciała Emigracji<sup>42</sup>.

Podniesienie zasług polskich pozytywistów w powrocie do pracy u podstaw, pracy organicznej i zwrocie do nauki uzupełnił wspomnieniem o Aleksandrze Świętochowskim, którego wraz ze Stanisławem Michalskim odwiedził w jego Gołotczyźnie, już u schyłku życia „Posła Prawdy”<sup>43</sup>.

Dopełnieniem rozważań o polskiej filozofii jest esej Strzałkowskiego zatytułowany *Podstawy moralne polskiej myśli politycznej* opublikowany w tomie zbiorowym wydanym z okazji trzydziestolecia „Wiadomości”. Autor stwierdzał w nim „przerazające obniżenie wartości moralnych”, szczególnie we współżyciu między ludźmi, między państwami, między obywatelami a państwem; bezwzględność walki o władzę, która staje się celem samym dla siebie:

Gwałcenie praw moralnych, którego niezliczonych przykładów dostarcza nam nasza epoka, jest dowodem, że dla doraźnych celów politycznych odrzuca się podstawowe prawdy moralne, które głosiły wszystkie religie świata i myśliciele najwięksi ludzkości. Zerwanie więzów pomiędzy etyką a polityką świadczy o samobójczych tendencjach ludzkości i grozi jej przy ogromnym rozwoju techniki zagładą, przed którą jedynym ratunkiem jest powrót na drogi wzajemnego zrozumienia i poszanowania podstawowych praw i obowiązków<sup>44</sup>.

Po takiej diagnozie stanu obecnego Strzałkowski w zwięzłym zarysie wydobywał te przejawy polskiej myśli politycznej, w których można dostrzec obecność refleksji moralnej (m.in. dotyczącej zaprowadzenia równości ludzi wobec prawa, zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej, domagania się pokojowej działalności misyjnej, kierowania się duchem tolerancji dla odmiennych przekonań). Powoływał się na dzieła Andrzeja Frycza Modrzewskiego, na *Kazania sejmowe* Piotra Skargi, na *Akt Konfederacji Warszawskiej* z 1573 roku.

Kilka szkiców Strzałkowski poświęcił ludziom literatury: Aldousowi Huxleyowi – ale nie jego prozie literackiej, lecz zbiorowi esejów *Themes an Variations – Sonetom* Petrarci (w Paryżu tuż przed wojną słuchał wykładów Gilsona o Petrarce), cyklowi Marcela Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu*, którym się zaczytywał, gdy był windziarzem w londyńskim hotelu Ritza.

Z polskich autorów przypominał twórczość ostatniego skamandryty, Stanisława Balińskiego, zwłaszcza jego *Rzecz sumienia*, w której poeta zadawał sobie pytanie: „Czy miałem prawo z Kraju uciec za granicę w godzinie niebezpieczeństwa i próby?”. Ten wyrzut sumienia bezpośrednio nie obciążał Strzałkowskiego, którego wojna zaskoczyła

<sup>42</sup> Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*

<sup>43</sup> Wiesław Strzałkowski, *U Świętochowskiego* [w:] Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*

<sup>44</sup> XXX-lecie „Wiadomości”, opracował Tymon Terlecki, Londyn 1957, s. 1.

we Francji, ale jego obecność dostrzegał w życiu wewnętrznym swoich rodaków na emigracji, wśród których żył, których obserwował i rozumiał:

Jest to tragiczny dialog z samym sobą jednego z wielu Polaków, którzy jesienią 1939 roku wyjechali z Kraju i w noc londyńskiego blitzu, gdy niebo roziskrzono gwiazdami grozi śmiercią, rozpatruje groźbę wydarzeń, której nie miał siły się oprzeć. Most graniczny, który przekroczył z innymi, opuszczając Polskę, był dla niego nie tylko ocalenia granicą, lecz granicą sumienia, tkniętą smutkiem życia. Myślą też swoją ciągle wraca do Kraju<sup>45</sup>.

Bliskie też były Strzałkowskiemu te wiersze Balińskiego, w których dochodziła do głosu – podobnie jak i w wielu jego utworach poetyckich – tęsknota do Warszawy: *Trzy poematy o Warszawie*.

A oto sprawozdanie z jednego ze spotkań autorskich Wiesława Strzałkowskiego:

Wiesław Strzałkowski jest postacią znaną na firmamencie kulturalnej londyńskiej emigracji. Poeta, filozof, publicysta, profesor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, bierze czynny udział w życiu polskich i brytyjskich organizacji literackich i naukowych. Wydaje tomiki poezji oraz swoje przekłady sonetów Szekspira. Dobrze się więc stało, że urządzono mu wieczór autorski pt. „Polska wiosna” według tytułu jednego z jego zbiorów poezji.

W „Ognisku Polskim” przy stolikach i zapalonych świecach (i pustych kieliszkach, które dopiero po zakończeniu części poetyckiej napełniły się winem) licznie zgromadzona publiczność z wyraźną przyjemnością słuchała poszczególnych wierszy. Słowo wstępne wygłosił Franciszek Strzałko. Przedstawił w nim krótkie *curriculum vitae* poety. Barwne to było życie, rozpoczęte w r. 1909 w Kijowie. Po ukończeniu gimnazjum Zamoyskiego w Warszawie studiuje na Uniwersytecie Warszawskim (prawo i filozofię). Dalsze studia odbywa w Paryżu, w Sorbonie. Doktorat z filozofii robi już w Szkocji. Habilituje się u swego profesora, Władysława Tatarkiewicza. W 1940 roku, przez pewien czas jest sekretarzem gen. W. Sikorskiego. Po upadku Francji, poprzez Hiszpanię i Portugalię dostaje się do W. Brytanii. Język angielski opanowuje do tego stopnia, że uczy go w Hiszpanii. Pobyt tam zaszczepił w nim miłość do tego kraju i na tym tle powstaje *Oda na cześć Hiszpanii*, recytowana na omawianym wieczorze. Pięciu polskich aktorów w zgrabnie ułożonej całości czytało szereg poezji Strzałkowskiego. Byli to: Olga Żeromska, Ewa Rajska, Jolanta Mandrecka, Stefan Gołębiowski i Wojciech Piekarski. Wiersze Strzałkowskiego odznaczają się prostotą i komunikatywnością. W niektórych przewija się myśl filozoficzna, przez większość przebija ciepło i serdeczność kresowego poety. Szczególne wrażenie na Obserwatorze zrobiły: *Polska wiosna*, *Prośba o natchnienie*, *Oda na cześć Hiszpanii* i *Więzienie* w doskonałym wykonaniu Wojciecha Piekarskiego i Stefana Gołębiowskiego. We fragmencie *Cień człowieka* Piekarski był wstrząsający. Reszta wykonawców czytała wiersze z kulturą i zrozumieniem. Na zakończenie cały zespół wykonał doskonale *Symfonię Tatr*<sup>46</sup>.

Wiesław Strzałkowski jest też autorem opowiadań z życia polskich emigrantów<sup>47</sup>. *Don Louis* to dobry portret mieszkającego w Hiszpanii Polaka emigranta, który był niegdyś bywalcem salonów, a teraz dożywa swych dni w zanedbanium i chorobie. Zdobywa się na jeszcze jeden wysiłek, by wobec odwiedzających zachować resztki swego stylu.

*Spotkanie* nawiązuje do *Pogrzebu kapitana Mayznera* Juliusza Słowackiego. Akcja toczy się na cmentarzu, w chwili pogrzebu jednego z wychodźców po powstaniu listo-

<sup>45</sup> Wiesław Strzałkowski, *Ludzie i idee...*

<sup>46</sup> „Tydzień Polski”, dodatek tygodniowy do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” 20 XI 1982.

<sup>47</sup> Wiesław Strzałkowski, *Don Louis i inne opowiadania*, Londyn 1968 oraz *Ich dwoje. Opowiadanie*, Londyn 1978.

padowym. Obraz wywołany z przeszłości jest projekcją podobnego życia londyńskich emigrantów po drugiej wojnie światowej.

*Sentiment i krew* oraz *Schron w lesie* – to opowiadania o ludziach, których biografie obciążały powikłania historii i druga wojna światowa. Najwięcej elementów z własnego życia wprowadził autor do *Historii z happy endem*. Pozostałe opowiadania (*Panna Stevia*, *Żona wyjeżdża*, *Skarb aktora*, *Pigulki*) to zaprawione humorem szkice obyczajowe z życia emigrantów.

Dramatyczne jest dłuższe, opublikowane oddzielnie opowiadanie *Ich dwoje*. O życiu zakochanych w sobie Polaka i Angielki przesądzają różnice kulturowe. One to – pomimo łączącego ich uczucia – czynią niemożliwym wzajemne pełne zrozumienie dwojga ludzi, których biografie zostały ukształtowane przez diametralnie różne warunki i odmienne normy środowiskowe.

Większą wagę niż do prozy Strzałkowski przykładał do własnej poezji. Pod koniec wojny i zaraz po jej zakończeniu ukazały się jego przekłady poetyckie. W tomie *Z poezji wojennej Czechosłowacji*<sup>48</sup> pod pseudonimem Karol Downarowski zamieścił tłumaczenia wierszy Hanusa Bobba, Jarosława Seiferta i Wiktora Fischle'a.

W literackim dodatku do „Orla Białego” opublikował fragment Thomasa S. Eliota *East Coker* oraz wiersze Henry'ego Vaughana (dwa z nich zamieścił później w swym zbiorze *De profundis clamavi*), Roberta Burnsa i Joachima du Bellaya, a także *Sonety* Williama Szekspira, wydane później wraz z krótkim wstępem w oddzielnym tomiku<sup>49</sup>.

*Sonety* Szekspira tłumaczył w tym czasie również (dosyć dowolnie) Marian Hemar, próbował je przekładać Gustaw Herling-Grudziński. Zofia Kozarynowa, porównując te trzy prace przekładowe, najwyżej stawiała tłumaczenia Wiesława Strzałkowskiego: „Więcej niż w dotychczasowych przemawia w nich liryczna miękkość i słodycz uczucia przenikającego te sonety. Forma przekładu jest klasyczna z nieznacznymi odchyleniami w rymowaniu”<sup>50</sup>.

*Wiersze dla Przyjaciół*<sup>51</sup> są śladem przemyśleń autora po pożegnaniu przedwojennej młodości i przeżyciach wojennych. Jest to już zupełnie inna poezja. Ta, która powstała przed 1939 rokiem, była optymistyczna, cechowała ją ciekawość i radość istnienia. Była pełna światła, słońca, jasnych barw.

W napisanych po wojnie utworach poetyckich nie ma bezpośrednich ech wojny. Jest w nich pogłębiona refleksja filozoficzna ujęta w krótkie wiersze mówiące o tajemnicy Boga: nieokreślonego, poszukiwanego, istniejącego. Jest zamyślenie nad zagadką bytu, niedocieczoną, wobec której mądrość ludzka staje się bezradna. Nad dostrzeganą rzeczywistością, której powierzchnię zaledwie można uchwycić w słowa.

Pragnienie objęcia umysłem chaosu zjawisk świata i sprowadzenia go do zrozumiałej jedności wyraża wiersz *Parmenides*, którym poeta upomina się o docenienie tego filozofa.

Napisany po angielsku *The Dream*, jakby adresowany do angielskiej towarzyszkii życia (jej jest dedykowany wiersz *W domu* – o dobrych chwilach domowego zacisza przy kominku), opowiada o niespokojnej, wielonurtowej, dociekającej myśli, która nigdy nie może być w pełni przekazana, opowiedziana.

<sup>48</sup> Londyn 1944.

<sup>49</sup> William Szekspir, *Sonety*, przełożył Wiesław Strzałkowski, Londyn 1961, drugie wydanie, Londyn 1982.

<sup>50</sup> *Literatura polska na obczyźnie...*, t. II, s. 364.

<sup>51</sup> Wiesław Strzałkowski, *Wiersze dla Przyjaciół*. Zeszyt I, Londyn 1974.

Pojawia się w tym zbiorze ton nostalgiczny, towarzyszący poecie, który znalazł się poza ojczyzną, z dala od bliskich. *Noc w Fuentes de Onoro*, dedykowana „Przyjaciółom Hiszpanom”, której geneza łączy się z czasem internowania w Hiszpanii, zawiera aluzję do *Stepów akermzańskich* Mickiewicza:

Wokół pustka. Przede mną drogi nieznane.  
Na próżno szukasz gwiazdy – przewodniczki losu,  
Która mi drogę do ojczyzny wskaże<sup>52</sup>.

Nostalgiczny nastrój wypełnia wiersz *Jesienią w północnym Londynie*. Zwiędłe liście, omdlałe konary, smutne drzewa, nagie gałęzie, którymi czasem wiatr zatarga „jak żalobnym sztandarem”, „ciemna czerwień zachodów” i myśl o żegnaniu się z nadzieją „lata umarłego” – to obraz duchowego stanu poety w Londynie.

Jasność, biel, kwitnące jabłonie, aleje w słonecznym poranku, ogrody, ptaki, zieleń drzew, barwy kwiatów, jasny blask słońca, świeże łany zboża, gwiazdziste wieczory, zapach ziemi i pól, szum lasu i woń żywicy – to teraz nie obraz obserwowanego świata, jak to było w utworach pisanych w czasie przedwojennej młodości, lecz wizja wywołana tęsknotą do kraju w wierszu *Polska wiosna*, dedykowanym „Pamięci Stanisława Michalskiego”.

Ten sam ton, lecz odnoszący się do wizji Warszawy, brzmi w wierszu *Łazienki*, wpiśniętym się w ten nurt londyńskiej emigracyjnej poezji polskiej, na który składają się ówczesne poematy Antoniego Słonimskiego, Stanisława Balińskiego – współemigrantów Strzałkowskiego w Londynie.

Pesymistyczny nastrój pogłębia się w następnym zbiorze poezji *Przed świtem*<sup>53</sup>. Otwiera go wiersz-dedykacja *Pamięci ukochanej Matki*, zaraz po nim pojawia się utwór pod tytułem charakterystycznym dla całego tomu: *De profundis clamavi*, a następnie *Kiedy w pustkę zstąpimy w nasze smutne wieczory*. Wiersze z tego zbioru wypełnia rozpacz, cierpienie (*Listy z Polski*), tęsknota do kraju (*Polskie pejzaże*, *Kantyczka*), smutek emigracyjnych pożegnań cmentarnych (biały wiersz *Smutna wiosna*), poczucie osamotnienia w obcym środowisku (*Londyńska mgła*, *O zmierzchu*, *Deszcz w Midlands*, *Melodie wieczoru*).

O wielkim kontraście między drogami myśli pobudzonej obcowaniem z refleksjami filozofów, przeżyciami estetycznymi wywołanymi sztuką i poezją a realną egzystencją londyńską mówią słowa wiersza *Nieciekawy żywot*:

Z podróży międzyplanetarnej na drugie piętro  
Pewnego domu w Londynie,  
Gdzie wiodę nieciekawy żywot<sup>54</sup>.

Wiersz *Mater Dolorosa* jest poetycka modlitwą o dar uspokojenia, pogodzenia się z losem, z twardymi prawami życia, z cierpieniem, ze śmiercią i z własną nicością.

*De profundis clamavi* – tytuł wiersza z drugiego emigracyjnego zbioru poezji Wiesława Strzałkowskiego stał się tytułem całego następnego tomiku<sup>55</sup>. Otwiera go *Modlitwa wieczorna* ze skierowaną do Boga prośbą o wytrwanie w cierpieniu. Pierwsze cztery wiersze zbioru to także poetyckie modlitwy.

<sup>52</sup> Tamże, s. 6.

<sup>53</sup> Wiesław Strzałkowski, *Przed świtem*. Wierszy zeszyt II, Londyn 1975.

<sup>54</sup> Tamże, s. 19.

<sup>55</sup> Wiesław Strzałkowski, *De profundis clamavi*, Londyn 1988.

*Oda na cześć Hiszpanii* jest pochwałą tego kraju; to zapewne poetycki ślad dłuższego w nim przebywania i prowadzenia do niego wycieczek. Ale wiersz *W Ameryce...* nie jest o Ameryce. Mowa w nim o „spopielalych uczuciach”, o łamaniu rąk w „bezsilnym proteście”.

Końcowe wiersze zbioru brzmią jak pożegnanie. Są wyrazem świadomości odchodzenia, próbą dokonania smutnego bilansu życia (*Na wygnaniu, Do W.N.*), myśleniem o „Rzeczypospolitej umarłych” i o tej „tak ważnej, jedynej chwili, kiedy duch się oderwie od ziemi”<sup>56</sup>, kiedy nastąpi spotkanie z matką, jak św. Augustyna ze św. Moniką (*Na obraz św. Augustyna ze św. Moniką*).

Zbiór wierszy *De profundis clamavi* jest ostatnią książką Wiesława Strzałkowskiego. Wydała ją Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie, w 1988 roku.

24 września tego roku „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” przynosił wiadomość:

ŚP. Wiesław Strzałkowski, absolwent Uniwersytetu J. Piłsudskiego w Warszawie, Sorbony w Paryżu, doktor filozofii Uniwersytetu w Oksfordzie, profesor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, członek Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, ur. 15 maja 1909 r. w Kijowie, zmarł 20 września 1988 r. w Londynie.

Zasłużonego polskiego uczonego i filozofa, długoletniego profesora, żegna z wielkim żalem

Rektor, Senat i Profesorowie Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

---

<sup>56</sup> Tamże, s. 25.



# Dzieło Marii Danilewicz Zielińskiej

Maria Danilewicz Zielińska, z domu Markowska urodziła się 29 maja 1907 roku w Aleksandrowie Kujawskim, w rodzinie o dużych tradycjach kulturalnych. Ojciec i bracia jej matki, Korotyńscy, byli znanymi dziennikarzami i miłośnikami książki. A jej ojciec, Wilhelm Markowski, aptekarz we Włocławku, był siostrzeńcem Zygmunta Glogera, spokrewnionego z Narcyzą Żmichową. O atmosferze rodzinnego domu, gabinecie ojca wypełnionego książkami, z którymi od wczesnego dzieciństwa miała kontakt, pięknie opowiadała w rozmowie z Pawłem Kądzielą<sup>1</sup>.

W latach 1914–1917 uczyła się w domu. Gdy ukończyła dziesięć lat, została uczennicą pensji żeńskiej. Należała do półtajnego harcerstwa; na zbiórkach pozorowano zajęcia sportowe i śpiewano legionowe pieśni. Tę niezapomnianą i patriotyczną atmosferę próbowała później oddać w opowiadaniach zebranych w tomie *Blisko i daleko*<sup>2</sup>. Powracała w nim, z nostalgicznym wspomnieniem, sentymentem i pogodnym humorem do okresu sprzed 1914 roku, gdy jej rodzinna ziemia znajdowała się jeszcze pod carskim zaborem, do czasów międzywojennych, a także już emigracyjnych (te opowiadania są nieco słabsze).

W 1921 roku podjęła naukę w Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym im. Marii Konopnickiej we Włocławku. To miasto stało się miejscem akcji jej powieści *Dom*<sup>3</sup>. Głównymi postaciami utworu są profesor gimnazjalny i jego żona, oddana bez reszty działalności społecznej. Dzięki przygarnięciu chłopca – sieroty odkrywa uroki domu. Kazimierz Wierzyński zachwycał się tą prozą:

Danilewiczowa umie opisać wszystko: krajobraz, miasteczko, meble, potrawy, kuchnię, wyprawy kajakowe, motyw na ceracie stołowej, umie opisać małomiasteczkowych ludzi, chłopów, Żydów, księży, dzieci, konie i podskubane gęsi. Tak jak u Orzeszkowej, gdy wędzimy do wnętrza dworu nad Niemnem, czujemy jego obyczajową i historyczną prawdę, podobnie u Danilewiczowej żyje nieprzerwanym życiem prowincja kujawska lat przedwojennych [...]. Znakomicie czuje Danilewiczowa gwarę chłopską, a jej dialogi w tej mowie bywają przepyszne. W potoczystym opowiadaniu szczególną okrasę stanowią liczne powiedzenia ludowe i szczerze cytowane piosenki wiejskie<sup>4</sup>.

---

<sup>1</sup> *Pasją życia – książka*, z Marią Danilewicz Zielińską rozmawia Paweł Kądziela, „Więź” 1988, nr 11–12, s. 114–133.

<sup>2</sup> Londyn 1953.

<sup>3</sup> Londyn 1956, wyd. II 1957.

<sup>4</sup> Kazimierz Wierzyński, *Szkice i portrety literackie*, zebrał i posłowiem opatrzył Paweł Kądziela, Warszawa 1990, s. 205.

Z lat gimnazjalnych trwale zapamiętała prelekcje Stanisława Noakowskiego o historii architektury, ilustrowane rysunkami kredą na tablicy. Czula pamięć o stronach rodzinnych, o świecie własnego dzieciństwa skłoniła zapewne pisarkę do napisania przedmowy do wznowienia zbioru wspomnień *Kraj lat dziecińczych*<sup>5</sup>. Książka, ważna dla polskich emigrantów zmuszonych do opuszczenia kraju przez drugą wojnę światową, pierwsza z emigracyjnych książek zbiorowych („składanek” – jak je nazywała Danilewiczowa) zawiera napisane we wczesnym okresie wojny przez autorów rozrzuconych po całym świecie nostalgiczne wspomnienia rodzinnych stron.

Ukończywszy szkołę średnią, Danilewiczowa udała się do Warszawy na studia. Ciągnęło ją do Krakowa, ale Warszawa była bliżej i łatwiej tam było się ulokować pod opieką licznych krewnych. Wybrała filologię polską i francuską na Uniwersytecie Warszawskim. Jej profesorami byli: Władysław Tatarkiewicz, Władysław Witwicki, Tadeusz Kotarbiński oraz Józef Ujejski – jej naukowy opiekun. Pierwsze kontakty z Uniwersytetem, rozterki związane z wyborem kierunku studiów, rozmowy z profesorem przesądzające o wyborze tematu pracy magisterskiej opisała w szkicu *Wieszcz z Miodoboru* (wszedł on do tomu *Próby przywołań* wydanego w Warszawie w 1992 roku). Dała w nim wyraz serdecznej i wdzięcznej pamięci o swoim pierwszym przewodniku naukowym, którego inspiracje można odnaleźć w jej wczesnych i późniejszych studiach polonistycznych, a także w zainteresowaniu Józefem Conradem.

W 1927 roku wyszła za mąż za Ludomira Danilewicza, wówczas studenta Politechniki Warszawskiej (po jej ukończeniu był inżynierem lotnictwa).

Praca magisterska Marii Danilewiczowej dotyczyła życia i twórczości Tymona Zaborowskiego. Została ona – co było rzadkim wyróżnieniem – wydana drukiem w „Studiach z Zakresu Literatury Polskiej” pt. *Tymon Zaborowski – życie i twórczość*. Pracy doktorskiej (o Liceum Krzemienieckim) nie zdążyła już obronić wskutek wybuchu drugiej wojny światowej.

Od 1929 roku podjęła pracę w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Ten rozdział swego życia, w którym nabierała niezwykle cennych przydatnych w jej późniejszej pracy doświadczeń bibliotekarskich opisała we *Wspomnieniu o Bibliotece Narodowej*<sup>6</sup>.

We wrześniu 1939 roku wyjechała z Polski wraz z mężem, który został służbowo ewakuowany. Był on współwłaścicielem Wytwórni Radiotechnicznej AVA produkującej maszyny cyfrowe („Enigma”). Podczas wojny był oficerem Polskich Sił Powietrznych w Anglii. Wojna spowodowała zaginięcie „grubej teki” zawierającej bliską ukończenia książkę o Krzemieńcu, z odpisami korespondencji Tadeusza Czackiego z Janem Śniadeckim – jej oryginały też przepadły.

Ze wspomnieniem momentu opuszczenia Warszawy wiązała się w pamięci Danilewiczowej sylwetka Wacława Berenta i ostatnia z nim rozmowa. Mówił do niej: „Jedzie pani? To dobrze. Ja zostanę. Kiedyś, dawno już temu, wyjechałem niepotrzebnie z Warszawy. Pewnych rzeczy nie robi się po raz drugi”.

Rozmowę tę uzupełniła pisarka komentarzem dodanym w 1945 roku:

Skończyliśmy ostatnią rozmowę. Potem zatrzęsły się na zawsze drzwi mego mokotowskiego mieszkania i potoczyło się po wielkich przestrzeniach świata złe życie, życie-zmora.

<sup>5</sup> Londyn 1942, wyd. II 1987.

<sup>6</sup> Paryż 1978.

Wiem już, że pewnych rzeczy nie robi się po raz drugi, że bezkarnie nie można opuścić Warszawy<sup>7</sup>.

Przez Rumunię, Jugosławię i Włochy dotarła w listopadzie 1939 roku do Paryża, gdzie – do upadku Francji – pracowała w Biurze Poszukiwania Rodzin i w paryskiej Bibliotece Polskiej.

Czas od listopada 1940 do maja 1942 roku spędziła w nieokupowanej strefie Francji, w Aix-les-Bains w Sabaudii. Wiosną 1942 roku udało się jej przedostać do Portugalii. Pracowała wówczas w Komitecie Opieki nad Polakami, w dziale pomocy dla kraju i w placówce Ministerstwa dla Informacji i Dokumentacji w Lizbonie.

W sierpniu 1942 roku przybyła do Londynu, w którym miała spędzić ponad trzydzieści lat.

Przez rok pracowała w biurze Funduszu Kultury Narodowej pod kierownictwem doktora Jana Hulewicza (późniejszego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego), a następnie w Bibliotece Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, z której po paru latach wyłoniła się Biblioteka Polska w Londynie. Przez długi czas miała nią kierować Maria Danilewiczowa.

W latach wojny, mieszkając w Londynie, zamieszczała fragmenty prozy w wychodzących tam polskich pismach: w „Polsce Walczącej”, w „Wiadomościach Polskich” Mieczysława Grydzewskiego i w „Nowej Polsce” Antoniego Słonimskiego. Jej obecność na łamach ostatnich dwóch tytułów wymaga krótkiego komentarza. Różniły się one bowiem znacznie pod względem ideowym i kierunku politycznego. „Wiadomości Polskie” były w opozycji do rządu Władysława Sikorskiego i jego polityki wobec Rosji. „Nowa Polska” popierała ten rząd i wyrażała poglądy lewicowe. Autorów z ówczesnego środowiska emigracyjnego można podzielić na trzy grupy. Jedni publikowali tylko w „Wiadomościach Polskich”, drudzy tylko w „Nowej Polsce”. Byli i tacy, którzy drukowali tu i tu. Do nich należała Maria Danilewiczowa. (Mowa tu o latach 1942–1944. Od roku 1945 do likwidacji „Nowej Polski” znaczna część emigracyjnego środowiska literackiego bojkotowała to pismo, którego łamy były teraz wypełniane głównie tekstami autorów krajowych. Nazwisko Marii Danilewiczowej przestało się w nim ukazywać).

W 1971 roku Maria Danilewiczowa owdowiała. Dwa lata później poślubiła Adama Kazimierza Zielińskiego, doktora prawa, dyplomate, historyka. Do roku 1939 był on radcą do spraw propagandy turystyki w Ministerstwie Komunikacji. We wrześniu 1939 roku wyjechał do Rumunii, stamtąd do Rzymu, później do Portugalii. W polskim poselstwie w Lizbonie był *attaché* prasowym. Zajmował się dziennikarstwem, pracą przekładową, pisał o stosunkach polsko-portugalskich.

W 1973 roku Maria Danilewiczowa odeszła z Biblioteki Polskiej w Londynie, przenieśli się do Portugalii, zamieszkała w Quinta das Romazeiros, Gato Bravo, Feijo pod Lizboną i swoje publikacje zaczęła podpisywać: Maria Danilewicz Zielińska.

Na jej dokonania twórcze stanowiące integralnie, pięknie skomponowaną całość, której dające się wyróżnić części wzajemnie się wspierają, uzupełniają i warunkują pomyslnie rezultaty, składają się trzy główne wątki: historia literatury i kultury polskiej; bibliotekarstwo i bibliografia; krytyka literacka.

---

<sup>7</sup> Maria Danilewicz Zielińska, *Próby przywołań. Szkice literackie*, wybór, opracowanie i przedmowa Marek Zieliński, Warszawa 1992, s. 325.



Praca magisterska Marii Danilewiczowej traktowała o jednym z wczesnych polskich poetów romantycznych, krzemieńszczanie, Tymonie Zaborowskim. Uwagę w tym kierunku zwrócił jej pierwszy przewodnik naukowy, profesor Józef Ujejski.

Młodziutka polonistka zrazu bez większego zapału odniosła się do zalecanego jej tematu. Szybko jednak dała się nim pochłonąć. Pasjonowała ją docieranie do źródeł znajdujących się w zbiorach publicznych i prywatnych, rekonstruowanie życia Tymona Zaborowskiego przerwane wcześniej tragiczną śmiercią i wydobywanie z zapomnienia i niebytu jego twórczości. Był to początek dobrej szkoły filologicznej przyszłej autorki cennych studiów historycznoliterackich oraz niezastąpionych poszukiwań i zestawień bibliograficznych.

Jej praca magisterska *Tymon Zaborowski. Życie i twórczość (1799–1828)* została wyróżniona nagrodą Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W wersji rozszerzonej ukazała się drukiem w 1933 roku, w serii „Studia z zakresu historii literatury Uniwersytetu Warszawskiego”.

Zaczyna się udaną próbą opisu otoczenia, w jakim przebiegało dzieciństwo poety; krainy, w której wzrastał, przyrody i krajobrazu – według podobnego schematu, od jakiego zaczynała się np. monografia Juliusza Kleinerera *Adam Mickiewicz. Z dużą pieczołowitością, z troską o charakterystyczne szczegóły odtworzyła życie poety i skomponowała jego wydobytą z rękopisów twórczość, którą zebrała, przygotowała pod względem edytorskim i opublikowała w tomie: Tymon Zaborowski, *Pisma zebrane*<sup>8</sup>.*

Jej monografia życia i twórczości Tymona Zaborowskiego do dziś wywołuje uznanie jako wartościowe dzieło polonistyczne, które było – zaledwie – pracą magisterską. Zbierając do niej materiały źródłowe, autorka zetknęła się bliżej z Krzemieńcem i jego słynnym liceum, z kręgiem ludzi wywodzących się z niego, z krzemieńszczanami różnego okresu, z których większość nie poginęła w świecie bez śladu, lecz pozostawiła po sobie coś wartościowego dla polskiej kultury.

I o tej zasłużonej polskiej placówce na kresach postanowiła również napisać. Naturalną konsekwencją doświadczeń i wiedzy zdobytej podczas pracy nad rozprawą magisterską było poszerzenie studiów nad dziejami Liceum Krzemienieckiego. W *Próbach przywołań* wspomina: „W związku ze zbieraniem materiałów do historii Liceum pojechałam do Krzemieńca w 1929 roku i w ciągu dalszego dziesięciolecia aż po wrzesień 1939 bywałam tam po kilka razy do roku”<sup>9</sup>.

Owoce tych podróży podyktowanych zainteresowaniem kręgiem osób i problemów, z którymi zetknęła się już podczas pisania pracy magisterskiej, okazała się jej następna rozprawa: *Życie naukowe Liceum Krzemienieckiego* opublikowana w skrócie w XXII tomie „Nauki Polskiej” w 1937 roku.

Rozprawa ta była pomyślana jako praca doktorska, ale do jej publicznej obrony już nie doszło. Przeszkodziła w tym wojna. Autorka na jej podstawie otrzymała stopień doktora filozofii w zakresie filologii polskiej przyznany jej w 1961 roku przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie.

Przywiązała się do tego tematu i wspomnień z nim związanych. Po wielu latach powróciła do niego w dłuższym szkicu *Ateny wołyńskie. Dawne Liceum Krzemienieckie*

<sup>8</sup> Warszawa 1936.

<sup>9</sup> Maria Danilewicz Zielińska, *Próby przywołań...*, s. 93.

(1805–1832), datowanym: „1935–1987”. Przed wojną współpracowała z „Rocznikiem Wołyńskim”.

W maju 1939 roku, w sto trzydziestą rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego przygotowała zakrojoną na dużą skalę wystawę poświęconą poecie. Do jej uroczystego otwarcia, planowanego na wrzesień, już nie doszło. Maria Danilewiczowa zatrzymała się w Krzemieńcu podczas ewakuacji przed niemiecką agresją. W salach licealnych, gdzie miały być eksponowane cenne i pieczołowicie zebrane pamiątki związane ze Słowackim, koczowali uciekinierzy, a rynek krzemieniecki został ostrzelany z niemieckich samolotów. Byli zabici i ranni. Do zamiaru urządzenia wystawy nawiązano wiosną 1999 roku. Po sześćdziesięciu latach wróciły też do autorki odnalezione notatki do *Życia dawnego Liceum Krzemienieckiego*, które uchodziły za bezpowrotnie zaginione<sup>10</sup>.

Serdeczne wspomnienie o swym profesorze, Józefie Ujejskim, o latach studiów polonistycznych w Warszawie, o wielokrotnych spotkaniach z Krzemieńcem, o Wołyniu, Podolu, spotykanych tam ludziach zawarła w szkicu *Wieszcz z Miodoboru* opublikowanym w „Wiadomościach” w 1955 roku.

Z kręgu wczesnych zainteresowań naukowych i inspiracji płynących od profesora Józefa Ujejskiego wywodzi się również (choć datowana na rok 1965) praca o Tadeuszu Grabiance (*Mistyk w kręgu oświeconych*). Postać tego autora, związanego z Podolem, a potem z emigracją polską w Londynie i w Paryżu, łączy przedwojenne zainteresowania naukowe Marii Danilewiczowej z jej późniejszym doświadczeniem emigracyjnym.

Najwięcej miejsca w jej naukowej twórczości miała wkrótce zająć osobowość i twórczość Adama Mickiewicza. Kiedy znalazła się wśród londyńskich emigrantów polskich w latach wojny, przeżyła „przerażające w swej aktualności” *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*. Pisała wówczas:

Dzieło jego znowu nabrało – i jakich jeszcze! – rumieńców życia. Choćby dlatego, że jest niezawodnym, wypróbowanym wszechstronnie w latach niewoli remedium przeciw wynarodowieniu. Choćby dlatego, że w naszym głodzie słów poety i w genezie *Pana Tadeusza* kryje się to samo: potrzeba oderwania się od emigracyjnej rzeczywistości i ucieczki do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych... właśnie nad Niemnem<sup>11</sup>.

Uważnie śledziła ukazujące się na Zachodzie publikacje, w których znajdowała interesujące i ważne szczegóły z czasów Mickiewicza, z życia ludzi i środowisk, z którymi się zetknął; wszystkie dokumenty, które były bardzo szeroko pojętymi mickiewiczianami. Uczeni w Polsce mieli utrudniony dostęp do tych źródeł, toteż szkic Marii Danilewiczowej o Mickiewiczu w Rosji (w tym o jego stosunkach z Puszkinem), Weimarze, Paryżu, Lozannie uzupełniał i wzbogacał naszą mickiewiczologię. Rozproszone w czasopismach szkice i notatki zebrała w tomie *Pierścień z Herkulanum i płaszcz pokutnicy*<sup>12</sup>, bardzo dobrze przyjętym przez krytykę emigracyjną. Paweł Hostowiec (Jerzy Stempowski) podkreślał znaczenie i urok nieznanych szczegółów i znalezisk ułożonych we wzorowym porządku. Chwalił język i styl autorki: „Krótkie jej, jasno oddzielone zdania padają jedno za drugim z metalicznym dźwiękiem toczone jak perły”<sup>13</sup>.

<sup>10</sup> Zob. Maria Danilewicz Zielińska, *Krzemieniec 1939*, „Plus-Minus”, dodatek do „Rzeczpospolitej” 28–29 VIII 1999.

<sup>11</sup> Maria Danilewicz Zielińska, *Próby przywołań...*, s. 190–191.

<sup>12</sup> Londyn 1960.

<sup>13</sup> „Kultura” (Paryż) 1961, nr 7–8.

W stulecie zgonu Adama Mickiewicza Maria Danilewiczowa przygotowała edycję jego *Pism poetyckich*<sup>14</sup>.

Najważniejszym odkryciem były nieznane wcześniej listy Celiny Mickiewiczowej do męża, które zawierają nie do przecenienia informacje o przeżyciach poety i jego rodziny z lat 1834–1848. Zostały one opublikowane w opracowaniu i z komentarzem Marii Danilewiczowej w książce *Mickiewicziana w zbiorach Tomasza Niewodniczańskiego w Bitburgu*<sup>15</sup>. Tom ten przyniósł również (także w jej opracowaniu) listy Adama Mickiewicza z lat 1828–1852 do Antoniego Odyńca i innych adresatów (znane już wcześniej, ale teraz – na podstawie autografów – uściślone i poprawione przez Marię Danilewiczową) oraz pełny tekst *Dzienniczka podróży* Odyńca z lat 1830–1832.

Na podstawie listów i wierszy Celiny Mickiewiczowej Maria Danilewiczowa napisała odkrywcze studium „*Ja – kobieta opętana*”. *Rzecz o Celinie Mickiewiczowej w świetle jej listów do Adama z 1848 roku* (zamieszczone w tomie *Próby przywołań*).

Gdy po październiku 1956 roku zelżała nieco kontrola cenzury, Maria Danilewiczowa przesłała prof. Stanisławowi Pigionowi wycinki z „Wiadomości” dotyczące Adama Mickiewicza. O kontakcie z profesorem mówiła:

Wreszcie przyjaźń, którą sobie szczególnie cenię – z prof. Stanisławem Pigionem. Znałam go przed 1939 rokiem, spotykałam w Warszawie i Krakowie; w trudnym momencie, po nagłej śmierci mego mistrza prof. Józefa Ujejskiego, pokierował moimi studiami nad Krzemieńcem. Ale dopiero w roku 1957 w Londynie, w okresie „odwilży”, od błahaego zapytania Profesora zaczęła się wymiana listów „w materiałach literackich”, która przeobraziła się w *sui generis* współpracę naukową ponad żelazną kurtyną i cenzurą<sup>16</sup>.

Dotyczyła ona kwerendy bibliograficznej i biograficznej, polegała na przesyłaniu wycinków prasowych, a także książek niedostępnych w Polsce (w zamian Stanisław Pigoń wysyłał do Londynu książki wydawane w kraju). Profesora Pigionia interesowały wszelkie sprawy związane z przygotowaniem przez niego do wydania korespondencji Stefana Żeromskiego, ale zakres współpracy naukowo-korespondencyjnej obejmował również mickiewicziana, listy Krasińskiego i inne materiały dotyczące literatury i kultury polskiej, a stopniowo do listów zaczęły wchodzić także uwagi o współczesnym życiu literackim i naukowym oraz pewne szczegóły z osobistego życia korespondujących osób.

To ważne i dość niezwykle świadectwo listownej współpracy naukowej mieszkającego w Krakowie profesora Stanisława Pigionia z Marią Danilewiczową w Londynie opracował i skomentował Czesław Kłak, wydając książkę *Maria Danilewiczowa, Stanisław Pigoń. Dialog korespondencyjny (1958–1968)*. W obszernym wstępie słusznie zaznaczył: „Obie strony mają wiele do powiedzenia nie tylko sobie, ale również nam, ponieważ ich osobiste listy w zasadzie nie mają osobistego charakteru; ich główny nurt wypełnia materia badań naukowych nad dziejami kultury i literatury narodowej”<sup>17</sup>.

Listy wymieniane między Marią Danilewiczową i Stanisławem Pigionem skłaniają do jeszcze jednej refleksji: przepaść polityczna dzieliła kraj od emigracji. Nie było jednak takiego momentu, w którym zupełnemu zwiędnięciu uległyby kontakty między życiem kulturalnym w kraju i na emigracji. Dwa ważne nurty polskiej literatury, kultu-

<sup>14</sup> Londyn 1956.

<sup>15</sup> Warszawa 1989.

<sup>16</sup> *Paśką życia – książka*, s. 129.

<sup>17</sup> Maria Danilewiczowa, Stanisław Pigoń, *Dialog korespondencyjny (1958–1968)*, do druku przygotował, wstępem i komentarzem opatrzył Czesław Kłak, Rzeszów 1996, s. 15.

ry i nauki – krajowy i emigracyjny – oddziaływały na siebie, uzupełniały się. Twórcy obydwóch nurtów podtrzymywali – często w nader trudnych warunkach – wzajemne zainteresowanie, znajomość i szacunek, z dużym pożytkiem dla kultury polskiej.

Zwróciła też na to uwagę Maria Danilewiczowa we wspomnieniu o prof. Stanisławie Pigońiu w piętnastolecie jego śmierci:

Można jednak spojrzeć na tę wymianę listów inaczej: jest ona przykładem współpracy Kraju z Emigracją na odcinku badań historycznoliterackich, faktograficznych, wymagających dostępu do książek, rękopisów, a czasem i świadków wydarzeń – słowem – poszukiwań w wolnym świecie<sup>18</sup>.

\* \* \*

Wśród wychowanków Liceum Krzemienieckiego z czasów, które poznawała Maria Danilewiczowa, pisząc pracę magisterską i doktorską, był też Karol Sienkiewicz, do którego postaci autorka powracała później pamięcią i w szkicach, gdyż znajdowała ważne analogie między jego i własną biografią. Nazywała go „Zanem tej krzemienieckiej organizacji”, to znaczy „Klubu Piśmienniczego” skupiającego utalentowaną młodzież szkoły. Po latach, w 1960 roku, w poświęconym mu felietonie radiowym pt. *Przygoda bibliofilska*, określiła Karola Sienkiewicza jako swego starszego kolegę. Był on bibliotekarzem książąt Czartoryskich w Puławach, a potem, gdy stał się zasłużonym działaczem emigracyjnym, był twórcą Biblioteki Polskiej w Paryżu – wielkiego i trwałego dzieła Wielkiej Emigracji polistopadowej. Maria Danilewiczowa – sto lat później – była współtwórczynią i wieloletnią kierowniczką podobnej, o podobnej ważności dla polskiej kultury Biblioteki Polskiej w Londynie, do której Kazimierz Wierzyński odnosił słowa: „Ktoś powiedział, że gdyby miał przepaść cały polski Londyn, jedno powinno ocalać, mianowicie Biblioteka Polska z panią Marią Danilewiczową”<sup>19</sup>.

Omawiała na łamach „Wiadomości” *Dziennik podróży po Anglii* Karola Sienkiewicza z lat 1820–1821. Pisała tam o nim: „Krzemieńszczanin i kolega bibliotekarz zjawia się przede mną tu właśnie w Anglii i oprowadza po istniejących do dziś bibliotekach, opisując ich wygląd sprzed 140 lat”<sup>20</sup>.

Praca bibliotekarza to drugi ważny wątek twórczego życia Marii Danilewicz Zielińskiej. Rozpoczęła ją w Bibliotece Narodowej w Warszawie u progu jej istnienia. Spędziła w niej ponad dziesięć lat, od 1928 do września 1939 roku. Jej pierwsze zadanie polegało na opracowywaniu Urzędowego Wykazu Druków, katalogowaniu rękopisów rewindykowanych z ZSRR oraz przywiezionych z Rapperswilu, koordynowaniu działalności wystawienniczej, przygotowywaniu katalogów do organizowanych wystaw.

Zdobywała doświadczenie w pracy bibliotecznej, uzyskiwała kolejne stanowiska świadczące o pogłębieniu kwalifikacji i poszerzaniu merytorycznych kompetencji. W 1931 roku po egzaminie na stanowisko I kategorii w państwowej służbie bibliotecznej została adiunktem w Bibliotece Narodowej. W roku następnym – organizatorką

<sup>18</sup> Tamże, s. 460.

<sup>19</sup> Kazimierz Wierzyński, *Szkice...*, s. 203.

<sup>20</sup> Maria Danilewicz Zielińska, *Książka i czytelnictwo polskie w Wielkiej Brytanii. Szkice*, Warszawa 1996, s. 116.

Działu Uzupełniania Zbiorów. W 1933 roku złożyła państwowy egzamin biblioteczny, została adiunktem w Bibliotece Narodowej i sekretarzem generalnym Rady Związków Bibliotekarzy Polskich. Z jej ramienia przygotowała stoisko polskie na paryskiej Międzynarodowej Wystawie Sztuki i Techniki, za co otrzymała złoty medal.

Obraz środowiska bibliotekarskiego w przedwojennej Warszawie, ludzi książki, z którymi i wśród których pracowała, utrwaliła w cyklu artykułów *Bezdomne bibliotekarstwo*, który w poszerzonej wersji książkowej otrzymał tytuł *Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie*<sup>21</sup>.

Wyrazem wdzięcznej pamięci o bibliografach i bibliomanach, z których rad i doświadczeń korzystała w pracy bibliotecznej, bibliograficznej i historycznoliterackiej, są jej szkice o Gabrieli Korbutcie i Janie Michalskim w tomie *Ludzie z kurzu*<sup>22</sup>.

Druża wojna światowa nie spowodowała dłuższego oderwania od pracy bibliotecznej. W pierwszym roku wojny pracowała w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Sprawdzała zawartość kufków z cymeliami ewakuowanymi z Polski przez Paryż do Kanady. Uczestniczyła w ukrywaniu przed spodziewanym nadejściem Niemców najcenniejszych zbiorów Biblioteki, by nie stały się one przedmiotem grabieży okupanta.

Po przybyciu do Londynu, we wrześniu 1942 roku, na zlecenie Jana Hulewicza założyła inwentarz księgozbioru gromadzonego z myślą o pomocy dla bibliotek krajowych.

W 1943 roku Maria Danilewiczowa została kierowniczką Biblioteki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Celem tej placówki było gromadzenie poloników emigracyjnych, również z myślą o Bibliotece Narodowej w Warszawie i o tych bibliotekach uniwersyteckich w Polsce, które były przed wojną uprawnione do otrzymywania egzemplarza obowiązkowego.

Dla spopularyzowania sprawy polskich bibliotek pod niemiecką okupacją opublikowała broszurę *The Libraries of Poland*<sup>23</sup> – jej polska wersja miała tytuł *Losy bibliotek polskich*. Przedstawiła w niej straty, jakie poniosły polskie biblioteki w wyniku działań wojennych i grabieży okupanta. Objęła uwagę również losy bibliotek w Wilnie i we Lwowie, co wywołało protest radzieckiego delegata do Books and Periodicals Commission of Education. Danilewiczowa reprezentowała Polskę w tej komisji, a przewodniczył jej profesor uniwersytetu w Cambridge, sir Ernest Barker.

Działalność tej komisji polegała na omawianiu potrzeb bibliotek i ich powojennej odbudowy oraz na zakupach książek i czasopism ukazujących się w Wielkiej Brytanii po wrześniu 1939 roku z myślą o ich przydatności dla bibliotek naukowych i uniwersyteckich. W wypadku Polski – dla Biblioteki Narodowej w Warszawie oraz dla pięciu bibliotek uniwersyteckich: w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wilnie i Lwowie.

Zimą 1944 roku na zaproszenie The Bodleian Library w Oxfordzie Maria Danilewiczowa przygotowała wystawę starych druków polskich XVI i XVII wieku, która cieszyła się bardzo dobrym przyjęciem i dużą frekwencją. Niemały był wkład Danilewiczowej (i kierowanej przez nią biblioteki) w opracowanie dwóch tomów *Strat kultury polskiej* pod redakcją Tymona Terleckiego i Adama Ordęgi (Jana Hulewicza), wydanych w Glasgow w 1945 roku.

W latach 1945/1946 i 1950 prowadzona przez Marię Danilewiczową biblioteka przekazała około 30 000 tomów ośrodkom uniwersyteckim w Polsce.

<sup>21</sup> Paryż 1979.

<sup>22</sup> Warszawa 1989.

<sup>23</sup> Londyn 1943.



Dużą była jej zasługa w utrzymaniu biblioteki w pierwszych latach po wojnie, gdy władze brytyjskie były skłonne uznać ją za niepotrzebną. Maria Danilewiczowa umocniła swą pozycję, zdając egzamin w Library Association – Chartered Librarian, unowocześniła prowadzoną przez siebie bibliotekę, organizowała opinię broniącą jej przed likwidatorskimi zakusami ze strony władz brytyjskich i doprowadziła do powołania przez władze w 1953 roku Biblioteki Polskiej (The Polish Library), którą kierowała aż do opuszczenia Londynu w 1973 roku.

Biblioteka stała się warsztatem ważnych badań bibliograficznych, księżnicą gromadzącą polonica, miejscem służącym informacją o Polsce współczesnej i o jej historii wszystkim zainteresowanym, nie tylko Polakom mieszkającym w Anglii. Bez Biblioteki Polskiej w Londynie pod kierownictwem Marii Danilewiczowej, bez jej kwerend i rad nie mogłaby powstać bogata w informacje *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960* pod redakcją Tymona Terleckiego<sup>24</sup>.

Wielu uczonych z doniosłym rezultatem korzystało z kwerendy bibliograficznej, czego przykładem jest korespondencja między Marią Danilewiczową i Stanisławem Pigionem.

Przy jej współudziale powstawało wiele bardzo ważnych zestawień bibliograficznych, jak na przykład kilkutomowa *Bibliography of Books in Polish or Relating to Poland Published Outside Poland since September 1<sup>st</sup> 1939*<sup>25</sup>, a także *Bibliography of Works by Polish Scholars and Scientists Published Outside Poland in Languages Other than Polish*<sup>26</sup>.

Opracowała bibliografie „Kultury” za lata 1958–1987, „Zeszytów Historycznych”, działalności Instytutu Literackiego w Paryżu.

Dla rocznika „The Year’s Work in Modern Languages Studies” wydawanego przez Cambridge University Press z przeznaczeniem dla The Modern Humanities Research Association opracowała rozdział *Polish Studies* będący przeglądem wydawnictw dotyczących językoznawstwa, teorii i historii literatury polskiej.

Jedną ze specjalności Biblioteki Polskiej w Londynie jest gromadzenie conradianów. W jej posiadaniu są m.in. listy Józefa Conrada do Johna Galsworthy’ego. Nabył je na publicznej licytacji generał Władysław Sikorski i przekazał Bibliotece Polskiej. Ukazały się one w opracowaniu Marii Danilewiczowej: Joseph Conrad, *Listy do Johna Galsworthy’ego*<sup>27</sup>. Danilewiczowa, zainteresowana życiem i twórczością Conrada, poświęciła mu szkic *Polska młodość Conrada*.

Prowadziła również badania nad stanem książki polskiej i czytelnictwa polskiego w Anglii. Wraz z Zofią Wilczyńską opracowywała odpowiednie raporty oparte na danych statystycznych, interesując się przemianami czytelniczych upodobań. Zainicjowała ankietę *Książka polska na emigracji* i omówiła jej wyniki na łamach „Kultury”<sup>28</sup>. Przedsięwzięcie uznała za nieudane ze względu na słaby odzew na tę ankietę wśród Polaków na emigracji.

Potrzebom czytelniczym polskiego emigranta w Anglii, z dużym dla niego zrozumieniem, i wynikającym z nich obowiązkom ludzi działających w sieci bibliotecznej i wydawniczej poświęciła szkic *Czytelnik polski w Wielkiej Brytanii*. Pisała go z myślą o czytelnikach najmniej wyrobionych, najbardziej zaniedbanych, a najliczniejszych; o byłych żołnierzach, pracownikach fizycznych, drobnych urzędnikach, którzy darem-

<sup>24</sup> Londyn 1964–1965.

<sup>25</sup> Londyn 1963.

<sup>26</sup> Londyn 1964.

<sup>27</sup> Londyn 1957.

<sup>28</sup> „Kultura” 1981, nr 5.

nie oczekują na literaturę w języku polskim, wartościową, a równocześnie popularną, dostępną dla nich.

Artykuły dotyczące Biblioteki Polskiej w Londynie (najbardziej kompetentna relacja o jej powstawaniu i dziejach, jej pracownikach i zbiorach, przeszkodach w rozwoju i brytyjskich sprzymierzeńcach w potrzebie), wybranych księgarń i polskich oficyn wydawniczych w Londynie, czytelnictwa wśród Polaków w Anglii zebrała w książce *Książka i czytelnictwo polskie w Wielkiej Brytanii. Szkice*<sup>29</sup>.

\* \* \*

W 1945 roku Maria Danilewiczowa została przyjęta do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Dwa lata później podpisała uchwałę tego związku obligującą pisarzy emigracyjnych do niepublikowania swych utworów w kraju.

Była stale obecna na łamach londyńskich „Wiadomości” od 1946 roku do ich likwidacji w roku 1981. Publikowała w nich listy z wakacyjnych podróży, opowiadania, a w latach 1952–1963 prowadziła stały dział *Szkiełko i oko*, zamieszczając w nim (pod pseudonimem „szperacz”) cenne przyczynki do historii literatury i kultury polskiej oraz *Notatki o współczesnej prozie krajowej*. Na łamach „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” komentowała w latach 1965–1981 literaturę współczesną w cyklu *Jednym tchem*.

Od 1953 roku, jako krytyk literacki współpracowała z Radiem Wolna Europa. Przed jego mikrofonami wygłosiła ponad pięćset felietonów składających się na cykle: *Polskie mienie kulturalne wywiezione do Rosji*, *Dzieje dawnego Liceum Krzemienieckiego* i *Portrety pisarzy emigracyjnych*.

Od 1960 roku podjęła współpracę z „Kulturą” Jerzego Giedroycia. Przez pewien czas (w latach 1963–1966) prowadziła na jej łamach rubrykę *W oczach Londynu*, a w latach 1971–1977 cykl *Krajowe nowości wydawnicze* będący śladem i dowodem jej żywego zainteresowania nie tylko literaturą emigracyjną, lecz także życiem literackim w kraju (po 1956 roku).

W jej artykułach i szkicach krytycznoliterackich zwraca uwagę skrupulatność i rzetelność filologiczna, dobra orientacja w ukazujących się nowościach wynikająca z doświadczeń bibliotecznych i bibliograficznych, otwartość na różne zjawiska i propozycje literatury współczesnej, przekraczanie horyzontów charakterystycznych dla londyńskiego kręgu emigracyjnego, chociaż do niego należała.

Jako jedna z pierwszych doceniła znaczenie twórczości Witolda Gombrowicza, którego pisarstwu przedstawiciele środowiska literackiego w Londynie długo byli przeciwni. Oni też niechętnie, wręcz wrogo przyjęli przybycie Czesława Miłosza na emigrację. Maria Danilewiczowa nie podzielała ich stanowiska w tej sprawie.

Z przyjazną uwagą i pełnym życzliwym zainteresowaniem odniosła się do poezji młodych twórców emigracyjnych z kręgu „Kontynentów”, którzy kontestowali postawę ideową emigracyjnych polityków londyńskich i horyzonty myślowe pokolenia własnych rodziców. W artykule *Rzut oka na literaturę emigracyjną*<sup>30</sup> odmawiała uznania dla wielomownej, „melodyjnej”, tradycyjnej poezji uprawianej przez wielu poetów starszego

<sup>29</sup> Warszawa 1996.

<sup>30</sup> „Kontynenty” 1961, nr 27–28.

(ale nie tylko) pokolenia: Jana Lechonia, Mariana Hemara, Zofii Bohdanowiczowej, Jana Rostworowskiego. Popularność takiej poezji przypisywała nieobecności krytyki poetyckiej na emigracji i brakowi czytania we współczesnej poezji anglosaskiej i polskiej rozwijającej się w kraju. Toteż nadzieje na żywy rozwój polskiej poezji emigracyjnej łączyła z młodymi, którzy szukali inspiracji w poezji zachodniej i krajowej. (Kiedy występowali zbiorowo antologią poetycką *Ryby na piasku*<sup>31</sup>, o patronat nie zwrócili się do jednego z poetów emigracyjnych, lecz do Juliana Przybosia).

Z dużym zainteresowaniem obserwowała rozwój literatury w kraju od końca lat pięćdziesiątych. Z uważną wrażliwością reagowała na jej mocne i słabsze strony, rozumiała jej trudne uwarunkowania, ale też przenikliwie obnażała pozory. Poświęcała uwagę m.in. prozie Juliana Wołoszynowskiego, Wilhelma Macha, Jarosława Iwaszkiewicza, Igora Newerlego, Hanny Malewskiej, Tadeusza Konwickiego.

W komentarzu do współczesnej literatury polskiej lat sześćdziesiątych trafnie stwierdzała poprawę poziomu warsztatu pisarskiego, chwaliła odchodzenie od nadmiernego tradycjonalizmu i zwracanie się – pod wpływem inspiracji zachodnich – w kierunku formalnego eksperymentowania. Zauważała jednak – z pewnym zaniepokojeniem – przesadną skłonność (oczywiście będącą skutkiem działania cenzury) do operowania szyfrem, aluzją, skomplikowaną metaforą.

Godny uwagi jest jej komentarz do *Pokolenia pryszczatych* Alicji Lisieckiej. Odniosła mianowicie wrażenie, że krajowi krytycy literaccy z kręgu warszawskiego „ze szczególną satysfakcją przypominają i cytują najjaskrawsze wypowiedzi prostałińskie z cichą intencją dyskredytowania pewnych pisarzy w oczach emigracji”<sup>32</sup>. Późniejsze decyzje i teksty Alicji Lisieckiej potwierdziły trafność tej diagnozy.

Spośród licznych dowodów jej dobrej orientacji w dynamice polskiego życia literackiego i dokładnego obserwowania jego istotnych szczegółów warto wydobyć pochodzący z 1984 roku jej komentarz do sprawy dobrze znanej piszącemu te słowa:

Cenzura pokutuje obecnie za nieliczne zresztą „odwilżowe” posunięcia – tak np. atakuje się obecnie ostro *Ostatni rozdział* wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe w r.ub. w stu tysiącach egzemplarzy *Historii literatury polskiej w zarysie* [...]. Rozdział ten, pióra prof. Stępnia, uwzględnił stosunkowo dużą ilość tytułów książek emigracyjnych, w tym literaturę zsyłkową z *Innym światem* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego na czele<sup>33</sup>.

W tymże artykule można też znaleźć odbicie kłopotów, jakie miało „Zdanie”, publikując tekst Orwella.

W swych szkicach o literaturze współczesnej Maria Danilewiczowa wielokrotnie podkreślała, że sytuacja w kraju (do 1989 roku) określa główną rolę i powinności literatury emigracyjnej. Jej czytelnicy oczekują bowiem od niej duchowego przewodnictwa, domagają się całej prawdy, w kraju niewyrażalnej, walki z zakłamaniami wymuszonymi przez polskie warunki polityczne i działanie cenzury.

To natchnienie Kraju – bo przede wszystkim Kraju – znajduje i znajdować powinno odbicie w twórczości pisarzy emigracyjnych, którzy w atmosferze wolności słowa mają możliwość i obowiązek reprezentowania trwałych wartości naszej kultury i tradycji<sup>34</sup>.

<sup>31</sup> Londyn 1965.

<sup>32</sup> „Kultura” (Paryż) 1964, nr 12.

<sup>33</sup> Maria Danilewicz Zielińska, *Teraźniejszość*, „Pamiętnik Literacki” (Londyn) 1984, t. II, s. 32.

<sup>34</sup> *Antologia polskiej krytyki literackiej na emigracji 1945–1985*, wybór, wstęp i biogramy Jacek Dąbała, Lublin 1992, s. 127.

Dodać wszakże trzeba, że nie miała złudzeń co do absolutnej wolności polskiego słowa na emigracji. W pisanych w 1981 roku *Uwagach o sytuacji książki emigracyjnej* można znaleźć dygresję:

Czy istnieje cenzura na emigracji? Formalnie nie, ale w praktyce tak. Zmniejszył się co prawda zakres tabu, ale dotąd wiszą w powietrzu echa ataków na Józefa Mackiewicza, Jerzego Kosińskiego. Nietykalny jest nadal „polski Londyn” i jego grzechy śmiertelne<sup>35</sup>.

Maria Danilewiczowa od dłuższego czasu rozluźniała swoje związki z „polskim Londynem”. Dostrzegała jego słabnącą pozycję i zmniejszające się znaczenie wobec Instytutu Literackiego, „Kultury” Giedroycia i Radia Wolna Europa. Świadczy o tym wcześniej podjęta przez nią współpraca z tymi instytucjami. Jej najważniejsze dzieło krytycznoliterackie miało powstać już po opuszczeniu Londynu i osiedleniu się w Portugalii w 1973 roku. W szkicu o problemach i warunkach pracy pisarzy emigracyjnych pt. *Odchylenia od mitu Anteusza* pisała pięć lat po tej przeprowadzce:

Kontakty ludzkie nie są ani jedyną, ani najlepszą zachętą do twórczości, a w wyjątkowych tylko okolicznościach pisarze mają okazję częstej wymiany poglądów z „bratnimi duszami”. O wiele więcej dają: lektura, wymiana korespondencji z odpowiednio dobranymi adresatami i spotkania z przybywającymi z różnych stron świata, z Krajem na pierwszym miejscu. Te ostatnie są doskonałymi sprawdzianami kierunku aktualnych zainteresowań, źródłem informacji o wydarzeniach literackich, możliwością dyskretnego przekonania się, czy „trzymamy się” – czy też „odstaliśmy”. Piszę to w oparciu o paroletnią praktykę pisarską z okresu „latarnictwa” w Portugalii. Jestem obecnie bardziej czytana w literaturze i prasie zarówno krajowej, jak i emigracyjnej niż w latach londyńskich, gdy przez moje ręce przechodził w bibliotece Polskiej w Londynie niemal całokształt polskiej produkcji literackiej<sup>36</sup>.

Niezależnie od prawdy zawartej w tym wyznaniu przyjmujemy *Szkice o literaturze emigracyjnej* wydane po raz pierwszy w 1978 roku przez Instytut Literacki w Paryżu, w Bibliotece „Kultury” jako zwieńczenie doświadczeń i wiedzy gromadzonej przez lata rzetelnej pracy biblioteczej, bibliograficznej i krytycznoliterackiej. Zapowiadały je już i przygotowywały częściowe syntezy, jak na przykład *Pogląd ogólny na literaturę emigracyjną* w t. II *Literatury polskiej na obczyźnie*, wspomniane już artykuły: *Rzut oka na literaturę emigracyjną*, *Odchylenie od mitu Anteusza* i wiele szkiców dotyczących emigracyjnego środowiska literackiego.

*Szkice o literaturze emigracyjnej* Marii Danilewicz Zielińskiej już w roku ich wydania znalazły się w Polsce, przywożone z podróży zagranicznych i stały się podstawową pomocą w przekazywaniu informacji o literaturze emigracyjnej i emigracyjnym życiu literackim na uniwersyteckich zajęciach polonistycznych. Przez dłuższy czas, aż do początków lat dziewięćdziesiątych, były niezastąpione, a ważną rolę informacyjną pełnią do dziś. Uzupełniły *Literaturę polską na obczyźnie* o następnych szesnaście lat. Są nie tak jak ona szczegółowe, ale za to bardziej funkcjonalne jako źródło informacji i pomoc w poznawaniu oraz nauczaniu literatury polskiej na obczyźnie po 1939 roku. Pisane przez jedną osobę odznaczają się jednolitością stylu, zasad hierarchizowania i oceniania. Oparte na autopsji w zakresie faktów bibliograficznych i znajomości treści przywoływanych utworów są pełną erudycji gawędą krytycznoliteracką, obszernym esejem, w którym jest miejsce na zarysowanie ogólnych dziejów i sytuacji literatury emigracyjnej, na

<sup>35</sup> Maria Danilewicz Zielińska, *Książka i czytelnictwo...*, s. 215.

<sup>36</sup> *Antologia polskiej krytyki...*, s. 126.

związłą analizę utworów literackich, naszkicowanie sylwetki ich autora, oddanie atmosfery środowiska literackiego, zbiorowy portret zespołu redakcyjnego, charakterystyczną i ożywiającą narrację anegdotę, trafnie dobrany cytat.

Podczas lektury *Szkiców o literaturze emigracyjnej* czuje się, że są one pisane przez osobę, która, kierując przez wiele lat Biblioteką Polską w Londynie, każdą z omawianych książek miała w ręku, ma do niej osobisty stosunek, niejedną z nich wybierała do dokładniejszego omówienia w recenzji lub radiowym felietonie, spotykała się z jej autorem.

Zanurzona w londyńskim środowisku emigracyjnym, poddana działaniu różnych tendencji, które je skłócały i rozrywały, Maria Danilewicz Zielińska umiała utrzymać własny, niezależny sąd. Nie ukrywa swych sympatii ideowych i estetycznych, ale ujawnianie ich umie pogodzić z obiektywnym przedstawieniem panoramy literatury polskiej rozwijającej się na obczyźnie. A wszystko to – *last but not least* – czyni z dużym talentem literackim.

W latach osiemdziesiątych *Szkiece o literaturze emigracyjnej* trzykrotnie ukazywały się w tzw. drugim obiegu wydawniczym. W 1992 roku ukazały się już legalnie nakładem wrocławskiego Ossolineum, wzbogacone o część drugą, stanowiącą ich kontynuację pt. *Na nowym etapie 1978–1985*.

Powołane do tego instytucje dawały wyraz swego uznania dla pracy i dzieła Marii Danilewicz Zielińskiej. W 1958 roku otrzymała nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (powtórzoną w roku 1979), a w 1966 – nagrodę PEN Clubu w Warszawie. W 1970 roku przyznano jej nagrodę Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego za działalność bibliograficzną i bibliotekarską. W tym samym czasie została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu „Polonia Restituta”. W 1977 i 1983 roku otrzymała nagrodę paryskiej „Kultury” za zbliżenie literatury emigracyjnej i krajowej. W 1989 została członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i członkiem honorowym Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza w Warszawie<sup>37</sup>.

\* \* \*

Ten szkic został napisany na dziewięćdziesięciolecie urodzin Marii Danilewicz Zielińskiej i opublikowany, z takim właśnie zaznaczeniem, we „Frazie”<sup>38</sup>.

Pisarka, po otrzymaniu z redakcji tego numeru, postarała się o adres autora, by wysłać do niego list z niezadowolonymi podziękowaniami i oceną, jaką szkicowi wystawili jej przyjaciele.

Parę lat później przyszło jej jeszcze przeżyć pożar w domu i zniszczenie części cennych zbiorów bibliotecznych.

Zmarła 22 maja 2003 roku. Została pochowana 14 czerwca na cmentarzu w Aleksandrowie Kujawskim.

<sup>37</sup> Podczas rekonstruowania biografii twórczej Marii Danilewicz Zielińskiej korzystałem również z książki: Maria Danilewicz Zielińska, *Fado o moim życiu. Rozmowy z Włodzimierzem Paźniewskim*, Toruń 2000.

<sup>38</sup> „Fraza” 1997, nr 4.

## Dwa filary emigracji

Zaraz po wojnie najważniejszą rolę w życiu polskiej emigracji politycznej odgrywało środowisko londyńskie. Tam był Rząd RP i jego organy, „Wiadomości”, z którymi współpracowali też twórcy mieszkający w Nowym Jorku. Dostyc szybko, po upływie kilku lat polski Londyn i polski Nowy Jork traciły na znaczeniu. Mentalność przedstawicieli tych środowisk bardziej sprzyjała zamykaniu się w kręgu emigracyjnego getta i myśli o powrocie do niezmienionej Polski przedwrześniowej, choćby poprzez trzecią wojnę światową, niż podejmowaniu problemów, które druga wprowadziła i przed którymi stanął naród polski (zarówno w kraju, jak i na emigracji), poddany konsekwencjom decyzji jałtańskich.

Głównymi ośrodkami organizującymi wysiłki Polaków obliczone na ich ograniczenie i minimalizowanie z równoczesnym trzeźwym spojrzeniem na nieodwracalne zmiany, które zaszły w świecie po drugiej wojnie światowej, okazały się „Kultura” i Instytut Literacki w Paryżu z Jerzym Giedroyciem oraz Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa w Monachium z Janem Nowakiem-Jeziorańskim. To one w latach pięćdziesiątych przejęły hegemonię w życiu politycznym i duchowym emigracji, i już ją utrzymały, a nawet umacniały aż do przełomu lat 1989/1990, kiedy to spełniały się już główne cele powojennej emigracji politycznej.

Bardzo interesujący jest więc tom listów wymienianych między Jerzym Giedroyciem i Janem Nowakiem-Jeziorańskim w latach 1952–1998, opublikowanych przez Towarzystwo Przyjaciół Ossolineum we Wrocławiu. Spośród siedmiuset listów do publikacji wybrano czterysta sześć<sup>1</sup>.

Publikacja ta wywołuje zaciekawienie z kilku powodów. Jest ona jednym z ważnych, nieznanych dotychczas, miarodajnych źródeł wiedzy o zakulisowych inicjatywach i działaniach wywołujących skutki w polskim życiu politycznym i kulturalnym znanych tylko z ujawnianych publikacji.

Można było z nich wnioskować o istnieniu kontaktów między krajem a ośrodkami emigracyjnymi: przekazywanie informacji, przesyłanie do kraju wydawnictw emigracyjnych, przychodzenie z pomocą materialną będącym w potrzebie osobom ze świata polskiej kultury, materialne wspieranie politycznej działalności opozycyjnej w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Opublikowane listy pozwalają poszerzyć i uściślić wiedzę w tym zakresie.

Z korespondencji Jerzego Giedroycia do innych adresatów wiadomo o kontrowersjach między nim a Janem Nowakiem, o krytycznym, a nawet bardzo niechętnym jego

---

<sup>1</sup> Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952–1998*, wybór, opracowanie i wstęp Dobrosława Platt, Wrocław 2001. Liczba w nawiasie po cytatach oznacza numer strony tej książki.

stosunku do Radia Wolna Europa. Ciekawi więc bardzo zakres i charakter współpracy między nimi poświadczony obszerną, trwającą kilka dziesięcioleci korespondencją.

Gdy w czerwcu 1949 roku powstał Narodowy Komitet dla Wolnej Europy (później Komitet do spraw Wolnej Europy), a w sierpniu 1950 przez Rozgłośnie Polską Radia Wolna Europa został nadany pierwszy program do kraju jako Głos Wolnej Polski, Jerzy Giedroyc stanął w obliczu poważnego wyzwania. Oto przed nim, ambitnym, bezinteresownym, osamotnionym w wysiłkach, niezależnym, pozbawionym finansowego wsparcia organizatorem świadomości Polaków pojawił się konkurent – instytucja powołana przez administrację amerykańską, finansowana tajnie przez CIA, co zostało ujawnione już w 1967 roku, a w styczniu 1971 oficjalnie potwierdzone przez senatora Clifforda Care'a.

Giedroyc uważał, że tylko instytucja, która jest samodzielna, utrzymuje się ze składek, darowizn, subskrypcji, może być naprawdę wiarygodna i może służyć rzeczywiście polskiej sprawie. Toteż zaczęło się od ataku „Kultury” na Radio Wolna Europa, jako na radiostację w istocie amerykańską, organ polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, kierowany przez dyrektywy ideologiczne i polityczne płynące z Waszyngtonu.

Takie stwierdzenia mocno zabolowały Jana Nowaka. Nie zaprzeczał, że Radio Wolna Europa powstało z amerykańskiej inicjatywy, że jest instytucją polsko-amerykańską; zapewniał jednak, że program nie podlega cenzurze, a inicjatywa polityczna i redakcyjna należy do Polaków. Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa jest więc polska w całym tego słowa znaczeniu.

Ta kwestia przewijała się przez wiele lat trwania korespondencji i nie dopuszczała do jej nieco cieplejszej tonacji. Wystąpiła ze szczególną siłą, gdy Jan Nowak opublikował artykuł, w którym zawarł opinię, że Jerzy Giedroyc nie ma prawa zarzucać mu uzależnienia od Amerykanów, gdyż sam jest od nich finansowo zależny.

To z kolei mocno poruszyło Jerzego Giedroycia. Doszło do ostrej wymiany listów, która nie doprowadziła jednak do zerwania kontaktu; obaj mieli poczucie nadrzędności polskiej sprawy skłaniającej ich do współpracy. Obaj też pomagali sobie nawzajem różnymi środkami, którymi każdy z nich dysponował. Niemniej Giedroyc pisał w słowach pobrzmiwających irytacją i gniewem:

Do niezależności „Kultury” przywiązuję największą, a nawet niewątpliwie przesadną wagę. Uważam tę niezależność za swój największy atut. Z Pana strony spotkałem się nie tylko na piśmie, ale i w naszej rozmowie, którą mieliśmy u Sabbata, z niedwuznacznym twierdzeniem, że korzystam z obcych subwencji (361).

Do sprawy i do sytuacji powrócił wiele lat później w *Autobiografii na cztery ręce*:

Zrobiłem wtedy wielką awanturę. Spotkaliśmy się w Londynie u Kazimierza Sabbata i zażądałem od Nowaka, by powiedział, na jakiej podstawie wysuwa takie oskarżenia. „Mam dowody, ale panu nie powiem”. Odpowiedział i odmówił jakichkolwiek wyjaśnień. Rozstaliśmy się bardzo zimno, bez podania ręki<sup>2</sup>.

Książkę z tymi słowami, wydaną w 1994 roku Giedroyc przesłał Nowakowi. Ten zareagował listem ujawniającym szczegóły dotychczas nieznanne:

<sup>2</sup> Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opracował i posłowiem opatrzył Krzysztof Pomian, Warszawa 1994, s. 159.

Najwyraźniej nie wiedział Pan, że byłem nieformalnym opiniodawcą Pana listownych wniosków o pomoc z Komitetu Wolnej Europy i jestem w posiadaniu kopii Pana listów z KWE. W chwili, gdy byłem angażowany na dyrektora, otrzymywał Pan od Amerykanów 300 dolarów miesięcznie. Moja początkowa pensja wynosiła 310 dolarów. W późnych latach pięćdziesiątych dotacja Komitetu na działalność wydawniczą „Kultury” wynosiła rocznie 75 tys. dolarów – niewiele mniej niż cały mój budżet operacyjny. [...] Pana korespondencji z Komitetem Wolnej Europy nie zamierzam ogłaszać, ale jej nie niszczyć. Gdy nas już nie będzie, stanie się ona, niestety, dowodem świadczącym przeciwko Panu (711–712).

Na ten list Giedroyc nie odpowiedział. Czytelnik omawianego tu tomu odkłada go z konsternacją. I ze słabnącym zaufaniem do rzetelności Krzysztofa Pomiana, który w książce *W kręgu Giedroycia* zapewnia, że przeczytał listy Giedroycia i Nowaka, a źródła finansowania „Kultury” i Instytutu Literackiego przedstawia tak, jakby kwestii poruszanej w cytowanym wyżej liście w ogóle nie było<sup>3</sup>.

Jan Nowak-Jeziorański odszedł z Radia Wolna Europa z własnej woli, 1 stycznia 1976 roku. Jego listy do Giedroycia rzucają światło na przyczyny odejścia. Odchodził w poczuciu swej bezsilności (i z jej powodu) wobec postępującego rozkładu polskiego zespołu, który „toleruje działalność szpiega noszącą wszelkie cechy zdrady” (408).

Jerzy Giedroyc okazał się solidarny z nim w sprawie, którą uznał za poważną i groźną. Tym bardziej że nie widział na emigracji odpowiednich kandydatów do pracy w rozgłośni; był też świadom, że nikt poważny z kraju nie zechce w niej pracować. A realizowany program oceniał jako skostniały i niedostosowany do aktualnych potrzeb.

Pomimo kontrowersji i różnicy zdań obaj uważali, że współpraca „Kultury” z Radiem Wolna Europa jest niezbędna. Giedroyc odpowiadał Nowakowi:

Zupełnie się z Panem zgadzam, że bliższa współpraca między Radiem a „Kulturą” byłaby niewątpliwie wskazana [...]. Różnice poglądów nie powinny stać na przeszkodzie w utrzymaniu między nami kontaktu, leżącego w obopólnym interesie zarówno RWE, jak i „Kultury” (360 i 365).

Obaj wiedzieli, że w realnym oddziaływaniu na kraj liczą się tylko dwie instytucje: „Kultura” i Radio Wolna Europa. Środowisko londyńskie przestało się liczyć. W 1977 roku Nowak pisał:

Jesteśmy pod przygnębiającym wrażeniem polskiego Londynu. Zaszły tu wyraźne zmiany na gorsze od czasu naszej ostatniej bytności nad Tamizą. Mieliliśmy chwilami wrażenie, że znajdujemy się w domu starców. Spory, kłótnie i intrygi nie są niczym nowym, jednakże na skutek starzenia się i ubytku ludzi o pewnym kalibrze, ich poziom coraz bardziej spada (402).

Nad osobistymi ambicjami i – niekiedy – pretensjami między Giedroyciem a Nowakiem górę brało wzajemne uznanie, szacunek oraz – co najważniejsze – niewymagające bezpośrednich zapewnień poczucie, że kierują nimi te same motywy, że ich działaniom przyświecają te same cele – po prostu dobro Polski. W dążeniu do nich uzupełniały się wzajemnie możliwości organizacyjne i techniczne, różne sposoby oddziaływania na kraj – „Kultury”, Instytutu Literackiego i Radia Wolna Europa.

Dzielono się materiałami informacyjnymi, często wspólnie ustalano sposób ich wykorzystania. Nowak przekazał Giedroyciowi tekst Józefa Światły *Za kulisami bezpie-*

<sup>3</sup> Krzysztof Pomian, *W kręgu Giedroycia*, Warszawa 2000, zob. strony: 30–31 i 34.



ki i partii, Giedroyc wydrukował go na bibułce i zorganizował rozrzucenie nad Polską („Akcja balonikowa Światły, według opinii wszystkich przyjezdnych z kraju, dała doskonały rezultat i nawet zdecydowani komuniści twierdzą, że przyspieszyła ograniczenie działalności bezpieki” [73]).

Nowak przesyłał Giedroycowi otrzymane z Polski stenogramy z posiedzeń KC PZPR, dokładną chronologię wydarzeń w Czechosłowacji w 1968 roku (i pomagał w zebraniu materiałów do specjalnego numeru „Kultury” im poświęconego), przekazał do wykorzystania radiowe felietony Jerzego Stempowskiego (Pawła Hostowca), udostępnił mu maszynopis *Socjologii kłęski* Władysława Bieńkowskiego.

Po dużym rozgłosie, z jakim się spotkał *List otwarty do partii* Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, Giedroyc przesłał go Nowakowi z sugestią dyktowania przez radio. Zgodził się na radiową emisję opery Janusza Szpotańskiego *Cisi i gegacze, czyli bal u Prezydenta* i na nadawanie fragmentów książki Andrieja Siniawskiego (pseudonim Abram Terc) *Co to jest realizm socjalistyczny*, której rękopis otrzymał od jednej z ambasad w walizie dyplomatycznej.

W decyzji o miejscu publikacji otrzymanych z kraju materiałów odgrywał też rolę wzgląd na konsekwencje grożące w kraju ich autorowi. List Artura Marii Swinarskiego do Józefa Cyrankiewicza z zażaleniem na władze paszportowe, które nie pozwalały mu na wyjazd do kraju, gdzie wystawiano jego sztuki, otrzymał Nowak. W obawie, że jego nadanie w Radiu Wolna Europa mogłoby autorowi zaszkodzić, przekazał go „Kulturze”.

Kiedy jednak Nowak zaproponował Giedroycowi, by w formie bezpłatnego dodatku do „Kultury” publikować najciekawsze audycje Radia Wolna Europa, Giedroyc odniósł się do tego projektu sceptycznie. Nie chciał, by czytelnicy „Kultury” łączyli ją z Radiem Wolna Europa: „jakkolwiek nasze poglądy (tj. Pana i moje) nie są zbyt dalekie, to jednak nie mogę tego powiedzieć o amerykańskim FE czy w ogóle o półoficjalnych czynnikach politycznych” (261).

Współpracowali z sobą w pomaganiu w kraju wybranym osobom, które znajdowały się w trudnym położeniu. Pieniądze pochodziły z Funduszu Społecznego pracowników Rozgłośni Polskiej RWE, a były przesyłane do Polski kanałami zorganizowanymi przez Giedroycia i przekazywane osobom przez niego wskazanym. Współdziałali w kolportowaniu „Kultury” i wydawnictw Instytutu Literackiego do kraju. Rozgłośnia RWE przejmowała egzemplarze z Paryża, przesyłała je do Wiednia, a stamtąd trafiały do kraju na adresy podane przez Giedroycia.

Sytuacja w Polsce po 1956 roku wywoływała u Giedroycia przyływ energii i zapału:

Dzieją się tam rzeczy pasjonujące i niewątpliwie krajowi trzeba pomóc, ale w tej pomocy trzeba zachować chłodną głowę i organizować ją w ten sposób, by nie mogła być ona wykorzystana dla celów partii komunistycznej, a służyła rozszerzaniu czy pogłębianiu demokracji stosunków w Polsce (153).

Chciał zaopatrywać w literaturę Wolną Wszechnicę przy Klubie Krzywego Koła, wspierać Kluby Młodej Inteligencji tworzone z inicjatywy „Po prostu”.

Klimat polityczny w Polsce w czasie „odwilży” miał też – z punktu widzenia Giedroycia i Nowaka – stronę negatywną, której zgodnie usiłowali zapobiec. Otóż niektórzy pisarze emigracyjni zaczęli wówczas myśleć o współpracy z krajem, a nawet o powrocie do niego. Giedroyc wspólnie z Nowakiem podjął więc starania, by takim autorom udzielić stypendium, wydać utwory, wykupić część nakładu i wysłać do kraju. Chodziło m.in. o Parnickiego, Gombrowicza, Bobkowskiego, Stempowskiego, którym chciano pomóc,

tym bardziej że „reżim specjalnie się nimi nie interesuje” (71). W 1955 roku Giedroyc pisał do Nowaka mocno zaniepokojony: „Sytuacja nie jest dobra. Przynajmniej we Francji jest pewna fala powrotowa przed konsulatem reżimowym, gdzie normalnie było więcej niż pusto, jest teraz zawsze mały tłumik” (85).

Powstrzymywanie emigracyjnych pisarzy przed kontaktami z krajem i krajowymi wydawcami utrudniały – paradoksalnie – władze amerykańskie. Wstrzymywały one stypendia niektórym pisarzom (np. Gombrowiczowi, Parnickiemu), uzasadniając to tym, że większość pisarzy polskich wypowiedziała się za drukowaniem w kraju, więc władze amerykańskie nie mają zamiaru nikomu w tym przeszkadzać, z wyjątkiem osób stale zatrudnionych w Rozgłośni Polskiej RWE.

Zaniepokojenie wywołał zamiar Gombrowicza wydania w kraju *Ferdydurke*<sup>4</sup>, zasmuciła wiadomość o powrocie do Polski Stanisława Cata-Mackiewicza. Przeciwdziałanie wywołało namawianie przez Zawieyskiego młodych poetów polskich w Anglii do wydawania wierszy w kraju. Giedroyc pragnął temu zapobiec przez pokrycie kosztów druku ich tomików i przerwienie ich do Polski. Mocno niepokoiły liczne i atrakcyjne oferty ze strony wydawców krajowych adresowane do najlepszych autorów emigracyjnych.

Zorientowawszy się w realnej wartości zagranicznej waluty w Polsce, Giedroyc podjął „ofensywę na pisarzy krajowych” (147) i zaproponował wybitniejszym autorom druk artykułów i esejów w „Kulturze” za 15 000 franków, „co w Polsce wypada wprost bałajsko” (57). Otrzymał entuzjastyczne odpowiedzi, m.in. stały felieton w „Kulturze” za 20 000 franków zaproponował Stefanowi Kisielewskiemu.

Wydarzenia polityczne w Polsce nabrały przyspieszenia w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Organizował się ruch opozycyjny, powstał drugi, omijający cenzurę, obieg wydawniczy. O młodych ludziach, którzy go organizowali, pisze Giedroyc z uznaniem:

Gdyby kiedyś były jakieś nagrody, to w pierwszym rządzie trzeba je przyznać tym dziewczynom i chłopcom, którzy to drukują w okropnych rzeczywiście warunkach z największym poświęceniem. I to drukują dla wszystkich. Rozgrywki „góry” ich nie obchodzą (430).

Zareagował na sygnał, że członkowie SKS w Krakowie potrzebują pieniędzy na zapłacenie zasądzonej grzywny. Miał środki i przekazał je, a na marginesie podzielił się z Nowakiem uwagą, która wywołuje pewną ciekawość: „ale przecież w Londynie KOR (u mnie też) dysponuje naprawdę dużymi pieniędzmi. Bardzo to mnie wszystko niepokoi” (436).

Z wizytą papieża w Polsce w 1979 roku łączył możliwość przerwienia do kraju dużej ilości druków przy pomocy dziennikarzy. Nowak czynił to samo przez młodych pielgrzymów do Polski z Chicago i Nowego Jorku.

Giedroyc, zainteresowany podziemnymi wydawnictwami w Polsce, gromadził je, powielał i rozsyłał, także Nowakowi, nieco narzekając: „Produkcja samizdatowa jest ogromna i nie mam już siły – nie mówiąc o kosztach – by to powielić” (503). Podjął inicjatywę oficyny wydawniczej „Nowa”, by druki emigracyjne włączać do niezależnych bibliotek przez nią zakładanych. Nadzieję na przyzwolenie władz polskich łączył z presją wywieraną na nie przez Kongres Polonii Amerykańskiej i Fundację Kościuszkowską.

<sup>4</sup> Witold Gombrowicz krytycznie odnosił się do emigracyjnych ograniczeń w publikowaniu swych utworów w kraju. Zob. Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, Warszawa 1993. Zwłaszcza listy z lat 1955–1957.

Jest w tych listach dużo informacji o sprawach finansowych. Są wprawdzie niepełne, dosyć przypadkowe, ale mają walor wiarygodności. Powtarzają się słowa o zasobach finansowych KOR-u:

Kłopotami finansowymi KOR-u nie bardzo się przejmuję. Mają oni b. dużo pieniędzy u mnie – praktycznie nie ruszanych, a jeszcze więcej w Londynie (482).

Podobnie jest z „Solidarnością”:

Przystaję przejmować wpłaty na „Solidarność”, która ma aż za dużo pieniędzy na Zachodzie etc. Chcę stworzyć jeden fundusz (poza funduszem „Kultury”) na wydawnictwa niezależne. To, mam wrażenie, jest w tej chwili rzeczą najważniejszą (584).

W marcu 1981 roku przyszedł Giedroyciowi do głowy dosyć karkołomny pomysł, by zorganizować – na wypadek radzieckiej interwencji w Polsce – brygadę międzynarodową złożoną z młodych emigrantów pochodzących z krajów socjalistycznych, coś na wzór międzynarodowych brygad, które w latach trzydziestych śpieszyły z pomocą republikańskiej Hiszpanii. Do tej idei doszedł w rozmowie z dysydentami rosyjskimi – z Brodzkim, Zinowiewem, Gorbaniewską.

Tu więcej realizmu przejawiał Nowak, który odniósł się do tego pomysłu sceptycznie. Nie widział dla niego poparcia w Stanach Zjednoczonych. Dla niego samego nie było jasne, w jaki sposób taka brygada miałaby funkcjonować.

\* \* \*

Ożywiona, wymieniana co kilka dni korespondencja w pełnym wydarzeń 1981 roku „urywa się” nagle 1 grudnia i następuje w niej ponadpółroczna przerwa, do 8 czerwca 1982 roku. Użyty tu cudzysłów sygnalizuje nieufność. To raczej wydawcy zdecydowali nie pozwolić nam na zapoznanie się z opiniami Giedroycia i Nowaka o najważniejszym wydarzeniu tego czasu – o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego i jego bezpośrednich konsekwencjach. Pozostaje niezaspokojona podwójna ciekawość czytelnicza: co myślały i jak zachowały się w tym momencie najważniejsze osoby polskiej emigracji. I także: jakimi to motywami kierowali się wydawcy, wstrzymując publikację listów pisanych między 13 grudnia 1981 a 8 czerwca 1982 roku. A warto dodać, że w ostatnim przed tą przerwą liście, datowanym z 1 grudnia 1981, Giedroyc pisał: „W ogóle jestem niezmiernie speszynizowany specjalnie »Solidarnością«, tzw. opozycją oraz Kościołem” (388).

\* \* \*

Duże wątpliwości Giedroycia budziły sprawy finansowe. Może najbardziej finansowanie „Zeszytów Literackich” przez National Endowment of Democracy, co do którego Giedroyc był przekonany, że służy tylko celom krajowym. Tym bardziej że

„Zeszyty Literackie” dostają również pieniądze z Fundacji, stworzonej przez Romaszewską [...], są finansowane także przez p. Johnson i p. Kuryluk dostała nagrodę za współpracę z „Zeszytami”, to rzeczywiście jest to szczyt obrotności! (629).

W kolejnym liście pyta: „Skąd to uprzywilejowanie »Zeszytów Literackich« Basi Toruńczyk? O ile lepiej pomóc »Tygodnikowi Nowojorskiemu«, który ma naprawdę rację bytu” (633). A w następnym:

Całkowicie niezrozumiałe jest finansowanie z budżetu Aurora Foundation „Zeszytów Literackich”, które ponadto korzystają z pomocy innych działów Endowment [...]. Mogę tylko podziwiać obrotność p. Toruńczyk, ale uważam to za prawdziwie nadużycie (634).

Oburzyła go wiadomość, że „Zeszyty Literackie” są też na liście pism wspieranych przez European Culture Foundation: „Czekam tylko na potwierdzenie tej informacji i zamierzam całą sprawę poruszyć w »Kulturze«, to już czas najwyższy, by oczyścić atmosferę” (638). Jego poirytowanie jeszcze bardziej wzrosło, gdy się dowiedział, że Fundacja Aurora zgodziła się przekazywać pieniądze dla fundacji Romaszewskiej pod warunkiem jej zgody, by dotacja dla „Zeszytów Literackich” formalnie obciążała jej konto. Komentował: „Świadczy to o dużej sile przebicia p. Barbary Toruńczyk, ale to nie są metody, które bym aprecjował” (652).

Problem pieniędzy pojawia się często w listach z lat osiemdziesiątych. Dla Czesława Bieleckiego trzeba znaleźć 5000 dolarów; Kornel Morawiecki pisze do Giedroycia: „Od trzech lat z zagranicy głównie od Pana i osób prywatnych dociera do nas średnio 1000 \$ (jeden tysiąc) na miesiąc. Własne potrzeby szacujemy na 10 000 \$ miesięcznie” (655). W liście informującym, że Fundusz Kultury Niezależnej otrzymał 40 000 dolarów, Giedroyc dodaje: „Pieniądze na miejscu są rozdzielane kumotersko [...]. Trzeba to jakoś uporządkować” (662).

Na informację otrzymaną od Jana Nowaka, że senat amerykański uchwalił dodatkową sumę miliona dolarów dla „Solidarności”, Giedroyc odpowiadał: „Jest to na nasze stosunki suma ogromna; jest kwestia, kto i w jaki sposób ma tym dysponować” (667). Rok później zapytywał:

Czy Pan się orientuje, jak wygląda sprawa tych milionów Kongresu za rok 88 i 89 [...]. I co się dzieje z pieniędzmi, które Wałęsa dostaje [...]. Trzeba wreszcie coś z tym zrobić. Zamierzam ogłosić we wrześniowej „Kulturze” dotacje, domagając się jednocześnie sprawozdań, na co te pieniądze zostały wydane (687).

Mimo wielu krytycznych uwag o Lechu Wałęsie („Wałęsa robi szum, ale nic nie załatwi konkretnie” 583) i „przerażenia” jego „rozjazdami po świecie” Giedroyc bardzo aktywnie organizował kampanię na rzecz przyznania mu Pokojowej Nagrody Nobla. Obaj natomiast, i Giedroyc, i Nowak, nie mieli zaufania do Leszka Moczulskiego, krytycznie komentowali przejawy jego działalności. A co do Zdzisława Najdera, Nowak przytaczał słowa Geremka przeklinającego dzień, w którym on wrócił do Polski, a Giedroyc dodał: „Rola Najdera jest rolą niesłuchanie szkodliwą” (701).

Listy, nieprzeznaczone do publikacji, zawierające oceny, których obaj autorzy nie wypowiadali publicznie ze względów taktyczno-politycznych ukazują narastające rozczarowanie „Solidarnością” i zachowaniem się jej reprezentantów. Jan Nowak ubolewał, że dwaj z nich, przebywający w Waszyngtonie, wskutek niezręcznego i nietaktownego

postępowania uniemożliwili w maju 1981 roku stworzenie instytucji członków wspierających NSZZ „Solidarność”, o co zabiegał Giedroyc. 9 sierpnia 1981 roku pisał on:

Partia i rząd nie wie, co robić, „Solidarność” także planu nie ma i tonie w gadaniu i rozgrywkach personalnych [...]. Ta ogromna pomoc dla Polski, płynąca ze wszystkich stron, jest znakomicie marnowana przez brak sprawnej dystrybucji. Ani Kościół, ani „Solidarność” nie potrafiły tego zorganizować [...]. A do tego ma Pan rosnący exodus z Polski sięgający już dziesiątków tysięcy ludzi i nikt się tym nie zajmuje. Osobiście jestem skołatany nie tylko rosnącą robotą, ale prawdziwym zalewem ludzi z kraju (582).

W listopadzie 1981 roku zniechęconego Jana Nowaka wzywał do podtrzymywania wysiłków równie zniechęcony Giedroyc:

Rozumiem powody zniechęcenia – sam to ciągle przeżywam, ale wie Pan dobrze, że cała robota zarówno na emigracji, jak i w kraju stoi na kilku – dosłownie – ludziach. Jak Pan się wycofa, to będzie już katastrofa. I tak ludzie się wykruszają (587).

W latach osiemdziesiątych oceny ruchu solidarnościowego stają się coraz bardziej pesymistyczne. W lipcu 1983 roku Giedroyc pisał: „niczego rozsądnego nie można się spodziewać od krajowej i emigracyjnej »Solidarności«, nie mówiąc już o czynnikach kościelnych” (591–592). A w styczniu 1986: „Jestem przerażony sytuacją wśród »Solidarności« na Zachodzie. Jest to kłębowski zmij, intryg i mafii” (609). Już po przełomie, po politycznym zwycięstwie „Solidarności” i demokratycznej opozycji Jan Nowak dzielił się z Giedroyciem wrażeniami wywiezionymi z Polski w czerwcu 1992 roku:

Z Polski powróciłem w stanie skrajnego przygnębienia. Nie przesadził Małachowski, kończąc jeden ze swoich felietonów: „chce się wyć z rozpacz”. Zarówno Sejm, wyłoniony w jesiennych wyborach, jak i rząd J. Olszewskiego okazał się prawdziwą katastrofą narodową. [...] Rozpacz ogarnia mnie na myśl, że wszystko, czemu poświęciliśmy większą część naszego życia, jest obecnie niszczone rękami samych Polaków (709–710).

I to jest właściwie puenta tego tomu korespondencji wymienionej między dwoma wybitnymi i zasłużonymi działaczami emigracji polskiej. Po niej następuje wymiana krótkich, kurtuazyjnych listów z 1998 roku, z okazji otrzymania przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego doktoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego. W gratulacjach przesłanych przez Giedroycia i w podziękowaniu za nie brzmi ton wzajemnego szacunku, uznania i podziwu, pamięć o wspólnej walce dla dobra Polski. Zmierzanie – niekiedy różnymi drogami – do wspólnego celu, który nie został jeszcze w pełni osiągnięty: „Nasza walka jednak nie jest skończona. Prowadzimy ją dziś, by III Rzeczpospolita stała się Polską, o jaką walczyliśmy [...]. W tej walce jesteśmy bardziej zgodni niż przedtem. Tym więcej, że jest o wiele trudniejsza” (713).

## Jerzy Giedroyc wśród twórców literatury polskiej

Jerzy Giedroyc świetnie rozpoznawał talenty literackie, wartość dzieł. Jednym z pierwszych tomów w serii Biblioteka „Kultury” był *Trans-Atlantyk* Witolda Gombrowicza. A było to w czasie, gdy – w Polsce – Kazimierz Wyka uznał ironię i drwinę Gombrowicza za nieaktualną, opowiadając się po stronie realizmu, a literacka opinia emigracyjna była zupełnie nieprzygotowana do odbioru tekstów tego autora.

Powieść spotkała się więc z gwałtownymi atakami ze strony polskiej emigracji, a Giedroyc nie tylko ją wydał, ale również zabiegał o jej obronę przed emigracyjną opinią wyrażaną na łamach polskiej prasy londyńskiej. Udało mu się skłonić Józefa Wittlina do napisania *Apologii Gombrowicza*. Opublikował ją w „Kulturze”.

Po otrzymaniu pierwszych *Notatek* Gombrowicza Giedroyc dostrzegł w nich formę najlepiej odpowiadającą talentowi pisarza i mogącą rozwinąć się w atrakcyjny, bardzo wartościowy utwór. Bez przesady można powiedzieć, że dzięki inspiracji Giedroycia powstało jedno z najlepszych dzieł Gombrowicza. Giedroyc pisał do niego: „Forma »fragmentów z dziennika« jest bardzo dobra i namawiałbym Pana na jej kontynuowanie [...]. Jest to forma wymarzona dla Pana. Zresztą jest teraz modna!”<sup>1</sup>.

Dla Giedroycia już na zawsze *Trans-Atlantyk* i *Dziennik* były najlepszymi i najważniejszymi utworami Gombrowicza. Do pozostałych jego dzieł, chociaż je wydawał, przywiązywał znacznie mniejszą wagę. Wielokrotnie, w ciągu kilkunastu lat ukazywania się *Dziennika* na łamach „Kultury” zachęcał autora do jego kontynuowania i upominał się o nadsyłanie kolejnych fragmentów. A kiedy ukazał się już w wydaniu książkowym i urósł do trzech tomów, wysyłał go do Polski. Drogą pocztową, gdy było to możliwe w okresie październikowej „odwilży”, albo, gdy cenzura uległa znowu zaostreniu, korzystając z usług pojawiających się na Zachodzie Polaków z kraju. „W Paryżu i w Londynie jest nieprzerwane mrowie przejezdnych, którzy są doskonałymi kolporterami”<sup>2</sup>.

Ważną rolę odegrał Giedroyc w dojrzywaniu decyzji Czesława Miłosza, by zerwać z rządem w Warszawie i zwrócić się o azyl polityczny na Zachodzie. Pierwsze kroki na tej drodze poczynił – w porozumieniu z Giedroyciem i jako jego pełnomocnik w tej sprawie – Józef Czapski, kiedy objeżdżając Stany Zjednoczone, spotykał się i rozmawiał z autorem *Ocalenia*, bardzo cenionego przez Giedroycia. A później, już w momentach decydujących, Czesław Miłosz znalazł długotrwałą opiekę, schronienie i obronę przed gwałtownymi atakami emigrantów w Maisons-Laffitte i na łamach „Kultury”. W liście do

---

<sup>1</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, Warszawa 1993, s. 74.

<sup>2</sup> Tamże, s. 227.

Andrzeja Bobkowskiego Giedroyc mógł więc napisać: „Załatwiliśmy wybranie wolności przez Czesława Miłosza, który nawiał i obecnie siedzi ukryty w Maisons-Laffitte”<sup>3</sup>.

Giedroyc nigdy nie był entuzjastą Miłosza jako człowieka, osobowości czy charakteru. Wielokrotnie dawał temu wyraz w listach do różnych adresatów. „Miłosz jest mięczakiem, stale mającym kompleks zdrady”<sup>4</sup>. Nie zwracał się do niego o napisanie paru słów po śmierci Juliana Tuwima. „Miłosz nie wchodzi w rachubę, gdyż tu wchodzi w rachubę jakieś wendetty i nienawiści personalne, a tych uczuć poczciwy Czesław Miłosz nie jest w stanie opanować”<sup>5</sup>. „Jest to facet pełen kompleksów, bardzo słaby, ze snobizmem lewicowości”<sup>6</sup>. To wcale nie najostrzejsze słowa o Miłoszu, na które można się natknąć w korespondencji Giedroycia.

Cenił jednak jego duży talent literacki, i z tego powodu był gotów mu udzielić wielostronnej pomocy, publikować jego dzieła i brać go w obronę, gdy znalazł się wśród atakujących go emigrantów jak „człowiek wśród skorpionów”.

Dla Giedroycia zawsze było ważne dzieło literackie, jego wartość i ranga. W mniejszym stopniu – biografia autora. Wobec różnych negatywnych opinii gromadzących się wokół Ferdynanda Goetla, pisał do Jerzego Stempowskiego: „Sądzę, że trzeba pewne rzeczy wyraźnie powiedzieć, by walczyć z narastającym zdziczeniem: o literaturze świadczą dzieła przede wszystkim, a poza tym każdy człowiek ma prawo odkupienia swoich błędów”<sup>7</sup>.

Śmiałą decyzją Giedroycia było opublikowanie w „Kulturze” fragmentu reportażu Aleksandra Janty *Wracam z Polski*. Janta wyłamał się z emigracyjnych zakazów i jako rasowy reporter pojechał do Polski, by na własne oczy zobaczyć świeże rany powojenne i dźwiganie się kraju z ruin. Za to czekał go wieloletni ostracyzm i wyrzucanie jego książek z emigracyjnych bibliotek. Po wydrukowaniu fragmentu w „Kulturze” rozległa się wielka wrzawa oburzenia wśród emigrantów skupionych głównie w Londynie. Giedroyc wstrzymał druk dalszych części, by tego oburzenia nie rozciągać w czasie. Na własny rachunek i za własne pieniądze, uznając reportaż Janty za poważny i obiektywny, opublikował go w całości w postaci książkowej.

Jego inspiratorska, pobudzająca do tworzenia rola przejawiała się również w stosunku do Czesława Straszewicza. Pamiętał o jego talencie, toteż niepokoiło go milczenie pisarza. Naciskał na Gombrowicza, by go odszukał w Argentynie i „pobudził”. Chciał publikować jego nowe utwory. W 1952 roku, kiedy Straszewicz napisał *Katedrę Sandwiczów*, miał prawo napisać do Andrzeja Bobkowskiego: „Teraz, kiedy po latach ciężkiej pracy zmusiłem Straszewicza do pisania”, dodając przy tym słowa skierowane już do adresata: „Marzę, by Pan wreszcie po tak długiej przewie coś napisał”<sup>8</sup>. W 1953 roku mógł już wydać powieść Straszewicza *Turyści z bocianich gniazd*.

W 1957 roku Giedroyc zamieścił w „Kulturze” artykuł Artura Sandauera *Bez taryfy ulgowej*, w którym autor przeprowadził zasadniczą krytykę prozy Adolfa Rudnickiego. Artykuł ten naruszający pewne „tabu” (by użyć słów Giedroycia) „wywołał wściekłość

<sup>3</sup> Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy 1946–1961*, Warszawa 1997, s. 177.

<sup>4</sup> Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, część pierwsza, Warszawa 1998, s. 294.

<sup>5</sup> Tamże, s. 205.

<sup>6</sup> Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, część druga, Warszawa 1999, s. 339.

<sup>7</sup> Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, część druga, Warszawa 1998, s. 142.

<sup>8</sup> Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy...*, s. 223.

kliki”. Giedroyc zamierzał wyciągnąć Sandaueara za granicę, „bo go zagryzą”<sup>9</sup>. Był gotów to zrobić choćby „w celach wychowawczych dla tych mafijek warszawskich”<sup>10</sup>.

Oczekiwał przyjazdu Marka Hłaski, by mu zaproponować opublikowanie odrzuconych przez cenzurę krajową *Cmentarzy*. Wydał je w Bibliotece „Kultury”, a młodemu autorowi udzielił gościny w Maisons-Laffitte. Dostrzegał jednak różne jego ułomności, jakieś pieczeniarnstwo. Pisał o nim do Bobkowskiego: „W nim jest masę cykorii przed życiem na własny rachunek. Zaczynam się do niego dobrać pomалу i powoli, ale trochę zaciskając. Myślę, że go na jesieni jednak wykopię do Stanów”<sup>11</sup>.

Giedroyc chętnie spotykał się z pisarzami z kraju. Był ciekaw ich opinii oraz faktów z Polski, o których mogli mu opowiedzieć. Czasem, ale raczej rzadko, kierował się uznaniem i szacunkiem dla twórcy literatury polskiej, jak to było w przypadku Marii Dąbrowskiej. Myślał nawet o zaaranżowaniu dla niej (wykorzystując do tego Mariana Pankowskiego) doktoratu honoris causa Uniwersytetu Brukselskiego, na którym kiedyś pisarka studiowała. Korespondował z nią, od początku wysyłał jej zeszyty „Kultury” i publikacje Instytutu Literackiego, spotykał się z nią w Maisons-Laffitte, gdy przebywała w Paryżu, w Bernie, gdy gościła u Jerzego Stempowskiego.

Spotykał się z Heleną Boguszewską i Jerzym Kornackim („Ciekawi, uczciwi, nie trącą kawiarnią warszawską, która mi coraz bardziej działa na nerwy”<sup>12</sup>). Cenił sobie spotkania i rozmowy ze Stefanem Kisielewskim, chociaż jego opinie o „Kulturze” i emigracji często wywoływały wzburzenie. Bawiły go natomiast warszawskie domysły na temat tego, kto kryje się pod pseudonimem „Józef Staliński” (Zambrowski? Staszewski?).

Odnutowywał w listach, kto przybywa z kraju, z kim się spotkał. A także, kto unika z nim kontaktu. Jednych i drugich było wielu. Tylko dla przykładu: W 1965 roku pisał do Jerzego Stempowskiego: „Jest tu Woroszyński, ale go nie widziałem. Albo nie ma ochoty się spotkać ze mną, albo się boi”. „Jak można się było spodziewać, Woroszyński nie skomunikował się dotąd ze mną”<sup>13</sup>. Odnotował spotkanie z Janem Dobraczyńskim („Jest to średniak, rodzaj takiej męskiej Rodziewiczówny”<sup>14</sup>). Jako redaktorowi PAX-u przesłał mu do publikowania *Słowo i ciało* Teodora Parnickiego.

Bardzo wielu pisarzy z kraju przewinęło się przez Maisons-Laffitte, korzystało z gościnności redaktora „Kultury”, znajdowało tu bezpłatny nocleg i posiłek. Także – niekiedy – wsparcie materialne. Nie zawsze zresztą uzasadnione.

W świetle listów Zygmunta Hertza do Czesława Miłosza<sup>15</sup> widać, jak często dochodziło do nadużywania gościnności i szlachetnej naiwności gospodarzy Maisons-Laffitte przez autorów krajowych, którzy nie byli tak prześladowani w kraju, jak to próbowali przedstawić, ani tak źle sytuowani, jak usiłowali się zaprezentować. A było wśród nich wiele znanych nazwisk, niepozbawionych w kraju nawet pewnych przywilejów. Nic więc dziwnego, że ukazaniu się tych listów towarzyszyło całkowite milczenie. Informacje w nich zawarte, pochodzące sprzed 1979 roku, a mogące być poddane konfrontacji z wiedzą czytelnika z lat dziewięćdziesiątych były niewygodne dla wielu „bohaterów” literackiej „Solidarności”.

<sup>9</sup> Tamże, s. 469.

<sup>10</sup> Jerzy Giedroyc, Konstanty Aleksander Jeleński, *Listy 1950–1987*, Warszawa 1995, s. 263.

<sup>11</sup> Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy...*, s. 533–534.

<sup>12</sup> Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy...*, część druga, s. 84.

<sup>13</sup> Tamże, s. 309 i 380.

<sup>14</sup> Tamże, część pierwsza, s. 262.

<sup>15</sup> Paryż 1992.



Giedroyc skomponował przemyślaną serię wydawniczą Biblioteka „Kultury”. „Ja nie dezawuuje żadnej pozycji: każda była potrzebna” – pisał o Bibliotece. Dzięki niej mogły się ukazać wybitne dzieła pisarzy emigracyjnych, stanowiące niekiedy najwyższe osiągnięcia współczesnej literatury polskiej. W latach późniejszych coraz częściej pojawiały się w niej utwory napisane przez pisarzy krajowych, którzy nie mogli się pogodzić z kontrolą cenzury i szukali sposobów jej ominięcia. Zestaw tytułów ujawnia „przemyślaną koncepcję atakowania różnych problemów, różnych czytelników”<sup>16</sup>. Giedroyc deklarował gotowość publikowania rękopisów krajowych, pod warunkiem że będą one na jakimś poziomie.

Dopuszczał też – wbrew stanowisku zajętemu dwukrotnie, w roku 1947 i 1956, przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie – możliwość publikowania przez twórców emigracyjnych utworów w kraju. Pod warunkiem wszakże, że nie będą w nich dokonywane skrótów, nie będą one zaopatrywane w interpretujące przedmowy lub posłowia, a honoraria zostaną przekazane na ogólnonarodowe cele.

Układał (i w znacznej mierze zrealizował) plan wydawniczy dla kraju. Przewidywał w nim wydawanie książek i opracowań bardzo potrzebnych, a których wydanie w kraju było w pewnych latach niemożliwe (wybór tekstów Stanisława Brzozowskiego, Witkacego, Karola Irzykowskiego, Stefana Żeromskiego), tłumaczeń ważnej literatury obcej (na przykład dzieła Simone Weil) oraz najlepszych utworów poetyckich, prozatorskich i eseistycznych twórców emigracyjnych.

Jak mógł, zasiliał krajowe redakcje, biblioteki, czytelnie i osoby prywatne emigracyjnymi publikacjami. Kupował dla nich książki i czasopisma („I tu już puchnę finansowo”). Nie stronił również od przesyłania przez PKO dla żyjących w niedostatku pisarzy choćby kilkunastu dolarów miesięcznie, co przy ówczesnych przeliczeniach walutowych było znaczącą pomocą.

Giedroycia fascynowały przemiany zachodzące w kraju. Przejawiało się to szczególnie mocno w momentach politycznych przesilen, w połowie lat pięćdziesiątych, w końcu sześćdziesiątych, a wreszcie od połowy lat siedemdziesiątych, poprzez moment narodzin „Solidarności” aż do przełomu w roku 1989. Także i później – z coraz silniej wzbierającą goryczą i rozczarowaniem.

Przemianom tym towarzyszyły wydarzenia kulturalne i literackie, którym poświęcał dużo uwagi. Docenił znaczenie „odwilżowej” IX sesji Rady Kultury w 1956 roku; zabiegał o autorów, którzy by odpowiednio skomentowali to wydarzenie. Uczynił to Karol Aleksander Jeleński w artykule *Po „trzęsieniu ziemi”*<sup>17</sup>.

Z dużym krytycyzmem komentował wystąpienie Władysława Gomułki w sprawach literatury i sztuki na plenum KC PZPR w 1963 roku.

Dużo miejsca w jego listach do różnych adresatów zajął „List 34”. Nadawał mu szeroki rozgłos. „Literaci w Warszawie zdobyli się wreszcie na protest. Wypadł słabo, ale zawsze dobrze, że jest początek” – pisał do Jerzego Stempowskiego<sup>18</sup>.

Otrzymywał książki z Polski, zamieszczał ich omówienia w „Kulturze”. Podkreślał, że książki z kraju dostaje bardzo łatwo, że jest dobrze zaopatrzony w bieżącą literaturę. Wiele utworów przekazywał Jerzemu Stempowskiemu do zrecenzowania. To była też ważna forma łączności z literackim środowiskiem w kraju, z autorami w nim mieszkającymi i tworzącymi; wywieranie wpływu na ich opinie.

<sup>16</sup> Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy...*, s. 409.

<sup>17</sup> „Kultura” 1956, z. 5.

<sup>18</sup> Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy...*, część druga, s. 261.

Publikował omówienia nie tylko tych dzieł, które zyskiwały jego uznanie, lecz także takich, które odbierał krytycznie, ale z jakichś powodów wywoływały jego zainteresowanie. Przykładem mogą być *Listy z podróży do Ameryki Południowej* Jarosława Iwaszkiewicza („Nigdy tak złej książki nie czytałem z taką pasją. To kopalnia strachu, prawa mimikry, snobizmu etc.”<sup>19</sup>). Bardzo chciał, by ją skomentował Witold Gombrowicz; ten jednak uchylał się od podjęcia tego zadania.

Na uwagę zasługuje także charakterystyczny szczegół. Po śmierci Władysława Broniewskiego Giedroyc zebrał jego wiersze z lat wojny, pisane na Bliskim Wschodzie, niepublikowane w Polsce i wydał w Bibliotece „Kultury”. Zabiegał, by wstęp do nich napisał Jerzy Stempowski. Chciałby w tym wstępnym esej „uwypuklenia esencjonalnej polskości, patriotyzmu typowo szlachecko-socjalistycznego, tak wyrazistego w całym przebiegu życia i dzieła, od Legionów aż po upadek w Polsce Bierutowej. Jego patriotycznej i odważnej postawy w okupowanym Lwowie. Jego powrotu do kraju – też z pobudek patriotycznych – on naprawdę nie mógł żyć poza Polską”<sup>20</sup>.

Stempowski autentycznie propozycją się zainteresował, ale uznał, że brakuje mu najpotrzebniejszych danych, by skomponować esej. W rezultacie tomik poprzedziła przedmowa Wiktora Weintrauba i wiersz Kazimierza Wierzyńskiego poświęcony Broniewskiemu.

Dobrze zorientowany w publikacjach literackich na łamach czasopism krajowych Jerzy Giedroyc często informował pisarzy emigracyjnych o tym, co w Polsce ukazywało się na temat ich twórczości.

Piszący te słowa zamieścił w roku 1978 w „Miesięczniku Literackim” szkic o prozie Danuty Mostwin (Giedroyc doceniał jej twórczość, zwłaszcza powieść *Ameryko! Ameryko!*, która wydała mu się „zarówno pod względem literackim, jak i socjologicznym doskonała”<sup>21</sup>). Kiedy nawiązał z pisarką kontakt korespondencyjny, otrzymał od niej list ze słowami: „Esej Pana w »Miesięczniku Literackim« dotarł do mnie przez »Kulturę« paryską. Giedroyc przesłał mi odbitkę...”.

Jak widać, redaktor „Kultury” wykonywał często i to, czego oczekiwano od polskich przedstawicieli kulturalnych za granicą.

\* \* \*

Różne mogło być spojrzenie na polską emigrację polityczną po drugiej wojnie światowej. W jednym jednak na pewno nie można było się nie zgodzić: w uznaniu dla inicjatyw wydawniczych Jerzego Giedroycia. Utrwały one to, co w kraju, gdzie działała cenzura, ukazać się nie mogło, a było bardzo ważne dla znajomości Polaków w drugiej połowie XX wieku. Giedroycowi zawdzięcza się nie tylko wszechstronniejszą wiedzę o polskiej literaturze powstającej na emigracji, ale nawet, w wielu przypadkach, jej powstawanie, pobudzanie, rozwój. A także, dzięki jego kontaktom z twórcami krajowymi, pomoc w ich dążeniach do pełnej wolności słowa.

<sup>19</sup> Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy...*, s. 114.

<sup>20</sup> Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy...*, część druga, s. 182.

<sup>21</sup> Tamże, s. 137.

Dzięki otwartości Giedroycia na problemy kraju i jego licznym kontaktom z twórcami emigracyjnymi i krajowymi, nawet przy administracyjnych ograniczeniach, licząca się część zainteresowanych znajdowała dostęp do „Kultury”, do Biblioteki „Kultury”, do „Zeszytów Historycznych”. Były one w bibliotekach naukowych, rzucano się na nie gorączkowo podczas naukowych wyjazdów zagranicznych do krajów zachodnich, przywożono je stamtąd, pożyczano sobie nawzajem.

Po roku 1989, kiedy mogłoby się wydawać, że wygasły źródła pobudzające polityczne i kulturalne polskie życie emigracyjne, działalność Jerzego Giedroycia potwierdziła prawdę zawartą w słowach Norwida: „Emigracja nigdy nie ustanie, bo ku temu historii pogwałconej niepokonane gnają moce. Odnawiać się będzie co epoka, co pokolenie, co puls dziejów”.

Polska odzyskała niepodległość. Zmieniła się zasadniczo jej sytuacja międzynarodowa, jej ustrój polityczny. Zmieniły się konkrety, realia. Niezmieniona po 1989 roku okazała się rola „Kultury” redagowanej w Maisons-Laffitte. Jak przed rokiem 1989, tak i później, na jej łamach można było znaleźć – często bardzo gorzką – prawdę o polskich sprawach. Prawdę, która w całej pełni i niezbędnej dobitności nie przedostawała się do krajowych środków przekazu. I nadal z uczuciem ulgi i moralnej satysfakcji sięgało się po zeszyty „Kultury”. A w *Notatkach* jej Redaktora znajdowało się słowa prawdy o naszym narodzie, społeczeństwie; o lewicy, prawicy, „Solidarności”; o politykach, biskupach, Kościele.

Ze względu na aktualność problemu warto na zakończenie przypomnieć jedną z *Notatek Redaktora*:

Między Stanami Zjednoczonymi a Polską nie ma symetrii w stosunkach konsularnych. Wizy do Polski dla obywateli amerykańskich zostały zniesione. Natomiast obywatel polski musi ją mieć, jeśli wybiera się do Stanów. Opłata za wniosek o wizę amerykańską, niezależnie od tego, czy się ją otrzyma, czy nie, wynosi 45 dolarów. [...] Ta nierówność powstała na skutek gestu prezydenta Lecha Wałęsy, ale byłby już czas, by to skorygować, bo to jednak uraża poczucie godności obywatela polskiego<sup>22</sup>.

<sup>22</sup> „Kultura” 1999, nr 9, s. 133–134.

# Powstanie warszawskie

Niech to,  
co powinno być powiedziane,  
będzie powiedziane.

(Czesław Miłosz)

To było pierwsze – po ponadstuletniej niewoli narodowej – pokolenie Polaków, którzy od urodzenia do pełnoletności, do matury i do progów uniwersyteckich wyrosli w klimacie patriotycznego i obywatelskiego wychowania, realizowanego przez polską szkołę w niepodległym państwie polskim w latach międzywojennych; w utrwalonym przez tę szkołę i tradycje wyniesione z rodzinnego domu kulcie bohaterów narodowych, mitów historycznych, rycerskiej prawości i honoru.

Jeden z tego pokolenia, który uczestniczył w jego wszystkich doświadczeniach i przeżył wojnę, na podstawie własnej pamięci i zdobytej później sprawności socjologa tak próbował zarysować duchowy portret swojej generacji:

Gdybyśmy byli – ostatecznie, bez odwołania, bez szansy, bez ratunku – wytworem bezsensownego, kłębiącego się w tysiącu form istnienia; gdybyśmy byli czystą egzystencją – to wszystko, co oni czynili, nie miałyby znaczenia innego niż męka zadawana pokrzywom przez kosę, jak los plemienia mrówek wziętego do niewoli przez silniejsze plemię [...].

Czuliśmy wtedy, że jakby zwiększamy wymiar dziejącej się przeciwko nam zbrodni, jeśli życie nasze jest oddane wartościom, jeśli przez nas, dzięki nam zwiększa się w świecie ilość piękna czy miłości. Czuliśmy się najgłębiej odpowiedzialni za to, aby zbrodnia ich była największa, aby zabijając nas, zabijali coś o wiele niż my ważniejszego – to, czego śmierć nie pozwoliłaby nam stworzyć. Czuliśmy, że jeśli nie stajemy się źródłem wartości, usprawiedliwiamy to, co robią, zmniejszamy godność życia, niemal przyznajemy im rację. [...] Była to egzystencja zagrożona – ale zagrożenie swe przyjmująca jako rodzaj wtajemniczenia, jako szansę rozpoznania rozstrzygającej sprawy – tego, co może nadać życiu, życiu w nas ocalonemu, życiu przez nich szczenemu, godność tak oczywistą, aby najoczywistszy stawał się wymiar ich przestępstwa<sup>1</sup>.

To właśnie, takie właśnie pokolenie stanowiło większość walczących powstańców Warszawy. I tym większa odpowiedzialność tych, których decyzje przesądziły o jego losach.

Gdy generał Władysław Anders otrzymał wiadomość o wybuchu powstania, powiadomił swych przełożonych, że decyzję dowódcy Armii Krajowej uważa „za nieszczę-

---

<sup>1</sup> Jan Strzelecki, *Ślady tożsamości*, Warszawa 1989, s. 143–144.

ście”. W meldunku złożonym generałowi Marianowi Kukielowi stwierdzał, że w tych warunkach stolica, mimo bezprzykładnego bohaterstwa, jest skazana na zagładę. Wywołanie powstania nazwał „największym nieszczęściem w naszej sytuacji”, nie tylko głupotą, ale „wyraźną zbrodnią”<sup>2</sup>.

Jerzy Giedroyc był we Włoszech, gdy dowiedział się o wybuchu powstania w Warszawie. Widział w nim katastrofę, która dodatkowo pogorszy i tak beznadziejne położenie Polski. Niemniej, skoro powstanie stało się faktem, uznał, że oprócz powstańców warszawskich powinni się tam znaleźć również żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Gotów był polecieć do Warszawy z niewielkim oddziałem. Zameldował się u Naczelnego Wodza, generała Kazimierza Sosnkowskiego z tym pomysłem. Do jego realizacji nie doszło<sup>3</sup>.

Przebywający w tym czasie we Francji Andrzej Bobkowski nie podzielał zdania niektórych swoich rodaków, którzy uważali, że ich obowiązkiem jest umieranie za ojczyznę. Ironizował: „Prawdziwe bohaterstwo to umrzeć niepotrzebnie i z fasonem. I umieramy niepotrzebnie i wspaniale”<sup>4</sup>.

Gorycz takich rozważań, pomieszana ze złośliwym humorem, sarkazmem i wyśmiewającym szyderstwem zmienia się w przerażenie na wieść o wybuchu powstania w Warszawie. Jeszcze kilka dni wcześniej jego ironiczne i szydercze uwagi o polskim męczeńskim stylu łączącym się z bufonadą odnosiły się do dawniejszej albo do niedawnej – ale zawsze do przeszłości. Powstanie warszawskie nie było już przypuszczeniem. Było realnością, która stała się teraz:

Polska Armia Podziemna rozpoczęła wczoraj otwartą walkę o uwolnienie Warszawy. Podobno Warszawa się pali i walki na ulicach. Po co? Myśli, myśli, pełno myśli i obawa słów, z których każde mogłoby być niewłaściwe<sup>5</sup>.

Następny zapis ukazuje kierunek jego myśli:

Wygląda na to, że Londyn dał rozkaz do powstania, aby mieć tak zwany atut w ręce. Ładny atut... Boję się wymówić słowo „bezsens”, ale samo podsuwa mi się na każdym kroku, gdy o tym myślę [...]. Na czyj rozkaz i po co Warszawa zerwała się do walki? Największe bohaterstwo, gdy jest bezcelowe, budzi gorzkie politowanie i nic więcej. Mówi się o nim jak o bohaterstwie szaleńca, który rzuca się pod pociąg, by go zatrzymać<sup>6</sup>.

Józef Czapski wyraził swą opinię o powstaniu warszawskim w komentarzu do dwóch książek mu poświęconych. Z właściwym sobie taktem i unikaniem skrajnych sądów odniósł się do *Armii podziemnej* Tadeusza Bora-Komorowskiego, dowódcy powstania. Przyznał mu myślenie patriotyczne, głęboką religijność, a jego książeczki – gładkość stylu, ścisłość w opisie walk, „przesianych wręczaniem krzyżów i orderów na polu walki”, dodając, że te opisy „powinny by trafić, i zapewne trafią, do antologii, do czytanek ilustrowanych przez jakiegoś współczesnego Grottgera [...] ku zbudowaniu młodzieży”<sup>7</sup>. Właściwą ocenę zawierają słowa:

<sup>2</sup> Depesza gen. Andersa do Szefa Sztabu z 3 VIII 1944 i do Ministra Obrony Narodowej z 23 VIII 1944. Instytut Historyczny im. Generała Sikorskiego, nr 2049 i 2139, kol. G.A./46.

<sup>3</sup> Zob. Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Giedroyc i „Kultura”*, Wrocław 1999, s. 66.

<sup>4</sup> Andrzej Bobkowski, *Szkice piórkiem*, Warszawa 1995, s. 353.

<sup>5</sup> Tamże, s. 523.

<sup>6</sup> Tamże, s. 524 i 531.

<sup>7</sup> Józef Czapski, *Powstanie warszawskie... „Kultura”* 1964, nr 10.

Książka ta robi wrażenie, jakby nie było, nie mogło być, problemów miazdzących, które były i być musiały nie tylko w masie walczących, ale bardziej jeszcze wśród samego dowództwa, w którym decyzję Powstania podjęto. Czytając tę książkę, miałem wrażenie, że dano nam część prawdy, że przemilczeń jest zbyt wiele<sup>8</sup>.

Czapski przeciwstawił *Armii podziemnej Najnowszą historię polityczną Polski* Władysława Pobóg-Malinowskiego. Wziął ją w obronę przed tymi uczestnikami powstania, dla których była ona świętokradcza, szkalująca najczystszy polski zryw. Czapski zaprzeczył tej opinii, wskazując, że dzieło to pisał człowiek ciężko chory, ze świadomością, że dni jego są policzone, który „chciał podać wszystko, co zebrał, powiedzieć wszystko, co wie, co go boli aż do krzyku”<sup>9</sup>.

W całym wywodzie Pobóg-Malinowskiego o powstaniu warszawskim istotnie jest coś z „krzyku” człowieka widzącego wyraźnie przesłanki, spełnianie się i nieuchronne skutki katastrofy, już bezradnego, mogącego tylko powiedzieć, jak było naprawdę w świetle zebranych dokumentów i niezbitych dowodów. Jego pasja powoduje, że styl nabiera niekiedy cech pamfletu, ale nigdy nie przesłania on rzetelności historyka, który powołuje się na bogatą dokumentację.

Dociekał źródeł i sprawców zmiany w koncepcji akcji „Burza”, która według pierwotnych planów miała omijać większe miasta w trosce o bezpieczeństwo ludności narażonej na niemiecki odwet. Tymczasem wykonano „Burzę” w stolicy na zwiłokrotnioną skalę. Przytacza ostrzeżenia płynące od Naczelnego Wodza do kraju, które nie docierały do adresata. Na meldunek dowódcy Armii Krajowej o gotowości do powstania Naczelny Wódz odpowiadał depeszą, która nigdy nie została wysłana: „Powstanie zbrojne byłoby aktem pozbawionym politycznego sensu, mogącym za sobą pociągnąć niepotrzebne ofiary”. A jego depesza z 29 lipca 1944 roku ze słowami: „W obecnych warunkach jestem bezwzględnie przeciwny powszechnemu powstaniu” doszła do kraju – mimo ponagleń – ...6 sierpnia<sup>10</sup>.

Sytuację opartą na autentycznych zdarzeniach wprowadziła Danuta Mostwin do powieści *Tajemnica zwyciężonych*. Stanisław Bask-Mostwin przybył z Londynu do kraju, zrzucony na spadochronie, by przekazać Janowi Jankowskiemu, delegatowi Rządu RP na Kraj, ważne informacje. Na spotkanie z nim musiał czekać dwa tygodnie. Nachodzili go przedstawiciele różnych orientacji politycznych. Ciągłe nie dopuszczano go do Jankowskiego. Owi pośrednicy chcieli wydobyć z niego, z czym przybywa do „doktora”. A ten nie wiedział, że od dwóch tygodni kurier z Londynu czeka na spotkanie z nim. Z trudem udało się Baskowi doprowadzić do rozmowy z Jankowskim w cztery oczy. Stanisław Bask-Mostwin miał mu do przekazania sprawę, które dotyczyły: wyłonienia kompromisowego rządu polskiego, który byłby do przyjęcia przez wszystkich aliantów, łącznie z Rosją; organizowania wojska polskiego, opierając się na armii Berlinga – taka była decyzja zachodnich sojuszników; informacji, że Zachód nie wejdzie w konflikt z Rosją o Polskę i że nawet gdyby powstanie wybuchło – Anglia nie pomoże. (Jan Jankowski 31 lipca 1944 roku zatwierdził decyzję powstania w Warszawie).

Ani bohater powieści, Stanisław Bask, ani jego realny pierwowzór, Stanisław Bask-Mostwin nie rozumieli, dlaczego utrudnia się im dotarcie do delegata rządu i przekazanie mu bardzo ważnych informacji. Dramatycznym komentarzem do tej sytuacji jest

<sup>8</sup> Tamże.

<sup>9</sup> Tamże.

<sup>10</sup> Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowszą historię polityczną Polski. Okres 1939–1945*, Gdańsk 1989, s. 221.

telegram wysłany z Londynu, z kręgu generała Andersa, do szefa Oddziału Drugiego w Komendzie Głównej AK, pułkownika Kazimierza Iranika Osmeckiego w lutym 1944 roku:

Kurierzy idą poza plecami Prezydenta i N.W. Nikt nie wie, kto jedzie i co wiezie. Z zestawienia depeszy N.W. i mojej zrozumiesz jasno, że kręci się coś tajemniczego i niebezpiecznego dla Kraju. [...] W momencie gdy dokoła najżywotniejszych spraw polskich zaczynają się omywać niecne zamiary, nie pora kierować się szlachetnymi skrupułami. Jest rzeczą konieczną, by materiały wiezione przez tajemniczych kurierów znalazły się w Waszych rękach, zanim zostaną doręczone adresatom i żebyście je nam jak najszybciej zakomunikowali depeszą, a później doręczyli ich fotografie lub ich odpisy. Jeśli się to da zrobić bez awantury – to lepiej. Jeżeli trzeba – musicie zorganizować nawet jakiś incydent, w czasie którego gość zostanie obrany z materiału wiezionego<sup>11</sup>.

Pobóg-Malinowski nie przyjmował argumentów powołujących się na taką temperaturę nastrojów insurekcyjnych w Warszawie, że do wybuchu powstania dojść musiało. Uważał, że było dość czasu, by te nastroje ująć „w karb dyscypliny społeczno-narodowej”, co nie nastąpiło. Przeciwnie, wbrew ostrzegawczym sygnałom zrobiono wiele, aby tę temperaturę nie tylko utrzymać, ale jeszcze podnieść.

„Największy nonsens” w przygotowywaniu powstania polegał według niego na tym, że planując akcję militarnie skierowaną – co oczywiste – przeciw Niemcom, a politycznie przeciw Związkowi Radzieckiemu, nie przewidywano, co zrobić, jeśli jego władze nie cofną się przed gwałtem.

Jeżeli powstanie miało być manifestacją polityczną wobec Rosji, to dlaczego nie myślano lub nie liczono się poważnie z tą konsekwencją, że i Rosja zrozumie na pewno ten skierowany przeciwko niej sens polityczny, a więc nie zechce popierać tego, co jest zwrócone przeciwko niej? Dlaczego liczono na szybkie wkroczenie Rosjan do walczącej Warszawy? Dlaczego sądzono, że Rosja kierować się będzie względami operacyjnymi, a nie politycznymi?<sup>12</sup>

Tę zgubną w skutkach nielogiczność myślenia o podstawowych sprawach trafnie i lapidarnie ujął Kazimierz Wyka:

Ci sami ludzie, którzy nie lękali się przyznania, że powstanie miało być antysowiecką demonstracją polityczną, zachowywali pretensję i uraz, że strona, przeciw której demonstrowano, nie podała mu natychmiast pomocnej dłoni. I równie szczerze, również bez zająknięcia w jednym zdaniu łączyli oba te twierdzenia<sup>13</sup>.

Jan Ciechanowski w monograficznym przedstawieniu okoliczności powstania warszawskiego podkreślał, że zupełne nieliczenie się dowództwa Armii Krajowej w czasie podejmowania decyzji o wywołaniu powstania, z możliwością poniesienia klęski uczyniło z niego bezprzykładną tragedię narodową, której nic nie jest w stanie usprawiedliwić<sup>14</sup>.

Powstanie przyniosło skutek odwrotny do zamierzonego. Zamiast uniemożliwić – ułatwiło poddanie Polski pod panowanie Związku Radzieckiego. Znaczną część pol-

<sup>11</sup> Zbigniew S. Siemaszko, *Łączność i polityka 1941–1946. Antologia*, Londyn 1992, s. 96.

<sup>12</sup> Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia...*, s. 210.

<sup>13</sup> Kazimierz Wyka, *Życie na niby. Pamiętnik po klęsce*, Kraków–Wrocław 1948, s. 122.

<sup>14</sup> Jan Ciechanowski, *Powstanie warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego*, przedmową poprzedził Aleksander Skarżyński, Warszawa 1989, s. 507.

skiego społeczeństwa odepchnęło od rządu w Londynie i od emigracji. Tak, jak to pisał Czesław Miłosz w liście do Melchiora Wańkowicza:

Trzeba panu wiedzieć, że przyczyną, dla której Andrzejewski jest dziś w partii, był kwietniowy dzień 1945 roku, kiedy w Warszawie szukaliśmy śladów po naszych przyjaciółach w stosach gruzów [...]. W zestawieniu z rzeczywistością – jeżeli człowiek ją silnie przeżywa – frazeologia, wielkie słowa, którymi częstowała nas emigracja, była ohydna<sup>15</sup>.

Za decyzję „porwania się do walki, która w warunkach chwili była bezsensem politycznym, a militarnie – szaleństwem wręcz zbrodniczym”<sup>16</sup> zapłacono niewiarygodnie wysoką cenę: zagłada miasta z bezcennymi skarbami dorobku pokoleń, krew młodzieży rzuconej prawie bez broni przeciw czołgom, bezprzykładne cierpienia milionowej ludności miasta skazanej na okrucieństwa niemieckie, około 18 000 poległych powstańców, około 5000 rannych w szpitalach, około 16 000 wziętych do niewoli. Nie mniej niż 200 000 ludzi rozstrzelanych, pomordowanych, zabitych ogniem artyleryjskim i bombami lotniczymi, zasypanych w gruzach, zmarłych z ran i wycieńczenia<sup>17</sup>.

Major Stanisław Żochowski, członek Sztabu Naczelnego Wodza pod datą 4 sierpnia 1945 roku zanotował:

Płk Demel polecił mi przygotować uzasadnienie dla odznaczenia gen. Bora Krzyżem Virtuti Militari II klasy. Odszukałem statut Orderu. II klasa może być przyznana generałowi za samodzielne działanie, które było zwycięską bitwą lub walnie przyczyniło się do zwycięstwa.

Złożyłem wniosek na oddanie gen. Bora pod sąd za zniszczenie stolicy, spowodowanie ogromnych strat i nie osiągnięcie żadnego celu<sup>18</sup>.

Przed wszystkim o tych, których charakteryzował cytowany na wstępie Jan Strzelecki, myślał Ignacy Matuszewski (syn Ignacego Matuszewskiego, autora dzieła *Słowacki i nowa sztuka*), gdy pisał artykuł *Ostatnie dni Warszawy*. O dniach, kiedy powstańcy przestali już czekać, kiedy „nadzieja wysączała się z wolna jak woda z pękniętego naczynia”<sup>19</sup>.

Umierało miasto, umierali powstańcy „i nie budziło się sumienie świata”<sup>20</sup>. Matuszewski pisał o ostatnich dniach, kiedy powstańcy przestali już wierzyć swoim i obcym i stanęli twarzą w twarz ze swoją samotnością. Przytoczył fragment parlamentarnego przemówienia Winstona Churchilla, premiera Wielkiej Brytanii, wygłoszonego 28 września 1944 roku, to znaczy w sześćdziesiątym dniu powstania warszawskiego:

Będą musiały nastąpić zmiany terytorialne w granicach Polski. Rosja ma prawo liczyć na brytyjskie poparcie w tej sprawie. Ma prawo liczyć na nasze poparcie, ponieważ to tylko wojska rosyjskie mogą wyzwolić Polskę i ponieważ po wszystkich cierpieniach, jakie Niemcy zadały narodowi rosyjskiemu, Rosja ma prawo do bezpiecznych granic i do przyjaznych sąsiadów na zachodzie<sup>21</sup>.

<sup>15</sup> „Zdanie” 1988, nr 7/8, s. 99.

<sup>16</sup> Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia...*, s. 262.

<sup>17</sup> Tamże, s. 332.

<sup>18</sup> Maria Żochowska, Stanisław Żochowski, *Nasz pamiętnik (1914–1984)*, Brisbane–Londyn 1984, s. 332.

<sup>19</sup> Ignacy Matuszewski, *Ostatnie dni Warszawy*, „Dziennik Polski” (Detroit) 10 i 11 X 1944.

<sup>20</sup> Tamże.

<sup>21</sup> Tamże.



Wspomni ł te  Matuszewski o  o nierzach w polskich mundurach, bezsilnych, kt rzy poszli walczy c o Ren, nie o Wislę. A przez dwa tygodnie powstania  aden lotnik polski nie mi ł prawa wzbi c się w powietrze. W Londynie nasluchiwali wieści z Warszawy polscy zwyczajni emigranci; bezsilni, bezradni, zastygli w przera eniu:

Nagle, w Warszawie, na ulicy –  
 W w z szale czy – Termopile! –  
 A my patrzymy st d, z Londynu,  
 A  tutaj slycha c krzyk: „Pomocy!  
 Ratunku!”

Dok d bieć, kt rędy,  
 Międy p n cych dom w rzędy,  
 Z czym bieć na pomoc, jak? –  
 W bezsile  
 Slychamy ka dej strasznej nocy,  
 Patrzymy – w bruk nam wrosly nogi –

Okropna tryumfuje zdrada!  
 I znowu z polskich r k wypada  
 Karabin, w kt rym kuli brak<sup>22</sup>.

Na sze c dni przed  mierci  pisał Ignacy Matuszewski sw j ostatni artyku  *Dwa lata po powstaniu*. Wspomni ł w nim o „rozstrzelanej dziewczynie na warszawskim skwerze” z mysl  o swej c rce, kt ra tak wla nie zginęła. O powstaniu warszawskim, w kt rym w ci gu sze cdziesi ciu trzech dni  mier c zabrała stolicę więcej, ni  straciła Francja w czasie ostatniej wojny, pisał jako o po więceniu daremny, wysi ku straconym, ofierze zmarnowanej, porywie wykorzystanym przeciw Polsce, ku jej obezw dzeniu, niewoli.

Odpowiedzialno ci  za zgliszczanie Warszawy, za daremne ofiary tysi cy istnie  ludzkich obci za  Niemc w i Rosjan, sojusznik w: Anglię i Amerykę, a tak e „polski r d emigracyjny z przeklętej pamieci klucza partyjnego”<sup>23</sup>.

<sup>22</sup> Marian Hemar, *Liryki, satyry, fraszki*, Londyn 1990, s. 57.

<sup>23</sup> Ignacy Matuszewski, *Dwa lata po powstaniu*, „Dziennik Polski” (Detroit) 1 VIII 1946.



# CZĘŚĆ III



# Dzieci Holocaustu

„Ich świat zaczął się tam, gdzie świat dorosłych się skończył [...]. Dla dzieci Holocaustu życie w tamtym okresie nie było niczym niezrozumiałym, ono przeniknęło do ich krwi”. Z człowiekiem bestią, naturalnej wielkości i stroju spotkały się rzeczywiście, nie w baśniowej wyobraźni grozy. Ze strasznymi wydarzeniami z czasu wojny zetknęły się bezpośrednio. Dlatego mogły Holocaust opowiedzieć. „Będąc dzieckiem Holocaustu [...] opowiadałem świat, jaki zastałem”.

On i jego rówieśnicy z żydowskich rodzin w Polsce, jeżeli ocalili z zagłady, wynieśli z niej inną pamięć – mimo wielu elementów wspólnych – niż Żydzi dorośli. Czas Holocaustu zapisywał się w ich pamięci w szczególny sposób. I w konsekwencji szczególne są wspomnienia ówczesnego dziecka, kiedy, dorósłszy, podjęło się wypowiedzieć siebie i przedstawić własną wizję życia w czasie zagłady. Życia, którego przeszłością i punktem odniesienia jest właśnie Holocaust.

Poprzedzający go świat, znany dobrze dorosłym, im był nieznanym, zwłaszcza najmłodszym spośród nich. Czas Holocaustu, jakkolwiek to strasznie zabrzmiało, był dla nich czasem normalnym. Innego nie zdążyli zaznać.

„My, dzieci Holocaustu, najlepiej się rozumiemy i jesteśmy rodzeństwem nie tylko w przenośni”<sup>1</sup>.

W wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” Henryk Grynberg rozwinął tę myśl:

My, dzieci Holocaustu, mamy ze sobą najwięcej wspólnego. Więcej niż ze swymi rodzicami i ze swoimi dziećmi. Nasi rodzice nie do końca nas rozumieli podczas wojny i nie do końca rozumieli potem. Oni mieli w drobnej części swój i nasz los w swoich rękach. Mogli uciec, mogli nie uciec. My nie, byliśmy absolutnie bezwolni<sup>2</sup>.

Dzieci Holocaustu czują łączącą ich więź; utrzymują wzajemne kontakty, tworzą klub „Child Survivors of the Holocaust” Pochodzą z różnych krajów, przeważnie zachodnioeuropejskich, bo wprawdzie w Polsce było najwięcej dzieci żydowskich, ale najmniej ich przeżyło. Spotykają się co roku w gronie około dwustu osób.

Czujemy się otoczeni przez tych wszystkich bliskich nam ludzi, których udaje się nam wydrzeć amnezji. Nie jest to koniecznie żałobne rozpamiętywanie. W naszych wspomnieniach nie brak satyry i humoru, nieodłącznych elementów prawdziwego życia<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> Wszystkie cytaty z: Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, wydanie III krajowe, rozszerzone i poprawione, Wołowiec 2002.

<sup>2</sup> Z wywiadu z Henrykiem Grynbergiem dla „Gazety Wyborczej” 7 XI 1998.

<sup>3</sup> *Życie nie kończy się śmiercią*, z Henrykiem Grynbergiem rozmawia Agata Tuszyńska, „Tygodnik Powszechny” 1991, nr 43.

W grupach mniej licznych spotykają się również ci, którzy mieszkają blisko siebie. Grynberg wspomina o waszyngtońsko-baltimorskim klubie dzieci Holocaustu, spotykających się co miesiąc<sup>4</sup>.

Spśród wielu podobnych losów wyróżnia się tu czworo dzieci Holocaustu, które weszły do literatury polskiej, wniosły do niej szczególną tematykę i ton. W różnym czasie opuściły Polskę, ale nie zawsze musiało to oznaczać emigrację. Jeżeli – to tylko w przypadku Jadwigi Maurer i Henryka Grynberga, którzy po opuszczeniu Polski osiedli na stałe w Stanach Zjednoczonych. Ida Fink natomiast, opuściwszy Polskę, udała się do Izraela, a więc do swojej żydowskiej ojczyzny, chociaż i Polski za swą ojczyznę nie przestała uważać. Podobnie Miriam Akavia. Wydobyta spod trupów podczas wyzwania niemieckiego obozu zagłady, uratowana przez Szwedzki Czerwony Krzyż, zaraz po wojnie nie powróciła do Polski, lecz – poprzez Szwecję – udała się do Izraela, by tam – zachowując serdeczną więź z Polską, zwłaszcza z Krakowem – uczestniczyć w budowaniu własnego, żydowskiego państwa.

Czwórkę wymienionych pisarzy łączy status dziecka Holocaustu. To decyduje o charakterze przeżyć, wspomnień, obciążeniu pamięci i tematyce ich twórczości. Różnice między nimi określiły różne warunki, w jakich przychodziło im przeżywać czas Holocaustu.

Henryk Grynberg był ukrywany przez rodziców wśród chłopów z pobliskiej miejscowości. Jeden z nich zamordował jego ojca. Dzielności matki zawdzięczał przetrwanie wojny w Warszawie i na Podlasiu.

Jadwiga Maurer, urodzona w Kielcach, podczas wojny mieszkała z rodzicami w Krakowie na Kazimierzu. Dzięki aryjskim papierom jej cała rodzina uniknęła przesiedlenia do getta w Podgórzu. W ostatnim okresie wojny, gdy zaczęło jej zagrażać coraz większe niebezpieczeństwo, znalazła się pod opieką organizacji „Żegota”. U siostr zakonnych na Słowacji doczekała końca wojny.

Ida Fink, ukrywając swe żydowskie pochodzenie, zgłosiła się wraz z młodszą siostrą do lwowskiego Arbeitsamtu, jako ochotniczka do wyjazdu na roboty do Niemiec. Powiodło się. W głębi Trzeciej Rzeszy, mimo różnych niebezpiecznych momentów, udało się jej ocalić życie, własne i siostry, którą się opiekowała.

Miriam Akavia, urodzona w Krakowie i do wojny w nim mieszkająca, dostała się do obozu w Płaszowie, a stamtąd do hitlerowskich miejsc zagłady: Oświęcim, Bergen-Belsen. Podniesiona ze stosu trupów, otoczona szwedzką opieką, po krótkim pobycie w Szwecji osiedliła się w Izraelu.

## Henryk Grynberg

Henryk Grynberg, urodzony w 1936 roku w Warszawie, pochodził ze wsi Radoszyna, w gminie Dobre, w powiecie Mińsk Mazowiecki. Jego ojciec był pachciarzem, dzierżawił ziemię i rodzinę utrzymywał z pracy na roli, co było rzadkim zajęciem wśród polskich Żydów. Matka pochodziła z rodziny chasydzkiej. Podczas wojny rodzice ukrywali go zrazu w ziemiance. Jednak ojciec, w obawie, że małe dziecko długo w niej nie wytrzyma, umieścił je u gospodarza, który, gdy zbliżała się komisja szukająca ukrywają-

<sup>4</sup> Por. Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, s. 240.

cych się Żydów, wyprowadzał chłopca z domu i zostawiał pod lasem. Opieka nad żydowskim dzieckiem ciążyła mu. Odprowadzał je do sąsiedniej wsi, by tam zostało.

Z przeżyć dziecięcych utrwaliło się wspomnienie:

Ale ja nie chciałem zostać. Poszliśmy na następną wieś, lecz tam mi się nie podobało, więc gospodarz się zdenerwował i gdy szliśmy przez las, zniknął mi gdzieś. Płakałem, krzychałem, wołałem go i szukałem wśród drzew, aż w końcu go dopatrzyłem, chwyciłem i nie puściłem, aż zaprowadził mnie z powrotem do chałupy<sup>5</sup>.

W tym czasie – wspominał – za sprawą niemieckich zbrodniarzy „do gazu poszli prawie wszyscy moi najbliżsi, najmilsi, za którymi tęsknię do dziś”<sup>6</sup>.

Od pierwszego opowiadania, opublikowanego w 1959 roku we „Współczesności” pod znamienym tytułem *Ekipa Antygona* Henryk Grynberg zaprezentował się jako strażnik pamięci o losach swojego narodu:

Ekshumacja w sensie literackim stała się moim głównym zadaniem [...]. Zostałem strażnikiem wielkiego cmentarza Grobów, których nie ma poza naszą pamięcią. Czuwam, aby ich nie bezczeszczone i nie mogą narzekać na brak roboty. Zdaje mi się, że po to żyję, a czasem nawet, że dlatego<sup>7</sup>.

Po wczesnej, jeszcze w dzieciństwie przeżywanej fazie strachu powodującego, że nie chciał być Żydem (nie znał nawet żadnej żydowskiej modlitwy), nastąpił okres poszukiwania własnej tożsamości. W późniejszej rozmowie powie: „Nie wystarczy się Żydem urodzić, trzeba się jeszcze nim stać”<sup>8</sup>.

Zaznaczał, że Żydzi dlatego są osobnym narodem, że mają własną historię, z której nikt ich nie może wykreślić, a najważniejsze znaczenie w tej historii, zwłaszcza najnowszej, ma Holocaust. W eseju *Ludzie Żydom zgotowali ten los* Grynberg domagał się pamiętania o szczególnym losie Żydów, których zagłada nie miała nic wspólnego z prowadzeniem wojny. Spierał się z politykami (m.in. z Carterem), z pisarzami (m.in. z Czesławem Miłoszem), także z papieżem Janem Pawłem II; w ich wypowiedziach dostrzegł zacieranie różnicy między innymi zbrodniami hitlerowskimi a totalną zagładą Żydów. Między obozami koncentracyjnymi a obozami zagłady, które były tylko dla Żydów:

Zawsze próbowano mordować Żydów, ale nigdy jeszcze wszystkich Żydów. Na tym polega hoło-caust i znaczenie, jakie wskazuje wyraźnie morfologia tego wyrazu. Nie chodzi o liczby, rozmiary, lecz o wymiary, o zasięg, o jakość i rangę tej zbrodni<sup>9</sup>.

Potwierdzanie swej tożsamości zaprowadziło Grynberga do Teatru Żydowskiego: „Żeby być Żydem i już [...]. Jeśli nie ja zostałbym żydowskim aktorem, to kto? Kto próbowałby przywrócić moich zmarłych do życia?”<sup>10</sup>.

Opowiadania z tomu *Ojczyzna*, do którego włączył kilka wczesnych utworów z tomu *Ekipa Antygona* traktował jako dokument z lat 1960–1970. W miejsce uprzednio fikcyjnych wprowadził autentyczne nazwy i imiona. „Ich temat – tożsamość, przynależność,

<sup>5</sup> Henryk Grynberg, *Dziedzictwo*, Londyn 1993, s. 88. Do tego przeżycia, ujmując je w formie zbeletryzowanej i dialogowej, powrócił też w opowiadaniu *Hamlet*.

<sup>6</sup> *Życie nie kończy się...*

<sup>7</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, Berlin 1984, s. 91.

<sup>8</sup> *Życie nie kończy się...*

<sup>9</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, s. 70.

<sup>10</sup> Tamże, s. 6 i 7.

ojczyzna, alienacja – biegnie po sinusoidach i cosinusoidach wygnania – powrotu – wygnania”<sup>11</sup>.

Grynberg przedstawia słoneczne, sielankowe dzieciństwo otoczonego miłością żydowskiego chłopca. Jego oczami jest oglądany świat przedstawiony. Nie jest on świadom symptomów zbliżającej się grozy odczytywanych przez dorosłych.

Bohater *Pelnomocnictwa* powraca po latach do rodzinnej wsi. Odnajduje znany mu zapach, drogę, którą, przechodząc koło niewielkiej bożnicy, nosił tańs swemu dziadkowi.

Miałem więc kiedyś Dziadka, który miał brodę z białego jedwabiu. Miałem ojca i dwóch dziadków, i dwie nie wyglądające staro babcie. Moje ciotki miały grube czarne warkocze. Nosiły mnie na rękach, a ja zabawiałem się ich warkoczami. Uwielbiały mnie za to, że zostały ciotkami<sup>12</sup>.

Świadomość straty dziadka pojawi się w opowiadaniu *Wujek Morris ze Szkiców rodzinnych*. Na widok zniecierpliwionej wnuczki nie dość grzecznej wobec swego dziadka narrator myśli: „Zdawało mi się, że mnie nigdy nie zabrakłoby cierpliwości, gdybym miał ojca lub dziadka, który wtrącałby się, korygował, pouczał”<sup>13</sup>.

Po wszystkich najbliższych zostały „odciski palców na ścianach komór gazowych”, zostały wypełnione zbiorowe groby. Im przypisywał swoje ocalenie: „skierowali na siebie oczodoły luf, ażeby odwrócić uwagę ode mnie, żeby nie starczyło miejsca ani wolnej chwili. Miałem tylko sześć lat i można było mnie nie zauważyć”<sup>14</sup>.

Poprzez takie doświadczenia, przeżycia, wspomnienia wypełniające pamięć prowadzi droga do krystalizowania się tożsamości bohatera – narratora-autora, który mówi w rozmowie ze Stanisławem Beresiem: „Być Żydem, to znaczy nie ustępować przed przemożnymi siłami. Ani przed poganami, ani przed filistynami, ani przed antysemitami. Ani przed trywialnością. Nawet własną”<sup>15</sup>.

Tożsamość dziecka Holocaustu określała się również wobec Żydów, którzy go oświście nie przeżyli. I pojmowali inaczej jego znaczenie. Ocalałych z zagłady pytano: „Dlaczego nie wyjechali? Na co czekali? Szkoda im było sklepików? Dlaczego się nie bronili? Dlaczego się nie rzucali na oprawców? Dlaczego się dali”<sup>16</sup>. W telewizyjnej rozmowie rabin stwierdzał z patosem: *The Holocaust was a gift for the world*. Na pytanie: *Rabbi, why Holocaust?* słuchacze usłyszeli odpowiedź: *Well, they didn't observe the shabbat*<sup>17</sup>.

W Izraelu lepiej było unikać macierzystego jidysz, bo był on językiem Żydów, których Izrael się wstydził: „Jak można było tak się dać wymordować? – Trzeba było walczyć, nożami, tasakami, pazurami! – Mydełka! – tak nas przezywano, więc mama jak szła do sklepu, to mówiła po niemiecku”<sup>18</sup>.

<sup>11</sup> Henryk Grynberg, *Ojczyzna*, Warszawa 1999, s. 237.

<sup>12</sup> Tamże, s. 120.

<sup>13</sup> Henryk Grynberg, *Szkice rodzinne*, Warszawa 1990, s. 7.

<sup>14</sup> Henryk Grynberg, *Ojczyzna*, s. 121.

<sup>15</sup> *Jeżeli nie ja, to kto?*, rozmowa Stanisława Beresia z Henrykiem Grynbergiem, „Magazyn z Książkami”, dodatek do „Gazety Wyborczej” 20 IX 2001.

<sup>16</sup> Henryk Grynberg, *Drohobycz, Drohobycz*, Warszawa 1997, s. 215.

<sup>17</sup> Tamże, s. 184.

<sup>18</sup> Henryk Grynberg, *Uchodźcy*, Warszawa 2004, s. 11.



\* \* \*

„Jeśli nie ja, to kto?” – te słowa lub myśl w nich zawarta wielokrotnie powracają w esejach i wywiadach Henryka Grynberga. Wyraża się w nich poczucie misji, do której pisarz został powołany i której musi być wierny do końca. Podejmowanie tematyki Holocaustu uznał za swój »psi obowiązek«<sup>19</sup>.

Wie, że jest jednym z ostatnich świadków w najgorszej sprawie, w której musi składać zeznania, a jest nimi jego twórczość literacka<sup>20</sup>. Literatura jest walką o pamięć, rezultatem wysiłku skierowanego na uratowanie tego, co się zapamiętało. „A moja literatura jest właśnie z bólu. To jest mój znak tożsamości”<sup>21</sup>.

Poczuciu szczególnego powołania towarzyszy świadomość dokładnej pamięci. Toteż sceptycznie odniósł się do *Czarnych sezonów* Michała Głowińskiego, który dopiero po pięćdziesięciu latach, gdy okoliczności szczególnie temu sprzyjały, „wyszedł z szafy”, obwieścił swą żydowską przeszłość, „bijąc smutny rekord Krystyny Żywulskiej, która uczyniła to po dwudziestu”<sup>22</sup>. W *Czarnych sezonach* znajdował rzeczy wtórne w stosunku do wcześniejszych wspomnień i pamiętników, oraz – co gorsza – zapełnianie luk pamięciowych snuciem domysłów; nadmierne używanie komentarzy mało oryginalnych, a nawet błędnych.

Zygmuntowi Baumanowi, który lata Holocaustu przeżył w Związku Radzieckim i pisał o bierności Żydów, Grynberg zarzucał nie tylko brak niezbędnego do podejmowania takich problemów osobistego doświadczenia, ale i nieznamość rzeczy. Reagował krytycznie na każdy fałszywy ton, na brak autentyczności. Z szacunkiem natomiast, uwagą i zrozumieniem przyjmował literackie świadectwa Holocaustu wyróżniające się autentycznością: prozę Idy Fink, Miriam Akavii, Jadwigi Maurer, Bogdana Wojdowskiego.

Różnicę między sobą a innymi pisarzami polskimi tak ujmował: „Ja zdaję sobie sprawę z tego, co było największą tragedią na polskiej ziemi, a inni wciąż jeszcze nie”<sup>23</sup>.

Henryk Grynberg jest przekonany, że nie ma ważniejszego tematu niż Holocaust, bo na polskiej ziemi, a może i na całym świecie nie było większej zbrodni i większej tragedii niż zagłada Żydów. Protestował przeciw mówieniu o „zbrodni przeciw ludzkości”, gdy ma się na myśli zagładę Żydów. „Dokonano wiele zbrodni przeciwko ludzkości, ale zagłada Żydów była zbrodnią przeciwko Żydom, a nie przeciw ludzkości, która bardzo słabo utożsamiała się z nimi wtedy, gdy ich mordowano”<sup>24</sup>.

Wrażliwy na wszelkie przejawy antysemityzmu, nieustannie do tej kwestii powraca. Prowadzi swoje z nim porachunki z myślą zarówno o historii, jak i o czasach współczesnych. W licznych dygresjach w książkach *Drohobycz*, *Drohobycz* i *Memorbuch* informuje o położeniu Żydów w dawniejszej i niedawnej Polsce, pamiętając o nierównym dialogu między światem chrześcijańskim, w szczególności katolickim w Polsce, a światem żydowskim; o poczuciu wyższości w postawie przedstawicieli Kościoła.

<sup>19</sup> *Życie zdeprawowane*, z Henrykiem Grynbergiem rozmawia Krzysztof Masłoń, „Plus-Minus”, dodatek do „Rzeczpospolitej” 14–15 XI 1998.

<sup>20</sup> Por. Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, Warszawa 1993, wyd. III, s. 295.

<sup>21</sup> *Życie nie kończy się...*

<sup>22</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, s. 272.

<sup>23</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, Wołowiec 2002, s. 273–274.

<sup>24</sup> *Jeżeli nie ja, to kto?*

Żywo reagujący na polski antysemityzm i poświęcający mu dużo uwagi Grynberg jednak nie dołączył do tych pisarzy tworzących po 1968 roku, którzy kosztem Polaków pomniejszali odpowiedzialność Niemców za poczynione zbrodnie<sup>25</sup>. Miał prawo napisać: „Nie zrzucam hitlerowskiej winy na Polaków ani na Żydów”<sup>26</sup>. Nie ułatwiło mu to publikowania książek w zachodnich wydawnictwach podatnych na aktualne oczekiwania polityczne, a mniej zainteresowanych rzetelnym przedstawieniem prawdy o Holocauście. Grynberg oświadczył: „Ja pierwszy przeciwstawiłem się twierdzeniom, że Holocaust nastąpił w Polsce, bo znaleziono tam odpowiednie antysemickie otoczenie. [...] Po prostu w Polsce znajdowało się najwięcej skazanych, a sprawił to przypadek historyczny”. Wskazywał na antysemityzm Austriaków, Rumunów, Ukraińców, Litwinów, Łotyszów, Chorwatów, Słowaków, Rosjan, Francuzów. „Piętnowanie w tym wypadku Polaków przypomina do złudzenia irracjonalne, antysemickie piętnowanie Żydów”<sup>27</sup>.

Przed wyjazdem z Polski rozpoczął „polsko-żydowską epopeę”<sup>28</sup>, której pierwsza część, *Żydowska wojna*, ukazała się w Warszawie w 1965 roku. Gwałtownie wówczas atakowana za jednostronność była poprzedzona deklaracją:

Zwolennikom przedawnienia. Zastanawia mnie i przeraża cena życia. Dlatego muszę powrócić do sprawy nieuniknionego losu mojego ojca i nieprawdopodobnej wytrwałości samotnej w swojej walce kobiety, mojej matki. Muszę to zrobić teraz, kiedy tak łatwo, choć znów niebezpiecznie jest żyć<sup>29</sup>.

*Żydowska wojna* jest wstrząsającą, ale powściągliwie, z umiarem przedstawioną opowieścią o losie polskich żydów w latach drugiej wojny światowej. O ich samotnej walce o przetrwanie, o nadludzkich wysiłkach żydowskiej matki ocalającej swe dziecko. Jest w tej powieści istotna niekonsekwencja. We wstrząsającej relacji są momenty, z których wynika, że żydowskie dziecko i jego bohaterska matka, która ratuje siebie i syna, znajdują decydującą o ich przetrwaniu pomoc ze strony Polaków. Autor jednak sugestywniej pokazuje szmalcowników i materialne motywacje przychodzących z pomocą. A Niemcy są prawie nieobecni. Toteż zasługuje na uwagę później zaznaczona korekta do tego obrazu. Po latach Grynberg dowiedział się dodatkowych szczegółów o gospodarzu, który bezinteresownie udzielił schronienia jego rodzinie i nawet polecał, by przysłano do niego Żydów potrzebujących pomocy. Przyznawał więc:

Żałuję, że tego autentyku nie znalazłem, kiedy pisałem *Żydowską wojnę*. Jakże piękna prawda artystyczna może się kryć w takiej postaci: człowiek o silnym charakterze, któremu chodziło nie tylko o ratowanie niewinnych ludzi skazanych na zagładę, lecz także własnej duszy; o przeciwstawienie się złu; o opór moralny wobec wroga; akt odwagi niezbędny człowiekowi dla podtrzymania swej godności, szacunku do siebie samego<sup>30</sup>.

W zestawieniu z *Żydowską wojną*, *Zwycięstwem* i pierwszym, wydanym na emigracji zbiorem wierszy *Antynostalgia*, a także w porównaniu z twórczością o podobnej te-

<sup>25</sup> Pisałem o tym w szkicu *Tematy żydowskie*. Zob. Marian Stępień, *Dalekie drogi literatury polskiej. Szkice o literaturze emigracyjnej*, Kraków 1989, s. 11–154.

<sup>26</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*.

<sup>27</sup> Tamże, s. 48.

<sup>28</sup> Tak nazywał swój pięcioksiąż: *Żydowska wojna, Zwycięstwo, Życie ideologiczne, Życie osobiste, Życie codzienne i artystyczne*.

<sup>29</sup> Henryk Grynberg, *Żydowska wojna*, Warszawa 1965, s. 5.

<sup>30</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, s. 10.

matyce z lat siedemdziesiątych innych autorów, zwraca uwagę, jako ślad znamiennej ewolucji i korygowania poglądów, fragment powieści *Kadisz*, w której zarysowuje się napięcie między narratorem wyrażającym stanowisko autora a jego ojczymem, na tle oceny postępowania Polaków wobec Żydów:

– Mojego szwagra zabił Polak, u którego się ukrywał – powiedział wdowiec, rzucając mi krótkie spojrzenie z ukosa.

Moja żona opuściła głowę.

– Mojej matce Polacy pomogli przeżyć – powiedziałem.

– A kto zabił twój własny ojca?! – zawołał wdowiec.

– Zabił go bandyta! – odpowiedziałem z naciskiem<sup>31</sup>.

Dalszy rozdział z dziejów polskich Żydów opisał Grynberg w powieści *Zwycięstwo*<sup>32</sup>. Przedstawił w niej tragiczne losy nielicznych ocalałych z hitlerowskiego pogromu Żydów w pierwszych latach powojennej Polski. Wypadki w Kielcach, a także na krakowskim Kazimierzu pozostaną haniebną plamą. *Zwycięstwo* – powieść o sarkastycznym tytule – pokazuje ten klimat od strony Żydów, którzy cudem uniknęli śmierci z rąk hitlerowców. Eugenio Reale pisał wtedy w swych raportach dyplomatycznych:

Wydaje się, że akty gwałtu na Żydach [...] są wynikiem ogólnego nieładu politycznego, społecznego i gospodarczego, w jakim znalazła się Polska po wojnie. Zbrodni popełnionych na Żydach nie można więc przypisywać w całości albo reakcji, albo antysemityzmowi, lecz raczej wspólnie obu tym przyczynom, do których dochodzą inne, jak na przykład ogólne rozpowszechnienie się przestępczości<sup>33</sup>.

Henryk Grynberg zdecydował się pozostać w Stanach Zjednoczonych w 1967 roku, kiedy znalazł się tam z Teatrem Żydowskim. Uprzedził marzec 1968 roku, ale symptomy, które do niego prowadziły, mógł już obserwować. Los mu oszczędził bezpośrednio przeżywania antysemickiej fali w Polsce.

Wyjeżdżał z Polski, wiedząc, że pozostanie za granicą, bez żalu. Pierwszemu opublikowanemu tam zbiorowi wierszy dał tytuł *Antynostalgia*, który brzmi jak bluźniercze wyzwanie pod adresem emigracyjnego losu, jaki zdecydował się przyjąć. W wierszu tytułowym składa ironiczne podziękowanie polskim antysemitom (wymienionym po nazwisku) za to, że dzięki nim nie będzie cierpiał nostalgii na obcej ziemi.

A jednak... Chociaż po latach potwierdzi słuszność swej decyzji i powie: „tego, że pod koniec 1967 roku zostałem uchodźcą, nigdy nie żałowałem i nie żałuję”<sup>34</sup>, w jego utworach będą się pojawiać i pogłębiać nostalgiczne powroty do ojczystego pejzażu, mimo (a może właśnie dlatego) że nierozzerwalnie zawsze będą z nim związane tragiczne wspomnienia.

Na ojczysty pejzaż Grynberga składały się sylwetki chłopów, dziedziców, fernali, zwierząt domowych; widoki wytartych schodków w żydowskich sklepikach, mosiężnych i srebrnych lichtarzy, polski sielski krajobraz, nad którym rozpościerało się „biało-

<sup>31</sup> Henryk Grynberg, *Kadisz*, Kraków 1987, s. 93.

<sup>32</sup> Paryż 1969.

<sup>33</sup> Eugenio Reale, *Raporty. Polska 1945–1946*, przełożył z włoskiego Paweł Zdziechowski, Paryż 1968, s. 198.

<sup>34</sup> Henryk Grynberg, *Wróciłem. Wiersze wybrane z lat 1964–1989*, Warszawa 1991, s. 149.

blekitne, żydowskie niebo”<sup>35</sup>. Przypominają się słowa Szaloma Asza: „Do mnie Wisła szumi po żydowsku”<sup>36</sup>.

Narrator prozy Grynberga, podmiot liryczny jego wierszy, a także on sam wyłamuje się ze stereotypu polskiego Żyda wywodzącego się ze środowisk mieszczańskich, tęskniącego do dzielnic i uliczek polskich miast i miasteczek. Ojciec pisarza był dzierżawcą ziemi, którą uprawiał i na której hodował wiejski inwentarz. Bohaterowie utworów Grynberga wracają w marzeniach do świata polskiej wsi. Porównują do niego realia rzeczywistości, wśród których przychodzi im żyć na emigracji w Stanach Zjednoczonych. Narrator powieści *Kadisz*, chcąc sprawić przyjemność śmiertelnie chorej matce, zawozi ją na kalifornijską wieś, „Na farmę z kurami, kaczkami i gęśmi jak kiedyś w Radoszynie, z owcami i kozami jak w Dobrem [...]. Rozległe trawniki pachniały jak łąki naszej przeszłości”<sup>37</sup>.

Żle wspominał spędzone w Polsce lata powojenne. W szkole był poddawany indoktrynacji ideologicznej, próbowano zrobić z niego janczara, ale stawiał opór. Do całkowitego zerwania z ideologią komunistyczną, do pozbycia się iluzji doszło rok po przełomie październikowym, kiedy to jesienią 1957 roku w Warszawie rozpedzono studentów upominających się o „Po prostu”.

Echa tych wydarzeń znalazły się w powieści *Kadisz*, we fragmencie, który został skreślony przez cenzurę, gdy fragment utworu drukował „Tygodnik Powszechny”. Była w nim mowa o śladach pobicia studenta przez milicjanta<sup>38</sup>.

Miał z Polską Ludową własne porachunki. Z okazji jej dwudziestopięciolecia napisał szyderczy, sarkastyczny i gorzki wiersz *Święto nad Wisłą*. Ale zakończył go wyznaniem przywiązania i wierności wobec kraju, z którego wyszedł, wobec kultury, którą chłonał, i wobec języka, którym nauczył się poznawać świat, myśleć o nim, nazywać go i opisywać:

Kraju klęski  
podziwiam cię twoją rzekopłynną mową  
wolę życia przekorną utysiąckrotnioną  
ja też żyję tylko na przekór moim wrogom  
z miłości niezdrowej już mnie wytrzebiono  
i nie twoim piachem pościelą mi głowę  
ja nawet w grobie  
nie przestanę mówić wierszami o tobie<sup>39</sup>.

Nie komunizm był powodem opuszczenia kraju. Grynberg zapewniał, że skoro tylu pisarzy go wytrzymało, wytrzymałby i on. Jego wypędzał z Polski antysemityzm. Dziecku Holocaustu nasuwał on skojarzenia najgorsze, straszył powrotem do przeżytego koszmaru. „Po tym, co pamiętałem z dzieciństwa, czułem, że to ponad moje siły, że drugi raz już czegoś takiego nie przetrzymam”<sup>40</sup>.

Jako pisarz szczególnie dotkliwie odbierał ślady antysemityzmu w praktykach cenzury. Z jego drukowanego w „Twórczości” opowiadania usunięto fragment o nocnym

<sup>35</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, s. 8.

<sup>36</sup> Mówi o tym Jan Lechoń w *Dzienniku*, t. I, Londyn 1967, s. 71.

<sup>37</sup> Henryk Grynberg, *Kadisz*, s. 52.

<sup>38</sup> Tamże, s. 16.

<sup>39</sup> Henryk Grynberg, *Wróciłem...*, s. 42.

<sup>40</sup> Henryk Grynberg, *Uchodźcy*, s. 124.

napadzie na żydowską rodzinę w Dobrem, zimą 1945 roku. We wspomnieniu o obozie koncentracyjnym skreślono przytoczone odezwania antysemitki. „Cięcia cenzury wyraźnie wskazywały, że nie pozwolą mi być prawdziwym pisarzem”<sup>41</sup>. Postanowił więc opuścić Polskę przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Najwyższymi trybunałami, przed którymi Henryk Grynberg czuje się odpowiedzialny za to, co zrobił ze swoim życiem, przed którymi doznaje lęku, czy zdąży się ze wszystkiego wytłumaczyć, są: jerozolimski duch, betlejemka droga, czarnoleska mowa. Na język niemetaforycznej prozy autor tak to przekłada:

Mam bardzo silną żydowską tożsamość ocalańca [...]. W Jerozolimie, pod ocalałą ścianą świątyni, przysięgałem wierność pamięci ofiar zagłady. Pod tą samą ścianą jako ochotnik Armii Izraelskiej ślubowałem wierność narodowi żydowskiemu. [...] Było to ślubowanie narodowi, a nie żadnemu państwu, i dlatego nie koliduje ono z lojalnością wobec żadnego kraju [...]. Polakom i kulturze polskiej mam do zaoferowania swój talent. Moje utwory są dowodem wierności tej kulturze. Staram się zaszcześcić jej trochę żydowskiego ducha [...]. Wszystkie moje książki adresowane są przede wszystkim do Polaków, dlatego jestem pisarzem polskim<sup>42</sup>.

W latach 1975–1980 Grynberg opublikował trzy powieści: *Życie ideologiczne*<sup>43</sup>, *Życie osobiste*<sup>44</sup> i *Życie codzienne i artystyczne*<sup>45</sup>. W trylogii tej dokonywał rozrachunku z okresem, który spędził w Polsce. Jej pierwsza część miała być „biografią pokolenia wyrosłego w stalinowskiej szkole i rozrachunkiem z tą szkołą z punktu widzenia zawłości polskiego i żydowskiego losu”<sup>46</sup>.

Bohaterem powieści jest młody Żyd, uczęszczający zrazu do żydowskiej, później do polskiej szkoły, obracający się w pobliżu aktywistów i aktywistek ZMP. Powieść jest utworem satyrycznym, zwróconym przeciwko szkole z początku lat pięćdziesiątych (motto powieści: „Szkoło, szkoło, gdy cię wspominam, ogarnia mnie przerażenie...”), a także – ogólniej – przeciw systemowi politycznemu, który tę szkołę powołał do życia, by go wspierała. Paradoksalnie – powieść ta jest zwrócona także przeciwko Żydom, którzy odgrywali wówczas w Polsce znaczną rolę. „Pułkownik Knopf był to wysoki, suchy żołdak i w przeciwieństwie do innych Żydów w wojsku nie politruk, lecz prawdziwy oficer [...]. Pułkownik serdecznie mnie nienawidził. Właśnie dlatego, że obaj byliśmy Żydami”<sup>47</sup>. Nieco później myśl ta znajdzie takie sformułowanie: „Naiwni Polacy myślą, że Żyd na Żyda nie donosi i że Żydowi jest lżej, kiedy w bezpiecu natrafi na Żyda. Nikt nie potrafi tak skutecznie donieść na Żyda jak inny Żyd i nikt nie potrafi tak rozpracować Żyda, jak żydowski ubek”<sup>48</sup>.

Szyderczy ton jest skierowany również przeciw profesorom wyższych uczelni z 1956 roku. Do niedawna wykładali o wyższości i niezawodności socjalistycznego systemu gospodarczego, a nagle pewnego dnia przyszli z pikantnymi rewelacjami, zachęcali do szczerych wypowiedzi, które w późniejszych publikacjach podawali jako własne.

<sup>41</sup> Tamże, s. 123–124.

<sup>42</sup> Henryk Grynberg, *Wróciłem...*, s. 148.

<sup>43</sup> Londyn 1975.

<sup>44</sup> Londyn 1979.

<sup>45</sup> Paryż 1980.

<sup>46</sup> Henryk Grynberg, *Życie ideologiczne*, Londyn 1975, s. 5.

<sup>47</sup> Tamże, s. 85.

<sup>48</sup> Henryk Grynberg, *Życie osobiste*, Londyn 1979, s. 40.

Powieść jest stylowo niejednolita. Dominują partie satyryczne, które jednak ustępują bezpośredniej, utrzymanej w tonie powagi refleksji tam, gdzie mówi się o samopoczuciu Żydów w Polsce Ludowej i wspomina ich los w czasie wojny. Pamięć o nim nakazuje wyobrazić sobie wszystkie szczegóły z okoliczności ich śmierci. Jest to pamięć i wyobraźnia dokładna i bezlitosna. Narrator zwiedza znajdujące się na ziemiach zachodnich uporządkowane cmentarze, gdzie leżeli długowieczni – jak wynikało z napisów nagrobnych – Niemcy, spokojni o trwałość swych rodzin. Porównuje ich śmierć ze śmiercią jego dziadków i babek, którzy byli rówieśnikami spoczywających w grobach Niemców. Umierali nago w zatłoczonej komorze Treblinki, nawet bez nadziei grobu. Rozbierali się, jak im kazano, stawali w rodzinnych grupach i całowali się na pożegnanie, czekając na swoją kolej. „W ten sposób piątego października tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku umarli wszyscy Żydzi Dubna”<sup>49</sup>.

Kontynuacją *Życia ideologicznego* jest *Życie osobiste*. To powieść lepsza od poprzedniej. Jej bohater jest już o kilka lat starszy i współpracuje z Teatrem Żydowskim w Warszawie. Autor oddaje panujący w nim klimat, stosunki w zespole, codzienne komplikacje, kłopoty aktorów. Główny bohater nie może prowadzić ustabilizowanego, normalnego życia nie tylko z powodu złych warunków pracy w teatrze i braku mieszkania, lecz ze względu na stałą pamięć o tych, którzy poszli do gazu. Szczególnie w jesienny dzień Jom Kipur, największe żydowskie święto:

Człowiek zaczyna porównywać swą duszę z wszystkimi zagazowanymi duszami, które kołują mu nad głową (całymi rodzinami, pociągami, miastami) i wzepiają mu się we włosy. Spoglądamy wtedy mimo woli na mały kurek od gazu i pytamy: czy to jest naprawdę wszystko, co nas dzieli? A jeśli tak, to czy nie czas sprostować wreszcie tę pomyłkę, przez którą ja jestem tu, gdy oni wszyscy tam? Czy nie czas przekonać się, jak to naprawdę było? Jak miało być...<sup>50</sup>.

*Życie codzienne i artystyczne* różni się znacznie od dwóch poprzednich powieści. Rolę narratora pełni teraz dziewczyna, sierota, która utraciła podczas wojny ojca, a po wojnie – matkę i była wychowywana przez ukazaną w sympatycznym świetle babcię. Dziewczyna jest dzielna, realizuje swe zamiary, pracuje w teatrze, w balecie, zostaje aktorką. Ocala swą prostą, naturalną uczciwość. Spełniają się jej marzenia.

W powieści *Kadisz* Grynberg ukazał dalszy ciąg życia ocalałych z Holocaustu Żydów osiadłych w Stanach Zjednoczonych, przystosowujących się do panujących tam obyczajów, warunków pracy, stylu życia. Autor sięgnął po tematykę uniwersalną. Przedstawił procesy prowadzące do dekompozycji, rozpadu tradycyjnych, a bardzo ważnych wartości. Ukazał trywialność jako rozkładową siłę niszczącą wartości ludzkiego życia. Jej znakiem jest spór synów o spadek po śmierci matki. Pisanie tego utworu przychodziło autorowi z pewnym trudem. Dokonywał krytycznej analizy środowiska, o którym wolałby pisać inaczej. Przyznawał, że przy pisaniu *Kadiszu*, w którym przedstawiał rozkład życia ocalałych po Holocaustie musiał się zmagać z autocenzurą<sup>51</sup>.

W powieściach utrzymanych w pierwszoosobowej narracji Grynberg wprowadzał elementy autobiograficzne, ale nie czynił z siebie głównego bohatera. W *Żydowskiej wojnie* bohaterami byli jego rodzice, w *Kadiszu* – matka i ojczym. W *Życiu codziennym i artystycznym* rzeczywistość polska jest przedstawiona z pozycji młodej dziewczyny,

<sup>49</sup> Henryk Grynberg, *Życie ideologiczne*, s. 88–89.

<sup>50</sup> Henryk Grynberg, *Życie osobiste*, s. 15.

<sup>51</sup> Henryk Grynberg, *Życie ideologiczne*, s. 111.

sieroty, katoliczki. *Uchodźcy*, których narrator jest autoportretem autora, są w zamierzeniu pisarza powieścią pokoleniową. Najbardziej wpływową postacią jest Marek Hłasko, rozczarowującym przeżyciem – likwidacja „Po prostu”. To generacja wcześniej dojrzała wskutek doświadczeń z lat wojny, w pisaniu uprawiająca twarde, „męski” styl Hemingwaya.

Wśród swych mistrzów Grynberg widział Tomasza Manna z jego „umiarem i równowagą”, Ernesta Hemingwaya z „małomównością i powściągliwością”, Izaaka Babla z jego „przemilczeniami, pauzami i kropkami jak wystrzały”, Zofię Nałkowską, bo w *Medalionach* zobaczył, „jak łatwo się obejść bez komentarza”, Tadeusza Borowskiego, który go nauczył, „jak panować nad własnym przerażeniem”. I żydowskich pisarzy – Mendele Mojcher-Sforim, Szolem Alejchem i Hirszbejn Perec pokazali mu „kondycję ludzką u najzwyczajniejszych, najbardziej bezbronnych, najbardziej potrzebujących obrony”<sup>52</sup>.

Rozwój sztuki literackiej, przemiany w sposobie pisania prowadziły Grynberga od fikcji literackiej (zawsze na podstawie autentycznych doświadczeń osobistych) ku dokumentowi, ku dawaniu świadectwa prawdzie o losach Żydów. Już w jego debiucie można zauważyć zapowiedź takich zainteresowań. *Ekipa Antygona* to historia „ze słuchu”, którą mu opowiedział kolega zatrudniony przy ekshumacji ofiar zbrodni hitlerowskich<sup>53</sup>.

Część opowiadań ze *Szkiców rodzinnych* to spisane przez autora relacje, usłyszane od kogoś, kto opowiadał o prawdziwych przeżyciach. W *Szkicu rodzinnym* Żydówka, która podczas okupacji była dzieckiem, opowiada o członkach swej rodziny wydanych Niemcom na śmierć przez szmalcowników. W *Szkicu węgierskim* Żydówka patrzy na swoje straszne przejścia z podwójnej perspektywy: dziecka i osoby dorosłej. Zapisem autentycznej opowieści jest *Bunt na Wołyniu*. Czasem ujawni się główny narrator-autor, który notuje relacje o prawdziwych przeżyciach. Zbiera je jak ważne dokumenty. Pragnie je utrwalić, póki nie znikną wraz z ludźmi – świadkami zdarzeń: „Nagle Aron przypomina mi, że w Kanadzie jest jeszcze syn Esterki i Niutka, Kahman. Muszę go odnaleźć. On prawie nic nie pamięta. Tym bardziej muszę go odnaleźć”<sup>54</sup>.

Dokumentem najbardziej wstrząsającym jest relacja o okolicznościach śmierci ojca autora i dociekanie, kto był jego mordercą, kto zadał mu śmiertelny cios siekierą. Szczególna pamięć łączy Grynberga z jego ojcem, który nie przeżył wojny. Został zamordowany. Ale nie przez Niemców – przez polskiego chłopca. Pamięć o tym zdarzeniu towarzyszy całej twórczości i życiu Henryka Grynberga. Pierwsza część *Żydowskiej wojny* ma tytuł *Ojciec*. Jest on tam ukazany przez pryzmat świadomości małego dziecka, które odbiera jego obecność, starania i troskę o rodzinę, potem zniknięcie z kręgu żyjących.

Pamięć o nim jest obecna w powieści pod gorzkim tytułem *Zwycięstwo*. Autor przedstawia w niej powrót nielicznych ocalałych Żydów do ich rodzinnego miasta. Spotyka ich wrogość i strach mieszkańców, którzy – pewni, że wszyscy Żydzi musieli zginąć – zagarnęli ich dobytek i domostwa. Ostatnie zdania tragicznej powieści mówią o ojcu:

Mój ojciec leżał w ziemi. Koło Radoszyny. Przy drodze. Trawa rośnie tam wyżej i ma wyraźnie odmienny kolor – a ludzie codziennie tamtędy przechodzą, z pola i na pole. I nikt nie miał odwagi powiedzieć – kto zabił. Ba, nikt nawet nie miał odwagi zapytać<sup>55</sup>.

W wierszu *Do dzieci* ta sytuacja zostaje przywołana słowami będącymi nawiązaniem do Mickiewiczowskich *Lili*:

<sup>52</sup> Tamże, s. 88–89.

<sup>53</sup> Henryk Grynberg, *Życie osobiste*, s. 40.

<sup>54</sup> Henryk Grynberg, *Szkice rodzinne*, s. 220.

<sup>55</sup> Henryk Grynberg, *Zwycięstwo*, Paryż 1969, s. 84.

gdzie trawa rośnie wysoko  
jak mój ojciec leży głęboko<sup>56</sup>.

Śladem ciągłej myśli o ściganiu, tropieniu mordercy jest *List gończy* z pierwszego zbioru wierszy *Święto kamienia*, wydane jeszcze w Warszawie w 1964 roku:

Jeśli spotkacie mordercę  
powiedzcie mu że go ścigam  
że dojrzałem już  
że już **jestem**  
że odnalazłem trop

Henryk Grynberg, podobnie jak narrator z jego powieści, powracał do stron rodzinnych, do okolic, gdzie zamordowano jego ojca. Dociekał, jak to się stało, kto mógł to zrobić i w jakich okolicznościach. To miejsce było dla bohatera, będącego *porte-parole* autora, ojczyzną:

Ojciec też nigdzie stąd nie odjechał. Leży tu niedaleko, przy jednym z tych pól. Myśleli, że miał w czapce złoto... A teraz już idę w kurzu tych pól, którymi on chodził, i wyglądam tak samo jak on – więc co się właściwie zmieniło? Gdybym przyjechał tu motocyklem, z małym synkiem na tylnym siodełku, ja jako ojciec, on jako ja – to mój ojciec się powtórzył, odrodził. Mój ojciec to jestem ja. Dzięki temu, że tutaj jestem. To się właśnie nazywa ojczyzna<sup>57</sup>.

Pisarz odwiedził Polskę w 1992 roku, udał się do rodzinnych miejsc. Powstał z tego zdarzenia dokumentalny film Pawła Łozińskiego *Miejsce urodzenia* emitowany przez Telewizję Polską 25 czerwca 1992 roku. Wypada go tu przypomnieć. Najlepiej słowami księdza Adama Bonieckiego:

Mężczyzna w okularach, w naciśniętej głęboko czapce i szarej kurtce z kapturem wpatruje się w rozkopaną ziemię. Zgrzyt łopaty kopiących i z gliniastej ziemi wyłania się kształt ludzkiej czaszki. Mężczyzna w kurtce mówi bardzo cicho i bardzo wyraźnie: „O mój Boże”. Schodzi do wykopu, delikatnie rękami odgarnia oblepiającą ludzkie szczątki ziemię. Henryk Grynberg odnalazł grób ojca [...].

Ale zanim odnalazł, szedł przez tę wieś, która była miejscem jego urodzenia, a potem była, jest świadkiem śmierci jego ojca. Grynberg idzie od domu do domu [...]. Staje w drzwiach, czasem nie wpuszczają go do domu, czasem zasiada w izbie. Pyta. Pamiętacie Abrama? Jakże nie mieliby pamiętać. Kiedy widzieliście go po raz ostatni? Przychodził tu? Czasem mówi, że on sam jest synem Abrama. Stara kobieta gorliwie się cieszy, że przynajmniej Heniu przeżył. Z wysiłkiem uśmiecha się, ale uśmiech nie może utrzymać się długo na jej twarzy. Więc już tylko mówi, mówi, wspomina, pojękuje, „jacy to są ludzie”. Znow się uśmiecha, a oczy nie są w stanie ukryć lęku. Ktoś zatrząskuje drzwiami: nie, nie będzie mówił o śmierci Abrama. Inni także nie chcą mówić.

Chytrze, uprzejmie, po chłopsku wymawiają się, że tyle czasu upłynęło, że kto tam wie, że ludzie różnie gadają. Grynberg pyta o swego małego brata. Słucha opowieści o dziecku oddanym na przechowanie, potem ze strachu porzuconym pod młynem. Owszem wzięli go, nakarmili, ale się bali. Zawiadomili sołtysa, sołtys posterunek żandarmerii. Żandarm zaprowadził dziecko w kął jakiegoś podwórza i zastrzelił. Pan to widział? – pyta Grynberg. – Panie, co miałem nie widzieć, myśmy czekali, co ten żandarm z dzieckiem zrobi. [...]

<sup>56</sup> Henryk Grynberg, *Wróciłem...*, s. 89.

<sup>57</sup> *Jeżeli nie ja, to kto?*



Grynberg wspomina: ziemianka, matka, ojciec. Ojciec zawsze ze sobą nosił butelkę. Potrafił krowę wydoić do butelki. Wtedy przynosił im ciepłe jeszcze mleko. Pamięta pan Abrama? Nie wie pan, jak zginął? Grynberg boryka się ze złą wiadomością. Ludzie o tamtej śmierci nie chcą mówić. A przecież jest coraz bliżej prawdy. Stara, chora kobieta (leży w łóżku) mówi o krowach. Ojciec oddał komuś na przechowanie krowy. Więc, żeby tych krów już nigdy nie oddawać... Ale kto? Padają jakieś nazwiska: ci, albo tamci, nie pamiętam... Wreszcie napis: „Henryk Grynberg trafił na świadka, który podał mu nazwisko zabójcy jego ojca. Ten fragment ze zrozumiałych względów z filmu wycięto”.

[...] Łopaty rozkopują zmarzłą ziemię. Zgrzyt. Człowiekowi w kurtce podają wydobyty z ziemi butelkę, on ociera ją z ziemi. Wydaje się, że wewnętrzne ścianki pokrywa białawy osad mleka. I za chwilę z ziemi wyłania się kształt czaszki. Grynberg z westchnieniem, bardzo cicho i bardzo wyraźnie mówi:

„O mój Boże”. I jeszcze przez moment wydobyte z ziemi kości, spojrzenie pustych oczodołów, otwarte w niemym krzyku usta. Las, śnieg. Henryk Grynberg z twarzą wtuloną w zgięte ramię, oparty o pień drzewa, czy o jakiś płot na tej samej ścieżce, na której wtedy idącego z butelką ojca, ukrywającego się Żyda, dopadli tamci z siekierą<sup>58</sup>.

Wielokrotnie nagradzany film Pawła Łozińskiego *Miejsce urodzenia* poprzedził literacki zapis zdarzenia<sup>59</sup>.

Grynberg w *Dziedzictwie* wykorzystał ścieżkę dźwiękową filmowego reportażu. Nie ingerując w nią własnym słowem, skomponował porażające w wymowie dzieło literatury faktu. Z wiernie zapisanej rozmowy wyłania się mentalność rozmówców. Powściągliwość autora jest zupełna, wszelki komentarz – zbyteczny.

W przytoczonych słowach chłopca, rzeczowych, konkretnych, obrazowych nie ma śladu poczucia grozy, śladu świadomości, co wypowiedziane słowa znaczą: „W Stanisławowie to rzucali małych żydziaków na ciężarówkę jak koty, jak psy”<sup>60</sup>. Na pytanie, co stało się z ojcem autora, pada odpowiedź: „Zatłukli gdzieś tam w lesie”<sup>61</sup>. O ujętej i wydanej Niemcom na śmierć dziewczynie żydowskiej: „A to zwyczajnie, złapał na drodze łobuz taki [...] no i zaprowadził do Dobrego na posterunek [...], bo Niemiec dał cukru tam coś, jak chto wydał. O byle coś sie zwibił i poszedł, wydał i w porządku”<sup>62</sup>. Autor dowiadyuje się też szczegółów losów swego braciszka. Sołtys kazał odwieźć go furmanką na policję. Policjant „piłeczkę tak mu rzucił, dzieciak poleciał, a on strzelił w niego i już...”<sup>63</sup>.

Pod koniec autor udziela sobie głosu:

Butelkę po ojcu owinąłem w tańce i przechowuję z odkopanymi okruchami ogniska domowego mojej babki [...]. Nie potrafię przebaczyć. Nie chcę. Nie czuję się upoważniony [...]. Uważam, że sprawiedliwe jest potępienie. Wieczne. Bez przedawnienia<sup>64</sup>.

Według Grynberga, najprawdziwszą epiką jest proza oparta na dokumentach. Tak nazwał *Dzieci Syjonu*. Na krytyczne uwagi o wybranej formie odpowiadał:

<sup>58</sup> Ks. Adam Boniecki, *Więcej niż film*, „Tygodnik Powszechny” 1992, nr 27.

<sup>59</sup> O tym, jak film powstawał, co ważnego do niego nie weszło, bo działo się poza kamerą, zob. Katarzyna Bielas, *Miejsce dochodzenia*, „Gazeta Wyborcza” 21 X 1993.

<sup>60</sup> Henryk Grynberg, *Dziedzictwo*, s. 7.

<sup>61</sup> Tamże, s. 8.

<sup>62</sup> Tamże, s. 23.

<sup>63</sup> Tamże, s. 25.

<sup>64</sup> Tamże, s. 90.

Niektórzy robią mi zarzuty, że marnuję talent, ale ja po prostu przechodzę od bardziej lirycznej literatury do bardziej epickiej. Kiedy byłem młody, miałem większą skłonność do fabularyzowania [...]. Chciałem być przede wszystkim powieściopisarzem, teraz coraz bardziej chcę być kronikarzem<sup>65</sup>.

Z fragmentów protokołów zapisywanych w 1943 roku podczas odbierania zeznań od dzieci żydowskich powstały *Dzieci Syjonu*. To były dzieci ewakuowane ze Związku Radzieckiego do Palestyny. Ich opowieści, zgromadzone przez polskie Centrum Informacji na Wschód, zostały przesłane jako „protokoły palestyńskie” do Londynu na ręce Stanisława Kota, ministra Informacji i Dokumentacji w Rządzie RP.

*Dzieci Syjonu* dołączają do takich książek o dziecięcej martyrologii wojennej, jak Melchiora Wańkowicza *Dzieje rodziny Korzeniewskich*, Ireny Wasilewskiej *Za winy niepopelnione*, Weroniki Hort (Hanki Ordonówny) *Tulacze dzieci*.

Henryk Grynberg zatrzymywał uwagę na relacjach dzieci żydowskich. Uznał je za w pełni wiarygodne, bo dzieci na ogół nie manipulują faktami. Większość z nich była w wieku 13–14 lat, ale były i młodsze.

Hanka Ordonówna przytaczała kolejne opowieści dziecięce, układała je w dialogi, uzupełniała szkicem sytuacyjnym. Grynberg postąpił inaczej. Jego wkład polegał tylko na „usprawnieniu narracji”, usunięciu urzędniczego stylu, w którym były utrzymane instrukcje przesłuchiwanie narzucające zbiurokratyzowany, sformalizowany język. Przeredagowywał więc wybrane zdania i akapity ze szczególną troską, by nie zniekształcać treści. Protokolarne zapisy przesłuchań uporządkował według kilku wybranych tematów. Obok siebie znalazły się więc wypowiedzi pochodzące od różnych dzieci, które doznawały podobnych przeżyć w tym samym czasie.

Grynberg uzupełniał obrazy zawarte w innych książkach opartych na dziecięcych relacjach o szczególne przeżycia dzieci żydowskich. Pojawieniu się Niemców w polskich miastach we wrześniu 1939 roku towarzyszyło prześladowanie i poniżanie Żydów, obcinanie i podpalanie ich bród, zmuszanie do tańca i śpiewu, zabijanie ich, rabowanie żydowskich sklepów, palenie synagog. A kiedy po gehennie przebywania w Związku Radzieckim pojawiła się nadzieja wyjścia z armią Andersa, na drodze do wolności stanął antysemityzm:

Ojciec jako szofer starał się dostać do polskiej armii, ale nie chciano go przyjąć, bo był Żydem. Mój starszy brat zgłosił się do polskiego wojska, lecz jako Żyda go nie przyjęto [...]. Chętnie brano Polki do oddziałów kobiecych, ale nie Żydówki<sup>66</sup>.

Notatki prowadzone w łódzkim getcie od stycznia 1941 do lipca 1944 roku, zamieszczone w „Biuletynie Kroniki Codziennej” i w „Tageskronik”, rozpisane na głosy, uzupełnione dłuższymi partiami przemówień prezesa, czyli stojącego na czele Rady Żydowskiej Chaima Rumkowskiego, posłużyły Grynbergowi do stworzenia *Kroniki* pomyślonej jako utwór sceniczny.

Kronikarskie fragmenty, odczytywane na przemian przez kobietę i mężczyznę, zawierają informacje o różnej rangi zdarzeniach w łódzkim getcie: o codziennym życiu, o walce o żywność, o pracy, o umieraniu z głodu i wyczerpania, o aktach samobójczych, o zastrzeleniu Żyda na ulicy.

<sup>65</sup> *Prawda, tylko prawda*, „Gazeta Wyborcza” 7 XI 1993.

<sup>66</sup> Henryk Grynberg, *Dzieci Syjonu*, Warszawa 1994, s. 126.

Getto jest jak miasto w stanie obłączenia. Przypomina się zadżumiony Oran Camusa, z tą istotną różnicą, że rzecz dzieje się naprawdę i że wszystko musi się skończyć nieuchronną katastrofą, zupełną zagładą, o czym mogą nie wiedzieć, w co mogą nie wierzyć, czego mogą nie chcieć przyjąć do wiadomości chwytający się każdego strzępu nadziei łódzcy Żydzi, ale o czym wie czytelnik *Kroniki* lub ewentualny widz jej teatralnej inscenizacji.

Surowa, oparta na autentycznym materiale *Kronika* nabiera wymiarów tragedii. W pozorną monotonię przekazów o racjach żywnościowych, zatrudnieniu, do którego jako do gwarancji przetrwania dużą wagę przywiązywał prezes Rumkowski, wkrada się coraz większe napięcie. Padają słowa o „ewakuacji”, bo zamknięci w getcie Żydzi, izolowani od reszty świata, nie wiedzą, w jakim celu i dokąd są wywożeni. „Ewakuacja” obejmująca kolejne grupy ludności wywołuje niepokój, nieokreślony strach, ale i jakąś nadzieję: niektórzy wolą się ludzić, że jest to wywózka na jakieś roboty dla Niemców.

A jednak „ewakuacja” dzieli życie w getcie na dwa okresy, którym odpowiadają dwie części utworu. Do czasu „ewakuacji” odbywały się koncerty, rewie, imprezy rozrywkowe; po wrześniu 1942 roku, kiedy to zaczęto „ewakuować” ludzi, nie było już odpowiedniego klimatu, urwało się życie kulturalne. Odchodzącym transportom towarzyszyło złudne samouspokojenie: „nie czeka ich żaden straszny los. Będą z całą pewnością zatrudnieni i po ludzku traktowani”<sup>67</sup>.

Rosnące tragiczne napięcie ma źródło w dokumentalnym tworzywie. Ale ono samo nie wystarczyłoby do powstania utworu literackiego, gdyby nie zostało odpowiednio wybrane i skomponowane.

Los musi się dopełnić. Pierścień śmierci zaciska się wokół łódzkiego getta, któremu na pewno nikt nie przyjdzie z pomocą. I nawet, co autor dopisuje już w *Epilogu*, zbliżający się front wschodni, budzący tyle nadziei, zatrzymał się na wiele miesięcy, co pozwoliło oprawcom na doprowadzenie zbrodni do końca.

Światem zamkniętego getta rządzi prezes; jego odezwy, polecenia, apele. Do momentu, gdy przestał już być Niemcom potrzebny, a nawet mógłby im przeszkadzać. W *Kronice* osoba prezesa jest niewidoczna, pozbawiona bliższej charakterystyki. Nie mówi się, jaki był jego koniec. Jednym z epilogów *Kroniki* może być fragment *Kupca łódzkiego* Adolfa Rudnickiego:

Jego słabość będzie równa pogardzie, jaką żywi dla tych, dla których rzekomo żył i pracował, o czym nadal bez przerwy krzyczał. Do samego końca będzie kładł podpis pod wszystko, co mu podsuną. Do samego końca unosić się będzie jego krzyk. Geniusz układu rzeczy! Geniusz biegu wypadków! Czy można by wymyślić piękniejszy koniec aniżeli ten, który nastąpił? Nim jego cesarstwo ulegnie całkowitej zagładzie, jego książę, jego przyjaciel, jego wspólnik, kupiec z Bremy Hans Bibow, wyśle go do Oświęcimia salonką doczepioną do wagonu towarowego. Salonką wjedzie Cesarz do pieca!<sup>68</sup>

Zbiorem dokumentów-relacji spisanych przez Grynberga jest książka *Drohobycz, Drohobycz*. („Mozoliłem się nad relacjami starzejących się ludzi, pisząc *Drohobycz, Drohobycz*”<sup>69</sup>. Takie pisanie jest dla niego „najprawdziwszą epiką”). Są to opowieści Żydów osiadłych w Stanach Zjednoczonych, przywołujących swe rodowody, z licznymi szczegółami o bliższej i dalszej rodzinie, z której nikt prawie nie przeżył Holocaustu.

<sup>67</sup> Henryk Grynberg, *Kronika*, Łódź 1994, s. 194.

<sup>68</sup> Adolf Rudnicki, *Kupiec łódzki. Niebieskie kartki*, Warszawa 1963, s. 51.

<sup>69</sup> Henryk Grynberg, *Drohobycz, Drohobycz*.

Mówią pośpiesznie, bez komentowania przypominanych faktów. Autor ich relacje uporządkował, nadał im literacką rangę i przyjął odpowiedzialność za treść i formę przekazu. Jego wkładem są dygresje o Polsce międzywojennej. Fragmenty wysłuchiwanych opowieści stają się czasem dla niego okazją do przywołania przedwrześniowych przejawów polskiego antysemityzmu.

Zdarza się, że daje się jednak uwieść własnej wyobraźni i wprowadza w opowieść jednej z kobiet sytuację, która nie mogła mieć miejsca: „Tam [we Władywostoku] widziała Brunona Jasińskiego, znanego polskiego komunistę. Przy płocie siedział, nie ruszał się, nie miał sił – dochodziaga [...]. Zorganizowała zbiórkę chleba, kobiety odłamywały po kawałku ze swego pajka, nie pomogło”<sup>70</sup>.

To rzekomo autentyczne spotkanie nie mogło się zdarzyć. Jest ono (czy tylko ono?) wytworem fantazji autora, wspartej na wiedzy o Brunonie Jasińskim zaczerpniętej z książek o tym pisarzu, w których podobnie opisywano miejsce i okoliczności jego śmierci. Nie miało to jednak nic wspólnego z prawdą. Według dokumentów z archiwum NKWD opublikowanych przez „Kartę” Bruno Jasiński w czasie, do którego odnosi się zanotowana przez Grynberga opowieść, nie żył już od kilku lat. Aresztowany 31 lipca 1937 roku, uwięziony w Butyrkach, Jasiński został skazany na śmierć i rozstrzelany w Moskwie 17 września 1938 roku<sup>71</sup>.

W rozmowie z roku 1998 Grynberg zapowiadał: „Pracuję nad powieścią przedstawiającą losy co najmniej dwóch rodzin na przestrzeni ponad 50 lat, bo rzecz zaczyna się jeszcze przed 1920 rokiem, a kończy około 1970”<sup>72</sup>. Tą powieścią okazał się *Memorbuch* oparty na materiałach pozostawionych przez Adama Bromberga, a przez jego córki przekazanych autorowi.

Wspomnienia Bromberga i nagrania jego rozmów były wszakże tylko surowcem, jak to określił Grynberg, służącym do otrzymania produktu, który jest jego dziełem. Rozwinął tło epickie, wprowadził własną interpretację, tworzył niekiedy wariacje na kanwie otrzymanego materiału. Wszystkie występujące w powieści postacie są autentyczne, ale to on, Grynberg, jest „autorem tekstu, kompozytorem narracji i malarzem wszystkich portretów”<sup>73</sup>.

Taka metoda pisania wywoływała dyskusje wśród krytyków. „Jak właściwie jest z autorstwem takich książek?” – pytał Stanisław Bereś. Grynberg odpowiadał:

Dla mnie jest to przede wszystkim obowiązek. Nie mógłbym z czystym sumieniem zajmować się czymś innym. Jeśli potrafię opowiedzieć historię życia i śmierci kogoś, kto nie może tego sam opowiedzieć, to nie mogę się od tego uchylić<sup>74</sup>.

Przyznawał, że dużo zawdzięcza Brombergowi, ale Bromberg jemu zawdzięcza jeszcze więcej. Takiemu pisaniu towarzyszy świadomość spełnionego obowiązku, realizowania misji, do której czuje się powołany.

Grynbergowi bardzo bliska była biografia Adama Bromberga. Sprawiał to los polskich Żydów, ich przeszłość historyczna, pamięć najtragiczniejszych wydarzeń XX wieku. Także szczególne zainteresowanie głośną swego czasu sprawą tak zwanych encyklopedystów w 1968 roku. W wydarzeniach z tego czasu Grynberg dopatrywał się ech

<sup>70</sup> Henryk Grynberg, *Dzieci Syjonu*, s. 126.

<sup>71</sup> Henryk Grynberg, *Kronika*, s. 194.

<sup>72</sup> *Życie zdeprawowane*.

<sup>73</sup> Henryk Grynberg, *Memorbuch*, Warszawa 2000, s. 6.

<sup>74</sup> *Jeśli nie ja, to kto?*

Holocaustu, potwierdzenia cyklicznego powtarzania się żydowskiej tragedii, sięgającej swymi początkami średniowiecza. Dlatego w *Memorbuchu* często zwracał się ku historii, nie tylko polskiej, przypominając prześladowania narodu żydowskiego. Dygresje historyczne rozsadzają strukturę *Memorbuchu*, który miał być biografią Bromberga. Szkodzą one formie dzieła, ale Grynberg zdaje się tego nie dostrzegać. W swoim postępowaniu widzi „nowoczesną metodę pisarską”<sup>75</sup>.

Także paradokmentalna, sygnowana dwoma nazwiskami autorów (Henryka Grynberga i Jana Kostańskiego), jest książka *Szmulglerzy*<sup>76</sup>. Grynberg sparafrazował, przekomponował wspomnienia Jana Kostańskiego, zawarte w książce *A Gentile in the Warsaw Getto* wydanej w 1998 roku. (Tytuł tej książki tłumaczy się: *Goj w warszawskim getcie*). Wykorzystał też nagrania magnetofonowe wspomnień tego autora przeznaczone dla Visual History Foundation Stevena Spielberga i dla Muzeum Holocaustu w Melbourne.

Grynberg we wspomnieniach Jana Kostańskiego znalazł coś, czego daremnie szukał w dotychczasowych nieżydowskich wspomnieniach. A mianowicie całkowite utożsamienie się polskiego chłopca z losem prześladowanych i mordowanych Żydów. Biografia Kostańskiego okazała się przykładem, jak Polacy i Żydzi mogą ze sobą żyć, „kiedy ludzie kierują się zwyczajnymi, ludzkimi uczuciami”<sup>77</sup>. Polski chłopiec, Jan Kostański, handlował, szmuglował żywność do getta, zarabiał i walczył o życie innych ludzi, narażając się wielokrotnie na śmierć. Groziło mu niebezpieczeństwo nie tylko ze strony Niemców, ale także polskich antysemitów. Dla Grynberga wojenne przeżycia bohatera *Szmulglerów* są przykładem całkowitego utożsamienia się polskiego chrześcijanina z losem eksterminowanego narodu<sup>78</sup>.

\* \* \*

W tomie *Wiersze z Ameryki*<sup>79</sup> zawierającym wiersze powstałe w latach 1972–1980 w Stanach Zjednoczonych, wraz z pogłębieniem się myśli, lepszym opanowaniem języka poetyckiego znikają porachunki publicystyczne. Trwała pamięć o losie Żydów kieruje się – niepokornie – ku Bogu. Z oskarżeniem:

Wierzę żeś bezbronny  
wierzę żeś bezradny  
i wierzę że nie mogłeś tego chcieć  
ale nie wierzę żeś niewinny  
bo kazałeś by Ci zaufano  
i nie mogę przebaczyć Ci  
Panie -----<sup>80</sup>

<sup>75</sup> *Życie zdeprawowane*.

<sup>76</sup> Warszawa 2001.

<sup>77</sup> Henryk Grynberg, Jan Kostański, *Szmulglerzy*, Warszawa 2001, s. 9.

<sup>78</sup> Zob. Piotr Bratkowski, *Człowiek, który został Żydem*, „Magazyn z Książkami”, dodatek do „Gazety Wyborczej” 20 IX 2001.

<sup>79</sup> Londyn 1980.

<sup>80</sup> Henryk Grynberg, *Wiersze z Ameryki*, Londyn 1980, s. 27.

W *Retorycznym pytaniu* z hamowanym sarkazmem stwierdza się, że skoro Bóg pozwolił zabijać Żydów za wszystko: za pejsy, za brody, za uległość – to czemu nie miałby pozwolić zabijać za naftę.

Emigracja nie przyniosła Grynbergowi rozwiązania trudnych problemów. Ameryka nie okazała się krajem wolnym od dolegliwości XX wieku. Zło ukazało swoje bardziej uniwersalne oblicze. Absurd życia i świata staje się teraz cechą ogólną, nie jedynie polskiego systemu:

Wiemy że to my właśnie jesteśmy robotami  
którym za dużo pozwolono –  
eksperymentem  
który wysunął się komuś z rąk<sup>81</sup>.

Powtarzają się ślubowania wierności zamordowanym:

zanim zapomnę Treblinę  
(maleńka miścina gdzie moja rodzina)  
niechaj uschnę w obelisk  
soli z żydowskich łez<sup>82</sup>.

Programowa antynostalgia z pierwszego emigracyjnego zbioru wierszy nie okaże się trwała. W *Wierszach z Ameryki* znika ona zupełnie, ustępuje tęsknocie za polskim pejzażem i polską tradycją:

ale wiosną szaleją tu radoszyńskie bzy  
piekące kaczeńce i mleczce  
i soczysta zieleń radoszyńskiego dzieciństwa<sup>83</sup>.

Henryk Grynberg jest polskim poetą. Wyrósł z tradycji Mickiewiczowskiej i czarnoleskiej. W niej było miejsce na ten świat, który jest mu najbliższy: świat żydowskiego losu. Mówił o sobie:

Moim tworzywem jest mój los, to, co przeżyłem w Polsce. A to znajduje wyraz tylko po polsku. Jest to los bardzo ciężki, ale jest mój i nie mogę od niego uciec, muszę się z nim pogodzić. W moim piśmarstwie dominuje kultura polska, pomimo silnej świadomości żydowskiej, jakiej daję wyraz [...]. Dla mnie być polskim pisarzem i polskim Żydem znaczy należeć zarówno do Polaków, jak i do Żydów. [...] sprawiać, żeby lepiej rozumieli jedni drugich i samych siebie<sup>84</sup>.

Zasłuchałem się w wierzbowej fujarce  
zapędziłem się boso po rosie  
zapatrzyłem się w czarnolesie  
zabłądziłem na amen  
po co mi ta polka mazurka  
ni do tańca ni do różańca  
dziwią się szumiaste strzechy

<sup>81</sup> Tamże, s. 24.

<sup>82</sup> Tamże, s. 28.

<sup>83</sup> Tamże, s. 59.

<sup>84</sup> Cytaty z: *Jeśli nie ja, to kto?* i z: *Przemówienie z okazji odebrania Nagrody Jana Karłowicza i Poli Nireńskiej*. „Przeгляд Polski” (Nowy Jork) 23 I 1997.

pod które wstęp wzbroniony  
i prorocy z nieba kiwają  
ciężkimi żydowskimi głowami  
że w czarnolesie im się zgubiłem  
na wieki wieków amen<sup>85</sup>.

Żyd z wierszy Grynberga dźwiga pamięć o losie swego narodu, nie przestaje wierzyć, że jego lud został przez Boga wybrany, ma świadomość wielkiego wysiłku i ofiar poniesionych w zmaganiu się z losem i – przy nadludzkich ofiarach – konieczności wytrwania. Ostatni, tragiczny rozdział z historii Żydów nauczył go przenikliwości myślenia, odarł z wszelkich złudzeń, uwolnił także od strachu. I przed dalszym losem, i przed Bogiem. Granica została przekroczona:

i choć świat jest ciągle tym samym  
chwiejącym się mostem  
my się już nie boimy  
nie mamy już siły się bać<sup>86</sup>.

Wiersze Grynberga to psalmy szczególnego rodzaju, jakich dotychczas nie było w polskiej literaturze. Wnoszą one nowy ton – zawierają skierowane do Boga żądanie dotrzymania zobowiązań:

Jesteśmy ofiarnym plemieniem  
na ofiarę przez Ciebie wybranym  
i nie możesz chyba narzekać  
że ofiaryśmy mało Ci dali  
ale teraz już Twoja kolej  
i Twoja odpowiedzialność<sup>87</sup>.

## Miriam Akavia

W posłowniu do drugiego, rozszerzonego wydania *Jesieni młodości* Miriam Akavia pisała o obecnych w niej dwóch tożsamościach, które – wbrew powszechnemu mniemaniu – nie wspierają się wzajemnie, lecz – w jej przekonaniu – ze sobą rywalizują. Jedna z nich to tożsamość osoby, która przeszła przez getto, obóz zagłady w Płaszowie, Oświęcimiu i w Bergen-Belsen. Druga – to tożsamość pisarki, która swoje doświadczenie, używając narzędzi sztuki literackiej, utrwala i przekazuje czytelnikom. Nie bez pewnego niezadowolonia stwierdzała: „Gdy ludzie dowiadują się, że byłam w getcie i obozach, przestają być dla nich jako pisarka. Mój wysiłek zmierzający do użycia literatury jako środka, jako narzędzia do przekazu – najważniejsza treść mojego życia – staje się drugorzędny”<sup>88</sup>.

Ta refleksja pisarki prowokuje do dwóch rodzajów komentarza. Po pierwsze – przeżycia dzieci Holocaustu są tak głębokie, tak wstrząsające, tak niewiarygodne, a prawdzi-

<sup>85</sup> Henryk Grynberg, *Wiersze z Ameryki*, s. 59.

<sup>86</sup> Tamże, s. 9.

<sup>87</sup> Tamże, s. 11.

<sup>88</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, Oświęcim 1996, s. 213.

we, że utwory wychodzące spod ich pióra nie mogą być uwolnione od dużego stopnia autobiografizmu. To wręcz naturalna, charakterystyczna czy wręcz gatunkowa, niezbywalna cecha tych literackich przekazów. Dotyczy to również – spośród prezentowanych w tej książce – utworów Idy Fink, Jadwigi Maurer i najwartościowszych książek Henryka Grynberga.

Nic więc dziwnego, że w wyobraźni poruszanej literacką kreacją Ani z *Jesieni młodości* i *Mojej winnicy*, Margot z *Cukiernicy Margot*, Wandy z *Jednego dnia powszedniego w naszym kraju* pojawia się postać samej autorki, która przeszła przez obozy zagłady (notabene zgodnie z jej wyznaniem: „Siedzę przed komputerem w moim słonecznym mieszkaniu w Tel Awiwie i piszę... o Ani. Ania to ja, dzisiejsza Miriam Akavia”<sup>89</sup>).

To przenikanie się wzajemne, opalizowanie wspomnianych dwóch tożsamości w tekstach Miriam Akavii jest naturalne i zrozumiałe, może wprost konieczne, nieuchronne. I nie ma w nim nic takiego, co miałoby (jak to można wyczytać w przytoczonej refleksji pisarki) się przyczyniać do pomniejszenia autorskiej satysfakcji. Przeciwnie – owe dwie tożsamości Miriam Akavii wspierają się wzajemnie, dopełniają i wspólnie składają się na wartości jej prozy literackiej mocno nasyconej autentyzmem.

I po drugie – przytoczona na wstępie refleksja autorki może ewentualnie się odnosić tylko do tej części jej twórczości, w której programowo wraca ona do osobistej biografii, jak na przykład w *Jesieni młodości*, w *Mojej winnicy* i w niektórych opowiadaniach z tomów *Cena* i *Urojenia*. Traci aktualność wobec tych jej utworów, w których przedstawia zaobserwowane sylwetki innych ludzi, sytuacje z życia w Izraelu. Mamy wówczas do czynienia z prozą przedmiotową, wysokiej rangi literackiej: opowiadanie – monolog starego, zmęczonego Żyda, skierowany do młodej dziewczyny, bo musi komuś to opowiedzieć, a ta dziewczyna przypomina mu jego córkę, która wraz z matką i siostrą nie przeżyły Holocaustu. Pozostają niezawinione wyrzuty, że nie umiał ich uratować (mowa o opowiadaniu o znamienym tytule *Życie i śmierć jednego z nas*). W tym kręgu świetnej prozy znajdują się między innymi opowiadania: *Tajemnica dwudziestu tysięcy*, *Czy schody pamiętają?*, *Nelly*, a przede wszystkim znakomite, jak z Izaaka Babla *Sześcioro ich było*.

Między zakończeniem wojny a ową słoneczną chwilą przy komputerze w Tel Awiwie minęło wiele lat milczenia. Najpierw było „wyzwolenie”. Słowo to autorka ujmuje w cudzysłów. Jest on sygnałem wielkiej goryczy na wspomnienie chwili i okoliczności uwolnienia przez aliantów więźniów niemieckiego obozu zagłady. To „wyzwolenie” przyszło za późno. Za późno skończyła się wojna, którą w dodatku właściwie wygrali Niemcy, a przegrała cała ludzkość. „Nie było się czym cieszyć. Dzień wyzwolenia zastał mnie w piekle”<sup>90</sup>.

„Ja sama leżałam wtedy na stosie konających ciał, a obok mnie moja siostra Lusja (Lea Shinar). Nasza mamusia też była tam z nami, ale już nie żyła. Dla niej za późno skończyła się wojna”<sup>91</sup>.

Powody wieloletniego milczenia były podobne, jak w wypadku Idy Fink i Jadwigi Maurer. Miriam Akavia podaje je pełniej i dokładniej.

Jest przekonana, że najodpowiedniejsza chwila do przekazania i zapisania świadectwa tego, co spotkało Żydów w latach drugiej wojny światowej, przepadła bezpowrotnie. Ona była zaraz po „wyzwoleniu”, ale wówczas nikt nie próbował uzyskać od ocala-

<sup>89</sup> Tamże, s. 12.

<sup>90</sup> Miriam Akavia, *Cena*, Wrocław 1992, s. 26.

<sup>91</sup> Miriam Akavia, *Urojenia*, Poznań 2000, s. 185.



łych cudem więźniów obozów zagłady, co mieli bardzo ważnego do przekazania. Pomoc – pisała autorka z wielką goryczą – nadeszła nie tyle dla uratowanych z obozu śmierci, ile dla Niemców, którzy czuli pokrzywdzenie, bo ich miasta były bombardowane. „Pracowali jak niewinne baranki i mówili, że nic nie wiedzieli o ludobójstwie, i że sami są ofiarami wojny”<sup>92</sup>.

Tę kwestię autorka wprowadzi też do opowiadania *Życie i śmierć jednego z nas*:

Zdegradowani Niemcy wykonują czarną robotę, powtarzając: *Wir haben nichts gewusst*. Chciałem wybuchnąć śmiechem, ale zabrakło mi sił. Jak to *nichts gewusst*? A gdzie się podziały te ogromne masy, które wykrzykiwały w ekstazie *Heil Hitler*, którym do domu bezpłatnie dostarczano jego dzieło *Mein Kampf*<sup>93</sup>.

Miriam Akavia żałowała, że wtedy

z niejasnych powodów (niezrozumienie? wstyd?) unikano mówienia o zagładzie, a my nie mieliśmy siły, by wskrzeszać ten temat [...]. Ale wewnątrz bolały niewyleczone rany. Bolało, że nie można o tym mówić, że nie ma z kim, że trzeba jakby wypierać się przeszłości<sup>94</sup>.

Było kilka powodów, które hamowały wybuch pisania. O jednym z nich wspomina Elie Wiesel we wstępie do *Jesieni młodości*: „Pamiętasz, Miriam? Po wojnie różni tacy próbowali i w Izraelu, i w Europie wydobyć to z Ciebie. Ale Ty, jak każdy z nas po przeżyciu piekła, odpowiadałaś z ciężkim zmęczeniem: »przecież i tak nikt nie zrozumie«”<sup>95</sup>.

Podobna myśl, w nieco innych okolicznościach, powtórzy się w opowiadaniu *Nelly*: „– Któż potrafi opowiedzieć wszystko? A zresztą nie trzeba. I tak ludzie nie potrafią zrozumieć”<sup>96</sup>.

Wolę pisania, wynikającą z głębokiej potrzeby przekazania świadectwa o losach Żydów, których się samemu osobiście doświadczyło, chęć podzielenia się z kimś własną niewyraźną tragedią paraliżował brak zrozumienia u rodaków, którzy czas zagłady przeżyli w Palestynie i do przybywających z Europy, cudem ocalałych z Holocaustu, zwracali się z pytaniami i uwagami, które mogły porazić.

Takie spotkania, będące ważnym, powtarzającym się motywem w tekstach Miriam Akavii, odnotowali też Jadwiga Maurer i Henryk Grynberg. Są one wprost niewiarygodne w świetle prawdziwych doświadczeń Żydów, którzy przeżyli Holocaust, jak również w odbiorze innych, nieżydowskich świadków okupacyjnej rzeczywistości. Oto, z jakimi pytaniami spotykali się ocaleni z zagłady, przybywający do Izraela:

„Jak mogliście pozwolić, żeby mordowano waszych ojców? My byśmy do tego nigdy nie dopuścili. Szliście jak barany na rzeź. Jak to się stało, że przeżyliście, skoro zabijano wszystkich? Pomagaliście Niemcom?”. [...] Takie pytania powodowały, że człowiek milczał, nie przyznawał się, że przeżył Zagładę w Europie<sup>97</sup>.

O tym, co działo się w Europie, *cabarim* (tu urodzeni) nie mieli pojęcia. Nie mogli, na ogół też nie chcieli wiedzieć. Niektórzy przez wywyższanie się (my byśmy nie szli

<sup>92</sup> Z wypisu komputerowego otrzymanego od Autorki pt. *Jestem starsza od moich rodziców*.

<sup>93</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 79–80.

<sup>94</sup> Miriam Akavia, *Urojenia*, s. 193.

<sup>95</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, s. 8.

<sup>96</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 210.

<sup>97</sup> *Uwolnić świat*, wywiad dla „Gazety Wyborczej” 16 V 2000.

jak barany...), inni przez delikatność nie chcieli pytać, by nie obrazić – wielkie nieporozumienie<sup>98</sup>.

Margot z opowiadania *Cena*, również *porte-parole* autorki, przyjechała z Europy do Izraela z marzeniem o podjęciu nauki. Spotyka się z szorstkim przyjęciem, którego powody mają pewne uzasadnienie: nie pora myśleć o nauce; trzeba orać ziemię, budować szosy, osuszać bagna. Ale dobiegają ją przy tym nieprzyjemne uwagi:

Jacy oni rozpieszczeni.

[...]

Oni szli na rzeź jak barany<sup>99</sup>.

W opowiadaniu *Życie i śmierć jednego z nas* taki właśnie „jeden z nas”, stary Żyd o niezwykle tragicznej biografii, spotyka się z pytaniem, które nawet przestaje być pytaniem – graniczy ze stwierdzeniem: „Powiedz no, *chawer*, jak to się stało, że został pan przy życiu? Pomagał pan Niemcom, co?”<sup>100</sup>. Matkę Amira z opowiadania *Czy schody pamiętają?* też pytano, czy przeżyła dzięki współpracy z Niemcami.

Po spotkaniu z młodymi, żyjącymi bezpiecznie w Palestynie Żydami, wysportowanymi, silnymi, zdrowymi i szydzącymi z przybywających ofiar Holocaustu („My byśmy na to nie pozwolili. My byśmy walczyli”<sup>101</sup>), tacy jak Miriam Akavia zamykali się w sobie, nawet dzieciom nie mówili o przeżyciach z czasów zagłady. „Te tłumione uczucia stawały się z latami przyczyną wielkich nieporozumień i wielkich tragedii dla obu pokoleń”<sup>102</sup>.

Tragiczne skutki niezrozumienia między Żydami pisarka przedstawiła w powściągliwej, pełnej wewnętrzznego napięcia, poruszającej relacji o radosnych obchodach dwudziestopięciolecia istnienia kibucu założonego w 1922 roku i pomyślnie się rozwijającego. Jego twórcom, radośnie śpiewającym wesołe, zwycięskie słowa pionierskiej piosenki: „Praca jest naszym życiem, ona nas oswobodzi”, ani na myśl nie przyjdzie, jak może odbierać takie słowa i w takim nastroju szóstka przybyłych, ukrywających numery wytatuowane na przedramionach<sup>103</sup>.

Dopiero po upływie trzydziestu lat od zakończenia wojny Miriam Akavia zaczęła pisać o swoich – i nie tylko o swoich – przeżyciach. Przez cały ten czas towarzyszyła jej świadomość, że to, iż przeżyła, zobowiązuje do pamięci i do przekazywania świadectwa tego, co było; co stało się z Żydami podczas drugiej wojny światowej w Europie okupowanej przez Niemców. Była to winna tym, którzy nie przeżyli Holocaustu i tym, którzy wprawdzie przeżyli, ale nie umieli znaleźć odpowiednich słów, by wypowiedzieć, co było ich udziałem. To, co mówi „jeden z nas”, można przyjąć też jako głębokie credo Miriam Akavii: „Wszystko zostało wyrwane z życia, i gdybym ja nie przeżył, wszystko byłoby kompletnie wymazane z pamięci, jakby nigdy nie istniało. Ale ocalałem, żyję po to, aby pamiętać”<sup>104</sup>.

<sup>98</sup> Cyt. z art. *Miasta mojego życia*, wypis komputerowy otrzymany od Autorki.

<sup>99</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, Kraków 1989, s. 126.

<sup>100</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 84.

<sup>101</sup> Cyt. za: Krystyna Kamińska, *Obowiązkiem Twoim jest opowiadać (O Miriam Akavii)*, „Pro Libris” 2004, nr 3/4, s. 99.

<sup>102</sup> Tamże, s. 99.

<sup>103</sup> Chodzi o opowiadanie *Sześcioro ich było*.

<sup>104</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 61.

Miriam Akavia miała zarówno poczucie obowiązku pamiętania i utrwalenia, jak i upoważnienia do takiego działania: „Ocaleni mają prawo być rzecznikami ofiar... bo ludzie, którzy zginęli, prosili: powiedzcie o tym światu. To jest przesłanie... To jest zobowiązanie”<sup>105</sup>. Po latach wyznała: „Dusiłam to w sobie, ale czułam, że nie wytrzymam. Myślałam: albo zwariuję, albo opiszę to wszystko”<sup>106</sup>.

Ważną rolę w pokonaniu zahamowań utrudniających pisanie odegrało pierwsze miasto jej życia, miasto, w którym się urodziła, które stanowi najbardziej znaczącą część jej losów, gdzie spędziła piękne dzieciństwo – czyli Kraków, miasto „może najważniejsze z polskich miast, tak dla Żydów, jak dla Polaków”<sup>107</sup>.

Po raz pierwszy po wojnie odwiedziła go w połowie lat sześćdziesiątych. Przyjechała do Krakowa z Budapesztu, gdzie w latach 1964–1967 jej mąż pracował w ambasadzie Izraela. On też przeszedł przez niemiecki obóz zagłady w Oświęcimiu, do którego trafił w tym samym czasie co Miriam Akavia. Dowiedzieli się o sobie w dniach wyzwolenia, oboje skrajnie wyniszczeni i leżący w szwedzkim szpitalu. Na lata ich pobytu na Węgrzech przypadł konflikt arabsko-izraelski i opowiadzenie się rządów państw socjalistycznych po stronie Arabów. O trudnym wówczas odnajdywaniu związków między Żydami pozostałymi na Węgrzech a tymi z Izraela traktuje jej książka adresowana do młodego czytelnika, zatytułowana *Galia i Miklosz: zerwanie stosunków*.

Wędrując po znanych i bliskich jej ulicach Krakowa i jego dzielnicy Kazimierz, Miriam Akavia spotykała duchy tych, którzy wypełniali kiedyś te ulice i domy.

Oni wyszli do mnie z opuszczonych podwórek, z domów, w których mieszkają teraz inni ludzie... Zeszli ku mnie po znajomych schodach, a kiedy szłam ulicami, patrzyli na mnie przez okna pustych mieszkań i domów. W parkach i na Plantach widziałam ich spacerujących w cieniu kasztanów lub na zalanych słońcem ławkach. Ich dzieci – a ja między nimi – bawią się w cieniu krzaków bzu... Spotkanie z nimi było bolesne, bo moja tęsknota do nich nie minęła jeszcze. Chciałam podać im rękę, dotknąć ich twarzy, lecz nie mogłam. Bo Oni byli – i nie było Ich, bo Ich nie ma...<sup>108</sup>.

Wówczas zrozumiała, że dłużej już nie może tłumić przeżyć z lat dzieciństwa i młodości ani przyjętej w dzieciństwie polskiej kultury i polskiego języka.

Przymus pisania poczuła tym silniej, że w Izraelu, do którego powróciła z Budapesztu, natknęła się na wiele nieporozumień. Pojęła, że żyje w niej przeszłość i że nie wolno tego odkładać: Krakowa, dzieciństwa, getta, obozów.

W Izraelu mieli wtedy inne sprawy na głowie. Nie zastanawiali się, jak to naprawdę było. Powtarzali tylko, że Polacy to antysemita, bo przecież wszystkie obozy śmierci były na tej ziemi. Muszę więc pisać o tym, jakie piękne było tutaj dzieciństwo – myślałam wtedy – jak przepiękny był tutaj mój krakowski dom<sup>109</sup>.

Miriam Akavia pisała po hebrajsku, do polskich wydań sama tłumaczyła swoje utwory. To całe, obecne w nich bogactwo polsko-żydowskiego świata ma zasadnicze znaczenie. Rację miał Henryk Grynberg:

<sup>105</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, Oświęcim 1996, s. 213.

<sup>106</sup> *Uwolnić świat...*

<sup>107</sup> *Miasta mojego życia*.

<sup>108</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 9–10.

<sup>109</sup> Miriam Akavia, *Moje powroty*, Kraków 2005, s. 8.

Miriam Akavia, której młodość zabrano w krakowskim getcie, Płaszowie, Oświęcimiu i Bergen-Belsen, też zbiegła do Palestyny i nawet została pisarką hebrajską, ażeby nie wrócić, ale i jej to się nie udało [...]. Akavia należy do polskiej literatury Szoa – nawet hebrajski od tego jej nie uchronił<sup>110</sup>.

Pierwszym „spontanycznym wybuchem tłumionych uczuć i wspomnień”<sup>111</sup> były rozdziały objęte tytułem *Jurek*, które weszły do pierwszego wydania *Jesieni młodości*, opublikowanego w języku hebrajskim. Na jego okładce wydawca napisał:

*For thirty years Miriam Akavia held back her natural writing power, and only now she allows herself to put down in writing what she experienced: „Childhood at Fall” – written in three months of fever – is the result*<sup>112</sup>.

Był to istotnie – potwierdziła autorka – „wynik gorączkowego pisania hamowanego przez trzydzieści lat”<sup>113</sup>, po którym doznała ulgi, a po wydaniu *Mojej winnicy* wszystko wróciło do normy<sup>114</sup>.

Miriam Akavia jako trzynastoletnia dziewczynka znalazła się wraz z rodziną, zmuszoną do opuszczenia swego mieszkania przy ulicy Łobzowskiej, w getcie, w którym w 1941 roku zamknięto Żydów Krakowa. Wokół ulic Podgórze wzniesiono mury, za którymi było coraz ciasniej i straszniej. Niepokój spotęgował się latem 1942 roku, gdy zaczęły się wywózki.

Prostym, szlachetnym językiem, bez dramatyzowania i patosu, w lakonicznym stylu odnotowuje autorka najważniejsze momenty z życia w getcie, gdzie narasta poczucie śmiertelnego zagrożenia i rodzi się piękne uczucie między młodą parą. Gdzie z nadzieją słucha się londyńskiego radia – o ruchu wojsk, o wypowiedziach amerykańskich polityków, tylko „o położeniu Żydów w Polsce w ogóle nie było mowy”<sup>115</sup>.

Ojciec Ani i Jurka (a pod tymi imionami kryją się sama autorka i jej brat Jeszajahu, zdrobniale: Iziu) wystarał się dla nich o aryjskie papiery i wysłał do Lwowa. Najpierw syna, później, w listopadzie 1942 roku dołączyła do niego Ania. Obraz ówczesnego Lwowa Miriam Akavia naszkicowała w *Miastach mojego życia*:

W najgorszym w historii świata roku: 1942. W listopadzie. 14-letnia Ania – to właśnie ja – z 17-letnim bratem. Wysłani przez zrozpaczonego ojca z krakowskiego getta, z którego wywożono do Bełżca, na zagładę. We Lwowie, na „aryjskich papierach”, bez dachu nad głową, gnani, poniewierani, bez niczyjej pomocy, wobec rozpętanych nienawiścią oprawców zagłady, Jurek i Ania byli za mali, za słabi, by móc ratować życie swoje i zamkniętej za murami getta rodziny. Ulicami Lwowa przejeżdżały wtedy – na oczach miasta – napelnione nieszczęsnymi Żydami tramwaje, po „akcji” we lwowskim getcie, przewoziły ich na śmierć<sup>116</sup>.

Dniom spędzonym razem z bratem w takim właśnie Lwowie i w takich warunkach autorka poświęciła spisana po hebrajsku *Jesień młodości*. Byli zdani na siebie, bezradni, nieznajdający u nikogo skutecznej pomocy.

<sup>110</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, Wołowiec 2002, s. 285 i 287.

<sup>111</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, s. 209.

<sup>112</sup> Tamże.

<sup>113</sup> Tamże.

<sup>114</sup> *Uwolnić świat...*

<sup>115</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, Kraków 1989, s. 26.

<sup>116</sup> *Miasta mojego życia...*

W szkicu *Niebo w płomieniach* autorka wspomni dom rodziców Ireny Parandowskiej we Lwowie, który zimą 1942 roku otworzył się przed prześladowanymi Żydami i uratował im życie. I tylko doda lakoniczną refleksję: „Ale przed Anią i jej »dorosłym« 17-letnim Iziem – Jurkiem nie otworzyły się żadne drzwi...”<sup>117</sup>.

Miarą tragicznego losu dwojga żydowskich dzieci jest powrót Ani do Krakowa, do getta.

Jurek pozostał we Lwowie. Do krakowskiego getta doszedł jeszcze jego ostatni, pożegnalny list do rodziców. Pisał w nim, że czuje się łatwym łupem dla wszystkich, którzy zechcą zademonstrować lojalność wobec Niemców, o swojej wielkiej chęci życia, gdyż wiele jeszcze chciałby zrobić i o czekającym Żydów rozrachunku: z sobą i z Bogiem: „Dlaczego to wszystko nas spotkało? Gdzie Bóg, w którego wierzyliśmy? Czy pomaga tylko silnym?”<sup>118</sup>.

Ten list Ania czytała już w krakowskim getcie. Wobec niebezpieczeństw otaczających ją i jej brata we Lwowie, bezradna, musiała podjąć tragiczną decyzję: powróciła do getta, z którego niedawno udało jej się wymknąć dzięki załatwionym przez ojca aryjskim papierom. Zajęła się opieką nad dziećmi. Przyszedł dzień, w którym je zabrano i zabito. Echo tego przeżycia odezwie się w opowiadaniu *Jeden dzień powszedni w naszym kraju*. Zmieni się imię bohaterki – Wanda, ale i tu można zestawić: Miriam – Ania – Wanda – to kolejne wcielenia samej autorki, która unikała zmyśleń, pisała o naprawdę rzeczywistych zdarzeniach, z których znacznej części sama doświadczyła: „Po paru minutach znów spojrzała na dzieci: jakże podobne do tamtych! Tamte, też złotowłose, wyrwano jej z rąk wtedy, tam, podczas akcji. Pięćdziesiąt lat temu. W 1942 roku”<sup>119</sup>.

Rozdziały o przeżyciach Ani, dopełniające w drugim wydaniu *Jesień młodości*, zostały dopisane dopiero po upływie dwudziestu lat. Jest w nich przedstawione getto w podgórzu, obóz w Płaszowie, zabijanie Żydów – dorosłych i dzieci, likwidacja obozu i przewiezienie pozostałych przy życiu w listopadzie 1944 roku do Oświęcimia. Ania (Miriam Akavia) była wśród nich. Wytatuowano jej numer A-26804.

Można by oczekiwać, że po drugim, rozszerzonym wydaniu *Jesieni młodości*, w którym pojawia się Ania, a jej losy prowadzą przez Lwów, krakowskie getto, obóz w Płaszowie do Oświęcimia, powstanie książka przedstawiająca jej dalsze przeżycia w obozach zagłady.

Na końcu *Jesieni młodości* jest jeszcze opowiadanie *Cena*. Występuje w nim Margot, jeszcze jedno wcielenie Ani – Miriam. Ocalała z zagłady, przybyła na statku z Europy do Izraela. Czeką ją przystosowanie się do życia w warunkach tego kraju i na pewno rezygnacja z nauki na rzecz ciężkiej pracy przy budowaniu państwa Izrael. Musi się zorientować w skomplikowanej mapie tendencji politycznych i dokonać właściwego wyboru miejsca, z którym się zwiąże. Wujostwo osiadłe w Tel Awiwie od dawna zarzuca ją informacjami, radami, naukami, a potem oczekuje opowieści Margot: o sobie, o tym, co się stało z rodzicami, z rodzeństwem. Margot odpowiada: „– Ja nie mogę wam nic opowiedzieć... może innym razem”<sup>120</sup>.

W miejsce najważniejszej opowieści otrzymujemy tylko, ujęty w formę wewnętrznego monologu, kłębiący się szereg dramatycznych obrazów:

<sup>117</sup> *Niebo w płomieniach*, wypis komputerowy otrzymany od Autorki.

<sup>118</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, s.114.

<sup>119</sup> Miriam Akavia, *Urojenia*, s. 143.

<sup>120</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości* s. 127.

Mgła przesłoniła jej oczy i poprzez mgłę wyłoniły się skrawki obrazów: suche ludzkie kości, małe dziecko oddychające i żywe, rzucone na trupy kobiet [...]. Nagie ciała wiszą w rzędzie, kołyszą się na wietrze. Nogi w czarnych cholewach deptają żywe dzieci. Obuci w cholewy śmieją się głośno. Brudna muszla klozetowa obok głowy konającej Rut. Margot trzyma chudą dłoń siostry, ale ta dłoń wysuwa się jej z rąk. Margot chce krzyżeć, ale żaden głos nie wydobywa się z jej gardła. Obok głowy konającej Rut zatkana muszla klozetowa<sup>121</sup>.

Margot wychodzi na telawiwską ulicę, mijają ją liczni przechodnie śpieszący w różnych kierunkach. Opowiadanie kończy się myślami, które przypominają pożegnalny list Jurka (Izia) ze Lwowa. Do kogo one należą? Do bohaterki opowiadania o imieniu Margot czy do autorki: „– Bez Boga... Czy Bóg powróci...?”<sup>122</sup>.

To, o czym Margot nie mogła, nie miała siły opowiedzieć, bo i tak nikt by tego nie zrozumiał, co więc nie weszło do opowiadania *Cena* i nie znalazło również pełnego, dokładnego opisu w innych utworach Miriam Akavii, a było zaledwie rzeczowo, bardzo powściągliwie sygnalizowane, to zdarzenia, fakty, z których każdy mógłby (powinien) się doczekać długiego, wyczerpującego przedstawienia. To marsz śmierci z Auschwitz-Birkenau do Bergen-Belsen, poruszająca się kolumna wyczerpanych więźniów. Niemcy strzelają do tych, którzy już nie mogą iść dalej. Stos martwych, konających ciał, z którego wyciągają żyjącą jeszcze dziewczynkę, obok jej siostra, nieżywa już matka. Śmierć ojca w kamieniołomach Mauthausen.

Tak, jak o tym nie opowiedziała Margot, tak tego nie opisała Miriam Akavia. Ani o swoim fizycznym i psychicznym stanie, o chorobach, o gwałtach, masowej śmierci, której była świadkiem, o wielkim żalu, żądzy zemsty, o bólu bezdomności. I o wielkiej goryczy w dniach „wyzwolenia”, która była tym większa, że ocaleni byli zdani na własne siły i na pomoc... Niemców. Nie pośpieszyli do nich Żydzi z diaspory, nie przybyli z pomocą żydowscy lekarze z wolnego świata.

Dlaczego tego nie opisała? Na tak postawione pytanie odpowiedziała w posłowniu do drugiego wydania *Jesieni młodości*:

Nie mogę już o tym wszystkim myśleć. Kiedy chciałam, mało kogo to obchodziło, dzisiaj znowu tyle już o tym napisano, iż moje doświadczenie, do którego nigdy nie pozwolę sobie dodać nic wymyślnego, nie będzie już atrakcją, nie będzie nowością<sup>123</sup>.

„Nauczyłam się nie dramatyzować” – powie później w wywiadzie<sup>124</sup>. Tym bardziej wstrząsające są skrótowe zapisy, jak na przykład w opowiadaniu *Życie*:

Karol przybliżył się... Nagle jakby młot odrzucił pokrywkę z zalepionej skrytki pamięci i odsłonił przede mną obraz gwałtu, który przeżyłam w jednym z obozów. Skurczyłam się nagle i odsunęłam. Karol nie rozumiał, dlaczego. Leżeliśmy oboje oddaleni, nie wiedząc, jak pomóc sobie wzajemnie<sup>125</sup>.

W końcowej scenie opowiadania *Cena* (w późniejszych wznowieniach ma ono tytuł *Cukiernica Margot*) Margot (Miriam?) „podeszła do stolika, na którym stała srebrna

<sup>121</sup> Tamże.

<sup>122</sup> Tamże, 126–127.

<sup>123</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, Oświęcim 1996, s. 212–213.

<sup>124</sup> *Uwolnić świat...*

<sup>125</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 32.

piękna cukiernica, i przytuliła ją do rozognionego policzka, a dotyk ten podziałał na nią kojąco”<sup>126</sup>.

Po prawie dziesięciu latach od napisania tej sceny powstanie utwór, w którym ta cukiernica się pojawi, wyjaśni się, jak się znalazła w telawiwskim mieszkaniu i jakie miała znaczenie. Okazała się łącznikiem między dwoma światami, oddzielonymi od siebie nie tylko dużą odległością przestrzenną, ale przede wszystkim głęboką przepaścią Holocaustu. Jak Proustowska magdalenka, wywołała ten ciąg obrazów, skojarzeń, wspomnień, który spowodował, że utwór napisany po *Jesieni młodości* nie przyniósł opisu dalszych dziejów Ani, lecz okazał się powrotem do świata dzieciństwa. Ukojenie towarzyszące przytuleniowi cukiernicy do „rozognionego policzka” jest znakiem zwrotu od piekła przeżytego w getcie, obozach i w pierwszych dniach „wyzwolenia” ku wspomnieniom dzieciństwa spędzonego wśród kochających bliskich w przedwojennym Krakowie. Kolejna książka Miriam Akavii nie przyniosła – może wbrew oczekiwaniom czytelników – opowieści o dalszych losach Ani, lecz powrót do czasów, które poprzedzały *Jesień młodości*.

Jedna z ciotek autorki, kobieta odważna, przedsiębiorcza, wyemancypowana w latach trzydziestych, wyjechała do Palestyny. Na krótko przed wojną odwiedziła Kraków. Gdy poczęstowano ją kawą z ciastkami, na stole pojawiła się srebrna cukiernica.

– To z domu naszego ojca! – wykrzyknęła wzruszona [...]. Pamiętam tę cukiernicę z dzieciństwa... – Nagle, rozglądając się po mieszkaniu, powiedziała: – Wy macie tu tyle pięknych rzeczy, a ja już nie mam nic! W moim mieszkaniu w Palestynie nie ma ani jednego przedmiotu, który by mi przypominał rodzinny dom. Dzieciństwo. Czy mogłabym dostać tę cukiernicę? [...] Mam przecież do niej prawo.

Mama, słuchając Rózi, dostała wypieków na twarzy. Rózia czekała na odpowiedź i trzymała rękę na srebrnej cukiernicy. Widać było, że mama bije się z myślami, w końcu rzekła:

– Uważam, że masz racje, Róziu. Nie powinnaś się czuć pokrzywdzona. Weź tę cukiernicę!<sup>127</sup>.

Cukiernica pojawi się jeszcze raz w pisanym po upływie kilku lat od powstania *Mojej winnicy* bezpośrednim wspomnieniu zatytułowanym *Kraków 1939 – początek końca*. Kiedy Niemcy utworzyli w Krakowie żydowskie getto (*Jüdische Wohnbezirk*), nie było czasu na normalne likwidowanie mieszkania na ulicy Łobzowskiej. Rodzice autorki rozdawali polskim sąsiadom meble, lampy, obrazy, dywany, bieliznę pościelową i wiele przedmiotów domowych. Ci przyjmowali, obiecując, że po wojnie oddadzą, w co nikt nie wierzył.

I tylko srebrna cukiernica, którą wyprosiła dla siebie będąca z wizytą w Polsce ciocia Chalucka w 1938 roku i zabrała ze sobą do Palestyny, tylko ona ocalała. Ciocia dawno już nie żyje, a cukiernica to bezcenny, najdroższy przedmiot w moim nowym izraelskim domu<sup>128</sup>.

*Moja winnica* (w tytule zawiera się aluzja do rodowego nazwiska autorki, Weinfeld, które tłumaczy ona jako „winnica”) jest obrazem życia trzech pokoleń żydowskiej rodziny żyjącej w krakowskiej dzielnicy Kazimierz i – w mniejszej części – przy ulicy Łobzowskiej, gdzie pod numerem 47 mieszkała autorka wraz z rodziną do pierwszych

<sup>126</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, Kraków 1989, s. 127.

<sup>127</sup> Miriam Akavia, *Moja winnica*, Kraków 2000, s. 222.

<sup>128</sup> Henryk Grynberg, *Moje powroty*, s. 38.

dni drugiej wojny światowej. Powieść tę nazywa ona „jednym z ostatnich obrazów żydowskiego świata w Polsce”<sup>129</sup>.

Jest to historia Żydów krakowskich, którzy różnili się od Żydów mieszkających w Warszawie i w wielu prowincjonalnych miastach. W Krakowie „żony brodatych i pejsatych Żydów ubierających się w czarne chałaty mówiły doskonale po polsku, uczyły się francuskiego, odwiedzały muzea i galerie sztuki, a ich dzieci chodziły do polskich szkół”<sup>130</sup>.

Kazimierz był jakby zamkniętą przestrzenią, poza którą jej mieszkańcy niechętnie się oddalali. To było magiczne miejsce, do którego, jak do własnego getta, ograniczali się liczni bohaterowie *Mojej winnicy*, wśród nich dziadowie, wujowie, ciotki, kuzyni i kuzynki autorki stanowiący jedną ze starych i szeroko rozgałęzionych żydowskich rodzin Krakowa. Niektórzy mieszkańcy Kazimierza opisani w *Mojej winnicy* traktowali tę dzielnicę jako świat tak zamknięty, w pełni wystarczający, że nie mogli sobie wyobrazić, by mogli przejść z niej dalej niż na ulicę Dietla lub na Podgórze. Ulica Łobzowska była dla nich tak odległym i obcym światem, że rzadko się na nią wyprawiali albo wcale. Tylko dziewczęta, co śmielsze, wypuszczały się poza Kazimierz. „Szły dalej, z klatki w przestrzeń, z żydowskiego getta w świat otwarty dla wszystkich ludzi [...]. Ich celem był Kraków”<sup>131</sup>.

Gdy ktoś przeprowadzał się z Kazimierza do innej dzielnicy, jak rodzice autorki na ulicę Łobzowską, musiał się tłumaczyć z tej decyzji przed swoją wspólnotą, odczuwał wyrzuty sumienia i dokładał szczególnych starań, by wykazać – sobie i innym – że pomimo opuszczenia Kazimierza, pozostaje on nadal Żydem, nie ulega asymilacji.

Magicznymi, wywołanymi wspomnieniem i tęsknotą miejscami na Kazimierzu były jego ulice, place, synagogi wypełnione ludzkim ruchem, znanymi sylwetkami, licznymi krewnymi. Były to też mieszkania z antycznymi meblami, orientalnymi dywanami, haftowanymi obrusami, starymi obrazami w złożonych ramach, wielkimi lampami, srebrnymi kandelabrami. Była to też codzienna domowa krzątanina, przyjaźnie, przyjęcia, odwiedziny, a także rytm żydowskich obyczajów i świąt.

Ze wspomnieniem Kazimierza łączyły się również trudne myśli, rozterki, wątpliwości, bo jego rzeczywistość była też „rezerwuarem wszystkich problemów, uczuć i sytuacji ogólnoludzkich i polsko-żydowskich”<sup>132</sup>. Wśród nich podstawowy problem, o którym rozmyślał po nocach założyciel rodu, Mosze Weinfeld: „Kim jest? Żydem. Co to znaczy być Żydem? Czy to przynależność do narodu? Do jakiego? Na pewno do tego, którym byli przed zburzeniem Świątyni. Przed wygnaniem. Przed diasporą. Życie terażniejsze to już coś innego”<sup>133</sup>. Pewnego dnia zbudził się zlany potem, bo mu się śniło, że Żydzi w Galicji przebudzili się z długiego snu i powiedzieli głośno, że też są narodem.

Jednym z głównych motywów pojawiających się w *Mojej winnicy* są pytania o własną tożsamość, o swoje miejsce między żydowskim i polskim światem. Są rozterki na tym tle i nieodstępujące poczucie wewnętrznej dysharmonii.

Podczas rejestrowania się w urzędach bohaterowie powieści podawali – bez zastrzeżeń i oporów – że są narodowości polskiej („narodowość polska i polski język ojczy-

<sup>129</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, Oświęcim 1996, s. 210.

<sup>130</sup> Miriam Akavia, *Moja winnica*, s. 9.

<sup>131</sup> Tamże, s. 78–79.

<sup>132</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, s. 210.

<sup>133</sup> Miriam Akavia, *Moja winnica*, s. 41–42.



sty”). Zapytani o wiarę, odpowiadali: „żydowska”. Zapisywano więc: „narodowość polska, wyznanie mojżeszowe”.

Córki Mosze Weinfeldy, przedstawicielki drugiej generacji opisanej w *Mojej winnicy*, czują się polskim patriotkami. Identyfikują się z narodem polskim, z polską kulturą, literaturą, sztuką. Chcą uczestniczyć w polskich dążeniach niepodległościowych. Widok ojca w wojskowym mundurze austriackim wywoływał uczucia ambiwalentne – dumy, ale byłaby ona większa, gdyby zaciągnął się on do legionów Józefa Piłsudskiego. Lecz tam Żydów nie przyjmowano.

W rozmowach bohaterów powieści powraca świadomość rozdwojenia i poczucie spowodowanej przez nie dysharmonii:

Kim my jesteśmy – pyta Hania jakby sama siebie – Polakami czy Żydami?

– I tym, i tym – odpowiada ktoś z obecnych.

– Chciałabym – mówi Hania zamyślona – chciałabym być czymś jednym całym, a nie dwiema połowami<sup>134</sup>.

Młodsze pokolenie także zaczyna różnie odbierać Kazimierz. Staje się on dla niego światem bliskim, ale też egzotycznym, już nie tak zupełnie własnym. I środowisko go zamieszkujące zaczyna być obce. Dla wyrosłej w nim Hani przestaje on być jej światem: „My jesteśmy obcy i tu, i tam. Jesteśmy jakby poza nawiasem [...]. Tak naprawdę nie należymy ani tu, ani tam”<sup>135</sup>.

Energiczna, przedsiębiorcza, samodzielna, wolna Różia (ta, której rodzina podarowała srebrną cukiernicę) zakochała się w Polaku, który – jak zapewnił – nie ma nic przeciwko Żydom, ale jego rodzice nie mogą się o tym dowiedzieć. Związek nie trwał długo, a Różia, jak nigdy przedtem, podkreślała swoją żydowskość. Dumna z przynależności do narodu żydowskiego wyjechała do Palestyny. Stamtąd pisała listy, świadectwa rozdwojenia: „Tęsknię za domem. Za domem napisałam? A przecież tu, w Palestynie, jest mój dom. Ale także i tam [...]. Tam wydaje mi się, że należę do tego świata, tutaj czuję, że należę tam”<sup>136</sup>.

Podobne rozdwojenie nie ominęło także autorki. Jako Ania z *Mojej winnicy* mieszkała z rodzicami i rodzeństwem w dzielnicy zamieszkaną wyłącznie przez Polaków. Rodzice, chcąc by ich dzieci „były jak inne”, posyłali je do polskiej szkoły („Co nie było idyllą” – będzie wspominała), ale w domu przestrzegano koszerności, obchodzono żydowskie święta, utrzymywano bliskie, serdeczne więzi z rodziną i przyjaciółmi zamieszkałymi na Kazimierzu.

Po wojnie stanęła w obliczu wyboru: czy wrócić do Polski? „Myślałam: mam wracać i znowu ukrywać swoje pochodzenie? Nie. I wtedy podjęłam decyzję o wyjeździe do Palestyny. Mimo całej miłości do Polski i do Krakowa, ból po tragedii był za mocny”<sup>137</sup>. W posłowie do drugiego wydania *Jesień młodości*, wspominając trudne sprawy, o których mogłaby pisać, ale nie pisze, wymienia „bolesny brak przynależności”<sup>138</sup>.

W *Mojej winnicy*, w obrazie przedwojennego Krakowa wywołanego wyobraźnią powracającą do szczęśliwego dzieciństwa spędzonego w najbardziej ukochanym mieście, nie brakuje bolesnych zgrzytów spowodowanych zetknięciem się z przejawami

<sup>134</sup> Tamże, s. 84.

<sup>135</sup> Tamże, s. 143.

<sup>136</sup> Tamże, s. 147 i 226.

<sup>137</sup> *Uwolnić świat...*

<sup>138</sup> Miriam Akavia, *Jesień młodości*, Oświęcim 1996, s. 212

antysemityzmu. Już przed rokiem 1918 w opisywanej rodzinie przeżywano obawy, gdy myślano o Polsce, która odzyska niepodległość. Czy będzie w niej miejsce dla Żydów? Czy nie będą oni traktowani jako obywatele drugiej kategorii? Świadomość takich możliwości dyktowała rozglądanie się za krajem, gdzie będzie prawdziwa równość ludzi. Nadzieje na spełnienie tych oczekiwań wiązano wówczas z rewolucyjną Rosją.

Kolega Ani, siedmioletni Rysio przyszedł ze szkoły pokrwawiony, pobity przez kolegów. W polskiej szkole, w klasie Ani było pięć żydowskich dziewczynek na czterdzieści uczennic. Siedziały w jednej ławce.

Nie wiem, czy „Pani” nas tak posadziła, czy same wybrałyśmy dla siebie ławkowe getto. Nikt nas w klasie nie pobił ani nie obraził, ale kiedy po pięciu latach bycia razem zabroniono żydowskim dzieciom uczęszczać do polskich szkół [we wrześniu 1939 roku], nikt też nie protestował. Ze ściśniętym sercem opuściłam klasę, której obojętność zadała mi mocny ból<sup>139</sup>.

(Z przykrym wspomnieniem łączyło się miłe i piękne; ze spotkań w gronie kilku dziewczynek u Rozy Bauminger, która zastępowała usuniętą ze szkoły nauczycielkę literatury polskiej<sup>140</sup>).

Żydowskim młodzieńcom nie udawało się skończyć studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie było też mowy o państwowej posadzie dla nich. Młodzież poszukiwała różnych dróg. Jednych pociągał syjonizm Teodora Hertzla, idea żydowskiego państwa w Palestynie. Inni zwracali się ku Bundowi związanemu z socjalistyczną międzynarodówką i chcieli zachować żydowską kulturę oraz język w zamieszkiwanym kraju, niezależnie od diaspory. Niektórzy przystępowali do Polskiej Partii Socjalistycznej, ale byli później zmuszani do jej opuszczenia. Nie zyskali w niej pełnego zaufania, nie chcieli też wyrzekać się swej żydowskiej tożsamości i przywiązania do własnych tradycji.

W miarę nasilania się przejawów polskiego antysemityzmu (pobicia, dyskryminacja w szkołach, napisy na murach) i dochodzenia wiadomości o tym, co się dzieje w Niemczech, w rodzinie autorki coraz częściej rozmawiało się o wyjeździe do Palestyny. W rozmyślaniach „wyjechać czy zostać” decyzja wyjazdu stale była odkładana. Górę brało przeświadczenie, że „w takim kraju jak Niemcy, w samym sercu Europy, ten szaleniak [Adolf Hitler] nie utrzyma się długo”<sup>141</sup>, a poza tym „przecież w Polsce nie ma Hitlera. W Polsce nie ma on nic do gadania”<sup>142</sup>. Długo nie chciano wierzyć w realność niebezpieczeństwa rosnącego w Trzeciej Rzeszy. „Nawet po dojściu do władzy Hitlera i »nocy kryształowej« nie wierzyliśmy, że nadciąga nawałnica”<sup>143</sup>.

Poważne zaniepokojenie wywołało to, co w październiku 1938 roku stało się pod Zbąszyniem, gdzie władze niemieckie siłą usunęły z terytorium Rzeszy kilkanaście tysięcy Żydów, pozbawiwszy ich mienia.

Matka pisarki nalegała na wyjazd, ale ojciec ciągle zwlekał z decyzją. Tym bardziej że rosła zamożność i pomyślność rodząca nadzieję na lepsze czasy. („Lato tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku było latem szczęścia”<sup>144</sup>). Aż było już za późno.

<sup>139</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 25.

<sup>140</sup> „Nigdy dotychczas nie miałam okazji słyszeć tak ciekawych rzeczy i w głębi serca czułam nawet naiwne zadowolenie, że tak się stało, że zamiast do szkoły chodzę na lekcje do pani Rozy”. *Co pamiętam o pani Rozy Bauminger? Czy pamięć o niej uszła calo?*, z komputerowego wypisu otrzymanego od Autorki. Rosa Bauminger przeżyła wojnę. Autorka spotkała się z nią podczas pierwszego przyjazdu do Krakowa w 1966 roku.

<sup>141</sup> Miriam Akavia, *Moja winnica*, s. 201.

<sup>142</sup> Tamże, s. 220.

<sup>143</sup> *Uwolnić świat...*

<sup>144</sup> Miriam Akavia, *Moja winnica*, s. 253.

Poczucie winy, tragiczna myśl o zaprzepaszczeniu możliwości wyjazdu do Palestyny i uratowania rodziny, wyrzuty sumienia, daremne przeprosiny, chęć odebrania sobie życia nie odstępowały ojca. Miriam Akavii również trudno było się uwolnić od tych tragicznych rozmyślań:

Do dziś nie jestem pewna, kto z nich miał rację. Ojciec czy Matka. Kochałam oboje [...]. Ostatni raz widziałam Ojca w obozie, w Płaszowie. Staliśmy po dwóch stronach kolczastego drutu. Głodni i wymęczeni [...]. „Całe nasze życie było jedną wielką pomyłką” – zwierzył mi się nagle Ojciec. Miałam wtedy czternaście lat, chciałam go pocieszyć, chciałam powiedzieć, że to może nie jego błąd, może nie jego wina – ale nie wiedziałam, jak to powiedzieć i nic nie odparłam. Potem zabrali go do Mauthausen, stamtąd nie wrócił. Niektórzy uratowali się z tego straszego obozu. Nie odszukałam ich. Nie chciałam słyszeć, nie chciałam wiedzieć, jakie były jego ostatnie dni<sup>145</sup>.

Miriam Akavia była jeszcze dzieckiem, gdy skończyło się jej normalne życie; jej najbliżsi zostali zgładzeni. Z rodziny liczącej czternaście osób zostały tylko dwie.

Z epilogu do *Mojej winnicy*:

Wszystkie wspomniane w tej książce postacie są autentyczne. Tu i ówdzie zmieniałam tylko imiona. Tu i ówdzie do zamglonych wspomnień włączałam zmyślane fakty. Chciałam żywymi kolorami odmalować postacie, których okrutny los rozegrał się na moich oczach. Chciałam wyróżnić moich ukochanych spośród sześciomilionowej masy i ocalić ich od zapomnienia<sup>146</sup>.

\* \* \*

Po wyzwoleniu i nabraniu sił w szwedzkich szpitalach Miriam Akavia stanęła przed decyzją, gdzie się udać. Tęskniła za Domem, ale ten Dom jej tęsknoty był ponad granicami i krajami, gdzieś tam, w innym świecie, gdzieś tam, w innym miejscu, do którego dotarły dusze jej najbliższych.

Nie mogła myśleć o powrocie do Polski, gdzie musiałaby ukrywać swoje pochodzenie. W skandynawskim szpitalu spotkała dwie uczestniczki powstania warszawskiego, które w taki oto sposób zachęcały ją do powrotu do Polski: „Z twoim wyglądem? Nie ma co się martwić i spokojnie możesz wracać do Polski. Nie trzeba się przecież afiszować”<sup>147</sup>.

Podobne słowa usłyszała od przewodnika oprowadzającego wycieczkę po Norwegii. Zaskoczony, gdy się dowiedział, że są Żydami, „spojrzał, jakby nas widział teraz po raz pierwszy. – Nigdy nie przypuszczałbym... – zaczął zażenowany. I jakby nie dość na tym, dorzucił na osłode: – Z waszym wyglądem nie musicie... Nikt się nie domyśli...”<sup>148</sup>.

Wybrała Erec – Izrael. W 1946 roku przybyła do Hajfy, zobaczyła robotników pracujących w porcie, spotkała się z językiem hebrajskim. Napisała o tej chwili: „Tak wygląda Ziemia Obiecana? Nie wiedziałam jeszcze wtedy, czy źle mi tu będzie, czy dobrze,

<sup>145</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 146.

<sup>146</sup> Miriam Akavia, *Moja winnica*, s. 265

<sup>147</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 30.

<sup>148</sup> Miriam Akavia, *Urojenia*, s. 139.

lecz wiedziałam, że stąd nie ruszę się już nigdy i nic mnie stąd nie usunie. Mój Dom będzie tu, albo nigdzie<sup>149</sup>.

Podjęła pracę w trudnych, pionierskich warunkach. Była pielęgniarką, potem założyła przychodnię dla członków kibucu i mieszkańców okolicznych wiosek.

Opowiadaniu *Życie*, zamieszczonemu najpierw w zbiorze *Cena*, zmieniła tytuł, gdy je wznawiała w *Urojeniach*, na *Biało-niebieski paszport i tulipany*. Zmieniła też zakończenie. W pierwszej redakcji były słowa: „Z Izraela do Polski lecą teraz bezpośrednie samoloty. Niespełna cztery godziny dzieli mnie od kraju, w którym się urodziłam. Który tak intensywnie we mnie żyje<sup>150</sup>”.

W drugiej redakcji tych słów nie ma. W ich miejsce pojawiają się: „Na stoliku leżał mój biało-niebieski izraelski paszport. Podniosłam go i przytuliłam do serca. W tym paszporcie wpisane są wszystkie moje dane. Także obywatelstwo<sup>151</sup>”.

Ale napisze również: „Kraj, w którym żyję, to nie kraj, w którym się urodziłam. We mnie żyją obydwa: Polska i Izrael<sup>152</sup>”.

Miriam Akavia jest przewodniczącą Towarzystwa Przyjaźni Izraelsko-Polskiej. Trudno sobie wyobrazić osobę bardziej odpowiednią do pełnienia tej roli.

Głęboka więź z Polską, szczególnie z Krakowem i jego Kazimierzem, sięgająca słonecznego dzieciństwa; pamięć o najbliższych i wszystkich zamordowanych jego mieszkańcach, których duchy wypełniają ulice i domy tej dzielnicy; świadomość tragedii swojego narodu i wielkie osobiste cierpienie – nadały nie tylko szlachetny ton jej prozie, ale są również źródłem jej działania na rzecz wzajemnego zrozumienia i przyjaznego współżycia Żydów i Polaków.

Jej izraelski patriotyzm sięga przedwojennych marzeń o wyjeździe do Palestyny, marzeń przecież realnych, a tak tragicznie niespełnionych. Po doświadczeniach Holocaustu nie wahała się: udała się do Ziemi Obiecanej i uczestniczyła w trudnych, pionierskich warunkach w budowaniu zrębów żydowskiego państwa. Razem ze swymi rodakami przeżywała wielką radość i triumf, gdy zostało ono ustanowione i uznane przez międzynarodową wspólnotę.

Swą twórczością i działaniem przyczynia się zarówno do usuwania polskiego antysemityzmu, jak i antypolskich uprzedzeń w społeczności żydowskiej, zwłaszcza wśród młodzieży przyjeżdżającej z Izraela do Polski. Często sama towarzyszy takim wycieczkom.

A jej „słoneczne mieszkanie” w Tel Awiwie jest miejscem wielu spotkań oraz zawsze ciekawych i ważnych rozmów z udziałem Żydów i Polaków.

\* \* \*

Miriam Akavia urodziła się w Krakowie w roku 1927. Do września 1939 roku uczęszczała do polskiej Szkoły Powszechnej im. Teofila Lenartowicza.

Lata 1941–1944 to jej pobyt w krakowskim getcie, w obozie w Płaszowie, Oświęcimiu i Bergen-Belsen. Udział w marszu śmierci do tego ostatniego miejsca.

<sup>149</sup> *Miasta mojego życia...*

<sup>150</sup> Miriam Akavia, *Cena*, s. 36.

<sup>151</sup> Miriam Akavia, *Urojenia*, s. 35.

<sup>152</sup> Miriam Akavia, *Jestem starsza od moich rodziców*

Po wyzwoleniu obozu w 1945 roku zaopiekował się nią Szwedzki Czerwony Krzyż. Skrajnie wyniszczona i wyczerpana odzyskiwała siły w szpitalach.

W roku 1946 przybyła do Izraela. Pracowała jako pielęgniarka w kibucach. Na uniwersytecie w Tel Awiwie podjęła studia literatury światowej i hebrajskiej oraz historii Izraela i polskich Żydów.

W latach 1957–1964 pracowała w agencji zajmującej się przyjmowaniem imigrantów z Europy Wschodniej.

Towarzysząc swemu mężowi, który pracował w latach 1964–1967 w Ambasadzie Izraelskiej w Budapeszcie, zatrudniła się w tamtejszym konsulacie. Później – w podobnych okolicznościach – w Sztokholmie.

Od pewnego czasu publikowała już artykuły i utwory literackie w czasopiśmie. A w roku 1975 zaczęły się ukazywać jej książki, tłumaczone na wiele języków: na polski (najczęściej w jej własnym przekładzie), angielski, francuski, holenderski, niemiecki, rosyjski, szwedzki, węgierski.

Przewodniczy Towarzystwu Przyjaźni Izraelsko-Polskiej. Z tego tytułu nawiązuje wiele kontaktów i organizuje międzynarodowe spotkania. Zasiada w Komitecie Yad Vashem przyznającym tytuł „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” i w wielu innych organizacjach i towarzystwach społeczno-kulturalnych.

W dowód uznania dla jej twórczości wyróżniono ją licznymi nagrodami (między innymi: Nagrodą Yad Vashem, imienia Janusza Korczaka, Stowarzyszenia Kultury Europejskiej, Premiera Izraela) i odznaczeniami (Zasłużonej dla „Hagana”, Zasłużonej dla Tolerancji, Honorowym Obywatelstwem Tel Awiwu, Złotym Krzyżem Zasługi, Srebrnym Medalem Wojska Polskiego).

Publikacje książkowe w języku polskim:

*Jesień młodości*, Kraków 1989, wydanie drugie rozszerzone – 1996.

*Moja winnica*, Warszawa 1990, wydanie drugie – Kraków 2000.

*Cena*, Wrocław 1992.

*Galia i Milkosh*, Poznań 1992, wydanie drugie – Kraków 2000.

*Urojenia*, Poznań 2000.

Opracowanie *Antologii młodych poetów hebrajskich*, 1995.

## Ida Fink

Urodziła się 1 listopada 1921 roku w Zbarażu. To miasto, oznaczane literą „Z”, będzie się pojawiało w jej utworach wielokrotnie. Była córką lekarza i nauczycielki gimnazjalnej, uczęszczała do Państwowego Gimnazjum Humanistycznego im. Henryka Sienkiewicza. Później, we Lwowie była studentką w klasie fortepianu Konserwatorium Muzycznego. Motywy muzyczne, wzruszenia wywoływane przez muzykę i zderzane z okrucieństwami wojny często występują w jej tekstach.

Po zajęciu Zbaraża przez Niemców Ida Fink znalazła się w getcie, skąd razem z młodszą siostrą zdołała się wydostać w 1942 roku. Ojciec wystarał się dla nich o aryjskie papiery. Uznały, że będzie najbezpieczniej, jeżeli jako Polki zgłoszą się do Arbeitsamtu,

oświadczając, że chcą pojechać na roboty do Niemiec. Tak też uczyniły, a przebieg starań, przeszkody i komplikacje, na jakie natrafiły, a także ich pracę u niemieckich „bauerów” autorka opisała w powieści *Podróż*. W Niemczech doczekały się zakończenia wojny. Ich matka już nie żyła. Odnalazły ojca i w 1946 roku wróciły do Polski.

Ida Fink podjęła pracę jako akompaniorka w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego. W 1948 roku wyszła za mąż. Chciała z mężem wyjechać do Izraela – okazało się to możliwe dopiero w 1957 roku. W Izraelu zaczęła pracować w Instytucie Yad Vashem, później – w dziale muzycznym biblioteki Instytutu Goethego w Tel Awiwie. Została pisarką izraelską piszącą w języku polskim.

Jej pierwszą książką był zbiór opowiadań *Skrawek czasu*. Najpierw ukazał się on w przekładzie niemieckim w Zurychu w 1983 roku i przyniósł autorce holenderską Nagrodę imienia Anny Frank. W języku polskim, czyli w języku oryginału („Pisanie po polsku było dla mnie naturalną koniecznością”<sup>153</sup>) *Skrawek czasu* ukazał się w Londynie w roku 1987, nakładem „Aneksu”. W tym samym wydawnictwie, w roku 1990 ukazała się *Podróż*. W latach 1980, 1990 i 1994 autorka publikowała w „Dialogu” sztuki i słuchowiska radiowe oparte na motywach znanych z jej opowiadań. Warszawskie wydawnictwo W.A.B. wydało wszystkie jej opowiadania w zbiorze zatytułowanym *Odpywający ogród*<sup>154</sup> oraz powieść *Podróż*.

Jej twórczość była wielokrotnie wyróżniana, m.in. nagrodą Buchanana Instytutu Yad Vashem, Nagrodą Alberta Moravii. Specjalną nagrodę przyznał jej polski PEN Club, a National Jewish Book Center umieściło ją na liście stu najważniejszych autorów żydowskich.

Ida Fink zaczęła pisać późno. Myśl jednak, by utrwalić na piśmie to, co widziała i przeżyła, by przekazać tego świadectwo, nie opuszczała jej nigdy, zanim jeszcze skończyła się wojna. Jej opowiadania, do których wprowadziła elementy autobiograficzne, świadczą o tym, że bardzo wcześnie, już podczas okupacji nie była jej obca refleksja, iż to, czego jest świadkiem, powinno być utrwalone. Z opowiadania *Za żywopłotem*:

„Trza wiedzieć” przypominam sobie jej słowa, gdy po pierwszej relacji o okrucieństwach, jakich dopuścili się Niemcy w naszym miasteczku, zaprotestowałam cicho: Agasiu, nie mogę tego słuchać... jestem chora, oszczędź mnie. „Trza wiedzieć, popatrzeć. I zapamiętać” – odpowiedziała i odtąd nigdy nie odważyłam się przerywać<sup>155</sup>.

Narratorka, za którą w większości przypadków kryje się sama autorka, mówi o sobie: „Kiedy znów zaczęli strzelać, zerwałam się z ziemi, chciałam biec w las, dalej, żeby nie widzieć. A nie pobiegłam. Coś mnie trzymało w miejscu, mówiło: patrz, nie zamykaj oczu. No i patrzyłam”<sup>156</sup>. Bohaterka opowiadania *Ślad* prosi, by to, co opowie (o śmierci ośmiorga dzieci wyprowadzonych z Judenratu i zastrzelonych), „zostało zapisane i utrwalone, bo chce, żeby pozostał ślad”<sup>157</sup>.

Zaraz po wyzwoleniu przez Amerykanów, w obozie mieszczącym się w dawnej szkole esesmańskiej, pojawiła się więc myśl jak rozkaz: „Pisz o tym, co zaszło”<sup>158</sup>. Chwyliła za pióro, zamknęła się w pokoju. Po kilku godzinach wyszła z czystymi kartkami.

<sup>153</sup> *Ocalić pamięć*, z Idą Fink rozmawia Piotr Szewc, „Nowe Książki” 2003, nr 5, s. 5.

<sup>154</sup> 2002.

<sup>155</sup> Ida Fink, *Skrawek czasu*, Londyn 1987, s. 22.

<sup>156</sup> Tamże, s. 23.

<sup>157</sup> Tamże, s. 100.

<sup>158</sup> *Piszę szeptem*, z Idą Fink rozmawiała Justyna Sobolewska, „Gazeta Wyborcza” 13 V 2003.

„Nie napisałam ani słowa. Wtedy sobie tłumaczyłam, że miniony czas jest zbyt bliski, a wszystko, co widziałam, zbyt chaotyczne”<sup>159</sup>. Ale jej myśli nieustannie krążyły wokół przeżytej grozy.

Zaraz po wojnie Żydzi ocaleni z zagłady odczuwali przede wszystkim radość, że przeżyli, że przeżył ktoś z ich rodziny, ale również rozpacz i pustkę po zamordowanych. Prowadzili ze sobą niekończące się rozmowy o tym, czego byli świadkami i o tych, którzy nie przeżyli Holocaustu. Istotny sens tych rozmów, w świetle własnego doświadczenia i przemyśleń, Ida Fink ujęła w słowach: „Pewnego dnia zorientowałam się, że to, o czym mówimy, to jest właściwie pisanie. Ja już piszę, tyle że nie na papierze. Nie spodziewanie znowu pojawiła się myśl: »Pisz, pisz«. Zaczęłam późno, ale przez te lata milczenia już spisywałam te historie”<sup>160</sup>. One nie bładły z upływem czasu.

Po dłuższym okresie nie tyle milczenia, ile „pisanja myślą” nastąpił moment krystalizacji, rodzenia się dojrzałego owocu. Pewnego dnia niespodziewanie powstało pierwsze napisane opowiadanie. Po nim pojawiło się następne i dalsze. Wszystkie one czystością stylu, klarownością obrazu, opanowaniem i dyscypliną potwierdzały owo dłużej trwające dojrzewanie ich kształtu w pisaniu „myślanym”, w którym ustalała się ich forma: „Było tak, jak gdybym znalazła własną drogę, nie jedyną oczywiście, ale taką, jaka mi najbardziej odpowiada. Pisząc, nie zastanawiałam się nad formą, nie myślałam nad tym, dla kogo piszę. Forma narzuciła się sama”<sup>161</sup>.

Autorkę cechuje powściągliwość, za którą wyczuwa się napierające dramatyczne treści. Zwięzłość stawiająca tamę wielosłowiu, które by osłabiło wstrząsającą wymowę suchych relacji pozbawionych komentarza. Trafne słowa, celne określenia czynią zbędnym dopisywanie kropek nad „i”. Zastępuje je milczenie. Krąg widzenia narratora odpowiada świadomości i wiedzy autorki. Celna puenta rzuca światło na jej stan wewnętrzny i na grozę sytuacji, wobec której się znajduje. Pod ciśnieniem tej grozy pozostają wszystkie utwory Idy Fink.

Zanim one powstały, a ściślej: zanim zostały napisane, bo w jej myślach istniały wcześniej, było już wielu autorów podejmujących podobną tematykę. Pisarka nie szukała u nich inspiracji, nawet u tych, których podziwiała – a podziwiała na przykład Adolfa Rudnickiego, lecz jego tropem nie poszła.

U źródeł jej prozy tkwi autentyczność przedstawionych zdarzeń i ludzi.

Piszę w dużej mierze o tym, co przeżyłam. Należę do pisarzy tzw. pierwszej generacji po Holocaustcie [...]. Pokolenia, które przeżyło, często przez wiele lat po wojnie milczało [...]. To jest prawdziwa historia. Moje opowiadania pokazują życie codzienne w czasach trwałego zagrożenia. To są zwyczajni ludzie, często ze Zbaraża, ogród pojawiający się w opowiadaniach to mój ogród, a krajobraz też pochodzi ze Zbaraża<sup>162</sup>.

Opowiadania Idy Fik przypominają *Medaliony* Zofii Nałkowskiej: krótka forma, powściągnięte prerażenie, rzeczowa sucha relacja, unikanie zbędnego komentarza, wstrząsająca wymowa samych faktów, milczenie. Zofia Nałkowska czerpała jednak informacje o przedstawionych w *Medalionach* zdarzeniach z zeznań świadków przesłuchiwanym przez Komisję do Badań Zbrodni Niemieckich w Polsce, a pozycja Idy Fink była zasadniczo odmienna. Ona mogłaby stanąć przed tą komisją jako bardzo ważny, wiarygod-

<sup>159</sup> Tamże.

<sup>160</sup> Tamże.

<sup>161</sup> Tamże.

<sup>162</sup> Tamże.

ny świadek. W niczym nie ujmując artyzmowi i znaczeniu *Medalionów*, można by za Gustawem Herlingiem-Grudzińskim powiedzieć, że pochodzą one „z drugiej ręki”<sup>163</sup>, podczas gdy Ida Fink opisywane zdarzenia przeżywała bezpośrednio, tkwiąc wewnątrz świata objętego przez Holocaust. Był to świat szczególny, inny niż otaczająca go polska rzeczywistość okupacyjna, skazany na zbrodnicze działania okupanta, którego celem była jego całkowita zagłada. Ten świat jest zamkniętym kręgiem, z którego nie ma wyjścia i który jest izolowany od całości okupowanego polskiego kraju. Ludzie znajdujący się w „zamkniętym kręgu” są skazani na śmierć dlatego, że są inni. „Inne mieliśmy miary czasu, my inni, zawsze inni, zawsze z piętnem inności, która jednych wbijała w pychę, a drugich w pokorę, my inni, którzy z racji swojej inności byliśmy znów skazani, jak niegdyś już w historii, nie raz, nie dwa...”<sup>164</sup>.

Między tym kręgiem a otaczającą go polską rzeczywistością okupacyjną nie ma kontaktu. To są dwa różne światy. Na zewnątrz „zamkniętego kręgu” dzieją się również rzeczy straszne, ale nie w takim nasileniu, niezmierzające do totalnej zagłady narodu. Tam, na zewnątrz są łapanki, jest porywanie ludzi z ulicy na przymusowe roboty do Niemiec. Dla ludzi z „zamkniętego kręgu” łapanka i praca w Niemczech może być ocaleniem. Oni przeżywają „akcje” – kolejne dziesiątkowanie Żydów ściśniętych w getcie i wywożenie ich na śmierć. Dla nich czas liczy się według „akcji”. Coś się zdarzyło „po pierwszej akcji”, albo „przed drugą akcją”. Były osoby, o których się mówiło, że przeżyły „pierwszą i drugą akcję”, nie przeżyły trzeciej. Autorka w getcie w Zbarażu przeżyła cztery, nim udało się jej z niego wydostać.

Muzyka jest akompaniamentem do przeżyć narratorki (autorki) i młodych ludzi z jej kręgu, którzy również uprawiają muzykę. Świat muzycznych doznań zostaje zderzony z żywiołem strasznych dźwięków zwiastujących wojnę:

Pamiętał jak najdokładniej: smyczki zstępowały w piano, torując drogę soliście, były to pierwsze takty *largetta*, które tak bardzo lubił. Wtedy właśnie uchwycił słabe brzęczenie dobiegające go od strony miasta. Jak gdyby szarańcza nadlatująca z oddali. Może nawet nie szarańcza, po prostu gęste tremolo smyczków, rosnące w *forte*, coraz bliższe, zapowiadające burzę. Orkiestra, która znów przejęła temat fortepianu, przemówiła stłumionym głosem, a tłumem słuchaczy jak gdyby wiatr powiał – wszyscy zwrócili się w kierunku, skąd szła teraz już głośnie i brutalna fala łoskotu. Uchwycił moment wahania u pianisty, zobaczył jego dłonie atakujące niemą klawiaturę. Nie słyszał było ani dźwięku instrumentu, ani orkiestry. Ulicą przylegającą do parku grzmiał łoskot czołgów, chrzęst gąsienic<sup>165</sup>.

Świat doznań muzycznych, łączących młodych ludzi z kręgu narratorki zostaje zaatakowany przez wojnę. Ginie wielbicielka Bacha i jazzu, utalentowany kompozytor, a Zygmunt, niepozorny chłopiec z prowincji, który grał trzeci koncert Beethovena „bardzo pewnie, z nienaganną techniką długich, giętkich palców”, został zmuszony do pracy przy niwelowaniu terenu na lotnisko. Zmieniony, zmarniały, milczący, przy pomocy muzyki wyraził swój dramat:

Nagłym ruchem zerwał się z tapczanu, usiadł przy fortepianie, otworzył klawiaturę i bez chwili namysłu czy skupienia, jakie zazwyczaj poprzedzają grę, w nerwowym pośpiechu zagrał dwa krótkie pasaże c-moll. Zabrzmiały jak krzyki.

<sup>163</sup> Por. Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia*, Warszawa 1998, s. 135–137.

<sup>164</sup> Ida Fink, *Skrawek czasu*, s. 8.

<sup>165</sup> Tamże, s. 5–6.



A potem, zamiast wziąć cichy akord w E-dur, rozpoczynający część drugą, wykrztusił: „Wiesz, oni nas tam strasznie biją”<sup>166</sup>.

W kręgu muzycznych, wysublimowanych przeżyć pojawia się zgrzyt w życiu Julii, postaci pojawiającej się w kilku opowiadaniach. Było to jeszcze przed wojną. W przezwie recitalu znanego pianisty usłyszała wypowiedziane półgłosem zdanie zawierające aluzję do jej twarzy: „Nawet tutaj nie można się od nich opędzić”<sup>167</sup>. Zrezygnowała z dwóch ostatnich sonat Beethovena i opuściła gmach filharmonii, by więcej tam nie powrócić.

Wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa łączą się z muzyką: „Z odległego pokoju płynie muzyka, osiada w gardle i dławi. Cicho... cicho... słyszyście? Trzecia część Dziewiątej”<sup>168</sup>.

Muzyka pojawi się nieoczekiwanie w autobiograficznej *Podróży*. Muzyka i ukrywane przez narratorkę (autorkę) wykształcenie. Wbrew wszelkim zasadom ostrożności, podając się za prostą, wiejską dziewczynę, narratorka daje się sprowokować Niemcom szydzącym z „prymitywnego, brudnego, leniwego” polskiego narodu i z niej, która na pewno pierwszy raz widzi fortepian. Nie wytrzymała: ku swemu przerażeniu tym, co robi, „odsunęła łokciem bladego Hansa, usiadła, uderzyła akord As-dur. Nie śmiała się już, serce głucho waliło. Grała poloneza Chopina. Po ośmiu taktach przerwała. Ręce jej drżały, musiała je ukryć w kieszeniach fartucha”<sup>169</sup>.

Piękno muzyki i piękno przyrody kontrastuje z grozą wypełniającą zamknięty krąg getta. Narratorka zapamiętała czyste, świeże poranki, wielobarwny świat natury, woń kwiatów i owoców, dotykane czerwonych, pachnących jabłek, ciszę lasu, piękno ogrodu. *Odphływający ogród* – to tytuł opowiadania, który stanie się tytułem całego, pełnego zbioru krótkich form *Idy Fink*. Ogród, o którym w nim mowa, to ogród autorki w Zbarażu. Piękny, bujny, z drzewami owocowymi, z których w „popołudnie łagodne, przy słońcu leniwym i złotym zrywało się z rówieśnikami czerwone, dojrzałe jabłka. [...] Mój dom – obszerny, jednorodzinny, położony w sadzie liczącym siedemdziesiąt osiem drzew owocowych”<sup>170</sup>. Również kolorowe sukienki kontrastują z czernią milczącego tłumu Żydów zgromadzonych na placu w celu ich deportowania. „Siedemdziesiąt osób załadowano do auta, w ostatniej chwili wywleczono z domu rabina – był siedemdziesiątym pierwszym”<sup>171</sup>.

Opowiadanie *Koniec* otwiera tom *Skrawek czasu*. W obliczu przeczuwanej, oczekiwanej grozy myślą się czasy gramatyczne użyte w rozmowie pary młodych ludzi. On się obrusza, gdy ona używa czasu przeszłego, mówiąc: „malowałeś”. „Mów – jest, malujesz”. Na co dziewczyna, realniej oceniając to, co się dzieje, odpowiada: „Po co kłamiesz? To koniec. Koniec młodości, koniec miłości, twoich obrazów, mojej muzyki. Byliśmy bardzo szczęśliwi, ale nie trzeba kłamać. Czy nie lepiej powiedzieć sobie: mieliśmy tylko trzy miesiące wielkiego szczęścia?”<sup>172</sup>.

Opowiadanie *Koniec* otwiera wejście do świata, którego opis wypełni wszystkie następne utwory *Idy Fink*. Jego tytuł oznacza koniec czasu normalnego, przedwojennego. Zapowiada tym samym początek czasu, którego grozy para bohaterów występująca

<sup>166</sup> Tamże, s. 35.

<sup>167</sup> Ida Fink, *Odphływający ogród*, opowiadania zebrane, Warszawa 2002, s. 295.

<sup>168</sup> Tamże, s. 332.

<sup>169</sup> Ida Fink, *Podróż*, Warszawa 2004, s. 253.

<sup>170</sup> Ida Fink, *Skrawek czasu*, s. 21.

<sup>171</sup> Tamże, s. 11.

<sup>172</sup> Tamże, s. 6–7.

w tym opowiadaniu nie mogła sobie jeszcze wyobrazić: „Świat dojrzał i wstało słońce. Od piętnastu minut trwała wojna”<sup>173</sup>.

Tytułowe opowiadanie *Skrawek czasu* jest początkiem opowieści o tym, co naprawdę oznaczało przytoczone wyżej zdanie z *Końca*. Opowieści podzielonej na krótkie szkice, na „skrawki czasu”, które składają się na obraz życia w „zamkniętym kręgu”. *Skrawek czasu*, opowiadanie nadające tytuł całemu zbiorowi, jest początkiem, wejściem do tego kręgu, z którego nie będzie innego wyjścia niż śmierć. Kręgu, w którym znajdują się wszyscy „inni”, odcięci od reszty świata. A czas w nim biegnący będzie mierzony „nie miesiącami, nie wschodem i zachodem słońca, lecz słowem, pojęciem oznaczającym ruch, działanie, terminem stosowanym najczęściej w odniesieniu do literatury – do powieści lub dramatu”<sup>174</sup>. Tym słowem jest „akcja”.

W „zamkniętym kręgu”, izolowanym od reszty świata obojętnego na to, co się w tym kręgu dzieje i nieśpieszącego z pomocą ludziom w nim przebywającym i skazanym na śmierć, dominuje pełna świadomość spełniającego się losu. Dziewczyna pochłonięta lekturą *Jana Krzysztofa* Romaina Rollanda wyjaśnia: „Muszę się śpieszyć [...]. Chcę zdążyć. Jest jeszcze jeden tom, boję się, że nie zdążę”.

Dziewczyna, przepędzana wraz ze swoim chłopcem z ogrodu, mówi rozgoryczona: „Nam nic nie wolno, nawet kochać się nie wolno, nawet się sobą cieszyć. Nam wolno tylko umierać. W tym wieku, pani mówi. Albo dożyjemy innego”<sup>175</sup>.

Pięcioletni chłopczyk na odgłos jadących aut pyta ojca: „Te auta po nas, tatusiu?”. Uczyszany „zakrywa się kołdrą po czubek nosa i mówi: »Bo jak usłyszą, to zabiją«”<sup>176</sup>.

„Ukryci w ciemnych wnętrzach, z twarzami przy szybach zwilgotniałych od deszczu i naszych oddechów, my, ocaleni do następnego rana, patrzyliśmy na skazanych, którzy stali na rynku”<sup>177</sup>.

Śmierć stała się sprawą dnia powszedniego. Mówiono o niej głośno w kolejkach po chleb; strach stał się stanem naturalnym. Zmieniał się wygląd ludzi, wyraz ich oczu, chód, grymas ust.

Doczekanie końca wojny, uratowanie własnego życia, klęska Niemiec i wyzwolenie nie oznacza końca koszmaru. On skończyć się nie może. Po takich przeżyciach, chociaż udało się ująć śmierci, nie ma powrotu do normalności.

Niekiedy życie tych, którzy się uratowali, jest nie do zniesienia. Jak ojca z opowiadania *Wariat*, który zdołał się ukryć, gdy esesmani zabierali jego rodzinę. Z ukrycia widział, jak wyprowadzano jego dzieci. Młodsze widziało ukrywającego się ojca i zawołało: „Tato, chodź do nas”. Starsze szybko zakryło mu oczy, zmuszając do milczenia. Ojciec przeżył. Błaga lekarza o lekarstwo, by nie musiał się chować i krzyżeć.

Bohater *Drzazgi* ocalał, bo kiedy Niemcy przyszli po jego rodzinę, matka ukryła go za drzwiami, pilnowała, by nie wyszedł. On i tak by nie wyszedł, a matkę zabrano na śmierć. Pamięć o tym, uwiera jak drzazga i nie pozwala żyć. Musi zwierzyć się z tego leżącej obok dziewczynie. Gdy skończył, spojrzął na nią, zobaczył: „Rozchyliła ciepłe wargi i oddychała spokojnie, równomiernie. Spała”<sup>178</sup>.

<sup>173</sup> Tamże, s. 7.

<sup>174</sup> Tamże, s. 8.

<sup>175</sup> Tamże, s. 13 i 25.

<sup>176</sup> Tamże, s. 42.

<sup>177</sup> Tamże, s. 45.

<sup>178</sup> Tamże, s. 82.

Kobieta z opowiadania *Drugi brzeg* ukryła się u znajomej po tym, jak zastrzelono jej męża i syna. Stale usprawiedliwia się przed ludźmi, że się uratowała, że przeżyła.

Ida Fink nie tylko utrwała zdarzenia i przekazuje ich świadectwo, zatrzymuje się również na sylwetkach ludzi, szkicuje ich portrety, zarysowuje psychologiczne kontury, wyraźniejsze w zderzeniu z żydowską rzeczywistością okupacyjną. Utrwała pamięć tych, którzy nie ocalili, postaci, które „przemykają bocznymi ścieżkami pamięci”, pojawiają się i znikają. Wiedzę o ich ostatnich chwilach dopełniają powojenne relacje ludzi, którzy ich widzieli. „Dopiero po wojnie... dopiero po latach... dopiero przypadkiem... Wciąż powraca i w słowie, i w piśmie – ten zwrot – uzupełnienie, zwrot – przypisek do poszczególnych losów”<sup>179</sup>.

Ze skrawków informacji dopełnionych domysłem wyłania się los Eugenii porzuconej przez męża, bo była Żydówką. Widziano ją potem w getcie, rozjaśnioną, odmłodzoną, bo tam przeżyła chwile szczęścia z Emanuelem. Oboje zginęli w czasie likwidacji getta. W *Zapiskach do życiorysu* narratorka tylko domyśla się, co myśli i czuje Julia, która „własną przeszłość przypieczętowała milczeniem”, gdy zamykała za sobą drzwi mieszkania, a w wyobraźni pojawiali się: nieżyjący mąż, syn; jeden z książką, drugi z piłką, gdy to się stało. Przeżyła getto. „Wieczorem leżała w łóżku bezwładna, okryta szarym kocem. Bryła ziemi”. Uciekała przed rozmowami na ten temat, ale w samolocie, lecąc do Izraela, trafiła na człowieka, który siedział obok niej i cały czas opowiadał o tym, co przeżył. „... i nie mógł przestać mówić. Chciała się bronić, nie chciała słuchać, ale słuchała i tamten czas zwał się na nią jak lawina... była znów tam, tam, wtedy”<sup>180</sup>. Umarła w Izraelu na atak serca.

Ida Fink posługuje się niedomówieniem, zawieszeniem akcji, milczeniem i trafną puentą podkreślającą realność sytuacji. Marzenie o ogrodzie, który „odpływał w dal niepojętą, nie do pokonania”, zostaje przerwane: „Nie mruż tak oczu. Jak mrużysz oczy, zaraz poznać, że jesteś Żydówką”. Po takich słowach wszystko wraca na właściwe miejsce, wraz z głosem ojca wzywającego córki do gabinetu, „do energicznej pani Kasińskiej, która, po uzgodnieniu zapłaty, obiecała wyrobić nam kennkarty, żebyśmy mogły się ratować, żeby nas nie zabili”<sup>181</sup>.

Opowiadanie *Rozmowa* to udany, znakomity dialog pełen niedomowień, odsłaniający dramat małżeński w obliczu – z jednej strony – śmiertelnego zagrożenia, a z drugiej – wysokiej ceny moralnej, jaką przychodzi zapłacić za możliwość ukrywania się w aryjskim domu. Scena z ojcem niosącym na rękach skrwawione dziecko zastrzelone przez Niemca kończy opowiadanie o sielankowym tytule *Wiosenny poranek*.

Uzyskanie aryjskich papierów było ratunkiem. Mogło być ratunkiem. W razie ujawnienia fałszywych dokumentów groziło jeszcze większe niebezpieczeństwo. Żydzi, złapani na aryjskich papierach, byli rozstrzeliwani w ciągu 48 godzin. Niemniej widziano w nich ratunek, zabiegano o nie, płacono żadaną sumę, narażano się na poniżenie, szantaż, gwałt. Suchą, pozbawioną komentarza, lecz wstrząsającą relacją o tym zawiera opowiadanie *Aryjskie papiery*.

Ida Fink wraz z młodszą siostrą wyjechały na aryjskich papierach za pośrednictwem lwowskiego Arbeitsamtu na roboty do Rzeszy. Uznały to za najbezpieczniejszy sposób przetrwania wojny. Przeżycia w Niemczech, pracę u niemieckich gospodarzy, ukrywanie swej tożsamości w stałym lęku, że zostanie odkryta, ucieczki z miejsca pracy w chwili,

<sup>179</sup> Ida Fink, *Odpływający ogród*, s. 211.

<sup>180</sup> Tamże, s. 305 i 317.

<sup>181</sup> Ida Fink, *Skrawek czasu*, s. 18.

gdy groziło im niebezpieczeństwo największe, bo w otoczeniu zaczęto się domyślać, że są Żydówkami, peregrynacje po niemieckim kraju i udawanie, że zbiegły z transportu, głód, wycieńczenie i choroby podczas takich ucieczek, zdobywanie się na nadludzki wysiłek woli, by nie załamać się i walczyć o przetrwanie – to wszystko Ida Fink przedstawiła w powieści *Podróż*.

Naszą ucieczkę i ukrywanie się w Niemczech opisałam w książce *Podróż*. To nie jest powieść, tylko fikcja autobiograficzna. Wszystko odbyło się naprawdę, chociaż opisuję to stylem innym niż styl autobiografii. Użyłam pierwszej i trzeciej osoby, żeby zdobyć się na pewien dystans<sup>182</sup>.

Aryjskie papiery pomagały w ratowaniu życia, ale nie gwarantowały ocalenia. Ukrywanie się dzięki nim było trudne. „Jesteś ukryty w innej osobie, którą sam stwarzasz. Cały czas obmyślałyśmy z siostrą kolejne nasze wcielenie, każda osoba musiała być inna od poprzedniej. To był teatr absurdu”<sup>183</sup>. Z każdą ucieczką wiązała się konieczność zmiany imienia, nazwiska, miejsca urodzenia, szczegółów biograficznych i pełna koncentracja uwagi, by jakąś sprzecznością w wypowiedziach nie wzbudzić podejrzeń. Życie na aryjskich papierach było bardzo trudne, bo aktywne. Gdy się jest schowanym w piwnicy, stodole, w jakimś bunkrze, ma się tylko jedno zadanie: nieruchomieć w momencie zagrożenia i czekać, aż ono się oddali. Na aryjskich papierach jest się stale wśród ludzi. Miejscem ukrycia, „schowkiem” jest narzucona sobie, wymyślona, obca osobowość; z fikcyjnym imieniem i nazwiskiem, fikcyjną rodziną i biografią, także ze zmienionym językiem, by ukryć swój rzeczywisty status społeczny.

Ten teatr absurdu wymaga nieustannej uwagi, stałego pogotowia, by się nie zdradzić błyskiem oka, momentem zawahania, drobną pomyłką w jakimś szczególe nie swojej biografii. I to pod grozą zdemaskowania i – w konsekwencji – śmierci. Przypomina się tu autobiograficzna książka Aleksandra Janty *Kłamałem, aby żyć*.

Zdawałoby się, że koniec wojny, klęska Niemiec, wyzwolenie przez armie sojusznicze powinny przynieść kres koszmarom, przywrócić normalne życie. Otóż tak nie jest. Koszmar nie może się skończyć. Trwa nadal. Po tym, co się przeżyło w czasie Holocaustu, nie ma powrotu do normalności. Demony wojny, hitleryzmu, rasizmu ścigają nadal swe ofiary. Powojenne, już turystyczne odwiedzanie miejsc, w których spędziło się lata wojny, zamiast ułatwić przewyciężanie złej przeszłości, przynosi nowe rany. Taka podróż, wbrew oczekiwaniom, okazuje się nie do zniesienia, jak w opowiadaniu *Mdłości*. Może też przynieść nieoczekiwany, a bardzo dotkliwy cios w zderzeniu z niemiecką mentalnością, jak w opowiadaniu *Schron*, albo tragiczny zawód, jak w *Adresie*.

Żydowska dziewczynka z opowiadania *Wesoła Zośka* spędziła prawie dwa lata w stodole. Ukrywała się dwa miesiące dłużej, niż to było konieczne, bo nie wiedziała, że wojna już się skończyła. Po wojnie trafiła do domu dziecka. Nie wie, gdzie i kiedy się urodziła, kim byli jej rodzice. Pamięta tylko, że długo chodziła po lesie, nim się schowała w starej stodole. Ale w jakich okolicznościach trafiła do lasu – tego już nie pamięta. Mówi o sobie:

Mnie nikt nie bił, nie męczył... Niemca na oczy nie widziałam... Ale jest tak, jakby mnie zabili. Bo nie jestem ta sama. Imię, nazwisko, data urodzenia – nie moje. Doktor mówił: szok.

<sup>182</sup> *Piszę szeptem*.

<sup>183</sup> Tamże.

Nie wiem, co było przedtem i jaka ja byłam. Więc jest tak, jakby mnie nie było [...]. Widziała pani kiedyś człowieka, co go wojna zabiła, a on żyje?<sup>184</sup>.

Narratorka *Nocy kapitulacji* może wreszcie być sobą. Wojna się skończyła. Jest dzień zwycięstwa. Chce się zwierzyć Mike'owi, miłemu chłopcu, amerykańskiemu żołnierzo-  
wi, któremu się podoba i który chciałby z nią związać swoje życie. Patrząc mu w oczy mówi, że jest Żydówką i nie może powstrzymać płaczu, widząc, że w jego twarzy nie zaszło nic, czego się obawiała. Ale, chcąc dla niej, dla ich obojga jak najlepiej, radzi, by tak zostało, by uchodziła za nie-Żydówkę. To nie sprawa antysemityzmu, ale tak będzie po prostu łatwiej. „Dotknął wargami mych włosów, w błysku rakiety, która rozprysła nad nami, chwyciłam niespokojne spojrzenie jego oczu. Byłam zimna i znów nie umiałam płakać”<sup>185</sup>.

Innym powrót do normalności przychodził z łatwością:

Jest rok siedemdziesiąty [...]. Co dzień rano o godzinie ósmej, w pochmurnym, północnym mieście [...] komendant schodzi z pierwszego piętra swego jednorodzinnego domku i podnosi żaluzje sklepu z wędlinami, a oberkapo zasiada przy biurku dyrektora firmy budowlanej<sup>186</sup>.

## Jadwiga Maurer

Odpowiadając na pytanie „Polityki”, co z polskiej literatury emigracyjnej należy wydać w kraju<sup>187</sup>, wskazałem również na prozę Jadwigi Maurer. Wkrótce dostałem od niej list ze Stanów Zjednoczonych ze słowami:

Ku największej mojej radości i chyba jeszcze większemu zdumieniu wymienił Pan Profesor mój tomik. [...] W tej samej ankiecie i równie niespodziewanie Tadeusz Drewnowski wymienił *Ligę ocalałych*. Czyli że tak właściwie wreszcie awansowałam na człowieka szczęśliwego... Piszę to, proszę mi wierzyć, bez żadnej ironii. Bo nie spodziewałam się nigdy do Polski „powrócić”. Pierwsza moja książka, *Liga ocalałych* otrzymała nagrodę londyńskich „Wiadomości”, więc przeczytało ją z musu trochę osób. Ale *Podróż na wybrzeże*... jest nieznaną – przepraszam – była nieznaną, zanim ją Pan wymienił, bo teraz już kilka osób z Polski i jedna osoba z Izraela pytały mnie, gdzie to można kupić. Przypuszczam, że nigdzie<sup>188</sup>.

Do bezpośredniego spotkania z pisarką doszło w maju 1994 roku, gdy przyjechała do Polski po raz pierwszy po jej opuszczeniu w roku 1946.

Był słoneczny dzień, gdy prowadziłem ją z hotelu „Cracovia”, bulwarem nad Wisłą, koło Wawelu, na Kazimierz. Od ulicy Krakowskiej nie pozwoliła już się prowadzić. Wysunęła się przede mną, przejęła rolę przewodnika, energicznie przekroczyła ulicę, na placu Wolnica pokazywała piwniczne okna w Ratuszu, skąd – pamiętała – dochodziły podczas okupacji głosy uwięzionych tam Polaków. Pewna siebie skierowała się

<sup>184</sup> Ida Fink, *Skrawek czasu*, s. 93.

<sup>185</sup> Tamże, s. 77.

<sup>186</sup> Ida Fink, *Odplywający ogród*, s. 251.

<sup>187</sup> *Z emigracji do kraju (ankieta)*, „Polityka” 1993, nr 5.

<sup>188</sup> Z listu do autora z 2 IV 1993.

w poprzek placu ku zbiegowi ulicy Mostowej i Bocheńskiej, gdzie stoi wyróżniający się wysokością dom. W nim mieszkała z rodzicami podczas niemieckiej okupacji.

Wspominała ten spacer wielokrotnie w późniejszych listach.

Dosłownie niezapomniany dzień w moim życiu – wyprawa z Panem na Kazimierz do domu, o którym zawsze myślałam, ale nie sądziłam, że go jeszcze kiedyś zobaczę. Już wszystkim opowiedziałam, że gdyby nie Pan, nigdy nie miałabym odwagi tam pójść. Opowiadałam to w Warszawie, już w Krakowie Markiewiczom, i teraz opowiadam w Lawrence. Dziękuję za tę „godzinę myśli”<sup>189</sup>.

O mojej z Panem jako przewodnikiem wyprawie na Kazimierz opowiadałam każdemu. Wszyscy słuchają z zainteresowaniem. Teraz ta dziwna egzystencja na krakowskim Kazimierzu nie wydaje mi się więcej osobna... stała się jakby prawdziwą przeszłością. Przedtem wydawała mi się nierzeczywista i coś jakby sama dla siebie [...]. Teraz rozpoznaję mój Kazimierz jako dziwny, bo życie było dziwne, ale prawdziwy. Zwłaszcza że nic się tam topograficznie nie zmieniło. Jak było, tak jest. Ta sama ulica Mostowa, ta sama Bocheńska, ta sama Wolnica, tylko jest tam jakiś pomniczek i fontanna, tego nie było, ale to takie skromniutki, nie zmienia wyglądu. Tu i tam pomalowane na inny kolor. I pełno małych sklepików, czegoś tam... To też nie zmienia wyglądu, bo kilka z nich było i wtedy<sup>190</sup>.

Wspomniała, że już pół wieku temu miała zamiar opisać ten dom, tę ulicę. I teraz, po tym spacerze ku przeszłości, ten pomysł powrócił.

Nie zrealizowała go jednak. Pozostał tylko ślad, że już od dawna myślała o nim, szkicowała jego zarysy. W jej opowiadaniach pojawiają się motywy z Kazimierza, wspomnienie domu u zbiegu ulic Mostowej i Bocheńskiej. Chociaż był to groźny czas niemieckiej okupacji, ku zdziwieniu jej samej – ten wysoki dom powracał otoczony dobrymi skojarzeniami:

Przypominała mi się tamta ogromna, wojenna kamienica na Kazimierzu. Tam każde mieszkanie tętniło życiem, każdy pokój nabrzmiały był co najmniej dramatem, a często tragedią. Zateśniłam naraz do tamtej kamienicy, a równocześnie zawstydziałam się tego uczucia. Jakże mogę tęsknić za tamtą kamienicą, która stała w samym środku okupowanego Krakowa, w samym sercu Generalnego Gubernatorstwa<sup>191</sup>.

Opowiadania Jadwigi Maurer obfitują w motywy zaczerpnięte z jej własnej biografii. Jest to szczególnie widoczne w świetle takiej ich kompozycji, jaką wprowadził (niewątpliwie w porozumieniu z autorką) redaktor tomu *Sobowtóry*, Jerzy Daniel. Utwory, które wcześniej ukazywały się w zbiorach *Liga ocalałych* i *Podróż na wybrzeże Dalmacji* oraz były rozproszone w czasopiśmie, uporządkował nie według czasu ich powstania, lecz zgodnie z chronologią treści. Uzasadnił to przekonująco. Opowiadania są ze sobą powiązane postacią bohaterki-narratorki. Ich kolejność jest więc w zgodzie z następstwem wydarzeń w jej życiu. Ich zbiór nabiera cech powieści.

Ale nie powieści autobiograficznej. Przedstawieni ludzie, opisane zdarzenia wywodzą się z autentycznych doświadczeń autorki, ale nie muszą ściśle odpowiadać jej biografii. Niemniej główna bohaterka opowiadań i narratorka zarazem jest rezonerką autorki.

<sup>189</sup> Z listu do autora z 9 VI 1994.

<sup>190</sup> Z listu do autora z 12 VIII 1994.

<sup>191</sup> Jadwiga Maurer, *Sobowtóry*, Kielce 2002, s. 72. Cyfry w nawiasie po następnych cytatach oznaczają numery stron tego wydania.

Na jej sposób widzenia świata przedstawionego w opowiadaniach wywarły wpływ dwa główne elementy: pokoleniowy i sytuacyjny.

Jadwiga Maurer, urodzona w 1932 roku należy do pokolenia dzieci Holocaustu, do tej generacji żydowskich ocalańców, która wojnę, okupację i zagładę Żydów przeżywała w wieku dziecięcym. To określiło szczególnie punkt widzenia przeżywanych zdarzeń. Narratorka opowiadań Jadwigi Maurer zwraca się do starszych Żydów ocalałych z zagłady: „Przez lat pięćdziesiąt mieliście niezliczone okazje opowiadać o tej swojej wojnie. Pomyślcie, to było pół wieku temu. Teraz nadszedł mój czas” (372).

Szczególna sytuacja narratorki (autorki) to przeżywanie lat wojny i okupacji niemieckiej na aryjskich papierach, co ją różniło od Żydów inaczej ocalałych. Aryjskie papiery:

To małeńki skrawek wielkiej zagłady, w którym uratowali się nieliczni polscy Żydzi. [...] Jest to epizod niezbyt zresztą dobrze widziany przez oficjalnych, zawodowych teoretyków i historyków Holocaustu [...], dla których życie na aryjskich papierach jest niepojęte, a przeżycie wręcz obraźliwe. Stąd utarł się oficjalny eufemizm „schowani” lub bardziej dwuznaczny – „w ukryciu” [...], a w urzędach emigracyjnych po wojnie wydawano petentom instrukcje, że o żadnych fałszywych papierach mówić nie wolno<sup>192</sup>.

Inaczej natomiast było w środowisku żydowskim w Monachium, któremu autorka poświęca najwięcej miejsca w swych utworach. Po wojnie do Monachium przybyło i przebywało w nim wielu Żydów ocalałych z zagłady. Udało im się przeżyć obóz koncentracyjny, ujsć z życiem podczas kolejnych „akcji” w gettach. Dla nich Żydzi, którzy przeżyli wojnę na aryjskich papierach, to były „istne Szeherazady”. Każdy chciał się od nich dowiedzieć, jak wyglądało codzienne życie w okupowanej Polsce poza murami getta i drutami obozów zagłady. Jak się Polakom żyło w Generalnym Gubernatorstwie? Jakie były szkoły? Co nauczyciele mówili dzieciom o Żydach?

Opowiadania Jadwigi Maurer powstawały już po jej wyjeździe z Monachium i przybyciu do Stanów Zjednoczonych w 1956 roku. Czas akcji zaczyna się od lat wojny. Wiek narratorki odpowiada ówczesnemu wiekowi autorki, 9–12 lat.

Biografię głównej bohaterki łączącej wszystkie opowiadania można podzielić na cztery okresy. Pierwszy – to lata spędzone na krakowskim Kazimierzu podczas niemieckiej okupacji. Drugi, stosunkowo krótki – to pobyt na Słowacji, w klasztorze, pod opieką księży i sióstr zakonnych. Trzeci – najdokładniej i najobszerniej potraktowany – to pierwsze powojenne dziesięciolecie w żydowskim środowisku monachijskim. Czwarty – to lata stałego osiedlenia w Stanach Zjednoczonych, praca na amerykańskich uczelniach i retrospektywne powroty we wspomnieniach i twórczości do okresów poprzednich. Fazy życia bohaterki-narratorki odpowiadają głównym częściom biografii autorki.

W pierwszym okresie bohaterka, pochodząca z zasymilowanej rodziny żydowskiej, dzięki aryjskim papierom uniknęła deportacji do getta usytuowanego na Podgórzu. Mieszka wraz z rodzicami na Kazimierzu, „na czwartym piętrze tej jedynej, zbyt wysokiej kamienicy na Wolnicy. Bo kto widział, żeby kamienica na Kazimierzu miała cztery piętra! Tuż obok wylotu ulicy Bonifraterskiej” (5–6). Żyje ze świadomością, że każdy napotkany człowiek może ją wydać, a nawet ma prawo ją zabić. „Krycie się [...] »na aryjskich papierach«, udawanie, że jest się kimś innym. Gra w Aryjczyka była niebezpieczna i wiedziałem o tym” – wspomni Henryk Grynberg<sup>193</sup>.

<sup>192</sup> Jadwiga Maurer, *Wspomnienia z Atlantydy*, „Przegląd Polski” (Nowy Jork) 9 I 1997.

<sup>193</sup> Henryk Grynberg, *Prawda nieartyścyczna*, Wołowiec 2002, s. 7.

Krakowski Kazimierz znajdujący się pod niemiecką okupacją jest postrzegany oczami dziewczynki żydowskiego pochodzenia, wzrastającej w kręgu polskiej i katolickiej kultury. O przetrwanie modli się w kościele Bożego Ciała, w którym czuje się dobrze, bezpiecznie. Inaczej, niż u św. Katarzyny, skąd wieje grozą, bo plotka głosi, że w mroku jednego z konfesjonałów spowiednik wyciąga z ludzi tajemnice, by je przekazać Niemcom.

Jest świadoma swojego odmiennego od koleżanek rodowodu, z którym nie może się zdradzać. Gdy mija starą synagogę zamienioną na magazyn mebli, nie umie wprowadzić odczytać hebrajskiego napisu nad drzwiami, ale wie, że w niej kiedyś modlili się jej przodkowie.

Spacer z koleżankami ograniczają się do Kazimierza. Do polskiej szkoły powszechnej chodzi na Augustiańską. Plac Wolnica, przekraczany codziennie, kojarzy się ze złowrogim budynkiem ratusza. W nim jest komisariat policji granatowej, siedziba „kata Kazimierza”, Niemca Lofflera, a w oknach piwnicznych widzi przyciśnięte do krat twarze aresztowanych Polaków. „Raz zamknięty tam sąsiad przesłał przez nas wiadomość do rodziny” (36) – wspomina.

Bardzo rzadko zdarzało się jej zapuścić w ulice prowadzące w pobliżu Rynku Głównego. Tam zaczynał się Kraków „niemiecki”. Narratorka przeglądała się w szybach wystawowych i starała się nie dopuścić do siebie myśli, że ktoś mógłby w niej rozpoznać Żydówkę. Takie spojrzenie na siebie i innych było połączone z pytaniem „czy wygląda na Żyda” i stało się trwałym odruchem. „Był to odruch, który pozostał mi już do końca życia. Nieraz próbowałam się go pozbyć, ale nic z tego nie wyszło” (290).

Próba młodocianych szantażystów się nie powiodła. Zostali wystraszeni przez stróża i więcej się nie pokazali. Dyrektor szkoły przymknął oko na to, że metryka wymagana przy wpisie nie była zbyt fachowo podrobiona i przyjął nową uczennicę.

Poczucie odmienności od rówieśniczego otoczenia i solidarności z narodem, z którego się wywodziła, doszło do głosu na lekcjach języka polskiego. Nauczycielka mówiła o Żydach jako o „obcym cielem” w polskim społeczeństwie; twierdziła, że trzeba było się ich pozbyć, bo doprowadzili Polskę do ekonomicznej ruiny. Ale „to, co Hitler zrobił z Żydami, jest jednak zbrodnią” (18).

Ruch myśli dziewczynki o żydowskim rodowodzie, wywołany słowami nauczycielki, Jadwiga Maurer, już jako osoba dorosła, wracając wspomnieniem do tamtego czasu, tak ujęła:

Odszedł na zawsze ten świat, w którym się urodziłam. Stoczył się w otchłań, której nie wolno się było nawet domyślać, a ona mówiła „jednak”. Ale nie było we mnie ani nienawiści, ani żalu, ani nawet goryczy, tylko głębokie zdumienie. Nie mogłam się po prostu nadziwić, jak się to stało, jak doszło do takiego nieporozumienia, że ja czułam się częścią jej świata, a ona mnie mówiła, że byłam obcym ciałem (18).

Na lekcjach religii ksiądz katecheta dyskretnie tłumaczył dzieciom powątpiewającym w sens dokładnego uczenia się katechizmu, że jego znajomość może się przydać.

Ponad bohaterką, poza jej dokładniejszą wiedzą odbywały się kontakty, niespokojne rozmowy rodziców, które i ją wprowadzały w stan zaniepokojenia i strachu. Henryk Grynberg, doznający podobnego doświadczenia, tak ujął tę szczególną więź żydowskiego dziecka z czasu wojny ze stanem jego rodziców: „Dziecko patrzy na wydarzenia oczami własnej nieświadomości i oczami swych rodziców. Boi się, kiedy widzi w nich strach, przestaje się bać, kiedy oni przestają, jest z nimi połączone rodzajem pępownicy psychicznej”<sup>194</sup>.

<sup>194</sup> Tamże, s. 176.



Narratorka nie przyjmowała do wiadomości, że była „obcym ciałem”. Czuła się uprawniona do otrzymania jakiejś pomocy w sytuacji zagrożenia. Myślała o niej jako o oczywistej, naturalnej, przysługującej jej możliwości. „Rzecz tylko w tym, by ją odnaleźć, by do niej trafić. Nici potrzebnych kontaktów trzymał Władek, który urósł na czarnoksiężnika, na postać z bajki” (33).

Jadwiga Maurer poświęciła mu oddzielne opowiadanie zatytułowane *Władek*. W liście natomiast dodawała komentarz: „Jest to opowiadanie o prawdziwym człowieku, Władku Wójciku z Krakowskiej Organizacji Pomocy Żydom, który był sekretarzem Rady z ramienia WRN. Władka znałam i chciałam go zawsze gdzieś wspomnieć”<sup>195</sup>.

Narastające niebezpieczeństwo spowodowało, że rodzina narratorki, by uratować życie, musiała opuścić Kazimierz. Dzięki Władkowi bohaterka dostała się do ostatniego dziecięcego transportu jadącego na Węgry. Nie dojechał już do zamierzonego celu. Dotarł na Słowację i narratorka znalazła się w klasztorze pod opieką siostr i księży. Odbywała praktyki religijne, pozwoliła się wchłaniać przez otoczenie. Gdy przygotowywała się do spowiedzi przed bierzmowaniem, nie mogła sobie poradzić z grzechem zazdrości. Ludziom, którzy ją otaczali, zazdrościła pochodzenia.

Przez skrawek klasztornej łąki i za klasztornym płotem toczyły się dniem i nocą transporty kolejowe. Wiedzano, że jadą w nich Żydzi węgierscy, przez Słowację do Polski, do obozów zagłady. Narratorka ukrywająca się w katolickim klasztorze patrzyła na te transporty. Ratunku dla siebie szukała w rozumowaniu:

Nic mnie z nimi więcej nie łączyło, skoro nie odbywałam z nimi sprawy najważniejszej – przeznaczenia. Wobec tego nie było innego wyjścia, ani innej rady, musiałam stać się podobniejsza do ludzi po tej stronie, po stronie żywych i rzeczywiście byłam coraz bardziej, jak oni (48).

A „oni”, „ludzie po tej stronie” pozostawali obojętni na widok transportu kolejowego z Żydami. „Transport – zauważyła [jedna z koleżanek narratorki] i ugryzła zielone jabłko. Było kwaśne i skrzywiła się natychmiast. Jakie to jabłko paskudne – powiedziała – Żydów wiozą. Niedojrzałe” (47).

Bohaterka nie broni się przed zapominaniem o ludziach z transportu. Coś o nich wiedziała w dzieciństwie, ale oddalili się od niej: „Musiałam się włączyć do świata Haliny. Wskakiwałam do niego bez wielkiego wysiłku” (48).

Jadwiga Maurer należy do tych świadków, którzy podczas okupacji byli dziećmi (jak np. Anna Frank i Dawid Rubinowicz), ale na szczęście – inaczej niż tym dwojgu – udało im się przeżyć zagładę. Cechuje ich podwójny punkt widzenia: dziecka jako naocznego świadka i dorosłego człowieka, który świadectwo przekazuje<sup>196</sup>.

Autorka *Sobowótórów* dąży do zachowania takiego odbioru świata, jaki był właściwy kilkunastoletniej dziewczynce żydowskiej ukrywającej swe pochodzenie. W analizie i wyjaśnianiu jej zachowań wprowadza natomiast świadomość osoby dorosłej powracającej retrospektywnie do swojego dzieciństwa. W obydwu przekazach dominuje rzeczowość. Akcja toczy się spokojnie, niby normalnie, nie ma egzaltacji, dramatyzowania. Panuje powściągliwość przeniknięta w istocie świadomością tragicznego losu.

Postacie duchownych ze słowackiego klasztoru są postaciami autentycznymi. Potwierdzają to słowa z listu autorki:

<sup>195</sup> Z listu do autora z 3 VII 1993.

<sup>196</sup> Por. Henryk Grynberg, *Prawda nieartystyczna*, s. 171.

Jest tam [w Krakowie] jeden ksiądz, który wykłada w Akademii Papieskiej, zakonnik, reformata [...], który był sekretarzem mojego opiekuna na Słowacji. Ten opiekun był dwa razy po powrocie do Polski prowincjałem swojego zakonu i oo. reformaci poznali go z opowiadania pt. *Biskup*. Nawiązała się między nami ciekawa korespondencja i on chciał mnie zaprosić z odczytem do Seminarium Duchownego w Bronowicach, a także chce, żebym coś powiedziała w mniejszym gronie o pobytku o. Maurycego na Słowacji<sup>197</sup>.

Po zakończeniu wojny bohaterka opowiadań przebywa krótki czas w Krakowie, następnie przenosi się do Sopotu, a wkrótce wraz z rodzicami opuszcza Polskę i na kilka lat zatrzymuje się w Monachium (co jest zbieżne z biografią autorki). Decyzja wyjazdu z kraju jej nie ucieszyła: „Już wiedziałam, że człowiek bez ojczyzny nie jest całkiem człowiekiem i nie może być innym ludziom równy” (72).

W artykule *W krainie mitów. Polskość i żydowskość* Jadwiga Maurer pisała:

Pierwszych „prawdziwych” Żydów poznałam dopiero po wojnie. To już było w Monachium, po opuszczeniu przez nas Polski. Przez to miasto przewinęli się prawie wszyscy Żydzi ocaleli z zagłady. Prawdziwych Żydów, czyli takich, którzy nie byli zasymilowani i którym nic na tym nie zależało, żeby być takimi, jak oni. I tam zaznajomiłam się trochę z antypolonizmem<sup>198</sup>.

Monachijskiej kolonii żydowskiej z pierwszego powojennego dziesięciolecia autorka poświęciła najwięcej uwagi w swojej twórczości. Bohaterem opowiadania *Spisek* jest młody Żyd mający ambicje literackie. Wspólnota, do której należy, ma nadzieję, że on utrwali jej obraz, opíše Żydów w Monachium. Członkowie wspólnoty składają się regularnie na pewną sumę pieniężną dla niego, by, wolny od nadmiernych trosk materialnych, mógł się zająć pisaniem. Ale ono mu się nie udaje. Bez ładu i składu powstają niespójne strzępy tekstu, z których można wyłowić wtrącone polskie zdanie: „Tam, gdzie miano nas rozstrzelać i gdzie sami wykopaliśmy już dla siebie rowy, teraz pasły się krowy” (227).

Heniek (to imię bohatera) nie jest w stanie sprostać oczekiwaniom wiązany z jego osobą. Oszukuje tych, którzy dają mu pieniądze, spodziewając się literackiego rezultatu. Zresztą ci oszukiwani widzą niemoc twórczą Heńka, lecz nadal mu pomagają. Narratorka, która jest świadkiem jego daremnych wysiłków, myśli z żalem, że „nikt nigdy nie oddał piórem atmosfery monachijskich Żydów, zwłaszcza tych z lat wcześniejszych” (110).

Osobą nie fikcyjną, lecz rzeczywistą, tkwiącą w żydowskiej wspólnocie monachijskiej, dobrze ją znającą, wierną jej, a przy tym obdarzoną literackim talentem, okazała się sama Jadwiga Maurer. W opowiadaniach zebranych w tomie *Liga ocalałych* utrwaliła obraz tego środowiska. Opowiedziała o ludziach pozostających pod ciężarem wielkiego, trwałego, niekończącego się szoku psychicznego po wojennych przejściach. O ludziach, którzy sami nie umieli się wypowiedzieć, wykrzyknąć, tłumili swój wielki ciężar, co dodatkowo zaważyło na ich psychice<sup>199</sup>.

Byli to młodzi Żydzi, którym udało się przeżyć, doczekać końca wojny. Mieli za sobą akcje przeprowadzane w gettach, hitlerowskie obozy zagłady, ukrywanie się w lasach albo na aryjskich papierach. Stanowili „ligę ocalałych”.

<sup>197</sup> Z listu do autora z 21 III 1994.

<sup>198</sup> Jadwiga Maurer, *W krainie mitów polskich i żydowskich*, „Kontury” (Tel Aviv) 1995, t. VI.

<sup>199</sup> Zwrócił na to uwagę Henryk Grynberg w: *Prawda nieartystyczna*, s. 276.

Łączyło ich wielkie zdumienie, że przeżyli. Mieli poczucie cudu, że przeżyli. „Jakby ich nie było już, właściwie umarli już raz, żyli sobie więc teraz poza czasem” (18). Mówili dużo o miejscach masowej śmierci, o obozach, o gettach, bunkrach, transportach. Omijali tematy objęte nigdy nie wypowiedzianym zakazem. Nie pozwalali sobie mówić o niczym, co przypominało dzieciństwo, szczęśliwy dom rodzinny. Nie można też było zanućcić pewnych melodii, które by wywołały wspomnienie tamtego czasu.

Byli enklawą w niemieckim żywiole. Izolowaną od niego wzajemną nienawiścią, żywą w pierwszych powojennych latach. Niemcy patrzyli na nich wrogo, zwracali się do nich nieprzyjaznymi słowami. Skrucha, potrzeba pokuty – to były sprawy późniejsze.

Poczucie winy, chęć zadośćuczynienia, współczucie dla ludzi podobnych do nas, wszystko to zrodziło się dopiero później, z dobrobytem. Bogacz może się zdobyć na zagłębienie w głąb własnego sumienia. Sumienie jest w końcu luksusem. Ale wtedy, gdy jeszcze jedli paskudny, czarny chleb i pili zbożową kawę, zionęli nienawiścią i wcale się z tym nie kryli (75).

Podjejmowali naukę w szkole średniej, studia medyczne, politechniczne, humanistyczne, świadomi swych zapóźnień spowodowanych wojną. Chcieli jak najszybciej ukończyć naukę i wyjechać z Niemiec.

W kontakcie z Niemcami niewielka, na pozór, niezręczność językowa, odcień znaczeniowy słowa, wystarczały, by próba rozmowy została przerwana milczeniem, niemożliwością porozumienia się. Niemiecki profesor próbuje podjąć przyjazną rozmowę ze studentką pochodząca z Łodzi, mówiąc, że dobrze zna jej rodzinne miasto. Studentka milknie, myśli, co on tam wtedy robił.

Gdy jedna z członkiń wspólnoty wyszła za mąż za Niemca, została uznana za straconą: „Była w tym mieście, ale równocześnie jakby jej już nie było, jakby nie istniała więcej, jakby zginęła” (158).

Niemka, która życzliwie przyglądała się ułomnej dziewczynce żydowskiej, usłyszała od niej: „Pani by może chciała wiedzieć dlaczego [...] kuleję. Bo pani rodacy chcieli mnie wziąć na mydło, a mnie ten plan się nie podobał i wyskoczyłam z wagonu” (173).

Na terenie obozu koncentracyjnego pod Monachium, gdzie zaraz po wojnie powstał pod nadzorem amerykańskim obóz „dipisów”, pozostały resztki butwiejących desek, kawałek muru wartowni. Wyrosły dwurodzinne domki w ogródkach, do których grupy Niemców przyjeżdżały na pikniki.

W jednym z baraków pozostał jeszcze stary, pobożny Żyd ze swą najmłodszą córką Miriam, jedyną ocalałą z dwunastoosobowego rodzeństwa. Żyje w złudzeniu, że znajduje się pod opieką jakiejś międzynarodowej organizacji społecznej, że nadal jest nim zainteresowana opinia publiczna. Cały sens jego trwania z córką w obozie polegał na proteście przeciwko Niemcom, od których nie chciał niczego przyjmować. Nie dopuszcza do swej świadomości, że to już nie jest obóz „dipisów” pod opieką UNRRA, że tym terenem zarządzają Niemcy i od nich pochodzi otrzymywany przez niego zasiłek. Na uwagę, by opuścili to miejsce i powrócili do normalnego życia, Miriam odpowiada wzburzona: „Chcesz, żeby mój ojciec tam wśród nich żył. Jak ty śmiesz coś takiego proponować” (172).

Jeden z profesorów próbował działać na rzecz porozumienia młodzieży niemieckiej i żydowskiej, tworząc wspólne grupy dyskusyjne. Pozyskanie Żydów do tej inicjatywy napotykało trudności. Narratorka usiłowała w tym pomagać. Wkrótce jednak zrezygnowała, widząc daremność swych wysiłków: „Wróciłam tam, gdzie należałam, więc do naszej stołówki. Spędzam w niej wiernie długie godziny, byłam jej podporą i ostatnim

człowiekiem, który ją opuścił. Wiem, że tam było nasze prawdziwe życie, które nigdzie nie dążyło” (114).

Miejszem regularnych spotkań „ligi ocalałych” była studencka stolówka mieszcząca się na tyłach restauracji przy Schillerstrasse. Tam toczyły się szczerze rozmowy, rozważania o studiach, pracy i przyszłości. Tam też obejmowało ich wspólne, pełne wzajemnego zrozumienia milczenie.

Jedyną prawdziwą i mądrą rzeczą była „kuchnia”, w której tacy ludzie, jak my, spotykali się ze sobą i widzieli nawzajem w sobie odbicie własnych majaków i wizerunek pusty, martwy, bezdennej żłudy, a może prawdy. Ale że był to wizerunek nicości, więc nie warto się było tym zajmować, czy była ona złudna czy prawdziwa, bo nicość jest zawsze i nigdy taka sama. I postanowiłam, że będę chodziła codziennie na Schillerstrasse do tylnego pokoju i będę tam siedziała z nimi, aż ostatni z nich odejdzie (166).

Narratorka pozostaje w Monachium. Ważna jest dla niej przeszłość łącząca wspólnotę. Ważne jest również istnienie tej wspólnoty wśród Niemców, których ona dręczy samą obecnością, uwiera. Gdy w końcu opuści Monachium, będzie powracać do tego miasta, gdzie ona i jej podobni spędzili najważniejsze lata życia. „Co tu dużo gadać, to miasto, te w nim miejsca, to są jedyne bliskie nam miejsca na ziemi. Przecież miejsc, gdzie urodziliśmy się, nie znamy prawie” (314).

Zapytana, dlaczego z krótkiego wyjazdu do Stanów wraca do Monachium, odpowiada: „Bo tam jest moja antyjoczyzna” (253).

Bohaterka opowiadań Jadwigi Maurer ocalała dzięki aryjskim papierom. Na swej drodze spotykała ludzi, którzy podali jej pomocną dłoń. Zapamiętane z czasów okupacji zdarzenie nie tylko utkwilo w jej pamięci, ale wyzwoliło w niej gotowość przychodzenia z pomocą innym. Doznane dobro wywołało trwałą zdolność do czynienia dobra. Pamiętała, jak w czasie wojny stanęły z matką, poszukując schronienia, przed polskim domem. Gdy zapukały, otworzyły się drzwi i usłyszała: „Zostańcie na noc. Przecież nie możecie gdzieś tam łazić tuż przed godziną policyjną” (295). Z pamięcią o tym wieczorze zwróciła się do członków swej wspólnoty:

Dzisiaj ciągle się mówi, że Polacy nie przechowywali Żydów. Słowo „przechowywać” jest w wielkiej modzie. Ale „przechowywać” to termin anachroniczny, jak wszystko, co się odnosi do tamtych lat, a co wymyślono wiele lat później. Przecież wtedy, jak ktoś komuś pozwolił przemocować u siebie, jak ktoś z kimś gdzieś poszedł, to już znaczyło. Jak ktoś się tylko z kimś pokazał wobec dozorczy czy wobec sąsiadów, jak mu gdzieś kiedyś dał świstek papieru... (296).

Bohaterka opowiadań miała to szczęście, że nigdy na własne oczy nie widziała Polaka antysemitę. Pośrednio dochodziły do niej informacje o polskim antysemityzmie. Spotykała Żydów przybywających z Polski, którzy opowiadali o haniebnych zachowaniach niektórych Polaków. W jej uczelnianym środowisku znalazł się człowiek, który obnosił się ze swymi antysemitycznymi poglądami, przypisywał Żydom wszelkie zło. Okazało się, że był sierotą, wychowywał się w Polsce, w domu dziecka, miał żydowskie pochodzenie.

Postawa narratorki pod tym względem odpowiadała poglądom i doświadczeniom samej autorki, która pisała o sobie: „Wiem, co to jest antysemityzm, bo przecież żyłam przez długie lata »po tamtej stronie« i nasłuchiwałam się wielu wrogich komentarzy o Żydach, ale to były to opinie *vox populi*, bo sama nigdy nie spotkałam Polaka antysemitę”<sup>200</sup>.

<sup>200</sup> Jadwiga Maurer, *W krainie mitów...*

Obraz Polski i Polaków przywoływany z sentymentalnego oddalenia nabierał korzystnego oświetlenia. Ulegało ono zamąceniu przez dochodzące do narratorki wiadomości o nastrojach antysemickich w Polsce. Wówczas zwracała się myślą i wyobraźnią ku „Polsce idealnej”, o której słyszała od starego profesora wykładającego kiedyś na Uniwersytecie Jagiellońskim. Powtarzał on często, że „na Polskę geograficznej mu nie zależy. Jego ojczyzną była Polska idealna”. Nie od słowa „ideal” ta nazwa pochodziła, lecz od „idea”. Powtarzał: „żyć można tylko w Polsce idealnej, bo w tej geograficznej to nie sposób” (309).

W takiej właśnie „Polsce idealnej” żyła narratorka (autorka?) po osiedleniu się w Stanach Zjednoczonych. Do takiej Polski nie była potrzebna wiza, panowała w niej równość wszystkich ludzi. Przebywanie w „Polsce idealnej” uwalniało od tęsknoty za „Polską geograficzną”:

Z łatwością unosiłam się nad każdą z Rzeczpospolitych, płynęłam nad historią, byłam wiecznym latarnikiem, którego żadna lektura pobudzić więcej nie mogła do tęsknoty za krajem geograficznym. Żadne nieporozumienie z ojczyzną, żadna obraza, żadna krzywda mnie nie dotykały (309).

\* \* \*

Jadwiga Maurer urodziła się w 1932 roku w Kielcach w rodzinie nauczycielskiej. W czasie niemieckiej okupacji mieszkała na krakowskim Kazimierzu i tu chodziła do szkoły powszechnej. Znalazła się w ostatniej grupie żydowskich dzieci, które uratowano w ramach akcji „Żegota” i wywieziono na Słowację do Preszowa. Tam autorka pozostawała pod opieką oo. franciszkanów. Wiosną 1945 roku wróciła do Krakowa. W następnym roku wyjechała z Polski. W Monachium ukończyła studia slawistyczne, a w 1956 roku wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Wykładała na uczelniach w Berkeley, Bloomington i Kansas. Publikowała również studia naukowe. Żywą dyskusję w Polsce wywołała jej książka „*Z matki obcej...*”. *Szkice o powiązaniach Mickiewicza ze światem Żydów*<sup>201</sup>. Mieszka w Lawrence, w stanie Kansas. Napisała o sobie: „I tak sobie żyję w Utopii potrójnej świadomości jako Polka, Żydówka i Amerykanka. W tej roli (rolach) czuje się całkiem dobrze”<sup>202</sup>.

<sup>201</sup> Londyn 1990.

<sup>202</sup> Jadwiga Maurer, *W krainie mitów...*



# CZĘŚĆ IV





## *Let the Blackbird Sing*

O Helenie Ogrodowskiej Bristol

Jan Lechoń w „Dzienniku” pod datą 9 listopada 1954 roku pisze o „najnieprawdopodobniejszym wieczorze”, jaki przeżył w nowojorskim „Pen and Drust Club”, gdzie „różne stare baby, niektóre nawet bardzo bogate, wystawiają swoje obrazy – niektóre nawet abstrakcje, i gdzie recytują swoje utwory”. Dodaje, że był mocno zde gustowany i zły, że dał się wpakować w „taką przedpotopową afere”.

„Po takich emocjach czekałem, w czym jeszcze prześcignie tych wszystkich babusów zapowiedziana [...] nasza rodaczka pani Ogrodowska Bristol, która napisała powieść białym wierszem pt. *Let the Blackbird Sing*”. To jej właśnie występ był głównym powodem, dla którego Lechoń dał się skłonić do przyjscia na klubowe spotkanie.

Pojawienie się autorki nie zrobiło dobrego wrażenia: „Źle uczesana, ubrana w jakąś staromodną suknię wieczorową pełną kokard i koronek”.

Nagle, gdy zaczęła czytać fragment swego poematu, Lechoń diametralnie zmienił swój do niej stosunek. Widzi ją zupełnie odmienioną:

zaczyna mówić i po paru sekundach widzę, jak była kiedyś piękna, zdaje mi się, że przypomina Modrzejewską, jestem pod urokiem jej głosu, jej prawdziwej angielszczyzny i oczarowany tym, co mówi. Mówi skromnie, ale pewna swoich poglądów na poezję, cytuje – nie dla popisu, ale aby poprzeć swe zdanie – dobre autorytety aż do najnowszych i raz po raz powołuje się na swego ojca, który „zabił się, aby się odnaleźć”, który słowem – był prawdziwym z Żeromskiego czy Conrada Polakiem. Wszystko, co potem czyta ze swej książki, podoba mi się – nie jako sztuka, bo tej przy mojej angielszczyźnie nie mogę nawet ocenić – ale jako część tej sagi o autorce, którą już sobie układam jako objawienie pięknego człowieka<sup>1</sup>.

\* \* \*

Helena Ogrodowska Bristol urodziła się w 1896 roku w Żyrardowie. Miasto jej dzieciństwa zachowało się w pamięci autorki jako miejsce niezwykle, wyjątkowe; nie tyle ze względu na jego piękno (aczkolwiek i ono było ważne w jej wspomnieniach), ile z powodu dobrobytu jego mieszkańców i warunków kulturalnych, jakie im stworzono. Pierwsi właściciele i budowniczo wie zakładów tekstylnych w Żyrardowie dbali nie tylko o własne zyski, ale również otaczali opieką robotników pracujących w ich zakładach

<sup>1</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, Warszawa 1993, s. 498–499.

i ich rodziny. Szczególnie dobrze wspominała pisarka jednego z właścicieli zakładów żyrardowskich, Austriaka Mariana Dietricha, zwanego popularnie Panem Marianem. I tak go też nazywa w swym autobiograficznym szkicu<sup>2</sup>.

Zapamiętała go jako człowieka o dużej kulturze, wielkiego miłośnika muzyki, pobożnego katolika. Chociaż od czasów dzieciństwa do chwili spisania wspomnień upłynęło siedemdziesiąt lat, podczas których pisarka poznawała różne miasta, Żyrardów pozostał w jej pamięci jako miejsce unikatowe nie tylko w skali Polski, ale może i całej Europy. Była przekonana, że gdyby zachowało się ono nadal, stałoby się przedmiotem wielu socjologicznych studiów.

Oprócz zabudowań fabrycznych wzniesiono w nim również murowane domy mieszkalne dla robotników. Właściciel zakładów zadbał też, by była szkoła wolna od opłat, ogród zabaw dla dzieci, przytułek dla ludzi starszych i szpital z pełną obsługą lekarską.

Dużo miejsca w swym wspomnieniu autorka poświęca życiu muzycznemu Żyrardowa z czasów jej dzieciństwa. Ta sfera przeżyć mocno wpisała się w biografię jej ojca i jej samej, która po nim odziedziczyła talent i głębokie zainteresowania muzyczne. Motywy związane z muzyką będą się często powtarzały w poemacie *Let the Blackbird Sing*, skomponowanym również na wzór utworu muzycznego.

W Żyrardowie działała kilkudziesięcioosobowa orkiestra i chór. Odbывały się koncerty. Zimą w resursie (gdzie prezentował swój dorobek również amatorski zespół teatralny), a latem w parku i podczas kościelnych procesji. Ojciec autorki był członkiem chóru, orkiestry i asystentem dyrygenta, który był również kompozytorem. Mszę przez niego skomponowaną ojciec pisarki do końca życia odtwarzał sobie z pamięci i śpiewał z akompaniamentem fortepianu.

Dzięki zabiegom pana Mariana zbudowano w Żyrardowie nowy kościół. Dokładnie, przywiązując do tego dużą wagę, opisuje autorka główne momenty z dziejów tej budowy: wytwarzanie specjalnych cegieł w odległej o trzy wiorsty cegielni, „transportowanie” ich przez podawanie z rąk do rąk w łańcuchu mężczyzn i chłopców wieczorami po pracy w fabryce i w dni wolne, wyrzeźbienie przez warszawskiego artystę figur apostołów umieszczonych na portalu kościoła, osadzenie na wieżach dzwonów i gargulców, oraz – co sprawiło ojcu autorki największą radość – zainstalowanie organów. Podczas pierwszego nabożeństwa w nowym kościele, celebrowanego przez arcybiskupa Warszawy, chór żyrardowski odśpiewał *Mszę koronacyjną* Mozarta (niektórzy krytykowali – że za długa).

Kościół był duży, górował nad miastem. Widok jego strzelistych ażurowych wież, zapamiętany przez autorkę, wspomniany przez nią również w książce z podróży do Polski w latach trzydziestych, wpisał się też w pamięć Józefa Wittlina (pisarka wysoko go ceniła i do jego tekstów w późniejszych latach często powracała). Autor *Orfeusza w piekle XX wieku* wspominał wieże kościelne Żyrardowa, gdy zbliżał się do katedry w Chartres:

Już z okien wagonu widać dwie olbrzymie, smukłe wieże, wykuwające się strzelistymi iglicami spośród malowniczo rozmieszczonych, ale dość pospolitych budynków [...]. Z ciągu zdążającego do Żyrardowa też widać dwie duże gotyckie wieże, tylko z tą pozornie różnicą, iż są one z czerwonej młodej cegły, a nie ze starego szarego kamienia. Opuszczając halę dworca, przekonywam się, że to jednak nie Żyrardów. Z ubogim miasteczkiem tkackim

<sup>2</sup> Zob. *Recollections of an American from Poland*, „The Kosciuszko Foundation News Letter” 1976, nr 1/300.

na Mazowszu ma Chartres tyle tylko wspólnego, iż podobnie jak tam, tak i tu kościół nieproporcjonalnie przerasta swoimi rozmiarami karłowate otoczenie domków. To Guliwer wśród karłów<sup>3</sup>.

Pierwsze kroki w nauce czytania i pisania autorka stawiała w domu pod kierunkiem matki, która nie chciała, by jej dziecko zbyt wcześnie było poddawane rusyfikacyjnym wpływom szkoły, w której wychowawczyni była znana z posłuszeństwa i uległości wobec nakazów i zakazów carskich władz. Kiedy w tej szkole przyszła pisarka musiała się już znaleźć, sprowokowała zdarzenie, które sprawiło przeniesienie jej do innej placówki. Otóż na uroczystości zakończenia roku szkolnego deklamowała patriotyczny wiersz o Stefanie Czarnieckim.

W drugiej szkole obowiązywały również podręczniki w języku rosyjskim i nauka w tym języku, ale wychowawczyni, dobra Polka, nie stosowała się do oficjalnych przepisów zbyt rygorystycznie i umiała znaleźć sposób, by swoim podopiecznym zaszcześcić patriotyczne uczucia. Kiedy Helena Ogródowska zwierzyła się jej z decyzji opuszczenia Polski, usłyszała w odpowiedzi słowa, których znaczenia – wówczas – jeszcze dobrze nie rozumiała, ale zapamiętała je dobrze i wprowadziła do obydwu swoich książek: że jedzie tam, gdzie będzie mogła czytać książki w takim języku, w jakim będzie chciała.

Nie duch przygody ani chęć poprawienia warunków życia były powodem opuszczenia Polski przez ojca, a wkrótce, w ślad za nim, przez całą rodzinę. W okresie rewolucji 1905 roku był on zaangażowany w polski ruch niepodległościowy. Groziło mu za to więzienie i zsyłka na Sybir. Uprzedził kroki rosyjskich władz. Sam skazał się na wygnanie; wyjechał do Ameryki z nadzieją, że potrafi się tam jakoś urządzić i sprowadzić rodzinę.

I tak się stało. Rok później dziesięcioletnia Helena Ogródowska wraz z matką i dwiema siostrami popłynęła za ocean, dołączyła do ojca.

Spotkanie z Ameryką było dla niej silnym szokiem. Czowała się izolowana w nowym środowisku, nie znała języka angielskiego, wraz z rodzicami przeżywała trudności związane z życiem w obcym miejscu. Brakowało jej otoczenia, do którego się przywiązała w Żyrardowie: sosnowego lasu, rzeki, fortepianu w domu.

Gdy miała szesnaście lat, w 1912 roku, ojciec wysłał ją do Columbia College of Music, a nieco później do wydziału muzycznego Temple University in Philadelphia. Znalazła tam przyjazną atmosferę, wolną od wszelkich narodowych uprzedzeń.

W tym samym czasie wstąpiła do szkoły średniej dla dziewcząt w Filadelfii. Poczuli się w niej dobrze, słabło doznawanie obcości i wyizolowania z otoczenia. W chwili wstępowania do tego liceum umiała już się posługiwać językiem angielskim na wystarczającym poziomie. W domu panowała polszczyzna. Wśród lektur przyszłej pisarki były dzieła Adama Mickiewicza, Henryka Sienkiewicza, Marii Konopnickiej. Jej matka, wyjeżdżając z Polski, wzięła ze sobą te i inne książki polskie z domowej biblioteki. A matka chrzestna Heleny przysyłała z Warszawy „Przyjaciela Dzieci”.

Helena Ogródowska wówczas, chociaż nie miała zbyt dużych trudności z angielszczyzną, języka tego nie lubiła. Według niej był on pozbawiony delikatności charakterystycznej dla języka rosyjskiego i elegancji, którą odznaczał się język francuski. Tych języków uczyła się w Żyrardowie.

<sup>3</sup> Józef Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Kraków 2000, s. 217.

W filadelfijskim liceum trafiła na nauczycielkę, która nie tylko wymagała czytania lektur, by potem z nich odpytywać, lecz sama na lekcjach dużo czytała swoim wychowankom. Pewnego razu był to *A Fine Autumnal Day* Waszyngtona Irvinga.

Helena Ogródowska przeżyła wówczas chwilę, w której poczuła, że odkrywa się przed nią piękno języka angielskiego i jego bogate ekspresywne możliwości. W jej dojrzewaniu było to przeżycie bardzo silne. Jego ślad można znaleźć w pierwszych wersach rozdziału *New Horizons* w poemacie *Let the Blackbird Sing*:

Something more than words  
Stormed her attention. It was not a thought  
Such as one reads. It was a fierce light  
Shining on pyramids, beeches in a wood,  
Joe-pyeweed in the swamp, and the pollen small.  
It was not a sentence. She did not know its name.  
Autumn in a deep voice speled in measured words  
That moved like music. They never did before  
Pace in such procession. [...]  
...The adopted tongue  
Was beautiful; the first fact. And than more painfully  
Another fierce impact struck her attentive mind.  
„You can learn to read it in a voice like hers.  
Perhaps you will teach it”<sup>4</sup>.

Pod wrażeniem takiego przeżycia napisała wypracowanie o pięknie i sile języka angielskiego, odczytane przed całą klasą. Od tej pory wszystkie wysiłki skierowała na doskonalenie swojej angielszczyzny, marząc o tym, by w przyszłości zostać nauczycielką języka angielskiego i literatury w amerykańskiej szkole średniej.

Nielatwo było imigrantce z Polski zrealizować takie marzenie. Pracując w szkole elementarnej, do czego uprawniało ją ukończenie liceum, oszczędzała pieniądze na dalsze studia. Podjęła je na Uniwersytecie Pensylwanii, ukończyła w 1925 roku i uzyskała prawo nauczania w szkole średniej.

Chciała powrócić do swojej szkoły, do High School for Girls w Filadelfii jako nauczycielka. Nie od razu na to się odważyła. Mogli ją tam jeszcze pamiętać jako cudzoziemkę z niedoskonałą angielszczyzną i potraktować jak parweniusza ośmielającego się przekroczyć niedostępne dla niego progi. Dopiero po wieloletniej praktyce w trzech innych szkołach średnich, po upewnieniu się, że została przez Amerykanów zaakceptowana jako nauczycielka języka angielskiego (w czym znacznie pomogło jej małżeństwo z Amerykaninem o anglosaskim nazwisku), wróciła do szkoły, w której przed piętnastu laty rozpoczynała naukę. Pracowali tam jeszcze jej dawni nauczyciele. Przyjęli ją bardzo serdecznie, zostali jej przyjaciółmi.

Po dwudziestu trzech latach pracy pedagogicznej, w 1953 roku odeszła na emeryturę. Wykonywanie zawodu nauczycielskiego przyniosło jej nie mniej satysfakcji niż pisanie

<sup>4</sup> Helen O. Bristol, *Let the Blackbird Sing* [*Niech kos zaśpiewa*], New York 1952, s. 193–194. [„Coś więcej niż słowa / Poruszyło jej uwagę. To nie była myśl o tym / Jak to właśnie się czyta. To było niezwykle światło / Błyszczące na piramidach, na bukach w lesie / Ogniki na bagnach, pyłne zapachy. / To nie było mówienie. Nie umiała tego nazwać. / Jesień głębokim głosem wypowiedana, rytmicznymi słowami / Które poruszały jak muzyka. One nigdy dawniej / Nie poruszały się w takim pochodzie / ...Przyjęty język / Był piękny; to po pierwsze. A potem bardziej przenikliwy / Inny nagły wstrząs dotknął napiętej myśli. / »Ty możesz nauczyć się czytać tak, jak ona. / Może ty będziesz tego uczyć«”].

książek. Jedno i drugie, wraz z uprawianiem muzyki, dało jej podstawy do poczucia własnej wartości i spełnienia. Swój szkic autobiograficzny zakończyła słowami:

*The rest is the silence of declining years. Once again there is a wood about me where berries and even a few mushrooms grow. And if not a river there is a sea. And there is music. The old grand piano, bought with my first wages, still sings daily under my aging fingers<sup>5</sup>.*

\* \* \*

*After Thirty Years. Poland Revisited* to pierwsza książka Heleny Ogrodowskiej Bristol, dedykowana: *To My Mother and Father, Apollonia and Józef Ogrodowski*; ukazała się w 1939 roku. Dwa lata wcześniej autorka wraz z mężem odwiedziła Polskę. Wspomnienie z tej podróży zawarła w publikacji prawie zupełnie, albo wprost: zupełnie w Polsce nie znanej.

A jest godna uwagi. Odsłania bowiem ważną część przemyśleń, wzruszeń i obserwacji autorki, która jest wykształconą, miarodajną reprezentantką pokolenia osiadłego w Stanach Zjednoczonych na początku XX stulecia, jeszcze przed pierwszą wojną światową. Po trzydziestu latach od opuszczenia kraju, w wieku dziecięcym, jako dojrzała kobieta odbywa do niego pielgrzymkę. Słowo to pojawia się tu dlatego, że właśnie *The Pilgrimage* to tytuł rozdziału eposu *Let the Blackbird Sing*, w którym można odnaleźć reminiscencje z tej podróży.

Zainteresować też może obraz ówczesnej Warszawy, Żyrardowa, Krakowa, Ojcowa, Jasnej Góry i Zakopanego (do tych miejsc ogranicza się pobyt autorki w Polsce), a także ludzie tam spotykani, zauważone sytuacje odbierane przez Polkę-Amerykankę, która z dużą życzliwością i sentymentem przyjmuje wszystko, co dotyczy kraju jej pochodzenia i wiąże się z nim, a równocześnie dostrzega jego zacofanie, opóźnienie cywilizacyjne, brak porządku, rzetelności w postępowaniu ludzi. Niekiedy prezentuje ich sposób myślenia, z którym nie zawsze może się zgodzić.

W *Prologu* do książki zastanawia się, co powoduje, że oto ona, która – odkrywszy piękno języka angielskiego – zasymilowała się z amerykańskim społeczeństwem, przestała się czuć jak Polka w Ameryce, niezmiennie bardzo żywo reaguje na sygnały i znaki dobiegające ją ze strony polskiej kultury. Nie ograniczają się one jedynie do sentymentalnych wspomnień, lecz przejawiają się w żywej, pełnej zrozumienia reakcji na idiomy spotykane w polskiej poezji, w wibracji duchowej na dźwięk muzyki Chopina.

Wybrała się do Polski nie po to (jak myśleli jej znajomi Amerykanie), by spotkać się z krewnymi. Już ich właściwie nie miała. Pozostał tylko kontakt z matką chrestną zamieszkałą w Warszawie. Powodowała nią psychiczna potrzeba zaczerpięcia duchowej energii z bogatych zasobów jej ojczystych wartości, z własnego dziedzictwa kulturowego. Do odwiedzenia Polski skłaniała ją także chęć powrotu do świata dzieciństwa i zachęta matki. Dlatego tak ważne miejsce w jej *itinerarium* zajął Żyrardów.

Od razu po przylocie z Londynu do Warszawy odnotowała charakterystyczną scenę. Autobus wiozący pasażerów z Okęcia do centrum miasta musiał się zatrzymać przed

<sup>5</sup> [„Reszta jest milczeniem upływających dni. Raz jeszcze, znowu, jest las wokół mnie. Rosną w nim jagody i nawet trochę grzybów. Nie ma rzeki, ale jest morze. I jest muzyka. Stary fortepian kupiony za pierwsze zarobione pieniądze ciągle śpiewa pod moimi sprawnymi palcami”].

zamkniętym przejazdem kolejowym. Upływały długie minuty, a żaden pociąg się nie pojawiał. Z obydwu stron przejazdu wydłużała się kolejka oczekujących na otwarcie drogi, a wśród pasażerów autobusu zaczęły się odzywać głosy zniecierpliwienia, które w końcu skłoniły kierowcę do wyjścia z wozu i udania się do budki dróżnika. Jeszcze nie wrócił stamtąd, a już rampy się uniosły. Zapytany o przyczynę długiego, niepotrzebnego czekania, dróżnik odpowiedział krótko: „Spałem”.

W rozmowach z mieszkańcami Warszawy zauważyła niepokój wywołany niedawną śmiercią Józefa Piłsudskiego. Także jej chrestna matka powiedziała: „nie wiem, co się teraz stanie, kiedy Piłsudski umarł”. Jej rozmówcy aprobowali politykę państwa zwróconą przeciwko obecności kapitału obcego w Polsce, głównie niemieckiego i francuskiego. Usłyszała o zabiciu przez robotnika jednego z francuskich dyrektorów fabryki w Żyrardowie (notabene pisał o tym Paweł Hulka Laskowski w książce *Mój Żyrardów*).

Ogród Saski przygnębił ją swym zaniedbaniem. Zupełnie innym zapamiętała go z dziecięcych wyjazdów z Żyrardowa do Warszawy. Zachwyty wywołała wystawa dzieł Józefa Mehoffera w Akademii Sztuk Pięknych, obrazy Matejki w Muzeum Narodowym (*Bitwa pod Grunwaldem*), pomnik Chopina w parku Ujazdowskim, Stare Miasto, jego wąskie uliczki, ich nazwy. Z żalem pisze o tym, że piękno Warszawy nie jest znane zagranicznym turystom.

Autorkę i jej męża oprowadzał po Warszawie młody chirurg, doktor Urbańczyk. W słowniczku na końcu książki, gdzie jest podana wymowa i znaczenie wtrąconych polskich wyrazów, tak autorka uczy wymawiać jego nazwisko: „Uhr-bahn-chick”. Rozmawiała z nim o dzieciach polskich, ich świadczącym o chorobach wyglądzie, niedożywieniu. Urbańczyk, który pracował w szpitalu dziecięcym, przyznawał jej rację: powinno się je lepiej żywić, bo to są przyszli polscy żołnierze. Taka argumentacja poruszyła autorkę: „To oznacza troskę o mięso armatnie”. Urbańczyk z powagą jej tłumaczył:

*You see, situated as we are, our safety lies in numbers. Our soldiers give us a sense of security that nothing else does. It is not pleasant to think of bloodshed, but it is worse to think of annihilation. At fourteen years old I was fighting as a regular soldier during the Bolshevik invasion of 1920, when the rest of Europe was turning its energy to reconstruction. I lost two Brothers, and I am acquainted with horror – but we must never be partitioned again. That phase of history we will not allow to repeat itself. And we must get Lithuania back. For this too we must spill some blood<sup>6</sup>.*

Jak długo mówił o konieczności obrony Polski przed złymi sąsiadami, pisarka słuchała go spokojnie i przyznawała rację. Krytycznie jednak odniosła się do tej części jego wywodu, w którym doszła do głosu mocarstwowa wizja Polski przygotowującej się do zaanektowania Litwy.

Dużego rozczarowania doznała w Żyrardowie. Nie było już parku, drzew, alei wysadzanej drzewami orzecha włoskiego. Na piaszczystej ziemi bawiły się brudne dzieci. Droga wydawała się jej szersza niż dawniej, ale brzydsza, mniej przyjazna. Zmieniło się otoczenie miejsca, w którym stał jej rodzinny dom. Nie było ogrodu, drzew. Wraciała

<sup>6</sup> [„Widzi pani, w sytuacji, w jakiej się znajdujemy, nasze bezpieczeństwo polega na ilości. Tylko nasi żołnierze nam je zapewniają. Nie jest przyjemnie myśleć o rozlewie krwi, ale jeszcze trudniej myśleć o zagładzie. Mając czternaście lat, walczyłem jako zwykły żołnierz podczas inwazji bolszewickiej w 1920 roku, podczas gdy pozostała część Europy zwróciła swą energię na odbudowę. Straciłem dwóch braci, przeżyłem horror. Nie możemy już nigdy więcej ulec rozbiorem. Ta historia nie może się powtórzyć. I musimy odzyskać Litwę. W tym celu także musimy przelać nieco krwi”]. Helen O. Bristol, *After Thirty Years. Poland Revisited*, Rutland, Vermont 1939, s. 72–73.

z Żyrardowa wcześniej niż zamierzała. Z okna pociągu patrzyła na kościelne wieże. Tylko one pozostały niezmienione. Miasto jej dzieciństwa zostało zniszczone na zawsze.

Po Krakowie spacerowali jak we śnie. Oboje z mężem byli zafascynowani tym miastem. Jego niezwykłość w ich oczach polegała zarówno na pięknie, jak i na nasyceniu znakami historii.

Wędrowali po Krakowie bez przewodnika. Mieli tylko przygotowaną przez doktora Urbańczyka listę obiektów, które powinni zobaczyć. Byli zdani na siebie. Swobodnie poruszali się wśród ulic, kościołów, teatrów, starych kamienic, po Rynku Głównym z Sukiennicami i na Wawelu. Szczęśliwy przypadek sprawił, że spotkali tam człowieka, który widząc ich autentyczne, połączone z podziwem zainteresowanie, mógł im pokazać również to, co nie było dostępne zwykłej publiczności. Z myślą o amerykańskim odbiorcy książki autorka porównywała katedrę wawelską do Westminster Abbey.

Jej uwagę zatrzymywali także ludzie spotykani w różnych miejscach publicznych: w hotelu, w restauracjach i kawiarniach, wśród stoisk z kwiatami na Rynku, na ulicach. W ich zachowaniu, sposobie bycia, prowadzenia rozmowy, gestach i rysach twarzy, używanych słowach i wykrzyknikach znajdowała – nie bez rozbawienia – jakieś echa, podobieństwa do znanych jej bohaterów powieści Kraszewskiego, Orzeszkowej, Sienkiewicza.

Krytycznie przyglądała się grupie amerykańskich turystów, którzy skrzętnie notowali informacje przekazywane przez przewodnika. Więcej skupionej uwagi poświęcali swoim notatkom niż mijanym obiektom.

Książkę *Poland Revisited* autorka pisała z pragnieniem przybliżenia kraju, z którego wyszła, jego złożonej historii, bogactwa kultury i piękna krajobrazu, Amerykanom. Taka intencja jest obecna w całym dziele. Bezpośrednio ukazuje się we fragmentach, gdzie pojawia się sylwetka jej męża, Amerykanina, któremu chce Polskę pokazać i wytłumaczyć różne jej osobliwości. Pośrednio w tym, że ów Amerykanin, występujący w książce jako „W”, staje się niejako *pars pro toto* wspólnoty amerykańskiej, którą autorka chciałaby do spraw polskich przybliżyć i sprawić, by były one lepiej przez tę wspólnotę rozumiane.

Z takiej postawy wynika też szczególna misja i obowiązek tych „adoptowanych Amerykanów”, Polaków osiadłych w Stanach Zjednoczonych. Właśnie spełnianiem takiej misji i obowiązków staje się książka Heleny Ogródowskiej Bristol *After Thirty Years. Poland Revisited*, kończąca się słowami:

*It may be long years before the typical American acquires the generous attitude of the Englishman and the Frenchman toward things Polish. Those of us, „Americans by adoption”, who still speak the Polish language, and who know what wealth of romance lies yet undiscovered in Polish art and literature, look hopefully to the time when it may stand better revealed, that coming generations of Americans may know it as living beauty<sup>7</sup>.*

<sup>7</sup> [„Mogą upłynąć długie lata, nim typowy Amerykanin przyswoi sobie gotowość Anglika i Francuza wobec polskich spraw. My, »adoptowani Amerykanie«, którzy nadal mówią po polsku i znają bogactwo, ciągle nie odkryte, zawarte w polskiej sztuce i literaturze, patrzymy z nadzieją na czas, kiedy ono może będzie docenione, gdy nadchodząca generacja Amerykanów zobaczy w nim żywe piękno”]. Helen O. Bristol, *After Thirty Years...*, s. 212.



*Let the Blackbird Sing – blackbird*, czarny ptak, po polsku kos. Ptak odznaczający się pięknym śpiewem i zdolnością naśladowania usłyszanych dźwięków. Na początku poematu pojawia się jako realny ptak w żyrardowskim lesie. Młody Józef, jeden z głównych bohaterów eposu, przysłała głowa polskiej rodziny osiadłej w Ameryce, rozmiłowany w muzyce, obdarzony talentem śpiewaczym, chadzał do żyrardowskiego lasu i tam śpiewał. Pewnego razu usłyszał, że ktoś czy coś jak echo mu odpowiada. To był kos, później oswojony, zaprzyjaźniony z Józefem, towarzyszący mu wiernie przy śpiewaniu, dopóki nie zginął za sprawą niezyczliwej sąsiadki.

W miarę rozwoju historii rodziny polskich emigrantów ów *blackbird*, którego pamięć jest przechowywana i przekazywana, staje się powracającym motywem. Nabiera też znaczenia metaforycznego. Staje się znakiem muzycznego talentu, zapowiada chwile bardziej podniosłego nastroju broniącego się przed ciężarem zwykłego życia, towarzyszy wspomnieniom, powrotom do chwil szczęśliwszych, momentom, w których talent artystyczny i umiłowanie muzyki próbuje dojść do głosu wbrew przeciwnościom trudnej codzienności. W końcowych partiach eposu ów *blackbird*, „czarny ptak”, czyli polski kos wcieli się w duży czarny fortepian w pokoju Lyn, czyli Karoliny, córki Józefa i Poli, jednej z głównych bohaterek poematu.

W jej życiu, zainteresowaniach i refleksjach można się dopatrzeć wielu cech łączących ją z autorką utworu. Nie można jednak odczytywać tekstu jako poetyckiej autobiografii. Pisarka czerpie z doświadczeń własnych i swej rodziny. Opiera się na prawdziwych zdarzeniach, co przydaje utworowi znamion autentyczności. Nie pisze jednak biografii własnej czy swoich bliskich.

Utwór powstawał w ciągu pięciu letnich sezonów w Sandy Cove (Nowa Szkocja, Kanada), „w zakątku ziemi umieszczonym daleko od sceny aktualnego teatru”:

*Yet, through some curious process of the mind, the sights, the smells, the sea, the very rocks and their mosses, found their way into structure of the narrative, so that the whole is a composite impression of the past and present, of Poland, America and Canada, of the distant in point of time an space, and of the immediate and intimate*<sup>8</sup>.

I ta mieszanina (*composite*) wrażeń, wspomnień układała się w kompozycję muzyczną, bo na jej wzór właśnie rozwijał się kształt poematu *Let the Blackbird Sing*. Składa się on z dwóch pieśni (*First Canto* i *Second Canto*), które łącznie mają dwanaście rozdziałów (pewno to nie przypadek, że tyle, ile ksiąg *Pana Tadeusza*).

Treścią pieśni pierwszej są dzieje rodziny Józefa, Poli i ich dzieci w Polsce podczas pierwszych kilkunastu lat XX wieku. Kolejne rozdziały wprowadzają głównych bohaterów poematu. Józef i Pola, zanim zawrą związek małżeński, mają trudne – chociaż zupełnie odmienne – warunki życia, które kształtują ich charaktery. Znajdują szczęście w małżeństwie, w swych dzieciach i – w przypadku Józefa – w realizowaniu swych zainteresowań muzycznych. Lata przedstawione w części pierwszej upływają w atmosferze szczęśliwości, opromienione są wzajemną miłością, przyjaznym otoczeniem ze-

<sup>8</sup> [„Wciąż jeszcze, poprzez jakiś dziwny proces myślenia – spostrzeżenia, zapachy, morze, skały i ich porosty znajdują drogę do struktury opowiadania. Całość jest mieszaniną przeszłości i teraźniejszości; Polski, Ameryki i Kanady; dystansu w czasie i przestrzeni, bezpośredniości i intymności”]. Helen O. Bristol, *Let the Blackbird Sing*, s. 9–10.



wnętrznym, radościami dzieciństwa. Ale nad tym światem wisi ciężkie brzemie, które nie pozwala o sobie zapomnieć. Polska jest w niewoli, język polski nie ma pełnych praw, szkoła pod rosyjskim nadzorem utrudnia wychowywanie młodego pokolenia w polskim duchu. Nastrój panujący w pieśni pierwszej się zmienia. Szczęśliwe życie rodziny zostaje zmałowane lękiem, przeczcuciem nieszczęścia, narracja nabiera przyśpieszenia, pojawiają się echa rewolucji społecznej, dochodzi w finale tej części do kulminacji, do przesilenia, do katastrofy, do *uprooting*, do połączonego z dużym cierpieniem wykorzenia polskiej rodziny z jej macierzystej, naturalnej gleby<sup>9</sup>.

Rozdział „Przeszczepienie” (*The Replanting*) otwiera drugą pieśń. Opowiedziane są w niej dzieje polskiej rodziny po przybyciu do Stanów Zjednoczonych. Bardzo trudne początki towarzyszą zakorzenianiu się w nowej, obcej glebie. Postawa ojca rodziny, Józefa, który rezygnuje z własnych zamiłowań muzycznych na rzecz ciężkiej pracy w twardych warunkach, jest postawą w istocie bohaterską, uzasadniającą wybór formy eposu dla jej prezentacji.

Ameryka przyjmuje imigrantów, ale nie zna dla nich taryfy ulgowej, o czym przekonują się przybysze z Polski. Życie w nowych, trudnych warunkach cementuje rodzinę, umacnia wzajemną solidarność między jej członkami, kształtuje mocne i wartościowe charaktery. Przyśpiesza dojrzewanie do poważnego traktowania życia własnego i swoich bliskich. Umacnia się wzajemna spolegliwość, zarówno między małżonkami, jak i między rodzicami i dziećmi. Przeciwności losu wystawiają na próbę charaktery ludzkie. Lata kryzysu powodują utratę pracy i odkładanych w ciągu wielu lat oszczędności. Odpowiedzią Józefa na ten i podobne ciosy jest postawa wyrażająca się w słowach: *We can begin again, as we began before*<sup>10</sup>.

Cała rodzina przeżywa to, co podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu dzieje się w Polsce i z Polską. Nasłuchują wiadomości o niej, oczekują z kraju wieści o osobach, których losów nie są pewni.

W zakończeniu opowieści dochodzi do gwałtownego huraganu, który niszczy dom, zrywa dach, łamie drzewa, a woda zalewa i rujnuje całe mienie. Józef zwraca się do załamanej żony:

*But we live, kochanie. And we are unharmed.  
Se the clouds defeated by the victorious sun.  
We shall dry*<sup>11</sup>.

Helena Ogrodowska Bristol ukazała w swym eposie dzielnego człowieka, którego nie łamią przeciwności losu. One go hartują. Przyjmuje ich wyzwanie i wychodzi zwycięsko ze zmagania z losem. Nie ma miejsca na sentyment, łatwe wzruszenia, na słabość. Jest spokój, godność, poczucie odpowiedzialności za życie własne i bliskich. Dzielne trwanie, chociaż ze świadomością jego kruchości. Poemat kończy się taką sceną, po ucieszeniu się huraganu:

<sup>9</sup> W cytowanej już autobiografii Helena Ogrodowska Bristol pisała: *From my parents I absorbed the feeling that our leaving Poland was a great unreconcilable tragedy*. [Od moich rodziców przejęłam poczucie, że nasze opuszczenie Polski było wielką tragedią, z którą nie można się pogodzić].

<sup>10</sup> [„Możemy zacząć od nowa, jak zaczynaliśmy poprzednio”]. Helen O. Bristol, *Let the Blackbird Sing*, s. 258.

<sup>11</sup> [„Ale my żyjemy, kochanie. Jesteśmy cali. / Zobacz, zwycięskie słońce pokonało chmury. / Wyszliśmy się”]. Helen O. Bristol, *Let the Blackbird Sing*, s. 270.

*On That day's evening, they were together all,  
 And Yuzef, before he slept, stood under the sky,  
 Where all the constellations sang like one vast choir.  
 And Yuzef answered from his singing soul,  
 „Life is capricious, like a water pearl,  
 Hung on a web, betwee limits of time.  
 The wind can shatter its rotundity,  
 And light dissolve the marriage of its molecules,  
 But while it hanges, it is a world no less,  
 And in its heart can hold the mighty sun”<sup>12</sup>.*

Przedstawieniu takich losów polskiej rodziny w Ameryce i takich charakterów dobrze odpowiada forma eposu. Mamy tu bowiem do czynienia z prawdziwym ludzkim bohaterstwem, chociaż mniej efektownym niż opisy walk rycerskich. Angielski język i bliski tradycji poezji angielskiej biały wiersz sprzyjają utrzymaniu dyscypliny, rygorom rzeczowości, powściągliwości stylu, stawiają tamę zbyt łatwej czułościowości, co nie osłabia siły ekspresyjnej, lecz ją wzmacnia w poemacie. Nic dziwnego, że Lechoń tak szybko poddał się jego urokowi.

\* \* \*

Ostatnio życiem i twórczością Heleny Ogrodowskiej Bristol zainteresowali się amerykańscy badacze literatury. Pod egidą Columbia University ukazała się w 1997 roku książka zbiorowa zatytułowana *Something of My Very Own to Say. American Women Writers of Polish Descent*, zawierająca artykuły o kilkunastu autorkach. Rita Holmes Gładsky pisze tam o Helenie Ogrodowskiej Bristol i załącza fragment poematu *Let the Blackbird Sing*. Podkreśla, że walka tej pisarki o zdobycie w Nowym Świecie swojego miejsca i jej osiągnięcia profesjonalne były w tamtych czasach czymś unikatowym wśród osiedlających się w Stanach kobiet z różnych grup etnicznych. Jest to ważne dla tradycji etnicznych dążeń do pełnego pojmowania własnej tożsamości, a także dla tradycji emancypacyjnego ruchu kobiet amerykańskich. Utwory tej pisarki są jednym z najwcześniejszych dokumentów literackich ukazujących dramatyczne przeżycia przybywających do Ameryki emigrantów, którzy – z jednej strony – pragnęli znaleźć dla siebie miejsce w społeczności amerykańskiej, a z drugiej – nie tylko nie wyrzec się swej tożsamości i nic z niej nie utracić, ale również przedstawić jej wartości Amerykanom.

Archiwum osobiste autorki, jej rękopisy, niewydane teksty, korespondencja i inne dokumenty znajdują się w Immigration History Research Center w University of Minnesota.

<sup>12</sup> [„Tego dnia wieczorem zebrali się wszyscy / i Józef przed snem stanął pod niebem, / Gdzie wszystkie gwiazdozbiory śpiewały jak jeden ogromny chór. / A Józef odpowiadał ze swej śpiewającej duszy: / »Życie jest zmienne jak perła kropli wody / Zawieszona na pajęczynie między granicami czasu. / Wiatr może zniszczyć jej krągły kształt, / A światło rozłożyć związki jej cząsteczek. / Ale dopóki wisi nie jest mniej niż światem / I w jej sercu może być utrzymana potęga słońca«”]. Helen O. Bristol, *Let the Blackbird Sing*, s. 271.

## Z listów Heleny Ogrodowskiej Bristol do autora. (Z zachowaniem indywidualnych cech stylu, ortografii i gramatyki).

Wood's Hole 18go kwietnia, 1978 r.

Szanowny Panie Profesorze,

Bardzo dziękuję za tak miły i niespodziewany dla mnie list. Wątpię, czy przystaje mi znaleźć się w szeregu tak obszernie znanych olbrzymów, jak Wierzyński, Lechoń i Wittlin. Z tej trójcy wyгнаńców najbardziej uwielbiam Wittlina. W czasie, kiedy mnie już nic nie interesuje, powracam do *Orfeusza w piekle* i zawsze na nowo upijam się źródłem jego wiedzy, myśli i serca. Książka ta jest dla mnie, jak dla Pana, „autoportret” człowieka na najwyższym szczeblu umysłowej i duchowej ewolucji.

Lechonia poznałam w krótkim czasie przed jego śmiercią, na jednym z moich odczytów w Nowym Jorku. Pamiętam, że przyszedł do mnie w łzach mówiąc: „Tak mnie Pani wzruszyła swą poezją”. Samo to już zdradzało wyczerpanie nerwowe, ale zostanie dla mnie jedno z najmiłszych wspomnień mego długiego życia.

Nie wiele mogę Panu dodać o sobie. Po ukończeniu studiów literatury w Uniwersytecie Pensylwanii poznałam Amerykanina, urodzonego w Vermont, którego poślubiłam w czerwcu 1926 r. Mąż mój uczył matematykę i astronomię w uniwersytecie, a w kilka lat później w College Preparatory School for Boys w Filadelfii. Po 35-ciu latach nauczycielstwa opuściliśmy szkoły i wybudowaliśmy sobie nowy domek nad morzem, w lesie, w posiadłości rodziców, w Cape Bay. Lasek nasz nie polski, jak w Żyrardowie, ani „litewski” jak u Mickiewicza, ale „pełen kraszy”, odziany w tej porze roku w wiosenną szatę bieli i złota tysiąca narcyzów.

Jedyny związek, jaki mam obecnie z Polską, jest w osobie Prof. Dra Stefana Wesołowskiego, kuzyna mej chrzestnej matki, Elżbiety Seroczyńskiej, która była szkolną przyjaciółką mej matki. Matka moja z rodu Warszawianka. Rodzice jej byli Austrijacy. Dziadek mój był inżynierem w fabryce kotłów w Warszawie. Kiedy firma przeprowadzała się do Rosji, Babka nie chciała opuścić Polskę i Dziadek objął posadę w Żyrardowie gdzie zaczęły się moje lata dzieciinne.

[...]

W druku mam tylko dwie książki, *Let the Blackbird Sing* i *Poland Revisited* [...].

Mam jeszcze zeszyt wierszy, esejów, recenzji i odczytów, których nigdy nie posłałam do druku. Nie jestem jedną z tych, którzy pchają się na przebój.

*L.B.S.* napisałam pod wpływem i namową Śp. Prof. Edgara A. Singera, który był wtedy na czele oddziału filozofii w Un. Pensylwanii. On to napisał przedmowę do tej książki.

Chciałabym bardzo doczekać się tak miłej niespodzianki, jak spotkanie się z Panem. Jestem już białowłosa staruszka, nie ta, której fotografia znajduje się na okładce mej książki. Jeżeli to Pana nie odstraszy, to może się spotkamy.

Zasylałam serdeczne życzenia wszelkiego szczęścia w pracy i staropolskie „Bóg zapłać” za trud na jaki się Sz. Pan poświęca w moim imieniu.

Helena Ogrodowska Bristol

Wood's Hole, 7 Października '78 r.

Szanowny Profesorze Stępień,

Serdecznie dziękuję za list i kopie z *Dziennika* Lechonia, które mi trochę oświetliły moje szare, martwe życie.

Zabawiła mnie prędką metamorfoza w jego usposobieniu do mnie. Omal w mgnieniu oka, że źle ubranej i uczesanej, z rzędu „astmatycznych bab” przeistoczyła się w osobistość przypominającą Modrzejewską!

Nie mogę pojąć, jak to się stało, bo jego „baby” mnie bardzo zaimponowały. Były bardzo pewne siebie i bogato ubrane i bałam się, że im nie dorównam. A chciałam tego bardzo, bo przecież w pierwszym rzędzie słuchaczy siedział Lechoń. No i jakoś się udało!

Przysłał mi w kilku dniach swą książkę *Zbiór Poezji* i pisał do mnie, ale korespondencje przerwałam, bo był w niej oddźwięk jakiejś dziwnej osobistości, która mnie odrażała. Wolałam go pamiętać jako Poetę.

W jego opinii o mnie są dwie pomyłki. Klub, gdzie się odbył odczyt, nazywał się „Pen and Brush (nie Drust) Club”. A mówiąc o mojem ojcu, powiedziałam, że musiał się zgubić, nie zabić, żeby się znaleźć, *He lost himself to find himself*. Odwrócił się od muzyki, tego źródła, którego wody podlewały całe jego uczuciowe życie, do fizycznej pracy przez obowiązek dla rodziny. To jest główny temat w *Let the Blackbird Sing*.

Chciałabym nabyć Lechonia *Dzienniki*, bo czytając przekreślone części – doszłam do przekonania, że jest tam nie mało do przeczytania. Napisze do Pana Symans. On wie na pewno adres Fundacji Kulturalnej w Londynie.

Nie spodziewałam się bardzo Pana Profesora wizyty, bo Cape Bay nie jest na prostej drodze ani z Filadelfii, ani z Nowego Jorku. Dla tych chyba tylko, co podróżują samochodem.

Dziękuję raz jeszcze za list, za kopie, za życzenia, no i za obietnicę listu z Polski.

Serdecznie pozdrawiam  
Helena Ogródowska Bristol

Wood's Hole, 12 Stycznia 1980 r.

Szanowny Panie Profesorze,

Dziękuję serdecznie za pamięć o mnie i za życzenia. Wiem z listów Prof. Dra Wesołowskiego, kuzyna mojej chrestnej matki, który obecnie mieszka w Warszawie i przysyła mi nowe wydane książki, że nawet bardzo poważne wydania są obecnie opóźnione z powodu braku papieru. Nauczyl się Polacy przez długie lata historii cierpliwości. Tak długo musi czasem człowiek i ludzkość czekać na urzeczywistnienie nadziei. I mnie jej nie brakuje.

Nie mogę sobie wspomnieć wizyty Papieża z opisów i telewizji bez wzruszenia. Takiego ogólnego wstrząsu nie pamięta Ameryka w wizycie żadnego światowego dygnitarza. Wybór Polaka, Kardynała Wojtyły na Papieża to nie tylko moralne i religijne zwycięstwo. To strzał, który zmieni obecną i przyszłą międzynarodową historię.

Może Szanownego Pana zainteresuje, że się nie dawno, listownie i częściowo przez moją książkę, zapoznałam z Czesławem Miłoszem. Przysłał mi swoje *Utwory Poetyckie* z bardzo pochlebnym podpisem. Takiej poezji jeszcze w języku polskim nie czytałam. Rozjaśniła mi ona moje szare życie nowym światłem. Wyszedł niedawno skromny zeszyt niektórych jego wierszy, *Bells in Winter*, przetłumaczonych przez niego i panią Lillian Vallee. Jego myśli, ale nie jego poezja. Nie może być w wydaniu słowo w słowo. Przetłumaczyłam niektóre jego wiersze luźniejszym stylem, dla siebie, starając się zachować jakieś okruchy piękna jego twórczości. Wzruszyły one niektórych znajomych (Amerykanów), którym je czytałam. Daje mi

to odwagę na dalszy wysiłek i wypełnia mi długie samotne dni, nieużyteczne w zimę, kiedy ogród i las mnie nie potrzebuje.

Po raz jeszcze dziękuję za pamięć.  
Z uznaniem  
Helena Ogradowska Bristol

Na ofiarowanym mi egzemplarzu *Let the Blackbird Sing* autorka wypisała dedykację:

Profesorowi Marianowi Stepiniowi

Niech Ci polski Kos zaśpiewa  
W cichym polskim lesie  
I me dzięki w polskich słowach  
Ode mnie zaniesie.

Helena Ogradowska Bristol  
Cape Bay 1978

*Profesorowi Marianowi Stepiniowi*

*Niech Ci polski Kos zaśpiewa  
W cichym polskim lesie,  
I me dzięki w polskich słowach  
Ode mnie zaniesie.*

*Helena Ogradowska Bristol*

*Cape Bay, 1978*

# Symans

W zimowy, późny wieczór wyszedłem z samolotu na lotnisku w Grand Rapids w stanie Michigan. Witało mnie dwóch panów. Starszy z nich, wysoki, wyprostowany, ze srebrną siwizną na skroniach i siwiejącymi wąsami, w ciemnogradnym, długim płaszczu – dyplomatce, skrojonym do figury, z długim, białym, jedwabnym szalem przerzuconym przez ramię, zwrócił się do mnie w nienagannej polszczyźnie: „A co tam, panie profesorze, słysząc w Krakowie?”.

Był to Edward Alan Szymański, *vel* Symans (czytaj: Sajmons).

Jego sylwetkę nakreślił ceniony w Grand Rapids dziennikarz i publicysta Gerard Elliott w szkicu za tytułowanym: *Edward Alan Symans Bravest in the Embassy*<sup>1</sup>. Określenie to było powtórzeniem słów zawartych w dedykacji, którą napisał na swej książce *Warsaw* Julian Bryan, znany autor fotografii z życia stolicy Polski w dniach wrześniowych 1939 roku. Miałem w ręku ten egzemplarz, gdy przy kominku w swoim domu Symans dzielił się wspomnieniami ze swych lat spędzonych w Warszawie i w innych miastach świata podczas swej dyplomatycznej kariery. We wrześniu 1939 roku był w Warszawie, gdzie spotkał się z Julianem Bryanem. I ten później ofiarował mu swoją książkę z dedykacją: *For Ed Symans who was the bravest of all the Embassy staff in Warsaw*.

\*\*\*

Edward Szymański urodził się 8 maja 1903 roku w Grand Rapids, w rodzinie polskich emigrantów. Jego rodzice dbali o wykształcenie dzieci, przekazanie im polskich tradycji, wiedzy o kraju, z którego wyszli; i dokładali starań, by utrzymały znajomość języka polskiego.

Edward Szymański chodził do szkoły powszechnej (*elementary school*) w Grand Rapids. Również w tym mieście ukończył szkołę średnią (Grand Rapids Catholic Central High School), a potem Junior College. W domowej bibliotece znajdował książki polskich autorów: poetów Młodej Polski, także pierwsze tomy skamandrytów. Na ich wierszach, zrazu w Ameryce, a później w Warszawie, doskonalili swoją polszczyznę i uczył się rozumieć ducha kultury polskiej. Potem rozpoczął studia dziennikarskie na Marquette University i uzyskał stypendium na dalsze studia filologiczne na Uniwersytecie Warszawskim

---

<sup>1</sup> Gerald Elliott, *Edward Alan Symans, Bravest in Embassy*, „The Grand Rapids Press” April 11 1978.

W 1936 roku wstąpił do amerykańskiej służby zagranicznej. Początkowo był asystentem *attaché* do spraw gospodarczych w Warszawie. Wówczas to, ze względów – jak wyjaśniał – dyplomatycznych, zmienił nazwisko na Symans. Zachował poczucie polskości, przedstawiał się jako potomek szlacheckiego rodu Szymańskich herbu Złota Wolność, co było uwidocznione na wielu drobiazгах domowych i w ekslibrisie zdobitym książki jego biblioteki.

Był w Warszawie, gdy Niemcy napadli na Polskę i bombardowali jej stolicę. „21 dni piekła” – tak określał ów czas, w którym Niemcy rzucali bomby na Warszawę, a potem ją grabili, plądrowali, rozstrzeliwali wziętych zakładników. We wspomnianej książce Bryana są dwie fotografie, na których widać konsulat amerykański i jego zburzone, spalane biura.

W końcu września 1939 roku Symans opuścił Warszawę, udał się do Berlina, gdzie został sekretarzem administracyjnym w ambasadzie amerykańskiej. Pozostawał tam do czerwca 1941 roku. Na krótko przed wybuchem wojny między Niemcami i Związkiem Radzieckim wysłano go do Moskwy z zadaniem utworzenia konsulatu dla uchodźców, którzy chcieli emigrować do Stanów Zjednoczonych.

Zaledwie zaczął się urządzać w Moskwie, rozpoczęła się wojna niemiecko-radziecka. 22 czerwca wraz ze współpracownikami konsulatu został ewakuowany na podmoskiewską wieś, gdzie przez miesiąc mieszkał w namiocie. W lipcu 1941 roku przeniósł się do Władywostoku. Długo i chętnie opowiadał o podróży koleją transsyberyjską, która trwała dziesięć dni; o zatrzymywaniu się na dworcach, gdzie pasażerowie otrzymywali wrzątek, by mogli zaparzyć herbatę; o ludziach spotkanych w pociągu; o skojarzeniach literackich prowadzących do Cendrarsa.

We Władywostoku spędził zaledwie cztery tygodnie. 7 listopada został wysłany jako kurier do Kujbyszewa. W podróży pociągiem, który musiał przepuszczać pilniejsze wówczas transporty, spędził dwadzieścia dni.

Dobrze wspominał krótki pobyt w Kujbyszewie. W towarzystwie dwóch japońskich kurierów, podobnie jak i on zainteresowanych muzyką, chodził na koncerty i do opery. W przeddzień japońskiego ataku na Pearl Harbor udał się razem z nimi w drogę powrotną do Władywostoku. Podczas podróży znikli oni z jego pola widzenia. Zostali zabrani przez NKWD.

Wróciwszy do Władywostoku, zamieszkał w hotelu, gdzie płacił za pokój (zapamiętał to) 43 ruble, a za 50 rubli miesięcznie mógł korzystać z fortepianu, na którym wygrywał polskie tanga. Pewnego dnia znalazł na nim nuty należące do kobiety ze Lwowa. Udała się do Moskwy, by uczyć się śpiewu, ale musiała ją opuścić z powodu wojny. Symans obdarował ją cenionymi wówczas prezentami: cukrem, skondensowanym mlekiem, czekoladą. Jako amerykański dyplomata znajdował się w lepszych warunkach niż ludność radziecka.

W maju 1942 roku wyjechał – przez Moskwę – do Ankary. Wiózł z sobą bagaż (trzydzieści trzy pakunki) przeznaczony dla amerykańskiego ambasadora w Turcji (uprzednio w Moskwie), Lawrence’a A. Steinhardta (zginął później w katastrofie lotniczej w drodze z Ottawy do Waszyngtonu).

W Moskwie, na dworcu, z którego miał odjeżdżać do Ankary, nie obyło się bez komplikacji. Rosjanie spóźnili się z załadowaniem owego liczego bagażu i Symans musiał się zatrzymać na ostatniej stacji w Armenii przed granicą turecką, w Leninkau, by poczekać na nadejście bagażu. To pozwoliło mu się przyjrzeć prowincjonalnemu miastu,

gdzie ludzie mieli pieniądze, ale nie mieli na co ich wydać. Przychodzili do niego do hotelu, by cokolwiek od niego kupić. Najchętniej japońskie koszule.

Dotarł do Ankary, stamtąd zaraz do Stambułu, gdzie czekała na niego najbardziej fortunna – jak mówił – chwila w całej jego służbie zagranicznej. W sąsiednim pokoju mieszkała piękna, młoda kobieta Teresa de Fisse. Urodziła się w Turcji w rodzinie francuskiej. Symans pamiętał ją z pierwszego spotkania w Paryżu w 1938 roku. Wydawało mu się wówczas, że sprawił na niej pewne wrażenie.

Spacerowali razem po parku w Stambule, spotykali się przy obiedzie. Próbowali ze sobą rozmawiać. Ona знаła trochę język angielski, on – równie słabo – francuski. Toteż w rozmowie obracali się w kręgu tematów ważnych i ogólnych.

Niemniej doszli do porozumienia i postanowili się pobrać. W Turcji jednak nie mogli na to uzyskać zgody. Pojechali do Stanów. Teresa, czyli Terry, jako imigrantka. Płynęli osiemdziesiąt dni, a potem podróżowali już szybko, łodem, do miejsca, o którym Terry nigdy (poza rozmowami z Symanssem) nie słyszała – do Grand Rapids.

Ślub wzięli w Waszyngtonie w 1943 roku. Wkrótce po nim zlecono Symansowi obowiązki dyplomatyczne w Ameryce Południowej, w Paragwaju. W Buenos Aires, w czerwcu 1945 roku urodziła im się pierwsza córka, Mireille.

Następnie przeniesiono Symansa do Polski, na stanowisko wicekonsula w Poznaniu, potem w Warszawie. Zaczynał się okres zimnej wojny. 25 stycznia w prasie polskiej ukazał się artykuł o szpiegach i sabotażystach w służbie amerykańskiej, którzy chcieli podporządkować polskie rolnictwo interesom imperialistycznym. Jeden z siedmiu oskarżonych przyznał się do utrzymywania kontaktów z konsulem amerykańskim; padło nazwisko Symansa.

Gdy o tym opowiadał, nie wchodził w szczegóły. Wyczuwało się, jak zresztą w wielu fragmentach jego opowieści, powściągliwość i dyskrecję emerytowanego dyplomaty. Powiedział tylko, że z początkiem stycznia 1950 roku ambasada amerykańska otrzymała anonimowe ostrzeżenie, że życie Symansa jest zagrożone. Pośpiesznie, wraz z rodziną, został przeniesiony do Ankary, potem do Bejrutu, do United States Information Agency.

W Bejrucie, w 1952 roku zmarła na chorobę Heinego-Medina ich siedmioletnia córka, Mireille. Było to dla nich niezwykle ciężkie przeżycie. Gdy opowiadał o tym, po upływie ponad dwudziestu pięciu lat od tego smutnego zdarzenia, głos mu się załamywał, a oczy się łzawiły.

Po śmierci Mireille nie byli w stanie pozostać nadal w Bejrucie. Symans uzyskał przeniesienie do Francji, do Marsylii, gdzie we troje (z młodszą córką Chantal urodzoną w 1950 roku) mieszkali do roku 1955, gdy Symans został ponownie wysłany do Polski jako prasowy i kulturalny *attaché* w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. Był to już zupełnie inny niż poprzednio klimat polityczny. Zaczynał się czas „odwilży”.

W czerwcu 1956 roku ambasada amerykańska otrzymała od ambasady brytyjskiej w Warszawie „cynk” (to Symans użył tego słowa), że w Poznaniu dzieje się coś ważnego. Pojechał tam. Opowiadał, jak kierowca kluczył ulicami, a potem drogami i dróżkami, by zgubić podążający za nimi samochód Urzędu Bezpieczeństwa.

Przyglądał się z bliska Poznaniowi w dniach czerwcowych, a później przysłuchiwał się procesowi sądowemu wytoczonemu uczestnikom wydarzeń. Na powiększonej fotografii sali sądowej w chwili ogłaszania wyroku Symans stoi w pierwszym rzędzie. Pokazując to zdjęcie, dodawał: „To jednak naprawdę była odwilż. W innym czasie amerykańskiego dyplomaty nie wpuszczono by na salę sądową w takim procesie”.



Pracował w Polsce, w amerykańskiej ambasadzie do 1960 roku. Potem wrócił do Waszyngtonu, gdzie jeszcze przez dwa lata (do odejścia na emeryturę w 1962 roku) był zatrudniony w United State Information Agency, oceniając i zalecając książki do publikacji.

Powrócił do rodzinnego Grand Rapids i podjął społeczną działalność na rzecz tamtejszej Polonii. Polska grupa etniczna sytuowała się na drugim miejscu po świetnie zorganizowanych i urządzających wspaniałe imprezy kulturalne Amerykanach pochodzenia holenderskiego. Symans pomógł w założeniu w 1963 roku Polish Heritage Society, najważniejszej w tym rejonie organizacji polonijnej. Jakiś czas jej przewodniczył, stale aktywnie uczestniczył w jej pracach. Był też członkiem Narodowej Rady Fundacji Kościuszkowskiej, Polish Insitut of Art and Sciences, Polskiego Towarzystwa Historycznego, autorem wielu publikacji prasowych w gazetach polonijnych. Między innymi przypominał, a właściwie odkrył wybitnego muzyka amerykańskiego polskiego pochodzenia, urodzonego we Lwowie Jarosława de Zielinski, który w latach 1871–1879 działał w Grand Rapids. Wystawił operę Vincenza Belliniego *La Sonnabula* (*Lunatyczka*) i Ambroise Thomasa *Mignon* w 1878 roku; był organistą w Park Congregational Church, dawał lekcje fortepianu, organów i śpiewu, napisał *A Practical Guide for the Study of the Pianoforte*<sup>2</sup>.

Symans współpracował z Immigration Resource Center at the University of Minnesota w Minneapolis, notował wspomnienia. W biuletynach Polish Heritage Society w Grand Rapids apelował do Amerykanów polskiego pochodzenia, by odszukali, chronili i udostępni mu stare rodzinne fotografie, dokumenty, książeczki do nabożeństwa używane przez przodków, wszystko, co dotyczy polskich pionierów, którzy przybyli na te ziemie w latach 1865–1900. Współtworzył Polish Ethnic Room w Grand Rapids Public Museum, Polish American Community Collection w Grand Rapids Public Library. Do książki *The Story of Grand Rapids* opublikowanej w 1966 roku opracował rozdział o Polonii w tym regonie. Wspierał swą wiedzą i doświadczeniem International Studies Institute of Grand Valley State Colleges w miejscowości Allendale, odległej od Grand Rapids o jakieś 20 mil na zachód.

Szczególna była jego pozycja wśród amerykańskich Polonusów. Cieszył się ich respektem, ale nie przyjaźnią. Odbiegał od nich znacznie poziomem kultury, wykształceniem, statusem społecznym, horyzontami myśli. Dochodziło do nieporozumień. Skłonni byli widzieć w nim – niesłusznie – człowieka zarozumiałego, wyniosłego. Niektórzy mieli mu za złe, że osiedlił się w lepszej dzielnicy miasta, a nie w tradycyjnej, polskiej, skromniejszej (by nie powiedzieć: uboższej) na West Side.

Inicjatywy Symansa często napotykały opór i mur niechęci. A chciał dobrze. Ubolewał, że społeczne fundusze Polonii są rozdrabniane na różne, skłócone ze sobą kluby, podczas gdy te środki można by połączyć i powstałby klub polski z prawdziwego zdarzenia, do którego zapraszałoby się artystów. Marzyły mu się koncerty muzyczne.

Poczuwał się do solidarności z polonijną wspólnotą, rozumiał jej problemy, pokonywał zniechęcenie powodowane oporem wobec jego pomysłów. Nie mógł jednak się pogodzić z miernymi aspiracjami, z dzielącymi Polonię animozjami, fobiami. W Grand Rapids działały cztery główne kluby polskie, izolujące się od siebie, wzajemnie ze sobą skłócone. Korzenie tych niechęci sięgały głęboko w przeszłość, do czasów, gdy przybierały tu fale emigracji zarobkowej z polskich ziem będących pod zaborem różnych państw.

<sup>2</sup> Edward Alan Symans, *De Zielinski: First Music Man*, „The Grand Rapids Press” April 26 1976.

A Symans był wykształcony, znał kilka języków (poza angielskim i polskim – rosyjski, francuski, niemiecki, hiszpański). Był dobrze zorientowany w literaturze światowej, a szczególnie w polskiej. Podczas trzykrotnego pobytu w Polsce spotykał się z twórcami polskiej kultury. No i *last but not least* – był utalentowanym poetą.

\* \* \*

Debiutował w 1928 roku na łamach „Poetry: A Magazine of Verse”. Publikował wiersze w języku angielskim w kilku liczących się wówczas czasopismach: „The Commonwealth”, „The Forge”, „Star Dust”, „Contemporary Verse”, „Caprise”.

Książkowy debiut nastąpił już w Polsce. W 1934 roku ukazał się w Warszawie pierwszy zbiór jego wierszy zatytułowany *Against Death in Spring*. Przedmowę do niego napisał profesor literatury angielskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego Roman Dyboski<sup>3</sup>.

Wspominał w niej swą podróż po Stanach Zjednoczonych w latach 1928–1929, kiedy to spotkał grupę młodych ludzi, którzy utworzyli The Polish Art Club. Odczuł wówczas, że za ich sprawą i wśród nich dzieje się coś ważnego. Odchodzili oni od ograniczonej egzystencji swych rodziców. Zwracali się ku pełnej kulturze amerykańskiej i ku ojczyźnie swych przodków w przeświadczeniu, że w ojczystej glebie, w kulturalnym rodowodzie sięgającym polskiego kraju jest ważna część bogactwa kultury europejskiej, źródło twórczych inspiracji.

I właśnie w poszukiwaniach poetyckich Szymańskiego Dyboski znajdował przejaw myślenia charakterystycznego dla grupy młodych Amerykanów, którzy chcieli czerpać to, co dobre i wartościowe, z obydwu kultur: Ameryki i Europy. I byli przekonani, że droga do celu prowadzi przez odwiedzanie i poznawanie starej ojczyzny ich przodków, jej kulturalnego podglebia. W utworach Szymańskiego Dyboski znajdował świadectwo poczucia przynależności do kulturalnego świata europejskiego, innego niż amerykański. A w postawie i twórczości młodych Amerykanów, których spotkał i poznał w The Polish Art Club – szansę kulturalnej więzi między dwoma duchowymi światami: amerykańskim i europejskim. W wyobraźni poruszanej poezją Szymańskiego Dyboski widział przyszły rozwój cywilizacji, która będzie syntezą składników przejmowanych z dwóch kontynentów: amerykańskiego i europejskiego.

Spotkaniu z poezją Symansa towarzyszą znajome, wcześniej już zasłyszane echa. Angielskie słowa i zdania wywołują nastrój nieobcy. Przypominają wiersze poetów Skamandra. Pierwszy odruch czytającego to zdziwienie odkryciem: oto nieznanemu dotąd, jeszcze jeden, po angielsku piszący, skamandryta. W świetle duchowej biografii Symansa jest to zrozumiałe. Swą polszczyznę wyniesioną z domu szlifował na lekturze wierszy skamandrytów, których teksty pojawiły się w domowej bibliotece w Grand Rapids. Późniejszy pobyt w Warszawie poszerzył i pogłębił kontakty nie tylko z tekstami skamandrytów, ale i z ich autorami. W jego wierszach dokonywało się to, o czym w przedmowie do pierwszego tomu poezji Symansa pisał Stefan Dyboski: syntetyzowanie mentalności amerykańskiej z europejską – poprzez polską poezję – wrażliwością i kulturą literacką<sup>4</sup>.

<sup>3</sup> Alan Edward Symanski, *Against Death in Spring*, Warsaw 1934.

<sup>4</sup> Danuta Mostwin nazwałaby to na pewno powstawaniem „trzeciej wartości”. Por. Marian Stępień, *Trzecia wartość. O twórczości Danuty Mostwin*, Kraków 2000.

Wiersze Symansa cechuje powściągliwość, opanowanie, trzymanie się rygorów formujących krótką, dokładną, w słowach przystających do rzeczy, wypowiedź poetycką. Jego utwory to zatrzymywanie uwagi na przelotnej, krótkiej, lecz ważnej chwili; i jej utrwalenie. Towarzyszy temu moment zamyślenia z nastrojem melancholijnym, łagodnego smutku, który też ma pociągający urok.

Przeżycie podmiotu lirycznego pojawia się na tle przyrody, przemijającej, zmieniającej się w rytmie następstw pór roku, co podkreśla mijanie czasu, gaśnięcie ulotnych chwil o niepowtarzalnej urodzie. To wiersze: *She Goes, Autumnal Roses, Tennis Match, Insomnia, Sentimental Verse, White Doves i Farewell Hour*, w którym słowa angielskie mieszają się z polskimi:

*Baggage. Porters. A train rushes  
gaspng, the Kurier Pospieszny!  
Uwaga! Everybody pushes –  
Comrades, this leave taking is bolesny!*<sup>5</sup>.

Natura w wierszach Symansa pojawia się inaczej niż w polskiej poezji międzywojennej. W sposobie postrzegania przyrodniczego żywiołu i stosunku do niego podmiotu lirycznego tkwi jedna z ważnych cech poezji amerykańskiej. W wykonaniu Symansa przyroda nie ma wprawdzie whitmanowskiej rozległości, ale występuje jako zjawisko autonomiczne, fascynujące człowieka, który je obserwuje, odbiera, współodczuwa podleganie prawom naturalnego żywiołu. Jest też w jego wierszach spotęgowane odczucie przestrzeni, rzadsze w poezji polskiej tamtych lat, zwłaszcza u skamandrytów, raczej mieszczącej się w wymiarze kameralnym. Inaczej u Symansa, na przykład w wierszach: *Michigan Autumn, Transsubstantation, Sky Space, Pool*.

Nie wystarczy ogólnie wspomnieć o pokrewieństwie Symansa z poezją Skamandra. Słusznie oburzał się Kazimierz Wierzyński, gdy charakteryzowano go jako skamandrytę: „Nie było żadnego Skamandra, to czysty wymysł krytyki. Każdy z nas był inny, w niczym do drugiego nie podobny. Określić nas tym mianem to nadużycie i wierutne nieporozumienie”<sup>6</sup>.

Ów melancholijny, niedramatyczny smutek, mgielka nostalgicznego zamyślenia, refleksyjny dystans do zdarzenia i kontemplacja estetyczna – prowadzą do Jarosława Iwaszkiewicza. Podobnie układy stroficzne. A wiersze: *Pool, Kazimir – on – the – Vistula i Funtile Journey* – to Iwaszkiewiczowskie oktostychy.

Są też utwory pełne radości, przyływu rozpiekającej energii, bezpośredniej emocji – wtedy przypomina się Wierzyński, Tuwim; w wierszach: *Spring, Colors, Polish Spring*.

Kilka wierszy to modlitwy poetyckie. Podmiot obecny w tytułowym *Against Death in Spring* prosi Boga, by nie było mu przeznaczone umierać na wiosnę, gdy wszystko rozkwita i rośnie, lecz jesienią, gdy wszystkie owoce opadają.

W wierszu *God* jest poddanie się woli Boga, tajemniczego i surowego. Ułomność ludzka nie jest w stanie przeniknąć zagadki zniszczenia i śmierci. Niewzruszonym i srogim sędzią, budzącym największy respekt jest Bóg w *Daily Prayer*. To Bóg Starego Testamentu. Sprawiedliwy i surowy Bóg protestancki. Wśród maszyn fabrycznych, w codziennej pracy i cierpieniu człowiek daremnie oczekuje Jego głosu, znaku, cudu, nadejścia Mojżesza, który by wprowadził swój lud do Ziemi Obiecanej.

<sup>5</sup> Alan Edward Symanski, *Against Death in Spring*, s. 39.

<sup>6</sup> *Wspomnienia o Kazimieru Wierzyńskim*, zebrał i opracował Paweł Kądziela, Warszawa 2001, s. 161.

Inny ton: nadziei, pociechy, przyjaznych, życzliwych dłoni, uśmiechu, słów uzdrawiających pojawia się w wierszu-modlitwie napisanym już podczas pobytu w Polsce. To wiersz *Black Madonna*.

Jako odbicie tylko amerykańskich realiów mógł powstać wiersz *Preparation for Burial* – zwięzły, rzeczowy opis przygotowania zwłok w zakładzie pogrzebowym. Upudrowane, urozowane policzki, staranny makijaż, wypiełgnowane dłonie, manikur i – choćby wbrew woli najbliższych – otwarta trumna, bo przedsiębiorca traktuje to jako reklamę, która przyciągnie nowych klientów.

*Miss no thing  
arrange her well  
entering...  
heaven or hell.*

Kilka wierszy Symans poświęca spotkaniom z polskimi miejscowościami. *Twilight in Polish Village* jest wyrazem urzeczenia cichym, zapadającym wieczorem nad polską wsią. Pochwała nowoczesnego miasta portowego – to wiersz *Gdynia*. Zachwyty renesansowym miasteczkiem wyraża *Kazimir – on – the – Vistula*, obrazek ulicy warszawskiej – to *Warsaw Beggar*. A oto, jak autor ujął wrażenie wyniesione z Krakowa:

*Cracow  
Wearing a jeweled crown  
of churches, like a pious queen,  
she lives amid a cloister  
of hills, beautiful and gree.*

*And all her cobbled streets  
are rosies, worn down in prayer  
by medieval ages  
which pilgrimaged and settled there<sup>8</sup>.*

Dwa wiersze zasługują na szczególną uwagę ze względu na treść. Obydwa mówią o sytuacji polskiego emigranta. Bohater wiersza *Immigrant* skarży się Bogu na osamotnienie w obcej ziemi, gdzie nie ma przydrożnych kapliczek, ludzie nie pozdrawiają się pochwaleniem Chrystusa, a ze strony otoczenia dolatują wrogie słowa przypominające mu, że jest cudzoziemcem i pogardliwy wyraz „Polack”. Drugi wiersz – *From the Fourth Province* zawiera poruszenie uczuć i myśli człowieka wywodzącego się z emigracyjnego środowiska, który przybywa do wcześniej mu nie znanego kraju przodków. Trafia na źródła własnej tożsamości, odżywają w nim zasłyszane od rodziców i dziadków słowa, przed oczami pojawiają się znane tylko z opowieści widoki, odkrywa rzeczy bliskie.

Wierszowi temu Symans przypisywał duże znaczenie. Nie tylko powtórzył go na pierwszym miejscu w następnym tomie poezji, ale również jego tytuł stał się tytułem

<sup>7</sup> Alan Edward Symanski, *Against Death in Spring*, s. 11. Zwyczaj balsamowania, upiększania zwłok w amerykańskich *funeral houses* zwrócił uwagę Józefa Wittlina. Pisał o tym w eseju *Mój pierwszy rok w Ameryce*, zamieszczonym w tomie *Orfeusz w piekle XX wieku*.

<sup>8</sup> Alan Edward Symanski, *Against Death in Spring*, s. 40.

całej książki, pięknie wydanej na czerpanym papierze przez florencką oficynę Tyszkiewiczów w 1952 roku<sup>9</sup>.

W wierszach tego zbioru kontynuowana jest refleksja, zamyślenie i notowanie przelotnych nastrojów na tle zewnętrznego świata odmalowywanego z dużą wrażliwością na światłocienie i kolory. Pojawiają się nowe motywy, tureckie, związane z pobytem poety w Ankarze: *Ghost Ballet*, *Ankara at Night*, *Moon Drunk*. Pełniej dochodzi do głosu plastyczna wyobraźnia autora wrażliwego na światło, barwę, ruch: *Birch Tree*, *Pigeon*, *Still Life*, a także polski obrazek: widok polskiej wsi ze skupiskiem chat pod słomianymi strzechami i z bielonymi ścianami (*Polish Cottage*).

Wśród polskich motywów na pierwszy plan wysuwają się dwa utwory. Pierwszy z nich to *Warsaw, September 1, 1939*, w którym autor, obecny w tym czasie w polskiej stolicy, próbuje oddać grozę dni. Między refrenami naśladującymi marszowy krok żołnierski są naloty, bomby, pożary, zabijanie ludzi.

Drugi to *Holy Mother of Wilno*, mówiący o polskiej tragedii spowodowanej decyzjami Stalina.

Symans przekładał też na język angielski wiersze Kazimierzy Iłakowiczówny, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Antoniego Słonimskiego, Leopolda Staffa i Juliana Tuwima. Przetłumaczył także ludową piosenkę *Umarł Maciek, umarł...* i kołysankę o kotkach. Te tłumaczenia znajdują się w drugim i trzecim zbiorze jego poezji.

Wiersz *Fallen Stars* zostanie powtórzony w następnym, trzecim tomie poezji Symansa, otworzy go jako pierwszy i nada tytuł całej książce. Jest to wiersz symboliczny. Spadające gwiazdy, które nikną, gasną nad ziemią, są porównane do zbuntowanych aniołów.

W tomie *Fallen Stars*<sup>10</sup> znajdujemy ślady wrażliwości i umiejętności obserwacji świata znanej z poprzednich dwóch zbiorów. Ale teraz wszystko: obraz jesieni, starych żaglówek w porcie, martwej natury, a także ludzi pracy i jeńców, jest zmacone myślą o przemijaniu, odchodzeniu, wędnięciu, utracie energii i siły.

Wiersz *Autumn Poisoned Earth* nie opiewa kolorów jesieni. Jest opisem jej odejścia. Są w nim krzyki płaczących ptaków, szloch usychających liści, złamanej róży; jest umieranie ziemi pod całunem świeżego śniegu. Ktoś rzeczywiście umiera, czyjś puls słabnie, zanika. Księżyc jak śmierć trzyma straż w nocy bezsennej dla czuwających. Wiersz jest echem śmierci siedmioletniej córki poety. O pustce po jej odejściu mówi wiersz zatytułowany jej imieniem: *Mireille*. W cieniu tego zdarzenia wszystko jest ciemne, pogmatwane otłuczone – zarówno latarnie uliczne w miejskiej nocy (*Jugglers*), stare łodzie żaglowe (*Oldsailboats*) przylegające do siebie jak zmęczone mewy, za stare, by zerwać się do rejsu pod rozwiniętymi żaglami, jak i drzewa oliwne (*Olive Trees*), zmęczone, odmawiające różaniec za pokój w Libanie.

Tony jaśniejsze – to powroty w świat dzieciństwa, do krajobrazu w rodzinnym stanie autora (Michigan), wywołanie z serdecznej pamięci ojca rzeźbiącego w drzewie figury z Pisma Świętego i religijnych legend (*Woodcarver*) i dziadka, który dla wnuków zrobił flet z wiśniowego drzewa (*Flute*). To także pochwała architektów, inżynierów, techników, dzięki którym z ruin została wskrzeszona Warszawa

*City of our youth,  
of carefree golden days*<sup>11</sup>.

<sup>9</sup> Edward Alan Symans, *From the Fourth Province*, printed in Florence anno Domini MCMLII, Tyszkiewicz Private Press.

<sup>10</sup> Edward Alan Symanski, *Fallen Stars*, London 1961.

<sup>11</sup> Tamże, s. 39.

\* \* \*

Warszawie „swej młodości i beztroskich złotych dni” Symans ofiarował cenne srebra przywiezione z Bliskiego Wschodu. Pomysł i sposób jego realizacji zrodził się podczas wieczornych rozmów w jego domu. Niemal codziennie przed południem telefonował, by przypomnieć o zaproszeniu lub zaprosić, bym przyjechał do niego wieczorem. Rozmowy trwały bez końca, tematów nie brakowało. Najciekawsze było wzajemne uzupełnianie wiedzy o zdarzeniach w Polsce i Polski dotyczących, oglądanych z dwóch punktów widzenia.

Pewnego wieczoru mówiło się o odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie i o ofiarności Polaków wspierających to dzieło różnymi darami. Symansowi przyszło na myśl, by Zamkowi ofiarować domowe srebra. Zaczęła się wymiana korespondencji, załatwianie formalności. Wraz z tym darem państwo Symansowie jeszcze podczas mego pobytu w Grand Rapids pojechali na dwa tygodnie do Polski zaproszeni przez polskie władze. Powrócili bardzo zadowoleni. Witalem ich na lotnisku w Grand Rapids słowami: „A co tam, proszę państwa, słyhać w Polsce, w Warszawie, w Krakowie?”

## O Stanisławie Żochowskim

Zacząło się od listu z 4 lipca 1990 roku, który dotarł do mnie z Australii, z Brisbane (ze stanu Queensland). Wysłany był na moje nazwisko, ale na adres – nie wiem czemu – Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie. Autor listu, pan Stanisław Żochowski, zwracał się do mnie: „Proszę Pana o decydującą pomoc w wydaniu moich książek, jako reprinty, które ukazały się w Londynie, w Oficynie Poetów i Malarzy”.

A oto, co go skłoniło, by zwrócić się z taką prośbą właśnie do mnie:

W „Kobiecie i Życiu” pp. Kulczyccy wspominają, że dzięki Panu udawało się wydanie książek, wówczas trudnych. Moje wydają się łatwe, ale nie dochodzą do Polski, i moje listy też. Nie kieruje mną oczekiwanie na dochód, prawa autorskie przeleję na PIW, lub inaczej, według Pana wskazówek.

Informacje, które Stanisław Żochowski znalazł w wywiadzie udzielonym przez londyńskiego wydawcę i księgarza, Jerzego Kulczyckiego, nie były już aktualne. Odnosiły się do niedawnego czasu, gdy byłem (od grudnia 1988 do stycznia 1989 roku) sekretarzem KC PZPR do spraw kultury i mogłem usuwać przeszkody stawiane wydawcom przez Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Wtedy to, po raz pierwszy w oficjalnym obiegu wydawniczym ukazał się *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, *Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapskiego, *Mój wiek* Aleksandra Wata; Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie w maju 1989 roku nie były (po raz pierwszy) kontrolowane przez cenzurę w nocy poprzedzającej dzień ich otwarcia (jak to zawsze czyniono), a Jerzy Kulczycki mógł na nich ustawić swoje stoisko, by zaprezentować wartościowe publikacje emigracyjnych oficyn wydawniczych<sup>1</sup>.

W chwili, gdy Stanisław Żochowski zwrócił się do mnie, sytuacja w Polsce uległa diametralnej zmianie. PZPR, utraciwszy władzę, rozwiązała się w styczniu 1990 roku. Państwo polskie rządzone teraz przez siły dotychczas opozycyjne szybko zmierzało ku ustrojowi demokratycznemu. Na mocy ustawy sejmowej z kwietnia 1990 roku została zniesiona cenzura. Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk uległ likwidacji. Były sekretarz KC nie miał już nic do powiedzenia.

Nie odmówiłem jednak podania Stanisławowi Żochowskiemu pomocnej dłoni, możliwie dobrej rady; tym bardziej że można było się spodziewać, iż w nowych warunkach politycznych, w suwerennej i demokratycznej Polsce jego publikacje spotkają się z dużym zainteresowaniem ze strony zarówno dotychczas działających, jak i licznie powstających nowych firm wydawniczych. A wymiana korespondencji między nami powodo-

---

<sup>1</sup> Zob. Marian Stępień, *Z diariusza Mariana Stępnia*, „Polityka” 1993, nr 24.

wała wzrost mego zainteresowania jego biografią i twórczością z zakresu najnowszej historii.

Stanisław Żochowski urodził się w Łomży w 1908 roku. Był synem kapitana armii rosyjskiej, który zginął w walce z oddziałami niemieckimi na Mazurach podczas pierwszej wojny światowej. W domu panowała więc atmosfera wojskowa. Takie między innymi sceny ze swego dzieciństwa wspominał Żochowski: „Jadąc bryczką na inspekcję wart, Ojciec brał mnie ze sobą. Przyzwyczajałem się do żołnierzy, zapachu mokrych szyneli, hreczanej kaszy, razowego chleba, rzemieni i naftaliny”<sup>2</sup>.

W Łomży też uczęszczał do Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki. Zaraz po maturze w 1927 roku został przyjęty do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, skąd został przeniesiony do nieodległego Komorowa, gdzie się znajdowały dawne rosyjskie koszary.

Praktykę odbywał w 4. Pułku Podhalańskim w Cieszynie. W 1930 roku, już jako podporucznik, został skierowany do 8. Pułku Piechoty w Lublinie, gdzie dowodził najpierw plutonem, potem kompanią, studiując równocześnie prawo i ekonomię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Szczególnie interesowało go prawo polityczne, prawo narodów i nauka o państwie. Publikował w tym czasie artykuły i felietony w „Przeglądzie Piechoty”, w „Polsce Zbrojnej” i w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”. Dyplom magistra prawa uzyskał w 1935 roku. Wówczas też zawarł związek małżeński z Marią Truszkowską, pochodzącą z Godowa w powiecie puławskim. Rok później urodziła im się córka Anna.

W tym samym roku, po złożeniu egzaminu wstępnego, został przyjęty do Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. By poznać inne rodzaje broni, odbywał praktykę m.in. w 3. Pułku Artylerii w Zamościu i w 2. Pułku Strzelców Konnych w Hrubieszowie. Po ukończeniu tej szkoły został oficerem dyplomowanym w stopniu kapitana i skierowano go do sztabu 29. Dywizji Piechoty w Grodnie, gdzie pracował nad planem obrony Suwalszczyzny. Wydarzeniem, które nim wstrząsnęło i wywołało – jak to określili – przerażenie, było wkroczenie polskich oddziałów do Czechosłowacji w 1938 roku.

W sierpniu 1939 roku jego dywizję skierowano w lasy na wschód od Piotrkowa. Miesiąc później, spychane przez pancerne oddziały niemieckie, polskie dywizje wycofywały się ku Wiśle i dalej; zostały rozbite pod Tomaszowem. Kapitan Żochowski dostał się do niemieckiej niewoli, z której udało mu się uciec. Trzykrotnie próbował – bezskutecznie – wydostać się z okupowanego kraju z myślą dotarcia do Francji.

Jesienią 1940 roku został wezwany przez dowódcę dywizji, pułkownika Ignacego Oziewicza, do Warszawy. Organizowało się polskie podziemie wojskowe. Powstał Związek Walki Zbrojnej (późniejsza Armia Krajowa) i Narodowe Siły Zbrojne (NSZ). Z nimi związał się Żochowski. Został szefem II oddziału NSZ.

Dążył do porozumienia i współdziałania z Armią Krajową, co było jednak bardzo utrudnione po aresztowaniu generała Grota-Roweckiego i pułkownika Oziewicza, dowódcy NSZ. Jego następcy, pułkownika Jerzego Kurcyusza, przedstawiciele Armii Krajowej nie uznawali w pertraktacjach. Kurcyusz zdecydował, by wysłać Żochowskiego w 1943 roku jako emisariusza NSZ do Prezydenta RP w Londynie z misją, której celem było doprowadzenie do podporządkowania Narodowych Sił Zbrojnych Prezydentowi. Przez Węgry, Bułgarię, Turcję, Egipt Żochowski dotarł do szefa sztabu Naczelnego Wodza. Prezydentowi Raczkiewiczowi przekazał informację o sytuacji w okupowanej Polsce i wygłaszał na ten temat odczyty w polskich oddziałach stacjonujących w Wielkiej

<sup>2</sup> Maria Żochowska, Stanisław Żochowski, *Nasz pamiętnik (1914–1984)*, Londyn 1984, s. 9.



Brytanii. Za wydostanie się z kraju i spełnienie powierzonej mu misji został odznaczony Krzyżem Walecznych i awansowany do stopnia majora. Wcielono go do sztabu Naczelnego Wodza.

Sztab ten był wówczas instytucją martwą. Nie dowodził, bo oddziały Wojska Polskiego były rozmieszczone w wielu krajach. Żochowski zabiegał o przeniesienie na linię działań frontowych – spełniono jego życzenie tym chętniej, że w londyńskim środowisku wojskowym był kimś obcym, gorzej postrzeganym. Wspominał o tym w liście z 31 października 1990 roku: „Byłem szefem sztabu Dowództwa NSZ, potem wysłannikiem w 1943 roku do Londynu dla podporządkowania organizacji Panu Prezydentowi i Naczelnemu Wodzowi”.

Różnice w poglądach między Żochowskim a oficerami rezydującymi w Londynie ujawniły się szczególnie wyraźnie, gdy polecono mu przygotować uzasadnienie dla odznaczenia Tadeusza Bora-Komorowskiego Krzyżem *Virtuti Militari* za dowodzenie powstaniem warszawskim. Żochowski zajrzał do statutu i stwierdził, że odznaczenie takie może być przyznane za samodzielne działanie, które było zwycięską bitwą lub walnie przyczyniło się do zwycięstwa, po czym złożył wniosek o postawienie Bora-Komorowskiego przed sądem za zniszczenie stolicy, spowodowanie ogromnych strat i nieosiągnięcie żadnego celu.

Skierowano go do II Korpusu, gdzie przez pół roku dowodził 17. Batalionem Strzelców Lwowskich, a później powierzono mu funkcję oficera łącznikowego między II Korpusem a Brygadą Świętokrzyską, która, jako część Narodowych Sił Zbrojnych, ruszyła na Zachód podczas styczniowej ofensywy Armii Czerwonej. Walcząc z Niemcami i uchodząc przed oddziałami radzieckimi, brygada ta, w liczbie 1000 żołnierzy, przekroczyła Odrę. Niemcy, widząc w niej jednostkę antykomunistyczną, tolerowali jej marsz przez Czechosłowację. Czeska organizacja podziemna zaopatrywała ją w żywność.

Marszałek Żukow żądał od Eisenhowera wydania jej jako „wojennych przestępców” w ręce władz radzieckich. Gdyby tym żądaniom uczyniono zadość, los Brygady Świętokrzyskiej byłby niechybnie taki sam, jaki – w stosunku do oddziałów generała Własowa – opisał Józef Mackiewicz w powieści *Kontra*.

Żochowski, który spotkał się z Brygadą pod Pilznem, interweniował w tej sprawie w Dowództwie 3. Armii Amerykańskiej. Amerykanie zaproponowali przewiezienie Brygady Świętokrzyskiej do II Korpusu. Na to nie zgodziła się Anglia.

Brygada przeszła na teren okupowanych Niemiec, została wcielona do Armii Amerykańskiej, która uznała ją za oddział aliancki, ze wszystkimi prawami kombatantów. Po złożeniu broni została przeorganizowana w oddziały wartownicze strzegące amerykańskich magazynów.

Żołnierze tych oddziałów często pomagali Polakom uchodzącym z kraju w obawie przed aresztowaniem przez NKWD. Na przykładzie losów własnej rodziny opisuje to Danuta Mostwin w powieści *Nie ma domu*. Podobną drogę przebyły żona i córka Żochowskiego.

Barczo ciężkim przeżyciem były ustalenia konferencji jałtańskiej i ich konsekwencje:

Nastrój okropny. Moc ludzi, dotąd wygodnie żyjących, boi się o własne jutro. Widać utratę posad i wypłaty funtów. Inni tracą głowę z powodów ogólnych. Część wybiera się z pokłonami dla Lubelskiego Komitetu, gdy tu zjawi się ambasada. Już się rysuje podział między tymi, co nie zamierzają wrócić, i tymi, co ostrożnie nie narazili się bolszewikom i mogą się stać przydatni nowym władzom, pod nową okupacją. Gen. Tatar i ppłk Utnik zdeklarowali się

patriotycznie: inteligencja (pojęcie rozciągliwe) winna wrócić do narodu. Ja wiem, że powrotu nie mam. Trzeba określić Wojsku byt po demobilizacji<sup>3</sup>.

Po przeniesieniu II Korpusu z Włoch do Anglii Żochowscy zatrzymali się na kilka lat w tym kraju, gdzie musieli przeżywać wszystkie gorycze wśród Brytyjczyków, którzy szybko zapomnieli o zasługach Polaków w obronie ich kraju. Wykluczono ich z udziału przeżywania triumfu kapitulacji Niemiec, powołano Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia, umieszczano w obozach ze sławetnymi „beczkami śmiechu”.

Na początku 1950 roku Żochowscy opuścili Anglię i wyjechali do Australii. Zatrzymali się w Melbourne, a później, już na stałe, osiedlili się w Brisbane, w stanie Queensland. Na swojej farmie hodowali głównie kwiaty, utrzymując się z ich sprzedaży.

Żochowski zajął się pisaniem. Od czasu do czasu zamieszczał artykuły w „Kulturze” i w „Wiadomościach”, a w 1972 roku ukończył większą pracę o wojsku polskim na Zachodzie. Nie było jednak środków na jej opublikowanie.

W 1973 roku został przyjęty na Wydział Historii University of Queensland dla napisania rozprawy doktorskiej na temat: *British Policy in Relation to Poland in the Second World War*. Wykorzystał bogate zasoby biblioteki uniwersyteckiej, zbiory własne i publikacje specjalnie dla niego sprowadzane. Po trzech latach praca (520 stron) była gotowa i uzyskała wysoką ocenę opiekuna naukowego.

Do jej obrony jednak nie doszło – dwóch recenzentów z innych uniwersytetów (jeden z nich był angielskim generałem) zgłosiło zastrzeżenia. Recenzent z ramienia macierzystej uczelni zasugerował autorowi usunięcie z tekstu wszystkiego, co pomniejszało postać Winstona Churchilla. Żochowski odmówił. W przeciwnym wypadku musiałby zrezygnować z najistotniejszych części swej pracy i sprzeniewierzyłby się prawdzie historycznej.

Nie udzielono mu prawa przystąpienia do ustnego egzaminu. W odpowiedzi na odwołanie się do rektora i senatu otrzymał ostrzeżenie, że jeśli ogłosi swą rozprawę po angielsku, organizacje „churchillowskie” pociągną go przed sąd w obronie czci Winstona Churchilla.

Przetłumaczył pracę z języka angielskiego na polski (Anglicy nie wtrącali się do publikacji polskojęzycznych, nie obawiali się ich niewielkiego wpływu na opinię światową) w przeświadczeniu, że Polacy będą zainteresowani podanymi w niej faktami; choćby dlatego, by unikać podobnych błędów w przeszłości. Jakże się mylił.

Myliłem się, bo rodacy podzielili się na emigracji na różne partie, kluby i kanapy. Najbardziej czynna była mieszkanka posanacyjno-akowska z pseudorządem sklejona, postępująca niezłomnie według hasła „kto nie z nami, ten przeciwko nam”. Przy powszechnym nie-doczytelnictwie ten ośrodek wydawał wyroki, co z nowości jest obrazoburcze wobec świata, który się zapadł we Wrześniu, ale siła bezmyślności istnieje. Kiedy ukazała się *Brytyjska polityka*, wystąpili przeciwko książce ludzie broniący systemu, który już nigdy w Polsce nie wróci, który doprowadził nas do klęski w wojnie i do klęski w powstaniu<sup>4</sup>.

Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku ogłosił konkurs na książkę o polskiej historii wydaną w 1979 roku i zwrócił się do Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie o nadesłanie pracy Żochowskiego *Brytyjska polityka wobec Polski, 1916–1948*. Skutek był taki, że dyrektor instytutu prof. Wacław Jędrzejewicz napisał do autora niegrzeczny

<sup>3</sup> Tamże, s. 213.

<sup>4</sup> Tamże, s. 374.

list z potępieniem treści jego książki, a nagrodę przyznano „jakiemuś duńskiemu pisarzowi jako naszą wdzięczność za »krople króla duńskiego« popolite w domowych apteczkach”<sup>5</sup>.

Żochowski zwrócił się potem do niecieszącego się nadmiernym prestiżem Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO) w Londynie, by uzyskać doktorat na podstawie *Monografii generała Tadeusza Kutrzeby*. Rektor uczelni wysoko ją ocenił: „Świetna teza, pod względem wojskowym jest bez zastrzeżeń i pod tym względem nie ma żadnych uwag dr. Biegańskiego [...]. Praca według mojej opinii jest znakomita, tak pod względem treści, jak i metody. To jest dobra praca doktorska”<sup>6</sup>. Ale prof. Zdzisław Stahl postawił autorowi zarzut opierania się na wydawnictwach krajowych i pracę odrzucił. A według Żochowskiego uwzględnienie również wartościowych prac dotyczących kampanii wrześniowej, a publikowanych w Polsce było właśnie jedną z zalet jego monografii.

Miał jeszcze gotową pracę *Unia Brzeska w Polsce XVII wieku i monografia ks. Cypriana Żochowskiego, Metropolity wszech-Rusi*. Zwrócił się – również do PUNO, by na jej podstawie zabiegać o doktorat. Kilka lat upłynęło, zanim się dowiedział, że obaj profesorowie, referent i koreferent, byli za jej przyjęciem. Dziekan postawił jednak autorowi zarzut „braku szacunku dla PUNO”. Praca miała za mały margines, a co gorsza jeden z załączonych przez autora dokumentów był w miękki, nieefektywnym opakowaniu. Odesłano mu go do ładnego, artystyczno-introligatorskiego oprawienia, co zabrało (przesyłki szły drogą morską) dodatkowo pół roku.

Ponieważ Żochowski miał magisterium z prawa, a w dodatku szczególnie – od czasów lubelskich – interesowało go prawo międzynarodowe, spróbował jeszcze innej drogi. Zaproponował dziekanowi Wydziału Prawa (też na PUNO) temat: *The Agreement of Yalta in the Light of International Law*. Wymiana korespondencji w tej sprawie skończyła się na liście rektora, który nie zgadzał się na dalszą współpracę z takim doktorantem. Rozgoryczony pisał w liście z 4 lipca 1990 roku: „To jest polski kręcik [!?] – w kraju »okres prześladowania za brak winy«, na emigracji nie uznaje dwóch prezydentów, bez oparcia o konstytucję, uregulowane następstwo i okresy czasu, nadto wojna AK z NSZ. Potępiam Powstanie, jako wojskowy idiotyzm i wylewanie polskiej krwi”.

Po korzystnym sprzedaniu farmy Żochowscy przenieśli się na peryferie Brisbane. Za uzyskane ze sprzedaży pieniądze Żochowski mógł publikować swe książki własnym sumptem. Pracował w otoczeniu, które przedstawił na ostatnich stronach *Naszego pamiętnika*, pisanego razem z żoną, pamiętnika o godnych uwagi walorach literackich:

Tu się przysuwa do nas las. Naprzeciwko hodowla koni pod miłą obserwacją. Można je pogłodzić, poczuć zapach, dać im kromkę chleba.

Ułożył się porządek niby emerytalny. Dni spędzamy w domu i w ogródku, gdzie Żona zawsze znajdzie coś do poprawienia, posiania, posadzenia. Ja piszę, poszukuję, zestawiam dane, kreślę i koresponduję, co szczerze wypełnia czas. Kiedy słońce się przechyli, idziemy na spacer z pieszkiem, wygonem do lasków, błotnistych zalewów i pól sportowych. Dzikie kaczki pluszczą się blisko domów, ibisy ważą się na cienkich nóżkach, stada gołębi wielu odmian mienią się w słońcu. Drzewa oblepia ptasia rzesza i radośnie przekrzykuje się lub walczy o lepszą gałąź. Papugi pędzą jak zielone strzały, podbite pomarańczowo. Aż w noc słychać rybitwy. Bazańty i kokabury zaczynają obwieszczać koniec dnia. Różowe i srebrne chmurki powleka szarość, szybko ciemniejąca.

<sup>5</sup> Tamże.

<sup>6</sup> Słowa z listu Stanisława Żochowskiego.

Są pory roku, gniazd zakładanie, gdy mieszkamy w ptasim dominium, które nas toleruje, nie spostrzega, zajęte swymi sprawami, śpiewem lub wrzaskiem. Wszystko kryje się w gałęziach drzew, kiedy zalśniły skrzydła jastrzębia, lub ukaże się kruk. Wtedy pi-wi ruszają do ataku jak eskadra myśliwców i odbywa się bitwa lotnicza. Ptaki żywią się jagodami parasolowca, asparagusa i wielu krzaków lub nasionami traw. W ulewne deszcze przyjmują dożywianie, jak rzecz naturalną.

Czasem konno przyjedzie Córka, poprzedzona przez dwa duńskie, wielkie dogi<sup>7</sup>.

Ostatnią i najważniejszą jego pracą była książka o polskim wywiadzie we Francji. Pragnął dotrzeć do polskich czytelników, także w kraju, z ważnymi informacjami, którymi dysponował, a Polakom były mało znane. Pisał 1 października 1990 roku:

Obserwuję zupełny brak orientacji w kraju, że nas Anglia oszukała i zdradziła. Tu *Brytyjska polityka* i *Wywiad polski* powinny przetrzeć oczy. Zależy mi na tym wywiadzie ogromnie, bowiem to niezwykła i indywidualna praca – wówczas kpt. dypl. pil. Romana Czerniawskiego, który [...] według źródeł bryt [yjskich] przynajmniej w 30% miał zasługę zwycięskiej inwazji w 1944 r. przez dezinformację Hitlera i jego sztabu. [...] To interwencja angielska podziemna. Tylko oni. Norman Davis, gdy dziwiłem się, że nie omówił mej *British Policy* odpisał – po polsku „proszę mi wierzyć, że nie mogę” [...]. Anglia robi wszystko, by zatrzeć nasz, polski udział w wojnie. Ostatnio protestowałem przeciwko milczeniu w obchodzie „Battle of Britain”, gdzie polskie skrzydła uratowały Londyn. Mam 83 lata i chcę książkę doprowadzić do Rodaków. Panu będę głęboko wdzięczny za pomoc.

I w kolejnym liście z 31 października 1990 roku:

Uprzejmie dziękuję za list i chęć pomocy w wydaniu [...]. Odległość i niemożność przyspieszenia przedłużają druk, komplikują korektę. Zecerzy są bez znajomości naszego języka. Biorąc to pod uwagę, liczę, że przed końcem roku nie wyjdzie *Wywiad polski we Francji i inne rozrachunki z Anglią*. [...] Dlatego wysyłam Panu „szczotki” po I korekcie – *Wywiadu*, który powinien być sensacją dla wielkich osiągnięć płk. dypl. pil. R. Czerniawskiego [...]. Jest oparty i o źródła angielskie.

\* \* \*

Korespondencja nasza urywała się, listy nie wszystkie dochodziły; zarówno jego do mnie, jak i moje do niego. Czasem, chociaż doszły, szły bardzo długo. Niekiedy wysyłane znacznie później od innych, dochodziły do adresata o wiele od nich wcześniej. Podawane tu daty ich pisania i wysyłania nie pozostają w żadnym związku z datą ich otrzymania. Do dziś nie ma pewności, czy ja otrzymałem wszystkie listy, czy on wszystkie otrzymał. Treści dochodzących listów wskazują na jakieś luki w tym korespondowaniu.

Przesyłka zawierająca kolumny szpaltowe dwóch książek: o generale Kutrzebie i o polskim wywiadzie we Francji szła bardzo długo. Wreszcie nadeszła, mocno naruszona i potem zapieczętowana w Urzędzie Celnym w Gdyni. Przy odbiorze zażądano ode mnie opłaty. Nie celnej, lecz „za podanie do kontroli”, jakbym to ja z własnej inicjatywy

<sup>7</sup> Maria Żochowska, Stanisław Żochowski, *Nasz pamiętnik...*, s. 384–385.

podawał do skontrolowania. Opłata nie była zbyt wysoka, ale sam fakt nieco śmieszny. Należało mi się raczej słowo przeproszenia za nieuzasadnione prucie przesyłki.

Łapałem się na tym, że poczucie osaczenia i podejrzliwości cechujące Stanisława Żochowskiego i mnie się udziela. Czułem się kontrolowany, podsłuchiwany. Wypatrując oczekiwanych listów (także od innych adresatów) byłem skłonny podejrzewać, że ktoś gdzieś je przetrzymuje i przede mną czyta.

Niełatwo było zainteresować wydawców książkami Stanisława Żochowskiego. Byli oni nastawieni na szybki i duży zysk. Na początku lat dziewięćdziesiątych lady księgarskie były pokryte literaturą sensacyjną, różnymi „harlekinami”, praktycznymi poradnikami. Z utworów pisarzy emigracyjnych preferowano głównie te, które miały wyraźne ostrze antykomunistyczne, choćby bardzo uproszczone. Utwory rzeczowe, obiektywne, a tym bardziej o takiej wymowie jak książki Żochowskiego, nie wzbudzały entuzjazmu, nie mieściły się w granicach już nowej „politycznej poprawności”.

Jeśli by w dużym skrócie ująć przebieg starań o publikację książek Żochowskiego, można by powtórzyć słowa z listu do niego:

Moje starania polegają na tym: nawiązuję kontakt z wydawnictwem, rekomenduję książkę, zachęcam do jej wydania, informuję o istotnych elementach jej treści. Zostawiam wydawcy do przejrzania. Potem mijają tygodnie, ja się boję, że książka zginie. Upominam się o nią i otrzymuję grzeczną, ale odmowną odpowiedź, uzasadnianą trudnościami finansowymi i obawą, czy książka rozejdzie się w takiej ilości, by chociaż zwróciły się koszty jej druku.

Tu dodam, że często odnosiłem wrażenie, iż wydawca nawet książki nie przeczytał, może i nie zajrzał do niej. Poleżała u niego, potem już trzeba było ją oddać i jakoś uzasadnić odmowę.

\* \* \*

Stanisław Żochowski nie doczekał się wydania swych książek w Polsce, czego tak bardzo pragnął. Umarł w Australii. W kraju są tylko korekty szpaltowe do jego dzieł. Może doczekają się tego, że ktoś się nimi zainteresuje i wyda...



# CZĘŚĆ V





## Most pamięci i wyobraźni

Podczas blokady Berlina Zachodniego, przez kilka lat, co kilka minut, z lotniska we Frankfurcie nad Menem startowały amerykańskie samoloty transportowe, by dostarczyć wszystkiego, co takiemu dużemu miastu jest niezbędne do życia. Musiały się zdarzać nieszczęśliwe wypadki pociągające za sobą nawet śmierć pilota lub osób z naziemnej obsługi. Po zniesieniu blokady zbudowano im pomnik. Jeden z ciekawszych w Europie, a może i w świecie. Prosty, a jakże pobudzający wyobraźnię. Składa się z dwóch części: z początku i końca łuku biegnącego ponad ziemią przez kilkaset kilometrów. Kilkunastometry początek tego łuku, zwrócony ku północnemu wschodowi stoi nieopodal lotniska we Frankfurcie nad Menem. W byłym Berlinie Zachodnim odpowiada mu taki sam fragment zwrócony w przeciwnym kierunku. To zakończenie tego prostego a niezwykle, najdłuższego pomnika na świecie. Jego początek i koniec łączy wyobraźnia oglądającego.

Wizja tego pomnika przychodzi na myśl podczas lektury utworów Danuty Mostwin – ze względu na sytuację narratora. Znajduje się on najczęściej na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, w Baltimore, wśród krzewów, kwiatów i ptaków otaczających polsko-amerykański dom. Rozpina łuk, most wyobraźni i pamięci, którego jedno zakończenie jest w stanie Maryland, a drugie w Polsce – w Lublinie, w Warszawie. Most wzniesiony siłą wyobraźni i wiernej pamięci autorki. I pobudzający wyobraźnię czytelnika.

Ten most odgrywa ważną rolę w konstrukcji narracyjnej opowiadania *Zegar z ulanem*, objętego jak klamrą scenami pozbywania się natrętnego, wnoszącego niepokój zegara przywiezionego z Polski podczas pierwszej w niej wizyty po kilkunastoletnim pobycie narratorki na emigracji.

Była to podróż w przestrzeni i w czasie. Zaspokajała tęsknotę do rodzinnych stron i grona bliskich ludzi pozostałych w kraju. Pozwoliła przeprowadzić porównania między Polską dawniejszą i tą współczesną, z początku lat sześćdziesiątych; porównania złożone i prowadzące do różnych wniosków wartościujących. Także między sposobem myślenia i zwyczajami Polaków a stylem życia i mentalnością Amerykanów. Odnotowane w refleksjach narratorki różnice skupiały się wokół wyglądu cmentarzy w obu krajach, ich nastroju i funkcji pełnionej w rytmie ludzkiego życia.

Bo podróż narratorki do Polski była też pielgrzymką do grobów najbliższych. Zauważa ona, że w Polsce cmentarze są ludzom bliskie, są nawet miejscem towarzyskich spotkań, rozmów, gdzie „umarli spotykają się co dzień na ustach żyjących”. (To wprowadzona do opisu lubelskiego cmentarza aluzja do motta przyświecającego opowiadaniu, zaczerpniętego z wiersza Samuela Butlera *The Life After Death*, które w tłumaczeniu autorki brzmi:

A jednak się spotykamy, odchodząc i znów wracając  
Na wargach ludzi żywych, tam, gdzie umarli wstają).

W Stanach Zjednoczonych jest inaczej:

W Ameryce chłód cmentarzy odstrasza. Po pustych alejach nie spacerują matki z dziećmi ani zakochane pary. W Dzień Zaduszny nikt nie pali świateł, gromady ludzi nie spotykają się przy grobach ani przekupki nie sprzedają wieńców przed bramą. Ameryka żyje przyszłością (345)<sup>1</sup>.

Najważniejszy wątek, organizujący opowiadania wiąże się z dociekaniem wszystkich okoliczności tragedii, która dotknęła bliskich narratorki już w pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej, w okupowanym przez Niemców Lublinie.

*Zegar z ulanem* jest jednym z tych utworów, które dopełniają główne dzieło autorki, siedmioczęściową sagę objętą whitmanowskim tytułem *Ani o ziarno jęczmienia mniej*. W panoramicznej, wielowątkowej kompozycji poszczególne epizody musiały być podporządkowane ogólnym ramom i proporcjom, toteż autorka poświęca niekiedy ich rozwinięciu osobne opowiadania. Tak między innymi dzieje się z tragicznym wątkiem Stefana i jego córki Haliny, znanym z *Tajemnicy zwyciężonych*.

Narratorka (*alter ego* autorki) spotyka się z ciotką Władką, żoną Stefana i matką Haliny. Próbuje – z dużą ostrożnością – naszkicować portret psychologiczny kobiety podanej wielkiemu cierpieniu. Ogranicza się do spostrzeżeń zewnętrznych. Jakby nie miała odwagi użyć (co stosuje w innych przypadkach) mowy pozornie zależnej, by zapuścić sondę zgłębiającą doświadczenie psychiczne. Przypomina spotkania jeszcze podczas wojny, trzy lata po tragicznym zdarzeniu, kiedy to ciotka Władka „zbrojona w swój spokój, pancierz swego dramatu, zniechęcała do jakiegokolwiek próby współczucia” (321). Z tamtego czasu autorka zapamiętała ciotkę jako kobietę, która nigdy się nie załamała, odrzuciła postawę żałobnej płaczki, a przecież nie przeszła do porządku dziennego nad tym, co ją spotkało. „Jej opanowanie było szaleństwem. I ona to spokojne szaleństwo aprobowała” (327). A kiedy po kilkunastu latach witający narratorkę w Polsce wzruszali się do łez, ciotka Władka „nie płakała, nie przecierała oczu, jak inni. Ten nie wzruszony niczym spokój był jej powitaniem” (322).

Podczas spotkania z narratorką i rozwijania opowieści o okupacyjnej przeszłości „Władka położyła łokcie na stole, oparła czoło na ściśniętych w pięść rękach. Nie odzywała się. Myślałam: płacze. Ale ona znów spojrzała na mnie, oczy jej były suche, bez śladu łez” (362). Może przeżycie było tak straszliwe, że zniszczyło bezpowrotnie nawet dar płaczu?

Opowiadanie *Zegar z ulanem* zaczyna się od odkrycia na nowo, w zaroślach niedaleko polsko-amerykańskiego domu, przywiezionego z podróży do Polski, otrzymanego od ciotki Władki, która już umarła, zepsutego i zardzewiałego zegara z ulanem. Jest on tym przedmiotem, wokół którego skupiają się: niepokojący nastrój, nieokreślone, ale niedobre przeczucia z pogranicza snu i jawy.

Zegar z ulanem pojawił się we śnie Władki na kilka miesięcy przed tragedią. Stał się również zmaterializowanym, realnym przedmiotem, skoro ciotka ofiarowała go narratorki, gdy ta, po wizycie w Polsce, wracała do Stanów, a potem wyrzuciła go w zarośla, bo jego melodie, które urzekały na początku, doprowadzały ją do rozpacz, a jego głos stawał się tak natarczywy i wszechogarniający, że zagłuszał wszystkie inne dźwięki potrzebne jej do życia.

Opowiadanie nie pozwala uchwycić, kiedy i jak dokonało się przejście od złowróżbnego snu do jawy. Owo niedopowiedzenie jest jeszcze jednym elementem nastroju

<sup>1</sup> Cytaty z opowiadania *Zegar z ulanem* według wydania: Danuta Mostwin, *Odkrywanie Ameryki*, Lublin 1992. Liczba w nawiasie oznacza numer strony.

wywołanego przez opowiadanie Władki o jej śnie z zegarem, z ulanem, rozpoznanym później w człowieku, w którym zakochała się jej córka, a który przyniósł do jej domu zdradę i nieszczęście.

Opowiadanie *Zegar z ulanem* jest datowane: „Bask Lane, luty 1985”. Powstało w tej fazie twórczości literackiej Danuty Mostwin, w której próbuje ona się oddalić od ściślego trzymania się realistycznego opisu i sięga po motywy irracjonalne; ze sfery snu, przeczuci, intuicji. Czyni to w sposób, który nie pozwala na pewność, czy są to tylko służące wzbogaceniu konstrukcji narracyjnej chwytaki literackie, czy też kryje się za nimi coś więcej; jakieś przekonanie o rzeczywistej roli w życiu ludzkim zjawisk niepoddających się racjonalnej analizie, nadrealnych, parapsychologicznych. Podobnie zresztą, jak się to dzieje w prozie Edgara Allana Poe, a ze współczesnych – w wielu opowiadaniach Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

Owa nadrealna rzeczywistość współlistnieje w utworze ze światem całkiem realnym. W rozmowie narratorki z innymi osobami padają dokładne daty zdarzeń: „To było 29 marca. Rok 1940. Na pewno 29 marca ich zabrali” (348). „Rozstrzelali ich 29 czerwca 1940 roku...” (348). To, czego nie przekazała narratorce ciotka Władka, dodają jej inne ciocie. Że Stefan, wyprowadzony z zamku spokojnie szedł na śmierć pewny, że jego jedyne dziecko, córka Halina, zdołała ujść zdradzie i uciec przed gestapowcami. Dopiero jak zobaczył, że ją również wywleczono i związaną rzucono na ciężarówkę, „ryczał nieludzkim głosem: Moja córka! Moje dziecko! Boże, Boże, gdzie jesteś?” (368).

Tak zapamiętano ostatnie słowa Stanisława Lelka-Sowy, lubelskiego sędziego, brata Pauliny, babci Danuty Mostwin, działacza Związku Peowiaków w Lublinie, który, odmówiwszy ucieczki z kraju, gdy wojsko polskie opuściło Lublin, stanął na czele utworzonego 14 września 1939 roku Komitetu Obrony Miasta. Miesiąc później, gdy pod kierunkiem generała Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza organizowano konspiracyjną siatkę Służby Zwycięstwu Polski, Stefan Lelek-Sowa został powołany na przewodniczącego rady politycznej okręgu. W jego domu, „na górce” splatały się nici konspiracyjnych kontaktów i była zainstalowana radiostacja polskiego podziemia<sup>2</sup>.

30 marca 1940 roku „w Lublinie miały miejsce masowe aresztowania inteligencji polskiej. W więzieniu na zamku osadzono m.in. przewodniczącego rady politycznej Lubelskiego Okręgu ZWZ – Stefana Lelka-Sowę wraz z córką Haliną oraz z kilku innymi współpracownikami”<sup>3</sup>.

Trzy miesiące później, 29 czerwca 1940 roku „w odległości około 3 km od śródmieścia Lublina w tzw. Dołach na Rurach Jezuickich hitlerowcy rozstrzelali 34 więźniów za działalność konspiracyjną. Wśród zamordowanych znajdowali się działacze podziemnych organizacji niepodległościowych, m.in. Lelek-Sowa, jego córka Halina...”<sup>4</sup>.

Kiedy wkrótce po wojnie dokonano ekshumacji zwłok zamordowanych przez gestapo Polaków, Stefana Lelka-Sowy nie można było rozpoznać. Jego córkę Halinę matka poznała po warkoczach.

Jedno z najlepszych opowiadań Danuty Mostwin, wywołujących żywy oddźwięk u czytelników, *Zegar z ulanem*, jest dedykowane pamięci Haliny Lelkówny i Stefana Lelka-Sowy.

<sup>2</sup> Zob. Józef Kasperek, *Kronika wydarzeń w Lublinie w okresie okupacji hitlerowskiej*, Lublin 1983, s. 19 i 25.

<sup>3</sup> Tamże, s. 56.

<sup>4</sup> Tamże s. 6.

# Niewystany list

*Profesorowi Jackowi Mostwinowi*

Opowiadanie Danuty Mostwin *Dwa listy*, zamieszczone w zbiorze *Asteroidy*<sup>1</sup>, wzniesione w tomie *Odkrywanie Ameryki*<sup>2</sup>, należy do utworów, w których autorka poddaje analizie dylematy i rozterki charakteryzujące emigrantów polskich w Stanach Zjednoczonych, przybyłych tam po drugiej wojnie światowej.

Bohaterem opowiadania (i autorem tytułowych dwóch listów) jest lekarz psychiatra. To sprzyja pogłębieniu analizy psychologicznej i postawieniu diagnozy. Należy on do pokolenia, które doszło do progu dojrzałości w niepodległej Polsce. Przeżył wojnę i okupację, łapanie uliczne. Był świadkiem wszystkiego, co się działo w okupowanej przez Niemców Warszawie. Studiował medycynę na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Przystąpił do powstania. Jego małżeńskie życie rozpoczęte powstańczym ślubem trwało zaledwie kilka dni. Żona nie wróciła z akcji. Po kilkuletnich poszukiwaniach otrzymał oficjalną informację o jej śmierci. Wtedy podjął decyzję o wyemigrowaniu z kraju.

Podjął pracę w przychodni psychiatrycznej w Stanach Zjednoczonych, w klinice dla dzieci z problemami emocjonalnymi, która jest oddziałem stanowego szpitala dla umysłowo chorych.

Ze swego samopoczucia na emigracji zwierza się w liście do przyjaciela mieszkającego w kraju. Forma listu ułatwia psychologiczną autoanalizę, a fachowa wiedza i doświadczenie – profesjonalny opis stanów psychicznych i postawienie diagnozy.

Nie umie wejść w harmonijne współżycie i współdziałanie ze swoim najbliższym otoczeniem w miejscu pracy. Jest rozdrażniony, niecierpliwy, pełen pretensji wobec współpracowników. Łatwo o wybuch, do którego rzeczywiście dochodzi.

Nosi on bowiem w sobie „polskiego bakcyła”, nie umie się oderwać od „polskiego cienia”, wyzwolić się z polskich udręk, obsesji, urazów, kompleksów, garbów; nie potrafi zrzucić z siebie polskiego balastu zabranego z kraju.

U źródeł jego wewnętrznego stanu są silne więzy łączące go z Polską i z tym, co się w niej dzieje. Czas pisania listu przez bohatera opowiadania przypada w Polsce na wydarzenia związane z Październikiem 1956 roku. One to wyzwoliły i ujawniły jego dużą wrażliwość na to, co wówczas się w Polsce pojawiło, na doznania jego przyjaciół, znajomych, w ogóle rodaków przeżywających nadzieje na zmiany i uczestniczących w działaniach, które do tych zmian zmierzały. W takich dniach chciałby być z nimi, wśród nich, swoją wiedzą i doświadczeniem pomagać polskim dzieciom.

---

<sup>1</sup> Danuta Mostwin, *Dwa listy*, Londyn 1965.

<sup>2</sup> Danuta Mostwin, *Odkrywanie Ameryki*, Lublin 1992.

Ma też pretensję do otaczających go amerykańskich kolegów, że nie dość mocno interesują się wydarzeniami w Polsce, że w czasie, gdy tam jego rodacy toczą dramatyczną walkę o poszerzenie granic swej wolności, w gronie pracowników szpitalnych nic się nie zmieniło, panuje zwykły rytm pracy, normalny nastrój, włącznie z chwilami wesołości ludzi żyjących i pracujących w ustabilizowanych, wygodnych, komfortowych warunkach. Amerykanie nie przeżywają głęboko tego, co dla niego jest tak bardzo ważne (poznański Czerwiec, polski Październik i jego różnorodne następstwa).

Na tym tle doszło do towarzyskiego wybuchu, wypowiedzenia ostrzejszych słów, naruszenia przestrzeganych w jego otoczeniu reguł koleżeńkiego współżycia; wybuchu przyjętego przez amerykańskie otoczenie ze zrozumieniem, ale również ze zdziwionym zakłopotaniem i dezaprobatą.

Bohater miał do siebie pretensje o ten wybuch. Analizując swą reakcję, dochodził do jej ambiwalentnej oceny. Znajdował w niej zarówno przejaw krytycznie przez siebie ocenianej megalomanii narodowej, jak i aprobowany odruch solidaryzowania się ze swymi rodakami przeżywającymi w Polsce szczególnie czas. Dostrzegając w sobie dwie, biegunowo różnie wartościowane, postawy, zbliżał się do profesjonalnej, psychiatrycznej diagnozy: ciekawa odmiana schizofrenii typu *hebephrenic*, która przejawia się słabnącym zainteresowaniem światem zewnętrznym, przebywaniem w świecie własnej wyobraźni, domaganiem się rzeczy niemożliwych, luźnym związkiem z otoczeniem, poczuciem, że jest się przez nie nierozumianym.

Źródłem swej choroby dopatrywał się w niemożliwości pełnego zakorzenienia się w nowych warunkach wskutek dziedzicznego obciążenia, z którego nie mógł się wyzwolić. Składało się na nie dzieciństwo spędzone w klimacie patriotycznym i religijnym właściwym polskiej tradycji katolickiej oraz młodość, która minęła pod znakiem walki o narodową niepodległość, a także, wprost, o przeżycie podczas niemieckiej okupacji. To dziedziczne obciążenie, ten „polski bakcyl” nie pozwala na pełną integrację z otoczeniem, której (i tu znowu rozdziwienie) zarówno pragnie, jak i broni się przed nią.

Oprócz psychologicznej analizy stanu świadomości emigranta list zawiera również obserwacje świata zewnętrznego, który go otacza. Spostrzeżenia te są wyrazem dystansu autorki do bohatera, do jego dysharmonii moralnej, poczucia winy, niepokoju patriotycznego sumienia, wprawdzie zrozumiałego i godnego uwagi, ale niezaskładającego na bezwarunkową i pełną akceptację.

Z otoczenia, w którym pracuje autor listu, na plan pierwszy wysuwa się John. To on był mimowolnym sprawcą wybuchu rozdrażnienia, gdyż zamiast powiedzieć, że jego prapradziadek przyjechał do Ameryki z Polski, powiedział, że przybył on z Austrii, gdyż Polski w tym czasie nie było.

John, Amerykanin od czterech pokoleń, posługuje się piękną polszczyzną przejętą od dziadka. Monologiem o muzyce Chopina, o polskim indywidualizmie, o tęsknocie za wolnością i smutku wpisanym nawet w skoczne melodie „Mazowsza” umie zainteresować i zatrzymać uwagę Amerykanów (doceniających znaczenie genealogii i antropologii) bardziej niż autor listu – żywy świadek wydarzeń drugiej wojny światowej w Polsce i uczestnik powstania warszawskiego.

John ukończył seminarium duchowne. Dorabia sobie do szpitalnej pensji głoszeniem kazań w niedziele, przeznaczonych dla członków Polskiego Kościoła Narodowego. Jego wyjaśnienia o genezie tego Kościoła wpływają na szersze widzenie spraw religii, niż to, które bohater opowiadania wyniósł ze swojej parafii w Polsce.

Kiedy w roku 1945 przybyli do Ameryki pierwsi powojenni emigranci żołnierze polscy, „dipisi”, John pojechał do nich z daleka, by ich spotkać, porozmawiać z nimi, pomóc im. Nie doszło jednak do pełnego porozumienia. Odsunęli się od niego. Poczujący się wpłątany w jakiś konflikt, w którego powstaniu nie uczestniczył, wycofał się, postanowił zrozumieć siebie, stać się normalnym Amerykaninem zachowującym odziedziczone po dziadku zainteresowanie Polską.

Spotkanie Amerykanki, która w latach czterdziestych przebywała w Europie i z prawdziwym wzruszeniem opowiada o wygłodzonych uchodźcach polskich znajdujących się tam wówczas w okropnych warunkach, wywołuje refleksję: „My, Polacy, wiele mówimy o swojej i cudzej wolności, ale rzadko naprawdę rozkliwiamy się nad innymi narodami”.

Okazuje się, że są również Amerykanki, których synowie zginęli podczas drugiej wojny światowej w walce z Niemcami, że Amerykanie są ofiarni, wielkoduszni i wrażliwi na położenie innych narodów, że pogoń za dolarem bardziej cechuje przybyszów z Polski niż Amerykanów zdolnych w razie potrzeby do filantropijnych gestów.

W opowiadaniu Danuty Mostwin jest mowa o dwóch listach. Pierwszy z nich, długi, mający charakter zwierzenia pisanego z myślą o przyjacielu mieszkającym w kraju – to pogłębiona analiza stanu świadomości polskiego emigranta noszącego w sobie „niešťczęsnego polskiego bakcyła”.

List ten jednak nie został wysłany. Został zniszczony, podarty przez jego autora i zastąpiony listem drugim, krótkim, kilkudzaniowym załedwie, informującym rzeczowo o tym, co zostało adresatowi wysłane (stetoskop, narzędzia medyczne) i konwencjonalnie zapowiadającym w przyszłości list obszerniejszy albo też bezpośrednią rozmowę, gdy zdarzy się spotkanie.

Puenta utworu nie przynosi więc odpowiedzi na wszystkie pytania wywołane opowiadaniem, a w szczególności nie informuje, dlaczego list nie został wysłany. Informacja dodana w *postscriptum* („...list był tak niesamowicie długi, że nie miałbyś cierpliwości doczytać go do końca i dlatego go podarłem”) niczego nie wyjaśnia. Jest nieprawdziwa.

Nad zakończeniem opowiadania *Dwa listy* jest zawieszona wieloznaczne milczenie, które stanowi integralną część literackiej kompozycji dotyczącej trudnych, niedających się łatwo pozamykać, spraw.

Czy chodzi tylko o terapeutyczną funkcję pisania listu (jego wysłanie jest mniej ważne) zapobiegającą pogłębieniu się *hebephrenic*? Wyprowadzało ono trochę bohatera z zakłętego kręgu polskich problemów i ich skomplikowanego zawężenia.

Akt podarcia listu może mieć także inną wymowę. Można go odczytać jako znak pozbywania się „niešťczęsnego polskiego bakcyła”, oderwania się od „polskiego cienia”, postawienia kroku ku pozycji przyjętej przez Johna: „Zrozumieć siebie, stać się normalnym Amerykaninem, bo przecież ja jestem Amerykaninem”.

Może być również znakiem zwątpienia w możliwość wniknięcia przez przyjaciela w Polskę w duchowe komplikacje powojennego emigranta polskiego w Stanach Zjednoczonych; decyzją skazania siebie na samodzielne ich przeżywanie, rozplątywanie, w poczuciu, że są one nieprzekazywalne, zwłaszcza osobie zamieszkałej w innych warunkach, pozostającej w kraju.

*Dwa listy* Danuty Mostwin są ważnym opowiadaniem o trudnym przechodzeniu z kondycji emigranta do samopoczucia Amerykanina polskiego pochodzenia. Powstało ono kilkadziesiąt lat temu, ale nie utraciło swej aktualności. Do historii przeszedł polski

Październik '56, odchodzi na „Tamten Brzeg” to pokolenie emigrantów, do którego należał bohater opowiadania – autor niewysłanego listu.

Pozostają ich dzieci, wnuki; od tamtego czasu przybiły też do brzegów Ameryki nowe fale polskich emigrantów. Jedni i drudzy w różny sposób mocują się z „nieszczęsnym polskim bakcylem”, z „polskim cieniem”. W różny też sposób mogą wypełniać wywołujące pytania milczenie zawieszony nad zakończeniem opowiadania.





# CZĘŚĆ VI



# Ptaki

*Wait moment* – zatrzymała mnie towarzysząca mi Amerykanka, gdy wyszliśmy z waszyngtońskiej National Gallery.

Patrzyła w niebo. Nad błoniami w centrum stolicy przelatywało stado ptaków. Z nieznanym nam przyczyn zmieniało kierunek lotu. Znikało za wysokimi drzewami na lewo, a po chwili pojawiało się na nowo, lecąc w prawą stronę, wznosząc się do góry. Potem znowu w lewo. Podzieliło się na dwie mniejsze grupy. Po chwili ptaki, już połączone, leciały dalej, coraz dalej, już były za Monumentem Waszyngtona. Obrawszy kierunek na prawo, zniknęły za budynkami Smithsonian Institute.

Mogliśmy pójść dalej. Moja towarzysząca była zadowolona. Z lotu ptaków odczytała dobrą dla siebie wróżbę.

Dotychczas wydawało mi się, że czynili tak tylko starożytni Grecy i Rzymianie.

Gdy Kazimierz Wierzyński odkrywał amerykańską przyrodę i pisał wiersze, które weszły do zbioru *Korzec maku*, w jednym z nich dopuścił do głosu ptaka:

Ruch mój wysoki  
Podróż za gwiazdę skrzydlatą  
I los wasz w mojej zapisany podróży  
Nie podchodźcie za blisko,  
Jestem ptakiem.  
Z mego lotu się wróżę<sup>1</sup>.

\* \* \*

Nie widziałem ich, jak przelatywały od strony kanadyjskiej, na południe, w jesienne, gwiazdziste noce. Słyszałem ich lot nade mną. Miarowy odgłos ich skrzydeł, jakby jęk, w ciężkim, szybkim locie. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jak przelatują, sznurem, wysoko ponad moją głowę, pewne wybranego kierunku, wiedzione niezawodnym instynktem, orientując się może według gwiazd na bezchmurnym niebie.

Nie widzę tych gęsi, ale je słyszę  
Jak jęczą.

Napisał Kazimierz Wierzyński w wierszu *Dziki gęsi*<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Kazimierz Wierzyński, *Poezje zebrane*, t. 2, Białystok 1994, s. 114.

<sup>2</sup> Tamże, s. 95.

Co roku, na tych samych polach nad Oceanem Atlantyckim przystawały w drodze na północ. Były ich tysiące. Tym wydarzeniem żyło pobliskie miasteczko. Z wielu stron zjeżdżano się, by je zobaczyć. W kwietniowe popołudnie wybrał się tam również Kazimierz Wierzyński. Gęsi kanadyjskie zajęły przestrzeń obejmującą pół kilometra. Z trzech stron obramowaną drogami, z czwartej – brzegiem morza.

Są duże, „sięgają powyżej kolan człowieka o przeciętnym wzroście”. Czarna głowa, upierzenie brązowo-szare, „jak na znaczkach pocztowych Kanady”<sup>3</sup>.

Trzeci dzień postoju był dniem odlotu. W obozie zaczynał się duży ruch. Gorączkowe gęganie, łopot skrzydeł. Stado dzieliło się i kolejne grupy wzbijały się w niebo. Rozciągały się w kształt litery „V”. Obierały kierunek północno-zachodni: na Alaskę, Labrador, kanadyjskie jeziora. „Tej nocy pewnie miną Boston i dotrą do granicy Kanady”<sup>4</sup>.

Pisał o nich Aleksander Janta:

Śnił mi się krzyk dzikich gęsi  
pod chmurami lecących w kluczu  
Kto za młodu raz usłyszał ich głos  
już go nigdy w życiu nie zapomni<sup>5</sup>.

Opisał też spotkanie z dziką gęsią:

Gdy wyszedłem rano nad morze  
które bije teraz o mój brzeg  
zobaczyłem dziką gęś kanadyjską  
[...]  
pozwoliła mi podejść  
na mój głos odpowiedziała swoim głosem  
otworzyłem szeroko ramiona  
ale mi się podniosła na skrzydłach  
poszła szybkim lotem nad zatokę  
ponad wodą wielką i czystą<sup>6</sup>.

Do ptaka, do żurawia, porównywał Janta Jana Lechonia, gdy go wspominał w dniu jego pogrzebu:

A był jak żuraw rzucony burzami między skaliste  
wąwozy, wsparty na szczudłach przypomnień jak na kikutach skrzydeł,  
włókł się i szarpał, i wzbijał, udawał lot a upadał<sup>7</sup>.

\* \* \*

Wielu Amerykanów „poluje” na ptaki. Gdy dowiedzą się o pojawieniu się ptaka, którego jeszcze nie widzieli, gotowi są pokonać setki kilometrów, by go „upolować” aparatem

<sup>3</sup> Kazimierz Wierzyński, *Poezja i proza*, t. 2, Kraków 1981, s. 310–311.

<sup>4</sup> Tamże, s. 312.

<sup>5</sup> Aleksander Janta, *Śnił mi się krzyk*, Kraków 1979, s. 100.

<sup>6</sup> Tamże.

<sup>7</sup> Tamże, s. 114.

fotograficznym lub kamerą filmową i włączyć do swej kolekcji. Telewizja nadaje dla nich specjalny program.

Jimmy McClafferty pokazał mi notes swego syna kończącego studia. Wysłuzony, pobrudzony, wygładzony chłopięcą dłonią. Przechowywany do dzisiaj i ciągle uzupełniany nowymi datami. Pierwsze z nich sięgają kilkunastu lat wstecz. Przy każdej dacie – nazwa ptaka. To dokumentacja, kiedy po raz pierwszy zobaczył ptaka tego gatunku.

Kiedy żegnałem się z Jimmym, podszedł do półki, sięgnął po jakąś książkę. Napisał na wyklejce: *J. McClafferty – to my Friend Marian Stepień, June 1978*. Był to *A Field Guide to the Birds*.

\*\*\*

Zaprosił mnie do siebie na weekend pan Bernard Gryszka. Oprowadzał po swym ogrodzie, w którym zagnieździły się ptaki i nie bały się nas. Po kilku dniach w swej skrytce w sekretariacie uczelni znalazłem publikacje o ptakach z karteczką:

„5.29.78. Panie Stepień. Proszę Pana zabrać na przyszły użytek te inne opisy o ptakach, i jak ich szanują w Ameryce Północnej, niektórzy ludzie. Do widzenia w krótkim czasie – B. Gryszka”.

5-29-78

Panie Stepień:

Proszę pana sobie zabrać  
na przyszły użytek te  
inne opisy o ptakach, i  
jak ich szanują w Ameryce  
Północnej, niektórzy ludzie.  
Do widzenia w krótkim  
czasie, — B. GRYSZKA

\* \* \*

W Pensylwanii zobaczyłem po raz pierwszy w życiu kardynała. Kilka metrów przede mną sfrunął na niższą gałąź krzewu i dłuższą chwilę na niej się kołysał. Na tle śniegu ukazał się w całej szkarłatno-czerwonej okazałości. W czerwonym kapturku.

\* \* \*

Robin. „Zjawia się na wiosnę jak z zegarkiem w ręku. 21 marca jest już na miejscu” – pisze o nim Kazimierz Wierzyński<sup>8</sup>.

Patrzyłem na te ptaki codziennie. Nie tworzyły stada. Chodziły pojedynczo po murawie kampusu. Było ich dużo. Zwłaszcza po wiosennym i letnim deszczu, kiedy dżdżownice wysuwały się ze swoich dziur. Robin czyhał na nie. Zapierał się nóżkami, dziobem wyciągał je na powierzchnię i zjadał. Po zaspokojeniu głodu wyciągał dżdżownice z otworu w ziemi, potrząśnięciem główki odrzucał je na bok i zabierał się do następnej, dopóki mu się ta zabawa nie znudziła.

Kazimierz Wierzyński twierdził, że robin w Polsce nie jest znany. Ustąpił, gdy Maria Dąbrowska napisała mu, że to jest polski rudzik<sup>9</sup>.

Rzecz nie jest taka prosta. Opis rudzika w dziele Jana Sokołowskiego o ptakach, w *Jaki to ptak* Waltera Cernego i Karela Drchola, a także u Brehma niezupełnie się zgadza z wyglądem i miejscem pojawiania się amerykańskiego robina.

Robin występuje w pamiętnikach Juliana Ursyna Niemcewicza z czasów jego pobytu w Ameryce. Niemcewicz opisuje pobyt w prywatnym domu w New Brunswik wraz z gronem osób, wśród których był też Tadeusz Kościuszko. Oczekiwali oni na wygaśnięcie zarazy żółtej febry w Filadelfii. „Zabawą moją” – pisze Niemcewicz – „było chodzić z fuzją i strzelać ptaszki *robins* zwane na obiad dla Kościuszki”<sup>10</sup>.

\* \* \*

Pewnego dnia przez uchylone okno wleciał do czytelni bibliotecznej dobry znajomy: pospolity wróbelek. Było to kilkanaście dni po moim przybyciu do Stanów, a więc w czasie, w którym ciężko przeżywa się rozłąkę z bliskimi i osamotnienie w zupełnie obcym środowisku. Toteż w odróżnieniu od innych czytelników, którzy nie zobaczyli w tym nic dziwnego, nie bez wzruszenia obserwowałem tego ptaszka, który dla mnie był jak posłaniec z Polski.

<sup>8</sup> Kazimierz Wierzyński, *Poezja i proza*, s. 301.

<sup>9</sup> Por. tamże, s. 301–302.

<sup>10</sup> Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, t. II, Warszawa 1957, s. 218.



Lyn's '83

*Amphispiza bilineata*

\* \* \*

Przed powrotem do Krakowa przyjaciele z Alliance College zaprosili mnie na uroczystą kolację do wykwintnej restauracji w Erie (Pensylwania), nad jeziorem o tej samej nazwie. Wręczyli mi dużą, rozkładaną kartę z obrazem stadka ptaków przedstawionych w stylu filmów rysunkowych Walta Disneya albo Muppet Show. Na brzuszkach miały wypisane imiona ofiarodawców, moich przyjaciół z uczelni, dobranych zgodnie z charakterem i wyglądem ptaka.

Stadko patrzy w prawy dolny róg, gdzie już tylko na ziemi pozostały ślady ptaka, który dopiero co odłączył się od stada i odszedł w swoją drogą. A na górnych rogach napisy: *Good-bye from the Whole Floc! i We're sure sorry you're going to be making tracks.*



# Franciszek Jarecki

To się stało w pierwszej połowie 1953 roku. Byłem wtedy studentem trzeciego roku, mieszkałem w II Domu Akademickim. Komentowaliśmy z kolegami to wydarzenie w pokojach studenckich.

Prasa doniosła, że polski pilot latający na najnowszym wówczas samolocie myśliwskim produkcji radzieckiej (jeśli dobrze pamiętam, był to MIG-20) podczas ćwiczebnego lotu, Franciszek Jarecki, umknął kontroli, wziął kierunek na Zachód. Ucieczka się powiodła.

\* \* \*

Wiele lat później znajdowałem echa tego zdarzenia w *Dzienniku* Jana Lechońia. Zainteresowała go postawa i czyn tego lotnika: „Mało kogo jestem tak ciekaw, jak jego, co on sobie myśli – ale tak naprawdę”<sup>1</sup> – notował w pierwszym dniu maja 1953 roku. Jego telewizyjnego wywiadu słuchał „z radością i wzruszeniem”.

Ten chłopiec pyszałkowaty z zadartym nosem i zadzierzystą czupryną – to afisz Polski – zarazem bohaterskiej i po raz pierwszy sprytnej. Mówił byle jak, opowiadając po prostu, jak to jest w Polsce i co on tam robił – ale to byle jak miało ton prawdy nieodpartej i pełnej nadziei. Odnajdywało się w nim słowa i ton wielu tysięcy innych – i to nie starych patriotników pamiętających wolność, ale młodych komunistów stęsknionych do wolności. To przemówienie to jedna z największych radości, jakie od dawna pamiętam<sup>2</sup>.

Zanotował też Lechoń oglądając w przekazie telewizyjnym scenę „przekomarzenia się Eisenhowera z małym Jareckim”. Już to określenie ujawnia sceptyczny dystans Lechońia do Amerykanów. To „przekomarzenie się” przypominało mu rozmowę Franklina Delano Roosevelta ze Stanisławem Mikołajczykiem, z tym że słowa Eisenhowera Lechoń uznał za jeszcze mniej ważne.

Pytania, którymi Lechoń uzupełniał tę notatkę, wskazują, że nieco małał jego zachwyty Jareckim, a pozostał sceptycyzm wobec stosunku Eisenhowera do polskich spraw: „Ciekaw jestem, czy Jarecki wie, co znaczy symbol – powiedział: »ja jestem symbol«. I czy Anders myśli, że Eisenhower naprawdę uważa się za jego przyjaciela”<sup>3</sup>.

---

<sup>1</sup> Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 3, Warszawa 1993, s. 107.

<sup>2</sup> Tamże, s. 131–132.

<sup>3</sup> Tamże, s. 174–175.

\* \* \*

W 1976 roku przebywałem w Alliance College w Cambridge Springs (Pensylwania) w charakterze *visiting professor*, realizując umowę zawartą między tą polonijną uczelnią a Uniwersytetem Jagiellońskim. Podczas mego tam pobytu zjechała – jak byśmy to z polskimi warunkami porównali – komisja akredytacyjna, czyli The Board of Trustees – Rada Zaufania. Zatrzymała się w college’u na kilka dni, by dokonać oceny działalności uczelni.

Jako osoba z zewnątrz, zatrudniona tylko na jeden semestr, w dodatku przybywająca z Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, o raczej znanych poglądach, pozostawałem poza bezpośrednimi zainteresowaniami komisji. Tylko na zakończenie jej prac, których wnioski wypadły dla uczelni korzystnie, zaproszono mnie do udziału w pożegnalnym obiedzie.

Przy wzajemnej prezentacji okazało się – czy był w tym czyjś świadomy zamysł, czy tylko przypadek – że znalazłem się przy stole naprzeciw Franciszka Jareckiego. Okazało się, że był on członkiem The Board of Trustees.

Byłem tym zdziwiony. Zakres jego kompetencji, charakter usług wyświadczonych Stanom Zjednoczonym nie kwalifikowały go – w moim wyobrażeniu – do takiej roli. Do Rady Zaufania – myślałem – powinny wchodzić osoby z wyższym wykształceniem, dysponujące doświadczeniem pedagogicznym, odznaczające się cechami, które pozwalają mieć zaufanie do ich moralności, charakteru – raczej nie z kręgu działania wywiadowczo-spiegowskiego, niezależnie od tego, jak byśmy czyn Jareckiego oceniali.

Ukrywając moje zaskoczenie, wdałem się w rozmowę. Chętnie opowiadał o sobie, a ja równie chętnie słuchałem, nie ujawniając, że nieco wiem, z kim rozmawiam.

Rozmawialiśmy po polsku. Wielu z obecnych mogło nas zrozumieć. Wylądował w Danii na lotnisku należącym do NATO, gdzie maszynę przejęli Amerykanie, a on sam wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Natychmiast, na mocy specjalnej uchwały Kongresu, otrzymał obywatelstwo amerykańskie. Dostał też (co wiedziałem już nie od niego) 50 000 dolarów. Ożenił się z córką właściciela zakładów produkujących silniki lotnicze. Chciałby doprowadzić do jakiejś umowy z polskimi władzami, by je również eksportować do naszego kraju. Pytał, co o tym myślę. Wprawdzie problematyka ta nie mieściła się w granicach mojej wiedzy, ale zauważyłem, że pomysł wydaje mi się mało realny w obecnych warunkach, na co odpowiedział: „Chciałbym pojechać do Polski i porozmawiać o tych kwestiach z kimś kompetentnym. Boję się jednak, czy mnie wpuszczą do Polski. Co pan o tym myśli?”. Odpowiedziałem: „Czy pana wpuszczą? Myślę, że tak. Ale nie jestem pewny, czy pana wypuszczą, bo pan przecież ukradł Polsce samolot”.

Zapadło dłuższe, pełne konsternacji milczenie. Wtedy zauważyłem, że już od pewnego czasu cały stół w milczeniu przysłuchiwał się naszej rozmowie.

# Mapa

W maju 1978 roku wygłaszałem cykl odczytów adresowanych do szerszego kręgu słuchaczy, nie tylko do studentów. W biuletynie wydawanym przez Polish Heritage Society ukazał się odpowiedni anons mający zachęcić, szczególnie Amerykanów polskiego pochodzenia z rejonu Grand Rapids (Michigan), do uczestnictwa w tych spotkaniach. Zjeżdżało się ich dość dużo. Sala, którą mi udostępniono, służyła w uczelni jako gabinet germanistyczny. Oszklone szafy biblioteczne mieściły klasyczne dzieła literatury i filozofii niemieckiej. Na szafach i postumentach stały popiersia wybitnych twórców niemieckiej kultury. Ściany zdobiły fotografie, ryciny, miedzioryty niemieckich artystów.

A wprost przed moimi oczami, naprzeciw biurka, zza którego zwracałem się do słuchaczy, wisiała mapa. Duża, na całą ścianę, polityczna mapa powojennej Europy. Polskie ziemie zachodnie i północne wyodrębnione były białym kolorem i ukośnym napisem, że jest to terytorium pozostające pod tymczasową polską administracją.

Mówiłem do zebranych o polskiej kulturze, o polskiej literaturze, a równocześnie – nie bez hamowanej irytacji – myślałem o zbierających się w tej sali na seminaria i wykłady studentach amerykańskich, którym w pamięci i wyobraźni musiał utrwać się taki właśnie obraz dzisiejszej Europy, wspierający proniemiecką i antypolską propagandę podtrzymywaną w tym rejonie przez liczną i aktywną niemiecką grupę etniczną.

Mówiło mi się z trudem; widok tej mapy nie pozwalał skupić myśli na przedmiocie odczytu, co na pewno odbijało się negatywnie na jego stylu.

Zaraz po pierwszym odczycie podszedłem do Mike'a Havilanda, mego bezpośredniego przełożonego, i powiedziałem mu, że tę mapę, dezinformującą studentów amerykańskich co do ważnych problemów współczesnej Europy, od dawna nieaktualną, trzeba zastąpić nową, zgodną z rzeczywistym europejskim porządkiem politycznym, dawno uznanym również przez Stany Zjednoczone.

Wysłuchał, potakująco pokiwał głową, mówiąc: „O.K.”. Uspokojony wróciłem do swego apartamentu.

W następnym tygodniu jeszcze trudniej przychodziło mi się skupić podczas wygłaszania odczytu. Przede mną był widok niezmienny, co wpłynęło na jeszcze większe moje poirytowanie. Opanowałem się jednak, postanowiłem zdobyć się na jeszcze jednotygodniową cierpliwość. Może Mike wydał stosowne polecenie, ale nie zdążono go jeszcze wykonać.

Nadszedł następny tydzień. Bez zmian.

Zaszedłem do gabinetu Mike'a. Od razu się domyślił, z czym przychodzę. „Mam kłopot” – zaczął – „Nie mamy innej mapy”. Ja na to: „Nie macie, to trzeba kupić. Nie wierzę, by w sprzedaży nie było poprawnych map współczesnej Europy, zgodnej z polityką waszego rządu”. Odpowiedział: „O.K.”.



# Polish Heritage Society

*A Non-Profit Corporation*

APRIL 1978 NEWSLETTER

## DR. MARIAN STEPIEN LECTURES AT GVSC

Proposed topics about Polish Contemporary Literature and dates of lectures:

- May 3      The Fundamental Principles of Cultural Policy in Contemporary Poland
- May 10     The Principal Movements in Polish Literature after 1945
- May 17     The Sociology of Polish Literary Life
- May 24     The Polish Contemporary Literature Abroad
- May 31     The Polish Contribution to European Literature

Dr. Stepien is a professor at the Jagiellonian University and Vice Director of the Institute of Polish Philology at the University. His main field is history of Polish literature, especially Polish literature of the 20th century. This is his second time in the U.S.; the first time was as visiting professor at Alliance College in Cambridge Springs, PA., in 1976.

Dr. Stepien has given many lectures about Polish literature. He has authored several books on Polish literature and is a literary critic. He was invited by the U.S. Government to come to GVSC as a Fulbright Curriculum Consultant under the Fulbright Grant. He has three kinds of duties as a Fulbright Curriculum Consultant:

1. Visiting professor at GVSC
2. Advisor for Polish ethnic programs in the Grand Rapids School System
3. Cooperate with Polish ethnic groups in Grand Rapids

He will be learning how the Polish people in the Grand Rapids area live which will help him in his studies and lectures when he returns to Poland.

For further information on the above, please call Dr. Haviland at Grand Valley, 895-6611, Ext. 212.

Kolejny odczyt. Nic się nie zmieniło. Ta sama mapa wisiała nadal.

Odbywało się jakieś *party* wydane przez rektora uczelni. Skorzystałem ze sposobności, wziąłem Mike'a pod ramię i podszedłem z nim do dziekana, by uzyskać jego poparcie. Dziekan, Amerykanin niemieckiego pochodzenia, wysłuchał mnie z uwagą i zwrócił się do Mike'a: „Trzeba to załatwić”.

Minął jeszcze jeden tydzień. Przede mną widok ten sam. Nazajutrz poszedłem do Mike'a: „Chce cię lojalnie uprzedzić. Jeżeli w przyszłym tygodniu ta mapa będzie nadal wisiała, wyślę w tej sprawie raport do Ministerstwa Edukacji w Waszyngtonie, a jego kopię do polskiej ambasady”.

Ten mój „szantaż” nie poskutkował. Przed wysłaniem zapowiedzianego raportu, o którym poważnie myślałem, przyszedł mi na myśl jeszcze jeden, nie tyle argument, ile „szantaż” właśnie. Zwróciłem się ponownie do Mike'a: „Jeżeli tej mapy nie można zastąpić inną (*replace*), to trzeba ją usunąć (*remove*). Jeżeli na najbliższym odczycie jeszcze ją zobaczę, to wszystko opowiem Sally Bilski”.

Sally Bilski była przewodniczącą Polish Heritage Society. Znana jako osoba bardzo energiczna, umiejąca skutecznie walczyć o swoje racje, niestroniąca od ostrych słów i zdolna do poruszenia wszystkich sił dla osiągnięcia zamierzonego celu. Jako reprezentantka licznej w tym regionie polskiej grupy etnicznej zasiadała w różnych władzach samorządowych, miała wpływ na programy szkolne i uczelni. Potrafiła doprowadzić do zdymisjonowania funkcjonariuszy municypalnych, jeśli nie wywiązywali się ze swych obowiązków i nie dość starannie dbali o prawa Amerykanów polskiego pochodzenia.

Była córką starych emigrantów zarobkowych, którzy przybyli do Stanów z pruskiego zaboru. Z domu wyniosła znajomość języka polskiego i wielkie przywiązanie do wszystkiego, co polskie. Bardzo uczuciowa, wychowana w duchu polskiego patriotyzmu, była przeciwniczką ustroju politycznego w Polsce i podporządkowania Polski Związkowi Radzieckiemu. Niemniej zawsze stawiała po stronie racji polskiego państwa, jakiegokolwiek by ono było, a trudne położenie Polaków wywoływało u niej prawdziwe ły wzruszenia. Byłem pewny, że jeśli się dowie o takiej mapie na terenie jej publicznego działania, zareaguje z gniewną furią, co może nawet źle się skończyć dla niektórych pracowników uczelni.

Mike Haviland dobrze ją znał. Wiedziałem, że nie zechce z nią zadzierać. Następnego dnia podczas odczytu miałem przed sobą pustą ścianę z brudnymi śladami po usuniętej mapie.

Minęło kilka miesięcy. Cykl moich odczytów dawno się skończył. Zbierałem się powoli do powrotu do Krakowa. Przed odjazdem wstąpiłem jeszcze do germanistycznego gabinetu. Ściana była pusta. Ciemne, brudne ślady wskazywały, że na tym miejscu coś dużego kiedyś wisiało.

Wracałem do Polski z poczuciem satysfakcji. Słabnącej jednak na myśl, że liczni i wpływowi sprzymierzeńcy sprawy niemieckiej cierpliwie doczekali się mego wyjazdu, wiedząc, że on nieuchronnie nastąpi, i przywrócili tę mapę na dawne miejsce.

## Żywoty Świętych Księdza Piotra Skargi

Jimmy zwrócił się do mnie „Powinieneś się udać na West Side, do Public Library. Tam w bejzmcencie są jakieś książki, wydaje się że polskie”.

Poszliśmy razem. Kierownik biblioteki, wysoki, kościsty, chudy, Irlandczyk z pochodzenia, wyszedł ku nam. Potwierdził: „Są tam w piwnicy jakieś książki. Niezinwentaryzowane, nieskatalogowane, wyłączone z obiegu czytelniczego”. Nie wie, w jakim są języku. Były tu od dawna, gdy przed wielu laty obejmował kierownictwo biblioteki w tej dzielnicy.

Zaprowadził nas do dużego, suchego, dobrze utrzymanego podziemia. Na regale w rogu było – na oko licząc – chyba ponad tysiąc woluminów, Większa część w niezłym stanie. Stałem przed nimi. Czytałem nazwiska i tytuły na grzbietach. Wyciągałem z półek i brałem do ręki.

Dziewiętnastowieczne wydania wierszy Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego; powieści Teodora Tomasa Jeża, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa, Elizy Orzeszkowej, Stefana Żeromskiego; wiersze Marii Konopnickiej, Adama Asnyka, Kazimierza Tetmajera; dramaty Gabrieli Zapolskiej, Stanisława Wyspiańskiego. Wznowienia, ale i pierwodruki. Jeden z tomów *Historii literatury polskiej* Piotra Chmielowskiego; zdekompletowane roczniki „Tygodnika Ilustrowanego”, pojedyncze numery „Bluszczu”, powieść Władysława Orkana bez strony tytułowej, czytanki dla dzieci i młodzieży, książeczki do nabożeństwa.

Przez kilka dni wracałem do tego miejsca. Spisywałem książki. Dzieliłem je według ewentualnego dalszego ich przeznaczenia: by część z nich wyprowadzić z piwnicy na górę, do wypożyczalni. W Grand Rapids jest trochę ludzi czytających po polsku. Może zainteresują się tymi książkami. Inne można przesłać do polonistycznych placówek na amerykańskich uczelniach. Niektóre mogłyby trafić do muzeum w Grand Rapids, gdzie powstawał dział poświęcony imigrantom z Polski.

Kto mógł być ofiarodawcą tych polskich książek? Ich poprzednim właścicielem? Daty wydań, przeważnie z dwóch ostatnich dekad XIX wieku, kończyły się mniej więcej na okresie przed pierwszą wojną światową. Pojedyncze egzemplarze wchodziły w lata dwudzieste XX wieku. Ich obecność była dowodem, że wśród emigracji zarobkowej z przełomu XIX i XX wieku musieli być również przedstawiciele inteligencji. Czy przywieźli te książki z sobą? Czy później im je dosyłało?

Daremnie starałem się dociec, kiedy i jakimi drogami tu się dostały. Dokumenty się nie zachowały, a może ich wcale nie było. Moi rozmówcy umieli tylko snuć przypuszczenia, które i bez nich mi się nasuwały. Nić jakiejś ważnej i interesującej tradycji z życia Polonii w rejonie Grand Rapids tu się urywała.

Tymczasem wiadomość o odkryciu tego „polskiego skarbu” poszła w świat. Za „Grand Rapids Press”, gdzie ukazała się fotografia kierownika biblioteki i informacja o znalezisku w bibliotecznej piwnicy na West Side, przejęła i zamieściła ją w swym serwisie informacyjnym agencja UPI (United Press International), a za nią powtórzyło ją kilka angielskojęzycznych gazet adresowanych do Amerykanów polskiego pochodzenia: „Citizen”, „Michigan Catholic”, „Polish Daily New”, „Zgoda”. Pojawiły się tytuły i komentarze apelujące o przeszukanie swych strychów i piwnic i oddawanie znalezionych tam polskich książek na użytek publiczny: *Polish Treasure Books Uncovered, Orchard Lake Schools Make Plea: Donate, Discard Polish Books, Grand Rapids Library Yields Polish Treasure, Says Professor*.

A ponieważ pod tymi tytułami zamieszczano nazwisko „odkrywcy”, z informacją, że przybył on z Uniwersytetu Jagiellońskiego, przez parę tygodni byłem „sławny”, witały mnie przyjazne uśmiechy i serdeczność, a rezultaty mej pracy w bibliotecznej piwnicy przedstawiłem na specjalnym spotkaniu kierownictwa szkół publicznych w Grand Rapids.

Apele prasowe nie pozostały bez echa. Do zarządu szkół publicznych napływały książki wydobywane z piwnic i strychów przez Amerykanów polskiego pochodzenia. Trafiły się bardzo interesujące wydania. Mnie przybywało pracy, wykonywałem ją chętnie, z dużym zaciekawieniem, aczkolwiek wykraczała ona poza moje oficjalne obowiązki.

Pod koniec mego ówczesnego pobytu w Stanach czekała mnie niespodzianka. Za tę pracę dostałem coś, na co nie liczyłem, o czym nie myślałem, nie rozmawiałem: czek na 800 dolarów. Pozwoliło mi to na swobodne zrealizowanie zamierzenia, o którym cały czas marzyłem: na podróż samochodem wokół Stanów Zjednoczonych, z zatrzymaniem się we wszystkich najciekawszych miejscach, z dotarciem do San Francisco i spotkaniem się z Czesławem Miłoszem na Berkeley University.

Wszystko się pięknie udało. Ale – w związku z odkryciem polskich książek – najmocniej poruszyła mnie i najtrwalszy ślad pozostawiła w mojej pamięci wizyta starszej, ponadsiemdziesięcioletniej pani. Trzymała jakiś pakunek pieczolowicie owinięty w zielone płótno. Przyszła, by mi to ofiarować z wdzięczności – jak powiedziała – za moją troskę o te polskie książki. To, co mi daje, dostała od matki w prezencie ślubnym, a jej matka miała to od swojej matki, czyli od babci stojącej przede mną osoby, gdy jej córka opuszczała polską ziemię i udawała się do Ameryki „za chlebem”.

Odwinąłem płótno. Zobaczyłem *Żywy Świtych* Piotra Skargi, wydanie Turowskiego z 1855 roku. W niezłym stanie, tylko papier był pożółkły, krawędzie stronic spalone trochę przez światło i słońce.

Chciała, bym tę książkę przyjął od niej i zawiózł ją do siebie, do Polski.

Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. Trudno nie przyjąć wzruszającego daru ofiarowanego mi w serdecznym i szlachetnym geście przez osiemdziesięcioletnią kobietę, która zjawiła się u mnie (co dla niej nie było takie łatwe i proste), by dać mi jedną z najcenniejszych pamiątek po matce i babci. Trudno nie przyjąć, tym bardziej że dar ten nie tylko mnie wzruszył, ale i ucieszył. I zapragnąłem go zabrać do swego księgozbioru w Krakowie.

Wiedziałem jednak, że nie powinienem tego robić. Ta księga powinna tu pozostać, w Grand Rapids. Jako pamiątka narodowa, jako łącznik z krajem, jako relikwia emigracyjna. Jako ślad poprzednich pokoleń przekazywany następnym generacjom przybywającym do Ameryki.

## Orchard Lake Schools make plea donate, don't discard, Polish books

The discovery of a "treasure" of prized first-edition volumes of Polish poetry in the remote section of a Grand Rapids (Mich.) public library has prompted this plea from the Orchard Lake Schools: Don't let it happen again."

Fr. Stanley E. Milewski, chancellor of SS. Cyril and Methodius Seminary, St. Mary's College and St. Mary's Preparatory northwest of Detroit, is asking Polish Americans to "uncover those old Polish books and other Polish materials in the attics and basements of your parents and grandparents" and send them to the schools' library and archives.

"At Orchard Lake," Fr. Milewski said, "these materials will be properly evaluated and appreciated."

According to a recent story carried by the United Press International, Marian Stepien, of the Jagiellonian University in Krakow, found a number of dust-laden volumes in the basement of a public library in Grand Rapids. He said many were museum pieces.

The books, which included works by romantic poets such as Adam Mickiewicz, were donated to the library by Pol-

ish immigrants. Many were first editions.

"It would be interesting to find out who had these books before the library," said Stepien, an expert in culture, linguistics, and literature.

Fr. Milewski said that someone had the "good sense" to donate the books to the library, even if the library wasn't aware of what it had.

"On the other hand, we know from experience that very often valuable books are stored in attics and basements and then discarded or burned after the owner's death," Fr. Milewski said.

The Orchard Lake Schools are considered to have one of the finest libraries and archives of Polish American books and materials.

Donations should be sent to the Alumni Memorial Library, St. Mary's College Orchard Lake, Mich. 48033.

---

**pna** *Enroll members  
for Centennial*  
POLISH NATIONAL ALLIANCE

Próbowałem to wszystko mojej ofiarodawczyni możliwie najdelikatniej wytłumaczyć. Udało się. Zgodziła się ze mną. Ustaliliśmy razem, że najważniejsze miejsce dla tej książki jest tutaj, wśród polsko-amerykańskiej wspólnoty w Grand Rapids. Zdecydowaliśmy wspólnie, że będzie najlepiej, jeśli przekazemy książkę panu Bushewiczowi, który był pracownikiem muzeum w Grand Rapids i urządził w nim dział polskich dokumentów i pamiątek.

A sobie przywiozłem stamtąd, z tej piwnicy z polskimi książkami, za wiedzą i przyzwoleniem bibliotekarza Irlandczyka, *Ducha puszczy*. Wydanie, które czytałem jako chłopiec jeszcze przed wojną. Mój egzemplarz jej nie przeżył. Spotkanie tej książki na ziemi Indian i zabranie jej ze sobą do Krakowa przyjąłem jako dar o szczególnej dla mnie wartości.



# Feliks Dzierżyński

Duża, głęboka szuflada pełna była przezroczy. „To wszystko o Polsce” – powiedział Jimmy. Część tego kupiono, ale większość to dary Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy wróciwszy z podróży do Polski, ofiarowali swoje zbiory, by można było z nich korzystać na lekcjach kultury polskiej w średniej i ponadśredniej szkole. W ich programach było, musiało być, miejsce na informacje o kulturalnym rodowodzie tych grup etnicznych, które odznaczały się znaczną liczebnością i odgrywały ważną rolę w życiu społecznym miasta i regionu.

W rejonie Grand Rapids (Michigan) liczna była Polonia amerykańska reprezentowana przez Polish Heritage Society. Sytuowała się na drugim miejscu po Amerykanach z holenderskim rodowodem.

Jimmy zwrócił się do mnie o pomoc w jakimś – tematycznym, problemowym – uporządkowaniu tego zbioru, by umożliwić jego wykorzystanie na lekcjach poświęconych polskiej kulturze i Polsce współczesnej.

Jimmy’emu marzyło się ułożenie tego bezładnego, obfitego, chaotycznego zbioru w tematyczne cykle, opisanie ich, zaopatrzenie w objaśniający komentarz, a następnie opublikowanie przewodnika po tym zbiorze na użytek nauczycieli; by wiedzieli, jakimi materiałami mogą dysponować i gdzie się po nie zwrócić.

Spotkaliśmy się w gabinecie Jimmy’ego we troje: on operował rzutnikiem, ja komentowałem i objaśniałem obraz ukazujący się na ekranie, sekretarka notowała moje słowa. W toku takiej pracy, trwającej kilkanaście posiedzeń, wyłoniło się z chaosu przezroczy leżących w przepastnej szufladzie kilka cykli tematycznych. Wśród nich: „Młodzież polska”, „Polska wieś”, „Muzea polskie”, „Polski przemysł”, „Transport w Polsce”, „Pałace”, „Pomniki Warszawy”.

Była to praca przyjemna, przerywana dłuższymi dygresjami o Polsce, odpowiedziami na liczne dodatkowe pytania, które stwarzały okazję do przekazania notującej sekretarce znacznie większej ilości wiadomości, niżby to wynikało z prostego objaśnienia fotografii. Miałem też – co ważne – poczucie sensowności tego wysiłku. Ale niekiedy byłem zakłopotany. Oczekiwano ode mnie wiedzy wręcz encyklopedycznej na różne tematy, związane z rzuconym na ekran obrazem, ale odległe od mojej kompetencji. Ponadto na niektórych zdjęciach były tylko fragmenty jakichś obiektów, co utrudniało ustalenie, co jest na ekranie. Zdjęcia były – w znacznej części – amatorskie. Nie zawsze przedstawiały główne fragmenty pałaców, budynków, muzeów. Dość długo musiałem się zastanawiać, by ustalić, że sfotografowany fragment schodów nie należy do pałacu w Wilanowie, lecz jest częścią pałacu Potockich w Łańcucie. Zorientowałem się po jakimś szczególe w tle. Tylko dlatego, że zapamiętałem pomnik ofiar zamordowanych na Majdanku (był

widoczny tylko niewielki jego fragment), mogłem odróżnić ten obóz zagłady od innych bardzo podobnych.

Były też kłopoty innego rodzaju. Jimmy nalegał na skomponowanie cyklu „Transport w Polsce”. A trzeba wiedzieć, że *transportation* to dla Amerykanów nie tylko sprawa bardzo ważna, ale również uzasadniony powód do dumy. Gdy mówią „transport”, mają na myśli nie tylko ruchome środki komunikacji i przewozu, ale również, rzeczywiście wspaniałą, sieć autostrad. *Keep America Moving* – to jedno z najczęstszych hasel spotykanych podczas podróży po Stanach. W centrum Detroit stoi piękny „Pomnik Ducha Transportu”: fontanna z postacią nagiego mężczyzny z czarnego marmuru. Na wzniesionych ramionach dźwiga indiańską łódź canoe.

I Jimmy miał życzenie, by ułożyć cykl „Transport w Polsce”. Co znajdowałem na wyciąganych z szuflady przeźrocach i co zatrzymywało uwagę Jimmy’ego? Na jednym ze zdjęć poznałem ulicę Stradom w Krakowie. Przy chodniku stała platforma z węglem zaprzężona w parę perszeronów. Na innym: niebieskie krakowskie tramwaje na skrzyżowaniu koło Poczty Głównej. To w porządku, ale na pierwszym planie objuczone zakupami kobiety z trudem pokonujące wysokie stopnie wagonu. Na ulicy Szewskiej starszy człowiek ciągnie z widocznym wielkim wysiłkiem naładowany dwukołowy wózek. Jimmy to wszystko odkładał do cyklu *Transportation*. Szukałem jakiegoś pociągu. Znalazłem. Nawet bardzo ładne ujęcie. Na tle zielonej łąki i lasu posuwa się pociąg, ciągnięty nie przez lokomotywę spalinową czy elektryczną, lecz przez parowóz poruszany parą. Pięknie wyglądał pióropusz dymu z komina i białe kłęby pary wokół kół. Przypomniało mi się moje dzieciństwo. Jak się udało amerykańskiemu turyście spotkać taki pociąg w Polsce? Gdzie on go znalazł?

Znalazłem ogon samolotu na Okęciu i jakiś autobus. „Ty też” – tłumaczyłem rozbawionemu tymi fotografiami Jimmy’emu – „jak jesteś w Pekinie, to nie fotografujesz potoku samochodów na ulicach, ale kulisa ciągnącego riksze”.

„Przemysł w Polsce”. Miałem w ręku przeźrocze z typowo śląskim pejzażem. Dymiące kominy hutnicze, szyby kopalni węgla. Sekretarce dyktowałem informacje o Śląsku. W jakiej części Polski jest położony, jakie jest jego znaczenie dla polskiej gospodarki, jakie są zwyczaje i święta górnicze.

„A co to jest?” – zaciekał się Jimmy i wskazał na kawałek płotu z desek, który zupełnie uszedł mojej uwagi, był bez znaczenia. Jimmy prosił, bym mu przetłumaczył napis na płocie. „To nie jest ważne” – powiedziałem. Nie ustępował. Na płocie dużymi białymi literami było napisane: „Własną pracą do dobrobytu”. Bardzo mu się to podobało. Dziwił się, że to pominąłem. Jak w amerykańskim hasle: „Z pucybuta milionerem”.

No i jak tu wytłumaczyć prawdomównemu, szczeremu, sympatycznie naiwnemu Amerykaninowi całą ironię tego hasła w polskich warunkach, hasła, na które nikt nie zwraca uwagi, jak ja, komentując to zdjęcie.

„Pomniki Warszawy” – to cykl wykonany profesjonalnie. Można go było kupić nie tylko w Polsce, ale również w Nowym Jorku, w Chicago, w Detroit, także w Grand Rapids w sklepach z pamiątkami. Komentowałem dzieło Mariana Koniecznego „Warszawska Nike”. Metaforyczne, aluzyjne, bardzo udane związanie warszawskiej Syreny z grecką boginią zwycięstwa nie było, tak jak dla nas, oczywiste i zrozumiałe dla Amerykanina. Dopytywał się więc, co znaczy ta nazwa. „No, jak to co?” – wyjaśniałem – „Warszawska Nike”, *Warsaw Nike*. Widziałem po jego minie, że nadal nie rozumie. Powołałem się więc na starożytność, wspominałem o posągu Nike z Samotrake, uskrzydłonej, pozba-

wionej głowy, stojącej w Luwrze – i wtedy wykrzyknął: „Acha, Najki!”. No tak, Nike, czyli dla Amerykanów „Najki”. Dogadaliśmy się wreszcie ku wspólnemu rozbawieniu.

W profesjonalnym cyklu „Pomniki Warszawy” na pierwszym miejscu był pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. „Kto to jest?” – zapytał Jimmy. Zacząłem ostrożnie komentować, z zamiarem doprowadzenia do zrezygnowania z tego przeźrocza. Musiałem być lojalny wobec Jimmy’ego. On nie wiedział, kim był Dzierżyński, ale ja wiedziałem. I wiedziałem, że w razie wprowadzenia do szkoły amerykańskiej pogadanki na jego temat, choćby w krótkiej formie, czy nawet tylko wzmianki, Jimmy będzie miał poważne kłopoty.

Mówiłem, że o Dzierżyńskim są różne opinie. Jedni widzą w nim bohatera rewolucji rosyjskiej i wnoszą mu pomniki. Inni natomiast – krwawego mordercę. Lepiej będzie, jeśli go z cyklu usuniemy.

I wtedy odezwało się w Jimmym sumienie amerykańskiego lewicującego inteligenta: „Dlaczego usunąć? A właśnie trzeba pozostawić”. Obruszył się na moje wahania. Wiedząc, kim jestem, odbierał je jako przejaw mojego, zasługującego na dezaprobatę, konformizmu. Nie ustępował. Nalegał, bym odpowiedni komentarz podyktował sekretarce.

Wiedziałem, że Jimmy nie zdaje sobie sprawy, na co nalega. W jego, nie w moim interesie było pominięcie Dzierżyńskiego. Wiedziałem, że nie mogę dopuścić do wprowadzenia Dzierżyńskiego do amerykańskiej szkoły ze względu na Jimmy’ego. A on upierał się przy swoim zdaniu coraz bardziej stanowczo i z coraz większą dezaprobatą wysłuchiwał moich argumentów, które w jego odbiorze brzmiały jak uginanie się człowieka lewicy przed opinią mieszczańską. Tak krytycznie patrzył na mnie, tak wyraźnie był bardzo zawiedziony moją postawą, że byłem bliski powiedzenia: „A rób, co chcesz, na twoją odpowiedzialność”.

Górze jednak brało poczucie lojalności wobec przyjaznego mi, uczciwego, a nawet szlachetnego Amerykanina, który nie był świadom, jak, z całą pewnością, zareagują na Dzierżyńskiego w szkole ludzie znający odpowiedni fragment rosyjskiej i polskiej historii. A tacy byli wśród Polonusów w Grand Rapids. Gdy oni się dowiedzą, a dowiedzą się wcześniej czy później na pewno, o czym to się mówi w szkole w związku z polską kulturą etniczną, Jimmy może stracić pracę następnego dnia. W Ameryce w takich sprawach decyzje zapadają szybko i nieodwołalnie.

Użyłem więc argumentu najsilniejszego: „Jeśli o tym dowiedziałyby się Sally Bilski (bardzo energiczna przewodnicząca Polish Heritage Society), a ona dobrze wie, co sądzić o Dzierżyńskim, to na pewno stracisz swoje stanowisko, a może w ogóle pracę w administracji szkolnej”.

To poskutkowało. Odetchnąłem z ulgą. Tylko przekornie pomyślałem: „A miałem taką okazję zrobić kawał Amerykanom i na lekcje szkolne wprowadzić temat »Feliks Dzierżyński«”.

\* \* \*

Następnego roku, już po powrocie do Krakowa, dostałem przesyłkę od Jimmy’ego. Zawierała owoc naszej pracy: książkę zatytułowaną: *Americans and Polish Culture*.

*A Guide to the Resource Material Collection. For Use in Secondary Schools, in Elementary Schools and by Community Groups, Grand Rapids 1979.*

W przedmowie znalazłem słowa:

*Acknowledgement.*

*Profound thanks are owed to Dr. Marian Stepien of the Department of Philology, Jagiellonian University, Cracow, Poland. He acted as consultant to staff in the selection of materials and directed the annotation of sections A and B during his 1978 Fulbright-Hays residency at Grand Valley State Colleges. His encyclopedic knowledge of Poland, its literature and history, and his tireless efforts made the writing of American and Polish Culture both enjoyable and efficient.*

# Wódz Biała Chmura

Państwo Maria i Zbigniew Krygowsky wywodzili się z Krakowa. Pewien czas pracowali jako architekci w Iraku. Gdy skończył się ich kontrakt, nie chcieli wracać do Polski. Przez rok czekali w Grecji na amerykańską wizę. Gdy ją dostali, osiedlili się w Grand Rapids w stanie Michigan. Rozmowom nie było końca. Mieliśmy dużo wspólnych znajomych w Krakowie, snuło się więc wspomnienia za wspomnieniami, różne opowieści. Zaprosili mnie na wspólny weekend do Cross Village na jeziorze Michigan, na północnym krańcu dolnej części stanu.

Tam setki lat temu osiedlił się indiański szczerp Ottawa, niegdyś świetny, dziś bardzo zbiedniały. Do niego w 1921 roku trafił Polak, Stanisław Smolak. Liczył wówczas 34 lata, pochodził z Kamionki pod Rzeszowem, skąd wyemigrował w 1912 roku, gdy miał 25 lat. Tułał się po wielkich miastach, fabrykach. Ze swą bujną naturą, bogatą wyobraźnią, talentem twórczym nie był tam szczęśliwy. Wśród Indian znalazł harmonię, spokój, możliwości wykorzystania swej energii, przyjazne ludzkie otoczenie.

Był wysokim, dużym mężczyzną, obdarzonym niezwykle siłą fizyczną i talentem rzeźbiarskim.

W 1930 roku rozpoczął budowę słynnej dzisiaj tawerny „Legs Inn”. Z kamieni obtoczonych i wygładzonych przez wodę wznosił duży gmach. Do urządzenia wnętrza, całkowicie wykonanego z drzewa, wykorzystał naturalne formy korzeni, konarów, pni drzewnych. Schodzą się tam Indianie i turyści na piwo. Wokół gmachu rozmnożyły się jego rzeźby – indiańskie totemy.

Żył wśród Indian. Pomagał najbiedniejszym, pocieszał w nieszczęściu, leczył chorych. Stał się ich bratem, a oni jego braćmi. Zyskał ich pełne zaufanie i przyjaźń.

Wódz plemienia Ottawa nie miał męskiego potomka. Na łożu śmierci mianował Smolaka swym następcą i dał mu miano Chief White Cloud (Wódz Biała Chmura). Smolak miał gęstą, z dala widoczną, siwą czuprynę.

Pisała o nim polska prasa emigracyjna, a także – w 1948 roku – „Nowiny Rzeszowskie”, a w 1956 – „Dookoła świata”. Dłuższy wiersz poświęcił mu Feliks Konarski (pseud. Ref-Ren), autor pieśni *Czerwone maki na Monte Cassino*. Zaczyna się od słów:

Z kraju, co leży nad Wisłą i Sanem,  
Gdzie smętnie szumią mazowieckie sosny –  
Przybył aż tutaj, by nad Michiganem  
Oddychać tchnieniem innej, obcej wiosny...

Młody emigrant, w pogoni za chlebem,  
Uparty, twardy, zawzięty – bo Polak –  
Przystani szukał. I tu, pod tym niebem  
Znalazł ją tułacz. Nazywał się Smolak.

Stanisław Smolak zmarł 3 listopada 1968 roku, przeżywszy 81 lat<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Zob. *Stanisław Smolak artysta niezwykle*, okładka, układ graficzny Anna Smolak, tekst Feliks Konarski – Ref-Ren, Cross Village, Mich. 1970.

# Po wizycie Prezydenta Cartera w Warszawie

W pierwszych dniach stycznia 1978 roku, na zaproszenie władz amerykańskich przybyłem na dłuższy pobyt do Stanów Zjednoczonych. Świeże jeszcze były, zwłaszcza wśród Amerykanów polskiego pochodzenia, echa niedawnej wizyty w Polsce prezydenta Jimmy'ego Cartera.

Pamiętałem to ważne wydarzenie oglądane z dużym zainteresowaniem przez miliony Polaków, którzy (co się chyba zdarzyło po raz pierwszy) mogli wysłuchać całego wystąpienia Prezydenta Stanów Zjednoczonych, transmitowanego bez skrótów i ograniczeń przez polską telewizję, wygłoszonego przez niego po wylądowaniu w Warszawie. Było ono poświęcone prawom człowieka i realizacji postanowień przyjętych przez trzydzieści pięć państw w *Akcie końcowym* KBWE w Helsinkach w 1975 roku.

Przemówienie Cartera było tłumaczone „na żywo” przez tłumacza amerykańskiego, który towarzyszył prezydentowi w jego podróży do Polski. Niestety, nie był on dobrze przygotowany do spełnienia swej roli. Pewne niedokładności w przekładzie, potknięcia i zahamowania można by jeszcze wybaczyć, ale tłumacz ten – dość często – posługiwał się słowem rosyjskim w miejsce polskiego, w przekonaniu, że mówi po polsku, co musiało być szczególnie przykrym zgrzytem w uszach Polaków, w takiej okoliczności. Wiadomość o niefortunnym tłumaczeniu przemówienia amerykańskiego prezydenta w Warszawie natychmiast dotarła do amerykańskich Polonusów i wywołała ich zrozumiałe wzburzenie. Byłem uczestnikiem wielu rozmów na ten temat; oczekiwano ode mnie dokładniejszych informacji, przykładów i komentarza.

Szczególnie poruszeni byli wykładowcy polonijnego Alliance College, w którym uczono studentów amerykańskich języka polskiego, kultury i historii Polski. Wysyłano ich także na rok do Krakowa, by na Uniwersytecie Jagiellońskim doskonalili swoją polszczyznę.

Reprezentatywną próbką oburzenia, zdziwienia i udzielania odpowiednich rad prezydentowi Carterowi może być artykuł redakcyjny zamieszczony w „The Meadville Tribune” 12 stycznia 1978 roku:

## Call alliance

If President Carter is making notes on his recently completed tour, he might jot down a reminder that the next time he obtain the services of a competent translator. If he doesn't know where to get one, we suggest that he contact one of the centers of Polish culture in America, Alliance College.

Alliance is striving to keep Polish culture, including the language, alive in the United States. It conducts classes in the language, it is training teachers to teach Polish and, under its

## EDITORIAL

# The Meadville Tribune

Thursday, January 12, 1978

## *Call Alliance*

If President Carter is making notes on his recently completed tour, he might jot down a reminder that the next time he obtain the services of a competent translator. If he doesn't know where to get one, we suggest that he contact one of the centers of Polish culture in America, Alliance College.

Alliance is striving to keep Polish culture, including the language, alive in the United States. It conducts classes in the language, it is training

teachers to teach Polish and, under its Year Abroad Program, it sends students to Jagellonian University at Krakow where they use the Polish language almost exclusively.

Just in case President Carter is not aware of Alliance and its program, maybe the Cambridge Springs school ought to volunteer its services to the President and the diplomatic corps. Alliance could save the country from another embarrassment in the nation's relationships with Poland.

Year Abroad Program, it sends students to Jagellonian University at Krakow where they use the Polish language almost exclusively.

Just in case President Carter is not aware of Alliance and its program, maybe the Cambridge Springs school ought to volunteer its services to the President and the diplomatic corps. Alliance could save the country from another embarrassment in the nation's relationship with Poland.



# Nieoczekiwane skutki opublikowania listu Edwarda Stachury

Podczas jednego z pobytów w Stanach Zjednoczonych dostałem od pani Gail Dołzenko, wykładowczyni w Alliance College, adresowany do niej list od Edwarda Stachury. W 1972 roku był on gościem tej uczelni, spotykał się ze studentami, korzystał z gościnności adresatki. Zdarzenia, o których mowa w tym liście, znalazły później odbicie w utworze poety *Słodycz i jad* drukowanym w „Twórczości”<sup>1</sup>.

List ten, w pełnym brzmieniu, łącznie z dokładnym adresem – bardzo ważne – osoby, do której był skierowany, podałem do druku w „Zdaniu”<sup>2</sup>. W zwięzłym, niezbędnym komentarzu przedstawiłem adresatkę:

Amerykanka polskiego pochodzenia, córka przedwojennego konsula polskiego w Nowym Jorku, urodzona w Cambridge Springs (Pensylwania), lata drugiej wojny światowej spędziła w Warszawie, uczestniczyła w powstaniu. Od wielu lat mieszka w Cambridge Springs.

Minęło kilka lat. Spotkałem się ponownie z panią Gail Dolzenko. Pokazała mi dwa listy z polski, które otrzymała po opublikowaniu listu Edwarda Stachury z podaniem jej adresu.

Istotne fragmenty tych listów podaję niżej – bez komentarza – zachowując oryginalną pisownię.

List pierwszy:

dn. 10.02.1983 r.

Wielce Szanowna i Droga Pani!

Adres Pani zdobyłem z gazety i wiem, że Pani pochodzi z Polskiej rodziny, przeżyła Pani powstanie warszawskie w okresie okupacji hitlerowskiej. A więc zna Pani niedostatek, będę i kłopoty z tym związane.

Ja liczę 53 lata i jestem na rencie III grupy (choruję na serce i na nadciśnienie), rentę mam niską. Żona 45 lat, pracuje – zarabia średnio. Mamy trzy córki:

- Grażyna 15 lat, wzrostu 1,52 m, szczupła
- Mirosława 17 lat, wzrostu 1,54 m, szczupła
- Maria 18 lat, wzrostu 1,58 m, tusza średnia

Wszystkie córki chodzą jeszcze do szkoły średniej.

---

<sup>1</sup> Edward Stachura, *Słodycz i jad*, „Twórczość” 1977, nr 7.

<sup>2</sup> „Zdanie” 1983, nr 1.

Mamy bardzo wielkie trudności i kłopoty w zdobyciu obuwia ciepłego zimowego o rozmiarach damskie Nr 35, 36, 38 i 39. Męskie Nr 40. Nie można tego tu kupić, bo nie ma.

Gdyby była możliwość, uprzejmie proszę o pomoc nam, ludziom potrzebującym.

Jeszcze raz nadmieniam, że potrzebna jest żywność, potem buty i odzież jak:

– zimowe płaszcze, kurtki, sukienki, bluzki, swetry, spódnice, bielizna

osobista, skarpety, piżamy, koszule, kalesony.

Łączę wyrazy wielkiego szacunku i poważania i proszę o prawidłowy adres i odpowiedź w języku polskim.

Czekam z utęsknieniem i wielką nadzieją, że moje prośby zostaną uwieńczone sukcesem.

Niech Bóg ma Was w Swej opiece i niech darzy dobrym zdrowiem. Będziemy się modlić za Was.

Niech będzie Pochwalony Jezus Chrystus.

List drugi:

10 X 83.

Wielce Szanowna Pani

**Profesor!**

Adres Pani profesor i słowa rekomendacji mam – niestety już od nieżyjącego – śp. Edwarda Stachury, który opowiadał mi o Pani wielkim sercu, życzliwości i rozumieniu ludzkich potrzeb i trudności. Ośmielony tym, a naglony potrzebą, przedkładam przed Panią swoją prośbę. Otóż na zakup zagranicznego lekarstwa, jestem chory na serce, potrzebuję pięć dolarów. Prosiłbym o ich przysłanie. W zamian nadesłałbym polskie książki. Z góry serdecznie dziękuję i przepraszam za śmiałość, ale konieczność mnie do tego zmusza i bezlitośnie przynagla...

Słowo o sobie: z zawodu jestem nauczycielem, członkiem rozwiązanego ZLP.

Proszę przyjąć najlepsze, jesienne pozdrowienia z Polski i życzenia pomyślności na co dzień i od święta, a przede wszystkim dużo spokojnego zdrowia!

Z poważaniem....

# Natan Szczarański

Wybrałem się na weekend do Kanady. Chciałem zobaczyć od tamtej strony wodospady Niagara, zwiedzić Ontario Place pod Toronto, zobaczyć stadion olimpijski w Montrealu, dotrzeć do francuskiego Quebecu.

Z Michigan do Kanady jest niedaleko. Miałem komfortowy samochód – ośmiocylindrowy *big car*, Olds Mobile Delta 88. Miał tylko jeden poważny feler: produkowany jeszcze w czasach paliwowej bez troski pożerał bardzo dużo benzyny.

Przy wizie amerykańskiej otrzymanej w Warszawie miałem pieczętkę: *Two entry*. Chciałem więc z okazji skorzystać. Zresztą i bez tego, jako stypendysta Fulbrighta, miałem prawo wyjechać bez przeszkód na przykład na południe do Meksyku, albo na północ do Kanady i wrócić spokojnie do Stanów.

Potrzebna była wiza kanadyjska. Pojechałem po nią do Detroit, gdzie był kanadyjski konsulat. Razem z grupką Jugosłowian z Sarajewa, również stypendystami Fulbrighta. Była różnica w traktowaniu. Oni dostali wizę natychmiast. Ode mnie przyjęto wniosek i polecono czekać na wiadomość, kiedy mam się zgłosić na *interview*.

Jugosłowianie pojechali więc do Kanady wcześniej, w planowanym wspólnie terminie. Ja – sam, w parę tygodni później. Zrealizowałem swój kanadyjski plan i – po paru dniach – zebrałem się do powrotu przez most nad rzeką Niagara, łączący Stany Zjednoczone z Kanadą.

Krótką i sympatyczną była pożegnalna rozmowa na kanadyjskim końcu mostu. Przypadkiem niespodzianka czekała mnie na jego drugim końcu. Amerykański funkcjonariusz potraktował mnie bardzo niegrzecznie, wręcz brutalnie, i odmówił wpuszczenia na terytorium Stanów. Gniewnym ruchem wydarł mi z paszportu kartonik, który mi przypięto przy wjeździe do Ameryki przed kilku miesiącami. Nie pomogły żadne tłumaczenia. Po prostu nie chciał nawet ze mną rozmawiać i się oddalił. Tak więc: wyjechałem z Kanady, nie mogłem wjechać do Stanów. Zostałem pomiędzy, na moście, w samochodzie.

Zawróciłem i podjechałem do Kanadyjczyka, ku jego wielkiemu zdumieniu, bo pamiętał, że przed chwilą się ze mną pożegnał.

Poprosił o paszport. Rzucił okiem na stronę z wizą amerykańską: „No tak, bo pan jest komunistą” – powiedział.

– „A skąd pan wie?” – spytałem.

– „O, tu jest napisane” – wskazał palcem na zaszyfrowany rząd cyferek, literek, dwukropków, myślników dopisanych ręcznie pod wizą przyznaną mi w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. „No, to dostał pan *Birthday Gift* od Amerykanów” – powiedział ironicznie, zobaczywszy w paszporcie dzień mego urodzenia, 30 lipca. Odtąd dobrze pamiętam, kiedy ta przygoda się zdarzyła – w dzień moich urodzin.

Byłem zdumiony i oburzony tym zaszyfrowanym zapisem. Oto byle funkcjonariusz wie, kim jestem, a ja nawet nie wiem, że on wie. A jakie jeszcze informacje o mnie zawierały się w tym szeregu literek i cyferek?

Im bardziej niegrzecznie potraktował mnie Amerykanin, tym bardziej grzeczny, uprzejmy, kulturalny i dobrze wychowany okazywał się Kanadyjczyk. Kilkakrotnie, już wcześniej, miałem okazję zauważyć, że Kanadyjczycy chcą się zaprezentować jako ludzie bardziej ogładzeni, kulturalni, lepiej wykształceni niż ich południowi sąsiedzi.

Przewidując, że moje starania o jakieś wyjście z tej sytuacji mogą potrwać długo, wbił mi do paszportu na poczekaniu wizę upoważniającą do przebywania na terytorium kanadyjskim przez cztery tygodnie.

Najpierw – jak to zwykle czynię – wyobraziłem sobie wyjście najgorsze: zadzwonię do Jimmy'ego, poproszę by przyjechał do mnie do Kanady, dam mu klucz od mego apartamentu w Allendale z prośbą, by przywiózł moje rzeczy i bilet powrotny do Warszawy, który jest w szufladzie biurka – i wyjadę z Kanady do Polski.

Gdy już wyobraziłem sobie wyjście najgorsze i pogodziłem się z nim, uspokoiłem się, bo każde inne mogło być tylko lepsze.

Wróciłem do motelu (ku zdziwieniu sympatycznej ciemnoskórej recepcjonistki), z którego godzinę wcześniej odjeżdżałem i wybrałem się – już zupełnie rozluźniony – na jeszcze jeden, nadprogramowy, wieczorny spacer w pobliże iluminowanego różnymi kolorami wodospadu.

Nazajutrz, wczesnym świtem (na niebie były jeszcze widoczne blednące gwiazdy) pojechałem do konsulatu amerykańskiego w Toronto. Na dwie godziny przed rozpoczęciem urzędowania była już przed nim długa kolejka, głównie Latynosów, którzy od tej strony próbowali się dostać do Stanów. Dostałem kartkę z kolejnym numerem 117 (takie rzeczy się trwale pamięta).

Po rozpoczęciu urzędowania, kolejka podzieliła się według różnych spraw, do różnych okienek i nie była już tak groźna, jak to początkowo się wydawało. Dość szybko stanąłem przed urzędnikiem konsulatu, któremu objaśniłem mój status w Ameryce.

Pomyślawszy chwilę, skierował mnie do kasy, bym opłacił rozmowę telefoniczną z Waszyngtonem. Wróciłem do niego z kawałkiem papieru, na którym kasjerka potwierdziła moją opłatę. Polecił chwilę poczekać. Nie trwało to długo. Po kilku, może kilkunastu minutach usłyszałem wypowiedziane przez mikrofon moje nazwisko, z wezwaniem do okienka. Wziął mój paszport, odpowiednią pieczętką anulował poprzednią wizę, na sąsiedniej stronie przybił nową – i wszystko było załatwione.

To było właśnie to, co wielokrotnie wywoływało moje uznanie, by nie powiedzieć: zachwyty. Urzędnik w Stanach Zjednoczonych, wysłuchawszy, z jakim problemem przychodzi do niego petent, myśli, jak mu pomóc, a nie jak się go pozbyć (co znamy z Polski) i odczuwa autentyczne zadowolenie, gdy to mu się udaje.

Zapytał jeszcze, w którym miejscu i o jakim czasie zamierzam przekroczyć granicę kanadyjsko-amerykańską. Chce – na wszelki wypadek – zadzwonić tam, by mi nie robiono trudności.

Wolałem już ponownie nie wjeżdżać na niefortunny dla mnie most. Wybrałem powrót przez tunel pod rzeką Detroit, by opuścić Kanadę w miejscowości Windsor.

Jeszcze tego wieczoru znalazłem się w swoim apartamencie w Allendale (Michigan). Kiedy usiadłem w fotelu przed telewizorem, wyjąwszy piwo z lodówki, chipsy z szafki, poczułem się – przez chwilę przynajmniej – człowiekiem naprawdę szczęśliwym.

Po kilku dniach wyjaśniły się przyczyny nieoczekiwanej przygody. Otóż od pewnego już czasu uwaga opinii amerykańskiej była zwrócona na tocząca się w Moskwie sprawę Natana Szczarańskiego. Śledziłem ją również z zainteresowaniem. Szczarański był rosyjskim dysydem walczącym o prawa człowieka. Pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Stanów Zjednoczonych aresztowano go, wytoczono mu proces i skazano.

Nie pomogły oświadczenia władz amerykańskich, w tym samego prezydenta Cartera, że Szczarański nie był amerykańskim szpiegiem. I kiedy – mimo wszystkich zapewnień i oświadczeń – zapadł w Moskwie wyrok skazujący, Kongres amerykański przywrócił, uchylony uprzednio, przepis prawny, który znacznie utrudniał wjazd do Stanów Zjednoczonych członkom partii komunistycznych, jeśli wręcz go nie zabraniał. A kulminacja tej całej sprawy przypadła na dni weekendu spędzanego przeze mnie beztrudnie w Kanadzie. Bardzo świeże były więc polecenia przekazane funkcjonariuszom kontrolującym ruch graniczny. W dodatku: urodziłem się przed wojną w niepodległym państwie polskim, w Sławsku, w powiecie stryjskim, który po drugiej wojnie światowej znalazł się w granicach ZSRR. I w związku z tym, w rubryce „miejsce urodzenia” miałem wpisane: „Soviet Union”. To wzmacniało złe emocje imigracyjnego urzędnika.

Zawsze zastanawiałem się, czy takie wpisywanie miejsca urodzenia do polskich paszportów wynikało z kategorycznych i nieodwołalnych żądań Moskwy, czy z nadgorliwości i służalczości władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Obawiam się, że to drugie. Czy Niemiec, obywatel Niemieckiej Republiki Demokratycznej, urodzony przed 1945 rokiem na przykład w Szczecinie lub we Wrocławiu miał w paszporcie wpisane miejsce urodzenia: „Poland?” Wątpię. A jest to sprawa analogiczna.

\* \* \*

Minęło ponad dwadzieścia lat od tej przygody na moście między Kanadą i Stanami Zjednoczonymi. Natan Szczarański był już od dłuższego czasu ministrem w rządzie Izraela. Ponownie znalazłem się w Nowym Jorku. Jak wiadomo, ulice przecinające Manhattan nie mają indywidualnych nazw, tylko kolejne numery (z wyjątkiem najstarszej, południowej części, gdzie są nazwy ulic, np. Wall Street).

Podjechaliśmy pod siedzibę Organizacji Narodów Zjednoczonych. Chciałem ją pokazać żonie. Zobaczyłem wówczas, że uczyniono wyjątek od tego zwyczaju: jedna z ulic przecinających równoleżnikowo Manhattan i prowadząca do ONZ nazywa się ulicą Natana Szczarańskiego.



## Nota wydawnicza

Szkice zawarte w niniejszej książce były wcześniej drukowane jako artykuły (niekiedy w krótszej formie) w następujących publikacjach zbiorowych i periodykach:

*Status polskiego emigranta w drugiej połowie XX wieku* [w:] *Dwudziestowieczność*, red. Mieczysław Dąbrowski, Tomasz Wójcik, Warszawa 2004.

*Emigracja naszego czasu. O Tymonie Terleckim*, „Zdanie” 2004, nr 3–4.

*Próba periodyzacji polskiego życia literackiego po 1939 roku* [w:] *Im Dissen zur Macht. Samizdat und Exiliteratur der Länder Ostmittel- und Südosteuropas*, red. Herausgegeben von Ludwig Richter und Heinrich Olschowsky, Berlin, Akademie Verlag 1995.

*Pięćdziesiąt lat polskiej literatury emigracyjnej (1939–1989). Próba bilansu* [w:] *Z polskich studiów slawistycznych*, seria 10, Prace na XIII Międzynarodowy Kongres Slawistów w Lublanie 2003, Warszawa 2003.

*Sytuacja emigranta w świetle twórczości Czesława Miłosza*, odczyt wygłoszony w języku angielskim 15 kwietnia 1999 roku na międzynarodowym seminarium „Emigration and Literature in the Historic-cultural Context” prowadzonym przez Hebrew University of Jerusalem, druk w: *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 1999.

*Książka fałszywych prognoz (O „Zniewolonym umyśle” Czesława Miłosza)*, „Polityka” 1988, nr 14.

„Co czuje się wobec zbyt dużego obszaru”. *Amerykańska przestrzeń w poezji Czesława Miłosza* [w:] *Przestrzeń w literaturze i języku*, red. Ewa Borkowska, Katowice 2006.

Wokół „Narodu” Czesława Miłosza, „Zdanie” 2005, nr 1–2.

*Witold Gombrowicz wśród polskich emigrantów* [w:] *Gombrowicz w regionie świętokrzyskim*, red. Jan Paławski, Kielce 1995.

*Z pozycji moralisty. Gustaw Herling-Grudziński o polskich pisarzach współczesnych* [w:] *O Gustawie Herlingu-Grudzińskim*, red. Jan Paławski, Kielce 1992.

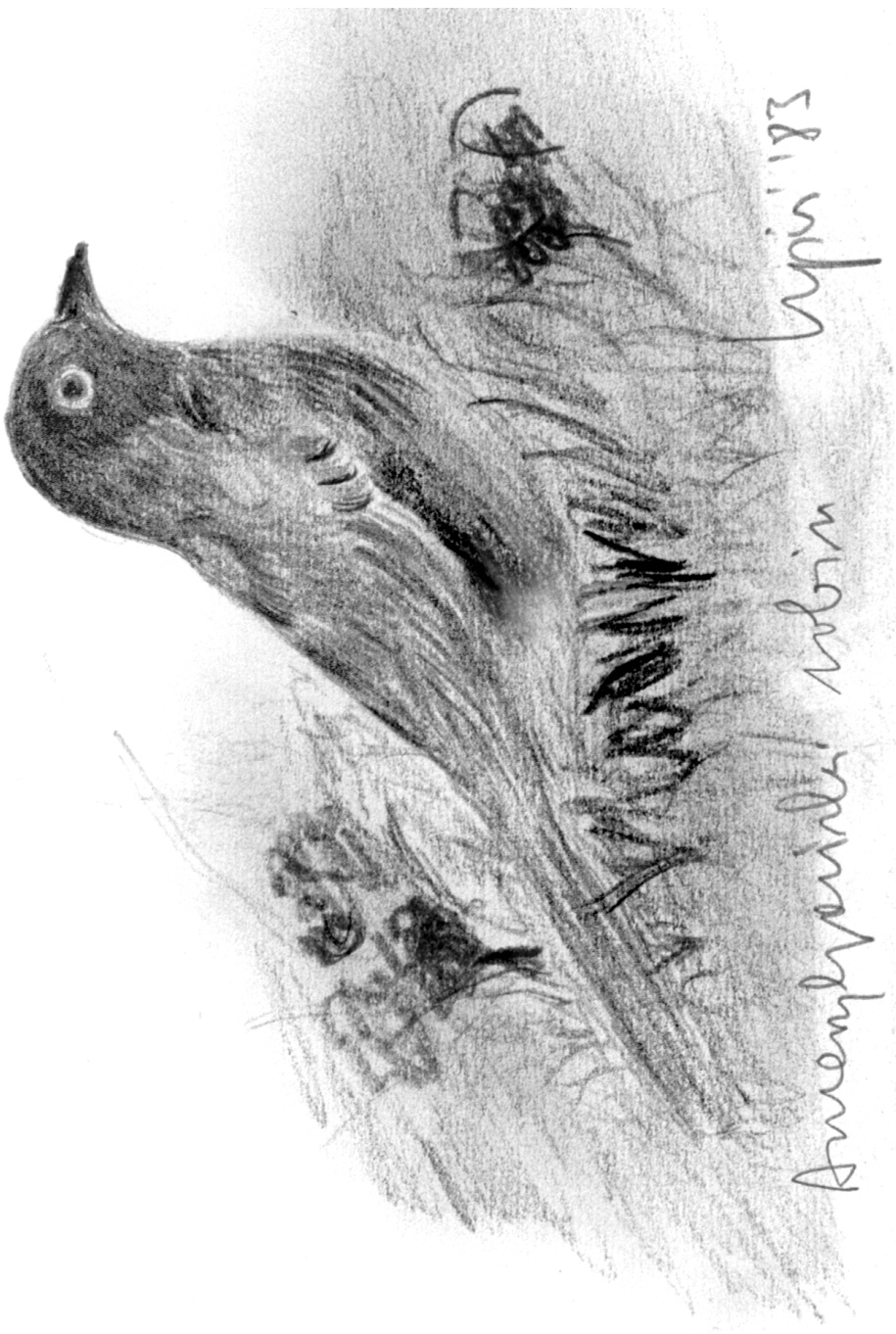
„Podwójne życie pisarza” [w:] *O Gustawie Herlingu-Grudzińskim*, Kielce 1999 (pod tytułem: *Pułapki „widzenia Polski z oddalenia”. Glosy do „Dziennika pisanego nocą”*).

„Zdaje się Mickiewicz mnie powalił” [w:] *Mickiewicz a literatury słowiańskie. Z dziejów recepcji od modernizmu do współczesności*, red. Eugenia Łoch, Lublin 2004.

*Nowojorski wieczór Jana Lechonia* [w:] *Dobra pamięć. Księga Pamiątkowa poświęcona Profesorowi Tomaszowi Weissowi*, red. Marian Zaczyński, Franciszek Ziejka, Kraków 2005.

- Inwalida pierwszej wojny światowej* [w:] *Pierwsza wojna światowa w literaturze polskiej i obcej. Wybrane zagadnienia*, red. Eugenia Łoch, Krzysztof Stępnik, Lublin 1999.
- Dwa rodzaje liczby mnogiej* [w:] *Epoka przemian. Wiek XX w literaturze polskiej*, red. Zenon Ożóg, Jan Wolski, Rzeszów 2005.
- Wacław Solski* [w:] *Dialog, komparatystyka, literatura*, red. nauk. Edward Kasperski, Danuta Ulicka, Warszawa 2002.
- Przypomnienie Wiesława Strzałkowskiego* [w:] *Wiesław Strzałkowski, De profundis clamavi. Utwory wybrane*, wstępem poprzedził i wyboru dokonał Marian Stępień, Kraków 2002.
- Dzieło Marii Danilewicz Zielińskiej*, „Fraza” 1997, nr 4.
- Dwa filary emigracji*, „Zdanie” 2002, nr 1–2.
- Jerzy Giedroyc wśród twórców literatury polskiej*, „Aneks”, dod. do „Trybuny” 6 X 2000.
- Powstanie warszawskie*, „Przegląd” 2006, nr 40.
- Henryk Grynberg* [w:] *Literackie portrety Żydów*, red. Eugenia Łoch, Lublin 1996.
- „*Let the Blackbird Sing*”. *O Helenie Oгородowskiej Bristol* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2001.
- Symans* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2002.
- O Stanisławie Żochowskim* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2004.
- Most pamięci i wyobraźni*, „Przegląd Polski”, dod. do „Nowego Dziennika” (Nowy Jork) 17 XII 1999.
- Niewysłany List*, „Przegląd Polski”, dod. do „Nowego Dziennika” (Nowy Jork) 28 VII 2000.
- Ptaki* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2004.
- Franciszek Jarecki* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2004.
- Mapa* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2004.
- „*Żywoty świętych*” *Księdza Piotra Skargi* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2004.
- Feliks Dzierżyński* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2004.
- Wódz „Biała Chmura”* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2004.
- Natan Szczarański* [w:] *Proza, proza, proza...*, red. Konrad Strzelewicz, Kraków 2004.





Apr 1883

Ameryville, Ohio